



Andrzej Ziemiański

Toy Wars

Wydanie polskie

Data wydania:

2008

Projekt oraz grafika na okładce:

Piotr Cieśliński

Ilustracje :

Grzegorz Krysiński

Wydawca:

Fabryka Słów sp. z o.o.

20-607 Lublin, ul. Wallenroda 4c

www.fabryka.pl

email: biuro@fabryka.pl

ISBN: 978-83-60505-97-7

TOY TOY SONG

Toy Iceberg otworzyła wielkie drzwi ozdobione wizytówką „Prywatny detektyw. Paul Iceberg i...” Widząc to cholerne „i”, dostawała szału. „Paul Iceberg i córka”...

Weszła do ciemnego pomieszczenia stanowiącego biuro. Szczęściem czynsz został zapłacony za dziesięć lat z góry. Tyle jej. Wytrząsnęła na blat wszystko, co miała w torebce. Z powodzi drobiazgów wyluskiwała pojedyncze monety. Siedemdziesiąt centów. Majątek. Jednym ruchem zgarnęła duperele z powrotem do torebki. Otworzyła szufladę biurka i wyjęła konserwę.

Paul zmarł przed rokiem. Dwadzieścia kilka lat pracował w policji, potem jako prywatny detektyw. Cholernik musiał mieć powiązania z mafią. Nie słyszała o żadnej aferze związanej z Paulem, o żadnych podejrzeniach, żadnych łapówkach, a jednak... Umierając, zostawił jej ponad sześć milionów dolarów. Na pewno mafia. Żył tak skromnie... Pracował do końca, żeby umrzeć na zawał we własnym łóżku. Albo mafia, albo UFO, albo załatwił jakąś grubą rybę. Przecież tyle nie zarobił.

Otworzyła konserwę, podważając blokadę wieczka kciukiem. Wbiła widelec w mięso i zaczęła jeść, patrząc bezmyślnie na swój materac z rozłożonym śpiworem pod ścianą. Była strasznie głodna, ale wiedziała, że musi zostawić sobie coś na rano, więc odstawiła pół konserwy na biurko i podeszła do ekspresu z kawą. Siedemdziesiąt centów. Nie kupi nawet coli. Ile razy używała tego samego filtra z tą samą mieloną kawą, który tkwił w środku? Eeee... maksimum pięć razy. Wlała do zbiornika wodę z kranu. Szósty raz to przecież nie dziesiąty, coś powinno naciągnąć.

Ciekawe, ile milionerek na świecie musiało pić zaparzaną po raz szósty kawę? Pamiętała, jak splakana po pogrzebie poszła do adwokata ojca. Akurat. Ojca... Paul adoptował ją dokładnie półtora roku przed swoją śmiercią. Poznali się na ulicy. Chyba zrobiło mu się żal młodziutkiej prostytutki stojącej na golasa przy krawężniku w Sex Side, zasmarkanej jak szlag, bo było już zimno. Tam nawet policjanci woleli się nie zapuszczać. Paul szukał jakiejś dziewczyny, która uciekła od rodziców. Nie znalazł. Ale spotkał Toy. Swoją „Zabaweczkę”. I wyciągnął ją stamtąd. Jeszcze jeden dowód na to, że miał szemrane kontakty z mafią. Ciekawe, co dla nich robił?

Toy, już ubrana, wyleczona z zapalenia oskrzeli, z jakichś względów wydała mu się strasznie fajna. Nigdy ze sobą nie spali. Grali w karty w tym biurze (oszukiwała nieporadnie – tylko się śmiała), chodzili na obiady do knajpy naprzeciw, do kina na zabawne filmy, układali na ławce w parku kostki domina. W gruncie rzeczy Paul przy tym całym swoim starannie ukrywanym bogactwie był cholernie samotnym facetem. Potem ją adoptował. Odtąd nazywała się Toy Iceberg. Cholera, jak to nazwisko do niego pasowało. Choć dziewczyna trochę go nadtopiła.

Kazał Toy się uczyć. Zmuszał, żeby czytała jedną książkę na dwa dni. Na początku zajęcie wydawało się męczące, bo odpytywał, ale w końcu nawet ją wciągnęło.

A potem zaczął uczyć „fachu”. Poznała tajniki broni palnej, dowiedziała się, jak czyścić, ładować, celować i naciskać spust. Wyćwiczyła się nawet w trafianiu do celu. Dość bliskiego, żeby być ścisłym. Nigdy się nie przyznała Paulowi, że jest krótkowidzem i bez okularów widzi mniej więcej tyle, co przeciętny kret, a on się nie domyślił. Bo... bo chyba chciał mieć syna... Wyczuwała to instynktownie i udawała, jak potrafiła najstaranniej, że nigdy nie ma miesiączki.

Miał ją uczyć dalej, żeby mogła przejąć firmę. Ale... no, umarł.

Kiedy po pogrzebie poszła do jego adwokata, przeżyła dwa największe zdziwienia w swoim życiu. Po pierwsze, zostawił jej ponad sześć milionów dolarów. Jezu! O mało majtki jej nie spadły z tyłka. Po drugie, dostanie tę forszę dopiero za dziesięć lat, jeśli spełni jeden warunek.

Chryste! Paul był beznadziejnym romantykiem. Nie chciał zrobić z niej rozwodzonej laleczki wydającej forszę na różne zachcianki. Miała najpierw poznać życie. No, kurwa mać!

Przez dwa lata była prostytutką. Średnio ośmiu klientów dziennie. Policzmy, osiem razy trzysta sześćdziesiąt pięć razy dwa... Przeleciało ją prawie sześć tysięcy facetów! Trzy razy złapała syfilis, dwa razy rzeżączkę. Dobrze, że alfonsi nie żalowali na antybiotyki. Bito ją, musiała stać goła tuż przy krawężniku noc w noc, a gdy szła spać, skuwali jej ręce i kneblowali, żeby nie mogła niczego zaplanować z resztą „koleżanek”. Była narkomanką na totalnym odlocie, z charakterystycznym wytrzeszczem oczu i niezborną gadką. Dopiero Paul kazał ją uwarunkować na odwyku. Kto, jak nie ona, znał życie na tej planecie?

Ale nie... Dla Paula to było najwyraźniej za mało. Miała przez dziesięć lat utrzymywać się, pracując jako prywatny detektyw. Cholera... Przynajmniej biuro było opłacone z góry. Firma prawnicza miała sprawdzać, czy nie zatrudnia się gdzie indziej. Jeśli przeżyje dziesięć lat jako detektyw – forsa jej. Jeśli nie, jeśli będzie dorabiać na boku, dawać odpłatnie tyłka, oszukiwać w wypełnianiu warunków testamentu... Sześć milionów dolarów powędruje na cele dobroczynne.

O rany! Paul... Ty beznadziejny romantyku! Jak ty to sobie wyobrażałeś?

Zerknęła do lustra. Nic się nie zmieniło. Nadal była dwudziestojednoletnią, śliczną dziewczyną. Miała duży biust, zgrabny tyłek, metr sześćdziesiąt wzrostu i... Ważyła raptem

czterdzieści pięć kilo. Niczym średniej wielkości kurczak...

W budynku, gdzie mieściło się biuro, winda miała takie ekstra zabezpieczenie. Żeby dzieci nie bawiły się dźwigiem, wmontowano specjalne urządzenie – ukrytą w podłodze wagę. Jeśli pasażer (w domyśle dziecko) ważył za mało, urządzenie nie chciało się uruchomić. Niestety, kiedy Toy wsiadała do windy sama, ta... nie chciała ruszyć. Wiele razy zdarzało się, że wchodziła na siódme piętro schodami. Wiele razy ładowała do windy wszystkie okoliczne kubły na śmieci, żeby uruchomić dźwig. Po prostu była za lekka.

Paul! Nie widziałeś, że twoja córka kupuje buty w sklepie dla dzieci, bo ma za małe stopy nawet na kobiecą miarę? Nie zauważyłeś, że w pubie nikt nie chce jej sprzedać nawet piwa? Że nie wpuszczają na film dla dorosłych, zanim nie pokaże jakiegoś dokumentu? Jak ty to sobie wyobrażałeś? Że co? Wchodzi klient do biura i widzi dziewczynę o twarzy aniołka, której nogi majtają w powietrzu, bo siedząc w fotelu, nie sięga stopami podłogi, i... I co powie? „Proszę pani, dostaję anonimy, jacyś bandyci chcą mnie zabić, a pani ma ich zmasakrować w trzy dni!” Paul, jak to sobie wyobrażałeś? Czy naprawdę nie zauważyłeś, że ta twoja baba jest tak potwornym krótkowidzem, że na dziesięć metrów widzi tylko rozmazane plamy?

Toy przygryzła wargi. Odbębniła już rok. Wyszkoliła się. Mydło kradła w ubikacjach na stacjach benzynowych. Naczynia, plastikowe noże i widelce w fast foodach. Pranie nie stanowiło żadnego problemu. Chodziła do pralni w różnych blokach, czekała, aż pojawi się jakaś baba, i kwiliła: „Proszę pani, zapomniałam proszku i tatuś będzie zły...”. Zawsze dostała. A potem prosiła jeszcze o monetę do automatu. Sto procent trafień. Często dostawała jeszcze coś ekstra na oranżadę. Najgorzej radziła sobie z żarciem. Nie kradła już w supermarketach, bo dwa razy ją złapali. Czasem zwinęła coś w małych sklepikach, ale tam też musiała uważać. Usiłowała dorabiać nielegalnym sprzętaniem. Żadnej rejestrowanej, oficjalnej pracy nie mogła podjąć, bo wtedy... żegnajcie miliony. Firma adwokacka była bardzo skrupulatna w kontrolowaniu jej działalności. Ale czasem udało się uszczknąć coś na boku za mycie kibli dwa piętra niżej. Porządkowała papiery w firmie obok. Lecz to już się skończyło. Stary szef, który ją lubił i zawsze dał parę dolców więcej niż się umawiali, odszedł na emeryturę, a do nowej szefowej wołała nie podchodzić bez kija w ręce. Na początku swędziała ją głowa, potem stwierdziła, że płyn do odkażania rąk jest świetnym szamponem. Wchodziła do pierwszego lepszego hotelu, podstawiała foliowy worek pod aplikator w toalecie i wypróżniała cały pojemnik. Gorzej jednak szło z samym myciem. W biurze, gdzie mieszkała, zamontowano tylko umywalkę. Trudno. Traktowała to jak dodatkowe ćwiczenia gimnastyczne. A szlag z tym...

Książek już nie czytała, ponieważ najbliższa bezpłatna biblioteka była kilkanaście kilometrów stąd. Ale miała całe mnóstwo gazet. Karni biznesmeni skrupulatnie wyrzucali wszystkie papiery do specjalnych pojemników i nie musiała nawet gmerać w jakichś ohydnych, organicznych śmieciach.

Paul, tak to sobie wyobrażałeś? Chyba nie. Jeszcze dziewięć lat.

Oparła nogi o parapet i bezmyślnie popatrzyła w okno. A jeśli dostanie raka? I tuż przed wypłatą wywinie orła? A jeśli przejedzie ją samochód? A jeśli cały budynek spłonie razem z nią? A jeśli splajtuje firma, która inwestuje te miliony? Eeeee... nie. Są porządni. Licząc inwestycje, kapitalizację odsetek i takie tam różne, mogła się spodziewać nawet dziesięciu baniek. W wieku trzydziestu lat. Jeśli dożyje. Jeśli spełni warunki. Jeśli nie dostanie AIDS. Spokojnie. To przynajmniej jej nie groziło. Żyła niczym dziewica, odkąd Paul wyciągnął ją z nad krawężnika.

Ktoś dotknął jej ramienia.

Okey.

Zeskoczyła na podłogę. Zwinęła się w kłębek. Przetoczyła pod biurkiem. „Biuurko jest świetnym instrumentem walki – powtarzał zawsze Paul. – Tylko ludzie niepotrzebnie się za nim chowają”. Pewnie! Wskoczyła na blat. I runęła na napastnika z góry.

Paul zawsze powtarzał, że jeśli skoczyć z góry na kogokolwiek, to po prostu nie ma siły, żeby tamten się nie przewrócił. Masa i pęd. Jasne. Tyle tylko, że Paul miał metr dziewięćdziesiąt wzrostu i ważył sto kilo. Toy miała metr sześćdziesiąt i ważyła, ile ważyła.

Facet złapał ją w locie. I spokojnie podniósł do góry tak, że teraz bezradnie machała w powietrzu nogami, usiłując kopnąć go w twarz. Psiakrew! Miał dłuższe ręce niż ona nogi. Ale drażał. Co za goryl popieprzony... Teraz to już mogła mu tylko napluć na głowę. O, żeby go jasna zaraza... Krótka spódniczka podciągnęła się na biodrach, ukazując majtki. Nieustraszony detektyw w akcji! Żenujące...

– Szybka jesteś – mruknął mężczyzna z pewnym nawet podziwem. – Mam cię postawić na biurko czy na podłogę? – spytał.

– Na biurko – warknęła. – Nie chcę, żebyś musiał kucać!

Nie chwycił dowcipu. Postawił ją na blacie. Teraz dopiero miała szansę kopnąć go prosto w splot słoneczny. Świnia! Po prostu złapał ją za stopę i pociągnął tak, że padła na tyłek. Syknęła, masując pośladki.

– Co będzie? – Bolało ją gdzieś w krzyżach. – Morderstwo? Gwałt?

– Nie chciałem cię przestraszyć. Oferuję pracę.

– Aaaaa... – Odruchowo zsunęła kolana razem i obciągnęła spódniczkę. – W takim razie zechce pan spocząć. – Wskazała mu krzesło dla klientów. Raczej nieużywane ostatnio.

Szlag! Okulary! Tkwiły gdzieś w szufladzie biurka. A bez nich była właściwie bezbronna.

– Słucham pana? W czym mogę pomóc? – Przysiadła na fotelu bokiem. Samym skrajem pupy. Nie chciała, żeby widział, że gdy usiądzie normalnie, to jej stopy nie sięgają podłogi.

Zajął miejsce na krześle. Otworzyła szufladę. Ale gnój! Sięgnął szybciej niż ona i wyciągnął colta springfielda wprost spod jej palców.

Uśmiechnęła się. Nałożyła okulary i zacisnęła dłoń na rugerze z krótką lufą przyklejonym taśmą pod blatem.

– Nie wygłupiaj się. – Wymierzył z jej własnego pistoletu. – Odklej to coś i połóż tak, żebym widział.

Posłusznie wyjęła rewolwer spod biurka. Swołocz na krześle sprawiała wrażenie, że strzeli szybciej niż ona.

Pozostała już tylko dubeltówka z obciętą lufą i kolbą w specjalnym uchwycie pod fotelem. Jednak na razie wołała jej nie macać.

– Czym mogę służyć? – usiłowała zakpić, ale wypadło to bardzo blado. Nagle przygryzła wargi. Cholera... Znała go! Z gazet. To... Pat Dante! Jeden z najszlachetniejszych najemników. Na zdjęciach miał jednak zawsze mundur maskujący. Teraz ubrał się w zwykły sweter.

– Dobra... – Dante też się uśmiechnął. – Nie wiem, ile masz tu jeszcze zamontowanych pułapek, a chciałbym porozmawiać bez trzymania cię na muszce. Więc daj mi to... – Nachylił się i ściągnął Toy okulary z nosa. – Wybacz, kotek – mruknął. – W interesach nie rozmawia się, mierząc do siebie nawzajem...

Załatwił ją. Odsunął krzesło aż pod ścianę. Wiedziała, gdzie jest. Mniej więcej. Ale nic poza tym.

– Nie zniszcz ich, jeśli nie zamierzasz mnie zabić od razu – poprosiła. – Nie stać mnie na nowe.

– Wiem – powiedział. – Wyglądasz w nich strasznie seksownie...

– A wiesz, jak fajnie wyglądam w nocnej koszuli?

– Nie kpilj. Marlowe to ty nie jesteś.

Spuściła głowę. Dubeltówka była nabita grubym śrutem. Mogłaby go załatwić nawet bez okularów, ale... Szlag! Strzeli szybciej czy nie? Wyszarpnąć, wymierzyć, pociągnąć za dwa spusty... Jezu! To Dante! Zastrzeli ją zanim sięgnie pod fotel, czy dopiero gdy będzie wyciągać broń?

– Mam dla ciebie robotę – powiedział Dante.

Nagle, tuż przed sobą, zauważyła puszkę z karmą dla kotów, którą niedawno napoczęła. Nie usiłowała wpierać gościowi, że żywi jakieś zwierzęta. Żaden kot raczej nie posługiwałby się widelcem, choćby plastikowym, takim jak ten, który tkwił właśnie wbity w mięso. Poczwała, że ma rumieńce.

– Nie przejmuj się – mruknął Dante. Zauważył. – Żarłem już w życiu gorsze świństwa niż to...

Jakoś tam przełamał lody. Nie ufała mu. Ale wiedziała, że nie jest świnia, tak jak przedstawiały go gazety.

– Mam pojechać na Kubę i obalić reżim?

– Nie rznij Marlowe'a... – Zapalił papierosa. – Kiepsko ci idzie.

– Daj mi – poprosiła.

Zapalił drugiego, podszedł i wetknął jej do ust. Mogłaby go zastrzelić. Mogłaby! Teraz!... Sukinsyn. Wrócił na krzesło, nie odwracając się do niej plecami.

– Zabaweczko... naprawdę chcę ci dać pracę.

Przełknęła ślinę.

– Moje warunki to...

– Dam ci dziesięć tysięcy dolców, jeśli to zrobisz. Plus pensja najemnika.

– Dychę? – wyrwało się Toy mimowolnie. – A co cię powstrzyma, żeby mnie nie zastrzelić, gdy już zrobię to coś? – Przygryzła wargi.

Musiał się uśmiechnąć. Poznała po głosie.

– Z góry wyślę czek na ciebie tej twojej firmie adwokackiej. – Wiedział o niej naprawdę dużo. – Jeśli nie wrócisz... pójdzie na cele dobroczynne. Jeśli wrócisz, to sobie weźmiesz.

– Jeśli tak, to... – tym razem ona się uśmiechnęła – co mnie powstrzyma od zabicia ciebie?

– Moi ludzie – odpowiedział szczerze. – Jeśli do mnie strzelisz, oni nakarmią cię twoimi własnymi piersiami...

Skrzywiła się lekko. Zastrane odruchy. Ciekawe, czy zauważył?

– Powiedziałeś dycha plus... co?

– Wiem, że masz kłopoty ze wzrokiem. Ze słuchem też?

– Plus pensja najemnika?

– Mhm.

– Jezu... Dlaczego ja?

Tym razem roześmiał się na głos.

– Po pierwsze, potrzebuję ślicznej dziewczyny, po drugie, potrzebuję dziewczyny, która nie zśiska się na sam widok jakiejś świni z bronią, po trzecie, potrzebuję byłej prostytutki. Mam nadzieję, że nie masz nic przeciwko daniu dupy facetowi za coś tam?

– Nie – odparła równie bez pardonowo co on. – To chyba lepsze niż kocie konserwy, wiesz?

– Nie wiem. Ale wierzę ci na słowo.

Uśmiechnęła się.

– A teraz szczerze – powiedziała. – Dlaczego ja?

– Bo... – zająknął się. – Szukam dziewczyny... uczciwej.

– Jezu! Znajdź sobie pierdoloną zakonnice.

Przez dłuższą chwilę nie odpowiadał. Potem podrapał się w brodę, słyszała wyraźnie szelest zarostu.

– Pogrzebałem w twoich papierach, Zabaweczko. Pół roku temu umówiłaś się z pewną firmą. Oni mieli ci dawać niby-zlecenia, żebyś wykazywała się przed tą firmą prawniczą. Mieli ci płacić tyle, żebyś mogła dostatnio żyć. A za to... za dziesięć lat... zgarną połowę twojego spadku.

Zagryzła wargi. Skąd gnój tyle wiedział?

– No i? – usiłowała nadrabiać miną.

– No i... – przedrzeźniał ją wyraźnie. – Zrezygnowałaś z tego. Wyraźnie chcesz wypełnić ostatnią wolę Iceberga. – Znowu roześmiał się na głos. – Jesteś głupią idealistką, Toy. I właśnie takiej kretynki potrzebuję. Wstała ostrożnie i podeszła do ekspresu z kawą.

– Chcesz?

– Nie. Dzięki.

Chyba zobaczył barwę płynu w zbiorniku. Nalała sobie filiżankę. Odgryzła czubek tutki z cukrem ukradzonej z jakiegoś pubu i wsypała do kawy. Pomieszała plastikową łyżką. Powoli wróciła za biurko.

– Przecież chciałam ich wyrolować – warknęła.

– Ale coś w tej twojej głupiej głowie cię powstrzymało – mruknął. – I nie były to bynajmniej narkotyki, które ci serwowano przez dwa lata w Sex Side.

– Chcesz ze mnie zrobić komandosa?

Ryknął śmiechem.

– Bez jaj!

– Zdecydowanie będę komandosem bez jaj. – Wskazała na swoje biodra. – Jestem dziewczyną.

– No... To ci się udało – przyznał po dłuższej chwili.

– Co chcesz mi zlecić? – spytała.

– Dowiesz się później.

– Mam się zgodzić w ciemno?

– Nie masz wyjścia, Zabaweczko.

Wstał. To widziała.

– Okulary kładę na krzesło. Znajdziesz?

Wyszedł bez pożegnania.

Pognała do krzesła odstawionego pod ścianę. Namacała colta springfielda i te pieprzone okulary. Kiedy miała je już na nosie, podeszła do drzwi. Psiamać! Powinny przecież zaskrzypieć. Specjalnie nikt ich nie konserwował, żeby ostrzegały o nieproszonych gościach... Zerknęła na zawiasy. Skurwysyn! Naoliwił je z zewnątrz, żeby ją podejść. Teraz będzie musiała nasypać piasku...

* * *

Port lotniczy zlokalizowano na pustyni Mojave tylko dla tych, którzy mieli klimatyzowane samochody. Jeśli ktoś musiał jechać autobusem, jak Toy, mogło mu się wydawać, że jest OK. Do momentu, aż kazali wysiąść i poddać się kontroli. Port był strefą zamkniętą. Dosłownie dwadzieścia minut oczekiwania na wypróżonym przez słońce betonie zamieniło dziewczynę w ociekający potem wrak. Lodowate zimno głównej hali lotniska przywróciło jej trochę przytomności, choć w gruncie rzeczy niewiele.

Jeśli miała nadzieję na przeżycie przygody, to srogo się rozczarowała. Opanowanie portu przez oddział najemników, porwanie wahadłowca, wysadzenie wieży, wspólna walka... Za dużo filmów oglądała w dzieciństwie. Najemnicy, cały pluton, czekali grzecznie w cywilnych ciuchach pod największym zegarem, gdzie wyznaczono miejsce zbiórki. Porozsiadali się na własnych bagażach i w większości spali chyba, albo udawali, że śpią. Cholera... Mało kto miał mniej niż dwa metry wzrostu.

Dante rozbudził ich wyciem.

– Po pierwsze, spóźniłaś się, krowo! – wrzasnęła i chwycił Toy za włosy. – Po drugie, co to jest?!

– Trawa?

– Jedziesz na akcję, krowo! Marsz do fryzjera.

Wyciągnęła dłoń w jego kierunku.

– Nie mam pieniędzy.

Oddział zaczął się śmiać. Dante, klnąc, odliczył kilkanaście dolarów.

– Obetnij na centymetr i... – postanowił się zemścić – przefarbuj na blond!

– Tak jest! – zaszutkowała. – Aha... Te na głowie mogą zostać normalne? – zakpiła.

Jakaś dziewczyna z oddziału zachichotała. Przynajmniej tyle. Pomaszerowała do najbliższego fryzjera. Na szczęście nie musiała czekać, o tej porze w zakładzie nie było nikogo. Czuła się idiotycznie, wychodząc z prawie ogoloną blond głową. Jasne włosy kretyńsko kontrastowały z czarnymi brwiami. A co gorsza, widać teraz było jej tatuaż na karku w całej okazałości.

Oddział na widok Toy zaczął wyc z śmiechu.

– Ty! Na jakim jarmarku ci to zrobili? – Rosła dziewczyna klepała się po karku.

– A mówiłem: nie gwałć jej od razu. – Któryś najemnik szturchnął kolegę. – Baba z Triad, flaki ci wypruje.

Nowy ryk śmiechu.

– Ty, mała... – Wielki, barczysty chłop podniósł się nagle. – Ćwicz mięśnie pochwy. Bo na statku, wiesz...

Najwyraźniej nie wiedział, że przez dwa lata pracowała w Sex Side i naprawdę była własnością Triad. Prywatną własnością. Podeszła do niego, włożyła mu dłoń w spodnie.

– Eeeee... Przecież tatuś mówił, że to coś ma być duże, gdy będą gwałcić...

– Poruszaj palcami. – Tamten usiłował nadrabiać miną.

– Tak? – Ścisnęła mocno.

Znowu ktoś zachichotał. Miała już w oddziale jednego wroga i jednego „być może sprzymierzeńca”. Bijatykę zażegnał Dante.

– Wyjmij mu łapsko z gaci i oddaj broń.

– Jaką broń? – Dała się zaskoczyć.

– Tego twojego colta springfielda...

Oddała mu automatyczny pistolet.

– Rugera też.

Oddała rewolwer.

– No co ty, kurwa, wariata ze mnie strugasz? – ryknął. – Dawaj wszystko!

Oddała dubeltówkę, kastet i nóż sprężynowy. Oddział śmiał się bez przerwy.

– Ty, blond krasnoludek! Ćwicz mięśnie pochwy! – krzyknął ktoś z tyłu. – To ci się niedługo przyda...

– A jeśli o mnie chodzi – dodał inny – ćwicz wargi! Musisz je układać w takie duże „O”...

Ułożyła usta w maleńkie „o”, jakby chciała włożyć do buzi wkład od długopisu.

– Takie wystarczy?

Znowu ktoś zachichotał. Tym razem zauważyła. Ruda, wysoka dziewczyna w dżinsowej kurtce i spódniczce. Przynajmniej jeden „niewróg”.

Dante wściekły zaprowadził ich na odprawę. Musieli oddać swoje bagaże. W przypadku Toy była to tylko torebka z podpaskami, nielegalnym ceramicznym granatem i całkowicie legalnym paralizatorem Reynoldsa. Porcelanowego granatu detektor metalu nie wykrył, znalazła go dopiero celniczka.

– Co to, do cholery, jest? – zapytała grzecznie.

– Zapalniczka. – Toy pokazała, jak wywołać płomień przy zawlecze. Paul był mistrzem w tworzeniu takich mylących cudeniak.

– Aha. Następny!

Miała małą satysfakcję. Ją przepuszczono od razu. Reszta najemników odprawiała się przez parę godzin. Sprawdzano ich w komputerach, pobierano odciski palców, telefonowano do różnych służb bez końca.

Dante musiał mieć mocne wejścia. W sumie z plutonu cofnięto zaledwie cztery osoby i tylko jedną aresztowano.

Wsiedli do promu A&A cholernie spóźnieni. Dante kłął. Stewardesy sarkały. Pozostali pasażerowie grozili telefonami do swoich ubezpieczycieli. Na szczęście pilot miał trochę adrenaliny w żyłach i skrajem korytarza poleciał szybko na Beta3, orbitalną stację należącą do cywilnej sieci Crystal of America. Tu już celniczka, gruba, wredna baba, potraktowała Toy inaczej niż na Ziemi.

– OK. Rozbierz się, łapy na kark, nogi szeroko.

Podeszła do dziewczyny, kiedy ta wykonała rozkaz.

– Ile masz lat?

– Dwadzieścia jeden, proszę pani.

– Nie opowiadaj mi tu bzdur! – rozszczękało się babsko w mundurze kontrolerów. – Wychowałam trzy córki i wiem, że piersi mogą tak sterczeć tylko dziewczynie, która ma siedemnaście, osiemnaście lat.

– Nie wiem, czemu mi ciągle sterczą – mruknęła Toy. – No sterczą i już!

Babsko obeszło ją wokół. Sprawdziło czytnikiem tatuaże na karku i pośladkach.

– Aha... Prawdziwie! Cycki ci sterczą, bo jesteś zanarkotyzowana na śmierć! – Pobrała próbkę krwi. – Zero narkotyków? Jak to możliwe?

– Uwarunkowano mnie.

– I kto wywalił tyle forsy na takiego śmiecia jak ty?

– Mój ojciec.

Babsko wzruszyło ramionami. A potem włożyło gumową rękawicę na prawą dłoń.

– Dobra. Siadaj tu i rozchyl nogi.

Toy wyszła z kontroli celnej, próbując siłą woli pozbawić się rumieńców na twarzy. Niepotrzebnie. Sądząc z wyglądu innych dziewczyn z oddziału, nie tylko jej sprawę potraktowano „dogłębnie”. Ale i tak im lepiej poszło niż mężczyznom. Drażal, który kazał Toy „ćwiczyć mięśnie pochwy”, miał nawet podbite oko.

Ustawiono ich wszystkich pod ścianą, pobrano odciski palców i znowu zaczęła się męcząca procedura sprawdzania w komputerach. Kilka godzin stania w rozkroku z łapskami opartymi o śliską plastikową powierzchnię, kiedy tak strasznie chciało się sikać... W końcu ich puścili. Tym razem nie zatrzymano nikogo. Szlag... Wymęczono pluton już na Ziemi, potem lot, teraz kontrola... Toy nie udało się pierwszej dopaść toalety. Oddział kuksańcami zepchnął ją na sam koniec kolejki. Myślała, że zdechnie, czekając. Nie da się przecież bardziej przycisnąć kolana do kolana.

Zakrętowno ich na „Voyagera”. Zastrane szczęście. Każdy miał swoją koję, lecz toaleta była tylko jedna. Toy usiłowała zasnąć, słuchając niewybrednych dowcipów oddziału, często kierowanych zresztą pod jej adresem. Wiedziała jedno. Bycie najemnikiem we współczesnym świecie to koszmar!

Przespiała lądowanie na Księżycu. I chyba dobrze. Nie zdążyła się uczulić na kolejne stare babsko, które nałożyło gumową rękawicę i rozkazało cichym głosem: „Usiądź tu i nóżki szeroko”... Jezu! Sadystka. Co niby mogła przemycić przez poprzednie kontrole? No... mogła. Na przykład ceramiczny granat. Ale przecież nie w pochwie. I tak powinna dziękować szczęściu. Ta ruda, LeMoy Hutton, miała właśnie miesiączkę. Wyszła z kontroli zmieszana z błotem, zupełnie jakby ją ktoś obił po mordzie i napluł. Traktowano ich niczym bandyckie bydło. Mężczyźni tym razem trzymali się lepiej.

– Słyszałeś, co mu powiedziałem? Słyszałeś? – perorował jeden z najemników. – Nie będzie gnój bezkarnie grzebał w mojej dupie!

Zaprowadzono ich do prywatnej części stacji będącej własnością Moonsunga. Tylko Toy przewróciła się parę razy, nie mogąc sobie poradzić z księżycową grawitacją. Jednak nikt nawet się nie roześmiał. Wściekłość oddziału skupiała się chwilowo na kimś innym.

U Moonsunga dostali swój pierwszy prawdziwy posiłek. Pieprzone frytki, hamburgery i colę. Ale i tak smakowało lepiej niż lepkie gówno, które mogli zećpać na „Voyagerze”. Oddział sarkał, jedynie Toy jadła z apetytem. LeMoy nie tknęła niczego. Jezu... Być na

miejscu tego babska z kontroli i widzieć panią Hutton z karabinem w rękach. Tak! Tak! Tak! Toy życzyła celniczce takiego widoku z całego serca. Oddałyby wszystkie swoje pieniądze na amunicję dla rudej.

Potem rozdano im mundury. I zaczął się horror. Nikt najwyraźniej nie przewidział, że jeden z żołnierzy może mieć metr sześćdziesiąt wzrostu i ważyć raptem czterdzieści pięć kilo. Oddział rechotał, a nawet wył z okrutnej uciechy, kiedy Toy usiłowała przymierzyć najmniejsze spodnie i jakoś w nich nie utonąć. LeMoy, sama wściekła, ucięła jej w końcu nogawki, tuż pod samymi kieszeniami na udach i ściągnęła w pasie sznurkiem. Oryginalny pasek nie miał po prostu tyłu dziurek, żeby można było go zapiąć. Mundurowa bluza sięgała Toy do kolan. Nawet Dante się roześmiał. W zawinięty kilkakrotnie rękaw mogłaby włożyć głowę...

– Ty! Pinokio! – ktoś zakpił. – Najgorsze dopiero przed tobą!

Miał rację. Żołnierze o mało się nie posikali ze śmiechu. Zaczęli przymierzać kombinezony próżniowe. Szlag!

Stary rosyjski sprzęt. Najłatwiej udało się go przemycić do bazy, bo był już na Księżycu, ale... Chryste Panie!

Najmniejszy kobiecy skafander dla rosyjskiego żołnierza przewidywał babę o wzroście minimum metr osiemdziesiąt. Ja cię pieprzę, klęła Toy. Czy wszystkie Rosjanki są takie duże? Gdy włożyła pancerną trumnę, to krok wraz z babską przenośną toaletą miała na wysokości kolan. Nawet nie mogła się ruszyć. Pieprzone ruskie sportsmenki! Wszelkie próby podniesienia tego sznurkami, szelkami i paskami spęzły na niczym. Wołała nie pamiętać uwag i „życzliwych” rad rzucanych przez żołnierzy.

W końcu LeMoy zdenerwowała się wyraźnie.

– Ściągaj spodnie i majtki. – Przyniosła jej najmniejszy z męskich kombinezonów. – Jakby co... sikaj wprost do skafandra.

– Jezu! Co?

Trzy skupione wokół baby, spocone już, bo same w próżniowych kombinezonach, rozebrały Toy od pasa w dół.

– Nic ci się nie stanie. – Jedna z dziewczyn, śliczna ogołona na łyso Murzynka, pomagała jej wkładać męski sprzęt. – Najwyżej będzie chlupotać w butach.

Mężczyźni wyli z radości. A kiedy przymocowała sobie okulary taśmą klejącą do skroni, o mało nie pękli ze śmiechu.

Na szczęście rozdawano broń i to skierowało uwagę oddziału w inną stronę. Ueeee... Stare chińskie P dwa-zero-zero-jeden. Czyli kradziona technologia – tak po prawdzie to ruskie kałachy z igłowymi pociskami plus podwieszane granatniki Winchestera plus chińskie wykonawstwo całości. Humor najemników zwarzył się momentalnie. Ciekawe, ile razy to gównu zatnie się przy pierwszej serii? Dobrze, że przynajmniej oddano im odebraną jeszcze na Ziemi „broń własną”. Chyba przyleciała pocztą dyplomatyczną.

Dante kazał włożyć hełmy. Przez małą służbę kolejno wyszli na zewnątrz. Toy miała wrażenie, że się udusi. Coś było nie tak z ciśnieniem w jej skafandrze. Szlag! Nie umiała rozpoznać rosyjskich bukw na przyciskach. Zastrana cyrylica! Jak się zmniejsza ciśnienie? Nie mogła nawet zobaczyć księżycowego krajobrazu, bo pociemniało jej w oczach. Na szczęście nie tylko ona miała takie kłopoty.

– Ty... – rozległo się w słuchawkach. – Czy „da” znaczy „tak”, czy „nie”?

– A co wdusiłeś?

– Nie wiem! Duszę się!

– Poliz przycisk „escape” – poradził ktoś życzliwy. W próżniowym hełmie rzeczywiście jedyną metodą włączenia czegokolwiek było polizanie odpowiedniego przycisku.

– A jak jest po rosyjsku „escape”?

– Pewnie „spierdalaj”!

– Nie lizać, gnoje, niczego! – Toy rozpoznała głos Dantego. – Bo włączycie raketowe silniki!

– Duszę się!

– Ja też – dodała nieśmiało Toy.

– To wojskowy skafander – mruknęła jedna z kobiet. – Samo się po jakimś czasie wyreguluje...

– Pierdol się! – warknął któryś z mężczyzn. – Ty głupia kurwo!

– Ja też się duszę – dodał ktoś inny.

– Nie szczebrać już! – warknął Dante. – Przyzwyczajcie się.

– Zaraz polizę przycisk „raspierdolic komandira” – zażartował ktoś, nieudolnie naśladowując rosyjski akcent.

– Gdzie masz taki przycisk? – krzyknął ktoś bardziej zdesperowany. – W moim hełmie nie ma!

Najemnicy zaczęli się śmiać.

– Cisza radiowa, pajace! – zawył Dante.

Cisza zapanowała momentalnie. Pat Dante pakował ich grupkami na księżycowe łąziki. Ni cholery... Łazik teoretycznie mieścił cztery osoby plus kierowcę. Praktycznie trzy. Podstawiono cztery łąziki, zatem brakowało minimum pięciu... Pluton przymocował się więc pasami do sprzętu, żeby nie zlecieć na jakimś wyboju.

Toy bardzo chciała podziwiać nierealne obrazy innej planety. Po raz pierwszy w życiu była gdzieś poza Ziemią. Tak prawdę mówiąc, po raz pierwszy była gdzieś poza Los Angeles. Ale nie mogła niczego podziwiać. Po pierwsze, potworne ciśnienie w skafandrze wciskało jej oczy do środka głowy i bolały ją uszy, a po drugie, zepsuła się osłona przeciwsłoneczna. Bała się lizać na oślep oznaczone cyrylicą przyciski, dlatego całą podróż spędziła w kompletnych ciemnościach, ślepiąc oczy na malutki monitor medyczny, który pulsował czerwienią, chcąc chyba pokazać, że nie jest dobrze. Coś tam wypisywał po rosyjsku. Być może instrukcje, jak

wziąć następny oddech. A kto by go, gnoja, zrozumiał.

Myślała, że wytrzyma. Ale nie... Po raz pierwszy zsikała się w ósmej godzinie podróży. Po raz drugi w czternastej. Chwilę później dotarli do bazy.

Jakoś w tłumie dotarła na oślep do ogromnej tym razem śluzy. O mało nie zsikała się po raz trzeci. Teraz z ulgi – ściągając hełm z głowy. Zerknęła tylko na przydzielone im pomieszczenia i pobiegła szukać łazienki. Zamknęła i zablokowała drzwi, a potem... Wylazła nareszcie z tej żelaznej dziewicy! Umyła się błyskawicznie, po czym przez godzinę prała i suszyła w środku swój skafander.

Wróciła do pomieszczeń plutonu po to, żeby się dowiedzieć (rozkaz poparto palnięciem w głowę), że ma przygotować gorący posiłek. Akurat! Znała się na gotowaniu tak samo jak na fizyce teoretycznej. Stała nad małą kuchenką bezradna, żadnych znormalizowanych racji nie było. Otwierała więc konserwy i wrzucała do wielkiego gara. Jezus Maria! Gdzie można by się połączyć z jakąś książką kucharską w sieci? Jednym uchem, drętwiejąc, słuchała zdawkowych uwag rzucanych przez najemników.

– A pamiętasz tego naszego kucharza z Dai Lin? Położyłem mu łapsko na stole, urznałem jeden palec i powiedziałem, że obetnę następny za każdym razem, gdy da jeszcze raz ten syf, co gotował.

– Eeeee... Ja zrobiłem lepiej. Kwitliśmy pod Matabele trzy tygodnie, nie? Podszedłem do kucharza, wziąłem kombinerki i wyrwałem łosiowi dwa przednie zęby na żywca. Mówię, będzie ci się lepiej pluło, mówię, bo to, co dajesz, mówię, to plwociny, mówię, ciulu jeden...

Szlag! Szlag... To tylko dowcipy, uspokajała siebie, choć sama w to nie wierzyła. Zaczęły jej drzeć ręce. Zalała konserwy wodą i wsypała wszystkie przyprawy, jakie znalazła.

To coś było gotowe, jak sądziła, po półgodzinie. Owinęła gar szmatą i postawiła na stole. Lewą ręką namacała rugera w tylnej kieszeni.

– Dawaj, dawaj. – Wielki blondyn nalał sobie pierwszy. Machnął swoją olbrzymią łychą niczym chochlą. – Eeeee... Nawet da się zjeść...

– Dziwne jakieś – powiedziała LeMoy.

– To francuska kuchnia – skłamała Toy, trzymając już prawą dłoń na rękojeści colta springfielda.

– Uwielbiam francuską kuchnię! – Łysa Murzynka rzuciła się następna po swoją porcję. – O kurwa! – Przełknęła pierwszą łyżkę. – Świetne! To jest ten... ta, no... *De Voulangere*? Czy jakoś, kurwa, tak...

– Mhm – mruknęła ostrożnie Toy. Nie miała jeszcze pojęcia, jak smakuje jej potrawa. Najemnicy jednak jedli łapczywie. „Ekstra!”, „Fajne!”, „Może być...” – padały określenia konsumentów. „Dobra, Pinokio będzie kucharzyć!”

Toy spróbowała na samym końcu. Choć jadła w życiu różne świństwa, usiłowała się nie wyrzygać. Dojadła sucharami. Ciekawe, co ugotował facet, któremu wyrwano dwa przednie zęby kombinerkami? Albo ten, któremu ucięto palec?

Potem poszli spać. Toy nie. Nie pozwolili jej. W ciasnym korytarzu dopadło ją dwóch najemników. Miała już w dłoniach swojego colta i rugera, ale tamci byli szybsi. Po prostu unieśli ją w powietrzu, trzymając za ręce tak, że majtała teraz bezradnie nogami.

– Ściągaj majteczki, dziecko – powiedział ten wyższy.

– Niby jak? – Dwuletnia praktyka w Sex Side nauczyła Toy nie bać się mężczyzn. – Przecież trzymacie mnie za łapy.

Spojrzeni na siebie.

– Majtki mają gumkę – zakpiła. – Same nie spadną.

Odebrali jej broń. Rozebrali. Rozstawili nawet nogi.

– Odwalcie się! – To była LeMoy. Stała w korytarzu, lecz nie miała żadnej broni w rękach.

– Daj mi choć jeden powód, żeby nie przelecieć tej pindy! – warknął wyższy z najemników.

– Służę. – LeMoy uśmiechnęła się lekko. – Ta pinda ma w dłoni ceramiczny granat.

Obaj odruchowo odskoczyli.

– Nie zdetonuje... – powiedział niższy.

– Przekonaj się – szepnęła LeMoy. – Normalna czy wariatka? Ale jeśli wariatka... to wszystkich nas szlag trafi!

Obaj spojrzeli na siebie jeszcze raz. Potem na małą dłoń trzymającą granat w ten sposób, że kciuk był wsunięty w zawleczkę. Zwątpili.

– Szykuj się, mała – powiedział wyższy. – Jeszcze z tobą nie skończyliśmy!

Jednak odeszli stosunkowo spokojnie. Jeśli nie liczyć przekleństw.

– Dzięki. – Toy wstała i włożyła spodnie. Podarte majtki wrzuciła do kosza.

– Nie ma za co – mruknęła LeMoy. – Nie chcę ginąć w próżni.

– Fajna jesteś.

– Nie pierdol. – LeMoy ruszyła w kierunku sypialni. – Musisz wiedzieć jedno. Jutro zacznie się dzień sądu ostatecznego. Nikt nic nie wie, nie ma dla nas żadnych instrukcji, Dante wściekły jak zaraza... Jutro nas przeciwiczy tak, że lepiej było się nie urodzić. Wymyśl coś, kotek. Żeby uratować swoją dupę... tym razem od prawdziwego niebezpieczeństwa. Słuchaj... Dante cię jutro zabije nawet za brudny zamek w karabinie.

LeMoy odeszła, kręcąc biodrami. Ciekawe, dlaczego jej nie chciał nikt zgwałcić? Była „swoja”, psiakrew! Nie to, co obcy „Pinokio”... Szajs! Całe zajście odebrało Toy ochotę do spania. Musiała się napić wódki. Wolałaby troszeczkę kokainy, ale Paul uwarunkował ją na sztywno. O mało nie umarła po zabiegu tego pieprzonego lekarza. Zastrany „doktor Hollywood”! Na sam widok „twardych” dostawała amoku, rzygała, robiła pod siebie, wywracało ją na lewą stronę. O mamoo... Troszeczkę kokainy bez wymiotów... Mamoo, proszę cię!

Przebrała się w swoje cywilne ciuchy i poszła do baru. Baza Moonsunga miała kilka

poziomów i parę barów. Odlot. Prawdziwa ziemská restauracja z kelnerami we frakach. Toy zamówiła wódkę i o mało jej nie skręciło przy rachunku, który usłużny kelner przyniósł razem z kieliszkiem. Pięćdziesiąt dolarów za pięćdziesiątkę? Jezu Chryste! Jedna szóstá jej tygodniówki. Teraz zrozumiała, dlaczego nie ma tu żadnego z najemników.

Zdesperowana zamówiła piwo za trzydzieści dolców i rozejrzała się po sali. Paru spitych inżynierów. Jakiś prezes albo ktoś, kto grał ważniaka przy kolacji, dwóch techników mażących coś na serwetkach i stara prostytutka przystawiająca się właśnie do pilota. Wyraźnie nie szło jej dzisiaj. Pilot zostawił ją po paru minutach z rachunkiem do zapłácenia.

Toy wzięła swoje piwo i przysiadła się do stolika tamtej.

– Cześć.

– Lubisz dziewczynki, mała?

– Nie. Jestem koleżanką po fachu.

– Chcesz mi zgarnąć klientów, pindo?

– Spadaj. Jestem „krawężnikiem” z Sex Side...

Stara prostytutka wybałuszyła oczy. Obejrzała kark Toy, roześmiała się.

– Ty... takie coś to robią w każdym wesołym miasteczku. Pokaż tyłek!

Toy westchnęła. Przy tych wszystkich inżynierach, technikach, przy panu Ważnym-Ważnym wypięła się nagle i zsunęła spodnie.

– Ja cię pieprzę! – Stara o mało nie zakrztusiła się własną śliną, widząc tatuaż Triad. – I przeżyłaś?

– Kwestia szczęścia, kotek. – Toy ubrała się i usiadła na fotelu. – Zapłacę ten twój rachunek w zamian za informacje.

– To jakieś sto pięćdziesiąt dolców, mała. Sram to!

– Pomóż mi...

Stara uśmiechnęła się. Zapaliła papierosa. Potem drugiego i podała go Toy.

– Słuchaj, maluszek... Będziesz mi tu tyłkiem bruździć?

– Nie.

– Okey. Idź do burdelu piętro wyżej, powołaj się na mnie i spytaj, która spała z kimś, kto coś wie. – Uśmiechnęła się. – Powodzenia, maluszk!

– Dzięki za fajkę. – Toy wstała szybko.

Zapłaciła za swoje trunki i wyszła na rzęście oświetlony korytarz. Bez trudu odnalazła windę. A potem, piętro wyżej, luksusowy burdel. Zalogowała się przy drzwiach jako klient i weszła do środka. Takiego luksusu nie widziała na Ziemi.

– Panienko... – Od razu opadły ją ze trzy kurwy. – Panienska lubi dziewczyny?

– Chcę zobaczyć szefową.

Od razu zmieniły ton.

– A legitymację masz, pindo?

– Grzecznie pytam.

– Taaa... A konkretnie kto pyta?

– „Krawężnik”, Sex Side, Hollywood, L.A., California, USA.

Prostytutki z burdelu były lepiej przygotowane niż ta w barze. Jedna chwyciła Toy za kark. Druga sprawdziła czytnikiem jej tatuaże. Ten na pośladkach też.

– Ja cię chrzanię – wykrzyknęła z bezbrzeżnym podziwem. – Autentyczny!

– Siksa z Triad? Jak przeżyłaś?

– Chcę gadać z szefową – powtórzyła Toy.

– Jezuuu... No pewnie. Siądź i napij się czegoś, siostró.

Tu przynajmniej nie kazano jej płacić. Napojono najlepszą whisky, jaką kiedykolwiek próbowała. Dobrze, że Paul nie kazał uwarunkować jej na wodę i fajki. Tego już by chyba nie przeżyła. O mamó... Tak strasznie chciała kokainy. Niestety... Wiedziała, że się zrzyga na sam widok. Trzeba było tkwić w swoim biurze i olać te dziesięć tysięcy baksów. Miała odlot na sam widok naćpanych kurew. Cała się trzęsła, telepało nią na wszystkie strony. Tak strasznie chciała. Troszeczkę kokainy. Troszeczkę... O tak mało przecież prosi. W dziaśła! Proszę, Jezu, proszę! Ni cholery. Któraś dziewczyna, widząc, co się dzieje, podetknęła jej biały proszek, a Toy momentalnie zwymiotowała we własne złożone dłonie. Pobiegnęła do ubikacji.

Kiedy wróciła, już umyta, burdelmama tkwiła na posterunku przy barze.

– Jesteś uwarunkowana? – Wyglądała na ubawioną.

– Mhm.

– Kto na ciebie wywalił tyle forsy?

– Mniejsza z tym.

– Dobra, rozbieraj się do naga, wkładaj szpilki... – Burdelmama wyglądała na zachwyconą nowym nabytkiem. – Zobaczą, co mogę dla ciebie zrobić.

– Nie przyszedłam w sprawie pracy.

– A po co?

Jakby tu powiedzieć?

– Chcę się czegoś dowiedzieć...

Burdelmama uśmiechnęła się lekko. Wśród kurw hierarchia była bardziej ścisła niż w wojsku. Ta stara w klasycznej armii byłaby już pułkownikiem. Toy zaledwie sierżantem. Ale... Toy, po swojej służbie w Triadach, byłaby sierżantem elitarnych jednostek spadochronowych. Kimś, kto brał udział w prawdziwej walce. Sierżantem mającym za sobą dwa lata służby na prawdziwym froncie, w ogniu dział przeciwnika, pod prysznicem ich karabinów maszynowych, wśród oparów napalmu, w promieniowaniu bomb atomowych... w przeciwieństwie do pułkownika, który dotąd siedział tylko w sztabie.

Burdelmama wyduła wargi.

– Pytaj, o co chcesz, dziecko. – Uśmiechnęła się ciepło. – My dla ciebie nawet w ogień...

– Przesłano do Moonsunga pluton najemników. Nikt nie wie, po co, co mają robić...

Burdelmama uśmiechnęła się naprawdę miło.

– Którą rznął jakiś wysoko postawiony inżynierek z bazy? – szepnęła do swoich pracownic.

– Tally-Ho! – zaraportowała któraś prostytutka.

– Idź, dziecko, tam, na koniec korytarza. – Zasalutowała młodemu sierżantowi. – Dowiesz się, czego chcesz.

Toy skinęła głową. Boże! Ta piekielna organizacja działała wszędzie. Na Ziemi, na Księżycu, wszędzie. Jako kurwa Triad, jako straceniec, „krawężnik” z Sex Side miała wgląd we wszystko, w co tylko chciała mieć wgląd... Sierżant elitarnych jednostek spadochronowych... Komandos, który cudem przeżył jatkę na polu bitwy. Desperado, przed którym cofały się nawet diabły. Była „swoja” dla wszystkich kurw we wszechświecie. Była „ich”. Była „rekomendowana” przez samobójcze tatuaże. Jak kamikaze w japońskiej armii. Tu była kimś. Dwa lata w Sex Side, dwa lata jako niewolnica Triad. Dwa lata służby liniowej to coś więcej niż pułkownik dekujący się na tyłach! To naprawdę coś. prostytutki rozstępowały się przed nią z szacunkiem, kiedy szła w kierunku korytarza. Gdyby potrafiły, salutowałyby jej z całą pewnością. Liniowy sierżant! Jezu! Z Sex Side! Zabójca diabła. „Nieustraszony pogromca wampirów”. Który cudem jeszcze żyje...

– Tally-Ho? – zawołała Toy.

Otworzyły się najbliższe drzwi.

– Chodź.

Rosła blondynka o niebieskich oczach zaprosiła ją do swojego pokoju. Ksywa idealnie pasowała do dziewczyny. Wyglądała na taką, która może ruszać tylko do ataku. Zwarta, gibka, śliczna, energiczna, mało inteligentna. Była ucieleśnieniem faszystowskich bogów wojny.

– Tally-Ho Vixen – przedstawiła się nazwiskiem, co wśród prostytutek stanowiło wyjątek.

– Toy Iceberg – zrewanżowała się. – Jesteś Szwedką?

– Żydówką – powiedziała blond piękność z niebieskimi oczami. Żywe wcielenie faszystowskich bogów... Zaiste!

– Mam mały problem...

– Chciałabyś się przespać ze mną, malutki „krawężniczku”? – spytała Vixen. Była naprawdę śliczna. – Pewnie sypiałaś z koleżankami w Sex Side...

– W pewnym sensie. Po służbie skuwano nam ręce z tyłu, zakładano kneble i narkotyzowano do oporu. Musiałyśmy spać na brzuchach w dzień, bo wiesz... Żeby widać było łapska, czy niczego nie knujemy. – Uśmiechnęła się smutno. – Spałam z koleżankami w jednym łóżku, ale... nawalona jak szlag. Do niczego nie doszło, kotek.

No tak... Sława liniowego sierżanta! To po prostu było coś! Baba, która przeżyła dwa lata w Sex Side... Tally-Ho tylko przygryzła wargi w niemym podziwieniu.

– Co chcesz wiedzieć, kocurku? Wszystko ci wyśpiewam.

– Przysłano tu pluton najemników. Po co? Co mają zrobić? Kto za tym stoi?

– Firma Moonsung. Wszyscy mają zginąć. – Tally-Ho okazała się szczerą do bólu. – Afera jak szlag. Dziesięć lat temu Moonsung wysłał monstrualną kapsułę do badania innych gwiazd. Przerażliwie wielki walec z kosmonautami, którzy po kilkudziesięciu pokoleniach mieli dotrzeć do jakiejś gwiazdy... Ale coś poszło nie tak. Potworny pojazd miał się pojawić za tysiąc lat albo i więcej. Nie wiem... Moonsung władował w to ponad połowę swojego budżetu. I... *surprise, surprise!* Kapsuła nagle pojawiła się na czytnikach... parę miesięcy temu. A przecież nie mogła wrócić sama z siebie, bo nie miała paliwa, żeby zawrócić w próżni. Mogła tylko okrążyć docelową gwiazdę i *bzzzzzz*, nazad. Ale po tysiącu lat. Oni zamontowali tam takie sprytne urządzenie. Zanim „Vega” nie wpadnie w sidła ziemskich radarów, zgłosi się na monitorach Moonsunga. *Surprise!* To kurewstwo właśnie się zgłosiło.

– Co?

– To wraca, kotek! Ledwie wyruszyło na tysiącletnią misję... A wraca. To gównno jest tuż obok. I te swołoczki z Moonsunga nie wiedzą, co robić. Wynajęli najemników. Gdyby było bardzo źle, najemnicy rozpieprzą to, co jest w środku. A potem do piachu. Ale gdyby nie było tak bardzo źle... Gdyby się okazało, że zyskaliśmy jakąś nową technologię, coś, co pozwala na przykład wracać z tysiącletniej misji po dziesięciu latach, to wtedy... rozda się orderki, a firma Moonsung położy łapsko na technologii. Głównie chodzi o to, żeby zobaczyć, co jest w środku, zanim nie złapią kurewstwa ziemskie radary. A naprawdę, trzeba przejąć to nielegalne urządzenie Moonsunga, które ostrzega o szybszym powrocie i sprawdzić, co się właściwie stało. Jak będzie OK, rozda się orderki. Jak nie, wszyscy do piachu... Poniała, kotek?

– Poniała. Dzięki, lalka.

– Weź nie pierdol. Co teraz robisz, kotek? Naprawdę nie chciałabyś paru babskich numerów?

– Kurde... Nigdy nie spałam z kobietą. Ale... Fajna jesteś.

Vixen przymrużyła oczy.

– Ty jesteś fajna... Zrobiłabym dla ciebie dużo więcej niż ta garść informacji od baranów, którzy mnie dymali...

Toy uśmiechnęła się.

– Tally-Ho... Jesteś naprawdę fajna!

– Kim teraz jesteś?

– Prywatnym detektywem. A chwilowo najemnikiem.

– Ale ci zazdroszczę.

– Nie wygłupiaj się. Chyba że lubisz kocie konserwy. Żarłaś kiedyś coś takiego?

– Nie. Zżarłabym nawet gównno, żeby być najemnikiem.

Toy przygryzła wargi.

– A jakby cię gwałcili... też byś chciała?

- Ryzyko zawodowe, kotek. Dla mnie nie pierwszozna.
- Tally-Ho... Lubię cię, lalka.
- Ja też cię lubię, „krawężnik”... Weź mnie do swojej firmy, gdy się tylko zwolni jakieś miejsce.
- Masz jak w banku.
- No to ekstra... Przynajmniej jakaś perspektywa.
- Tam nie będziesz zarabiać paru setek dziennie...
- Te kocie konserwy... Nie mogą być trujące. Przecież koty to jedzą.

* * *

Dante wył. Dokładnie tak, jak przewidziała LeMoy. Nikt niczego nie wiedział, nie było żadnych instrukcji, dowódcę najemników rozsadało. Dostało się wszystkim. Za wszystko. Zdawało się, że nie można wymyślić zbyt ciężkich kar w pomieszczeniu mniejszym niż buda dla psa, wypełnionym w dodatku przez trzydzieści osób. Można było. Dante to potrafił.

Toy czekała cierpliwie, aż złość szefa wyleje się na nią.

– Ty głupia krowo! – ryknął wreszcie, stając przed dziewczyną. – Karabin wyczyszczony?! Zaraz sprawdzimy. Coś robiła od wczoraj? Dłubałaś w nosie?!

– Dowiedziałam się wszystkiego – mruknęła.

– Co...? – Dał się zaskoczyć. – Co?

– Wiem, po co tu jesteśmy.

Najemnicy spojrzeli na nią zaskoczeni. Dante pokazał, że jest fachowcem. Uspokoił się momentalnie. Usiadł w jedynym fotelu.

– Mów.

– Firma Moonsung wysłała monstrualną, „pokoleniową” kapsułę do jakiejś tam gwiazdy. Miała wrócić po tysiącu lat. Po cichu, w tajemnicy przed rządem zamontowali tam jednak takie sprytne urządzenie. Maciupęńki komputerek, który powie Moonsungowi, że coś jest nie tak, jak być powinno, zanim jeszcze dowie się reszta świata. Kapsuła wystartowała ledwie dziesięć lat temu, ale to sprytne małe coś poinformowało firmę Moonsung, że już wraca!

– Co?

– Wraca. Choć nie mogła zawrócić sama w przestrzeni, to jednak już jest z powrotem. Po tysiącletniej podróży.

– Jezu... Jak to możliwe?

– Nie znam się na fizyce.

– Po co my jesteśmy?

– Mamy polecieć do powracającej „Vegi” zanim znajdzie się w zasięgu ziemskich radarów. Mamy zobaczyć, co się stało. Jeśli będzie bardzo źle, to rozpieprzymy wszystko, co jest w środku. A potem nas zlikwidują. – Uśmiechnęła się, czekając na efekt swych słów, ale

na twarzach najemników nie drgnął żaden mięsień.

– A jeśli będzie OK? – spytał Dante spokojnie.

– Wtedy firma sypnie forszą, żeby nas uciszyć kulturalnie. I położy łapy na nowej technologii.

– Dlaczego najemnicy? Dlaczego nie wojsko?

– Odpowiedź jest prosta. Moonsung bardzo nie chce, żeby rząd się dowiedział, że umieścili tam to małe prywatne sprytne gówienko, które pozwala im wiedzieć o czymś szybciej niż Stanom Zjednoczonym Ameryki Północnej. – Znowu się uśmiechnęła. – Mamy zdemontować to чудо i grzecznie dostarczyć tutaj. A potem zapominamy o sprawie nakarmieni pieniędzmi albo też wiecznie odpoczywając dwa metry pod księżycowym gruntem. Zależy, co się okaże...

Dante zapalił papierosa.

– Daj mi też – poprosiła.

Dał. Najemnicy skamienieli. LeMoy warknęła.

– Czemu nie powiedziałaś, że to twój pies? – Wskazała na Toy.

– Właśnie! – Ktoś podniósł się również. – Czemu nie powiedziałaś, że to twój pies?

– Tośmy się zachowali jak durnie... – mruknął jeden z jej wczorajszych niedoszłych gwałcicieli. – *Sorry*, mała.

– Coście jej zrobili? – zainteresował się Dante.

– Nic. Miała granat. – Wyższy z amatorów seksualnej przemocy podał Toy swoje ogromne łapsko. – Jestem Hot Dog Christiansen – powiedział. – Ten drugi idiota to Yellow Vaskov. Jeszcze raz *sorry*.

– Nie ma sprawy.

Reszta najemników też zaczęła przedstawiać się kolejno. Zdaje się, że nareszcie została zaakceptowana. Toy nachyliła się do LeMoy i spytała szeptem:

– Co to jest „pies”?

– Zwiadowca szczególnego przeznaczenia.

– Zwiadowca? O takim wyglądzie jak mój?

LeMoy wzruszyła ramionami.

– Wy, psy, zawsze wyglądacie dziwnie. – Splunęła od niechcienia na ziemię. – Pamiętam jednego psa spod Rocketfield IV... Wyglądał jak Mongoł. W sensie choroby, nie narodowości. Kompletny kretyn. A gdy nas chcieli uwalić, wyprowadził cały oddział. Psy zawsze są dziwne – powtórzyła.

– Dobra. – Ziewnęła ta śliczna, łysa Murzynka, Bett Mobutu Harris. – Skoro nas mają ubić, to można się przespać...

– Taaaaa... Kar już nie będzie. – Hot Dog przyjacielsko palnął Toy w głowę. – Dzięki, piesek.

* * *

Nudzili się w bazie jeszcze dwie doby. Toy powróciła do zawodu kucharza, choć po awansie na psa nikt tego od niej nie wymagał. Kiedy jednak obiad zrobiła druga Murzynka w oddziale, Bokassa Winter, Toy zrozumiała, dlaczego komuś wyrwano za to dwa zęby, a innemu ucięto palec. Bokassie niczego nie obcięto ani nie wyrwano, bo całe pół dnia siedziała zamknięta w szafie, krzycząc, że wypruje z kałacha do każdego, kto otworzy drzwi. Były pomysły, żeby obłożyć szafę materacami i podpalić albo owinąć folią i wpuścić tam gaz, ale... Toy uratowała tamtej życie, mówiąc, że zrobi następny posiłek. Nie podejrzewała siebie o taki odruch serca, lecz tylko wyszedł jej na korzyść. Wieczorem Winter, gdy już odważyła się wyjść z szafy, wsunęła do plecaka Toy karton fajek. Następnego dnia dostała od oddziału sześciopak piwa.

Życie w bazie mogło być fajne, skoro już nikt nie chciał z niej zedrzeć spodni w ochronne barwy z uciętymi nogawkami i przelecieć w ciemnym korytarzu. Piła to swoje piwo, ćmiła papierosa i usiłowała nie myśleć o kokainie. Na szczęście najemnicy lubili opowiadać o swoich dawnych akcjach. Jeśli tylko ignorowało się przekleństwa zastępujące co drugie słowo, jeśli nie wierzyło się, że jedną serią można załatwić czterdziestu ludzi i że szturmowy helikopter jest niczym w porównaniu z saperską łopatką, to można było z tych mętnych opowieści wyłowić choć cień prawdy.

Trzeciego dnia przyszedł do nich „pan Brown”. Firma Moonsung mogła wymyślić coś bardziej oryginalnego. Choćby „pana Smitha”. Zobaczyli też trzech inżynierów. Wyjaśniono im oględnie, że mają „lecieć w daleką przestrzeń i przejąć duży obiekt”. O szczegółach akcji dowiedzą się „jeśli zajdzie taka konieczność”.

Najemnicy śmiali się ukradkiem, szturchając Toy. Niestety... Znowu musieli nałożyć te pieprzone ruskie skafandry. Załadowano ich do małego wojskowego transportera z demobilu – rzech musiał pamiętać czasy Neila Armstronga. „Złomowisko”, jak błyskawicznie ochrzcili to coś żołnierze, podczepiono do układu pędnego supernowoczesnego Centaura V. Bosko. Cud, że całość nie rozleciała się przy starcie. Przyspieszenie mieli makabryczne. Toy, która zachlapała krwią z nosa szybkę swojego hełmu, należała jedynie do osób „średnio uszkodzonych”.

W drodze „wyjątkowej łaski i dnia litości dla zwierząt”, jak się wyraził Dante, pozwolono jej nawet zdjąć skafander i skorzystać z próżniowej toalety w transporterze. Pozostali mogli jedynie ściągnąć hełmy. To był czysty koszmar. Inżynierowie klęli na czym świat stoi. Ich pojazd z klocków okazał się właściwie monstrualnym zbiornikiem paliwa z przyczepionym mikroskopijnym silnikiem Centaura i dospawanym jeszcze mniejszym „Złomowiskiem”. Tym się nie dało praktycznie kierować. Dysze tego cuda warsztatowej improwizacji nie tkwiły na osi, tylko z boku i trzeba je było przekosić. Ale w tym położeniu grały zbiornik z paliwem, który w każdej chwili mógł się zamienić w dość dużą kulę ognia. Inżynierowie już

pod koniec pierwszego dnia po prostu wyli, usiłując manewrować. Jedyne ciągle przyspieszanie wychodziło im dobrze.

Nocy, która potem nastąpiła, w zasadzie nie można opisać. Nad ranem zaczęli się przyzwyczajać. Nikt nie spał. To zresztą okazało się niemożliwe na drucianych ławeczkach „Złomowiska”, do których przypięli się pasami, żeby nie połamać kończyn. Potem Toy niewiele już pamiętała. Może zapadała w krótkie drzemki, może to były tylko omdlenia? Na pewno majaczyła, bo Yellow krzychał, żeby przestała nazywać go alfonsem. Coś kupowała od LeMoy, bo pamiętała jak przez mgłę, że Hutton, kiedy już przestała wymiotować do plastikowego woreczka, powiedziała, że OK, przywiezie towar we wskazane miejsce, gdy znajdą się z powrotem na Ziemi. Hot Dog chyba miał wódkę, ale nie chciał się podzielić i ktoś go walnął kawałkiem ławki. A może jej się tylko śniło? Sen czy jawa najemnika... to jedna wielka czarna rozpacz.

Potem nastąpiła chwila nieważkości. A potem... hamowanie. Naprawdę niewiele pamiętała. Nie miała pojęcia nawet, jak długo lecieli. Musiała coś jeść w trakcie podróży, bo stwierdziła nagle, że przód kombinezonu ma pochłapany dość miło pachnącą, spożywczą papką.

Kiedy dotarli do celu, Dante pozwolił im się wyspać. Całe pięć godzin w nieważkości. Lewitowali więc, zderzając się nawzajem we wnętrzu „Złomowiska”. Nie tylko Toy miała koszmary. Co chwilę ktoś wierzgał nagle, kopał lub krzychał, budząc pozostałych.

Toy miała wrażenie, że spuchła jej głowa, a pod oczami wyrosły szypułki. Nigdy nie była zdeklarowaną pacyfistką, ale też za żadne skarby nie była militarystką. Teraz jednak, czując totalne zmęczenie, wypluta do granic możliwości, w zepsutym, pomazanym jej własną krwią ruskim skafandrze, troszeczkę rozumiała morderców z My Lai. Gdyby jej teraz, w tym stanie, kazali iść pacyfikować jakąś wieś, toby poszła. Normalnie wykonałaby rozkaz, byleby tylko móc potem położyć się do łóżka, zjeść coś bez wymiotów, umyć się, opanować strach. Żeby jej tylko tak nie drżały ręce, żeby nie szczękały zęby, żeby z całych sił nie musiała zaciskać pośladków. Żeby móc coś zobaczyć mimo piekących oczu...

Kazano im włożyć hełmy i uszczelnić skafandry. Ktoś otworzył drzwi „Złomowiska”. Nie było żadnej śluzy. Powietrze uciekło momentalnie. Przyczepiono ich do liny ciągniętej przez skuter. Czują, że na pewno się zaziębi. Była cała spocona, nie działał regulator temperatury, a skafander znowu przywalił jakieś straszne ciśnienie wewnątrz. Miała zepsutą osłonę przeciwsłoneczną, co oszczędziło jej przynajmniej widoku „kompletnej pustki, gdzie jedyną znajomą rzeczą jest Słońce”, jak ktoś ładnie powiedział. Nie widziała też gigantycznej wirującej powoli konstrukcji przed nimi. Nie mogła oddychać normalnie, kałasznikow chyba przerzynał właśnie linę łączącą ją ze skuterem, trzęsła się ze strachu, zimna i niewyspana. I to ma być życie żołnierza? A gdzie zatykanie flagi na Okinawie?

– Kurwa! – jęknęła.

– Nie szczekać w słuchawki! – ryknął Dante.

– No, ale mała ma rację – dodał ktoś zmęczonym głosem.

– Cisza radiowa!

Skuter w coś rąbnął. O Matko Boska! Trzydzieści osób na linie przypieprzyło kolejno w metalową powierzchnię. Bum, bum, bum... Toy cudem nie zemdląca z bólu.

– Dokujemy – mruknął jakiś inżynier.

Szyba! Szyba w jej hełmie! Pękła!!! Jezu, nie... To tylko ta pieprzona osłona przeciwsłoneczna. Przez utworzoną szparę przynajmniej coś widziała. Nie potrafiła opanować szybkiego oddechu. Nie ona jedyna. Degradator w słuchawkach nie był nastawiony na oddechy i słyszała cały oddział. Bardzo pocieszające. A szczególnie gdy któryś dowcipniś ryknął nagle na cały głos: „Uuuuuuuuuuuuuu!!!”. O mała jej serce nie stanęło ze strachu. Dante sklął idiotę. Nie tylko on... Ktoś chichotał, bo dowcip wydał mu się całkiem, całkiem, ktoś beknął głośno.

– Cisza radiowa.

Jednak ten, co chichotał, nie mógł się uspokoić. Toy o mała nie dołączyła do niego, bo nagle, zupełnie irracjonalnie, wydało jej się strasznie śmieszne, że ktoś ryknął: „Uuuu!!!” w chwilę potem, kiedy wszyscy przyładowali hełmami w stalową płytę w kompletnej próżni.

– Stul pysk! – warknął Dante.

Tamten przestał. W tym momencie Toy ryknęła histerycznym śmiechem. Pociągnęła za sobą jeszcze dwie osoby.

– Zaraz będzie wam mniej wesoło...

Lina szarpnęła nagle i zaczęła ich gdzieś ciągnąć.

– O mamo... – jęknęła jedna z dziewczyn. – Ta pieprzona ruska toaleta w skafandrze...

– Co?

– Właśnie pozbawiła mnie dziewictwa!

Ludzie zawyli ze śmiechu.

– Stulić pyski, bo powyłączam radia!

– Zesrałem się – wyznał ktoś nagle.

– To się ciesz! – warknęła Toy, usiłując nie szczekać za głośno zębami. – Ja nie mogę!

– Ja też bym chciał. Ale nic nie jadłem przez całą podróż...

– Koniec łączności. – Dante spełnił swoją groźbę. Szkoda... Bo przecież tyle wrażeń z doznań fizjologicznych było przed nimi.

Toy miała szczękościsk. Nie mogła otworzyć ust. Jeszcze i to? Walnęła w coś butlami ze sprężonym powietrzem. To też? Zawirowała nagle na linie i jeszcze raz przypieprzyła hełmem w coś metalowego. Słuchawki zawyli nagle w sprężeniu. Ale gwizd! Straciła słuch? Nie, nie... Przestały... Coś ćwierkało w komputerze, lecz nie rozumiała cyrylicy na ekranie. Powiększająca się szczelina w osłonie przeciwsłonecznej... A pierdolić! To przecież tylko osłona. Co tak mruga na ikonie oznaczającej butle z tlenem? Pulsujące, czerwone światło na monitorze na pewno oznaczało, że wszystko jest OK. Jezuuu!!! Ja chcę do domu! Mamo,

ratuj...

Nie, nie... Spokojnie. Wszystko w porządku. Zdezelowany ruski skafander działał przecież równie sprawnie jak... jak... Jak elektrownia w Czarnobylu! Zaraz. No przecież to się nie może rozpaść od byle uderzenia. Mamo! Boże! Wszystko jedno, niech którekolwiek z was wyciągnie mnie z tego gówna.

Ktoś chwycił ją w ramiona. Mama? Czy Bóg? Sekundę, sekundę... Mama nie żyje, a Boga nie ma. Teraz łatwiej uwierzyć, bo ktoś już ją trzymał. Wciągnął do ciemnego pomieszczenia. Przez szczelinę w osłonie widziała światła latarek i szron osiadający na szybie hełmu. Dante włączył radia.

- Ja cię...
- Czy to się da zamknąć?
- Żeby wszystkich oficerów przesrało przez oczy!
- Jakie masz ciśnienie na zewnętrznej?
- W moim skafandrze jest pełno wody.
- Powiedz „bul, bul, bul”...
- Cisza radiowa, pajace!
- Mamo... – to była Toy. Na szczęście szeptem, więc może nie usłyszeli.

Inżynierom udało się wreszcie zamknąć tysiącletnią klapę. Ktoś zapalił racę i znowu wszyscy zaczęli kłać porażeni nadmiarem światła. Na szczęście Toy miała zepsutą osłonę na hełmie i nie oślepla.

- Dobra – rozległ się głos Dantego. – Ściągać garnki z głów.
- Ja cię... Jesteś pewny, że to tlen?
- Zaraz się przekonasz.

Toy rozszczelniła skafander i zdjęła hełm bez dalszych wezwań. Było jej już wszystko jedno. Słyszała syk wyrównywaczy wokół. Mroźne powietrze momentalnie skleiło jej powieki. Usiłowała roztrzeć oczy rękami i połamała sobie rzęsy. Włożyła okulary, których oprawki szybko przymarzły do uszu. Szlag! I w dodatku zaparowały. Zaczęła drzeć jeszcze mocniej. Raca przygasła. Znowu widziała niewyraźne światła latarek.

- Rozbierać się, małpy!
- Powoli ścigali skafandry.
- O Jezu, jak zimno!
- Ma któryś wódek?

Dante o mało nie eksplodował.

– Hot Dog, Slade, Cadillac – na szpicę! Mobutu, Greenie, Maiden – osłona. Bokassa, Chrustschov, Winnie-Winnie – osłaniać nam tyłki! Do przodu, śmiecie zasrane! No co jest, gnoje? Clash! Oouroo! Chciałbym mieć erkaemy trochę bardziej wysunięte. Jeśli, oczywiście, nie są za ciężkie. Jeśli łaska... Jeśli mogę was uprzejmie prosić o ruszenie dupska!

Oddział ruszył momentalnie dość wąskim, ciemnym korytarzem.

– Coffee? Piłeś?

Rosły najemnik zaprzeczył ruchem głowy.

– Maybe Not? Co z twoją latarką, pindo? Nie sprawdziłaś przed wyjściem? Nie chciało się zerknąć na własny sprzęt?! – Dante nagle ryknął głośniej. – Winhie-Winnie! Jeszcze raz mi się potkniesz i w ryj. Czyżbyś nie spał dobrze ostatnio?

Winnie-Winnie powiedział bezgłośnie samymi wargami: „Pierdol się!”, LeMoy ryknęła śmiechem.

Oddział zatrzymał się przed wąskim tunelem prowadzącym do góry. Hot Dog przybiegł z meldunkiem.

– Cadillac melduje, że tam u góry jest siatka, folia i jakieś gówno!

– Kał? – spytał jeden z inżynierów. – Ktoś tam defekował?

– Nie sądzę – mruknął Dante. – Oni tak mówią na wszystko, czego nie są w stanie określić innymi słowami.

Po chwili przybiegł Slade.

– Cadillac mówi, żeby przysłać psa! Wygrzebał dziurę, ale za wąską.

– No co tak stoisz? – ryknął Dante na Toy. – Zapiierdalaj, żołnierzu!

Skołowana dziewczyna pobiegła od razu. Z trudem minęła Clasha, który ledwie zrobił jej przejście. Drągała po prostu zablokowało ze sprzętem w ciasnocie. Dalej było trochę luźniej. Wbiegła na górę po wąskich schodkach i zobaczyła Cadillaca, całego obsypanego ziemią.

– Tędy spływała woda. – Wskazał pordzewiałą wyrwę w suficie. – Podesadzę cię.

Zabrał jej chińskiego kałasznikowa i okulary.

– Hej! Bez nich jestem prawie ślepa!

– Jak każdy zwykły kret – mruknął obojętnie. – Widać do czołgania się w ziemi to zupełnie niepotrzebne...

Owinął okulary w chustkę i włożył do wewnętrznej kieszeni kurtki dziewczyny. Do lewego przedramienia przykleił jej taśmą mały pistolet z prezerwatywą naciągniętą na lufę, a do prawej dłoni wetknął saperską łopatkę.

– Teraz słuchaj: szlag wie, co tam można napotkać. Przeciskając się pod ziemią, będziesz prawie bezbronna. Pokażę ci taki fajny sposób, który poznałem podczas wojny w bunkrach.

Wyjął z kieszeni granat, odbezpieczył i włożył do ust Toy. O mało nie zemdląca.

– Trzymaj mocno łyżkę! – ostrzegł. – Słuchaj, nie wiadomo, co tam spotkasz pod ziemią. A tak, wystarczy, że wyplujesz! – Uśmiechnął się radośnie.

Jej oczy wyrażały nieme pytanie.

– No tak... – przyznał. – Ty też wtedy zginiesz. No, ale lepiej chyba zginąć od razu, niż żeby na przykład coś cię tam powoli zjadało żywcem, nie?

Drżącą ręką roztarta pot na czole. Gestami spytała, co ma zrobić z granatem, gdy już będzie na górze. Wyjaśnił, że ma po prostu wypluć i odrzucić daleko. „A jeśli tam będą jacyś ludzie?” Jezu, jak ciężko rozmawia się samymi gestami... Cadillac jednak zrozumiał.

– Będą mieć pecha. – Uśmiechnął się lekko.

Obwiązał Toy w pasie liną, chwycił leciutko i wepchnął do dziury w suficie. Dłuższą chwilę nie mogła złapać punktu oparcia. Potem wbiła łopatkę. Najemnik na dole popchnął ją jeszcze trochę. Dalej jego ręce nie sięgały. Musiała się czołgać wążutką szczeliną wyżłobioną przez wodę. Ataki klaustrofobii następowały jeden za drugim. Miała wrażenie, że się dusi. Jednak... Jednak pomysł z granatem był świetny. Nie, żeby mogła się obronić przed czymkolwiek, ale to odbezpieczone coś w ustach zdecydowanie dodawało jej motywacji do dalszej drogi. Parła do przodu po omacku niczym prawdziwy kret, właściwie z zamkniętymi oczami, usiłując rozkopać co węższe miejsca albo precyzyjnie przycisnąć się przy użyciu siły woli. Na szczęście warstwa ziemi i skał nie była gruba. Najpierw Toy poczuła przypływ ciepłego powietrza, a potem udało się jej przebić głową warstwę zaschłego błota. Zamknęła oczy, wypłuła granat na dłoń i odrzuciła, chowając się na powrót w dziurze. Sekundę po eksplozji, pozbywając się nadmiaru śliny z ust, wyczołgała się na zewnątrz, odkleiła pistolet z przedramienia, zębami zerwała prezerwatywę z lufy i przeladowała. Potem włożyła okulary. Znajdowała się na dnie wyschniętego bajora. Wokół mgła, trawa, krzaki i drzewa. Zerknęła do góry. O mamó... Czy rzeka może płynąć nad głową?

– W porządku, Toy? – Usłyszała w słuchawkach.

Podjęła mikrofon do ust.

– OK.

– Pytam, czy teren czysty!

Spojrzała na swój ubłocony mundur. Pewnie im chodziło, czy są tu wokół jacyś ludzie. Z tego, co widziała, nie było.

– Czysty – zameldowała.

– To ciągnij linę.

Rozwiązała grube sploty z pasa i zaczęła ciągnąć. Co chwilę się blokowało. Tamci z dołu musieli „kontrciągnąć”, potem znowu ona. Trwało kwadrans zanim zobaczyła swój automat w foliowym worku.

– Już? – Usłyszała w słuchawkach.

– Już.

– Dobra, weź broń i spadaj na sto kroków. Do liny przywiązaliśmy ładunki wybuchowe.

Błyskawicznie rozerwała worek, wyszarpnęła colta springfielda i runęła przed siebie. Świnie! Nie wiadomo, o jaką szybkość ją podejrzewali, ale nie zdążyła przebiec nawet połowy dystansu, kiedy eksplozja za jej plecami wyrzuciła w górę zwały ziemi. Zaczęła kłąć, a potem wróciła do krateru na środku bajora.

Cadillac wspinał się właśnie po metalowej rurze.

– No – ryknął na jej widok. – Teren zabezpieczaj, sikso!

– Te wszystkie psy... – westchnęła Mobutu wchodząca druga – są jakieś dziwne, nie?

– No! – warknął Oouroo, nie mogąc poradzić sobie z erkaemem na śliskiej rurze. –

Maybe Not? Pamiętasz tego psa spod... – Nagle Oouroo osunął się na rurze, zwalając Maybe Not, która szła tuż za nim.

– Daj se spokój ze wspominkami! – Kobieta klęła, masując plecy.

– Ale on walił owce!

– A ja mam okres i ktoś mi każe wspinać się z toną sprzętu na plecach... Oouroo, wpierniczę ci bagnet w dupę, co?

– Spadaj, Maybe Not! – Erkaemista zaczął jednak wciągać się szybciej. – A pamiętasz, jak facet załatwił tego szefa brygady...

Przerwał nagle, bo już na powierzchni Toy przystawiła mu do skroni lufę colta springfielda.

– Nigdy w życiu nie waliłam owiec – wyszczała.

– Pewnie, że nie. – Wzruszył ramionami. – Przecież jesteś dziewczyną.

– Pociągnij spust! Pociągnij spust, piesek! – krzyknęła Maybe Not, gramoląc się na górę. – Zapłacę za gnojka do wspólnej kasy...

– Nie szczebrać! – Następny był Dante. Rozejrzał się wokół. – Nagana, żołnierzu – warknął na Toy. – Nagana, żołnierzu. – Uśmiechnął się do Cadillaca. – Nagana... – opieprzył Mobutu. – Oouroo, chciałbym tu widzieć jakieś zabezpieczenie. Maybe Not, może byś się tak zajęła zwiadem, oczywiście jeśli nie masz akurat w planach wymiany podpasek. Hot Dog, ty „pratiwpołożno” – popisał się znajomością rosyjskiego.

Żołnierze rozbiegli się do swoich zadań. Nakładali w biegu chińskie noktowizory. Nie, żeby było przesadnie ciemno, ale noktowizor dawało się przestawić na podczerwień, a to pozwalało szybko wykryć wszystko, co żyje.

– Pięć obiektów na godzinie szóstej! Jeden obiekt na godzinie czwartej, druga ćwiartka na górze, dużo obiektów na dwunastej, lewo góra, poruszają się... – Posypały się meldunki. Strasznie ciężko było określić położenie we wnętrzu gigantycznego walca.

„Pana Browna” i trzech inżynierów wciągnięto na linie.

– Gdzie teraz? – zapytał Dante.

Jeden z inżynierów usiłował wyzerować żyroskopowy system naprowadzania. Potem niezbyt pewnie wskazał kierunek.

– Dawać mi tu psa!!! – zawyła nagle Maybe Not do mikrofonu. – Dawać tu psa, szybko!!!

Toy ruszyła biegiem, nie czekając na rozkaz dowódcy. Nie wiedziała, co oznacza jej jedna dotychczasowa nagana, ale... chyba nie wysoką premię.

– Niżej łeb! – Opieprzono ją w słuchawkach.

Schyliła się, a potem popęzła przez spore pole dojrzałej pszenicy. Dotarła do Maybe Not i Mobutu leżących przed przydrożnym rowem. Nie wystawiały głów z pszenicy, dla noktowizorów nie była to przeszkoda.

– Kurde. – Mobutu zaczęła montować na twarzy Toy jakieś urządzenie. – Dante jest genialny...

– Jaja se robisz? – warknęła Maybe Not.

– Tylko on mógł skądś wytrzasnąć tego piekielnie dobrze wyszkolonego maluszka. – Palnęła przyjacielsko Toy w głowę. Murzynka miała ze dwa metry wzrostu. Głowa Toy odskoczyła niczym walnięta kafarem.

– Aaaa... tak. Psy to on umie wyszukiwać. – Lekki kuksaniec w wątrobę. Jezu... Maybe Not miała jakiś metr dziewięćdziesiąt i mięśnie jak mężczyzna. Wątroba zaczęła rwać momentalnie. Skąd Dante bierze te wielkie babska?

– OK. Ktoś idzie drogą... – Mobutu skończyła okręcać Toy taśmę wokół głowy. Przykleiła wizjer urządzenia do okularów. – Jesteś mała, więc pójdiesz pierwsza, żeby go nie wystraszyć. Tu w wizjerze będziesz miała wszystkie wykresy. Zobaczysz, czy kłamie, czy się boi, i w ogóle, co z nim...

– No. Zapierdalaj, pies.

Popchnęły Toy obie naraz. O mało nie przeleciała nad rowem.

– Spoko, osłaniamy cię.

Wyszła na drogę.

– Tu Clash – rozległo się w słuchawkach. – Jestem po drugiej stronie, piesku – szepnął uspokajająco. – Powiedz tylko słowo, a rozpylę go na pojedyncze atomy... – zażartował.

Dopiero teraz zauważyła człowieka, o którym mówili tamci. Niezbyt wysoki mężczyzna ubrany w coś, co wydało się Toy długim płaszczem, szedł w jej kierunku. Na ramieniu miał wielki drąg z przyczepionym na końcu kawałkiem metalu w kształcie księżyca w ostatniej kwadrze. Gdzieś już widziała coś takiego... Na jakimś filmie. Nie umiała sobie przypomnieć.

Mężczyzna też ją zauważył. Co najmniej trzy wykresy podskoczyły na maksimum w wizjerze. Strach: 100%. Adrenalina: 100%. Mocznik: 100%. Jeeeezzuu... Facet najwyraźniej wystraszył się do granic możliwości. Uśmiechnęła się, ale niczego nie zobaczył zza jej mikrofonu i tego piekielnego europejskiego urządzenia, które miała przyklejone na twarzy.

Przeładowała kałasznikowa. Drgnął. Puściła broń na pasek i pokazała puste dłonie.

– Spokojnie, maluszek – szeptał Clash w słuchawkach. – Jeśli tylko kichnie, to go rozpylę... Spokojnie, piesku!

Mężczyzna na drodze miał jakieś czterdzieści, czterdzieści pięć lat. Widać było, że jest silny, wytrenowany, niezbyt inteligentny. Nagle drgnęła, bo przypomniała sobie, czym jest... ten drąg z metalowym ostrzem. To kosa!

– Strzelać, piesku? – szepnął Clash.

– Nie.

Zrobiła kilka kroków, ciągle pokazując tamtemu puste dłonie. Wykresy w wizjerze skakały, wyświetlając coraz to nowe wartości. Facet był naprawdę śmiertelnie przerażony.

– Powiedz coś, piesek – szepnęła Mobutu.

– Kim jesteś?

Mężczyzna zrobił ruch, jakby chciał się rzucić do ucieczki.

– Clash! Nie strzelaj! – krzyknęła Toy. – Mobutu, Maybe Not, spokojnie...

Mężczyzna na drodze powiedział coś w śpiewnym języku.

– Nie rozumiem. Znasz angielski?

Powtórzył. Nagle rozpoznała... To był angielski. Dziwny, śpiewny, z akcentem, przy którym trudno wychwycić znaczenie słów. Facet spytał: „Kim jesteś?”. Tak jak ona. Ale się nie rozumieli.

– Jestem Toy – powiedziała wyraźnie i powoli. To było idiotyczne, lecz na nic innego nie wpadła.

– „Zabawka”? – spytał. Równie powoli i wyraźnie. Wychwyciła sens.

– Nie. To tylko ksywa. – Wykresy europejskiego urządzenia pokazały dziewczynie, że facet nic nie rozumie. – Takie imię.

– Cześć, Toy – powiedział.

– Cześć.

Zrobiła krok do przodu.

– Możesz zrobić jeszcze trzy – szepnął Clash w słuchawkach. – Potem wejdiesz mi na linię ognia.

– Ty chłop? – spytał mężczyzna.

– Nie. Baba.

Roześmiał się nagle. Toy słyszała w słuchawkach ciche westchnienie. Któraś, Mobutu albo Maybe Not, o mało nie odpaliła całej serii.

– Pytałem, czy... – usiłował mówić powoli. – Pytałem, czy ty z chłopskiej rodziny...

– Aaaaa... – domyśliła się. Jezu. Chłopi i szlachcice w wielkim walcu wirującym powoli w kosmosie? Wieśniacy z kosami we wnętrzu monstrualnego pojazdu napakowanego najnowszą elektroniką, jaką tylko zna cywilizacja na Ziemi... – Nie. Nie wiem... Jestem żołnierzem.

Mężczyzna ukląkł nagle na drodze.

– Spokojnie, Clash! – warknęła.

– Pani... Co rozkażesz?

– Mmmm... Nie przestrasz się. – Prawie sylabizowała. – Teraz z krzaków wyjdą moi koledzy i koleżanki. Nie ruszaj się lepiej... Oni są trochę zdenerwowani.

Wykresy wykazały, że tamten niewiele zrozumiał. Pierwsi wypadli z krzaków inżynierowie, potem „pan Brown” i, powoli, reszta oddziału. Teren nie został jeszcze rozpoznany ani zabezpieczony.

– Co to jest? – szepnął „pan Brown”.

– Chyba „kto” – sprostował jeden z inżynierów.

– Co tu się stało? – perorował „pan Brown”. – Nie mam pojęcia, jak mogło dojść do czegoś takiego.

Wykresy w europejskim urządzeniu, które Toy miała wciąż przyklejone do twarzy

powiedziały jej, że „pan Brown” kłamał jak najęty. Ale fajna zabawka! Ale jaja!

Dante pieklił się nad żołnierzami. Potem też podszedł do klęczącego chłopca.

– Niczego się chyba nie dowiemy – mruknął. – Nie mam żadnego pomysłu, jak zacząć...

Europejskie wykresy wyświetliły: kłamstwo: 100%! Dante łągał. Ale jaja! Jaka fajna maszynka!

– Co tu się mogło stać? – „Pan Brown” potrząsał głową. – Jestem jak dziecko we mgle...

Kłamstwo: 100%. Adrenalina: 20%. Mocznik: 34%.

– Nie wiem – powiedział Dante.

Kłamstwo: 73%. Adrenalina: 2%. Mocznik: 10%.

– Spróbujmy dotrzeć do komputera – powiedział jeden z inżynierów. – Wiem, gdzie jest.

Prawda: 30%. Adrenalina: 72%. Mocznik: 19%.

– Nie mam pojęcia, jak tu się wykształciło chłopstwo.

„Pan Brown” – Kłamstwo: 100%. Adrenalina: 83%. Mocznik: 67%.

– Ja też nie mam...

Dante – Kłamstwo: 100%. Adrenalina: 3%. Mocznik: 18%.

– Idźmy do komputera.

Znowu Dante – Równowaga: zero-zero. Przekaz neutralny. Adrenalina: 3%. Mocznik: 17%.

– Może przepytajmy tego chłopca? – To jeden z inżynierów. – Może on wie coś, czego ja nie wiem...?

Kłamstwo: 13%. Zdenerwowanie: 54%. Adrenalina: 81%. Mocznik: 50%.

– On nic nie wie.

Dante – Kłamstwo: 100%. Zdenerwowanie: 1%. Adrenalina: 3%. Mocznik: 16%.

– On nic nie wie...

„Pan Brown” – Kłamstwo: 100%. Zdenerwowanie: 67%. Adrenalina: 93%. Mocznik: 68%.

Jakie jajca... Świetna europejska maszynka! Aaaaaaaaaaaaa!!! *Rock 'n' roll.*

– Dante? – rzuciła Toy. – Dlaczego mnie zaangażowałeś?

– Bo jesteś dobra w branży...

Dante – Kłamstwo: 100%. Zdenerwowanie: 2%.

Wykres nagle rośnie... Adrenalina: 39%. Mocznik: 17%.

Zorientował się. Zerknął na LeMoy, a ta zdjęła urządzenie z twarzy Toy i schowała do plecaka. Oddział niczego nie dostrzegł. Jezuuuuuuuu... To ci cudenka europejskiej techniki... Ludzie potrafią wymyślić aż taki odlot? Maszyna sądu ostatecznego. Mała, poręczna, skuteczna, przyklejona do twarzy. Europejska naukowa mafia, która to wyprodukowała, dowiodła, że teraz ludzie jak bogowie... To lepsze niż kokaina!

– Z czego się śmiejesz, Toy?

Zerknęła na Maybe Not.

– Wszyscy tu łąą – usiłowała stanąć na palcach, żeby szepnąć kobiecie do ucha: – jak psy!

Maybe Not zrozumiała nagle. Spowaźniała.

– Trzymaj się mnie, maluszek – mruknęła. – I spokojnie, piesku. Żeby się nie zorientowali, że wiesz.

Podeszła do Mobutu i coś jej cicho powiedziała. Murzynka zerknęła na Toy. Ukradkiem pokazała jej kciuk uniesiony do góry.

Oddział ruszył wzdłuż drogi. Mobutu zatrzymała Bokassę, a ta Clasha i Oouroo. Znaleźli się w środku, tuż przy Toy.

– Piesek coś wywęchał!

– Co? – warknął Oouroo.

– Wszyscy łąą.

– Nie pierwszyczna – mruknął Clash.

– Ale w tej sytuacji? – szepnęła Bokassa. – Zapierdolą nas na amen.

– Dante też?

– Mhm.

– Jezu... Ja cię... No pięknie... – Żołnierze przyjmowali to różnie.

– Dobra! – Pierwszy otrząsnął się Clash. – Pinokio niech wali do szefa i trzyma się blisko. A ty – zwrócił się do Maybe Not – przekaz wszystkim, że nasz pies wywęchał gówno. Pełna gotowość!

– Nie – powiedziała Toy. – Jest tu ktoś, kto nas załatwi, jeśli pokażemy, że wiemy.

– Kto?

– Na mur... LeMoy. Nie wiem, kto jeszcze.

– Pies! Jesteś świetna! – szepnął Oouroo.

– Jest najlepsza – mruknęła Mobutu.

– Jest, zdaje się, naszą ostatnią szansą... – wtrąciła Bokassa.

– Dobra Maybe Not... – powiedział Clash. – Hot Doga jestem pewien. Służyłem z tym ciulem w bunkrach. Za głupi, żeby go ktoś wynajął na nas. Cadillac też pewny. Powiedz tylko im i morda w kubę!

– Dobra... Toy: do szefa, psie – szepnęła Maybe Not. – Musisz węszyć dalej.

Toy pobiegła do przodu. Zrozumiała, że część oddziału pokłada w niej przesadne nadzieje. Jezu... Przecież nie sprostą. Przypadkiem dowiedziała się na księżycowej stacji jakichś tajemnic wyciągniętych od kurw i teraz najemnicy uważają ją za superfachowca. Jezu... Zaraz. Przypadkiem? Naprawdę przypadkiem wyciągnęła takie tajemnice od przygodnej prostytutki? Tally-Ho była pewna. W pewnych kwestiach przecucie Toy nie myliło. Jeśli już kogoś polubiła, tak jak tę śliczną Żydówkę, to nawet bez europejskiej maszyny dnia sądu ostatecznego dałaby sobie uciąć wszystkie palce, że tamta nie kłamała. Więc co? Kto kogo rolował w tej akcji? I o co chodzi? Kto przygodnej dupie zdradza aż takie

sekrety? Inżynier z problemami wzrodu? Pogada od siebie i wyrze przynajmniej wrażenie, jeśli już do niczego nie dojdzie? Możliwe. Ale czy...? Zaraz. Jeśli tamten był tak wysoko postawiony, że znał prawdę, to czy naprawdę papłałby wszystko śliczniuteńkiej Tally-Ho? Aha. Więc o to chodzi, panowie... Toy już wiedziała. Przynajmniej jeden mały drobiazg.

Tally-Ho Vixen była kluczem do wszystkiego. Jeżeli ktoś miał urządzenie, które pozwalało stwierdzić, czy kto inny kłamał, to przecież, szlag, mogli stwierdzić też bez trudu, kogo Toy polubi odruchowo w burdelu. O taaaaaaak. Siksa z Triad miała do spełnienia inne zadanie niż to, o którym wiedziała oficjalnie. No dobra, chłopaki... Tylko się teraz nie dziwcie! Tally-Ho Vixen. Po pierwsze: Toy miała ją polubić, po drugie: uwierzyć, po trzecie: wypłacić. *Jawohl, Herr General*. Wypełniła już wszystko, do czego ją wynajęto. A teraz czekała na nią cicha mogiła dwa metry pod księżycowym gruntem. Pewnie wybiorą ładne miejsce nawet. Gdzieś, gdzie jest prawdziwy spokój. Gdzieś, gdzie nikt nie przychodzi częściej niż raz na tysiąc lat...

Niedoczekanie, sukinsyny. Nie po to przeżyła dwa lata w Sex Side, żeby teraz dać się jakiemuś Moonsungowi. O mamó, jak strasznie chciała kokainy! Troszeczkę kokainy bez wymiotów, błagaaam...

Toy zaczęła się trząść. Telepało ją tak, że nie mogła iść dalej. Moonsung jednak wygra. Była śmieciem. Była nic niewartym gównem. Nie potrafiła myśleć o niczym innym jak tylko o białym proszku. Mamusiu, troszeczkę na dziąsła albo w pochwę, albo w tyłek, choćby nawet w oko, wszystko jedno... troszeczkę! Dajcie mi choć troszeczkę!

Dante podniósł ją za kołnierz.

– Co cię tak telepie, Pinokio?

Rozdygotana nie była w stanie nawet odpowiedzieć.

– Chcesz proszku, mała? – szepnął.

– Tak!!! N... n... nie... nie mogę... – rozpląkała się. – Jestem uwarunkowana...

– Przestań się mazgaić!

Usiłował ją ukryć przed oczami najbliższych żołnierzy. Zapalił papierosa i podał, ale miała tak roztrzęsione ręce, że upuściła na trawę. Podniósł i wetknął do ust Toy. Pozwolił dziewczynie usiąść z boku i objąć rękami kolana.

– Całość stać – rozkazał. – Piesek nam się trochę rozkleił...

Wyszarpnął manierkę i podał Toy łyk wódki.

– B... b... b... bo... jak mnie najjjjjdzie, ttttt...

– Stul pysk i nie szczękaj zębami.

Dał jeszcze łyk wódki. Nie umiała go rozgryźć. Ale nie zaprzętała sobie tym głowy, w której było teraz tylko wyobrażenie białego proszku.

– Dać ci tego syfu? – spytał.

– N... nnnnn... nie... Za... za... za... zabijesz m... m... m... mnie – jąkała się potwornie. Tak strasznie chciała. Wbrew swym słowom, tak strasznie chciała tego białego syfu!

- Długo to będzie trwało? – spytał znowu.
- Ppppp... ppp... pół... godziny... ja... ja... ja... jakieś...
- Jeeezu. Postój – zakomenderował zniecierpliwiony.

Ktoś litościwy nakrył Toy kocem. Żeby nie wszyscy przynajmniej widzieli, jak strasznie się pocila, jak nią szarpało. Dante klął. „Pan Brown” i inżynierowie przyglądali się ze zdziwieniem całej scenie.

- Czy z każdym żołnierzem pan się tak cacka? – spytał „pan Brown”.

– Nie widzisz, co jej jest? – wrzasnął Dante. Wściekły kopnął Toy tak, że się przetoczyła po trawie, zrzucając koc. Zwymiotowała na samą myśl o białym proszku. Ktoś, może Yellow, przykrył ją ponownie. Miała pewnie czterdzieści stopni gorączki. Drżała i pocila się bez przerwy. Kokaina! Błagam! Trochę kokainy... Prosiła o śmierć. Moonsung nie musiał nic robić. Była śmieciem. Była skończona.

Żołnierze wokół odwracali głowy. Niby każdy miał jakieś doświadczenia z narkotykami. Marycha – każdy. Spid – każdy. LSD – co drugi. Kokaina – co drugi. Heroina – co dziesiąty. Ale... doprowadzić się aż do takiego stanu? Nikt z nich nie brał końskich dawek dzień w dzień przez dwa lata... Nikt jej nie rozumiał. Nikt z nich nie miał wypalonego kokainą mózgu, nikt nie miał trwałego w Sex Side wytrzeszczu oczu, nikt nie doświadczył stanu, że przez dwa lata nie można było powiedzieć choć trzech powiązanych ze sobą słów! Kokaina!!! Proszę...

Ktoś wbił Toy w tyłek, przez spodnie, igłę. Poczowała eksplozję w głowie. Benedryna! Kowalskie rozwiązanie. Ulżyło jej. Zwymiotowała. Nowe uczucie ulgi. Wymioty. Przenicowało ją na lewą stronę. Jezu... Wymioty. Czy może jeszcze oddychać? Wymioty. Gorączka skoczyła jej na maksimum. Ile komórek mózgowych zabiła? Ile miliardów? Wymioty. Pierdolone uwarunkowanie! Z taką chęcią zaćpałaby się na śmierć... Moonsung nie musiał niczego robić. Wystarczyłoby ją cudownie odwarunkować i dać dwie garści białego proszku. Zjadłaby wszystko, dziękując na kolanach. Niestety, Paul kazał uwarunkować Toy na sztywno. Narkotyczne dziewictwo albo śmierć. To było nieodwracalne.

– No już, piesek. No już... – Mobutu waliła Toy po twarzy. – Już, piesek. Przechodzi ci. – Jeszcze raz z pięści. – Pinokio, nie symuluj! Wyraźnie ci przechodzi...

– No dobra. Idziemy – rozkazał Dante. Mobutu zarzuciła sobie psa na plecy. Toy chyba zasnęła.

* * *

Obudziła się z bólem głowy. Najwyraźniej miała podpuchnięte lewe oko. Mobutu! Żeby cię jasny szlag trafił! Była naładowana po dziurki w nosie. Pieprzona benedryna! Toy mogła teraz zdobywać cały kosmos. Wiedziała jedno. Gdy to się skończy... Gdy skończy się ten stan euforii, znowu przypomni o sobie stara znajoma... kokainka. Cześć, pani Kokaino, jak my się dobrze znamy, co? Niczym jednojajowe siostry bliźniaczki, prawda? Nie mam nikogo

bliższego niż pani... Ale puść mnie, proszę... Przynajmniej na pół godziny, proszę. Ta młoda, zdrowa siksa, Benzedryna, przepędziła panią stąd teraz! Wiem, że tylko na chwilę. Wiem, że przyjdzie pani znowu. Ale póki co, niech pani Benzedryna posprząta te wszystkie śmieci...

„Jeszcze będę cię miała, Toy, moja wierna kochanko!” – obiecała z bezbrzeżną miłością Królowa Wszystkich Istot, pani Kokaina.

„Pani Benzedryno! Ratuj! – krzyknęła Toy. – Błagam! Ratunku!!! Niech mi pani nie da zrobić nic złego...”

Benzedryna zadziałała niczym stary komandos. Kopnęła Kokainę w dupę tak mocno, że ta szybowała, obracając się w powietrzu.

„No, nie ma sprawy! Nie ma sprawy... Ale moje usługi kosztują... – powiedziała pani major Benzedryna. – Ile masz jeszcze szarych komórek na sprzedaż, Toy? Ile miliardów ci jeszcze zostało?”

„Zapłacę ci! Co do grosza. Tylko niech mnie pani pilnuje, proszę!”

„A kiedy zaczniesz przypominać roślinkę, Toy?” – spytała pani Benzedryna, obciążając na sobie mundur chemicznego komandosa.

* * *

Toy obudziła się z krzykiem. Ktoś zatkał jej usta. Leżeli rozrzućeni na wzgórzach wokół jakiegoś osiedla. Bolały ją oczy. Bolała ją wątroba. Mogła iść zdobywać kosmos. Benzedryna właśnie osiągała maksimum koncentracji w żyłach. Jezus... Dlaczego tak drogo musi płacić? Była napakowana ersatzem narkotyków po same źrenice. Gotowa do akcji, gotowa na śmierć, totalny, ostateczny wojownik bez żadnych wahań, bez złudzeń, bez iluzji. Była maszyną śmierci. Ostatecznym rozwiązaniem wszystkiego. „Kocham cię, pani Benzedryno... Kocham panią!”... Mogła wstać i iść walczyć z diabłem. „Pani Benzedryno, obcowanie z panią jest jak orgazm! Tylko niech pani nie dopuszcza tej drugiej mały Kokainy, proszę...”

„Jeszcze przez chwilę, kotek – powiedziała ciepło Benzedryna. – Jeszcze przez chwilę, mała – powiedział jej chemiczny Anioł Stróż. – Ale pamiętaj, moje usługi kosztują... Są bardzo drogie. Ochronię cię, lecz zapłacisz mi swoimi szarymi komórkami co do grosza, lalczko... Co do grosza, kotek!”

– Naprzód! – ryknął Dante.

Toy rzuciła się pierwsza. Zbiegła na dół z naładowanym kałasznikowem w rękach. O Boże! O najjaśniejsza pani Benzedryno! My dla ciebie nawet w ogień... Czy to samo czuli faceci spod My Lai? Rozpieprzyła kopniakiem drzwi z aluminium i drewna, wpadła do środka, dała serię w sufit i wymierzyła do trzęsących się chłopów klęczących na podłodze. Jezu! Benzedryno! Tak było w My Lai? Mogła ich teraz zabić. Pani Kokaina spoglądała zza węgła. „Już czas, Toy. Już niedługo przyjdę... – syczała. – Gdy pani Benzedryna osłabnie w twoich żyłach”. Jezuuu!!!

Toy kopnęła najbliższego chłopca w twarz. Widząc czerwone fontanny z nosa, zaczęła wyć i kopniakami ustawiać ich pod ścianą. Niech tylko ktoś kichnie! Niech tylko ktoś, kurwa mać, kichnie!!! Pani Kokaina obserwowała akcję spod zmarszczonych brwi. Toy krzyczała tak, że cudem zachowała w całości własne bębniaki w uszach. I co? Ładnie, Kokainko? Mam palec na spuście tego maszynowego gówna! Jak odpierdolę, to tysiąc igieł poszybuje do przodu! A potem chiński granatnik Winchestera! Yea!!!

– Yeeaaa!!! Yeeaaa!!!

– Uspokój się, Toy.

Gdy przycisnę spust, to tu kamień na kamieniu nie zostanie...

– Uspokój się, Toy!

Zerknęła w bok. Dante z LeMoy stali w drzwiach.

– Całkiem ładnie, kotek – szepnął Dante. LeMoy puściła do niej oko. – Tylko nie wykorzystuj ich seksualnie – westchnął szef. – Musisz najpierw przesłuchać.

Pani Kokaina zagłądała przez okno.

– Nazwiska! – ryknęła Toy.

Nie zrozumieli jej. No... dobra! Zaraz zobaczycie, co to tysiąc igłowych pocisków!

Panią Kokainę ktoś odepchnął od okna. Pani Benzedryna poszła na lunch. Jakaś mała dziewczynka spoglądała na nią i płakała.

„Kim ty jesteś?”

„Jestem tobą – szepnęła dziewczynka, łkając. – Taka byś była, gdyby nie pani Kokaina, która zabrała ci mózg”.

Toy poczuła, że coś ją piecze pod powiekami.

„Brzydka pani Kokaina – powiedziała dziewczynka. – Jest brzydka! Brzydka!”

„Ty...”

„Ja jej nie lubię! Ona jest brzydka! – Dziewczynka zasłoniła głowę rękami. – A ty ją kochasz... Ją, nie mnie!”

Toy wciąż widziała podwójnie, ale już nie czuła bezpośredniego wpływu benzedryny. Usiadła na podłodze chałupy wykonanej z aluminium i drewna. Jezu... Jezuuuu... My Lai? Oni to właśnie czuli? Podniosła swojego kałacha i włożyła sobie lufę do ust. Nie będzie taka jak oni! Pani Kokaina bała się podejść bliżej. Wołała z daleka. W końcu Toy miała przecież w rękach chiński igłowy automat Kałasznikowa! Tylko kompletny dureń zaryzykowałby podejście bliżej. No to... cześć, Benzedryno, kłamczuszkę okropny! Teraz!

Mały chłopak wyjął jej lufę z ust. Seria poszła w sufit.

Jezu...

Działanie benzedryny właśnie mijało. Przestała widzieć podwójnie.

Chłopak patrzył ze współczuciem. Jego ojciec na kolanach pod ścianą krwawił z nosa. Jego mama i siostry stały nieruchomo dziko wystraszone.

Chłopak powiedział:

- Pani... Przyszedł żołnierz, chce zrobić coś złego. Muszę cię powstrzymać w imię Boga.
- Jakiego Boga? – Toy była już w miarę przytomna.
- Boga Moonsunga – powiedział poważnie chłopak.

Toy odetchnęła. Wzięła do ust kilka drażetek gumy do żucia. Rzuciła staremu chłopu swój pakiet medyczny. O mamoo... Niewiele brakowało, żeby wypieprzyła sobie serię w usta. Albo żeby pozabijała ich wszystkich tutaj... Wyjęła papierosa i zapaliła. Żuła i zaciągała się szybko. Witaj, Toy, w realnym świecie. Wódki! Szlag. Ale aberracje umysłowe... Przypomniała sobie wszystko, co zaszło przez ostatnią godzinę. Aż tak jej odpieprzyło po głupiej benzedrynie? No ładnie. Uwarunkowanie, uwarunkowanie, uwarunkowanie... Ciekawe, co się stanie, gdy weźmie aspirynę? Uśmiechnęła się do siebie. Pomogła chłopu rozerwać pakiet medyczny i założyła mu opatrunek. Aż tak go załatwiła z jednego kopa? Nooo... ładnie.

– Toy? – Rozległ się okrzyk z za okna. – Jesteś znowu z nami?

– No pewnie! – Wychyliła się z za drzwi z automatem w pogotowiu, a potem wyszła normalnie.

– Ale cię szarpało, piesek. – To była Maybe Not.

– Pieprzona benzedryna. – Toy usiłowała nie dotykać pokładów strachu, które tkwiły gdzieś wewnątrz. – Zawsze mam odpał po tym syfie – skłamała.

– No! Ładnie cię wzięło, małpeczko!

Wolała nie opowiadać, jak niewiele ją dzieliło od wystrzelenia stu igłowych pocisków we własne podniebienie...

Clash, Oouroo, Hot Dog, Cadillac, Mobutu i Bokassa niby przypadkiem zebrali się w pobliżu.

– Nasz piesek znowu w formie? – spytał Clash.

– Chyba już tak...

– No to niech zacznij węszyć!

Toy pamiętała jedną uwagę Paula Iceberga. „Jeśli masz nawet najbardziej durną informację, sprzedaj ją tak, jakby to były plany nowej bomby atomowej”.

– Dobra, coś wam powiem – szepnęła.

– Nic nie mów. Byłaś zamroczona – powiedziała Bokassa.

– Ta...? – Toy zaszalowała z dziką satysfakcją. – Wasz piesek, trzeźwy czy nawalony, zawsze na służbie!

– Co ty pieprzysz?

– Bóg, którego religia tu kwitnie... nazywa się Moonsung.

– Ja cię chrzanię! – Clash aż przysiadł. – Skąd wiesz?!

Obserwowała ich zadowolona.

– Trzeźwy czy nawalony... – powtórzyła. – Piesek zawsze na służbie!

– Ona jest genialna.

– Ja cię pieprzę! Skąd Dante wytrzasnął takiego psa?

– Dobra, dobra... Nie podniecajcie się – szepnęła Mobutu. – Ona jest rzeczywiście świetna. I w związku z tym... teraz wszyscy do ochrony pieska! Potraktujcie to jako rozkaz. Żeby jej włos z głowy nie spadł!

Toy śmiała się w duchu. I niby co znaczyła taka informacja? Nic. To tylko kwestia podania. Paul, byłeś naprawdę genialny. Bogiem jest Moonsung. Jest właśnie godzina jedenasta trzydzieści sześć. Dwie równoważne informacje. Właściwie zerowe. Trzeba ładnie podać jedną z nich... I już cię mają za geniusza. Paul, dzięki, jednak czegoś mnie nauczyłeś.

Znowu padł rozkaz wymarszu. Dante nawet nie zbierał informacji uzyskanych przez własnych żołnierzy. To był koszmar. W gigantycznej kapsule napakowanej najbardziej wymyślnymi rzeczami, jakie stworzyła cywilizacja, żyli ludzie, którzy uprawiali ziemię przy pomocy prymitywnych narzędzi, nie mieli pojęcia o nauce, a nawet o otaczającym ich świecie. Toy podeszła bliżej sztabu.

– Widziałeś te uprawy? – mówił jeden z inżynierów. – Jak oni utrzymują populację, stosując kosy w rolnictwie?

– Kosy to najmniejszy problem. Wydajna pszenica dalej tu rośnie.

– Bez nawozów?

– Bez jaj... Ziemia nawozi się sama. Widziałeś tę folię z rurkami?

– Kurde balans. Mogli nam dać przynajmniej porządne plany.

– A widziałeś te budynki? Ktoś zrobił nawet młyn wodny... – Inżynier załamał rękę. – Olbrzymi reaktor atomowy napędza rzekę tylko po to, żeby ktoś na niej zbudował młyn wodny do wyrobu mąki...

– Zachowajcie, panowie, swoje uwagi dla siebie. – Dante podszedł do Toy. – No i co, pani detektyw? – mruknął. – Byłaś już prawie po drugiej stronie...

– Prawie byłam.

– To ci się często zdarza?

– Raz na kwartał. Czasem raz na miesiąc, gdy się źle odżywiam. Powinnam zreć same witaminy, ale mnie nie stać...

Skinął głową.

– Ta podróż cię tak wykończyła?

– Mhm.

Nawet on nie mógł się pozbyć ciekawości.

– Słuchaj... – Nie wiedział, jak zadać pytanie. – Cały czas myślisz o białym proszku?

– Nie. Daj papierosa, proszę.

Poczęstował ją w marszu. Lecz ciekawość dręczyła go coraz bardziej.

– Raz dziennie?

Nie doczekał się reakcji.

– Myślisz o tym raz na godzinę? Częściej?

Uśmiechnęła się. Przystanąła, żeby zapalić papierosa, i straciła dystans. Musiała potem podbiec. Dante zacisnął wargi. Wyraźnie nie lubił, gdy się nie odpowiada na jego pytania.

– Jak się czuje narkoman na odwyku?

– Nie jestem na odwyku, Dante. Już przez to przeszłam.

– No to jak się czujesz uwarunkowana? Dałabyś sobie to zrobić jeszcze raz?

– Teraz dałabym sobie zrobić. – Uśmiechnęła się znowu. – Ale gdy mnie zaczyna telepać... Wtedy oddałabym życie, żeby mi to cofnęli.

– Uwarunkowania nie da się cofnąć, prawda?

– Nie da się. Narkomanem i nakręcaną kukiełką zostajesz na całe życie.

Dante skinął głową. Dłuższą chwilę siedł w milczeniu.

– Powiedz, Toy, a gdybym ci zrobił zastrzyk z morfiny?

– Zabiłbyś mnie.

– Lepiej napisz sobie to na czole, idiotko – mruknął. – Żeby cię nie dobił byle sanitariusz, gdy zostaniesz ranna... – Wyraźnie jednak był zainteresowany: – I co? Nigdy w życiu nie możesz mieć wyrwanego zęba? Nigdy żadnej operacji?

– Można mi wyrwać ząb, jeśli tylko nie wstrzykną nowokainy. Jest przecież gaz czy elektrostymulator... A operacja... Jedynie pod miejscowym znieczuleniem. – Uśmiechnęła się po raz trzeci. – W grę wchodzi jedynie zamrożenie.

– Poważnie?

– Taaaa... Robią to już w co drugim szpitalu.

– Ale w żadnym wojskowym. – Mrugnął do niej.

– Poważnie? – sparodiowała go.

– Słuchaj, Toy...

Teraz zada to pytanie, dla którego zaczął całą rozmowę. Czują to.

– Powiedz mi... Jesteś po raz pierwszy poza Ziemią. W przedziwnej kapsule przeżywasz historię, o której wszyscy tam na starym lądzie mogliby tylko śnić i... Sprawiasz wrażenie, że cię to nie interesuje. Nawet tak głupi facet jak Hot Dog gapi się bez przerwy wokół, aż myli krok. A ty nie. Dlaczego, Toy?

– Po prostu myślę o czymś innym – odpowiedziała ostrożnie.

– O czym, Toy? – Teraz zobaczyła najemnika, jakim był naprawdę. Twardym, wrednym mężczyzną, który doprowadza sprawy do końca. On też nie rozglądał się wokół.

– O tym, dlaczego mnie wynajęłaś za dziesięć kawałków – wypaliła.

Nawet się nie zmieszał.

– I do czego doszłaś?

– Do niczego – powiedziała szczerze. – Nie wiem, dlaczego wywaliłaś na mnie dziesięć tysięcy dolarów. Ale pachnie mi to ślicznym grobem tuż pod powierzchnią Księżyca...

– Dobra, Toy... Zarób na swój żołądek. – Właśnie dochodzili do pionowej ściany wieńczącej walec i kryjącej aparaturę. – My idziemy po ten pieprzony komputer. Ty weź czterech ludzi i

erkaemistę. Zorganizuj obronę, zabezpiecz teren, musisz nam ułatwić odwrót.

– Kpisz? – Nie miała przecież żadnego doświadczenia wojskowego.

– Ruszaj się, psie!!! – ryknął. – Myślisz, że będę specjalnie dla ciebie powtarzał rozkazy?

– Tak jest! – Zupełnie go nie rozumiała. – Mobutu, Hot Dog, Clash, Maybe Not, Cadillac! Zorganizować zabezpieczenie. – Wyczerpała limit przydzielonych jej ludzi, więc mrugnęła do Bokassy, wskazała na swoje oczy i pokazała na Dantego. Nie zauważył. Murzynka zrozumiała i skinęła głową. „OK” – powiedziała samym ruchem warg. Oouroo też przytaknął.

Rozsypali się wokół, czekając, aż główny oddział odejdzie dalej. Potem skupili się znowu. Nie było sensu okopywania stanowisk. Prymitywni rolnicy mogli ich co najwyżej obrzucić kamieniami.

– I co? – Pierwszy podskoczył Cadillac.

– Ma nas w ręku...

– Jezu... – Mobutu przysiadła na skraju wiejskiej drogi. Takiej normalnej, kamienistej wiejskiej drogi, jaką widać na filmach o Dzikim Zachodzie. Tyle że ta skręcała nagle i wznosiła się wprost nad ich głowy. Tam, gdzie płynęła rzeka. Niby każdy wiedział coś o sile odśrodkowej, lecz fakt, że rzeka była dokładnie nad ich głowami, sprawiał, że każdy chylił się odruchowo, żeby nie oberwać za mocno, kiedy te miliony ton wody zaczną już spadać im na łby.

– Bokassa przypilnuje Dantego, ale... – szepnęła Maybe Not.

– Nie doceniasz tego gościa – mruknęła Toy. – Wypytywał mnie przed chwilą. Coś czai.

– Wymyśl rozwiązanie, pies – warknął Hot Dog. – Bo nas położą we wspólnej mogile.

– Wymyśl, wymyśl... – przedrzeźniała go. – Powiedz, co?!

– Chcesz kokainy?

Momentalnie miała usta pełne śliny.

– Przestań o tym mówić, palancie!

Maybe Not palnęła go w głowę.

– Jeszcze raz mi wymienisz samo słowo „kokaina”... – krzyknęła i zaraz przygryzła wargi, widząc reakcję Toy. – *Sorry*, piesek. Tak mi się głupio wyrwało...

Toy poląła sobie głowę wodą z manierki.

– Co wie Dante? – powiedziała do siebie. – Dlaczego się zgodził na tę akcję?

– Wiesz... – mruknął Cadillac. – Jego to chyba chce zabić co trzeci zleceniodawca po wykonaniu roboty. Ale żadnemu się jeszcze nie udało...

– Fajne pocieszenie. A my?

– Piesek. Dante nie słynie z tego, że zabija własny oddział. Ale... Kurwy mogły sypnąć forsą do oporu...

– Pieprzyć was! – Mobutu zdjęła swój hełm, zsunęła słuchawki na szyję i odgięła mikrofon. Była prześliczna. Była najpiękniejszą Murzynką, jaką Toy widziała w życiu. Choć

ogolona na łyso. – Skąd wiecie, że w tym gównie – wskazała na swoją własną elektronikę wbudowaną we wszystko – nie ma podsłuchu?

– I kto słucha? – uśmiechnęła się Toy. – Sześć? To powinien mieć już roztrzydzieście jaźni.

– Co?

– Rozdwojenie razy piętnaście...

– Nie wiem, czy w wieku dziewiętnastu lat chcę iść do wspólnej mogiły – powiedziała Mobutu. – Kurde... Jeszcze tylu facetów mogłoby mnie przelecieć...

Toy usiadła obok Murzynki i przytuliła się do jej ramienia.

– Nadmiar mógłby ci się nie spodobać – szepnęła. – Siostrze...

Mobutu objęła ją ramieniem.

– To co? Siedzimy tu jak te głupie cipy, siostrzyczko?

– Nie. Spróbujmy gdzieś pójść i zorientować się, o co tu chodzi...

– To przecież złamanie rozkazu o zabezpieczeniu – powiedział Hot Dog przerażony.

– Tak czy tak... przed nami wspólna mogiła na Księżycu – mruknęła Toy. – Będę leżeć tuż koło ciebie, drągalu. Mam nadzieję, że nie chrapiesz po śmierci. – Zaczekała kilka razy, symulując pocałunki w powietrzu.

Maybe Not zachichotała. Clash zaczął się śmiać.

– Lubię was, wy suki! Ale to ja chcę leżeć koło ciebie w grobie, mała!

– No, kurna... – warknęła Mobutu. – Miejsca nie wystarczy od nadmiaru chętnych...

Hot Dog się obraził.

– Jesteś pies – powiedział oficjalnie. – A pies ma wyprowadzić oddział z zagrożenia. Ruszaj głową czy dupą, wszystko jedno. Masz nas z tego wyciągnąć, psie!

– Dobra, kotek. Nawet poćwiczę mięśnie pochwy. – Zakpiła, przypominając mu idiotyczną próbę gwałtu. – Specjalnie dla ciebie.

Był twardy albo głupi. Tylko wzruszył ramionami. Maybe Not chichotała. Mobutu pocałowała Toy w czoło. Clash, zadowolony jak cholera, zapalił papierosa.

– Dobra, Pinokio – mruknął. – Zaczynaj dowodzić, bo ci się wojsko po krzakach rozlezie od nadmiaru inteligencji. – Mrugnął do niej i wskazał na Hot Doga, ale ten najwyraźniej nie zrozumiał.

– OK. Zróbcie zwiad. Znacie się na tym lepiej niż ja.

Cadillac ruszył przodem.

– Czego szukamy?

– Ludzi!

– No, nie ma sprawy. – Cadillac nałożył noktowizor, przełączył na podczerwień i dał parokrotne podbicie. – Tam są. – Wskazał gdzieś w górę, poza pasma gęstej mgły. – Kilkadziesiąt sztuk co najmniej...

Ruszyli w tamtą stronę. Nagle Toy wpadła na pewien pomysł. Pewne fakty zaczęły jakoś

tam łączyć się w jej głowie... Tylko jak to zrealizować?

– Mobutu – zagadnęła dwumetrową Murzynkę. – Dlaczego nie grasz w babskiej drużynie koszykówki? Byłabyś gwiazdą.

Mobutu potrząsnęła głową i splunęła na trawę.

– Grałam... – Wzruszyła ramionami. – Jestem okropną nieudacznicą.

– Nie chrzań.

– No... jestem – wyznała Murzynka jakoś tak miękko. – Nic mi się nie udaje. W szkole wszystkie dupy miały swoich chłopaków, coś już między nimi zaszło, a ja... babski drągal. Tak bardzo chciałam, żeby mnie wreszcie pocałował jakiś chłopak, ale... Najwyżsi, nawet gdyby stanęli na palcach, to mogli co najwyżej pocałować w cycki. Szlag! Zapisali mnie do koszykówki od razu. I biegałam na sali w śmiesznych gaciach i kusej podkoszulce. Pamiętam, jak trener wrzeszczał: „Skup się, idiotko! Aaaaa... I tak do niczego nie dojdiesz!”. Po paru miesiącach i setkach kpin palnęłam go w pysk. Poleciał ze trzy metry do tyłu i... i wywalili mnie ze szkoły. A szlag... Wszystkie koleżanki już chodziły z chłopcami, a ja... ciągle dziewica. Psim swędem zaciągnęłam się do wojska. Tam było nawet fajnie. Ale po trzymiesięcznym szkoleniu okazało się, że nigdzie mnie nie wyślą, bo jestem niewymiarowa jak na babę. Groziła mi dożywotnia kuchnia albo służba w stołówce. Kurde... Na szczęście zjawił się Dante. Potrzebował czarnuchów, bo miał zadanie w Afryce. Gówniane życie. Ale najemnicy przynajmniej mnie szanują... Tu jestem kimś!

– Mobutu...

– Co? Chcesz wiedzieć, czy nadal jestem dziewicą? – Murzynka przygryzła wargi. – No jestem! Mam dziewiętnaście lat i ciągle jestem babskim prawiczkiem! – Znowu splunęła na trawę. – Chyba że mnie rozdziewiczyła ta pieprzona toaleta w ruskim skafandrze...

– Zazdroszczę ci – szepnęła Toy. – Lecz nie o to pytałam.

– A o co?

– Ile masz wzrostu dokładnie?

– Dwa metry osiemnaście.

– A ja mam ledwie metr dziewięćdziesiąt osiem – przerwała im, śmiejąc się, Maybe Not. – I miałam podobne problemy jak Mobutu, chociaż wysokich chłopców nie brakowało. Ale kto chciał chodzić ze „słupem telegraficznym”? Przeleciał mnie dopiero radiotelegrafista na „Thron Warrior”. A ty, Toy?

– Metr sześćdziesiąt. Chłopaki za mną biegały do szaleństwa, bo oni lubią dominować i w tym sensie byłam ideałem. Rozdziewiczona w wieku siedemnastu lat. Skończyło się tak, że Triady zrobiły ze mnie prostytutkę i zarobiłam dla nich krocie... A ty, Hot Dog?

– Metr osiemdziesiąt siedem. Rozprawiczony w wieku trzynastu lat. A potem miałem trzy wyroki za gwałty, ale żaden w USA. – Roześmiał się chrapliwie. – Więc nie siedzę... Ha, ha, ha!

– Sukinsyn – mruknęła Mobutu.

– Przeleciałbym cię, czarny kocurku. – Mrugnął do niej. – Tylko nie wiem, czemu mnie nie lubisz.

– Ja cię przelecę serią z kałacha!

Toy osiągnęła swój pierwszy cel.

– OK – powiedziała. – Tylko bez kłótni. Hot Dog, straż tylna.

Odciągnęła go w tył i odgięła mikrofony. Swój i jego.

– Hot Dog, ty jesteś facet... kurde...

– No!

To był język, który trafiał do tego jełopa.

– Ty, wtedy na Księżycu, w tym korytarzu...

– No?

– Ja bym ci dała dupy, facet.

– To czegoś nie dała?

– No, bo w pobliżu był Yellow. Ciebie lubię, jego nie.

– Noż kur... – O mało się nie zapluł. – Czegoś nie powiedziała? Zdupczyłbym cię w sraczu czy gdzieś na osobności...

– Bo wiesz, Hot Dog, ja już wiem, kto jest nasadzony, żeby nas wiesz... – Przeciągnęła palcem po swojej szyi.

Palnął się w czoło.

– Mobutu! – Tyle jego niewielki mózg mógł z siebie wykrzesać. – Wiedziałem, że nie można ufać tej czarnej!

– Czekał, stary... – Toy łąła jak najęta. – Jeszcze pewności nie mam. Ale między nami jest umowa, co?

– No pewnie. Czekał. – Zatrzymał się na chwilę. – A do buzi mi weźmiesz?

– Masz. Facet... Widziałeś moje tatuże?

– Pewnie.

– No. To pamiętaj. Jakby co, gdy dam znak... bierzesz wszystkich na muszkę.

– Jasne, Toy! Tylko mrugnij!

Mrugnęła odruchowo, lecz na szczęście nawet on zrozumiał, że to jeszcze nie był umówiony sygnał. Pokazał jej język oblizujący wargi. Zrobiła to samo i mrugnęła jeszcze raz, a potem dołączyła do tych z przodu.

– Clash ma żonę! – Śmiała się właśnie Maybe Not. – Ale jaja...

– A Cadillac?

– Cadillac melduje, że tam się toczy jakaś bitwa. – Rozległo się ze szpicy. – Blżej też jakieś skupisko.

– Skupisko czego? – wydyszała Toy zmęczona nawet krótkim biegiem. Niewyspana, przetelepana przez Białą Królową, która wyzarła jej mózg tak, że teraz ciężko się kojarzyło fakty, miała kondycję niczym kurczak na rzeźnickim haku.

– Krów? – zakpił Cadillac. – A może to ichnia giełda?

– Czy... czy trzeba zrobić jakiś szyk, czy coś?

– Trzeba – roześmiała się Mobutu.

– No to... mogłabyś zacząć dowodzić?

– Ciebie Dante wyznaczył.

– To ja... zdaję chwilowo dowództwo tobie.

Mobutu zachichotała.

– Rozsypać się! – Rozkaz po chwili wydała już zupełnie poważnie. – Clash, osłona. Maybe Not, Cadie, do przodu, Hot Dog, Toy, centrum.

Ruszyli powoli z przygotowanymi do strzału chińskimi kałasznikowami. Hot Dog wykonał rozkaz równie sprawnie jak inni, ale mrugnął do Toy i wskazał oczami Murzynkę, a potem przesunął sobie palcem po szyi i zerknął na własną naostrzoną niczym brzytwa saperską łopatkę. Toy wolała tego na razie nie prostować. Miała nadzieję, że do niczego nie dojdzie. Akurat Mobutu, z powodu pewnego durnego faktu, była poza podejrzeniami. Dokładnie tak samo jak Hot Dog – sukinsyn, jełop i grandziarz, jednak z całą pewnością niewinny, jeśli chodzi o misję zapierniczenia ich oddziału.

Gdzieś z daleka, z mgły dochodziły odgłosy walki. Nie, nie... Nie „bum, bum” artylerii, nie „pffffff” napalmu, ani nie „cyk, cyk, cyk” geigerów... Zamiast chrzęstu gąsienic ciężkich czołgów, wycia odrzutowych silników, warkotu rotorów słyszeli stłumione wrzaski i coś jakby odgłosy walenia mieczami o tarcze.

Maybe Not zaczęła się śmiać. Przeładowała swój chiński granatnik Winchestera.

– Ale im damy popalić, jakby co... W szóstkę na trzystu choćby.

– Zamknij się – warknęła Mobutu. Zsunęła na oczy swój noktowizor na podczerwonym podbiciu. – Bliższe skupisko sto metrów. Bitwa... jakiś kilometr. Clash?

– Widzę, widzę, widzę... Pruć?

– Nie. Bierzymy jeńca? – To było najwyraźniej skierowane do Toy.

Dziewczyna nie wiedziała, co powiedzieć. Musiała poznać parę faktów, choć... Nie bardzo wiedziała, co robić. Królowa Kokaina naprawdę wypaliła to i owo w jej głowie i teraz ciężko coś skojarzyć szybko.

– Zobaczmy najpierw.

Szli po obwodzie walca. Powoli zbliżali się do rzeki, która wcześniej płynęła nad ich głowami. Mgła wyraźnie gęstniała. Odgłosy walki cichły.

– Clash, na lewo. – Mobutu wyregulowała ostrość w swoim wizjerze. – Maybe Not, kryj go.

Hot Dog uśmiechnął się do Toy. Wskazał ukradkiem Murzynkę, jeszcze raz przeciągnął sobie palcem po gardle i uniósł kciuk do góry. Cadillac wrzasnął nagle:

– Widzę!

Chwilę później Toy również zobaczyła. Wioska wykonana z aluminiowych odpadów,

jakichś skrzyń, kawałków drewnianych pni i folii. Zbliżali się powoli do tłumu zgromadzonego na centralnym placu.

– Jakies pięćdziesiąt obiektów skupionych na godzinie dwunastej – zaraportował Clash. – Około trzydziestu ruchomych obiektów rozsypanych od godziny dziewiętej do dziesiątej... Nie zbliżają się.

Mobutu uniosła nagle prawą dłoń zwiniętą w pięść i poruszyła nią parę razy do góry i na dół. Najemnicy runęli do przodu biegiem. Toy ledwie nadażała.

Tłum złożony z chłopów rozstępował się przed nimi. Właściwie nie mieli innego wyjścia, choć nie mogli wiedzieć, że Clash tkwi z tyłu gotowy do pozbawienia ich życia w przeciągu kilkunastu sekund. Musieli coś wyczuć instynktownie. Albo też... nigdy w życiu nie widzieli łysej Murzynki zdecydowanie przekraczającej wzrostem dwa metry.

Na środku placu cztery trupy z nożami wbitymi w szyje. W centrum w otoczeniu kilku żołnierzy z mieczami i tarczami leżała dziewczyna w krótkim czarnym płaszczu. Jedną nogę miała przywiązaną do długiego sznura. Lewa ręka była ewidentnie złamana, ktoś po prostu zrobił jej trzeci staw, pomiędzy łokciem a nadgarstkiem. Trzech mężczyzn trzymało widły o dwóch ostrzach założone na szyję leżącej tak, by przycisnąć jej kark do ziemi. Mężczyźni jednak usiłowali się trzymać z tyłu. Leżąca dziewczyna w zdrowej ręce miała jeszcze jeden nóż...

– Stać – powiedziała spokojnie Mobutu. – Kogo sobie wybierasz Toy na języka?

Ktoś z tłumu powiedział coś w tej dziwnej, śpiewnej angielszczyźnie.

– Hej, hej... mówić powoli i wyraźnie. – Toy rozglądała się wokół.

– A wy kim jesteście? – zapytał jeden z tych, którzy mieli tarcze i miecze.

– Żołnierzami – mruknął Cadillac.

– Jeszczem takich nie widział!

– Spoko... Zobaczysz niedługo lepsze rzeczy...

– Jesteście żołnierzami? – Dziewczyna przyszpilona do ziemi ledwie mogła mówić. – Nie spod ich znaku?

– Nie jesteśmy spod ich znaku – wyjaśniła spokojnie Toy zaskoczona rozgrywającą się przed nią sceną.

Dziewczyna na ziemi zawahała się.

– Jestem oficerem. Zakonnica! – Odłożyła nóż trzymany w zdrowej ręce i wyszarpnęła z kieszeni płaszcza świetlistą odznakę. – Oficer prosi o pomoc!

Jeden z mężczyzn usiłował wykorzystać fakt, że tamta jest bez noża, i skoczył do przodu. Pech. Mobutu walnęła go w pysk pięścią. Nie poszybował w tył na trzy metry jak trener koszykówki. Ale... poleciał dość daleko.

– Oficer prosi o wsparcie – powtórzyła dziewczyna. – Pomóżcie mi wykonać zadanie.

Toy usiadła na ziemi obok niej. Nie zamierzała na razie usuwać facetów, którzy trzymali widły. Nie miała swojego pakietu medycznego, więc wyrwała strzykawkę wszytą w kieszeń

swoich wojskowych spodni i zębami zdjęła nasadkę.

– Kim jesteś? – Wbiła igłę w ramię dziewczyny i przycisnęła tłok. Widząc, jak tamta doznaje nagle bezbrzeżnej morfinowej ulgi, jak przestaje ją boleć złamana ręka, jak oczy wypełniają się dziwnym blaskiem, sama o mało co nie dostała odlotu.

Dziewczyna popatrzyła na swój dodatkowy staw w lewej ręce i zdziwiona, że nagle, momentalnie przestało boleć, na Toy.

– Je... jestem oficerem. Zakonnica-porucznik Shainee. Proszę o wsparcie w wykonaniu misji, żołnierzu!

– Żeby wszystkich oficerów przesrało przez oczy – mruknął Cadillac.

– Pokażę ci swój tatuaż zakonny – szepnęła dziewczyna. – Pomóż, błagam!

– A widziałś taki? – Toy roześmiała się i nachyliła, żeby pokazać swój kark.

– O Boże! Nie w ludzkiej mocy zrobić coś takiego... – Dziewczyna usiłowała pochylić głowę, co pod widłami było dość trudne. – Przepraszam, pani oficer! Przepraszam, Matko Przełożona! Zabij mnie za zuchwalstwo...

– Bez jaj... – Toy zerknęła na najemników, czy aby na pewno widzą całą scenę. Mobutu chichotała, Cadillac wył, nawet Hot Dog krzywił swoją dość głupią mordę. Najwyraźniej trójwymiarowe tatuaże Triad nie były tu znane.

– Co się stało? Co się stało? – Słyszeli w słuchawkach Clasha i Maybe Not.

– Nic... – Mobutu nie potrafiła się opanować. – Pinokio została szefem zakonu!

Toy nachyliła się nad leżącą.

– No dobra... pokaż swój.

Dziewczyna usiłowała się przekręcić pod widłami. Zdrową ręką rozpięła płaszcz i rozchyliła poły. Pod spodem miała jakieś elementy wojskowego wyposażenia, pasy, kołczan z bełtami do kuszy, manierkę, odznakę swojego stopnia i... rzeczywiście dość skomplikowany tatuaż nad lewą piersią. Lecz dopiero po rozpięciu płaszcz okazało się, że... dziewczyna jest w zaawansowanej ciąży.

– Szlag! – mruknęła Toy. – Wy dwaj – powiedziała do tych, co trzymali widły. – Spadać.

Nie chcieli puścić przyszpilonej dziewczyny. Mobutu kopnęła jednego z nich. Znowu nie poleciał aż na trzy metry w tył niczym trener koszykówki. Choć po prawdzie to niewiele brakowało do poprawienia rekordu. Drugi uciekł z własnej woli nietknięty.

Shainee, zakonnica i porucznik wstała tylko po to, żeby upaść na twarz przed Toy.

– Ty przestań się wygłupiać, bo mi tu zaraz poronisz...

– Ona powiedziała „porąbiesz”? – Usłyszeli w słuchawkach. – Strzelać?

– Nie, Clash! – Kiedy dziewczyna uklęknęła, Toy położyła dłoń na jej brzuchu. – Który to miesiąc?

– Siódmy, pani!

– I co tu robisz?

Shainee przygryzła wargi.

– To... to tajemnica, pani. Ale chyba Matce Przełożonej mogę powiedzieć...

Toy nie zamierzała wyprowadzać jej z błędu. Pogroziła pięścią chichoczącąj Mobutu.

– Wewnętrzni oblegali twierdzę Wu. Przez ponad rok. Nie mieliśmy już co jeść, kolejne szturmy podchodziły coraz bliżej ostatniej wieży i... Nasz dowódca wiedział, że się nie utrzymamy, on sam był ranny, umierał. I wydał swój ostatni rozkaz.

– Jaki?

– Chciał spełnić wolę założyciela naszego zakonu. Chciał, żeby legenda się dopełniła. Ale zakon właśnie ginął. Nie mogliśmy wypełnić naszego przeznaczenia.

– A co to za przeznaczenie?

– Dotarcie do Drugiego Świata, Matko Przełożona. – Kłęcząca dziewczyna zerknęła na Toy zdziwiona. – To egzamin, pani?

– Eeeee... Mhm. Powiedz, co to za legenda.

– Ojciec Założyciel mówił, że dotrzemy do Drugiego Świata, do Ziemi. Zakon istnieje po to, żeby umacniać wiarę w powodzenie tej misji – recytowała jednym tchem. – Ale nasz dowódca był ostatnim potomkiem Ojca Założyciela w prostej linii.

– A jaki to ma związek z tobą?

– Ja... jestem oficerem, który wykonuje ostatni rozkaz dowódcy.

Toy pokręciła głową.

– I wybrał akurat ciebie? – Uśmiechnęła się. – Słuchaj, czy wszystkie zakonnice nie mają pojęcia o środkach antykoncepcyjnych, czy tylko oficerowie?

Dziewczyna zaczerwieniła się po same czubki uszu. Opuściła głowę zmieszana i zawstydzona.

– Ukarz mnie, pani. Wiem, że zakonnice mają żyć w cnocie do samej śmierci. Każ mnie ściąć, Matko Przełożona!

– Przestań! – Toy dotknęła wielkiego brzucha Shainee. – Ale też nie wpieraj, że to dzieworództwo...

– To jest ostatni rozkaz mojego dowódcy. To jest ostatni potomek założyciela zakonu...

– O kurde... – Toy pokręciła głową w podziw.

Mobutu cmoknęła zachwycona. Maybe Not westchnęła w słuchawkach. Hot Dog tylko splunął. Cadillac machnął ręką.

– Kiedy mi to zrobił – Shainee zerknęła na brzuch – wymknęłam się z obłożonej twierdzy. Moje koleżanki zginęły w szturmie, który odwrócił uwagę oblegających. Uciekałam przez siedem miesięcy, kluczyłam, aż dopadli mnie tutaj... Każ mnie zabić, Matko Przełożona. Wiem, że zakonnicom nie wolno obcować z mężczyznami. Ukarz mnie. Ale... Jeśli zasłużyłam w twych oczach, pani, choć na cień łaski, każ mnie zabić dopiero po tym, gdy urodzę dziecko. Pozwól mi wykonać ostatni rozkaz mojego dowódcy, proszę.

Toy zerknęła na Mobutu. Ta stała z wybałuszonymi oczami. Potem powiedziała bez głosu, samymi wargami, żeby zakonnica nie słyszała: „Oni tu wszyscy dostali fioła!”. Hot

Dog znacząco kręcił palcem kółka na swojej skroni. Cadillac podszedł do jednego z żołnierzy, którzy ich otaczali.

– Przejdźcie! – warknął. – Wycofujemy się. – Odwrócił głowę do swoich.

– Nie wyjdziecie stąd żywi – zagroził żołnierz, wyjmując miecz.

Cadillac prychnął śmiechem. Podniósł broń, chcąc dać serię ostrzegawczą w niebo, ale Toy podskoczyła i chwyciła go za rękę.

– Złotko – wydyszała. – Tu nie ma nieba!

– Co? – Nie zrozumiał.

– Jak odpalisz w górę, to możesz zabić po tamtej stronie walca kupę niewinnych ludzi...

– Chryste! – jęknął. – Mogłem tam wysłać tysiąc pocisków...

Żołnierz z mieczem wybawił ich z kłopotu, gdzie oddać serię ostrzegawczą. Ruszył do przodu, chcąc ściąć Cadillacowi głowę. Ten odpalił krótką serię na wprost. Jakies dwadzieścia plastikowych igiełek przebiło natychmiast aluminiową zbroję i rozprysło się we wnętrzu ciała na maciupęnie perforujące wszystko drobiazgi. Clash kilkoma seriami erkaemu powstrzymał resztę żołnierzy ruszających do ataku. Ci, którzy nie dostali, zaczęli uciekać. Nikt nie zniesie zbyt długo widoku eksplodujących kolegów.

– Jezu... – jęknęła Toy, ocierając cudzą krew z twarzy. Spocone dłonie jedynie rozmazywały czerwone smugi.

Poczuła, że ktoś chwycił ją za nogę.

– Matko Przełożona, wiedziałam... – To Shainee, ciągle na kolanach. – Wiedziałam, że potrafisz sprawiać cuda!

– Ja cię... Dom wariatów. – Toy wyjęła z kieszeni chustkę i trzęsącymi się rękami zaczęła wycierać twarz jeszcze raz. – Idziesz z nami.

– Taaaaak! – Zakonnica-porucznik zerwała się na równe nogi. Błyskawicznie pozbiierała swoje noże, zdrową ręką zarzuciła na ramię maleńki tobołek. A potem zachowała się zupełnie nie po oficersku i nie po zakonnemu. Stała na rozstawionych nogach i bezczelnie pokazała język swoim oprawcom. Niestety, bez większego efektu. Chłopi, którzy ją dręczyli, leżeli twarzami do ziemi, trzęsąc się ze strachu.

– Po co ci ona? – szepnęła Mobutu. – Jako informator?

– Tak – skłamała Toy. – Wygląda na bardziej inteligentną od tych chłopów...

– Się od niej dowiesz... Wszyscy dostali jakiegoś świra.

Toy nie odpowiedziała, ruszając w drogę powrotną do pionowej ściany wieńczącej walec. Nie powiedziała też, że właściwie wie już, co tu się stało i że Shainee jest potrzebna w zupełnie innym celu. Bo dlaczego by nie wykorzystać asa, który niespodziewanie pojawił się w rękawie. Wielkiej korzyści to nie dawało, ale przynajmniej zwalniało od dalszego myślenia i za to Toy była wdzięczna losowi.

Dotarli do punktu, gdzie zostawił ich Dante, zmęczeni i wściekli z powodu durnowatej strzelaniny. Jedynie Shainee wykorzystała postój. Ciągle zdziwiona, że ją nic nie boli,

wyprostowała sobie złamaną rękę na przydrożnym kamieniu. Nastawiła tak jak umiała i zaskoczona brakiem reakcji własnego organizmu zrobiła prowizoryczne łubki z kilkunastu beltów do kuszy oraz wojskowego pasa.

– Niech ktoś jej da apteczkę – warknęła Mobutu. – Nie mogę na to patrzeć!

– Która wie, co robić, gdy baba jest w ciąży? – spytała Toy.

– Nie wiem – mruknęła Maybe Not. – Nigdy nie byłam.

– Tym bardziej ja – westchnęła Mobutu.

– Clash ma żonę – wtrącił się Hot Dog. – Clash, słuchaj... ta twoja łąziła z brzuchem?

– Pewnie. Mam syna.

– I co się wtedy robi?

– Gdy się jest w ciąży? – Clash podniósł się z trawy, na której odpoczywał. – Czekać... No... Chodzi się do ginekologa od czasu do czasu.

– Bez jaj! – Hot Dog dowiedział, że potrafi być dociekliwy. – A w domu co się robi z taką jedną?

– No nie wiem... Ona... Żre wszystko, co jest w lodówce, i już.

Toy nagle zaklęła.

– Macie rację... Shainee – zwróciła się do zakonnicy. – Jesteś głodna?

Dziewczyna skwapliwie przytaknęła. Toy wyjęła z plecaka wojskową konserwę. Uderzeniem pięści w denko zgmiotła chemiczny podgrzewacz, a kiedy po chwili konserwa zaczęła ją parzyć w dłoń, kciukiem zdjęła wieczko i podała ciężarnej. Tamta wyszarpnęła jeden ze swoich noży, wbiła w mięso, odkroiła potężny kawałek i włożyła do ust. Właściwie go nie zjadła... Po prostu pożarła, parząc wargi, język i podniebienie.

– Od jak dawna nie jadłaś niczego ciepłego?

– Od siedmiu miesięcy, pani. – Shainee nie umiała poradzić sobie z następnym kęsem, po prostu wzięła trochę za dużo.

– Ty! – Hot Dog kopnął leżącego Clasha. – Co żrą kobiety w ciąży?

– Wszystko.

– Bez jaj. Co konkretnie?

Clash podrapał się w czoło.

– Chyba piją mleko i wpięprzają truskawki... – Wzruszył ramionami. – Nie wiem.

– Truskawek nie mamy. – Toy wyjęła z plecaka puszkę ze skondensowanym słodzonym mlekiem. Bagnetem wybiła dwie dziurki i podała Shainee. Tamta najpierw powąchała, a potem przytknęła do ust. Piła tak łapczywie, że lepki, biały płyn ciekł jej po brodzie.

– Teraz widzicie, dlaczego ONZ daje pomoc tym, co głodują – powiedziała Maybe Not. – Widok, jak ktoś żre te świństwa, których my nie dalibyśmy nawet psu... można porównać do orgazmu.

Hot Dog o mało nie padł na polankę ze śmiechu. Mobutu zakryła twarz. Clash i Cadillac szturchali się wzajemnie zadowoleni jak zaraza.

– Daj jej jeszcze baton – powiedział Clash. – To naprawdę będzie miała orgazm.

Toy usiłowała zachować powagę. Przynajmniej przez chwilę. Znalazła jednak reklamowany szeroko ociekający czekoladą junkbaton w swoim plecaku i rzuciła zakonnicy.

Shainee powąchała i zjadła razem z papierem.

– Aaaaaaa... – Clash przeturlał się na trawie. – Ale odlot!

– Daj jej podpaskę – ryknął Hot Dog. – Może też zaćpa?!

– Ja cię... – Cadillac nie mógł się uspokoić. – Daj jej smar do kałacha!

Maybe Not chichotała i nie mogła nic powiedzieć. Mobutu uniosła obie ręce do góry.

– Masz kartę kredytową? – krzyknęła. – Może chociaż ugryzie...

Toy przytuliła się do Mobutu, przyciskając plecak do twarzy. Wycia nie dało się opanować.

– Jezu... – Nie potrafiła powstrzymać śmiechu. – Ona jest naprawdę głodna!

– No! – Mobutu też trzęsała się bez opanowania. – Ja cię... ktoś zje te wojskowe gówna!

– Patrzcie! – Clash tkwił na czworakach. – Można to wpierniczyć i przeżyć!

– Ja cię chrzanię. – Maybe Not podskoczyła do zakonnicy i wyszarpnęła z kieszeni garść cukierków. – Masz. Ale zjedz mi z ręki!

Shainee nachyliła się posłusznie i zaczęła jeść z cudzej dłoni.

– Ale jaja!

Toy chichotała z innymi. Zaraz potem przyszło opamiętanie.

– Jezu... Ona jest naprawdę głodna.

Do Maybe Not dotarło to dokładnie w tym samym momencie. Cofnęła rękę, dała Shainee woreczek z cukierkami i odeszła jakaś skrzywiona.

– Nie wpieprzaj folii, idiotko! – krzyknęła nagle zła na siebie.

– Siedem miesięcy bez czegoś ciepłego? – Clash też się opamiętał. – Z dzieckiem w brzuchu?

Przygryzł wargi i przeturlał w stronę zakonnicy swoje dwie konserwy. Widząc, że tamta usiłuje je otworzyć nożem, podszedł bliżej, wziął jedną i uderzeniem pięści rozwalił wyzwalacz chemicznego podgrzewacza. Zerwał kciukiem wieczko i podał dziewczynie.

– Masz, idiotko... – mruknął, usiłując unikać wzroku innych. – Nażryj się wreszcie do oporu.

– Nie tyle naraz – zauważył Hot Dog. – Bo ją przesra...

Toy było wstyd tak jak innym. Nie chciała patrzeć, jak dziewczyna je kolejną wojskową konserwę z uczuciem takiej ulgi, jakby okazało się, że jej kochankiem jest sam Rudolf Valentino. Trzymała puszkę między udami i podnosiła nożem tak wielkie porcje, jakie tylko mogła wsadzić do ust. Mobutu trzymała głowę między własnymi kolanami. Cadillac usiłował patrzeć gdzie indziej. Clash w ogóle zamknął oczy. Cisza przedłużała się nieznośnie. Szlag! Najpierw ta kretyńska strzelanina, kilka niepotrzebnych nikomu trupów, adrenalina, zdenerwowanie i... takie zmieszanie z błotem tej biednej głodnej dupy.

– Dante nadchodzi – rzuciła Mobutu, patrząc na rejestrator radiowy. – Za pół godziny będą tutaj.

Toy zagryzła wargi. Trudno... Musi to zrobić. Wstała lekko i podeszła do Hot Doga.

– Widzisz? Co to za krzak? – Odciągnęła go na bok, zdejmując jednocześnie swoje słuchawki i mikrofon. Nie był aż tak strasznie głupi, jak się mogło wydawać. Domyślił się. Zdjął swoje radio również.

– Już? – szepnął.

– Mhm.

Ukradkiem przeładował swojego kałacha. Potem odwrócił się błyskawicznie.

– Nie ruszać się! – ryknął. – Muszę widzieć wasze łapska, gnoje!

– Ty... – Clash ledwie otworzył jedno oko. – Odbiło ci?

– Nie ruszać się! – Hot Dog runął do przodu i kopnął Clasha w głowę. – Łapska! Muszę widzieć wasze łapska!

Nie ruszali się. Ale też nie rozumieli i nie spełniali poleceń. Dopiero gdy z tyłu podeszła Toy z przeładowanym kałasznikowem, dotarło do nich, że to nie są dowcipy.

– Ty...

– Nie ruszać się! – Hot Dog wykopywał ich automaty poza zasięg rąk. – Dobra, kotki – powiedział po chwili. – Nogi szeroko, łapy szeroko, kłaść się na brzuchach! Nie wiem, co tam macie poukrywane w kieszeniach...

Clash, Cadillac, Maybe Not i Mobutu spełnili rozkaz. Shainee też chciała, ale Toy powstrzymała ją ruchem ręki.

– O co chodzi, świnię? – warknęła Maybe Not.

– Hot Dog, zwiąż ją – rozkazała Toy. – I za... za...

– „Za”? Co z nią zrobić?

Toy nie była w stanie wypowiedzieć tego słowa. Jezu...

– Zaknebluj!

O mamó. Sama miała w ustach wojskowy czy policyjny knebel dzień w dzień przez dwa lata. Leżała z tym świństwem w ustach przez prawie osiemset dni. Pracowała w nocy, w dzień alfonsi kładli je do łóżek, kneblowali, skuwali ręce na plecach. Przez kilkanaście godzin dziennie trzeba było leżeć nieruchomo na brzuchu, w łóżku z trzema, czterema, nawet pięcioma koleżankami. Knebel. Na filmach pokazuje się to tak ładnie. Piękna aktorka ma w ustach szmatkę przewiązaną drugą szmatką. Wystarczy wypluć...

Usiłowała nie patrzeć, jak Hot Dog wkłada Maybe Not do ust niewielką kulkę, zakłada uprząż na głowę, a potem naciska wyzwalacz. Kulka w ustach dziewczyny eksplodowała natychmiast, powiększając się do rozmiarów dużej gruszki. Szczęki rozwarte na maksimum, zęby ślizgające się na plastiku i ślina, która od razu zaczęła spływać po brodzie.

– Ukryj ją w krzakach, tak żeby nikt nie widział. Hot Dog pociągnął związaną Maybe Not w kierunku zarośli.

– Mobutu – powiedziała Toy, mierząc do niej z automatu. – Rozbieraj się.

– Ty suko...

– Zrób to, kotek. To dla twojego dobra.

– Jak cię dopadnę...

Hot Dog wrócił biegiem.

– Masz kłopoty ze słuchem?! – wrzasnął. – Rozbieraj się, suko!

– Wy świnię...

Murzynka podniosła się powoli. Zrzuciła swój plecak, odpięła rzepy kamizelki przeciwodłamkowej. Rozsznurowała i zdjęła buty, skarpetki. Zdjęła spodnie, bluzę i podkoszulkę.

– No dalej! – ryknął Hot Dog. – Przynajmniej się nie spocisz przy kopaniu sobie grobu!

– Nie całkiem o to chodzi – usiłowała go uspokoić Toy.

– Wy świnię! – powtórzyła Mobutu. Zagryzając wargi, zdjęła stanik i majtki. Usiłowała zasłonić się dłońmi. – Chcecie mnie zastrzelić... – westchnęła ciężko. – Dlaczego na golasa?

Ależ była piękna... OK. I o to chodziło. O to chodziło, mniej więcej.

– Dobra, zbierz swoje ciuchy i rzuć Shainee.

– Co ja wam zrobiłam? – Mobutu spełniła rozkaz.

– Ty się zaraz dowiesz – warknął Hot Dog. – Zaraz się dowiesz.

– Nie, Hot Dog – usiłowała go wyprostować Toy. – Akurat jej możemy ufać.

– Co?!

Mobutu też patrzyła rozszerzonymi ze zdziwienia oczami.

– OK. Kotku, rozkrok, klęknij i ręce za głowę.

Murzynka puściła taką wiązkę przekleństw, że Toy odruchowo się cofnęła. Wykonała jednak rozkaz.

– Ty świnię! Wszystko mi widać... Jak mnie nie zastrzelisz teraz, to cię potnę na paseczki!

– Dobra. Shainee, przebieraj się w te ciuchy. Wiem, że jesteś za mała i utoniesz. Wypchaj wolne miejsca kocami, zwiń się w kłębek i udawaj kupkę nieszczęścia. – Toy odwróciła się do swojego współpiskowca. – Jaka rana wymaga owinięcia ofiary kocami?

– Postrzał w brzuch – mruknął Hot Dog. – Zawsze takiemu zimno się robi...

– OK. Shainee, będziesz udawać, że dostałaś w brzuch. Musisz się trochę trząść. Przykryję cię, żeby nie było widać, ale bądź gotowa. Musisz wykonać mój rozkaz potem.

– Tak jest, Matko Przełożona.

Rzeczywiście utonęła w odzieży Mobutu. Ale nie o to chodziło, żeby sprawnie biegała. Toy nakryła ją kocem, nałożyła wielki hełm i przykryła siatką maskującą.

– Zaraz będzie reszta oddziału – zauważył Hot Dog. Gapił się bez przerwy na nagą, klęczącą na rozstawionych kolanach Murzynkę z rękami za głowę. – Ale fajna... Dasz mi ją przelecieć przed egzekucją?

– I o to właśnie chodzi – powiedziała. – Żeby wszyscy gapili się na nią, a nie na tę kupę nieszczęścia. – Wskazała okutaną zakonnicę.

Dante z resztą oddziału transportującą komputer Moonsunga zjawił się kilkanaście minut potem.

– Czemu ta pinda jest goła? – wrzasnął na przywitanie.

– Strzeliła ukradkiem do Maybe Not.

– Co?!

– Maybe Not dostała w brzuch. Już opatrzona. – Toy wskazała ukrytą pod kocami i siatką Shainee. – Choć kiepsko to wygląda...

– Nie strzelałam do nikogo! – wrzasnęła Mobutu.

– Stul pysk, krowo – rozkazał Hot Dog.

– Ona naprawdę nie strzelała – krzyknął Clash leżący na trawie.

– No... – Hot Dog okazał się człowiekiem na poziomie. – I właśnie za to, że łziesz, tutaj leżysz, gnojku!

– Spisek? – Dante patrzył ciągle na nagą Murzynkę. – Maybe Not? Wyjdzie z tego?

– Wątpię... Zarobiła ze dwadzieścia igiełek, prosto w brzusek. Cud, że jeszcze dyszy napakowana morfiną.

Dante skinął głową. Nawet nie spojrzął na postać pod kocami. Tak jak reszta oddziału gapił się na gołą, prześliczną Mobutu. I o to chodziło. O to chodziło, mniej więcej...

– Ona kłamie – wrzasnęła Murzynka. – Do nikogo nie strzelałam.

– Hot Dog? – spytał Dante.

– Strzelała! A ci ją kryli... – Wskazał leżące postacie.

Dante podszedł do Murzynki.

– Myślałem, że się przyjaźnisz z Maybe Not – szepnął. – Aż tak forsa Moonsunga zamieszła ci w duszy?

– Nie strzelałam! Maybe Not żyje! Leży tam w krzakach zakneblowana. Idź i sprawdź, Dante, proszę! Zrób te trzydzieści kroków i sprawdź, błagam!

Toy pokiwała głową.

– Idź, idź. – Usłużnie wskazała kierunek. – Tam właśnie leży Maybe Not... Aaaa... A ta tutaj – wycelowała palec w okrytą kocami Shainee – to kto? Jeśli można spytać, oczywiście...

– To zakonnicza, porucznik ichniej armii, w siódmym miesiącu ciąży!

Toy zapaliła papierosa.

– Od jak dawna bierzesz narkotyki, Mobutu? – spytała.

Dante ryknął śmiechem. Toy zbliżała się do niego powoli. Żadnych gwałtownych ruchów. Przeciągnąć tę idiotyczną rozmowę. I podejść jeszcze bliżej. Żeby się nie zorientował.

– Ona mówi prawdę – jęknął Clash.

– No dobra. – Dante ewidentnie im nie wierzył. Był jednak fachowcem. – Sprawdzimy...

Niestety. Toy stała już obok niego. Prawą ręką wyszarpnęła colta springfielda i przyłożyła mu do głowy. Lewą wyjęła swojego rugera i oparła lufę o własną skroń.

– Wszyscy stać! – zakomenderowała.

– Wszyscy stać – powtórzył za nią jak echo Dante. Najwyraźniej nie zamierzał tracić życia w tym piekielnym walcu. – O co ci chodzi, krówsko? – dodał ciszej.

Toy westchnęła.

– Pamiętam twoje słowa, kotek – szepnęła. – I nie chcę kończyć nakarmiona własnymi pierściami przez twój oddział. Pociągnę za dwa spusty jednocześnie. Zginiemy obydwójce.

– No to strzelaj. – Uśmiechnął się ciepło.

– Chcę ci po prostu powiedzieć, że zapracowałam na swoje dziesięć tysięcy.

– No?

– Słuchaj, kotek. Wynająłeś mnie, szlag jeden wie dlaczego. Myślałam o tym cały czas. I... i teraz już wiem.

– No to wal, malutka. – Dante nie był zdenerwowany. Zachwiało to pewnością siebie Toy. – Słucham.

– Po co ci głupia dziewczyna detektyw? Co we mnie zobaczyłeś? To, że byłam kurwą Triad, prawda? Że podejmę się każdego zadania, bo nie stać mnie nawet na żarcie... Idealna osoba. Moonsung chce zlikwidować najemników po wyczyszczeniu szamba. Gdy dostarczymy ten komputer, załatwię wszystkich. Wiem, że to nie pierwszy pracodawca, który chce cię zlikwidować. Przewidziałeś to. Myślałeś tak: kto niby mógłby nas załatwić w kosmosie? Przecież „Złomowisko” doleci do celu nawet samo, a Moonsung nie będzie urządził strzelaniny na Księżycu. Więc jak? A właśnie. Umieszczą zabójcę w naszym oddziale. Wiedziałeś o tym. Wiedziałeś nawet za dobrze, co?

– Do czego zmierzasz?

– To ty jesteś facetem Moonsunga. Ty masz nas zlikwidować.

Nawet nie drgnęła mu powieka.

– Może jakiś dowód? – zaproponował.

– OK. Jednej, dwóm, a nawet trzem osobom będzie strasznie trudno zabić trzydziestu ludzi w plutonie. Najemnicy mogą pokapować za wcześniej, mogą zobaczyć jakieś przygotowania... Są w końcu fachowcami w branży, nie?

– I co?

– I wynająłeś mnie. Tylko po to, żeby mnie wystawić i... powiedzieć swoim ludziom, że ktoś na nich czyha. Wszyscy najemnicy jakoś tam znają się nawzajem. Któż więc pasuje najlepiej do obrazu mordercy? Obca! Ale przecież nie malutka Toy. Musiałeś przekonać ich, że jestem straszliwym fachowcem. Wiedziałeś, że moje tatuaże są autentyczne, że każda kurwa we wszechświecie powie mi wszystko, co chcę wiedzieć. I sam posłałeś jakiegoś inżyniera do burdelu, żeby wyśpiewał stek bzdur przygodnej prostytutce. A potem przysłałam ja i opowiedziałam tę historyjkę twoim ludziom. Odtąd mają mnie za twojego psa. Geniusza!

Mają mnie za sukę, która w kilka godzin wywęszyła największe tajemnice firmy Moonsung. Wystawiłeś mnie, kotek. No bo kto pasuje teraz do obrazu zabójcy w oczach tych ludzi? Obca. Taki superfachowiec jak mała Toy.

– Masz rację – potwierdził. – Oprócz jednego drobnego faktu.

– Niby jakiego?

Uśmiechnął się. Ciągle pewny siebie, pewny jak cholera.

– Słuchaj... Jestem sukinsynem. Ochraniałem pola naftowe i kopalnie uranu. Robiłem przewroty w bananowych republikach, urządziłem akcje pacyfikacyjne, byłem do wynajęcia za pieniądze. Jestem mordercą i świnią, ale... Toy. Nigdy nie zabiłbym swojego oddziału.

Drgnęła. Było coś w jego wzroku... Szlag! Czy mogła się mylić?

– A może jakiś dowód? – zakpiła.

– Nie mam żadnego dowodu. – Uśmiechnął się. – Poza swoim słowem honoru.

Jezu... Uwierzyła mu. I on to zobaczył w jej oczach.

– Widzisz, Toy – powiedział cicho. – Jestem gnojem i świnią... Ale nie aż taką świnią, żeby mordować ludzi, którzy mi zaufali.

– A ja?

– Ty jesteś obca. – Skrzywił się lekko. – Przepraszam.

Wierzyła mu. Teraz mu wierzyła.

– Słuchaj – kontynuował. – Nie przewidziałem, że jesteś aż tak sprytna. Myślałem, że jesteś dupą Iceberga. Eksprostytutką z wypalonym przez kokainę mózgiem. I rzeczywiście wystawiłem cię. Przepraszam. Sam poszedłem na Księżycu do burdelu i naplotłem Tally-Ho wszystko, czego dowiedziałem się od Moonsunga. Ten wieczór, kiedy opieprzałem wszystkich... Chciałem cię też ochrzanić i wysłać z misją do burdelu. Zaskoczyłaś mnie. Zaskoczyłaś mnie tym, że sama dowiedziałaś się wcześniej. Potrzebowałem w oddziale obcej, którą wszyscy uważają za superpsa. Chciałem, żeby mordercy uważali ciebie za główne swoje zagrożenie. Za mojego tajnego asa wyciągniętego z rękawa. Myślałem, że zabiją cię pierwszą, zrobią jakiś błąd i... i ja się dowiem, kim są. Przepraszam – powtórzył po raz trzeci.

Toy uśmiechnęła się jakby wbrew swej woli.

– Naciąłeś się, Dante.

– No – mruknął. – Nie doceniłem cię, mała.

– Ja nie o tym. – Roześmiała się głośno. Nie wiedziała, jak sprawić, żeby zęby nie szczykały jej ze strachu. – Chcę ci pokazać, jak się zarabia dziesięć tysięcy dolarów podczas jednej sesji z dwoma gnatami w dłoniach.

– Nie rznij Marlowe'a, mała. Mówiłem, że ci nie idzie...

– Nie czytasz gazet, Dante.

– Co?

– A ja czytam. Nie mam co robić w tym swoim zasranym biurze, nudzę się i czytam. Wyciągam sobie wszystkie z koszów na śmieci i czytam od deski do deski...

– No i...?

– Naprawdę uwierzyłeś we wszystko, co powiedzieli spece od Moonsunga? Pokoleniowa kapsuła, tysiąc lat podróży, dziwne zjawiska fizyczne, które sprawiły, że walec wrócił zbyt szybko...

Wzruszył ramionami.

– Pracodawcy często mówią mi tylko część prawdy. Ale... jak to wytłumaczyć inaczej. Tę regresję wokół. Cholera wie, co się stało przez tysiąc lat, co spotkali u celu podróży, co sprawiło, że są wcześniej z powrotem...

Uśmiechnęła się ciepło.

– Dante... A ile znasz źródeł energii, które mogą działać przez tysiąc lat?

Najpierw zmarszczył brwi. A potem, po chwili wybałuszył oczy.

– Jezu... Jezu Chryste! – Patrzył na nią ogłupiały. Dłuższy czas usiłował się skupić. Trafiła go i zatopiła. – Chryste...

– Tysiąc lat podróży? – zakpiła. – To dlaczego jeszcze tu jest światło? Dlaczego płynie rzeka napędzana przez reaktor atomowy? Dlaczego inżynierowie tak łatwo otworzyli przez nikogo niekonserwowaną metalową klapę w śluzie walca... Przecież powinna mieć tysiąc lat! Widziałeś już gdzieś tak stare drzwi, które otwiera się jednym ruchem ręki? A tlen, ciepło, zasilanie, woda, oczyszczanie powietrza... Spytam inaczej. Czy znasz komputer, który działa tysiąc lat? Czy wiesz, jak bardzo zmienił się język angielski przez ostatni tysiąc lat? Myślisz, że zrozumiałbyś Wilhelma Zdobywcę, nawet gdyby ten mówił powoli i wyraźnie? „*Thou art the men*” – dzisiaj trzeba byłoby powiedzieć „*You’re this guy*”... Wytłumacz mi: jakim cudem rozumiemy ten angielski, którym oni tu mówią?

Dante nie sprawiał wrażenia człowieka, który kiedykolwiek czytał stare książki. Zdawał się jednak doskonale wiedzieć, o co chodzi Toy. Uspokoił się momentalnie.

– OK. Co wywąchałaś, piesek?

Uśmiechnęła się.

– Jakiś czas temu Europejczycy wpadli na pomysł, jak wykonać skok podprzestrzenny. Rewelacyjna teoria, do dupy technologia. Tego ich pilota, Pierre’a Sauvage’a trzeba było potem zeskrobywać ze ścian pojazdu skalpelem przez jakieś trzy miesiące, bo się cholernik dostał do wszystkich szczelin w aparaturze. Tę technologię ukradli Chińczycy. Ale sami nic nie wypuścili. Dlaczego...? Europejczycy podejrzewali, że się szajs zrobił z projektu, bo ich statek był za mały. Obliczyli potem nawet, że potrzeba czegoś monstrualnego dla obwodów, jakiejś gigantycznej objętości, żeby umieścić odpowiednio wielkie akceleratory... To musiałyby być coś tak dużego, że Chiny musiały odpaść w przedbiegach...

– Moonsung?

– A jak myślisz? Ktoś odkupił technologię od Chińczyków albo ukradł. Kto? No taka firma, która miała już w kosmosie coś bardzo dużego. Na przykład osiedle Vega, szybko przemianowane na „pokoleniową kapsułę”. – Toy zaczynały cierpnąć ręce. – Czy wyobrażasz

sobie, że ktoś wysyła pokoleniową kapsułę, nie mając odpowiednich źródeł energii i to dokładnie w momencie, kiedy istnieje już teoria skoków podprzestrzennych? Po co? Za pierwszym razem się nie udało, ale przecież obliczenia już są. Technologia dogoni bardzo szybko, czego dowodzi choćby historia lotnictwa. Po co wysyłać kapsułę?

– I co? – Dante był skupiony, nawet na nią nie patrzył.

– Nie wiem, co. Polecieli, zrobili skok, który najwyraźniej się udał, skoro są z powrotem. Ale... Coś się popieprzyło. Coś skasowało ludziom zawartość umysłów... Przynajmniej w dużej części.

– Ile lat ma ten walec?

– Nie wiem. Lecz nie sądzę, żeby więcej niż kilkanaście, może kilkadziesiąt... Ale tylko wtedy, gdyby się tu czas rozciągnął – zakpiła. – Bo tak naprawdę nie ma nawet dziesięciu.

– OK – mruknął. – Przekonałaś mnie, że jestem bardziej ślepy niż ty bez okularów.

– Najlepsze zostawiłam na koniec.

Zagryzła wargi. Musiała to dobrze rozegrać.

– Kotek... Skoro już wspomniałeś o swoim słowie honoru...

– No?

– Daj mi takie. Daj słowo, że mnie nie zabijesz, że nie tkniesz palcem, że wrócę żywa na Ziemię.

Chciał skinąć głową, lecz lufa colta springfielda na czole skutecznie to uniemożliwiła. – OK.

– Myślałam tak... Moonsung za połowę swojego budżetu wysyła w kosmos „pokoleniową kapsułę”. Jednak zamiast reaktorów, które przetrzymają tysiąc lat, bo tego jeszcze nikt nie potrafi zrobić, umieszcza tu wielkie akceleratory. Kapsuła wykonuje skok podprzestrzenny, wraca, wszystko OK. Powiedz mi, dlaczego tak spanikowali, żeby aż wysyłać tu najemników?

– Nie wiem – powiedział szczerze Dante.

– Bo ten sprytny komputer, to wścibskie gówienko, powiedziało im nie tylko, że wraca. Powiedziało im wyraźnie, że coś skasowało zawartość mózgów załogi. Parę tysięcy osób ze skasowanymi mózgami. Jak Moonsung to przetrzyma?

– No jak?

– Odpowiedź brzmi: nie przetrzyma tego w żaden sposób.

– I co?

– Właśnie... I co? Uboczny efekt skoku to *ultimate delete* dla ludzi w środku. OK. Jak to wytłumaczyć przed prasą? Jak to wytłumaczyć przed rządem? Nie da się...? A od czego są najemnicy?

– Że niby zabijemy wszystkich tutaj?

– Dante! Rozpierzdołą cały walec!

Zrozumiał. Popatrzył na nią poważnie.

– Rozwalą wszystko – powiedziała. – Plan był taki. Jeśli się już nie udało, to teraz... Najemnicy lądują w walcu. Demontują komputer, bo tam są niezmiernie ważne dane. Najemników się zabija... A jakiś pan inicjuje reakcję w reaktorach i po kapsule pozostają pojedyncze atomy. Nikt nic nie wie. Oficjalnie: „wysłaliśmy kapsułę, ale się nie udało”. Zresztą, kto sprawdzi po tysiącu lat.

– Toy – warknął. – Chyba masz rację.

– I teraz... – Uśmiechnęła się. – Przed nami następujący dylemat. Tych, co mają rozwalić nasz oddział, nie musimy się bać. Wymyśliłam, jak ich spacyfikować. Problem mamy jeden. Jest tu ktoś, kto ma spowodować eksplozję całej kapsuły, jeśli tylko wsiądziemy do „Złomowiska”. A dopiero potem załatwi nas. Gwarancją naszego życia jest ten walec. Musimy sprawić, żeby dotarł nietknięty w zasięg ziemskich radarów.

– Po co?

– Ależ to proste. Rząd będzie miał swój walec. Moonsung już nie podskoczy. A jak to zrobić...? Nie chcę, żebyś mnie kazał karmić moimi piersiami. Powiem ci później.

– OK. – Dante ciągle nie wyglądał na zdenerwowanego. To było niesamowite. Facet na krawędzi świata. Facet poza ostateczną granicą. I nie wpływało to na wyraz jego twarzy. – Co chcesz zrobić?

– Musimy spacyfikować nasz oddział.

– To wiem. Ale jak?

– Ludzi, którzy nas mieli zabić, możemy się nie obawiać. Nie uderzą tutaj, lecz w „Złomowisku”. A to potrafię powstrzymać. Musimy się bać faceta, który ma urządzenie zdolne rozpieprzyć ten walec.

– A kto to jest?

– Nie wiem.

– Komu można ufać?

– Hot Dog i Yellow.

– Jezu... Im?! Tym dwóm półgłówkom?

– Owszem. Obaj chcieli mnie zgwałcić na Księżycu. Czy sądzisz, że agent z tajną misją będzie gwałcił kogokolwiek? Ryzykując wszystko? Ryzykując, że się dowiesz i wyznaczysz im jakieś kary?

– OK. Jednak dwóch ludzi to za mało, żeby spacyfikować trzydziestu najemników...

– Mobutu i Bokassa.

– Co?!

– Widziałeś „pana Browna”, inżynierów? Widziałeś obsługę Moonsunga na Księżycu? To same WASP-y. *White Anglo-Saxon Protestant*. A Mobutu i Bokassa to Murzynki!

– Śnisz! Wiceprezesem Moonsunga jest Murzyn.

– Jasne. Na pokaz. Moonsung to Chińczycy. Są bardziej papiescy niż Ku-Klux-Klan. Nie wezmą Murzynów do niczego, bo i tak się za dużo gada, że kolorowi wykupują Amerykę. Nie

znasz tych ludzi... Ale oczywiście to tylko... moja babska intuicja.

– Dobra – mruknął Dante. – Powierzałem już swoje życie rzeczom mniej pewnym niż babska intuicja... – Przynajmniej potrafił podjąć szybką decyzję.

Uśmiechnął się nagle.

– Hot Dog, Yellow, Mobutu, Bokassa! – ryknął nagle. – Dwadzieścia kroków w tył...

Patrzył, jak wykonują rozkaz. Choć przekleństw nagiej Mobutu chyba nawet on wolałby nie słyszeć.

– OK. Bierzcie na muszki cały oddział i strzelać, gdy ktoś się poruszy...

Właściwie wszyscy oniemieli. Jedynie wściekły Hot Dog zerkał na Mobutu, a ta, goła niczym niemowlę, z żądzą mordy w oczach na niego.

– I co teraz, Toy?

– Włóż na twarz to europejskie urządzenie...

– Idiotko. Przecież facet musi być uwarunkowany jak ty! Niczego nie zobaczymy na wykresach.

– Ciszej, Dante... – szeptała. – Co ty sobie wyobrażasz? Że znaleźli faceta, który rozwali walec z tysiącami osób na pokładzie? Nakarmili jakiegoś prawdziwka kłamstwami tak, że już nie wie nawet, jak się nazywa. No przecież nikt o zdrowych zmysłach nie zabije jednym przyciskiem tysięcy ludzi. On jest nawalony kłamstwami niczym ja kokainą za dawnych, dobrych czasów...

– LeMoy – rozkazał Dante. – Wyjmij z plecaka wykrywacz. Powoli! Powoli, kretynko! Tak, żeby Toy przez cały czas widziała twoje ręce!

LeMoy zbliżała się naprawdę powoli, trzymając urządzenie i obie swoje dłonie daleko z przodu. Ostrożnie, żeby nie dotknąć colta, przykleiła to cudo Dantemu do twarzy. Potem cofnęła się, wciąż trzymając dłonie przed sobą.

Dante spojrzał na Toy. Dzięki temu europejskiemu urządzeniu nagle zobaczył, że ona nie żartuje i naprawdę pociągnie za dwa spusty, jeśli coś pójdzie nie tak. Nie przestraszył się. Lecz w jego oku, tym wolnym od wizjera, dostrzegła coś na ślad szacunku. Powoli opuściła broń.

– Zagraj to dobrze.

Dante odwrócił się szybko.

– Słuchajcie, gnoje, ktoś z was ma tu dwa spusty w kieszeniach. Dwa śliczne moonsungowskie urządzenia, dwie maszyny sądu ostatecznego. Teraz wszyscy głośno i wyraźnie powiecie mi, że to nie wy. Kto nie odpowie, ten zostanie zastrzelony. A jeśli ktoś powie nieprawdę... ja to zobaczę... – Uśmiechnął się wrednie. – Hot Dog, Yellow, Mobutu, Bokassa. Zastrzelić każdego, kto nie otworzy gęby i głośno nie powie, że to nie on. No dobra. Po kolei...

Pierwszy odezwał się Clash.

– Dante... to nie ja!

Drugi był Cadillac. Potem Oouroo. LeMoy, Greenie, Slade, Chrustschov, Winnie-Winnie, Maiden, Coffee, Easy Now, Whiskey, Last Chance, Vanguard... A potem jeden z inżynierów wyszarpnął z kieszeni dwa joysticki. Toy zarobiła ładunkiem elektrycznym w brzuch i poleciała w tył.

– Spokojnie – wrzasnął inżynier. – Ta wasza broń jest zdezaktywowana!

Klik – powiedział cicho zamek w karabinie Hot Doga. Klik, klik, klik – powiedziały zamki w karabinach Mobutu, Bokassy i Yellowa.

– A teraz... – Inżynier podniósł drugi joystick.

– Shainee!!! – wrzasnęła Toy.

Wyostrzony jak brzytwa aluminiowy nóż poszybował w przód, by wbić się w gardło inżyniera. Winnie-Winnie, rosły Australijczyk, podskoczył chwilę później i złamał mu kark.

– Co wy robicie?! – zawył „pan Brown”.

– Jego też? – spytał Dante.

– Nie... za wielki sukinsyn, żeby wiedzieć, o co chodzi... – Tylko na filmach ktoś, kto jest z wyglądu skończonym gnojem, okazuje się gnojem naprawdę. „Pan Brown” był świnią, karierowiczem, ale wyglądał zbyt brzydko, by być tajnym mordercą.

Toy uniosła się na łokciu. O kurde! Zmoczyła się po elektrycznym szoku. Szlag! Szlag, szlag!!! Kucnęła, osłaniając się rękami. „Pan Brown” pomstował, nie mając nawet pojęcia, że uratowała mu życie. Dwóch pozostałych inżynierów odsuwało się od nieruchomego ciała trwożliwie.

Mobutu podbiegła do Shainee.

– Oddawaj mi moje ciuchy! – wrzasnęła.

Shainee na sam widok wielkiej dłoni Murzynki zaczęła się rozbierać bez słowa.

– Kto to jest? – spytał Dante.

– Pani porucznik-zakonnica w siódmym miesiącu ciąży – powiedziała Toy.

Roześmiał się.

– A gdybyś jej nie znalazła?

– To pod kocami leżałby Hot Dog. I wtedy nam by się nie udało...

– Nie wiedziałaś, że mogą zdezaktywować broń?

– Przez myśl mi nie przeszło... – Usiłowała zasłonić dłońmi mokre spodnie. – Ale jestem głupia. Przecież Mobutu prawie mi to powiedziała...

Mobutu podeszła już w swoim mundurze.

– Myślałam, że cię zabiję – warknęła. Spojrzała w dół i zagryzła wargi. – Chociaż teraz trochę mi przeszło... Masz. – Rzuciła jej własne majtki. – Przebierz się.

Maybe Not, już uwolniona z knebla i więzów, wracała biegiem.

– Zabiję tę małą gnidę!

– Daj se na wstrzymanie. – Bokassa zatrzymała ją ruchem ręki.

– Co?

– Nie wiesz, co? Dante ma nosa do swoich psów.

Mobutu skinęła głową.

– No. Nie wiem, o czym tam pieprzyli, bo jestem za głupia. – Palnęła przyjacielsko Toy w głowę. – Ale jak zwykle... psa wynalazł dobrego!

Dante podszedł z boku.

– Mówiłaś, że wiesz, kto ma załatwić nasz oddział – mruknął.

– Nie mówiłam niczego takiego. Ta wiedza już nam niepotrzebna.

– Co?

– Nie uderzą. – Toy wbiła kałasznikowa lufą w ziemię. Rozpięła rzepy swojej kamizelki przeciwodłamkowej i pozwoliła jej upaść. Zdjęła hełm i odrzuciła w krzaki. – Na wszystkim są moje odciski palców.

– No to co?

– Wszystkie nasze odciski są w odpowiednich kartotekach. Przynajmniej na dwóch lotniskach je pobierali.

– Nam nawet wcześniej...

– No właśnie. Teraz walec wleci spokojnie w zasięg ziemskich radarów. Pojawią się setki komisji, niezależni specjaliści... I znajdą tu naszą broń z naszymi odciskami. Będą wiedzieć, czyje to jest, prawda? Od razu! I co się stanie, jeśli przypadkiem okazałoby się, że ludzi od tych odcisków już nie ma wśród żywych? Co zrobi nasz kochany rząd Moonsungowi? Co zrobi mu opinia publiczna?

Dante uśmiechnął się. Zdjął swój hełm i upuścił na ziemię.

– Zrzucić wyposażenie – rozkazał.

– Dante, mam jedną prośbę. – Toy usiłowała zasłonić się kocem, żeby się przebrać.

– No?

– Shainee... Chcę, żeby wróciła ze mną na Ziemię.

Wzruszył ramionami.

– Mamy jeden wolny skafander. – Zerknął na trupa inżyniera.

Odszedł, a Mobutu nachyliła się nad Toy.

– Przebrałaś się? – powiedziała groźnie. – A wiesz, co ci teraz zrobię?

Toy osłoniła się rękami. Mobutu chwyciła ją i posadziła sobie na karku.

– Będziesz jechać „na barana” – mruknęła. – Przynajmniej raz w życiu zobaczysz, jak wygląda świat widziany z góry, mała...

– Dobra – rzucił Hot Dog. – Masz u mnie piwo w najbliższym barze.

– Akurat... – Maybe Not splunęła na trawę. – Ona nie przechła tego, co jej są winni ci wszyscy ludzie w walcu.

– Nie zapłacą... – westchnął Hot Dog. – To świry...

* * *

„Złomowisko” wracało z zupełnie przyzwoitym przyspieszeniem jednego g. Na więcej nie było już ich stać. Monstrualny zbiornik paliwa, do którego ich dospawano, okazał się prawie pusty. Całe miesiące podróży...

Dante wyprosił inżynierów ze sterówki. Przy jednym g nie trzeba było pilotować – silnik Centaura dusił się, jakby pracował na jałowym biegu... Komputery radziły sobie doskonale same.

Dante skinął na Toy. Kiedy znaleźli się sami, zaryglował drzwi i przysiadł na obudowie maszyny, którą zdemontowali w walcu.

– Mam dla ciebie dwie wiadomości. Dobrą i złą...

Odskoczyła.

– Obiecałeś, że nie tkniesz mnie palcem!

– Ja zawsze dotrzymuję słowa. – Włożył wskazujący palec do ust i oblizał starannie. Drugą ręką wyjął z kieszeni papierową tutkę, rozerwał i wsadził mokry palec w biały proszek.

– Neeeeee!!!

– Obiecałem, że nie dotknę, to nie dotknę. – Podszedł do Toy. – Ale nie może tak być, żeby żołnierz mierzył w głowę swojemu dowódcy.

Podetknął palec pod nos dziewczyny. Zwymiotowała gwałtownie. Podetknął jeszcze raz. Zwymiotowała znowu. Opadła na podłogę i usiłowała się cofnąć. Znowu przysunął palec do jej nosa. Zwymiotowała, właściwie już samą śliną.

– Nie... proszę... – Telepało nią okrutnie. – Zabijesz mnie.

– Znam ludzką wytrzymałość – powiedział spokojnie.

Chryste! Po prostu ją wycisował.

Obudziła się po jakimś czasie, zwinięta w kłębek w kącie, usiłując złapać choć jeden głębszy oddech. Dante podniósł ją bez trudu. Posadził drżącą i dygoczącą na małej metalowej ławeczce. Sam usiadł obok.

– A teraz dobra wiadomość.

Nie była w stanie odpowiedzieć. Telepało nią tak, że bezwiednie przytuliła się do jego ramienia, chcąc znaleźć gdzieś trochę ciepła, choćby miało to być po prostu ciepło ludzkiego ciała.

– Od dzisiaj jesteś moim prawdziwym psem. – Zapalił papierosa i zaciągnął się głęboko. – Jeśli będę miał jakieś poważne zlecenie, zadzwonię po ciebie, mała suko.

Nie mogła odpowiedzieć. Dygotała, przyciśnięta do jego ramienia, nic nie widziała bez okularów, które leżały gdzieś na podłodze, tak bardzo chciała papierosa, lecz nie była w stanie poprosić.

– Masz. – Położył na kolanach Toy swój prywatny karabinek Mannlichera. – Na pamiątkę, małpo.

Chciała papierosa, a nie karabin! I nie mogła tego powiedzieć.

Dante zaciągnął się znowu. Patrzył na gwiazdy migocące na ekranach.

– Ale pięknie – westchnął. – Brakuje tylko muzyki.

Papierosa, papierosa, papierosa... Jak to powiedzieć przez zaciśnięte zęby?

– Zaśpiewaj mi coś, Toy. Toy...?

TOYTREK

Telefon od Dantego obudził ją w środku nocy.

– Słuchaj, mała. – Cichy głos w słuchawce działał hipnotyzująco – Widzę cię na lotnisku o ósmej trzydzieści. Stawka jak zwykle.

Dante odłożył słuchawkę. I co to miało być? Test na inteligencję? Na którym lotnisku? O ósmej trzydzieści jakiego czasu?

Szlag, ciężko myśli się o czwartej nad ranem. Toy wpatrywała się tępo w swoje własne stopy. Westchnęła cicho. Już po chwili jej chore zatoki zaczęły pracować ze zdwojoną siłą i nos zatkał się na amen. Ruszyła na poszukiwanie jakiejś chusteczki.

Tally-Ho, prostytutka, która przyjechała wprost z Księżyca, wygramoliła się ze śpiwora ułożonego pod ścianą biura. Zapaliła małą lampkę i najpierw skontrolowała własny wygląd w lustrze.

– Kto to był?

– Dante. Chciałaś być najemnikiem? – Toy mamrotała przez kompletnie zatkany nos. – No to marzenia twojego życia właśnie się spełniają.

– Bosko! – Tally-Ho ziewnęła rozdzierająco. – Ale dlaczego tak wcześniej?

– Parę innych rzeczy również ci się nie spodoba.

Mały chłopczyk, którego kilka tygodni temu urodziła Shainee, porucznik-zakonnica z walca Moonsunga, rozplakał się żałośnie. Shainee błyskawicznie wygrzebała się z pościeli i zaczęła karmić go piersią.

– Co jest, dziewczyny?

– Jedziemy zarobić trochę forsy na te cholerne rachunki. – Obie pakowały się błyskawicznie. Tally-Ho ziewała szeroko. Toy usiłowała odwieść ją od pomysłu umieszczenia w plecaku przezrzystej nocnej koszuli.

– Dobra – powiedziała Shainee. – Co mam wziąć ze sobą?

– Ty nie jedziesz! Pilnuj biura, zaraz napiszę ci wszystko na kartce... Ach! – Przypomniała sobie, że Shainee nie umie czytać ani pisać. – Zaraz ci wszystko powiem, co masz robić.

– Dlaczego ja nie jadę?

Toy i Tally-Ho spojrzały na siebie w bezdennym zdumieniu. Niby przyzwyczyły się już do tego, że ich prywatną zakonnice trudno nazwać normalnym człowiekiem, ale ta jednak ciągle potrafiła je czymś zaskoczyć.

– Bo masz malutkie dziecko...?

– No to co? Niech się uczy...

Toy tylko machnęła ręką. Narzuciła kurtkę na nocną koszulę i boso wybiegła z mieszkania. Sfrunęła po schodach, bo ta cholerna winda i tak nie dałaby się uruchomić. Pobiegnęła na stację benzynową i kupiła telefon. Najprostszy, najtańszy, z dużymi przyciskami. Sprzedawca i tak patrzył na nią jak na istotę z innego świata. Międlilił coś tam w rodzaju: „Nie boi się pani tak sama po nocy?”. Gapił się na jej gołe nogi. Nie zaszczyliła go nawet spojrzeniem.

Wspinając się po schodach, myślała, że wyrzyga płuca. Spocona, ledwie dysząca wróciła do biura. Wprowadziła numer nowego telefonu do pamięci aparatu, który stał na biurku, a później okleiła dwa przyciski kolorową taśmą.

– Słuchaj, Shainee. Jeśli będziesz chciała do mnie zadzwonić, najpierw przyciśnij to zielone, a potem czerwone. Łapiesz?

– Tak, Toy – odparła zakonnica spokojnie.

– Pilnuj interesu – zakpiła lekko. – I trzymaj się.

– Dobrze, Toy.

Shainee przynajmniej była zgodliwa w każdej kwestii. W przeciwieństwie do Tally-Ho, która teraz okupowała ich jedyną umywalkę. Powolne, dokładne mycie, kosmetyki pielęgnujące ciało, niekończące się czesanie długich włosów, staranny makijaż. Nie dała sobie wytłumaczyć, że włożenie króciutkiej czerwonej sukienki nie jest najlepszym pomysłem, jeśli chodzi o wyjazd na akcję. Toy w końcu wzruszyła ramionami. Sama ochlapała się szybko i włożyła stare dzinsy z nogawkami uciętymi w połowie ud i obcisłą podkoszulkę.

Obie biegiem dotarły do windy. Masa ciała Tally-Ho mającej metr osiemdziesiąt siedem uruchomiła windę z wagą w podłodze. Czterdziestopięciokilogramowa Toy mogła o tym jedynie marzyć.

– Myślisz, że będzie strzelanina? – Dziewczyna z Księżyca wyglądała na rozmarzoną. – Będę mogła kogoś zastrzelić?

– Zastrzel mnie, jeśli ci to sprawia przyjemność.

– Nie wiem, czy sprawia... Nigdy nikogo nie zabiłam.

– Ja też. I może postarajmy się przy tym pozostać.

– Ale jesteś zasadnicza. – Tally-Ho wdziękowała się przed lustrem w windzie, poprawiając misterną fryzurę. – A ja chcę przeżyć prawdziwą przygodę.

– No. Jeżeli każą nam ochraniać plantacje w Gwinei, to zastrzelisz ze stu głodnych żebraków, ich żony i dzieci... Będzie fajnie.

– Odczep się. I tak cię lubię, maluszk.

Wybiegły na ulicę. Niezbyt szybko, prawdę powiedziawszy, bo Tally-Ho miała na nogach buty na wysokich obcasach. Niemniej jej wygląd sprawił, że już pierwsza przejeżdżająca taksówka zatrzymała się tuż obok bez wezwania.

– Na lotnisko! – wrzasnęła Toy, kiedy zajęły miejsca z tyłu.

– Które?

– Na takie, na które pan jeszcze zdąży do ósmej trzydzieści.

Kierowca zerknął na zegarek i odparł, że teraz to już nie zdąży na żadne. Toy chciała powiedzieć, że jeśli dojadą na czas, zapłaci mu licznik razy dwa (co zresztą oznaczałoby wydanie wszystkich ich pieniędzy), ale Tally-Ho miała lepszy sposób.

– Ja bardzo proszę... – Nachyliła się do szyby dzielącej ich od szofera, pokazując swój wspaniały dekolt. – Jestem taka zagubiona w tym wielkim mieście, proszę pana... Tylko pan może mnie uratować.

Facet przełknął ślinę. Natychmiast kopnął pedał gazu i ruszył z piskiem opon. Nieźle! Vixen była najlepsza na rynku. Śmiała się teraz na tylnym siedzeniu i mrugała ukradkiem do koleżanki. „Mam mu kazać wjechać autkiem do kasy biletowej?” – zapytała samym ruchem ust, osłaniając twarz dłonią. Toy chichotała ukradkiem. Uwielbiała tę prześliczną Żydówkę. Pomimo różnicy zdań, która dzieliła je w każdej dosłownie kwestii, obie były dla siebie niczym siostry. Kłóciły się, krzyczały, czasem nawet targały za włosy, obrażały się na siebie co pięć minut, a... A potem godziły, robiły sobie drobne prezenty, pomagały wzajemnie. Obie tak strasznie samotne, potwornie potrzebowały kogoś bliskiego. Kochały się. Nie fizycznie, oczywiście. Były siostrami. I to prawdziwymi, przez wybór, a nie z urodzenia. Toy błogosławiła chwilę, kiedy los zetknął je w burdelu Moonsunga na Księżycu.

Na lotnisku znalazły się kwadrans po ósmej. Szofer nie domagał się napiwku, bo Tally-Ho zbajerowała go tak, że właściwie to on był im wdzięczny. W drodze przez monstualny hall pokłócili się jednak znowu i pogodziły przed dojściem do kas, gdzie czekali najemnicy.

Jezu! Cała setka! I to w większości nowych, zielonych, zwerbowanych po raz pierwszy. Ciekawe, co to za akcja, która wymaga aż takiej ilości mięsa do mielenia.

Obie przededefilowały przed rzędem facetów siedzących na bagażach, słysząc uwagi w rodzaju: „Ty, patrz! Ale laski!”, „Śliczności”, „Jakie dupeńki!”, „Uuuuuuu... ale kręcą tyłeczkami” (to był komentarz którejś dziewczyny, zabarwiony wyraźną zazdrością), „Bierze mnie ta duża w czerwonej kiece”, „A ja przelecę tę małą, co wygląda jak aniołek z buforami. Zaraz jej to zrobię!”. I nagle usłyszały cichy, acz wyraźny głos.

– Idź, palancie. Idź i spróbuj... jeśli chcesz być zabity przez babkę nazywaną „Zabaweczka”!

Niedoszły gwałcieł zwątpił momentalnie. A Toy, słysząc te słowa, urosła nagle tak, że była już prawie normalnego wzrostu. Rozkoszowała się totalną zazdrością w oczach Tally-Ho i równie zawistnymi spojrzeniami świeżego mięsa. Sama była w ich sytuacji poprzednim

razem, a teraz... Teraz starzy najemnicy podskoczyli do niej, ignorując kompletnie młodych.

– Cześć, Toy! – ryknęła Mobutu.

– Hejka. Buziaczki, mała. Cześć, Pinokio. Jak leci, kurczak? Hau, hau, piesek... – Clash, Bokassa, Maybe Not, Winnie-Winnie, LeMoy, Cadillac, Oouroo podnieśli się na jej widok. Pozostali weterani, których nie znała, witali ją skinieniami głowy. Tally-Ho o mało nie eksplodowała z przejęcia. Rekruci gapili się maślanym wzrokiem jak cielęta.

Toy wycalowała Mobutu, choć musiała się wspiąć na ponaddwumetrową Murzynkę niczym na palmę. Normalnie ze swoim metrem sześćdziesiąt wzrostu mogłaby ją pocałować co najwyżej w brzuch. Dalsze powitania przerwał Dante. Oschle jak zwykle.

– Pies już jest? Przyprowadziłaś nową? – zerknął na Vixen. – Świetnie. Nie miałem czasu zebrać dostatecznej ilości ludzi.

– Po co jest nas aż tylu?

– Akcja na Biały Dom. – Palnął Toy lekko w głowę. – Porywamy prezydenta. – Strzelił palcami, podrywając ludzi. – Do odprawy i cła, śmiecie – szepnął.

I znowu nastąpiło to, co już pamiętała z poprzedniej akcji. Mięso armatnie przepuszczono od razu, a weterani... Jezu... „Łapska na ścianę! Nogi szeroko!” Dwie godziny sprawdzania w komputerach, pobierania odcisków, telefonowania do różnych służb, na policję, do kartotek rejestrów przestępców, list dłużników i FBI. Tym razem Toy znalazła się wśród weteranów. Przygryzała wargi, usiłując odciążyć drętwiejące od niewygodnej pozycji mięśnie.

– Gdzie Hot Dog i Yellow? – spytała stojącej na rozstawionych nogach tuż obok Mobutu. Murzynka roześmiała się głośno.

– Wiesz, co te dwa jełopy wymyśliły? Nie wiesz? Chłopaki za wspólnie zarobioną forszę otworzyły knajpę. No, ale wiesz, jest trzysta restauracji na każdej ulicy. I wiesz, jeden klient dziennie, nowego lokalu z tego nie utrzymasz. No to te dwa durnie wymyśliły pewnej nocy, jak zwiększyć obroty. Zaczęli smarować steki kokainą! – Murzynka ryknęła śmiechem, a uwarunkowana Toy miała od razu pełne usta śliny. – I wiesz, zamiast soli sypiesz proszek, klient zećpa, wychodzi na haju, zadowolony jak szlag, przychodzi jeszcze raz, a potem już odczuwa „ciągłą potrzebę przychodzenia tam właśnie”, poleca znajomym... I wiesz, kurde. Zbili szmalc, całkiem porządny! Klienci walili drzwiami i oknami mimo ciągłych wyższych cen za kotlety z „solą inaczej”. Ha, ha, ha! Tylko te dwa imbecyle mogły to wymyślić...

– No wpadli, oczywiście! Kurde. Przyjechał specpluton policji. Ale się przeliczyli. Trzeba było wezwać antyterrorystów. A tu wiesz, te opasłe od nadmiaru hamburgerów palanty w kamizelkach, hełmach, z prysznicami w łapach. Wpadli do środka, rozwalili drzwi i wiesz... Hot Dog i Yellow to kretyni. Ale żołnierzami są raczej dobrze wyszkolonymi. No i wiesz, napięrzyli policji. – Murzynka zaczęła chichotać. – Funkcjonariusze dostali wpierdol. A te dwa durnie były za głupie, żeby składać forszę w banku. Chwycili torbę z kasą i chodu! Z całym szmalcem wychrzanili się ze Stanów i wiesz... Szukaj wiatru w polu.

Toy uśmiechnęła się lekko. Opowieści najemników. W smarowanie kotletów kokainą,

szczególnie w wykonaniu Hot Doga, mogła uwierzyć. A reszta? Legenda właśnie się rodziła. Niedługo Hot Dog i Yellow rozpieprzą w opowieściach całą armię i w trakcie ucieczki ukradną lotniskowiec. Widząc jednak rozszerzone podziwem oczy rekrutów czekających na weteranów tuż obok, zrozumiała, że nie ma sensu dociekać, jak to naprawdę było, który z dwóch najemników przywalił kijem baseballowym posterunkowemu pytającemu o dziwny smak swojego mięsa. I ile im zostało forsy z tych „milionów” po opłaceniu kosztów ucieczki z kraju. Pewnie tak właśnie wyglądała cała akcja. Toy zdążyła już poznać ten mechanizm, czytając w brukowcach, jak to ona sama, trzymając w jednej dłoni szybkostrzelny „prysznic”, a w drugiej sztandar, z rozwianym włosom i piersiami na wierzchu, prowadziła „lud na barykady” w walcu Moonsunga. Boże! A później procentowało to cichymi uwagami, z których jedną dzisiaj usłyszała. „Idź, idź, jeśli chcesz być zabity przez babkę, którą nazywają Zabaweczka!” Nie zabiła w życiu nikogo. Ale po co tłumaczyć? Ludzie chyba chcieli, żeby ktoś poprowadził ich na barykady w tym popieprzonym świecie. A najlepiej, żeby prowadził, nie przerywając im oglądania seriali w telewizji. Mając dwadzieścia jeden lat była eksprostitutką, najemnikiem-przestępcą, śmieciem, wyrzutkiem, totalnym zerem w bilansie nowoczesnego społeczeństwa. Lecz to właśnie ona POKAZAŁA FIRMIE MOONSUNG, GDZIE JEJ MIEJSCE!

Ano... pokazała. Firma Moonsung mimo tysięcy procesów i nagonki w mediach dalej ma się dobrze, a Toy wciąż kradła klineksy na stacjach benzynowych, żeby móc czymś wytrzeć nos, bo w kosmosie nabawiła się ciężkiej choroby zatok. Miała nawet dwie punkcje, na które wydała prawie wszystko, co zapłacił jej Dante jako żołd. Nosa co prawda jej nie naprawili, za to poznała, co znaczy krzyżeć z bólu u taniego lekarza partacza. Zawsze jakiś zysk. Mogła teraz przynajmniej opowiadać koleżankom z oddziału, że „gdy mnie wrogowie torturowali, wbijając igły w czaszkę, to co prawda wyłam z bólu, ale do końca nie puściłam pary z gęby!”. Byłoby to przecież bardziej prawdziwe niż to, że Hot Dog i Yellow rozwalili cały oddział policji.

Skrzywiła się lekko. Biedna Toy, musisz sobie radzić sama. Teraz masz przynajmniej Tally-Ho i Shainee. Inni często nawet tego nie mają. Więc się trzymaj, babo!

– A wiesz, że mnie złapali sukinsyny przy takim jednym zleceniu? – powiedziała do Mobutu, lecz reszta najemników również nadstawiała uszu. – Facet mnie wynajął, ale kurde, wiesz, zanim doszło co do czego, wiesz, kurde, złapali mnie, wiesz, nie? Łapy w obręczkach, klęczałam w jakiejś piwnicy, a kat wbijał mi igły w głowę przez nos. Ale wyłam, wiesz.

– I co? I co?!

– Noooo... Kurde. Nic nie powiedziałam! Nawet numeru polisy. – Co było zgodne z prawdą, ponieważ Toy polisy nie miała i kat, tfu! znaczy lekarz, został opłacony gotówką.

Na szczęście narodzinom nowej legendy zwanej „Masakrą pod Punk-CIA Hill” przeszkodziło przyjscie celnika, który zaczął sprawdzać ich bagaże. Nie musieli już stać pod ścianą, więc Toy nałożyła swoje okulary i znowu widziała cokolwiek wokół. W końcu ich

przepuścili. Toy szła z weteranami, usiłując jakoś rozmasować zdrętwiałe mięśnie, niewyspana, z zatkanym mimo kropel nosem, w okularach, dzięki którym widziała mniej więcej gdzie idzie, z bolącą głową od rozrywanych czymś od wewnątrz zatok. „Babka zwana Zabaweczką”. Młodzi gwałcili ją wzrokiem. Dobrze, że przynajmniej była śliczna. Kręciła tyłeczkiem przy każdym kroku, chcąc polepszyć sobie nastrój.

Wsadzono ich do samolotu. Młodzi perorowali zaciekle, wymyślając coraz to bardziej fantastyczne cele ich podróży. Starzy pospali się momentalnie w głębokich fotelach.

* * *

Hiszpania przywitała ich ciepłym deszczem. Na lotnisku nie robiono trudności. Deszcz ustał, gdy tylko zapakowali się do dwóch turystycznych autobusów. A potem czekała ich przyjemna niespodzianka. Wszystkich zakwaterowano w prześlicznych białych domkach nad brzegiem morza. Każdy luksusowo wyposażony domek przeznaczony był dla czterech osób – cztery łóżka w dwóch sypialniach, salon, kuchnia, tarasik. Domków było dziesięć, a oddział liczył sto osób. Wypadało więc po dziesięciu żołnierzy na jeden. Weterani jednak kopniakami zmienili te proporcje. Przypadło osiem domków na trzydziestu starych żołnierzy, z których każdy dostał własne łóżko i... dwa domki na siedemdziesięciu rekrutów, co dawało tam trzydzieści pięć sztuk na jednostkę mieszkalną.

W Hiszpanii było fajnie. Kompleks basenów, mały supermarket (tej cervezy to się nie dało pić, ale wino było koszmarnie tanie, a poza tym Oouroo szybko znalazł źródło zaopatrzenia w przemycany gin po pięć dolców od litra). Mobutu, Maybe Not, Toy, Bokassa, Lady (Chinka, mieszanka z białym, ponieważ ładna), LeMoy i Tally-Ho kupiły za grosze jakieś nieprawdopodobnie wręcz kostiumy kąpielowe, później goliły sobie nawzajem „strefy bikini”, żeby móc jakoś założyć na siebie „to coś” składające się już nawet nie ze sznurków, a z nitki chyba, a potem to już tylko słuchały pełnych zachwyty gwizdów facetów na basenie. Nuda, nuda, nuda, najprzyjemniejsza nuda na świecie... Dzień po dniu. Opalanie, dobry obiad upichcony w dużych kuchniach ich domów, gra w karty i koszykówkę na pobliskim boisku, a wieczorem wino i gin, przechwałki, ściganie młodych, jakieś flirty, sen i znowu następnego dnia: opalanie, pływanie, gry, obiad, chłanie, flirty, ściganie...

Toy złapała się na tym, że siedzi na słupku przy siatce do siatkówki (zawsze brano ją do sędziowania, bo była za niska nawet jako rozgrywająca) i śpiewa na cały głos: „Tylko biedronka nie ma ogonka. Ogooonkaaa nie ma biedronka!”

A później znowu chłańsko do nocy i wyprawa z Lady „na facetów”. Na szczęście bardziej trzeźwa Mobutu wybawiła je z opresji, bo już zdążyły przyładować jakiemuś alfonsowi na ulicy, który chciał je zwerbować. Nie ma to jak dwa metry i osiemnaście centymetrów wzrostu Murzynki, ten alkohol po prostu rozkłada się na większą masę. A zresztą, może to nie był alfons? Tylko jakiś kulturalny starszy pan, który chciał im pomóc? Obydwie z Lady,

siedząc następnego dnia w kuchni z zimnymi okładami na głowach, nie pamiętały już zbytnio, co zaszło. Może one, w końcu najemni żołnierze, przyładowały mu za bezdurno? W każdym razie policja nie przyjechała. Oouroo twierdził, że żaden Hiszpan nie przyzna się innemu mężczyźnie, że pobiła go baba. I dlatego obie są w czepku urodzone, choć przeraźliwie głupie. „To nie Ameryka – tłumaczył. – Tu jeszcze czasem przynajmniej mężczyzna czuje szacunek do kobiety. I często chce pomóc!” Na szczęście Lady zwymiotowała, przerywając przydługi wykład. A potem znowu: obiadek, basen, siatkówka, gin i wino, ściganie młokosów, aż wreszcie przyjechał Dante wojskowym jeepem.

Wszystko, co żyło i już było na akcji z szefem, wytrzeźwiało momentalnie i ustawiło się na baczność z dokładnością co do milimetra. Wszystko, co żyło, było trzeźwe od początku, ale dopiero pierwszy raz uczestniczyło w akcji, guzdrało się niepomierne. No więc sami sobie byli winni. Dante szybko przekonał kilku rekrutów, że lepiej było im się nie rodzić. Ich życie to po prostu jakiś błąd statystyczny, pomyłka mamusi. I teraz trzeba za to odpokutować. W końcu skąd Dante wytrzasnął swoją ksywę? Pewnie od któregoś kręgu piekieł. Młodzi poznali wszystkie kręgi i to hurtem, od razu.

Następnego dnia nad ranem zapakowali się znowu do dwóch autobusów, które powiozły wojsko w pobliże Gibraltaru. Tam zaokrętowano ich na prom do Afryki i naprawdę skończyły się żarty. Dante odebrał im paszporty, które włożył do foliowego worka. Potem ustawił ich przy takiej dziwnej barierce przy burcie i kazał zwrócić morzu cały alkohol, jaki pochłonęli. Kto nie potrafił zwymiotować na rozkaz, miał naprawdę potwornego pecha. Toy, na szczęście, na wieceelkie szczęście, potrafiła. Wystarczyło, że wyobraziła sobie narkotyki. Patrząc na to, co się wyrabia z ludźmi, którzy chcieli zachować się kulturalnie, dziękowała Bogu i Paulowi Icebergowi za uwarunkowanie na prochy, ponieważ umożliwiło jej szybkie wykonanie rozkazu.

Ale tak naprawdę nie był to jeszcze nawet przedsmak tego, co ich czeka. Kiedy prom dobił do wybrzeży Afryki, wygoniono ich przez szeroki trap do portu w Ceucie, hiszpańskiej enklawie w Maroku. Okazało się, że przygotowane na poboczu hełmy i mundury wcale nie są dla nich. Po prostu garnizon oczekiwał na świeży pobór. Najemników zapakowano do ciężarówek i powieziono w noc.

Zatrzymali się dopiero na rześście oświetlonym przejściu granicznym z Marokiem. Dante z jakimś cywilem podeszli do Arabów skupionych w jakiejś, nie przymierzając, lepiance na poboczu drogi. Nawet z pak ciężarówek najemnicy widzieli, jak spore łapówki przechodziły z rąk do rąk. Cała operacja przekazywania pieniędzy poszła sprawnie. Potem stary Arab wziął plastikowy worek z ich paszportami i po prostu włożył go do dziury wykopanej w ziemi, przy której kuczał. Wypełniono papier, który z daleka wyglądał na wymięty fragment kartki wyrwany z gazety, i ich pierwsza akcja wojskowa na terenie Afryki zakończyła się powodzeniem. Niestety, nie do końca. Wokół stały autobusy z turystami. Z najbliższego ktoś wysiadł (wysikać się? kupić pocztówki na najbliższym stoisku?) i... I

rozpoznał Dantego.

– Najemnicy! Najeeemnicyyy!!! – rozdarł się młody mężczyzna w szortach i „hawajskiej” koszulce. – Psy wojny!

Z autokarów momentalnie wysypali się zaaferowani turyści, węsząc sensację.

– Psy! Świnie! Płatni mordercy! – rozległy się okrzyki wokół. – Ale jesteście gnoje! Jak wam nie wstyd? – Kolorowy tłum otoczył ciężarówkę. Co wyżsi usiłowali napluć do środka. – Świnie! Patrzcie. Mamy tu zwykłe świnie taplające się w bagnie.

– Jedziesz zabijać niewinnych ludzi? – Jakaś kobieta szarpała za rękaw Cadillaca. – Jak ci nie wstyd, człowieku? Człowieku... Mogę w ogóle do ciebie mówić „człowieku” czy raczej per „świnia”?

Cadillac patrzył na swoje kolana, usiłując panować nad mięśniami twarzy.

– Ile ci zapłacono? Ile ci zapłacono? – Jakaś dziewczyna rzuciła w Mobutu kubkiem z colą. – Ile forsy wzięłaś za mordowanie swoich braci?

Ktoś wspiął się na zderzak i szarpnął Toy za włosy.

– Chcę, żebyś miała pecha! – Mężczyzna o wyglądzie nobliwego lekarza krzyczał jej prosto w twarz. – Chcę, żeby ci się nie udało! Żeby cię zastrzelili! Życzę ci, żebyś miała raka!

Toy usiłowała uwolnić swoje włosy z jego garści, nie wykonując gwałtownych ruchów. Zdawała sobie sprawę, że jakakolwiek rozróżba na granicy może zniweczyć całą akcję.

– Życzę ci, żebyś umierała długo, w bólu i całkowicie samotna. – Facet napluł jej w twarz.

Toy wyjęła papierową chusteczkę, żeby wytrzeć policzek. Udało jej się uwolnić nareszcie włosy i przesunąć się w kierunku Lady, dalej od burty. Żołnierze robili jej miejsce. Ścisk w głębi był coraz większy.

– prostytutki! – Mężczyzna wyraźnie skupił się na kobietach oddziału.

Tally-Ho nachyliła się w jego stronę.

– Otóż jestem prostytutką, proszę pana. Bardzo fachową. – Uśmiechnęła się promiennie. – I coś mi mówi, że pan jest impotentem.

Dostała w twarz strugą kawy z plastikowego kubka. Clash zarobił kamieniem. Na szczęście ciężarówka ruszyła powoli, usiłując wydostać się z tłumy wrzeszczących ludzi. Kierowcy dokonywali cudów, starając się rozepchnąć ludzi i nikogo nie przejechać. Jeep Dantego utknął z przodu i chyba on oberwał najbardziej. Tłum, widząc, że łup wymyka im się z rąk, zaczął rzucać czym popadło.

– Na podłogę – ryknął Clash.

Nie zdążyli wykonać tego dość typowego dla piechoty manewru. Tally-Ho oberwała kamieniem prosto w kość ogonową, bo właśnie się odwracała. Toy w głowę, prosto w łuk brwiowy i momentalnie jej twarz zalała krew. Oouroo w kark, bo właśnie się kładł. Największego pecha miała jednak Mobutu, ponieważ stanowiła największy cel – przyjęła całą serię, w lewy łokieć, w brzuch, lewą pierś, w skroń i czubek głowy. Runęli na podłogę,

usiłując się skulić w ciasnocie i osłonić głowy bagażami. Lady zarobiła butelką, która się stłukła i pokrwawiła jej szyję i kark.

Na szczęście kierowcom udało się przekroczyć granicę. Teraz ścigały ich jedynie gwizdy. Po chwili ciężarówka zatrzymała się znowu i do oddziału dołączyli czekający tu Hot Dog i Yellow. Śmiali się tak, że nie byli w stanie wybełkotać nawet paru słów powitania.

– Widzieliśmy, jak w was waliła artyleria! – Hot Dog podniósł z podłogi szyjkę stłuczonej butelki. – Coście im zrobili, że tak was nie lubią?

– Daj, piesek. – Yellow wyjął z kieszeni brudną chustkę, zmoczył wodą mineralną i przyłożył Toy do brwi. – Bo ci strasznie spuchnie.

Maybe Not klęła, nie przebijając w słowach. Oblano ją jakimś lepkiem, gęstym syropem. Winnie-Winnie, któremu się udało wyjść ze starcia bez strat, usiłował w świetle zapalniczki powymjować odłamki szkła z szyi Lady. Mobutu, sycząc z bólu, masowała lewą pierś.

– Żeby ich jasny szlag trafił! – wyła.

– Szlag trafił? – uśmiechnął się Hot Dog. – Co za problem?

Powoli z triumfalnym wyrazem twarzy wyjął z kieszeni telefon komórkowy. Starannie wybierał przyciski. Potem podniósł słuchawkę do ucha.

– Dzień dobry – powiedział. – Uprzejmie donoszę, że w jednym z autobusów, które zaraz przekroczą granicę Maroka na linii Ceuta-Tetuan znajdują się narkotyki. Wypełniam swój obywatelski obowiązek. Dziękuję za współpracę.

Mobutu, trzymając się obiema rękami za lewy bok, roześmiała się nagle.

– Myślisz, że jakaś młoda, głupia pinda z tych autokarów ma ze sobą choć dwa skręty?

– Dam sobie rękę uciąć, że ma. Sam zaopatruję dilerów turystów po tamtej stronie granicy.

– A gdzie dzwoniłeś? Sądzisz, że Arabowie się przejmą byle donosem?

Hot Dog wzruszył ramionami.

– Telefonowałem bezpośrednio do DEA. A oni już pogonią miejscowe siły. Zaraz wasza „artyleria” zobaczy, co to jest przesłuchanie i rewizja w wykonaniu Arabów.

Roześmiali się.

– Miłe wakacje w Afryce mają już z głowy – dodał Yellow.

– Długo tu siedzicie? – wtrąciła się ruda LeMoy. – I co to było z tym smarowaniem kotletów koką?

Zaczęły się opowieści. Atakujący restaurację pluton policji rozrósł się właśnie do rozmiarów kompanii. W legendzie dwóch chłopaków nie porwało lotniskowca... jeszcze. Na razie ograniczyli się do niszczyciela, który atakował ich łódkę. Toy zasnęła na kolanach Mobutu. Obudzono ją jednak, domagając się opowieści, jak to robiono jej lobotomię na żywcą, a ona niczego nie powiedziała oprawcom. Nie zdążyła nałgać, bo dojechali do celu.

Baza armii Maroka troszeczkę przypominała z wyglądu obóz koncentracyjny – baraki i betonowy plac, ale nie było tak źle, jak się spodziewali. Baraki okazały się dość schludne, plac oświetlony sodówkami, dostrzegli jeszcze sporą stołówkę, magazyny i hangary na sprzęt.

Dante kazał im się wypakować z ciężarówek. Dopiero teraz zauważyli, że miał podbite oko i pokrwawioną twarz. Nie zwracał sobie zresztą tym głowy, razem z cywilem wsiadł do swojego jeepa i odjechał, a oni musieli przejść przez bramę w kolczastym ogrodzeniu. Starych żołnierzy załamał dopiero gość, który przyszedł ich powitać. Już z daleka zobaczyli smukłą sylwetkę, beret zsunięty na prawe ucho i przesadnie sprężysty krok. On nie szedł. On maszerował.

– O, kurde... Angol! – szepnęła Mobutu. – Panie Boże, miej nas w swojej opiece.

Sprawny, ponad sześćdziesięcioletni emeryt sił zbrojnych Jej Królewskiej Mości uśmiechnął się, stając przed nierównym szeregiem.

– Witam was, mili rekruci, w szeregach armii Królestwa Maroka!

– On naprawdę powiedział „mili”? – upewniała się szeptem Maybe Not.

– Żegnaj się z życiem, durna! – warknęła Bokassa. – Tally-Ho – mrugnęła do Żydówki stojącej tuż obok – ty masz najbardziej przesrane. To arabska armia!

– O, w mordę...

– Jestem sierżant Blake – kontynuował Angol, kompletnie niezrażony szeptami w szeregu. – Moim zadaniem jest zapoznać was z regulaminem obowiązującym w naszym wojsku. – Uśmiechnął się ciepło. – Połóżcie się z łaski swojej na plecach.

Cierpliwie czekał, aż oddział niemrawo wypełni ten niecodzienny rozkaz. Ignorował rozrzucone byle gdzie bagaże, ciche rozmowy i przekleństwa najemników. Wciąż się uśmiechał.

– Ręce za głowę – powiedział przyjaznym tonem.

Kiedy wykonali rozkaz, Blake podkutymi buciorami stanął na brzuchu najbliższego żołnierza.

– Byłeś w wojsku?

Chłopak zaczął się dusić.

– Zadałem ci pytanie.

Chłopak skinął głową.

– I nie umiesz się meldować?

Chłopak usiłował ruchami głowy pokazać, że umie, ale bał się otworzyć usta, bo wtedy musiałby rozluźnić mięśnie brzucha, a to groziło katastrofą.

– Nauczmy cię – mruknął Blake. – Na razie karcer.

Dwóch Arabów w mundurach podniosło nieszczęsną, krztuszącą się ofiarę i pociągnęło gdzieś w głąb obozu. Sierżant przeszedł na brzuch Mobutu.

– Jesteś dużą dziewczynką – stwierdził. – Służyłaś w wojsku?

– Tak jest, panie sierżancie! – wrzasnęła Mobutu. Trenowała koszykówkę i jakoś jednak potrafiła napiąć odpowiednio mięśnie. A poza tym była naprawdę duża i silna.

Blake przeszedł na brzuch Cadillaca.

– Mógłbyś coś zaśpiewać?

– Pewnie. – Caddie skrzywił wargi w uśmiechu. – Co pan sobie życzy, panie sierzancie?

Blake znalazł się na brzuchu jednego z młodych. Ten jęknął.

– Stękasz niczym baba w połogu. Widać się na tym znasz, więc wyszorujesz do czysta punkt opatrunkowy... – Przeszedł na brzuch Lady.

– Wybieram karcer! – krzyknęła Chinka, chwytając go za łydki.

– Nie, nie, nie... – Uśmiechnął się Blake, stając na brzuchu Toy. Dziewczynę dosłownie wbiło w piaszczysty grunt. – Ile nabojów jest w karabinie Heckler und Koch? – zapytał.

– Nie wiem! – wydusiła, usiłując kontrolować mięśnie, żeby nie doszło do kompromitacji przy wszystkich.

Blake przeszedł na brzuch kolejnego żołnierza.

– Aha. – Jakby sobie coś przypomniał. – Ta mała bierze do łapek bagaże i na plecy ładuje sobie tę skośnooką. Pobiegniesz na wzgórze. – Wskazał stromy pagórek za drutami obozu. – A potem się zamienicie miejscami. I przyjdziecie zameldować, ile nabojów jest w karabinie Heckler und Koch. Radzę się nad tym zastanowić...

Chłopak, na którym stał sierżant, nie wytrzymał przydługiej wypowiedzi.

– O, fuj, żołnierzu. – Blake skrzywił się z obrzydzeniem i przeszedł na następny brzuch.

Toy przerażona zerknęła na Lady. Na szczęście dziewczyna była chińsko-białym mieszańcem: bardzo niska i chuda, ale i tak mierzyła z dziesięć centymetrów więcej niż ona sama. Czując, że zaczynają jej drżeć ręce, chwyciła swoją torbę i plecak tamtej. Lady, również porządnie przestraszona, wdrapała się na plecy Toy.

– Daleko tak nie ujdę – szepnęła Toy.

– Wiem... Jeszcze nigdy nie widziałam tak małej białaski.

Tchu zabrakło jej prawie natychmiast. Usiłowała oddychać głęboko. Już podczas drogi do bramy obozu zdążyła kilkanaście razy przysiąc sobie, że rzuci palenie. Nie ma mowy, żeby dotarła na szczyt wzgórza.

Jeden z arabskich wartowników wysunął się spod płóciennego daszku ocieniającego posterunek.

– Ty, Amerykanin – powiedział łamanym angielskim do zdyszanej Toy. – Lepiej się pośpiesz. – Wskazał wstające właśnie słońce. – Sztuczek nie robić, Amerykanin! On mieć lornetkę. – Zerknął na oddalonego już o kilkadziesiąt metrów Blakea.

– Błagam, stary, powiedz, ile nabojów jest w karabinie Heckler und Koch? – szepnęła Lady.

– W jaki model? – Arab uśmiechnął się z mieszaniną wyższości i współczucia. Wyższości, ponieważ te dwie dręczone ofiary były kobietami i w dodatku Amerykankami, a współczucia, bo obie były też żołnierzami.

Toy minęła go chwiejnym krokiem. Tuż za obozem zaczął się piasek. Upadła po raz pierwszy.

– Zbieraj się! – szepnęła Lady. – Ja cię pieprzę. On nas zamorduje.

Toy wstała, czując, że się dusi. Chinka znowu wspięła się na jej plecy. Jeszcze kilka kroków. Ból rąk obciążonych torbą i plecakiem. Psiakrew, mogła nie brać tyle rzeczy. Ból w płucach i gardle. Toy miała kondycję przeciętnego narkomana. No... Byłego narkomana, żyjącego w wielkim mieście, w wieżowcu, z przystankiem autobusów tuż pod bramą i najbliższym parkiem oddalonym o jakieś trzydzieści siedem kilometrów. Jedyne ćwiczenie fizyczne, które zaliczyła, to łażenie po schodach raz na trzy, cztery tygodnie.

– Słuchaj... – Usiłowała przełknąć ślinę, ale nie mogła, bo gardło miała zupełnie suche. Suche i jakby czymś zatkałe. – Nie dam rady. Nie dojdę.

– To wal na czworakach, a ja siądę na tobie – powiedziała spanikowana Lady. – On nas naprawdę zamorduje. Boże, kogo tu spytać, ile nabojów jest w HK?

– No coś ty? Głupia?

Toy, kiedy dotarła do stóp wzgórza, rzeczywiście opadła na kolana, zawiesiła sobie torbę na szyi, a plecak ciągnęła za sobą. Następną radę wygłosiła już jako wierzchowiec.

– Mam w torbie telefon. Wyjmij... Zadzwoń gdzieś... i spytaj.

Lady palnęła się w czoło. Już po chwili negocjowała z operatorem w Ameryce, żeby połączył ją po koszcie rozmowy lokalnej z producentem w Europie. Chyba coś wynegocjowała, ponieważ poklepała Toy po szyi jak rasową klacz przed szarżą.

– Szprechasz po niemiecku?

Toy miała czerwone płatki przed oczami. Nie mogła zaczerpnąć oddechu. Czuła, że nie zrobi ani jednego kroku na czworakach więcej po coraz bardziej stromym zboczku. To koniec. Rzęziło jej w płucach.

Lady kazała się połączyć z działem marketingu Hecklera i Kocha. Potem zaczęła dyktować.

– HK 20-39L: w magazynku w chwycie sto czterdzieści igłowych, w magazynku w kolbie bull-pup trzydzieści nabojów z eksplodującymi końcówkami, w lufie granatnika pod spodem HKR W3 sześć granatów. Zapamiętałaś? Teraz HK 30-39LF: dwieście igłowych w chwycie, specjalna nakładka ekspres z dwudziestoma igłowymi...

Toy umierała. Zrobiło się jej wszystko jedno. Nie miała ochoty wykonać następnego ruchu, właściwie to nawet nie miała ochoty już żyć. Nagle zobojętniała. Przez chwilę czuła, że zwymiotuje, ale nie mogła i to ją uratowało od kompletnej utraty płynów w organizmie.

– Karabinek HK 15/34WLK z wymiennymi lufami i kolimatorem: w chwycie wymienne magazynki na pięćdziesiąt, sto, dwieście, trzysta i pięćset nabojów igłowych, można zamówić bębnowe z podajnikiem na dwa tysiące czterysta, dwa tysiące dziewięćset albo cztery i pół tysiąca i jeszcze bezłuskowe w ilości...

Toy przestała się pocić. Zupełnie nagle. Nie miała siły poruszyć ręką ani nogą, ale chyba jednak ruszała, bo Lady krzyknęła nagle:

– Stój, bo zleziemy po drugiej stronie! – Zakryła dłonią mikrofon telefonu. – Przepraszam, muszę się porozumieć ze współnikami w interesach. – Zawiesiła połączenie. –

Powinnaś coś wypić, Toy. Nie wyglądasz najlepiej.

Przerzuciła rzeczy w swoim plecaku. Wyjęła małą buteleczkę, reklamówkę Perriera, raptem pięćdziesiąt mililitrów i jakieś perfumy. Zerwała korek, pociągnęła mały łyk i uzupełniła brakujący płyn perfumami z flakonika.

– Z dopalaczem – wyjaśniła. – Nie wypij mi wszystkiego, bo ja też muszę odbyć taki rajd.

Kiedy Toy przełknęła trochę płynu, poczuła, że odpływa.

– Dobra, Toy, zwracaj. Teraz będzie łatwiej, bo z górki.

Jezu, Jezu, Jezu... Jeszcze na dół? Czowała w ustach smak perfum. Które jakoś tam musiały podzielać, ponieważ zawróciła posłusznie i... zsunęła się na brzuchu ze stromego zbocza, ciągle z koleżanką na plecach. Bolało ją dosłownie wszystko. Strasznie chciało się pić.

Lady klęła. Oddała telefon, przejęła torbę i plecak, wrzuciła sobie Toy na plecy i rozpoczęła wspinaczkę. Było jej łatwiej, bo Toy ważyła czterdzieści pięć kilo. Było jej ciężiej, ponieważ słońce zaczęło właśnie przygrzewać. Spociła się momentalnie, lecz później, mniej więcej w połowie zbocza przestała się pocić. Też szła na czworakach, ale trzymała się prawie do samego szczytu. Drogę powrotną na dół przebyły tak jak poprzednio, tyle że tym razem na brzuchu Lady. A potem już tylko zygzakiem do obozu. Wyglądały niczym dwa nieszczęścia, klęcząc przed sierżantem, ponieważ nie miały siły się utrzymać na nogach.

– No i jak? Ile naboju jest w karabinie HK? – spytał Blake.

Lady panikowała przerażona. Toy odparła cicho:

– Tyle, ile się do niego załadowało wcześniej.

– Mhm. – Angol nie kazał ich zastrzelić. Odszedł zająć się niedobitkami. Dopiero teraz mogły się rozejrzeć, choć niezbyt przytomnie. Oddział został w całości spacyfikowany.

– Skąd wiedziałas? – szepnęła Lady, patrząc na sceny wokół, które przypominały obóz koncentracyjny.

– Chciał sprawdzić, czy potrafimy myśleć. Przecież nie da się zapamiętać całego katalogu firmy... – Wciąż nie mogła złapać tchu. – Masz jeszcze te perfumy?

– Mam. – Chinka ukradkiem podała jej flakonik. Obie pociągnęły po kilka łyków i przytuliły się do siebie. Arabscy żołnierze śmiali się, obserwując wszystko ze swoich bezpiecznych chwilowo pozycji. Mobutu właśnie zwisała z jakiegoś drąga głową w dół. Dwóch chłopaków kopało łyzkami dziurę w ziemi twardej jak beton. Inny facet ciągnął Tally-Ho za nogi, żeby plecami wyrównywała wykopany urobek. – Gdzie myśmy, kurwa, trafiły?

Blake'owi znudziło się jednak widowiskowe znęcanie się nad najemnikami. Teraz postanowił im dać prawdziwy wycisk. Wprowadził całą setkę do ogromnego zbiornika na ropę i kazał czyścić ściany. Niby nic. Tyle że zbiornik był stalowy, słońce stało coraz wyżej, a w środku pracowała setka ludzi. Opary ropy przyprawiały o zawrót głowy, upał wzrastał w postępie geometrycznym, nie rozdano im żadnych narzędzi, więc czyścili własnymi szczoteczkami do zębów, a w dodatku zbiornik miał kształt walca, więc wdrapanie się na ścianę wymagało współpracy co najmniej pięciu osób. Już po kwadransie wszyscy, sądząc

tylko po kolorze skóry, zamienili się w Murzynów. Zresztą to nie było ważne, bo nie przydzielono im żadnych źródeł światła.

Rzygających ze zmęczenia wynoszono i umieszczano w karczerze. Pozostałych wyprowadzono po południu na plac, gdzie kazano im doprowadzić się do porządku, dając do dyspozycji kubek wody i małą szmatkę. Skołowana Toy nawet nie widziała zbyt dobrze swojej szmatki. Zawartość kubka chciała wypić, na szczęście ktoś litościwy zakleił jej usta plastrem, wrzeszcząc, żeby nie brała do ust niczego, co nie pochodzi z zamkniętej fabrycznie butelki albo puszki. Brudna i skonana powlokła się do baraku, gdzie wydano im mundury. Niby czyste, na pewno prane, lecz wielokrotnie używane, z wyraźnymi przebarwieniami od potu. I, o dziwo, znalazł się mundur odpowiadający Toy. Nie, nie, nie produkowano „dziecinnych” rozmiarów, ale ten, który dostała, prano od wielu lat tak często, że się skurczył i pasował.

Potem poprowadzono ich do „koszar”, brytyjskich metalowych baraków pochodzących jeszcze z czasów drugiej wojny światowej. Miały kształt beczek z falistej blachy, nie przewidziano żadnej klimatyzacji. Ludzie walili się na prycze i zasypiali natychmiast, nie myśląc nawet o jedzeniu, którego pierwszego dnia im nie dano. Toy nie potrafiła. Coś się w niej wzdrgało przed spaniem „na śmierdząco”. Powlokła się do łazienek przy swoim baraku. Oczywiście jakiś cham albo sadysta zakręcił wodę w centralnym węźle. Ciekawe, czy to miała być kolejna tortura? W każdym razie nie sprawdziło się w przypadku Toy. Dziewczyna menażką wybrała wodę ze wszystkich spłuczek w toaletach i napełniła koryto na środku. Umyła się dokładnie, uprała starannie swoje rzeczy i rozwiesiła na sznurku, żeby się suszyły. W związku z tym jako jedyna z całego oddziału położyła się spać czysta i pachnąca, bo nie wypła wcześniej swoich perfum.

* * *

Blake obudził ich w środku nocy wrzaskiem.

– Co to jest?! – ryczał, maszerując pomiędzy pryczami z biustonoszem w rękę.

Toy przetarła załzawione oczy.

– To moje! – krzyknęła, unosząc się na pryczy.

– Co to jest, żołnierzu?!

– No... stanik.

– Co on robił na sznurku w umywalni?!

– Jezu... Zachowywał się nieregulaminowo?

Oddział zaczął rechotać.

– Żołnierzu! Macie używać przydzielonych sortów mundurowych! Trafia do twojego zakutego łba? – Blake o mało nie dostał apopleksji.

– Panie sierżancie – Toy usiłowała zachowywać się racjonalnie – jestem kobietą... –

Cudem tylko nie dodała: „Trafia do twojego zakutego łba?”. – Mam piersi – tłumaczyła jak dziecku. – Nie mogę biegać bez stanika, bo mnie będzie bardzo boleć...

Blake przełknął ślinę.

– Jak do mnie mówicie, żołnierzu, to stańcie na baczność.

Toy westchnęła, odrzuciła koc i stanęła na baczność przy łóżku. Oczy sierżanta powiększyły się nagle. Odchrząknął. Potrząsnął głową, jakby nie mógł uwierzyć w to, co widzi.

– C... Co... co wy macie na sobie, żołnierzu? – spytał.

Toy spojrzała na siebie.

– Koszulę nocną, panie sierżancie – zameldowała. Blake znowu przełknął ślinę. Najwyraźniej nie dowierzał. Coś nie mieściło się w jego głowie.

– Co wy tu robicie w koszuli nocnej, żołnierzu? – spytał cicho.

– Melduję, że stoję na baczność.

– Eeeee... przecież dostaliście regulaminowe szorty.

– Melduję, że jestem babą! – krzyknęła Toy zdenerwowana. – Szorty to trochę dla mnie za mało. Ale jak pan sierżant sobie życzy, to mogę spać nawet na golasa!

– Aha. – Blake był teraz wzorem uprzejmości. – A koronkowy stanik to wręcz część wojskowego wyposażenia?

– A jaki ma być? W barwy ochronne?

– Oczywiście, że nie – zgodził się natychmiast. Potem skinął na jednego z towarzyszących mu Arabów. – Ten szeregowy nauczy was hymnu naszej jednostki. Już niedługo będziecie go głośno śpiewać. Na cały głos, zapewniam. Ale... żeby wam się nie nudziło, to... – kiwnął na drugiego Araba i odebrał od niego łopatę, którą wręczył Toy – to wykopiecie w trakcie nauki tej głupiej piosenki rów przeciwczołgowy. – Podał jej trzymany wciąż w ręku biustonosz. – I możecie to włożyć, żołnierzu. Możecie też kopać i śpiewać, ubrani w nocną koszulę. Nie ma przeciwwskazań. – Zamiast zaszalutować, uklonił się uprzejmie, odwrócił i odszedł.

Dwóch arabskich żołnierzy spojrzało na Toy z wyraźnym współczuciem. Jeden z nich przeciągnął sobie palcem po szyi. Drugi powiedział łamaną angielszczyzną.

– Hymn śpiewać w język arabski. Horror dla Amerykanin.

* * *

Mobutu, Tally-Ho i Lady trzymały ślaniającą się Toy na porannym apelu, ponieważ ta odpływała i nie odróżniała już rzeczywistości od swoich sennych majaczeń. Umiała za to śpiewać hymn po arabsku, czym ewidentnie przewyższała resztę oddziału.

Blake maszerował tam i z powrotem przed frontem stojących w dwuszeregu ludzi. Szybko znajdował nowe ofiary.

– Nie ogoliliście się, żołnierzu!!! – wrzasnął nagle.

Maybe Not wzruszyła ramionami.

– Jestem babą, panie sierżancie. Co mam golić? Uszy?

– Regulamin mówi, że każdy żołnierz ma być ogolony rano. Marsz do łazienki!

– Ale po co? Mam się znowu ogolić pod pachami?

– Nie chcecie? To bierzcie tę drugą na plecy i jazda na wzgórze!

– Jezus! Tylko nie Mobutu! Tylko nie Mobutu, błagam... Ona ma ponad dwa metry wzrostu!

– Wykonać. Ty – podszedł do Tally-Ho – co powinno się znajdować w szafce nocnej żołnierza?

Spanikowana Tally-Ho zaczęła wymieniać zapamiętane poprzedniego dnia przedmioty.

– A co to jest?! – Rzucił w nią gustowną kosmetyczką. Pękł zamek błyskawiczny i szminka, puderniczka, róż, błyszczak, maskara do oczu i parę innych niezbędnych dziewczynie przedmiotów potoczyło się po piasku. – Co to jest, pytam!

– Zestaw do kamuflażu, idioto. – Toy wybawiła koleżankę, bo było jej już wszystko jedno, co z nią zrobią.

– Coś powiedziała, krowo?! – Blake podskoczył do niej.

– „Coś powiedziała, żołnierzu”, trzeba mówić regulaminowo – upomniała sierżanta.

– Ty... ty... – zatkało go. – Nie rób jaj!

– Nie mogę nie robić – westchnęła. – Jestem dziewczyną i w związku z tym jedno jajo pojawia się w mojej macicy średnio raz na miesiąc. Nie mam na to wpływu.

– Karcer! – wycodził Blake przez zaciśnięte wargi.

Odprowadzono ją do karceru. I tu się Blake tak naprawdę przejechał po raz pierwszy. Karcer stanowił indywidualną klatkę ustawioną pod blaszanym dachem. Tortura polegała na tym, że wsadzony tam mężczyzna nie miał po prostu miejsca na jakikolwiek ruch. Musiał godzinami siedzieć w tej samej pozycji z głową wciśniętą między własne kolana. Niektórzy wyli, co miała możliwość usłyszeć. Problem jednak w tym, że projektant klatek uwzględnił standardowego mężczyznę, takiego mniej więcej o wzroście metr dziewięćdziesiąt pięć. Toy miała sto sześćdziesiąt, zatem zostało jej trzydzieści pięć centymetrów luzu. Zwinęła się więc w kłębek na podłodze i spokojnie zasnęła. Po prostu okazała się zbyt niska jak na tak wyrafinowaną torturę.

Karcer był fajny. Wodę dawali, ile kto chciał, z jedzenia tylko trzy chlebowe placki dziennie, lecz w upale nie chciało się jeść, a dodatkowo okazało się szybko, że dziewczyna ma za małe stopy na więzienne normy i może nawet wystawić nogi pomiędzy prętami klatki. Niby było nudno, ale widząc, co się dzieje na placu apelowym z resztą oddziału, Toy celowo zrugęła jednego ze strażników, który za to najpierw ją skopał, a później wymógł na Blake'u przedłużenie karceru o dwie doby. Ekstra! Dało się tu więc jakoś przeżyć.

* * *

Wszystko, co przyjemne, kończy się jednak szybko. Toy wypuszczono z karceru dokładnie w niedzielę. Dołączyła do oddziału w momencie, kiedy żołnierze, brudni i cuchnący, wychodzili ze słynnego zbiornika na ropę po niekończącym się czyszczeniu jego ścian. Blake tresował ich dalej, lecz tym razem okazała grupa weteranów zdecydowała się postawić. Osią kłótni był fakt, że w regulaminie każdej armii niedziela jest dniem wolnym i im też przysługuje takie prawo.

– To armia arabska – wyjaśnił sierżant z uśmiechem.

– No dobra – bąknął Cadillac. – To niech będzie wolny piątek.

– Nie dajmy się przerolować. Armia arabska, ale pod auspicjami ONZ – dodał Winnie-Winnie. – Więc każdemu należy się taki dzień wolny, jaki wybierze, w zależności od tego, w którego boga wierzy!

– Ależ oczywiście, żołnierzu. Macie rację. – Blake uśmiechnął się ciepło. Stanowił teraz wzór uprzejmości. Oddział był zbyt zmęczony, żeby to dostrzec, lecz Toy wiedziała, że wybór jakiegokolwiek religii zakończy się kolejnymi szykanami. – Zaraz ktoś przyniesie do waszego baraku formularze i tam każdy określi na piśmie, w co wierzy. Rozejść się!

Wojsko powlokło się do baraku, Toy nie. Przespacerowała się na wartownię i wdzięczyła do Arabów, chcąc uzyskać dostęp do komputera. Nie udało się. Poszła do baraku rozprawiania i tam, rozdając porozumiewawcze uśmiechy oraz kręcąc tyłkiem, wykorzystała dosłownie wszystko, czego nauczyła się w Sex Side. Wszelakie metody wabienia i flirtu. Udało się. Arabowie uśmiechali się również, klepali w wypięte pośladki, ale dali jej dostęp do terminala. Toy zalogowała się do sieci i szybko odnalazła interaktywną encyklopedię „Religie świata”.

* * *

Wróciła do baraku, kiedy wszyscy już pracownicy wypełniali sążniste, oenzetowskie formularze.

– O! Toy! – krzyknął Hot Dog na jej widok. – Wypełnisz za mnie? Bo wiesz...

Zerknęła na niego spod oka. Nie umiał pisać?

– Nie ma sprawy.

Szybko przeleciała wzrokiem wszystkie punkty. Pożyczyła od kogoś długopis i wypełniła mu papier w ciągu dwóch minut.

– Masz, wykuj na blachę i recytuj z przekonaniem.

– Dzięki, Toy. Jesteś fajna.

Sama zaczęła wypełniać swój formularz. Zaintrygowane Tally-Ho i Mobutu zerkwały jej przez ramię. Potem podały swoje do połowy wypełnione druczki, wzięły nowe i przepisały

słowo po słowie od koleżanki.

Blake przyszedł pół godziny później i zebrał poukładane w kupki na jednej z prycz papiery. Katolicy, protestanci, buddyści, wyznawcy Allacha... Starozakonnych nie było, a przynajmniej się nie przyznali. Wśród wcielonych do arabskiej armii samobójcy nie istnieli.

– Dobra. – Sierżant powoli przeglądał plik kartek. – Ci, którzy nie czczą niedzieli z powrotem do zbiornika, bo on coś słabo wyczyszczony. Katolicy, rzymscy i greccy, oraz protestanci udadzą się do kaplicy na mszę. Mam tylko jeden mały problem. Na terenie jednostki nie ma miejsca na budowę, więc kazałem postawić kaplicę poza terenem jednostki. Pobiegniecie tam. – Uśmiechnął się zadowolony. – To tylko dwadzieścia kilometrów w jedną stronę. Przed nocą wróćcie.

Oddział chciał go rozszarpać, ale facet wcale nie był taki głupi. Miał za oknami arabski pluton uzbrojony po zęby. Wziął do ręki ostatnie cztery kartki.

– Co tu jest napisane?

– Jestem czcicielem Bachusa! – zawył Hot Dog, stając na baczność.

– A co to, kurwa, jest?!

– Starożytna grecka religia – recytował najemnik z przekonaniem. – Nie mam żadnych świąt kościelnych, ale od czasu do czasu muszę pić przedmiot swojego kultu!

– Znaczący wódek? To przecież Maroko. Gdzie sobie kupicie?

– Proszę o przepustkę do ambasady Rosji, Polski lub Niemiec, gdzie zakupię przedmiot mojego kultu.

Blake parsknął śmiechem.

– Dobra, dam wam przepustkę. Inteligencję trzeba cenić.

Hot Dog westchnął zadowolony. Zerknął na Toy i powiedział samymi ustami, bezgłośnie:

– Dzięki! Dzięki! Dzięki!!!

Sierżant podszedł do trójki dziewczyn skupionych w najodleglejszym kącie sali. Tym razem wyglądał surowo.

– Co to jest religia... – zerknął na ich formularze – religia M'pondo? Jakie obchodzicie święta?

– My nie mamy żadnych świąt, panie sierżancie. – Toy wyprężyła się na baczność. – Nasz Bóg każe nam pracować codziennie!

– To i dobrze. Teraz wyczyścicie...

– Nie możemy teraz niczego czyścić, panie sierżancie. Właśnie nadszedł czas na rytualne obmywanie.

– Co?! – warknął. – A wiecie, gdzie jest najbliższa myjnia? Pięćdziesiąt kilometrów...

– Nasz Bóg każe się nam myć w najbliższym źródle wody – przerwała mu Toy. – A ono jest jakieś dwadzieścia metrów stąd.

Dał się wytrącić z rozkazującego tonu.

– Co to jest to M'pondo?

– To religia zatwierdzona w ONZ. Proszę sprawdzić.

Dziewczyna wzięła ręcznik i, omijając zaskoczonego sierżanta, ruszyła w stronę kabin z prysznicami.

– Proszę kazać włączyć wodę w centralnym węźle. Inaczej napiszemy skargę, że odmawia nam się tutaj podstawowych praktyk religijnych.

Mobutu i Tally-Ho ruszyły za nią z własnymi ręcznikami. Obie zagryzały wargi, żeby nie parsknąć śmiechem.

Umyły się po raz pierwszy dokładnie. Chichotały w swoich kabinach. Po raz pierwszy też poczuły wielką ulgę. Wytarły się do sucha, przebrały. Ale Blake już na nie czekał.

– A teraz... – wrzasnął.

– A teraz – przerwała mu Toy – musimy się połączyć z naszym Bogiem, panie sierżancie.

– Jak to: połączyć? – Znowu dał się zaskoczyć. – Uprawiacie z nim seks?

– Nie, panie sierżancie. Nasz Bóg nawiedza nas we śnie. I teraz właśnie, gdy już jesteśmy czyste, nadszedł czas na rytualną drzemkę.

– I tak jest co tydzień?

– Nie, panie sierżancie. Codziennie.

Toy ruszyła w stronę ich baraku. Mobutu i Tally-Ho poszły za nią, zasłaniając usta dłońmi.

– Ty se, psiakrew, jaja robisz... Tfu! Ty se dowcipy robisz?!

– Nie, panie sierżancie. Przepraszam, ale muszę teraz iść obcować ze swoim Bogiem.

Blake przygryzł wargi. Wściekły ruszył do baraku rozprowadzania, żeby sprawdzić w komputerze, co to jest M'pondo. Być może skorzystał nawet z tej samej encyklopedii, z której korzystała Toy.

* * *

Były niesamowicie wyspane i wypoczęte, kiedy w środku nocy wrócił Hot Dog. Nawalony jak stodoła. Oczywiście przeszukano go na wartowni, czy przypadkiem nie przenosi obiektów swojego kultu. Tyle tylko, że facet wiedział, co to jest pobeżna rewizja. Przeżył to już nieraz w wykonaniu policji. Wiedział, co to jest „oklepanie” i jak się przed tym zabezpieczyć. Najpierw zdjął spodnie. Okazało się, że do sznurków zawiązanych nad kolanami ma przyczepione prezerwatywy wypełnione alkoholem zawieszane na wysokości łydek. Tam już z reguły oklepujący nie sięgał, a jeśli nawet, miękki towar mógł udawać nogę. Potem zdjął kurtkę. Okazało się, że jest owinięty gumowym wężem do podlewania ogrodu zatkanym z obydwu stron. Czym wypełniony był wąż, łatwo się domyślić.

– Toy, to działka dla ciebie. – Hot Dog odkleił dwie wypełnione wódką prezerwatywy od nóg. – Jesteś fajną koleżanką.

– Dzięki.

Dziewczyny skupione we własnym kącie baraku ostrożnie przelały alkohol do kubków. Hot Dog zaczął odwijać z siebie wąż ogrodowy.

– Yellow. Stań za mną i pilnuj, żeby nikt nie wpierniczył mi bagnetu w tyłek, bo wiesz, jestem trochę nie tego...

– Jasne, stary! Podzielisz się?

– No pewnie.

Yellow oderwał nogę z najbliższej pryczy i stanął za kolegą w pozycji obronnej.

– Dobra – westchnął Hot Dog. – Reszta musi se kupić. Pięćset dolarów od manierki!

Przelał bezbarwny płyn do wojskowych naczyń. Oddział runął mordować Hot Doga. Ale Yellow nogą od pryczy powstrzymał wraże zapędy, licząc na udział w zyskach i w samym towarze.

Toy, podchmielona po kilku łykach, zaczęła krzyżeć:

– No i co katolicy, protestanci, buddyści i muzułmanie? Wyznawcy M'pondo rulez!

Mobutu i Tally-Ho chichotały zadowolone. Ktoś chciał uderzyć Toy ze złości na swój własny los, lecz Mobutu wstała z pryczy, prostując całe swoje dwa metry osiemnaście centymetrów bieżących wzrostu.

– Tylko spróbuj, chłopcze. – Zaprezentowała swoją pięść wielką jak bochen chleba. – Tylko spróbuj...

Tally-Ho, wzorem Yellowa, urwała nogę od pryczy i stanęła za plecami koleżanki.

– Dziewczyny z M'pondo walczą do końca!

Impreza rozkręcała się właśnie, choć większość najemników musiała się jakoś pogodzić z jej okropnymi kosztami. Maybe Not podeszła z boku.

– Ty, pies, słuchaj. – Przysiadła na brzegu pryczy. – Czaisz coś z tego, co tu się dzieje?

– Teraz trochę tak – powiedziała Toy. – To prawda, co mówił Winnie-Winnie?

– Co?

– No, że jesteśmy pod auspicjami ONZ?

– Prawda. Tylko dlatego Blake nas nie może zamordować na miejscu.

Toy westchnęła.

– No ładnie. Nawet bez Blake'a jesteśmy już trupami.

– O żesz ty... Aż tak źle?

Toy pociągnęła ze swojego kubka wielki łyk.

– Łatwo się domyślić, o co biega. Tak zwana „Czarna Afryka” jest wyludniona. Wiesz, te wszystkie AIDS-y, nowe wirusy, rzezie, głód... To właściwie pusty kontynent z powodu naszej indolencji i prawa, które nie pozwala ingerować w sprawy innych państw. Więc pozwalaliśmy na rzezie, na to, że milionami zdychali z głodu, że warunki higieniczne urągały wszystkiemu, co sobie można wyobrazić. – Pociągnęła wielki haust wódki. – A potem przyszła Ebola-X. Wszystkich chłopaków od pomocy dla Murzynów zdjął strach. Były jeszcze jakieś zrzuty z samolotów stratosferycznych, ale... Zasadniczo biały człowiek wyniósł

się z Afryki, pozostawiając dwie odizolowane strefy jako przyczółki: arabskie wybrzeże sąsiadujące z Europą i południowoafrykański cypel na dole. A teraz, jak mówią zdjęcia satelitarne, jest tam raczej pustawo. Lekarstwo na nową Ebolę wymyślono, więc... – Wzruszyła ramionami. – ONZ postanowiło powrócić na Czarny Ląd i jakoś tam zadbać o resztki tych, co przeżyli. Ale z czego sfinansować tak kolosalną akcję? No i wymyślili. – Wzięła jeszcze jeden haust wódki. Rozkaszała się. – Co się mają marnować takie bogactwa naturalne w kompletnej głuszy? Niech sobie globalne koncerny wezmą, co chcą z bogactw naturalnych, uruchomią kopalnie i cały ten szajs, no i... no... Po prostu wezmą, co kto będzie chciał.

– A co z ludźmi, którzy tam jeszcze żyją? – spytała Bokassa.

– Koncerny za to, że będą mogły wykopać to, co będą chciały, muszą utrzymać ludzi na swoim terenie. Dać zjeść, opiekę medyczną, edukację. Genialny plan. Będziemy zbawcami i nie wydamy na to ani grosza. Nie?

– Jak to? Każda firma będzie sobie mogła przyjść i wziąć, co chce? – wtrąciła się Mobutu.

– Każda! No co wy? Gazet nie czytacie? – Toy osuszyła swój kubek do dna. – Nie wolno tylko ruszać afrykańskich państw o zaludnieniu zbliżonym do pięćdziesięciu osób na kilometr kwadratowy, zorganizowanych na tyle, by utrzymać podstawowe służby publiczne i zdolnych wyżywić swoją ludność. A takich państw... – Zerknęła przez okno w stronę, jak jej się zdawało, wnętrza kontynentu. – Takich państw tam nie ma.

– No to się teraz koncerny pobijają ze sobą – mruknął Cadillac. – I to ostro.

– A właśnie. Wymyślono „Wielki Wyścig”. ONZ nie chce, żeby doszło do rzezi w pobliżu najlepszych terenów. Więc se wydumali tak: określili datę rozpoczęcia wyścigu, lecz nie powiedzieli, na czym on będzie polegał. Najlepsze tereny może zagarnąć firma, która znajdzie się na nich najszybciej, albo taka, która wymyśli dla regionu najlepszy program pomocy społecznej albo najbardziej elastyczną technologię eksploatacji. Nikt nie wie. I dlatego od miesięcy u wybrzeży Afryki roi się od statków różnych koncernów wyładowanych po brzegi Bóg jeden wie czym.

– Dalej nie kumam – powiedziała Maybe Not.

– Jeezu, widziałaś taki stary film „Za horyzontem”? Tam na Dzikim Zachodzie urządzili to samo. Mieli kawał niczyjej ziemi do wzięcia, jednak chętnych było więcej. Więc wojsko otoczyło teren i strzelało do osadników, gdy się który wyrwał przodem. A potem dali sygnał i zaczął się wyścig. Kto pierwszy zajął jakąś działkę – była jego. Kto się spóźnił – szedł won. I tyle.

– Tu też będą się ścigać?

– Toż mówię: nikt nie wie, jakie są zasady „Wielkiego Wyścigu” tutaj. Poznamy je dopiero w dniu ogłoszenia. Jednak żadna z firm nie chce być zaskoczona, więc... usiłuje zadbać o swoje interesy wcześniej.

– A my tu po co? – spytała Mobutu.

– Łatwo się domyślić. – Clash usiadł na brzegu ich łóżka.

– Pewnie, że łatwo. – Toy nalała sobie następny kubek wódki. – Wcielono nas do marokańskiego korpusu wojsk ONZ. Wiadomo, że Niebieskie Hełmy wkroczą pierwsze, żeby zadbać o fair play. A Marokańczyków łatwo przekupić. Więc jeśli wejdziemy poza strefę, to prędko zrzucimy błękitne czapeczki i chodu, byle tylko szybciej znaleźć się w miejscu, które interesuje naszego sponsora.

– I ONZ przełknie taki numer?

– A kogo to obchodzi? Na mur nie dostaniemy misji zajęcia danego terenu. Coś mamy namieszać, ale tylko Dante wie co.

– To czemu mówiłaś, że źle z nami?

– A jak myślisz? Że tylko nasz sponsor jest taki sprytny? Zobaczysz, że przy co bardziej konkretnych złożach łatwiej będzie spotkać faceta z karabinem niż gołą dupę przy krawężniku w Sex Side Hollywood.

Toy podniosła się z łóżka i wypila połowę zawartości swojego kubka. Ruszyła w stronę wyjścia z baraku.

– Idę się przewietrzyć.

Ze złością kopnęła blaszane drzwi. Przeszła kilka kroków, lekko się zataczając. Nawet w nocy czuło się ciepło bijące od rozgrzanego asfaltu. Gwiazd nie było widać, luna bijąca z sodówek na placu oślepiła każdego, kto podniósł głowę. Toy odeszła gdzieś w ciemność przy ogrodzeniu, za baraki. Zauważyła nikłe światło w oknie czyjejs kwatery. Podeszła odruchowo. Zauważyła Blake'a, który siedział przy biurku i czytał gazetę. Cierpiał na bezsenność? Ciekawe. Przyglądała mu się zaintrygowana. Miał na oczach okulary z grubymi szklami, a mimo to trzymał gazetę tuż przed oczami, więc był potwornym krótkowidzem, tak jak ona. Ale ukrywał to za dnia. Nagle wiedziona jakimś irracjonalnym odruchem zapukała energicznie do drzwi, otworzyła je i weszła do środka.

– Panie sierżancie! – zameldowała, usiłując nie myśleć o tym, czy dostanie za wyskok karcer, czy czyszczenie zbiornika. – Czy mogę się zachować bardzo nieregularnie?

Poprawił okulary na nosie. Ona też. Chwiała się lekko i musiała oprzeć się plecami o framugę.

– A to ty. Najbardziej pyskata baba w oddziale. – Odłożył gazetę. – O co chodzi?

Nie kazał jej zabić od razu, więc przepełniona nagłą odwagą wypaliła.

– Chciałabym postawić panu drinka, panie sierżancie.

Ostrożnie podała mu swój kubek. Wziął. Czym zresztą zaskoczył ją kompletnie. Popatrzył na zawartość. Teraz dopiero zrozumiała, że mógł podejrzewać ją o dolanie środków przeczyszczających albo wręcz trucizny. Szczególnie w jej wykonaniu... Blake zadziwił Toy jednak znowu. Wypił wódkę jednym haustem.

– Chciałam pana przeprosić, panie sierżancie.

– Za co?

– Bo pan... Wiem, że najemnicy to z reguły kiepskie wojsko, a pan... pan przynajmniej usiłuje nas nauczyć jakiejś dyscypliny.

– To czemu jesteś taka pyskata?

– Bo... – Opuściła głowę. – Bo... To tylko taka maska. Tak się musiałam jakoś opancerzyć, bo... Bo jestem tak cholernie samotna! – wypaliła nareszcie.

Wstał. Oddał jej kubek. Uśmiechnął się ledwie dostrzegalnym skrzywieniem warg.

– Znam to uczucie.

Teraz dopiero zauważyła, że ten uśmiech był raczej smutny.

– To tylko maska – powtórzyła.

– Wiem. Też mam taką.

Spojrzała na niego nieśmiało. Zrobiła krok do przodu. Potem przytuliła się delikatnie. Objął ją. Usiłował chustką obetrzeć jej łzy. Zdjęła okulary i przyjęła od niego chustkę. Długą chwilę stali w milczeniu.

– No, idźcie już – powiedział cicho, głaszcząc ją po włosach. – Idźcie i wypijcie się, bo jutro macie wyjazd. A poza tym nie wypada, żeby dwóch żołnierzy całowało się w wojskowej bazie.

Uśmiechnęła się. Pocałowała go jeszcze raz i w dużo lepszym nastroju pobiegła do baraku pokłaść kolegów spać, bo jutro będą same dętki zamiast zorganizowanej kompanii.

* * *

Następnego dnia rozdano im nareszcie sprzęt i wyposażenie. Niektórym się wydawało, że to wyzwolenie horroru obozu szkoleniowego, ale nie wszystkim. Toy, tak jak inni, musiała nałożyć na siebie mundur, kamizelkę kuloodporną, kevlarowe ochraniacze na łokcie i kolana, plecak z całym wyposażeniem, chlebak, ładownice, GPS, radio satelitarne, namiernik, radar impulsowy, gogle z noktowizorem, maskę, karabin HK z całą masą dodatkowego badziewia, błękitny hełm, a na to wszystko jeszcze mundur maskujący, czyli *ghillie suit*, dzięki któremu przypominała teraz wyschnięty krzak porośnięty kępkami trawy. Boże! Wyposażenie ważyło dwadzieścia kilo, sama Toy czterdzieści pięć, więc można było zaryzykować stwierdzenie, że zwiększyła swoją wagę o połowę. Oczywiście żadnego indywidualnego klimatyzatora w zestawie nie przewidziano. W oporządzeniu po prostu się pływało jak w basenie, tyle że zamiast wody do dyspozycji miało się własny pot.

Wyruszyli w drogę jako kompania będąca częścią wzmocnionego batalionu marokańskich sił włączonych do oenzetowskiej ochrony strefy buforowej. Cały oddział dostał więc trzy trackwoly zwiadu, dwa stalkery wsparcia, sześć gąsienicowych marderów do transportu i kilka humvee z zaopatrzeniem plus ciężarówka-cysterna z ropą. Żadnego wsparcia przeciwlotniczego, bo i po co? Żadnych wozów sztabowych, bo i po co? Sztab

stanowił teraz Dante, który odłączył ich kompanię od batalionu już na pierwszym postoju. Kiedy odjechali za najbliższą wydnię, rozkazał:

– Zdjąć te niebieskie garnki z głów i przemalować na normalny kolor!

– Co? – postawiła się Toy. – Nie występujemy już jako smerfy?

Mobutu zachichotała. Dante nawet na nią nie spojrzał. Kazał zająć miejsca w pojazdach. Boże. Ci w trackwolfach, stalkerach i humvee mieli jeszcze jako tako. Ale w marderach nie dawało się wytrzymać – szczelnie zamknięte blaszane puszki na gąsienicach, wystawione na prażące słońce bez żadnej klimatyzacji w środku. Wszyscy, którym przypadła w udziale ta niezbyt wyrafinowana, acz skuteczna tortura, wdrapali się na dachy kanciastych pojazdów i okryli szmatami przed prażącym słońcem. I tak okazało się to lepsze niż siedzenie w pancernym piecyku poniżej. Siedzieli więc, trzęsąc się na starej betonowej drodze, z karabinami na sztorc, bo na lufie można było chociaż zaczepić prowizoryczną osłonę przeciwsłoneczną.

– Boże! Czarny Łąd – ekscytowała się Tally-Ho. – O czymś takim czytałam tylko w starych książkach. Stanley, doktor Livingstone...

– Taaaa... Oni też podróżowali gąsienicowymi transporterami opancerzonymi po betonowej autostradzie.

– Oj, już nie opowiadaj. Stanley miał karabiny maszynowe Maxima, z których walił do wszystkiego, co się rusza, jeśli mu coś nie pasowało.

– Jasne – włączył się Hot Dog. – Te dwa stalkery wsparcia zapierniczą wszystkich czarnuchów, którzy by nam chcieli mieszać.

– Jeszcze raz powiesz „czarnuchów”, gnoju, a użyję cię jako amunicji do ich zabijania – mruknęła Mobutu.

– Dawaj, dawaj. – Bokassa wyjrzała spod swojej chusty chroniącej od słońca. – Pomogę ci, koleżanko.

– Przestańcie – zgasiła je Tally-Ho. – Nie widzicie? Wyprawa w nieznanie... Jak w „Star Treku”.

– Tylko my już nie jesteśmy siłami Federacji – wtrąciła Toy. – Teraz my Romulanie. Ci źli.

– Odwalcie się, głupie dupy.

– Słusznie, słusznie. – Hot Dog poparł prostytutkę z Księżyca. – Masz rację, dziecko.

– Ja nie o tym. Rozumiecie? To wreszcie jakaś przygoda. Czarny Łąd. Znowu z białymi plamami na mapach jak za Stanleya! Nieodkryty. Niczym w „Star Treku”.

– Jasne – mruknęła Mobutu. – Stanley... Jak mi podskoczysz z przedpotopowym Maximem, to ja mam Hecklera i Kocha w garści. Z granatnikiem.

– Zaraz zobaczycie coś lepszego – powiedziała Toy – Dwa łyki egzotyki.

Bokassa się roześmiała.

– Co?

– Popatrzcie tam. – Wskazała dość sporą chmurę nad horyzontem. – Kiedyś, gdy się naszym wydawało, że Afryka się przeludni, zrzucali na spadochronach środki antykoncepcyjne, jednak żeby Murzyni wiedzieli, jak ich używać, wyświetlali na chmurach filmy instruktażowe.

– Na chmurach?

– Ta... wysłali satelity, a te laserami wyświetlały na chmurach instrukcje obsługi. Potem okazało się, że Afryka nie będzie przeludniona tylko... – zawahała się i dokończyła: – wymarła? – Zabrzmiało jak pytanie. – Jednak satelitów nie ściągnięto, bo za duży koszt. Więc one dalej robią swoje.

Skupili się na najbliższej chmurze. Kilku najemników wyciągnęło lornetki. A tam w obłokach leciał film, jak się naciąga prezerwatywę i na co. Ze szczegółami.

– O żesz ty...

– No co? Doktor Livingstone byłby zachwycony. Chociaż on chyba nie seksuolog.

– He, he, he... Ale jaja!

– No! Niezłe ma – wtrąciła jakaś dziewczyna, patrząc na aktora, którego postać widniała w chmurze.

– Ja nie o tym – obruszył się Hot Dog, komentując film. – Ja w sensie, że to niezły dowcip.

Ich pojazdem targnęło nagle. Skręcili z betonu w boczną keramzytową drogę. Gąsienice wydawały piszczący dźwięk, ślizgając się na nierównych płytach. Po chwili znowu wdarli się na beton i przyspieszyli ostro. Kilometr za kilometrem, mila za milą, w zależności jak kto liczył. Silniki wyły na najwyższych obrotach. Z postawionych na sztorc rur wydechowych dymiły lotne produkty spalania ropy. Smród spalin zatruwał przyjemny chłód wywołanego pędem wiatru. „Star Trek”. Warp 5. Z tą różnicą, że silniki statków na filmie nie hałasowały tak strasznie.

Toy pamiętała z całej podróży tylko pojedyncze sceny. Na przykład Tally-Ho, która wystrzeliła cały magazynek, ponieważ coś się ruszało w krzakach. Ruszał się ich własny radar lokalizacyjny i za zniszczenie sprzętu dziewczyna musiała nosić ten złom na własnych rękach wokół obozu przez pół nocy, drąc się na cały głos, że teraz ona jest „ludzkim radarem”. Albo Cadillaca, który pędził bimber na dachu transportera w metalowych puszkach. Nie używał żadnych dodatkowych instalacji. Po prostu rozklepywał puszki z koncentratem owocowym na płasko, dodawał cukru i wody, a później już tylko czekał na efekt działania słońca.

Potem skończyły się drogi. Właściwie to nie skończyły się, lecz pojawiały się rzadziej i były dużo gorsze. Zdarzały się nawet gruntowe. Opuszczone betonowe budowle wokół ustępowały powoli miejsca ruinom szałasów i domów, a na koniec w ogóle stosom plastikowych śmieci. Kiedy wjechali na pustynię, musieli się przedzierać przez totalne śmietnisko. Tu dopiero gąsienicowe mardery ujawniły swoją wyższość. Często trzeba było brać na hol ciężarówkę z ropą. A oni budowali ze znalezionych odpadków coraz wyższe

rusztowania na dachach transporterów, bo ktoś powiedział, że nie słońce zabija, a temperatura. I im wyżej się jest od nagrzanego podłoża, tym zimniej. Może i racja. Ale wypijali swój zapas wody w błyskawicznym tempie. Wieczorem wtajemniczeni ukrywali się za najbliższą możliwie dużą kupą śmieci i sączyli ohydny w smaku bimber Cadillaca.

Pewnego dnia jeden stalker zderzył się z drugim. Zadziały odbojniki i trzeba było oba naprawiać. Dzień wolny.

Tally-Ho zachwycona Afryką i pierwszą prawdziwą przygodą w jej życiu, miała nawet stary przewodnik po okolicy. Przygotowała się starannie. Zabrała Toy i Mobutu na zwiedzanie jakiejś niesamowitej skalnej świątyni w wąwozie niezbyt daleko. Wzięły jednego humvee i pojechały niby na zwiad.

Świątynia rzeczywiście okazała się niesamowita. Wykute w skale przed tysiącami lat kolumny obwieszane były plastikowymi spadochronami ze środkami antykoncepcyjnymi, które powiewały na wietrze. Na niewielkiej chmurce nad nimi dawno porzucone satelity wyświetlały film, który ze szczegółami instruował, jak tych środków użyć. A one, trzy turystki, obwieszane bronią, w jakichś idiotycznych „krzaczastych” mundurach porozumiewały się przez radio, bo Dante zakazał zdejmowania masek. Usiłowały wejść na antyczne schody, ale zwątpiły w jednej czwartej. Za dużo kilogramów miały na sobie. Spocone i zdyszane wróciły do humvee i ruszyły w drogę powrotną.

Wtedy właśnie spotkały pierwszych Murzynów, a właściwie trzy Murzynki. Wychudzone, pokryte wrzodami kobiety ubrane w brudne podkoszulki i podarte, rozpadające się dzinsy. Usiłowały zatrzymać pojazd. A ponieważ w okolicy najemniczki nie zauważyły nikogo innego, więc czemu nie? Mobutu stanęła przy erkaemie, a Toy i Tally-Ho z HK w dłoniach wysiadły zobaczyć, o co tamtym chodzi.

W żaden sposób nie mogły się zrozumieć. Może po kwadransie udało się domyślić z chaotycznej gestykulacji, że Murzynki są prostytutkami i chcą po prostu namówić żołnierzy na skorzystanie z ich usług. Toy ryknęła śmiechem.

– Nic z tego, dziewczyny. Po pierwsze, obie robiłyśmy w tym samym fachu, a po drugie, nie jesteśmy chłopakami.

Afrykanki nic nie rozumiały. Napierały coraz bardziej. Wreszcie Tally-Ho nie wytrzymała. Odłożyła karabin i z dużym trudem rozchełstała wszystkie warstwy swojego munduru.

– Nic z tego – powiedziała, pokazując piersi. – Nic z tego! Jesteśmy babami.

Murzynki odeszły rozczarowane, klóćąc się o czekoladę, którą dała im Toy na pocieszenie.

– Co one tu robią? – spytała Mobutu, kiedy humvee ruszył nareszcie, buksując na przysypanych piaskiem stertach plastikowych śmieci. – Na pustyni?

– Może uciekają?

– Tędy?

Wyjaśnienie przyszło szybko. Udało im się zlokalizować stare polowe lotnisko UNICEF-u. Na jedynym pasie leżał na pół wypalony wrak Galaxy, rozbity chyba przed kilkadziesiąt laty. Wokół niego koczowało kilkunastoosobowe plemię żyjące dzięki żywności, którą zawierała jego komora transportowa. W pociętym pociskami śmigłowcu tuż obok wódz zrobił sobie chatę.

– Nieźle się tu prali przed laty – mruknęła Mobutu.

– No. – Toy wskazała chudego mężczyznę, który chciał bronić swojego dobytku i groźnie potrząsał dzidą. – Ciekawe, co będzie z tą małą cywilizacją, gdy skończą się konserwy z samolotu?

Jakaś kobieta wyciągnęła w ich kierunku dziecko z brzydką ropiejącą raną na ramieniu. Toy rzuciła jej pakiet medyczny. Tally-Ho chciała wysiąść i pomóc, ale Mobutu chwyciła ją za ramię i dodała gazu.

– Wiejemy, dziewczyny. Bóg jeden wie, czym się możemy tu zarazić.

Wróciły do obozu przed zmrokiem. Stalkery już prowizorycznie połatano i Dante zarządził jazdę w nocy. Kierowcy mieli się zmieniać co trzy godziny. I zaczął się horror. Żołnierze musieli się przywiązać do dachów marderów, żeby nie spaść wprost pod gąsienice, kiedy zasną. Najpierw z ulgą przyjęli spadek temperatury, potem jednak zrobiło się strasznie zimno. Usiłowali się czymś poprzykrywać. Trzęsło tak, że zamiast spać, zapadali co najwyżej w nerwową drzemkę. Najgorsze były chwile, gdy ktoś budził brutalnie i trzeba było wkładać gogle, by zająć fotel kierowcy. Niby nic, tyle że oczy się zamykały same, a te cholerne noktowizory dawały straszne ograniczenie kątów widzenia. Wystarczyło raz spojrzeć w bok albo się zamyslić i już słyszało się huk miażdżonej blachy, a potem wściekłe przekleństwa przez radio, opierdół Dantego, zadawane różnymi przedmiotami przez otwarte włazy kopniaki i ciosy, których obudzeni koledzy z dachu nie szczędzili pechowemu kierowcy.

Jechali tak trzy doby, robiąc konieczne przerwy, żeby wystudzić silniki transporterów. Ciepłota od upału w dzień i trzęsąc się z zimna w nocy. Telefonując do rodzin i znajomych, żeby zabić nudę, Dante na szczęście nie miał wpływu na siłę sygnału. Tu wyszła na jaw wyższość marderów nad humvee, trackwolfami, stalkerami i ciężarówką-cysterną. Na płaskich dachach transporterów gąsienicowych jednak udawało się upitrasić coś ciepłego czy choćby ugotować wodę na kawę. Dało się też z nich, przynajmniej jako tako, sikać, choć niezmiennie ta czynność uruchamiała wszystkie klaksony i wywoływała głośne komentarze przez radio tych, co jechali z tyłu. Z innymi potrzebami trzeba było czekać na krótkie momenty tankowania, co często stawało się torturą, ponieważ te cholerne pojazdy miały zbiorniki wielkości brzuchów wielorybów.

Żeglowali tak przez piasek i zwały odpadów zwożonych tu przez lata z całego świata, aż dotarli do pierwszych pasm spłowiełej zieleni. Znowu pojawiła się asfaltowa szosa, w fatalnym stanie zresztą, lepiej już było jechać bezdrożami. Potem zobaczyli rzekę. Ruszyli betonowym nabrzeżem, wdzierając się w coraz dziksze tereny. W końcu wjechali między

drzewa, coraz wyższe i gęstsze, w miarę jak zbliżali się do wilgotnej strefy.

Gdy dotarli do czegoś, co od biedy można by nazwać puszczą, chorą i przetrzebioną przez szkodniki, Dante zarządził nareszcie długi postój. Zebrał wszystkich ludzi na małej polance wśród pokrytych dziwnymi liszajami drzew i palnął przemowę.

– Słuchajcie, leniwe świnie! Zbliżamy się do naszej przestrzeni operacyjnej. Oddać mi wszystkie telefony...

Toy natychmiast ukryła swój dyskretnie pod stanikiem, między piersiami.

– Jeśli złapię kogoś z telefonem, to zapewniam, że taki kretyn zje swój aparat i zaraz wysra! Od tej chwili możecie używać tylko biernych systemów rozpoznania. Radary włączać jedynie na mój wyraźny rozkaz! Jeżeli jakiś idiota poświęci sobie w nocy reflektorem ultrafioletowym, to...

– To go zje bez soli – szepnęła Toy.

Dante usłyszał.

– Toy. Myślę, że dobrze ci zrobi trzydzieści pompek w oporządzeniu.

Jezu... Nie!

– Zaspiesz się i będziesz mniej gadatliwa. – Nawet nie zerknął na zrezygnowaną dziewczynę, która runęła na ziemię. – Nie wolno używać radia o dalekim zasięgu, nie wolno w nocy palić papierosów nigdzie poza wnętrzami pojazdów, nie wolno słuchać muzyki.

Rozwinął wielką mapę. Wymazano z niej wszystkie nazwy, widać było tylko koordynaty siatki GPS.

– Jedziemy tu. – Pokazał punkt oznaczony na czerwono. – Zapamiętajcie jego pozycję, ale nigdzie tego nie zapisujcie.

– A jaki to kraj? – spytała Tally-Ho.

– Tally-Ho. Myślę, że dobrze ci zrobi trzydzieści pompek w oporządzeniu.

– Wiem. Zaspiesz się i będę mniej gadatliwa. – Dziewczyna potulnie padła na ziemię tuż obok Toy.

– Naszego sponsora interesuje ten rejon. Obok są stare kopalnie i duże obiecujące złoża. Dobrze byłoby je chwycić, lecz firma uważa to za cel numer dwa. Najważniejszy jest ten rejon. Na powierzchni niczego nie będzie widać i najprawdopodobniej nikt nie wie, że tam coś jest...

– A co tam jest? – wyrwało się Lady. – Oups! Wiem, po trzydziestu pompkach będę mniej gadatliwa. – Chinka sama padła na glebę obok koleżanek.

– Nikt nie liczy, że pojedyncza kompania pozbawiona wsparcia zajmie jakikolwiek teren. Tym bardziej że na pewno wszyscy obserwują nas przez satelity. Mamy tylko rozpoznać sytuację i zerknąć, co ewentualnie robią tam konkurencyjne firmy. Jeśli robią... Niemniej od jutra znajdziemy się w strefie potencjalnej wojny. W razie jakiegokolwiek wpadki czy rąbania, zróbcie wszystko, co możecie. Dajcie z siebie naprawdę dużo. – Postanowił poprzeć morale wojska miażdżącym argumentem: – Przypominam, że oddaliście swoje paszporty i jesteście

dezertkami z armii Maroka. Tylko nasz sponsor może was wyciągnąć z Afryki. Więc zróbcie mu dobrze... Pamiętajcie o tym. – Uśmiechnął się dość nawet ciepło. – W razie gdyby doszło do rozproszenia, dostańcie się do punktu, który pokazałem wam na mapie, kierując się GPS-ami. Raczej nie zalecam ucieczki na wybrzeże, bo tam was Marokańczycy rozstrzelają, a inne kraje arabskie deportują do Maroka. Można próbować ucieczki na czarne wybrzeża, a potem wpływ do Ameryki. – Znowu się uśmiechnął. – Można też czekać na wojska ONZ. Ale wtedy nie przyznawajcie się, że jesteście najemnikami, tylko postarajcie się udowodnić, że przybyliście tu rabować i grabić na własną rękę. Może wtedy posadzą was w więzieniu europejskim, gdzie będziecie mieli szansę przeżycia.

Zwinął mapę.

– Sami więc widzicie. Postarajcie się zadowolić naszego zleceniodawcę.

Toy nie zdążyła się przestraszyć. Dyszała ciężko po trzydziestu pompkach, przyciskając ręce do twarzy. Tally-Ho i Lady wyglądały podobnie. Przez tętniącą w uszach krew ledwie słyszały, jak Dante kazał zdjąć te śmieszne konstrukcje z dachów pojazdów i pakować się wszystkim do ciasnych, dusznych wnętrz. Znowu mieli przypominać wojsko.

I w zasadzie początkowo przypominali. Przynajmniej do momentu, kiedy wzeszło słońce. A potem, tłukąc się w pancernym, ciasnym i niewentylowanym wnętrzu mardera, zaczęli przypominać bywalców sauny. Tyle że osoby, które chciały się wyparzyć, nie musiały się dodatkowo okutać w kilka warstw mundurów i ochraniaczy. Ale nawet te warstwy zdążyli przepocić stosunkowo szybko.

Wypijali hektolitry wody, gdy zaczęło się dziać coś dziwnego – po picu coraz bardziej bolały brzuchy i głowy, uczucie zaspokożenia pragnienia jednak nie następowało. Niektórzy po dwóch dniach zaczynali puchnąć, inni przeciwnie – jakby się zasuszali. Z ulgą przyjmowali każdy postój. Również ten ostatni, kiedy marder zarył tak, że rzuciło nimi na blaszaną ścianę. Ci, którzy mogli, wygramolili się na zewnątrz. Na szczęście trwał właśnie dyżur Toy i Cadillaca. Wypełzli jakoś, dysząc – wilgotny upał na zewnątrz wydawał się rajem w porównaniu z piekłem wewnątrz pojazdu.

– O kurde... – Cadillac przyjął pozycję strzelecką, obejmując wartę po prawej stronie pojazdu. – Toy, wyglądasz jakbyś schudła pięć kilo.

– No to ważę teraz dokładnie dwa razy tyle, co mój ekwipunek.

– Co? Ciepło wam? – Maybe Not przechodziła obok, poprawiając chustę na szyi. Miała szczęście, ponieważ przydzielono ją do trackwolfa.

– Czemu stoimy?

– Winnie-Winnie odkrył ślady jakichś ciężarówek. Dużych. Naprawdę dużych.

– Ilu? – spytał Cadillac.

– Ze dwudziestu co najmniej. Sprzed paru dni.

– Ciężarówki tutaj?

Maybe Not wzruszyła ramionami.

– Myślisz, że tylko my tu myszkujemy?

Dante wychylił się ze swojego humvee. Pokazał coś załodze najbliższego trackwolfa, który ruszył i wbił się w krzaki przy rzece, ugrzązł zresztą momentalnie. Dante na pomoc tamtemu ruszył stalkera. Stalker nie przejechał nawet dwóch metrów, kiedy coś eksplodowało pod nim, wrywając klapy wszystkich włazów. Z jednego z nich wyskoczył Winnie-Winnie w palącym się kombinezonie i biegł w ich stronę, wrzeszcząc coś niezrozumiałego. Wszyscy byli tak zszokowani, że nie zdążyli zająć pozycji obronnych. Tylko Maybe Not powiedziała spokojnie do płonącego kolegi:

– Nie w tę stronę. – Wskazała mu rzekę tuż obok. – Tam!

W tym momencie we wnętrzu stalkera coś wybuchło. Podmuchił zgasił płomień na kombinezonie Winniego i rzucił go na ziemię. To był jedyny facet, który mógł przeżyć z całej załogi. Reszta, rekruci, zostali w środku.

Tally-Ho wysunęła głowę z wnętrza pojazdu.

– Czy ktoś strzela? – spytała.

– Nie – odpowiedziała odruchowo Toy. – To jakiś wypadek.

– Gówno wypadek! – zawyła Maybe Not. – Chodu!!!

Ruszyła biegiem w kierunku zarośli nad rzeką. Cadillac oparł swój erkaem o pancierz mardera i spojrział na Toy.

– No co tak na mnie patrzysz?! – wrzasnęła. – Nie wiem, kurwa, co się dzieje!

– Co się dzieje? – Z wnętrza wysunęła się głowa Mobutu. – Coś wybuchło?

– Odpieprzcie się! Winnie-Winnie się fajczył.

– Nie mogli sfajczyć Hot Doga? Musieli akurat Winniego?

Maybe Not dobiegła właśnie do zarośli. Clash ciągnął Australijczyka w osmalonym kombinezonie za nogi. Na drugim brzegu rzeki coś błyskało. Ich marder dostał okrutnie w płytę czołową. Targnęło nim w tył o dobre pół metra, aż Toy i Cadillacowi wytrąciło broń z rąk. Mobutu, Tally-Ho, Lady i jakiś chłopak wyskoczyli na zewnątrz. Reszta zaczęła się palić. Toy spanikowana chwyciła gaśnicę i... Chryste! Po prostu wrzuciła ją do środka. Zamiast wyrwać zawleczkę i wpuścić tam strugę piany, ona... po prostu wrzuciła do transportera całą zabezpieczoną gaśnicę. Jezu... Cadillac podał jej karabin, chwycił erkaem i zaczął walić, niezbyt celując. Żar z płonącego mardera zmusił Toy do cofnięcia się o kilka kroków od transportera. Momentalnie oberwała w brzuch. Pocisk spłaszczył się na kamizelce, nie robiąc większej krzywdy, ale dziewczyną targnęło w tył, upadła na plecy, znowu wypuszczając z rąk karabin. Kątem oka zauważyła, że Yellow uderzeniem pięści włączył radar w swoim humvee i wyskoczył z pojazdu. Sekundę później hummer zamienił się w kulę ognia, lecz radar zdążył przekazać dane do komputerów transporterów, ponieważ w piekielnym huku wystartowało z nich jakieś sześćdziesiąt rakiet, celując w miejsca, skąd strzelano, i to idealnie, mierząc po torach nadlatujących pocisków. Na drugim brzegu zagotowało się nagle. Yellow w płonącym *ghillie suit* czołgał się do drzew. Ogień przeciwnika nagle osłabł, by po chwili się wzmóc i

znowu osłabnąć, kiedy jedyny ocalały stalker zaczął walić ze wszystkiego, co miał na wyposażeniu. Toy ogłuszona totalnie chwyciła karabin i swoje kłamoty. Podniosła się niemrawo. Usiłowała biec w kierunku drzew, kaszląc i dusząc się coraz bardziej. Zderzyła się z kimś. Chyba z jakimś roslym facetem, bo ponownie rzuciło ją na ziemię. I całe szczęście, ponieważ tamtego właśnie prawie przepołowiła seria dużego kalibru. Rozpłakała się. Coś eksplodowało za jej głową. Nie słyszała już niczego, tylko uporczywe dzwonienie w uszach. Dwa mardery płonęły – cofając, zderzyły się ze sobą i tak już zostały. Stalker walił z czegoś, co Toy odczuwała aż w kościach jako potworne dudnienie. Trackwoly wiały na pełnej szybkości. Nad miejscem ich postoju uniósł się ognisty grzyb wybuchu, którego nie powstydzilyby się mała bomba atomowa. To wybuchła ciężarówka z paliwem...

Toy uparcie czołgała się w stronę zarośli. Dostała jeszcze dwukrotnie. Raz w nogę, konkretnie w ochraniacz na udzie, drugi raz w hełm. Zwymiotowała gwałtownie. Zerwała maskę i w idiotycznym odruchu wytarła usta chustką. Zobaczyła jakichś ludzi biegnących w jej kierunku. Odrzuciła plecak i kłamoty, chwyciła karabin, zerwała się i przerażona zaczęła biec. Dopadła zbawczych zarośli nad rzeką tuż przy trackwolfe, który tam ugrzązł na samym początku i właśnie się dopalał. Toy przeładowała i wpakowała serię w kogoś, kto zaatakował z boku. Wielką postać odrzuciło o dobry metr. Toy struchlała nagle. Mobutu, wyjąc przez radio, zdjęła maskę i hełm. Beczała na cały głos.

– Toy, kurwa!!! – W irracjonalnym odruchu ściągała z siebie *ghillie suit*. – Odpaliłaś mi w brzuch sto pocisków!

– Jezus... Jezus. Żyjesz?

– Boże! Boże!!! – Mobutu odpinała rzepy kamizelki kuloodpornej. – Dostałam stówę na korpus! Jezus... Walnęło w jakąś szczelinę? Widzisz krew, kretynko?

– Mobutu! Przepraszam! Przepraszam!!!

– Jezu, widzisz krew, oślisko? – Mobutu, łykając łzy, rozpinała kurtkę.

– Nie widzę, bo jesteś czarna! – Toy trzęsącymi się rękami pomagała jej zdejmować mundur. – Chodź bliżej.

Maybe Not wychyliła się spod jakiegoś krzaka.

– To były igłowe z chwytu – powiedziała. – Inaczej już byś nie żyła, durna dupo.

Hot Dog dopadł do nich, ciągnąc razem z Clashem niezbyt przytomnego Winniego.

– No... główki nisko, baby. Teraz się zacznij.

Mobutu, ciągle płacząc, obmacywała się i oklepywała wszędzie. Przypalony Australijczyk jęczał, Toy beczała razem ze swoją koleżanką. Tally-Ho siedziała na brzegu z rozrzuconymi nogami i waliła seriami ze swojego HK, wrzeszcząc:

– Ale fajnie! Ale fajnie!!!

Lady uratowała jej życie, waląc z byka w brzuch i przewracając w krzaki. Potem spadł na nie granat fosforowy. Na szczęście nie wybuchł. Obie aż podskoczyły z okrzykiem przestrawu. Hot Dog i Yellow również wrzeszczeli, ilekroć musieli się odkleić od ziemi,

żeby odpalić z granatnika.

W tym momencie zadzwonił telefon Toy. Odruchowo go wyjęła i przyłożyła do ucha.

– Słucham?

Granat odłamkowy wybuchł tuż obok, obsypując ich zwałami ziemi. Toy usiłowała wypluć piasek.

– To ty, Shainee? Co? Kuchenka się pali?

Ich stalker wycofał się pomiędzy drzewa. Potem odpalił pociski rozpryskowe. Wydawało się, że na drugim brzegu pojawiła się dziwna mgła.

– Nie, nie płaczę, Shainee. Jezu, co z dzieckiem? Może się zaczadzić!

Hot Dog nareszcie coś trafił z granatnika. Widać było eksplozję na drugim brzegu. Sam dostał w ochraniacz na ramieniu. Zwymiotował, kiedy Yellow wsunął mu pod kevlar woreczek z absorbentem.

– Shainee, wezwij straż pożarną i natychmiast wynieś dziecko z biura!

Rozległ się dziwny szum. Coś przelatywało górą.

– Do wody! – ryknął Clash. – Teraz napalm!

– Jezu, Shainee, czy ty naprawdę opowiadasz mi tylko film w telewizji?

– Do wody! – krzyknął Cadillac. – Tu zaraz nie będzie czym oddychać!

Chwycił Winniego za kołnierz i pociągnął do rzeki.

– Kotku, wiem, że film o płonącej kuchence jest fajny... Nakarmiłaś dziecko?

Wpadła do wody razem z ostatnią grupą rekrutów. Za ich plecami pojawiła się ściana ognia. Stalker i ocalałe humvee odpowiedziały zmasowanym ostrzałem.

Toy o mało nie utonęła przy samym brzegu, bo miała otwarte usta. Zdążyła jeszcze zauważyć, że ich ogień sprawił, iż niewidoczny do tej pory przeciwnik również wbiegał do rzeki. Widziała wroga. Widziała wroga pod wodą. Byli dziwnie blisko, prawie na wyciągnięcie ręki. Dziwne, rozmazane sylwetki. Przełączyła ogień na ciągły, zasilanie z magazynka w kolbie. Przerazona nacisnęła spust.

Bum... bum... bum... Jezu. Strzelanie pod wodą. Pociski sunęły w zwolnionym tempie. Bum. Przerwa. Bum. Przerwa. Bum. Przerwa... Widziała poruszające się w tył i w przód suwadło zamka swojego karabinu, widziała dosłownie tory pocisków, widziała bąbelki gazu wydostające się z lufy. Widziała też fontanny czegoś, co zaczęło wypływać z ludzi naprzeciwko. Widziała nawet pomarańczową mgłę – dowód na to, że ktoś zsikał się ze strachu. Zupełnie to nierealne, ale widziała!

Bum... bum... bum...

Buch!

Toy dostała w lewe ramię. Powoli, powolutku obróciło ją o sto osiemdziesiąt stopni. Straciła grunt pod nogami. Wydusiło jej powietrze z płuc.

Buch!

Dostała w plecy, gdzieś nisko, aż jej uniosło nogi. Zaczęła tonąć. Ból promieniował pod

kevlarowymi ochraniaczami i kamizelką. Powietrza! Cudem odbiła się od dna. Wyprysnęła na powierzchnię, zaczerpnęła haust powietrza i... Szlag! Nie potrafiła zanurzyć się z powrotem. Zadziałał strach, który spętał jej ciało. Wreszcie się opanowała. Wyjść ze złości na siebie, zanurkowała.

Buch!

Dostała w przeponę. Widziała, dosłownie widziała ten pocisk. Uderzyła twarzą w muliste dno. Podniosła się w ślimaczym tempie.

Bum. Przerwa. Bum. Przerwa. Bum... Suwadło jej karabinu ociężałe przesuwalo się w tył i w przód. Jezus! Zaraz jakiś panikarz rzuci granat i wszyscy zginiemy!

Wyprysnęła na powierzchnię razem z którymś z rekrutów. Oboje otworzyli usta, żeby zaczerpnąć tchu. On w te usta dostał. Zamarł z jakimś takim dziwnym wyrazem twarzy. Zaczął się powoli zanurzać. Toy zrobiła to szybciej.

Bum... Bum... Bum... Suwadło powolutku przemierzało swą drogę. Pociski leciały... tfu! płynęły, znacząc swój ślad pęcherzykami gazu. Caddie chciał walnąć z erkaemu, ale pod wodą zacięła mu się taśma.

Bum... Bum... Bum... Toy skończyła się amunicja w kolbie. Szlag! Jeśli rzeczywiście ktoś spanikuje i wrzuci granat, będzie masa trupów. Przełączyła na chwyt. Igłowe pociski utworzyły jedynie mgiełkę przed lufą. Tamci atakowali bagnietami, już z bliska. I tu się przeliczyli. Mobutu, wysoka jak wieża Eiffla, a poza tym silna jak koń zachlastała dwóch nożem, zanim zdolali się do niej zbliżyć na odległość ich krótkich rąk. Hot Dog atakował z byka.

Znowu musiała zaczerpnąć oddechu, odbiła się od dna. Przez ułamek sekundy na powierzchni, przez zalane brudną wodą oczy zobaczyła dwóch przeciwników na brzegu, którzy włożyli lufy karabinów do wody, by wspomóc kolegów. Obydwa karabiny eksplodowały. Tak samo jak broń rekruta obok, który wystawił lufę z wody. Zanurkowała znowu, zanurzając się w świat onirycznych dźwięków, bulgocących wrzasków, spowolnionych wystrzałów...

Czuła, że znosi ją prąd. Była z całym sprzętem za ciężka, żeby utrzymać się na powierzchni. I nie umiała pływać. Gorączkowo szukała nogami czegoś, od czego mogłaby się odbić i zaczerpnąć powietrza. Znalazła. Odbiła się od mułu, ale nie dotarła do powierzchni. Spróbowała jeszcze raz. Nic z tego. Niosło ją na głęboką wodę. Boże, zaraz się udusi. Była zbyt słaba, żeby choć próbować płynąć z tym wszystkim, co miała na sobie. Czując, że paraliżujący strach zaczyna ją dusić równie mocno jak brak tlenu, spróbowała jeszcze raz. Znowu nic. Odrzuciła karabin i zaczęła szamotać się z *ghillie suit*. Nóż. Gdzie jest nóż? Spokojnie. Przecież nie rozetnie całej tej siatki. Usiłując powstrzymać skurcz obolałych płuc, ściągnęła z siebie maskujący mundur. Coś ciągnęło w dół, coraz szybszy nurt obracał Toy powoli, paraliżująca panika ogarniała umysł. Zrzuciła kamizelkę kuloodporną, pas, ochraniacze... Zaraz zwymiotuje i się udusi! Zrzuciła kurtkę, buty i spodnie. Dlaczego to idzie

tak powoli? Właściwie pozbyła się wszystkiego i, waląc nogami oraz rękami, jakoś wydostała się na powierzchnię. Pierwszy łyk powietrza dosłownie ją oszołomił. Kaszłała wodą, płuła, prychała, lecz oddychała!

Szkoda, że nie umiała pływać. Jako wychowanka domu dziecka z wiejskiej dzielnicy nigdy nie była nawet na basenie. Czuła, że tonie i że coś jej przeszkadza. Nurt niósł szybko w dół rzeki. Zanurzała się jeszcze szybciej. Odbić się od dna, wyskoczyć na powierzchnię i zdobyć choć jeden oddech. Ni cholery nie wychodziło. Była za lekka, żeby odbić się od dna, a za ciężka, żeby ją wyrzuciło na powierzchnię niczym korek i kompletnie nie umiała pływać.

Trudno, Toy, musisz pożegnać się z tym głupim światem. Obojętniała powoli. Jej ruchy były coraz mniej gwałtowne. W brzuchu strasznie bolało, zaraz się zrzyga, wciągnie to do płuc i umrze. Nie miała siły już się kontrolować. Trudno...

Plecami uderzyła w jakiś kamień. Niemrawo usiłowała go chwycić, ale nic z tego nie wyszło. Teraz uderzyła w coś kolanami. Odruchowo otworzyła usta, wciągnęła wodę do płuc. Koniec. W ataku paniki wyprostowała gwałtownie nogi i... wstała. Woda sięgała jej zaledwie do połowy ud. Rozlewisko. No i co z tego? Dalej nie mogła zaczerpnąć oddechu. Coś utkwiło w płucach, usiłowała odkasznąć. Ni cholery. Nachyliła się, chcąc wykrztusić to wszystko, jednak się nie udało. Czerwone cienie pod powiekami nie pozwalały się skupić. Zdesperowana przyłożyła czołem w najbliższy kamień. Ból i krew spływająca po policzkach otrzeźwiły ją na ułamek sekundy. Zaczęła kaszleć. Chrypiała, charczała, słabła, dławiła się, lecz... odrzuciła powoli drobne porcje wody z płuc. Coś rzeziło w niej gdzieś głęboko.

Była tak słaba, że kiedy tylko odzyskała możliwość oddychania, na razie samymi szczytami płuc, objęła najbliższy kamień i zemdlała albo zasnęła. To nie był dobry sen, ponieważ budziła się co chwilę, krztusząc się i kaszłąc, ze zbolałym umysłem, który natrętnie wynajdował wszystkie pierdoły z jej przeszłości, o których chciała zapomnieć, ale... Ale przeżyła. Przeżyła.

Wciąż jeszcze niezbyt przytomna powlokła się na brzeg. Zrozumiała, co jej tak bardzo przeszkadzało w wodzie. Przez cały ten czas trzymała w lewej dłoni telefon komórkowy. Zrezygnowana zwinęła się w kłębek pod najbliższym krzakiem. Nie mogła zasnąć, choć cały jej zdezelowany organizm domagał się odpoczynku. Sama pozbawiła się w rzece całego ekwipunku, w tym najbardziej teraz potrzebnego GPS-a. Była zagubiona gdzieś w Afryce, zdezorientowana i przerażona. Trzeba tu jakoś przeżyć. A do tego celu musiały jej służyć jedynie trzy rzeczy, jakie przy sobie miała. Bielizna, przyklejone do skroni okulary oraz telefon.

Komórka jednak nie działała. Przyciśnięcie czegokolwiek powodowało tylko drażniący dźwięk i dość głośny komunikat, że aparat został uszkodzony. Toy zawsze zastanawiał, dlaczego część elektroniki zwykle okazywała się wodoodporna, a część nie.

Wstała, dłonie oparła o trzęsące się uda. Wokół było cicho. Żadnych odgłosów bitwy w pobliżu, żadnych zwierząt, ćwierkania ptaszków, nic. I niby co miała zrobić bez zapasów, bez

jakichkolwiek środków, bez paszportu? Nawet nie miała pojęcia, ile przedrzemała czy przeleżała nieprzytomna z głową opartą na kamieniu. Właśnie zapadał wieczór. Nie miała pojęcia, czy to dzień, w którym toczyła się bitwa w rzece, czy następny. Ruszyła wzdłuż drogi, którą posuwali się wcześniej. Teoretycznie najlepiej byłoby wrócić na pole bitwy, może tam udałoby się znaleźć coś z wyposażenia. Lecz jeśli wygrał ich nieznany przeciwnik i czekał tam jeszcze, byłaby to stuprocentowa recepta na popełnienie samobójstwa. Szła więc w drugą stronę, kalecząc bosc stopy o rozpadające się drobinki asfaltu. Myślała cały czas o tych litrach wody, które miała w ustach, w płucach i w brzuchu. Wody z rzeki. A skoro w Maroku kazali zalepić usta plastrem, nawet biorąc prysznic, to teraz... Teraz już miała w sobie te wszystkie świństwa, cholera wie, bakterie, wirusy, drobnoustroje czy pasożyty. Szlag...

Wybawienie czekało na nią już za zakrętem. Najpierw usłyszała głośny krzyk, a potem serię z broni automatycznej. Ukryła się w krzakach. Znowu przed jej oczami pojawiły się te wszystkie uprzykrzone pierdoły z przeszłości. Nie oddała długu bliskiej koleżance – jako dziecko pożyczyła od niej jedenaście kapsli od coli, żeby zagrać w autostradę, i wszystkie przegrała. Kapsli nie oddała. Boże, błagam, nie karz mnie za to!!! Wrzeszczała bez powodu na swoją najbliższą koleżankę. Popelniła tysiąc świństw, jak choćby stłuczenie tego głupiego kubeczka Tally-Ho, który tamta przywiozła z Księżyca na pamiątkę. Jezu, jak jej głupio. Jak jej głupio teraz, gdy już strzelają nad głową. Zrobiła milion głupstw w życiu. Nic mądrego. Niczego po sobie nie pozostawi. Pójdzie do grobu razem z milionami świństw, które uczynili jej inni. Na nikim się nie odegra, nikomu nie przebaczy.

Ostrożnie wychyliła się z krzaków już na zakręcie. Zobaczyła dwadzieścia ogromnych ciężarówek. To pewnie te, których ślady odkrył Winnie-Winnie. Stały na prawym pasie. Trzech Afrykanów, wymachując kałasznikowami, pacyfikowało obsługę, Toy wyraźnie widziała starszego mężczyznę, trzy dziewczyny i dwóch chłopców leżących na drodze. A gdzie reszta kierowców?

Tu działo się coś dziwnego. Trzech napastników i tak łatwo sterroryzowali cały konwój? Podpełzła bliżej. Nawet nie napastników. To prawie dzieci. Chude wyrostki, dwóch zagarniało coś z paki najbliższej ciężarówki, trzeci szczeniak usiłował gwałcić jedną z białych dziewczyn. Niezbyt mu to szło.

Toy podpełzła jeszcze bliżej. Dzieci z kałachami, normalne dzieci. Rozglądała się uważnie wokół, ale nie widziała nikogo więcej. Jak oni mogli sterroryzować konwój? Gdzie ochrona? Teraz zauważyła, co rabowali tamci. Znormalizowane porcje żywnościowe. Demobil jakiejś armii. Tylko potrząsnęła głową. Podeszła bliżej tego, który usiłował gwałcić. Podniosła duży kamień. Przycisnęła wywołujący w swoim telefonie i odrzuciła go na drugą stronę drogi. Kiedy rozległ się komunikat, że aparat jest niesprawny, a facet odwrócił się plecami, przeładowując broń, podniosła oburącz kamień, wybiegła na drogę i uderzyła Murzyna w głowę. Aż musiała podskoczyć, bo była za niska. Niemniej dzieciak nie nadawał

się już do dalszej akcji. Chwyciła jego kałacha, lecz jeden z rabusiów okazał się szybszy. Staął na rozstawionych nogach i przycisnął spust. Toy runęła na ziemię. Jezu... Tamten, strzelając, zamknął oczy! Naprawdę był na tyle głupi, żeby sądzić, że to huk zabija? Lufę poderwało mu tak wysoko, że walił po obłokach, gorące łuski spadały z metalicznym chrzęstem. Nie dał sobie żadnej szansy. Toy obramowała cel na szczerbince, zgrała prawidłowo przyrządy celownicze, wstrzymała oddech i przycisnęła spust jednostajnym ruchem, tak żeby nie wiedzieć, kiedy padnie strzał. Chłopca odrzuciło na asfalt. Jezu...! Wypuściła karabin i wstała niezbyt przytomna. Drugi rabuś uciekał właśnie obciążony żywnością. Ja cię pieprzę...! Podbiegła do postrzelonego, chcąc mu zrobić opatrunek, jednak... Po pierwsze, nie miała pakietu medycznego, po drugie, to był czysty strzał na mostek. Chłopak dość pechowo trafił na krótkowidza. Gdyby Toy miała dobry wzrok, to może usiłowałyby trafić go w udo. Ale jako krótkowidz waliła na cel obramowany – dokładnie w mostek. I trafiła. Tak ją nauczono. Zaciągnęła chłopakowi jego własną koszulę na głowę, nie chcąc widzieć wyrazu rozluźnienia na martwej twarzy. Kręciło jej się w głowie.

– Proszę pani...

Spojrzała w bok. To ten starszy facet, którego bandyci rozciągnęli na asfalcie podczas rabowania ciężarówek.

– Tak?

Gość osłabł z bezgranicznej ulgi. Żegnał się już z życiem, usiłowano zgwałcić jego córkę – widziała wyraźne podobieństwo u dziewczyny, która właśnie obciążała sukienkę – a tu nagle... Ha, ha... Pojawia się inna dziewczyna w samej bieliźnie, okularach na nosie i po sekundzie agresorzy są spacyfikowani.

– Pani... pani... – patrzył na prawie nagą, niziutką kobietkę wciąż z cieniem niedowierzania w oczach – pani uratowała nam życie.

– Bez przesady. – Zerknęła na zabitego i poczuła mdłości. – Macie papierosa? I coś do ubrania?

– Nikt z nas nie pali – wyszeptał. Obecność kogoś o twarzy aniołka, kto poradził sobie z trzema bandziorami prawie w sercu Afryki, ciągle sprawiała, że nie mógł zebrać myśli. Skinął na jedną z córek. – Jesteśmy mormonami, jedziemy z żywnością. – Wskazał dwadzieścia ogromnych ciężarówek. – Chciałem mieć zasługę u Boga, a jednocześnie, no cóż, zarobić. Słyszałem, że ONZ będzie płacić za żywność jakieś niesamowite stawki.

– Ale chyba jeszcze nie teraz.

– Właśnie dlatego tu jesteśmy. Ja, moje trzy córki i synowie. Wieziemy jedzenie dla potrzebujących.

– Żeby sprzedać ją ONZ?

– Nasz Bóg pozwala się bogacić. Najęci kierowcy uciekli. A potem tych trzech. Już żegnaliśmy się z życiem.

– Jeeezu... Trzy szczeniaki z zardzewiałymi kałachami. – Usiłowała wytrzeć twarz

liściem. – Jak was przepuścili przez strefę?

– Niezbadane są wyroki boskie. – Stary mormon złożył ręce niczym do modlitwy. – Nasz prorok, John Smith...

– Wiem, wiem. Pozwala się bogacić na dobroczynności. Ale aż takie ryzyko? Nie macie żadnej broni?

– Mam sztucer.

Westchnęła tylko. Przyjęła właśnie wzorzystą, śliczną i zwiewną sukienkę od jednej z dziewcząt. Nawet nieźle pasowała. Kwiatowe motywy wyszywane srebrną nitką lśniły w zachodzącym słońcu. Brakowało jedynie butów na obcasach. Ale rzeczywiście... to mormoni. Szpilki zakazane. Dostała za to ładne pantofelki, niestety trzy numery za duże na jej malutkie stopy.

– Pani uratowała nam życie. Chciałbym...

– Wieciecie żywność? – przerwała mu, usiłując się przejrzyć w lusterku ciężarówki. Sukienka w kwiaty naprawdę była niezła. – Ile?

– Sześćset tysięcy znormalizowanych porcji.

– OK. Chcesz ochroniarza? To możesz mnie nająć.

Pojawiła się przynajmniej jakaś szansa na opuszczenie Afryki i to bynajmniej nie w aluminiowym pojemniku. Mormon przełknął ślinę.

– Aaaaa... Dwa procent od wartości ładunku będzie, sądzę, godnym wynagrodzeniem.

– Dziesięć procent.

– Nasz prorok, John Smith...

– Dobra, już nie wstawiaj gadki. Siedem procent.

– Dwa i pół?

– Pięć.

– Pięć płatne, jeśli wydostaniemy się stąd żywi!

Uśmiechnęła się rozbrojona.

– To faktycznie jedyna możliwość otrzymania pieniędzy, prawda?

Skinął głową.

– A skąd weźmiemy kierowców?

Wzruszyła ramionami.

– Ty, trzy córki, dwóch synów i ja to siedem osób. Trzeba spać po trzy ciężarówki na sztywnych holach i ruszamy.

Początkowo nie mógł uwierzyć. Potem uwierzył, lecz nie mieściło mu się to w głowie. Wreszcie zaczął negocjować ze swoimi dziećmi. Na szczęście chłopcy wiedzieli, co to są sztywne hole i gdzie producent umieścił je w terenowych ciężarówkach. Pospinali jakoś trójki. Nad ranem udało się ruszyć. Nie był to pokaz eleganckiej jazdy, przez pierwszy kwadrans rozwalili parę błotników, pogięli zderzaki, rozbili większość świateł... Ale jechali, chociaż w ślimaczym tempie.

Szybko się okazało, że najęcie Toy na ochroniarza nie było wcale takim głupim pomysłem. Po raz pierwszy zaatakowano ich w południe. Ktoś strzelał z pobliskiego wzgórza. Toy opuściła szybę i wygarnęła serię ze zdobycznego kałacha na oślep, zupełnie nie celując. Wystarczyło, żeby tamten uciekł zygzakiem. Afrykanie chyba naprawdę wierzyli, że to huk zabija. Potem konwój obrzucono włóczyniami i strzałami z łuku. Toy skierowała swoją ciężarówkę na grupę napastników, nawet nie troszcząc się o to, żeby podkreślić opuszczoną szybę. Kiedy dodała gazu i potężny diesel zaryczał całą mocą, napastnicy spieprzyli. Wieczorem stary mormon modlił się głośno, dziękując Bogu za takiego ochroniarza, toż jego wynajęci kierowcy uciekli na sam widok trzech dzieciaków z automatami, a Toy, Toy... Toy śmiała się w duchu. Jak dotąd nie napotkali żadnego prawdziwego niebezpieczeństwa. Wygłodniali, biedni ludzie mogli co najwyżej pokancerować blachę ciężarówek kamieniami albo sami zginąć w eksplozji pamiętającego jeszcze czasy Związku Radzieckiego porzewanego kałacha.

Prawdziwe zagrożenie pojawiło się w nocy. Tym razem napastnicy byli profesjonalistami. Kilku podkrađło się z tyłu, spacyfikowało mormońską rodzinę przy ognisku, a pięciu doskoczyło do ciężarówek, sprawdzając, czy są tam jeszcze jacyś ludzie. Mormon ponownie żegnał się z życiem. Ci tutaj byli świetnie uzbrojeni, zorganizowani i dobrze dowodzeni. Toy wysiadła z szoferki, gdzie usiłowała zasnąć. Podeszła wprost do faceta, który trzymał na muszce starego. Widziała zadziwienie mormona: kilkunastu groźnych bandziorów i malutka dziewczyna o twarzy aniołka we wzorzystej sukience. Tylko przełknął ślinę, mamrocąc modlitwy. Toy chwyciła za lufę karabinu, którym celowano staremu w czoło. Odsunęła go i warknęła:

– Hot Dog, psiakrew! Rabujesz na drogach?

Najemnik wzruszył ramionami zaskoczony.

– Dante kazał. Przepraszam.

Toy rozdarła się jeszcze bardziej:

– Mobutu, do jasnej cholery, ani mi się waź grabić! Te ciężarówki są pod moją ochroną!

– Sorry, Toy. – Murzynka zeskoczyła z paki najbliższego pojazdu. – Nie wiedziałam.

Oczy mormonów dosłownie wychodziły z orbit. Nie mogli uwierzyć w to, co widzą. Nie chcieli uwierzyć we własne szczęście – malutka dziewczynka w sukience w kwiatki, którą najęli, radzi sobie właśnie z oddziałem najemników.

– Psiakrew! Caddie, nie wylewaj tyle ropy! Ja mam pięć procent od tego, co im się uda sprzedać.

– Toy, szlag, ty zawsze wiesz, gdzie konfitury stoją. – Cadillac odstawił kanister. – Potrzebuję paliwa do stalkera.

– Możesz se kupić. Nie pozwolę, żebyś mi wydoił cysternę do zera za bezdurno.

Mormońska rodzina uwolniona spod luf uklękała modlić się głośno, dziękując Bogu, że zesłał im takiego ochroniarza. Jeden z napastników rzucił się Toy na szyję.

– Mała, malutka. Ale się cieszę, że żyjesz!

– Tally-Ho, kotku. Martwiłam się o ciebie.

– A ja o ciebie, dziecko.

– Co z naszymi?

– Zapieprzyli nam ponad połowę oddziału. Ale sami też dostali lanie.

– Kto?

– Chińczycy. A z naszych Winnie-Winnie jest lekko przypalony, Yellow dostał w nogę, Lady została ciężko ranna.

– Mogę ją zobaczyć?

– Zobaczysz tak. Ale nie pogadasz. Napakowana po dziurki w nosie. – Zrobiła gest, jakby sobie coś wstrzykiwała w żyłę.

Dante nadszedł razem z jedynym cywilem w ich oddziale, tym samym, który towarzyszył im od granicy Maroka.

– W co ty jesteś ubrana, idiotko?! – ryknął do Toy na powitanie. – Gdzie twój mundur? Karabin? I sprzęt?

– Załatwiłam sześćset tysięcy racji żywnościowych – usiłowała się tłumaczyć. – Dwadzieścia ciężarówek plus cysterna. Ale żarcie trzeba sobie kupić...

– Po ile? – Spojrzał na nią zdębiały.

– Po dolarze od znormalizowanej porcji. – Mormon przerwał modły i wstał z klęczek.

– Ile?! Przecież ty kupiłeś ten przeterminowany szajs na śmietniku po dwa centy od sztuki!

Starego zatkało.

– Proszę pana... Nic nie jest przeterminowane. – Podeszedł do najbliższej ciężarówki, otworzył klapę i wyjął cieniutką tackę w folii. – Kupiłem po dziesięć centów w wojskowym magazynie z ważnością jeszcze na trzy lata. Jestem człowiekiem wierzącym i Bóg by mnie pokarał, gdybym robił takie świństwa, o które mnie pan oskarża. Zarobić milion na jedzeniu i ciężarówkach, choćby i w głodnej Afryce, proszę bardzo. Ale takie coś, co pan sugeruje? Nigdy.

Podał mu tackę. Dante sprawdził datę na denku. Potem zdarł folię i uderzeniem o kolano rozwalił chemiczny podgrzewacz. Kiedy zawartość naczynia zaczęła parować, podniósł bagnetem do ust pierwszą porcję.

– Co za świr pojebany. – Zerknął na mormona. – No, ale... jest człowiekiem honoru – przyznał, przełykając gorącą zawartość. – Zapłaćcie mu po dolcu od wszystkiego, co zeżrećie.

– Dante – przerwała mu Toy. – Nałykałam się wody z rzeki. Czy teraz umrę?

Nawet nie spojrzał.

– Niech ją ktoś naszprycuje antybiotykami – mruknął z pełnymi ustami.

– Ja! Ja! Ja to zrobię! – Mężczyźni z oddziału gremialnie zgłaszali się na ochotnika. Hot Dog był najszybszy. Pojawił się po chwili z wyrazem tryumfu na twarzy i strzykawką

wielkości łopaty w dłoni.

– No, dziecko. – Uśmiechnął się lubieżnie. – Teraz się ładnie wypnij. Kiecka w górę, majtki w dół – zakomenderował.

– Nie... Tylko nie to! Mobutu, ratuj!

– Tym razem poprę tego jełopa. – Murzynka chwyciła Toy za ręce i przytrzymała. Maybe Not, Bokassa i Tally-Ho pomogły ochoczo.

– Auuu!!! – Toy unieruchomiona i w pozycji, w której wolałaby się nie znaleźć przy tych wszystkich ludziach wokół, rozglądała się, szukając pomocy. – Mamo! Jezu, jak boli!

– Już, już, już, dziecko. – Hot Dog powoli wprowadzał potwornie piekący płyn do jej organizmu. – Eksnarkomanka i boi się zastrzyków?

– Waliłam kokę! A to się wciera! Boli...

– No chyba mi tu nie zemdlejesz. – Hot Dog, zadowolony jak cholera, wyciągnął w końcu igłę i poklepał dziewczynę po gołym pośladku. – Cholerny tchórz!

Gdy uwolniono jej ręce, Toy wściekła jak osa zasłoniła się nareszcie. Rozmasowała bolącą, piekącą i zdrętwiałą pupę. Oddychała głęboko, usiłując nie zemdleć. Naprawdę bała się zastrzyków. No dobra, przyznała w duchu przed sobą, rzeczywiście była okropnym tchórzem, jeśli chodzi o sprawy medyczne. Kiedyś w domu dziecka, gdy ich zaprowadzono na głupie prześwietlenie, to ze strachu pogryzła wargi do krwi. Wstyd. No, ale trudno. Nie mogła nic na to poradzić. Na widok doktora wpadała w panikę.

Nagle zamarła. Przypomniała sobie drobny szczegół. Bardzo dziwny. Kiedy spanikowana rozglądała się w poszukiwaniu pomocy, zauważyła, że wszyscy mężczyźni bez żenady gapili się na jej tyłek. Wszyscy oprócz jednego. Tego cywila, który towarzyszył Dantemu. Niby nic – może był gejem, a może był po prostu dobrze wychowany, w przeciwieństwie do najemników, którym wystarczy gołą dupę pokazać, żeby wywołać śmiechy, brawa i niewybredne komentarze. Lecz było jeszcze coś. Facet wyjął z kieszeni lusterko w oprawce. Otworzył lewą ręką, a palcem prawej dotknął czegoś na wardze. Wszystko jedno, co to było, strząsał jakiś paproch, pyłek... Ale pojawiają się dwa pytania. Po pierwsze, jaki facet nosiłby przy sobie zamykane lusterko w oprawce? Po drugie, czy na całym wielkim świecie istnieje jakikolwiek mężczyzna, który potrafi takie lusterko obsłużyć jedną dłonią? Zaaferowana podeszła do Hot Doga.

– Stary. Znasz kogoś z oddziału, kto był kieszonkowcem?

Roześmiał się.

– Komu rąbnąć i co? – spytał, spluwając na ziemię.

– Chcę torbę tego cywila. – Wskazała jeepa Dantego.

– Nie ma sprawy. Ty ich tylko zagadaj. Pokręć tyłeczkiem, powdzięcz się...

– Mam wrażenie, że akurat w tym przypadku kręcenie pupą nic nie da. Ona jest normalną kobietą i baby jej nie interesują.

Zostawiła kumpla z rozszerzonymi w niebotycznym zdziwieniu oczami. Powoli podeszła

do jeepa.

– Szefie, jak sytuacja? – spytała, przygryzając wargi, bo Hot Dog włożył sobie dwie menażki pod mundur, imitując biust, a później mrugając do Toy, zbliżał się z drugiej strony, kręcąc biodrami. Był świnią i jełopem, lecz trzeba mu przyznać, ewidentnie miał jaja. Zwracając na siebie uwagę całego oddziału, na oczach wszystkich pośrodku obozowiska, idealnie i bez pudła zwinął torbę cywila, zanim zdążyła wypowiedzieć następne zdanie. – Byłam trochę poza obiegami i nie jestem na bieżąco. – Usiłowała się nie roześmiać.

– Co ja jestem? – warknął Dante. – Informacja na lotnisku?

Hot Dog włożył torbę cywila pod kurtkę munduru i odszedł, udając tym razem kobietę w ciąży. Żołnierze chichotali. Mimo że wszyscy widzieli, co się dzieje, nikt się nawet nie domyślił, że właśnie rąbnął cudzy bagaż. Fachowiec pierdolony. Geniusz.

– Jestem w końcu twoim psem – powiedziała i znowu zagryzła wargi. Hot Dog, wykonując teatralne ruchy, poprosił Mobutu do tańca. Ponieważ był dużo niższy od sążnistej Murzynki, więc chwycił ją za szyję, jak dziewczyna chłopaka. Wszyscy żołnierze chichotali, lecz Mobutu skapowała nagle, że ma przed sobą złodzieja. Zamiast wrzasnąć jednak, rzuciła szybkie spojrzenie na Toy. I zrozumiała coś jeszcze. Też była fachmanką, ale w przeciwieństwie do Hot Doga, miłą i sympatyczną. Odańczyła cały kawałek wśród śmiechów oddziału tylko po to, żeby pomóc mu ukryć się w zaroślach.

Dante westchnął. Jego nie interesowały głupie dowcipy.

– Zaliczyliśmy chyba niezły pat. Na interesującym nas terenie okopał się Urbanowicz z dwiema setkami wojska...

– Kto to jest Urbanowicz?

– Najemnik, jak ja. Zwerbował czarnuchów z RPA i paru komandosów. Teraz tkwi okopany po uszy w ziemi.

– Aż z RPA? Tutaj?

– No, nie sądzisz chyba, że przyjechali transporterami. Wymyślił kutas jakiś sposób.

– A kogo on reprezentuje? – spytała. – Jaką firmę my reprezentujemy?

– Za dużo chcesz wiedzieć. Spadaj!

Odeszła posłusznie. Całą siłą woli powstrzymując się od pośpiechu. Nie udało się. Prawie biegła, nie mogąc oprzeć się ciekawości. Dopadła Hot Doga w krzakach.

– Masz?

Rzucił jej torbę. Sam zapalił papierosa. Toy wysypała zawartość na ziemię. Grzebała w niej, usiłując znaleźć coś istotnego. Dokumenty wystawione na Matta Berrona Chalmersa, zdjęcia, psiakrew, podrobione, choć to żadna sztuka odkąd każdy szczeniak ma komputer na biurku, nieistotne papiery z wypożyczalni samochodów, kwity z różnych miejsc, bilety lotnicze, ciuchy. Nic, nic, nic... Nie mogła znaleźć niczego, co pomogłoby jej chociaż trochę. Ale знаła kobiety. Wiedziała, że prędzej czy później natknie się na coś osobistego. Na jakąś przytulankę, fetysz, pamiątkę... I oczywiście znalazła. Malutką, benzynową zapalniczkę.

Dobre! Menedżer na wyższym stanowisku, bo przecież byle kogo nie wyślą na taką misję, nie może palić. Nie zrobiłby żadnej kariery w firmie, gdyby palił papierosy. A ma... zapalniczkę.

– Hot Dog?

– Co?

– Możesz to rozkręcić?

– Szlag z tymi babami. Nawet tak głupiej rzeczy nie potrafisz rozłożyć na czynniki pierwsze?

W trzy sekundy wybebeszył cudeńko, posługując się zwykłym scyzorykiem. A w środku, zamiast bawełny, która miała absorbować benzynę, znalazła czyjś pukiel włosów. Spięty złotą klamerką z napisem. Toy zbliżyła cudeńko do twarzy, ale mimo ślepienia przez parę minut nie zdołała przeczytać niczego. Literki były za małe. Znowu klęła fakt, że jest tak cholernym krótkowidzem. Musi kupić lepsze okulary. Z drugiej strony załamało ją, że ta pieprzona wada wzroku postępuje tak szybko. Kiedy będzie kompletnie ślepa? Zagryzła wargi i podała pukiel Hot Dogowi.

– Co tam jest napisane?

Przeczytał, nawet się nie schylając. Jezu, Jeeeeezuuu... Co ona robi w zawodzie, jeśli degeneracja oczu tak szybko postępuje? Detektyw z białą laską? Matko Święta...

– Wiesz już coś?

Otrząsnęła się.

– Coś wiem – przełknęła ślinę, usiłując się nie rozplakać. Będzie ślepa? Jezu, nie! Nie chce, nie chce, nie chce!

– Coś z tobą nie tak, Toy? – zainteresował się.

Ale się musiała rozkleić, skoro zauważył. Pospieszenie pakowała torbę, dała mu skręcić zapalniczkę.

– Co ci jest? – indagował.

– Ślepnę, Hot Dog. – Włożyła wszystkie siły, żeby powiedzieć to w miarę spokojnie.

Odrzucił papierosa. Potem uśmiechnął się lekko.

– A może zaraz wszyscy zginiemy i nie będzie już problemu? – Położył jej rękę na ramieniu. – A gdyby jednak, Toy, wiesz, gdzie mnie szukać. Gdy już kompletnie stracisz wzrok, przyjedź do mnie. Kupię ci śliczną, białą suknię, jaką tylko uda ci się wymacać w sklepie na oślepa. A gdy już będziesz moją żoną, będę cię prowadził pod rękę do knajpy na chłańsko i do ubikacji zrobić siusiu. Nie bój się, Toy. Ze mną będzie ci fajnie. Jedno tylko musisz mi przyrzec: gdy będziemy zwiewać przed policją, to ja będę prowadzić auto, nie ty!

Roześmiała się. Sięgnęła ręką i rozczochrała mu włosy.

– Nie wiem, na co zmarnowałam tyle lat, przez które was nie znałam, pojeby jedne.

– A pamiętasz, jak chcieliśmy cię zgwałcić z Yellowem na Księżycu?

– Pamiętam, pamiętam... – Wstała, zarzucając torbę na ramię. – Czasem to mi się nawet śni...

– Każdy ma koszmary – mruknął.

– To wcale nie koszmar. Nazwałabym go raczej snem erotycznym... Tylko mi się w połowie urywa.

Pokazała Hot Dogowi język i, śmiejąc się, ruszyła w stronę jeepa.

– No, żeby cię... – ryknął za nią. – Po coś granat trzymała w łapsku?! Inaczej sen by ci się nie urywał!

Pomachała mu ręką. Potem wrzuciła torbę na tył jeepa.

– Pani Oziraki – mrugnęła do cywila. – Czemu pani nie powiedziała, że pracujemy dla All American Enterprises?

Cywil wybałuszył oczy. Dante wręcz skamieniał.

– Rąbnęłaś mu torbę? – spytał, mrużąc oczy w taki sposób, że ci z rekrutów, którzy jeszcze żyli, odruchowo się cofnęli.

– Nie jemu, tylko jej – sprostowała.

– Jak się domyśliłaś? – Cywil włożył dwa kciuki pod kołnierzyk swojej koszuli i z wyraźną ulgą zerwał z twarzy warstwę plastożelu. Ukazała się spocona, pociągnęła twarz o skośnych oczach. Dante przełknął ślinę.

– Pani Oziraki. – Uśmiechnęła się Toy. – Żaden z gruboskórnych samców nie obsłuży babskiego zamykanego lusterka jedną ręką.

Japonka również się uśmiechnęła. Biedna kobieta. Pewnie komputer wykazał, że właśnie ona nadaje się idealnie do tej misji. Musiała znać kilkanaście języków, w tym wszystkie miejscowe narzecza. Musiała być idealnym negocjatorem, mieć nerwy ze stali i talent dowódcy. Ale... Cholerne żółtki... Wysłać babę?! Baba ma rządzić mężczyznami? Choćby nawet i białymi? Nie, nie, nie. Nawalili jej na twarz tonę plastożelu, obandażowali piersi i napsikali jakimś aerozolem na struny głosowe, żeby pogrubić tembr głosu. Przecież byle „gejsza” nie będzie rozkazywać mężczyźnie! Co za idiotyzm.

– Skąd wiesz, że pracujecie dla All American? – Japonka okazała się sprytna. Na puklu włosów widniała tylko inskrypcja od syna, nie było nazwy firmy.

– Strzeliłam.

– Nie kłam.

– Żaden facet nie rąbnąłby z toalety w hotelu nawilżanych chusteczek do rąk. Ręczniki czy mydło, to tak. Ale nie nawilżane chusteczki. Byłam raz w luksusowym hotelu i wiem, że tam jest kilkanaście rodzajów do wyboru, a ty... Nie dość, że jesteś kobietą, to jeszcze Japonką. Rąbnęłaś wyłożone w sraczu chusteczki własnej firmy, ponieważ nauczono cię wierzyć, że są najlepsze.

Oziraki przygryzła wargi. Potem potrząsnęła głową.

– Czego chcesz? – spytała.

– Chcę się wydostać z tej pierdolonej Afryki. I to jak najszybciej.

– Przestań mi się tu mazać! – wrzasnął Dante.

– Czekał. – Oziraki chwyciła go za rękę. – Ona chyba wie, jak...

Toy wzruszyła ramionami.

– Interesy jakiej firmy reprezentuje pan Urbanowicz?

– Brand American Industries.

– Aha, znaczy Koreańczyków. Z kolei twoje All American Enterprises to wyłącznie Japończycy. Powinniście się dogadać. Oni, co prawda, was nie cierpią, ale Chińczycy ze Spirit of America Incorporated są bardziej groźni niż wy.

– Dogadać? Jak?

– Skoro nie możecie ugryźć Urbanowicza, to ugadajcie się z nim na fifty-fifty. On też nie chce mieć Chińczyków na karku.

– To, że się okopał, nic nie znaczy. Nie wiadomo, co ONZ wymyśli jako probierz...

– Właśnie o tym mówię – przerwała jej Toy. – Skoro nie da się wywalić z gry ani Koreańczyków, ani Chińczyków, to, kochane ty moje japońskie чудо, musisz wywalić z gry ONZ. – Uśmiechnęła się.

– Wielki prezesie... Co masz na myśli?

– Zakładamy własne państwo. Na demokrację nas nie stać, ponieważ nie mamy czasu na wybory, ale założymy konstytucyjną monarchię. ONZ nie pozwala rozparcelować państw o zaludnieniu zbliżonym do pięćdziesięciu osób na kilometr kwadratowy, zorganizowanych na tyle, by utrzymać podstawowe służby publiczne i zdolnych wyżywić swoją ludność. – Toy wskazała ciężarówkę za plecami. – Mamy sześćset tysięcy racji żywnościowych, trochę lekarstw i paru w miarę inteligentnych ludzi. Mamy organizację, broń i, jak rozumiem, sporo forsy z twojej strony, pani Oziraki. Spędzamy wszystkich Murzynów, których znajdziemy w okolicy w interesujące was miejsce, zakładamy monarchię, odkupujemy od mormonów żarcie, organizujemy państwo z urzędami i opieką medyczną, a wasi prawnicy do dnia Sądu Ostatecznego będą się procesować z ONZ. Przy czym w trakcie tych procesów będziecie sobie spokojnie eksploatować to, co tam jest pod ziemią.

– A powiedz mi, dziecko, jeszcze jedną rzecz... Nawet jeśli się dogadamy z Urbanowiczem, to w jaki sposób zabezpieczymy swoje interesy?

– Podpisze się dokument międzypaństwowy...

– Między państwem a firmą? Świsstek papieru w sam raz do niszczarki dokumentów.

– Weksel bankowy nie jest świstkiem papieru. Monarchia pożyczycy od was szmalec na opiekę, żarcie, gospodarkę i edukację. Zastawem weksła będą interesujące was minerały.

– Weksel bankowy nie jest świstkiem papieru – powtórzyła jak echo Japonka. Błyskawicznie podjęła decyzję. – OK. Dante i ja jedziemy trochę ponegociować. Niech żołnierze ściągają wszystko, co żyje. Obiecujcie jedzenie i lekarstwa. Obiecujcie opiekę i wszystko, co wam przyjdzie do głowy. Ściągnijcie ich siłą. W przeciągu trzech dni chcę mieć tam jakąś ludność. I... I jeszcze sam monarcha. Musi być Murzynem oraz osobą wielkiego formatu, żeby dobrze wypaść w telewizji...

– Wielkiego formatu? Nie ma sprawy. – Toy wzruszyła ramionami. – Mobutu! – ryknęła, zerkając w tył. – Chodź tu.

Ponaddwumetrowa Murzynka wyprostowała się, przesunęła palcem hełm i odrzuciła papierosa. Podeszła powoli, przerywając składanie karabinu, który dotąd czyściła.

– Co jest, Toy?

– Chciałabyś złotego rolls-royce’a, pałac i śliczne kiecki za friko?

– Pewnie! – Mobutu roześmiała się, sądząc, że chodzi o dowcip. – Czemu nie?

– Właśnie ci to załatwiłam. – Toy klepnęła koleżankę w tyłek. – Po starej przyjaźni. Nie musisz dziękować.

– No, ale imię „Mobutu” raczej nie wchodzi w grę w Afryce – wtrąciła Oziraki. – Bo wiecie...

– To tylko ksywa. – Murzynka dalej niczego nie rozumiała. – Nazywam się Bett Harris.

– No to teraz będziesz Harris-pasza. Czy jakoś tak.

– Nie. – Toy potrząsnęła głową. – M’bwana Harris. Obydwie złożyły przed Mobutu iście pałacowe ukłony. Dante tylko machnął ręką i zaklął.

– OK, OK, OK... – Japonka pokazała, że jest osobą zorganizowaną. – My jedziemy do Urbanowicza. Żołnierze niech ściągają wszystko, co żyje, a ty, Toy, zorganizuj tu państwo.

– Jakie państwo? – Mobutu właśnie zdała sobie sprawę, że oni wszyscy mówią poważnie.

– O co chodzi?

Toy pociągnęła ją za rękę.

– Tally-Ho – krzyknęła. – Pisz konstytucję.

– Co pisać?!

– Ustawę zasadniczą monarchii konstytucyjnej.

– Dlaczego ja?

– Bo jeśli każę to zrobić Hot Dogowi, to tam będzie stało tak: „Obowiązki obywatela. Punkt pierwszy. Każda kobieta ma dać każdemu mężczyźnie, jeśli ten zażąda!”. Pisz!

Podeszła do mormońskiej rodziny, ciągnąc oszołomioną Murzynkę.

– Kupujemy od ciebie całe to żarcie, ciężarówkę i resztę. – Nie czekała, aż się zdziwi, i wypaliła: – Czy twoje córki potrafią szyć?

– Oczywiście, że potrafią! – zaperzył się. – Przecież to mormonki.

– Dobra. Niech sprują wszystkie swoje kiecki, ponieważ potrzebujemy bardzo dużo materiału. – Wskazała palcem zdezorietowaną Mobutu. – Muszą jej uszyć suknię.

– Jaką suknię?

– Królewską.

* * *

Koronacja wypadła fajnie. Reszta nie.

Podczas ceremonii Mobutu paliła papierosa, żuła gumę i co chwilę pociągała nosem, bo się zaziębiła i miała katar. Fakt, że robiła wrażenie, ponieważ była odtąd najwyższą królową na świecie. Kiecka, choć sporządzona naprędce, wyglądała ekstra. Mormonki dały z siebie wszystko i, trzeba przyznać, miały talent. Mobutu pozwoliła nawet włożyć sobie na głowę koronę wykonaną z rozklepanej łuski pocisku od stalkera, choć klęła jak szewc, zupełnie nie przebierając w słowach. Żołnierze wiwatowali. Gorzej było z ludnością państwa. Przez trzy dni udało się ściągnąć raptem niecałe osiem tysięcy ludzi z obszaru porównywalnego z dużym europejskim państwem. Potem Mobutu wyszła na dach stalkera, żeby „przemówić do ludu”.

– Mam nadzieję, że będziecie szczęśliwi od tej zagranicznej forsy. Bo mi, kurwa ich mać, obiecali rollsa i ciuchy, i kupę szmalu, i jeszcze wyżerkę za to, że będę waszą szefową. Aha, obiecali też dla was opiekę, żarcie, lekarzy i naukę. Szlag z nimi. A... dupa! Nie umiem przemawiać. Nie znam też waszego języka i tak po prawdzie, to nie bardzo wiem, gdzie jestem, bo mi mapy na razie nie pokazali. Czy ktoś z was umie mówić po ludzku?

Nie bardzo wiadomo, czy „lud” umiał mówić po ludzku. Poddani jednak wznosili głośne okrzyki „Niech żyje M’bwana Harris”, widząc Hecklery i Kochy w rękach najemników. Hot Dog, choć nie znał „ich języka”, dobrze poinstruował wiwatujących. Następnie minister aprowizacji, czyli Bokassa, zwana teraz M’bwana Winter, zaprowadziła lud w stronę mormońskich ciężarówek na świąteczną ucztę.

Oziraki podeszła do Toy, która stała z Tally-Ho i Maybe Not, usiłując poradzić sobie jakoś z długim trenem królowej zwisającym z wieżyczki stalkera.

– Wciąż mamy za mało ludności, a jutro upływa termin ONZ...

Toy zaniechała walki z trenem, podeszła do Dantego i Urbanowicza.

– Moglibyśmy zaatakować Chińczyków, którzy zajęli te stare kopalnie?

– Moglibyśmy, dziecko. – Skrzywił się Urbanowicz. – Ale zapieprzą nas w pięć minut.

– Nie. Bo poddamy się już w trzeciej sekundzie.

– Co?!

– Mamy osiem tysięcy obywateli, co daje nam możliwość obsadzenia stu sześćdziesięciu kilometrów kwadratowych. Poddamy się od razu i zrzekniemy na korzyść „agresora” dziewięćdziesiąt dziewięć procent naszego terytorium. Im to nic nie da, bo nie mają państwa, a zależy na kopalniach. Nam sto sześćdziesiąt kilometrów da szansę przykrycia pięćdziesięcioma osobami na kilometr kwadratowy tego terenu, który was interesuje. I... mamy państwo spełniające warunki, więc ONZ będzie się sądzić z waszymi prawnikami do końca swojego istnienia.

Japonka uśmiechnęła się lekko.

– Atakuj, Dante – powiedziała. – Z moich pobieżnych obliczeń wynika, że Mobutu będzie miała najbogatsze państwo na świecie, jeśli chodzi o dochód na głowę mieszkańca.

* * *

Lady bardzo rzadko budziła się z narkotycznego transu. Szeptala coś kompletnie niezrozumiałego, potem znowu zapadała w letarg. Pewnego dnia jednak otworzyła nagle oczy, zdawałoby się, zupełnie przytomna. Siedząca obok Maybe Not zwilżyła jej wargi, zerknęła na Toy i powiedziała bezgłośnie: „Już. Dłużej jej nie utrzymamy”. Lady spojrzała na Toy.

– Co... Co myśmy narobili...?

Ciekawe, co miała na myśli? Walkę w rzece? Chyba to ostatnia rzecz, którą mogła pamiętać.

– Wiesz – Toy pochylila się nad leżącą – raczej nie popełniliśmy żadnej większej zbrodni. A... w państwie Mobutu może parę osób otrzyma nareszcie swoją szansę.

Lady usiłowała chwycić Toy za rękę. Zdołała tylko dotknąć dłoni palcami.

– Wierzysz w Boga?

– Raczej nie.

– Jak myślisz, czy Bóg mi przebaczy?

Maybe Not zamknęła Lady oczy. Złamała uchwyt jednego z dog tagów, a drugi, ten na łańcuszku, włożyła zmarłej do ust. Potem przykryła jej twarz wojskowym kocem.

Toy zagryzła wargi. Nie mogła utrzymać się na nogach. Usiadła wprost na ziemi, tam gdzie stała.

– Pytanie trzeba zadać inaczej – szepnęła, patrząc gdzieś w górę. – Czy ty mu przebaczysz, mała?

TOY WARS – WOJOWNIK OSTATECZNEJ ZAGŁADY

Ktoś zapukał do drzwi.

– Proszę! – rzuciła Toy odruchowo. Myślała, że to Tally-Ho... Jezu! Zrozumiała swój błąd, kiedy ujrzała obcego faceta, a Tally-Ho wyszła z „łazienki”, trzymając karabinek Mannlichera.

Jezu!

Odwróciła się gwałtownie.

Facet właśnie otwierał usta w bezbrzeżnym zdziwieniu. I słusznie. Było się czemu dziwić za drzwiami „Biura detektywistycznego Iceberg & Vixen”.

Pośrodku pomieszczenia stała dziewczyna w cholernie krótkiej nocnej koszulce, którą usiłowała obciągnąć jak najbardziej w dół. Druga, rosła blondynka owinięta w ręcznik, z papilotami na włosach i maseczką kosmetyczną na twarzy, mierzyła do niego z karabinka...

– Aaa... Eee... – Toy przełknęła ślinę. Klient! To był klient! I zobaczył, co zobaczył. – Witamy w biurze detektywistycznym „Burdel, Kółka i Spółka” – wydukała z krzywym uśmiechem, ale gość w garniturze stojący u drzwi nie chwycił dowcipu.

Potrząsnął głową. Ciągle nie był pewien, czy to, co ma przed oczami, przypadkiem mu się nie śni.

– Tally-Ho! – warknęła Toy. – Nie celuj do pana z karabinu. A przynajmniej nie w brzuch.

– Przecież tak mnie uczyłaś.

– Miałaś stać z bronią za drzwiami, a nie przed!

– Ach... – Tally-Ho przypomniała sobie instrukcję. Uderzyła dłonią we własne czoło. – Fakt.

Ukryła się za drzwiami do kanciapy, która służyła im za łazienkę, ponieważ wyposażono ją przynajmniej w umywalkę.

– Cholera. – Toy odchrząknęła. – Zechce pan usiąść? – Brodą wskazała mu krzesło. Dłońmi wciąż przyciskała koszulkę do ud.

Gość okazał się jednak twardym facetem. Usiadł. Toy podskoczyła do materaca pod ścianą i owinęła się własnym śpiworem. Wdrapała się na swój fotel, otworzyła szufladę, wyjęła okulary i włożyła na nos. Dopiero teraz go zobaczyła. Przystojniak. Latynos albo Włoch. Po prostu śliczny. Taki bardziej do schrupania na gorąco niż do zlecenia zadań w biurze „Sex, Frankenstein i wariaci”. Podciągając śpiwór pod brodę, zerknęła na colta springfielda w szufladzie. Był na swoim miejscu. Sprawdziła kolanem rugera przyklejonego pod blatem – również tkwił na posterunku. Odetchnęła wyraźnie.

– Czym mogę panu służyć?

– Ch... Ch... Ch... – nie mógł dokończyć.

– Jeśli powie pan „Ha, ha”, to...

– Ch... Chryste! – wykrztusił wreszcie. – Jezusie Chrystusie, Józefie, Maryjo.

– Trafił pan pod zły adres – warknęła. – Nie jestem Maryja, tylko Toy.

– Jestem księdzem. – Udało mu się opanować. – Ksiądz Monzano.

A myślała, że go zagnie...

– Bez koloratki?

Wzruszył ramionami. Był jednak dość odporny.

– Przedstawiłem się pani...

– Oupsssss... – Skrzywiła się. To on ją zagiął. – Toy Iceberg, prywatny detektyw.

– Eeeee... – zakpił. – A gdzie prochowiec i kapelusz?

Roześmiała się. Facet naprawdę miał jaja. Kurde, ksiądz! Potencjalny klient. I zobaczył dwie roztrzepane, prawie gołe baby w biurze. Po sprawie.

– Mam wyjść? – ryknęła Tally-Ho.

– Jezu, zamknij się! – Toy palnęła się w czoło. – To znaczy... – odwróciła głowę – nie miałam na myśli żadnego bluźnierstwa.

Skoro nie padł żaden rozkaz, Tally-Ho wyszła zaciękawiona z kanciapy. W całej swojej krasie, to znaczy w papilotach, białej maseczce na twarzy, w ręczniku, który ukazywał jej długie, zgrabne nogi.

– To pani współpracowniczka? – Ksiądz Monzano zerknął niepewnie na mannlichera trzymanego w wypielęgowanych dłoniach. – Wygląda na bardzo zdecydowanego fachowca...

Nie wiedziała, czy kpi, czy jest aż tak naiwny.

– Tak. To Tally-Ho Vixen. Niech się państwo poznają.

Tally-Ho wzięła to za dobrą monetę, podeszła i podała księdzu rękę. Nie wiedział, gdzie podziąć oczy.

– Mmm... Chciałbym zlecić paniom pewną sprawę, ale...

Toy zastrzygła uszami. Facet zobaczył to, co zobaczył, usłyszał, co usłyszał, i dalej chciał im coś zlecić? Niemożliwe.

– Jak ksiądz nas znalazł? – przerwała mu.

– Poleciał mi to biuro jeden z parafian. – Uśmiechnął się lekko. – Powiedział, że jeśli pani nie rozwiąże sprawy, to nikt jej nie rozwiąże.

Toy i Tally-Ho spojrzały na siebie w niebotycznym zdziwieniu. Coś takiego! Toy przez dwa lata pracowała jako prostytutka, jej jedyne doświadczenie detektywistyczne wynikało z bycia adoptowaną córką prywatnego detektywa, który przed śmiercią czegoś tam ją nauczył. Jediną jej sprawą, którą rozwiązała, była afera z kosmicznym walcem Moonsunga, gdzie Pat Dante usiłował wystawić Toy w postaci łatwego celu. A potem zrobiła z Mobutu afrykańską królową. Tally-Ho dawała dupy w luksusowym burdelu na Księżycu przez trzy lata. Jedyne jej doświadczenie „detektywistyczne” to znajomość i przyjaźń z Toy. Jaki klient mógłby je polecić? Na pewno nie Dante, bo sukinsyn z całą pewnością nie chodził do kościoła.

– Ksiądz powiedział „parafianin”? – zapytała Toy.

– Tak. Wspiera naszą parafię od paru miesięcy. – Nie wyglądał na zmieszanego, najwyraźniej nie kłamał.

– Czy... mogłabym dowiedzieć się, kto to jest?

Monzano wzruszył ramionami.

– A jeśli powiem, że Smith albo John Doe. Czy to coś zmieni?

– Ksiądz nie zna jego nazwiska, prawda? – wypaliła Tally-Ho. Owinięta ręcznikiem, z mannlicherem w rękach zaiste wyglądała niczym żywe wcielenie Philipa Marlowe’a. Zresztą miała też w sobie coś z innych detektywów. Maseczkę na twarzy, którą na pewno zawsze rano robił Sam Spade, i papiloty, jakie Kojak zamawiał u fryzjera w każdy piątek. Niemniej, choć była tylko głupią kurwą, zdecydowanie znała się na ludziach.

Monzano przytaknął. Wił się na tym swoim krześle, nie wiedząc, gdzie podziąć oczy.

– OK. O co chodzi? – spytała Toy.

– O pieniądze – odpowiedział odruchowo. – Boże. To znaczy nie o pieniądze. Ale z góry muszę powiedzieć, że mogę paniom za wszystko zapłacić jedynie pięćset dolarów. Jesteśmy biedną parafią.

Toy i Tally-Ho znowu wymieniły się spojrzeniami. Nieznany „parafianin” najwyraźniej znał sytuację finansową firmy „Iceberg & Vixen”. Skierował księdza pod właściwy adres.

– Co to za sprawa?

Monzano poruszył się niespokojnie. Podrapał się po głowie.

– Proszę pani... eee... W naszej kaplicy... Tylko proszę się nie śmiać!

Toy skinęła głową.

– W naszej kaplicy straszy!

Tally-Ho ryknęła śmiechem. Zakryła usta i po dłuższej chwili udało jej się spoważnieć.

– Przepraszam – mruknęła. – Ale to ona miała się nie śmiać. Nie ja.

Toy odchrząknęła dyskretnie.

– I ksiądz się z tym zwraca do nas? Nie lepiej wezwać tego, no... egzorcystę?

– Ogląda pani za dużo filmów. – Monzano był wyraźnie zły. – Egzorcysta jest od diabła.

Nie od duchów.

– Przepraszam.

– Wiem, że to głupie – westchnął. – OK. Nie będę się rozwodził, aczkolwiek sprawa nie jest łatwa. Jest takie misterium świętego Hieronima. Wierni spędzają noc w kaplicy, to forma poświęcenia...

Toy i Tally-Ho ponownie zerknęły na siebie. Tally-Ho, pinda jedna, miała na twarzy przynajmniej maseczkę i łatwiej jej było udawać, że zachowuje poważny wyraz twarzy. Toy usiłowała oddychać regularnie i głęboko. Nie chciała stracić klienta, choćby i za pięćset dolarów. Niby przypadkiem położyła dłoń na przeponie.

– I...?

Nie potrafiła powiedzieć „i co?”, bo zaczęłyby chichotać. Jezu! Ksiądz przychodzi wynająć dwie prostytutki, żeby wysłedziły w jego kościele duchy!

– Proszę pani. Ja nie wierzę w jakieś tam zjawy.

Toy przytaknęła. Wciąż oddychała głęboko i spokojnie. Usiłowała nie zerknąć na Tally-Ho, żeby nie ryknąć śmiechem. Lecz przepiękna Żydówka stanęła za plecami księdza, zawiesiła sobie mannlicera na szyi i przyłożyła dłonie do uszu. Samymi ustami mówiła „Uuuuuuuu!”. Straszyla jak najlepszy duch wśród prostytutek. Toy zaciskała zęby. Żeby nie prychnąć! Żeby tylko nie prychnąć śmiechem!

– Coś jednak dzieje się w naszej kaplicy. Na początku zdarzyło się kilka zaślubień. Ktoś coś widział, komuś się zdawało... Potem histeria. Ale przed miesiącem aż sześć osób zawieziono do szpitala.

– Nie lepiej było przerwać te misteria?

– Przerwaliśmy. Niestety, liczba wiernych wyraźnie się zmniejszyła.

– A co powiedziała policja?

– Tak. – Skinął głową. – Wezwaliśmy policję. Ale to nie Beverly Hills. Mój kościół stoi tuż przy Sex Side.

Toy drgnęła i przygryzła wargi. Cholerne wspomnienia.

– Policja niczego nie stwierdziła – kontynuował ksiądz. – Oni nie są od duchów.

– A ci maniacy z uniwersytetów? Te pojeby od zjawisk... O mamó. Przepraszam! – Popatrzyła na niego skonfundowana.

Monzano uśmiechnął się lekko.

– Nie szkodzi. Parafia jest wśród takich slumsów... – Teraz on się zmieszał. – Moi wierni mają jeszcze gorsze słownictwo. – Przygryzł wargi. – Przyjechało parę ekip z różnych związków ufologicznych i z uniwersytetów, które są na tyle głupie, że płacą za badanie zjawisk paranormalnych. Była telewizja, nakręciła śliczny *news*. No... i tyle z tego wynikło.

– Zjawiska się powtarzały w ich obecności?

– Tak. Choć z różnym natężeniem.

– I zrezygnowali? Ci natchnieni od UFO?

– Nie. Przychodzą co noc. Ostatnio robili nawet analizę spektralną. Bóg jeden raczy wiedzieć, kto za to zapłacił. Niczego oczywiście nie wykryli, ale telewizji już to nie interesuje.

– Duchy nie interesują telewizji?

– To jest Sex Side, proszę pani. Pani nie wie, co to za miejsce.

Toy uśmiechnęła się smutno.

– Służyłam w Sex Side przez dwa lata. Tuż przy krawężniku.

Monzano gwałtownie podniósł wzrok i popatrzył jej w oczy. Po dłuższej chwili opuścił głowę. Nie chciał, żeby pokazała tatuaże. Uwierzył. I chyba po raz pierwszy na jego twarzy pojawiła się nadzieja, że nie przyszedł na darmo.

– Więc pani wie, co to za miejsce. Jeśli UFO wyląduje pod Białym Domem, powiedzą o tym wszystkie stacje na świecie. Jeśli zielone ludziki wylądują w Sex Side... będą miały pecha. Różne męty obrobiją pojazd, wymordują załogę, a resztę sprzedadzą na złom.

Kiwnęła głową. Zupełnie poważnie. Bo Monzano miał rację.

– Jak się objawiają te duchy? Ksiądz widział?

Wzruszył ramionami.

– Trudno to nazwać objawieniem – mruknął. – Ja naprawdę nie wierzę w duchy. Kilka osób odwieziono do szpitala... Później jeden człowiek z ekipy badawczej strzelił sobie w usta.

– Jezu – wtrąciła się Tally-Ho. – Taka afera i nie ma tego w prasie?

Monzano zerknął na nią, opuścił wzrok na jej nogi i momentalnie przeniósł go na Toy.

– Jeden facet strzelił sobie w usta – powiedział cicho. – Na ulicy naprzeciw w ciągu ostatniego miesiąca zastrzelono szesnaście osób. O tym piszą w prasie, nawet w książkach. To Sex Side, Hollywood, L.A., California, USA.

Toy przytaknęła. Znała to miejsce aż za dobrze.

– OK. Czego ksiądz od nas oczekuje za pięćset dolarów?

– Nie wiem – wyznał szczerze. – Ten parafianin mówił, że pani może to rozwiązać.

Toy uśmiechnęła się zamyślona. Jej wypalony przez kokainę mózg działał naprawdę powoli. Powoli... lecz to nie znaczy, że tak do końca źle.

– Dobrze – powiedziała. – Przyjdziemy wieczorem. Jeśli da mi ksiądz adres.

Monzano naskrobał coś na małej karteczce i położył na biurku.

– Są panie ubezpieczone? – spytał, wstając z krzesła.

– Nie.

Zatrzymał się w drodze do drzwi.

– Bo będę miał wyrzuty sumienia... Może lepiej plunąć na te śmieszne pięćset dolarów?

Toy mrugnęła do niego. Monzano był fajny.

– Przyjdziemy – powiedziała.

Patrzyła, jak wychodził.

– No i co? – Zerknęła na Tally-Ho.

– Ale fajnie! O czymś takim marzyłam.

– Kurde... Idiotko. Możesz właśnie stracić życie za pięćset dolców dzielone na nas dwie! Ile zarabiałaś na Księżycu?

Tally-Ho nachyliła się nad Toy.

– Kotek... Na Księżycu za pięćset dolców facet mógł co najwyżej ze mną porozmawiać. I to szybko, przy barze. Nawet za tuzena nie poszedłby ze mną do mojego ślicznego łóżeczka! Ale... nie po to dzięki tobie wydobyłam się z tego burdelu, żeby tu zarabiać tyle co prezydent. Kotek... Tam się po prostu nic nie działo! Tam można było kurwicy dostać, uśmiechając się do klientów, waląc wodę, wcierając se w dziąsła kokainę. I tak do usranej śmierci. Po nocach czytałam książki o jakichś przygodach. Ale jedyne, co mogłam zrozumieć w tym swoim kurzym mózdzku, to były głupie powieści o detektywach, o najemnikach, o bzdetach i przygodach. Wtedy gdy przyszłaś... tak strasznie ci zazdrościłam!

– Lubisz kocie konserwy?

– Nie są trujące. – Tally-Ho odłożyła mannlichera i zaczęła ścierać maseczkę z twarzy. – Słuchaj, zarobiłam na Księżycu fortunę i właściwie ją głupio przepuściłam. Tam się nic nie działo. Tam się dzień od dnia niczym nie różnił...

– Dobra. – Toy mrugnęła do niej. – To teraz zaryzykujesz własnym życiem za dwieście pięćdziesiąt.

Przygryzła wargi. Triady, których była własnością, nigdy nie zarobiły na niej tysiąca od jednego klienta. Nie zarobiły na niej nawet pięćdziesięciu.

Shainee, trzymając swoje malutkie dziecko na biodrze, wychyliła się z kanciapy. Ta jedna miała przynajmniej tyle rozumu, żeby się nie pokazywać księdzu.

– Co mam wziąć ze sobą? – spytała.

– Co?

– No przecież idę z wami. Co mam zabrać?

– Shainee... Odwal się, dobrze?

Zakonnica wzruszyła ramionami.

– Przydam się. Ja wierzę w duchy.

Tally-Ho narysowała palcem kółko na środku czoła.

– Chcesz zaryzykować życiem chłopczyka? – spytała Toy. – Przecież nie mamy go z kim zostawić.

– Ktoś go popilnuje. „No problemo” – zacytowała wypowiedź z jakiegoś filmu, które namiętnie oglądała.

– Jezu... A myślałam, że to tylko ja jestem wariatką. Porucznik-zakonnica idzie z nami. O tak!

– Bo ona wierzy w duchy. – Tally-Ho puściła oko do Toy. – To teraz mamy wsparcie metafizyczne.

– Kurde, skąd znasz takie słowa?

Vixen wyciągnęła kolorowy plan miasta.

– Ty się lepiej zastanów, jaki autobus tam jedzie. Chyba że stać cię na taksówkę.

Miały jeszcze część dychy, którą zapłacił Dante, miały resztki oszczędności Tally-Ho. Ale zasadniczo, biorąc pod uwagę wydatki na ciuchy i na dziecko pani porucznik, rzeczywiście nie najlepiej stały z finansami.

* * *

Autobusy w tym mieście jeździły jak chciały. A w okolicach Sex Side jeździły bardzo szybko i raczej się nie zatrzymywały. Toy i Tally-Ho wściekle usiłowały odnaleźć jakiś klucz na mapie połączeń. Równie dobrze mogły studiować Biblię. Była mniej więcej tak samo dokładna, jeśli chodzi o informacje na temat komunikacji publicznej w Los Angeles jak rozkład jazdy. Jedynie Shainee wyglądała na zadowoloną. Nakarmiła swojego synka piersią i podziwiała widoki wokół. Ale zdaniem pani porucznik nie można się było kierować. Po tym, jak wydostała się z ponurej rzeczywistości kosmicznego walca Moonsunga, właściwie podobało jej się wszystko.

– Słuchaj! – Nie wytrzymała wreszcie Tally-Ho. – Daj mi swoją dwururkę, a ja powiem kierowcy, żeby nas zawiózł tam, gdzie chcemy.

– Kurde balans. Shainee! Podejź z tym twoim bachorem do kierowcy i poproś, żeby się wreszcie gdzieś zatrzymał! Weź go na litość.

– Dobrze, Toy.

Wysiadły. Bóg jeden raczy wiedzieć gdzie. Nieliczni przychodnie nie wyglądali na takich, którzy chcieliby udzielić informacji. Gapili się jednak na dziewczyny nieprzytomnie.

– Mówiłam, żebyś nie wkładała tej mini – warknęła Toy. – Teraz wszyscy na nas patrzą.

– Jest mi w niej dobrze – mruknęła Tally-Ho. – A poza tym się przyda.

– Do czego?

– Do zdobycia środka transportu! – Vixen stanęła tuż przy jezdni. – Kurde. Nigdy nie stałam „przy krawężniku”. Tak to się robi?

Pomachała ręką do kierowcy pierwszego przejeżdżającego auta. Nie zatrzymał się, choć zwolnił i gapił się niczym cielę na malowane wrota.

– Jezus! – Toy zakryła twarz. – Jeśli Triady to zobaczą, to cię zabiją! Nie masz tatuaży.

– No to ty pokaż, jak to się robi.

– W wojskowych spodniach?

Toy rzeczywiście nie wyglądała na „panienkę”. Miała na sobie wojskowe maskujące spodnie i obcisłą białą podkoszulkę.

– A mówiłam, żebyś ty też włożyła mini! Nie słuchasz mnie po prostu.

– Przestań.

– No, psiakrew, pokaż, jak to się robi.

– Kurde blade...

Toy stanęła przy krawężniku. Ściągnęła ramiączka swojej podkoszulki.

– Jeśli dopadnie nas ktoś z Triad, to mamy przesrane.

– Przecież ty masz tatuaże.

– Odwal się!

Toy zsunęła podkoszulkę jeszcze bardziej i kiwnęła głową do przejeżdżającego kierowcy.

Zatrzymał się natychmiast.

– Za ile, mała?

– Podwieziesz nas tam? – Podała mu kartkę z adresem.

– Wszystkie trzy? I jeszcze z bachorem?

– Raz w życiu zrób dobry uczynek i pomóż bliźnim – poprosiła.

– Weź se... – Zagryzł wargi. – No szlag z wami. Dobra! Ale ta długonoga w spódniczce siądzie obok mnie.

Dopadły do auta. Kierowca ruszył szybko. Vixen była świetna w swoim fachu. Uśmiechała się, gadała głupoty, bajerowała. Motąła sieć niczym pająk, nie ryzykując niczym. Nawet jej nie dotknął. Zadowolony z siebie kierowca z wyraźnie podbudowanym ego wysadził je dokładnie przed kościołem.

– Widzisz, kotek? – Tally-Ho śmiała się cicho. – Widzisz, co to jest fachowa robota? Trzeba było wziąć taksówkę. Też byśmy nie zapłaciły ani grosza...

– Taaaa? To czemu nie potrafiłaś choćby zatrzymać samochodu?

– Dobra, dobra, kotek. Obydwe jesteśmy profesjonalistkami.

– O czym mówicie? – spytała Shainee.

– Ty się tego nie ucz, zakonnico – mruknęła Tally-Ho.

Pobiegły po schodach wiodących do starego pseudogotyckiego kościoła. Niezbyt duży nie przypominał standardu z horrorów i wbrew temu, co mówił Monzano, był jednak dość dobrze utrzymany.

Tally-Ho zapukała w potężne wierzeje.

– Jeezuuu... – wycodziła Toy. – To kościół, idiotko. Tu się nie puka.

Chwyliła za klamkę, lecz ta uciekła z jej dłoni.

– Duchy!!! – wrzasnęła Shainee i schowała dziecko za siebie.

– Nie, nie... jeszcze nie. – Monzano otworzył wrota na całą szerokość. Wyraźnie musiał na nie czekać. – Przepraszam, że panie przestraszyłem.

Ale plama, pomyślała Toy. Wyjęła papierosa, przypaliła i pierwsza wkroczyła do mrocznego wnętrza. Zaciągnęła się głęboko.

– Tu nie wolno palić.

– Jak nie? A ten dym to skąd?

– To kadzidło, proszę pani.

– Aha. – Posłusznie zakiepowwała w takiej dziwnej wodnej popielniczce przymocowanej

do ściany przy wejściu. – Zaraz – mruknęła zdziwiona. – Nie wolno palić, a są popielniczki?

– To woda święcona, proszę pani.

– Aha. – Kiwnęła głową z uznaniem. – To mój pet też jest teraz święty? Takie wotum, co? – Pełna dumy dowiodła, że znajomość kościelnych zwyczajów nie jest jej tak do końca obca.

Ksiądz tylko zakrył twarz. Tally-Ho klęła wulgarnie i pukała się palcem w czoło pod adresem Shainee.

– Niech ksiądz wybaczy koleżance te bezceństwa – powiedziała Toy. – Ma okres i jest zdenerwowana. A na dodatek na złość mi założyła minispódniczkę i teraz ma naprawdę duży stres.

– I ostatnią podpaskę! – warknęła Vixen. – Jeśli nie zaprowadzicie mnie do sklepu, to was pozabijam.

– Gdzie najbliższy sklep z artykułami higienicznymi? – westchnęła Toy.

– Nie wiem – jęknął ksiądz.

– A nie ma ksiądz trochę waty?

– Żadnej waty! – ryknęła Tally-Ho. – Średniowiecze czy co? Jeszcze mi tu inkwizycję zaraz zrobicie i stos.

Ksiądz patrzył na nie skonfundowany. Nie wiedział, co powiedzieć. Najwyraźniej dziewczyny nie pasowały mu do obrazu jedyne prywatnego detektywa, jaki znał – Philipa Marlowe'a z powieści Chandlera.

– Czekaj. Mam gdzieś tampon.

– Żadnych tamponów, bo mnie po nich swędzi. Chcę podpaskę! Pod-pas-kę! Czy to takie trudne do zrozumienia?

– Szlag! – Toy ruszyła w głąb kościoła. – Albo szukaj sama po nocy automatu, albo decyduj się na mój tampon.

– No dobra... daj. – Tally-Ho skrzywiła się zniesmaczona. – Gdzie ta kaplica?

Monzano załamał rękę.

– Chcecie tam iść z dzieckiem?

Shainee zaprzeczyła ruchem głowy. Wręczyła śpiącego chłopczyka księdzu.

– Niech ksiądz go zanieś w bezpieczne miejsce i przypilnuje.

Monzano już lekko nieprzytomny od nadmiaru wrażeń wziął dziecko i przytulił. Raczej nieumiejętnie.

– Pani chyba jeszcze nie znam? – powiedział.

Dziewczyna uśmiechnęła się ciepło.

– Jestem zakonnicą. – Podała mu rękę. – Porucznik Shainee – przedstawiła się.

Przełknął ślinę.

– Wie pani, słyszałem, co prawda, o generałach zakonu, ale... stopień porucznika, prawdę powiedziawszy, nie jest mi znany w służbie Bogu.

– Bóg, w którego ona wierzy – wtrąciła Toy – jeszcze bardziej by się księdzu nie spodobał. OK. Gdzie ta kaplica?

Wskazał kierunek. A potem odszedł z dzieckiem gdzieś do zakrystii. Wyraźnie zwątpił.

– Uuuuuuu!!! – ryknęła Toy na Tally-Ho zniecka. Vixen nie przestraszyła się. Shainee przeciwnie. Zaczęły chichotać.

– Coś tych poruczników gorzej szkolą ostatnio.

– Yea. Chodźmy szukać pieprzonych duchów, bo nam uciekną.

– Albo się pochowają.

Znalazły niewielką kaplicę z ogromnym otworem w dachu. Poniżej, w specjalnym wgłębieniu posadzki rosły prawdziwe drzewa i krzewy.

– Ale fajne. – Toy ukryła się za niewielkim ołtarzykiem i kazała Shainee obserwować, czy ksiądz nie idzie. Wyciągnęła papierosa, zapaliła szybko, tak żeby ognia nie było widać na zewnątrz. Zaciągnęła się i wydmuchnęła dym w stronę tłącego się kadzidła. Kaplica była słabo oświetlona. Na podłodze wiły się jakieś kable, najprawdopodobniej pozostałości po ekipach badawczych usuniętych specjalnie na tę noc. Toy ziewnęła.

– Ciekawe, jak długo będziemy tu kwitnąć.

– Uuuuu!!! – ryknęła zniecka Tally-Ho. Toy oczekiwała tej zemsty, więc nawet nie drgnęła. Shainee znowu dała się nabrać. Coś złego szeptała teraz pod nosem.

Tally-Ho chichotała. Usiadła na zydelku pod świętym obrazem i oparła stopy o ławkę.

– Dziewczyny... Nie wzięła któraś jakiejś gazety albo książki?

– Czytaj w gwiazdach. – Toy wskazała zasnute smogiem niebo. Może ze dwie co jaśniejsze gwiazdy dało się zauważyć.

Gadały przez parę minut o niczym. Potem Toy zakiepowwała w ziemi tuż pod najbliższym krzewem, skinęła na Shainee i usiadły obie w pierwszej ławce, bo tam było najwięcej miejsca na nogi.

– Kurde balans... Mogłam wziąć chociaż karty.

* * *

Toy obudziła się wtulona w brzuch Shainee, zdrętwiała i zziębnięta. Zakonnica nie spała, choć niewiele jej brakowało. Tally-Ho zsunęła się z zydelka, owinięta wzorzystą matą, chrapała teraz głośno na podłodze.

– O Jezu. – Toy przecierała podpuchnięte oczy. – Jak ja wyglądam? Masz lusterko?

Shainee zaprzeczyła ruchem głowy.

– Tally-Ho!!! Przestań chrapać!

Jednostajny rytm został zakłócony. Dziewczyna poruszyła się lekko.

– Co? – spytała nieprzytomnie.

– Czy masz lusterko?

– Mam. O rany... Bolą mnie wszystkie kości.

– Duchy były? – spytała Toy.

Shainee znowu zaprzeczyła.

– Kurde... Która godzina? – Toy pomacała się po nadgarstku. – Macie, pindy, zegarki?

– Nie.

– A piwo?

– Szlag. Pójdę do sklepu. O mamó, baby, róbmy składkę, to wezmę coś mocniejszego.

Liście na krzewach poruszyły się delikatnie. Toy nagle zrozumiała, co ją obudziło. Trzepot skrzydeł ptaków wyrwanych z nienacka ze snu. Ptaki... latają w nocy? Nie była pewna. Ale chyba nie powinny. Tally-Ho ziewnęła i jęknęła rozdzierająco.

– Jak ja wyglądam? – powtórzyła nieświadomie za Toy.

Drzewa wewnątrz kaplicy zaczęły nagle szumieć. Shainee stężała. Vixen zapaliła papierosa. Z trudem prostując kości, podniosła się z powrotem na swój zydelek.

– No to co? Składka?

– Czekaj. Coś się dzieje.

Usłyszały miauczenie kota. Potem w okolicy rozszczeły się psy. Shainee zerwała się momentalnie. Stała w rozkroku, trzymając w rękach nóż.

– Ty... – Tally-Ho zaciągnęła się, ale papieros wyraźnie jej nie smakował. – W razie czego pamiętaj... Ducha ostrzem po jajach!

Toy zaczęła się śmiać. Dygotała zziębnięta.

– Chyba srebrnym ostrzem?

– To nie wampir, durna.

Liście poruszały się w przód i w tył.

– Tally-Ho... Tu jest coś naprawdę dziwnego.

– Ta? Taka biała pani z kosą?

– Kurde! To drzewo mi się zupełnie nie podoba!

– To przemaluj na niebiesko.

Toy nagle znalazła się na czworakach. Poczowała się tak źle, że myślała, iż umrze. Shainee upadła na nią, przygniatając do ziemi. Wydobyła rugera, lecz drżał w jej dłoni. Nie była w stanie sięgnąć po ciężkiego colta. Tally-Ho znowu spadła z zydła. Wymiotowała pod ścianą. Cała kaplica zdawała się falować. Cały świat chyba drżał. Klucze od biura w kieszeni Toy dzwoniły głośno. Jezu...

Opadał na nie tynk. Najbliższe drzewo jaśniało dziwnie, liście falowały regularnie w przód i w tył. Potem był moment ulgi.

Shainee chwyciła Toy i pociągnęła za sobą. Kopnęła Vixen, żeby ta też się zbierała. Coś nadchodziło wyraźnie. Pewnie śmierć osobiście.

Biegły, zataczając się we wnętrzu ciemnego kościoła. I wtedy, zupełnie nagle, zjawiska ustąpiły. Dopiero teraz Toy usłyszała, jak Shainee krzyczy:

– Duchy!!! Duchy!!!

Przedtem jakby miała zwinięte bębenki. Ksiądz wyskoczył z zakrystii. Też niewiele mu brakowało. Najwyraźniej czuł przynajmniej część tego, co się działo w kaplicy.

– Jezu!

– Spokojnie. – Toy usiłowała się opanować. – Gdzie dziecko?

– Tutaj.

Nie musiał wskazywać kierunku. Już stąd było słychać płacz niemowlaka. Pobiegły do niewielkiego biura na zapleczu kościoła. Shainee, trzęsąca się ciągle, wzięła chłopca w ramiona. Tally-Ho szczykała zębami.

– Chyba mają panie dość – powiedział Monzano. – Czegoś takiego jeszcze nie było...

– Telefon i książkę poproszę – powiedziała Toy. Naprawdę nie wierzyła w duchy.

– Jaką książkę?

– No przecież nie Biblię, proszę księdza. Telefoniczną!

Podał jej jedno i drugie. Usiadła w jego fotelu, podniosła słuchawkę. Zapaliła papierosa i usiłowała się skupić, żeby szybko znaleźć numer. Shainee karmiła swojego synka piersią i sama przypominała śmierć, taka była blada. Tally-Ho oparła się o framugę drzwi. Schowała dłonie pod pachami, żeby ukryć ich drzenie. Ksiądz krążył nieprzytomnie pomiędzy nimi.

Toy wypukała numer.

– Proszę mnie połączyć z ośrodkiem odwykowym w Ramon Dare na koszt odbierającego. Dzwoni Toy Iceberg – powiedziała normalnym tonem. Z nich wszystkich tylko ona spędziła dwa lata w Sex Side tuż przy krawężniku. Nie bała się ani duchów, ani nikogo innego.

– Tu ośrodek odwykowy Ramon Dare. – Usłyszała po chwili.

– Toy Iceberg. Proszę mnie połączyć z terapeutką Sarą Doppelnick, natychmiast.

– Dziewczyno. Toż ona jest w domu i śpi!

– Numer mojego uwarunkowania: 17021960BHDW.

Słyszała stukanie klawiszy, kiedy recepcjonista sprawdzał w komputerze.

– Łączę.

Po dłuższej chwili kobiecy kompletnie rozespany głos powiedział:

– Tak? – Ziewnięcie.

– Tu Toy Iceberg. Potrzebuję pomocy, Sara.

– Jezus, Toy! – Tamta obudziła się natychmiast. – Nie bierz narkotyków, bo to cię zabije!!! Jezus! Już jadę. Włożę majtki i wsiadam do samochodu... – Toy usłyszała brzęk tłuczonego szkła. – Nie bierz niczego, dopóki się nie spotkamy. Dziękuję, że zadzwoniłaś. Już jadę, powiedz, gdzie jesteś. Toy? Nie bierz niczego pod żadnym pozorem! Oddychaj głęboko!

– Nie, nie. – Toy skrzywiła się. Chyba wywołała za dużą panikę. – Jesteś jedyną osobą, która mi przyszła na myśl, Saro.

– Dobra, Toy! Jadę! Powiedz, gdzie, i niczego nie bierz!!!

– Tu nie chodzi o narkotyki. Mam inny problem.

– Dobra, Toy. Daj mi słowo honoru, że w pobliżu nie ma kokainy.

– Jezu... Sara. Jestem w kościele.

– Pytanie kontrolne: w której ławce siedzisz?

– W żadnej... Jestem w tej, no... w zachrystiannie!

– W zakrystii – podpowiedział ksiądz.

– Boże, Toy. Ty już jesteś nawalona!

– Nie. Uwierz mi, Sara. Czekaj, dam ci księdza. – Podała słuchawkę.

Monzano specjalnie się nie zdziwił.

– Nie. Nie jest naćpana – odpowiedział cicho na pytanie. A później już tylko potakiwał: – Tak. Mam rozeznanie... Tak. Na pewno nie jest nawalona po same uszy. Z całą pewnością.

Oddał Toy słuchawkę.

– Sara?

– Tak? Jakiej pomocy oczekujesz, kotek?

– Przepraszam, że cię tak zerwałam po nocy. Ale... Ty miałaś takiego chłopaka, fizyka chyba, nie?

– Mhm.

– Jeszcze z nim chodzisz?

– Mhm.

– Jest w twoim łóżku teraz?

– A co cię moje łóżko ob... – Chwila ciszy. – Jest.

– Proszę, Sara. Obudź go i daj mi na moment.

Westchnienie.

– Nie śpi. Masz!

Usłyszała dość miły jak na tę porę głos. Przedstawiła się grzecznie. Jak najdokładniej przedstawiła sytuację.

– Słuchaj... – Chłopak się zastanawiał. – To, co opisujesz, to chyba infradźwięki, czekaj... Klucze dzwoniły ci w kieszeni, spluwa drgała w dłoni. To jakieś szesnaście herców. Ciśnienie akustyczne pół atmosfery. Wiesz... Czy w tym pomieszczeniu jest jakiś wielki otwór?

– Jest.

– Aaa... Rezonans, częstość charakterystyczna dla pomieszczenia... – ziewnął. – Amplituda jest tak wielka, że czuć wiatr, mimo że niczego nie słyhać. Dostałaś szesnaście herców na masę ciała, dziewczyno. Nie idź tam więcej, bo to może uszkodzić ci organy wewnętrzne!

– Kto ma takie urządzenia?

– Ten ma, kto chce je mieć. Armia, uniwerki, NASA, prywatne instytuty. Można kupić na rogu każdej ulicy – zakpił. – Ale kupował ktoś w miarę bogaty. Nie przesadnie. W miarę.

– Kto może takie coś stosować w kościele wśród slumsów?

– Wiesz, która jest godzina? Nie wiem, kto. – Znowu ziewnięcie. – Odpowiedz sobie na

pytanie: „po co”?

– To jeszcze jedno. Czy ekipy uniwersyteckie i te poje... mmm... ci napaleńcy od UFO wykryliby infradźwięki?

– Z całą pewnością, kochanie. Z całą stuprocentową pewnością.

– Aha. Dzięki!

– No... cześć. Mam nadzieję, że się spotkamy na kawie.

Odłożył słuchawkę. Toy również.

– Tally-Ho? Przestałaś już szczekać zębami? Możesz zacząć myśleć?

Vixen oderwała się od framugi, wyraźnie zawstydzona. Usiadła na krześle.

Toy, odchyliwszy się w fotelu, uderzyła obiema pięściami w głowę.

– Ten mój wypalony przez kokainę mózg. Strasznie powoli działa. – Zerknęła na Monzano. – Nie ma ksiądz jakiegoś przyspieszacza?

– Czego? – Nagle zrozumiał i cofnął się odruchowo. – Nie mam narkotyków.

– Nie. Piwo? Wódka?

Zlitował się nad dziewczynami. Przyniósł wino. Wszystkie pociągnęły równo, nie czekając na kieliszki. Nawet Shainee, mimo że karmiła. Ale jej to było chyba najbardziej potrzebne.

– OK. Ktoś se robi jajca z duchami. Są różne ekipy, ale niczego nie wykrywają. Jeden facet strzela se w usta, kilka osób ląduje w szpitalu, a oni niczego nie wykryli. Jak to możliwe? Jak to możliwe, że obudzony w środku nocy zwykły fizyk daje nam dzisiaj rozwiązanie jedynie na podstawie opisu?

Tally-Ho wzruszyła ramionami.

– Ksiądz mówił, że dzisiaj działa się coś innego niż zwykle, może...

Toy podskoczyła nagle. Ta idiotka tak naprawdę nie była wcale głupia.

– Tego mi brakowało. – Pociągnęła jeszcze jeden łyk cierpkiego wina z butelki.

– Co? Wiesz już wszystko?

– Gówno wiem. Coś jednak... – Zamyśliła się i wypila jeszcze jeden łyk, potem Vixen odebrała jej butelkę.

– Naprawdę ci pomogłam? A może coś wyjaśnisz?

Teraz Toy wzruszyła ramionami.

– Nie wiem, co tu się dzieje. Ale pomogłaś mi, pani doktor Watson. Znalazłaś brakujący element.

– Co?

– Tally-Ho, czy my jesteśmy mądrzejsze, czy głupsze od tych uniwersyteckich ekip? – odpowiedziała pytaniem.

Vixen roześmiała się głośno.

– Zdecydowanie głupsze!

– Właśnie! Dlaczego im się nie udało? Bo... – Toy roztarta powieki. – Bo oni skupili się

na samym problemie. Może coś odkryli, może nie. Nieważne. Tu nie chodzi o kościół.

– Niczego nie rozumiem.

– Zastanów się. Po co ktoś miałby „robić” duchy w kościele?

Vixen zmarszczyła brwi.

– Nie wiem.

– A kto krzyczał na mnie „Uuuuu!” w ciemności?

– No ja. Ale ty zaczęłaś. – Tally-Ho nagle potrząsnęła głową. – Zaraz. Robili to, żeby kogoś przestraszyć?

– No coś ty? A przestraszył się ktoś twojego „Uuuu”?

– Shainee. Wiem. – Vixen zagryzła wargi. – Nikt się nie przestraszył. I tych duchów też. Jedyny efekt taki, że przyszła policja, telewizja i różne ekipy.

– Tak jest. A po co?

– Nie wiem.

Toy odchyliła się w fotelu.

– Tally-Ho. Jesteś dilerem narkotyków na ulicy. Co zrobisz, żeby odwrócić od siebie uwagę, gdy cię już już zaczną namierzać?

Vixen roześmiała się.

– Podpalę budynek naprzeciw! Toy, jesteś genialna.

– Zaraz – wtrącił ksiądz. – Ja dalej niczego nie rozumiem.

– Ja też nie – przytaknęła Toy. – Ale sprawa może wyglądać tak... Ktoś robi coś dziwnego w sąsiedztwie. Efektem tego mogły być „pierwsze duchy”. A potem, gdy już pod dupą zaczęło się im palić, wymyślili, że sami zrobią „jeszcze lepsze duchy”. Tak, żeby ekipy zgłupiały, żeby wszyscy zainteresowali się... księdza kościołem. Jedyny wniosek, że „prawdziwe” sprawy dzieją się nie tutaj. Tylko gdzieś w sąsiedztwie.

Nie chciała mu wyjaśniać, że kiedyś we Francji, co wyczytała w gazetach, pewien polityk został skompromitowany ujawnionym przez jakiegoś detektywa pedofilskim listem. Wybuchła afery, szykował się koniec kariery, ale... W prasie opublikowano list, w którym polityk opisywał, jak zamordował kochankę. Wrzenie sięgnęło szczytów. Niestety, następnego dnia opublikowano kolejny, w którym polityk opisywał, jak kradł w supermarkecie. Na niektórych czytelników przyszło zwątpienie. Następnego dnia, następnego list – seryjny morderca i defraudant. W sumie opublikowano siedemnaście listów. Wszystkie autentyczne, co stwierdzili grafologowie. Siedemnaście różnych zbrodni. Czytelnicy już tylko się śmiali – wiadomo, jakiś dewiant albo wróg usiłuje podkopać dobre imię polityka.

Niepotrzebnie.

Wszystkie listy były pisane tą samą ręką, lecz tylko pierwszy prawdziwy. Polityk, znając psychologię tłumu, po pierwszym opublikowanym liście, sam zaczął donosić na siebie i rozsyłać te kalumnie do gazet. „No przecież nie może istnieć potwór, który morduje, gwałci, defrauduje, truje, knuje, rabuje i podpala domy”. „Ktoś go wrabia”. Zamknęli sprawę.

Pamiętała jeszcze jedną sprawę. Facet chciał zabić żonę. Zamordował sześć niewinnych kobiet w okolicy, udając seryjnego mordercę, a dopiero potem swoją żonę. Wszystkie w ten sam sposób, a więc sam był poza podejrzeniami. Do czasu.

I tu mogło być podobnie. Robi się jeszcze gorsze cuda dla odwrócenia uwagi.

– Co? – Monzano nie był zbyt przytomny.

– Tu nic nie ma. Tu się nic nie dzieje. Ktoś odwraca w ten sposób uwagę od czegoś naprawdę ważnego, co ma miejsce tuż obok.

Ksiądz zajął ostatnie wolne krzesło. Oparł brodę na dłoni.

– Ma ksiądz latarkę? – spytała Tally-Ho.

– Mam – odpowiedział odruchowo. – A po co?

– Pomyszkujemy wokół. – Uśmiechnęła się. – Zaopiekuje się ksiądz jeszcze trochę chłopcem? Duchów już dzisiaj nie będzie.

Monzano potrząsnął głową. Najwyraźniej nie mógł uwierzyć. Nie wiedział, jak się zachować.

– Zaraz... Rozwiązały panie problem, nad którym głowiło się tyle ekip? Tak od razu? Jednej nocy?

– Niczego nie rozwiązałyśmy, proszę księdza. Wiemy na razie, że szukać trzeba nie tu, gdzie pokazują duchy.

– A gdzie?

– Da ksiądz latarkę? – powtórzyła Toy.

Dał. Zaopiekował się dzieckiem. Nawet pozwolił im dopić resztkę cierpkiego wina z butelki, którą przyniósł. Tally-Ho uciekła na chwilę do toalety, a później ruszyły na poszukiwania.

Ruszyły na poszukiwania, które skończyły się dokładnie na schodach kościoła.

Na zewnątrz czekała malutka europejska limuzyna i facet, chyba ten tajemniczy „parafianin”, który skierował księdza do biura „Iceberg & Vixen”. Ubrany w elegancki cieniutki letni płaszcz, spod którego wystawał nienaganny garnitur i lśniaco biała koszula, miał nie więcej niż czterdzieści lat. Wyglądał na koszmarnego dupka i wysoko postawionego managera wielkiej firmy. Trudno było sobie wyobrazić, że ktoś taki może być członkiem wspólnoty religijnej w okolicach Sex Side.

– Jack Higgins – przedstawił się. Pstryknął palcami. Ochroniarz podbiegł natychmiast i przejął dziecko Shainee z rąk dość oszołomionego księdza. – Panie pozwolą, że je zaproszę na spóźnioną kolację?

Toy skinęła głową. Najwyraźniej nie miało sensu gadać z dupkiem na ulicy. I tak wiedziała, że on sprowokował przynajmniej część rzeczy, których doświadczyły. A bardzo chciała się dowiedzieć, o co chodzi.

– Ksiądz nie ma nic przeciwko? – Higgins zerknął na Monzano. – Wykonały swoją pracę całkiem nieźle... – Wskazał dziewczynom drogę do limuzyny. Tak jakby było co wskazywać.

Wszystkie trzy przeszły te kilkanaście kroków. Jezu... Ameryka już nie istniała. Ciasne wewnątrz małego samochodu wręcz „tryskało” nadmiarem elegancji. Ameryka dzieliła się na dwie grupy ludzi. Biednych, którzy kupowali tanie japońskie i chińskie gówna, oraz bogatych, którzy kupowali kosztownie drogie europejskie gówna, wykonane tak samo albo i gorzej od japońskich i chińskich, lecz jednak ze smakiem. Amerykańskich gównien nikt już nie kupował. Ten pieprzony wóz jeszcze kilkanaście lat temu mógłby być co najwyżej samochodem rodzinnym. Teraz nieudolnie grał rolę limuzyny, ale był europejski i strasznie drogi, więc siłą rzeczy trzeba było mu wybaczyć ciasnotę. Za to miał przynajmniej cichy i strasznie mocny silnik.

– Panie wybaczą obcesowość propozycji – powiedział Higgins. – Zaraz porozmawiamy w jakimś bardziej stosownym miejscu.

– Pan skierował księdza do nas? – spytała Toy.

Skinął głową. „W uprzejmy sposób” nie odzywał się więcej przez całą drogę. Toy obserwowała go ukradkiem. Chryste... Środek nocy, właściwie już nad ranem, a gość świeżutki, wymuskany, wypoczęty. Nie... to tylko pozór. Znała ten typ marcowego biznesmena. Wszystko dla firmy i dla kariery. W każdej ankiecie na pytanie: „Czy jesteś szczęśliwy?”, odpowiadał niezmiennie: „Tak! Jestem bardzo szczęśliwy!”. Dokładnie jak miliony jego duplikatów rozsianych na całym świecie. Od rana do nocy kariera, troszeczkę niezbędnego czasu na sen, łykanie chemicznych świństw, przy których kokaina miałaby moc aspiryny, no i oczywiście „reszta czasu”, w stu procentach poświęcona na dbanie o siebie. Musiał dodatkowo przechodzić przedwczesne, męskie klimakterium. Czterdzieści lat i odpierdoliło mu dokumentnie. Miał tak doskonale opilowane paznokcie, tak wypielęgnowane dłonie, że przytłaczająca większość kobiet mogła mu tylko zazdrościć. Co za dupek! Mężczyzna, nawet po czterdziestce, nie powinien się jednak zamieniać w kobietę przebraną w garnitur.

Kierowca zaparkował pod wielką markizą na podjeździe restauracji. Higgins przepuścił dziewczyny przodem, ochroniarz zajął się chłopcem. Ciekawe, czy będzie go uczył, jak bawić się pistoletem? Ale najlepsze dopiero na nie czekało. Weszli do lokalu tak eleganckiego, że niemożliwe, żeby mógł być czynny o tej porze „sam z siebie”. „Parafianin” musiał chyba kazać go otworzyć. Ciekawe, czy zrobił to kierowca przez telefon, kiedy jechali, i błyskawicznie powyciągano obsługę z łóżek, czy też wszystko umówiono wcześniej.

Szlag! Chciał je oszołomić czy co? Sprawił, że poczuły się głupio. Tally-Ho w spódniczce tak krótkiej, że jeśli tylko usiądzie na krześle, to z każdej pozycji będzie widać jej majtki, Shainee w przykrótkich dla niej dzinsach Toy i szerokiej bluzie mającej ukryć mleczne piersi i najlepiej sama Toy w wojskowych spodniach i podkoszulce tak obcisłej, że każdy mógł zobaczyć jej ładny biust ze wszystkimi szczegółami. Kurde... Stroje idealne do Sex Side, tu wśród kelnerów we frakach sprawiły, że dziewczyny zaczerwieniły się. A może Higginsowi właśnie o to chodziło?

Wszystkie stoliki były wolne. Na szczęście choć jedna sala restauracji nie przytłaczała swym ogromem. Przytłaczała za to wszystkim innym. Wszystkie trzy nie bardzo wiedziały, co zrobić z przyniesionymi błyskawicznie serwetami. Tally-Ho przykryła sobie... hm... uda. Toy klęła w duchu. Zdenerwowała się i zaczęły jej sterczeć sutki. Szlag! Ta przekłeta cieniutka podkoszulka. Miała tylko nadzieję, że wypieki na twarzy nie są dobrze widoczne w półmroku.

Czterech kelnerów podało cztery karty.

– O kur... – Tally-Ho zasłoniła sobie usta. Menu wydrukowano po francusku. Shainee odwróciła kartę do góry nogami, żeby zobaczyć, czy może w ten sposób uda jej się coś zrozumieć.

– Jeśli panie pozwolą, wybiorę coś dla wszystkich – zaproponował Higgins.

– Ja chcę kurczaka – wypaliła Vixen. – Może być nawet z rusztu.

– Wątpię, żeby mieli tu coś takiego, ale spytam.

– Chcę kurczaka. Niezły będzie też dobrze wysmażony stek.

– Eeeee...

– Jezu. Też nie ma? – Tally-Ho wytrzeszczyła oczy. – No to cokolwiek. Tylko żeby mi nic nie pełzało po talerzu! Proszę. Żadnych świństw.

– Wybiorę coś. – Higgins skinął na kelnera.

– A jest piwo? – spytała Toy.

– Mmmm... Chyba jest.

– To ja poproszę duże.

– Ja też!

– Ja też!

Tally-Ho i Shainee nagle zachichotały i od razu usiłowały spoważnieć. Higgins uśmiechnął się lekko po raz pierwszy.

– Może też porządną brandy, może europejską wódkę? Rosyjską, polską, fińską?

Toy usiłowała zabłysnąć swoją wiedzą. Widziała w gazetach dla biznesmenów wiele reklam wykwintnych trunków.

– Ja poproszę o polską Belvedere. – Zrobiła światową minę, wiedząc, że go nacina. Jezu! Butelka za sto pięćdziesiąt doliców w sklepie. Tutaj pewnie sześć razy drożej. – W szklance z lodem!

Uśmiechnął się znowu.

– Tego się nie podaje ani w szklance, ani z lodem. To nie whisky – wyjaśnił. – Ale zamawiam.

– Ja też! Ja też! – powtórzyły jak echo Vixen i Shainee.

Kelner nie dziwił się za bardzo. Szybko przyniósł trunki, dla „parafianina” szklankę wody i wysłuchał sążnistych zamówień Higginsa po francusku. Toy doznała pewnej ulgi. Wypiła spory łyk. Wódka najpierw zapiekła delikatnie w język, potem kopnęła z mocą buldożera, a

po chwili napełniła ciało przyjemnym ciepłem. Popiła doskonałym szkockim piwem, jak głosił napis na szklance, i naprawdę zrobiło jej się dobrze. Jeszcze łyk wódki, znowu kopnięcie, jakby szturmowy czołg przyłożył w brzuch, łyk piwa... Ulga. Pierdoleni Europejczycy. Coś jednak potrafią. Tally-Ho i Shainee dotrzymały Toy tempa. Ciekawe, czym Shainee nakarmi synka po tej imprezie. Czy alkohol może się dostać do mleka? Toy miała nadzieję, że niemowlak nie zacznie następnego dnia śpiewać.

Higgins upił łyk wody. Toy dałaby sobie uciąć rękę, że dla siebie zamówił gotowane warzywa.

– Drogie panie...

Tally-Ho zastrzygła uszami i uśmiechnęła się ukradkiem do Toy. Ta mrugnęła porozumiewawczo. „Spieszę wyjaśnić...” – powiedziała bezgłośnie.

Higgins jednak nie był dupkiem tak do końca. Zauważył ruchy warg Toy.

– Spieszę wyjaśnić – podjął za nią – cel naszego spotkania. Ach! – Machnął ręką. – Coś niezbyt poprawnie mi wyszło.

Toy skinęła głową z pewną, bardzo małą, dozą szacunku.

– Dobrze. Może naprawdę wyjaśnię wszystko. – Następnym łykiem wody. – Reprezentuję Caltron.

Tally-Ho rozdziawiła swą śliczną buzię. Największa firma na terenie Kalifornii. Najbardziej zaawansowana technologia. Chryste. Co ludzie, którzy dysponowali potencjałem równym potencjałowi na przykład Rosji, mogli chcieć od dwóch nieudaczników i ich prywatnej zakonnicy?

– Przyznaję, że reakcja pań na „duchy” zrobiła na mnie pewne wrażenie – kontynuował Higgins. – Myślę też, że pani Iceberg byłaby świetną kandydatką do rozwiązania problemu, nad którym pracują nasi najlepsi specjaliści. Eeee... Bez efektu. Na razie.

Toy uśmiechnęła się i mrugnęła do niego. O mamó, czego on chciał? Czego chciała od nich firma, która mogła sobie pewnego dnia powiedzieć: „OK, dzisiaj zmienimy orbitę Księżyca, bo jego widok w nocy za bardzo rozprasza naszych programistów”?

– Proszę pani. – Higgins zwrócił się bezpośrednio do niej. – Niestety, dalsze wyjaśnienia muszę obwarować pewnym warunkiem. Jeśli się pani zgodzi, proponuję kontrakt za trzydzieści tysięcy dolarów plus... pewien interesujący bonus. Jeśli nie... Oczywiście zwrócimy paniom koszty dotychczasowego udziału w sprawie, powiedzmy, pięćset dolarów i zapomnimy wszyscy o całym zdarzeniu.

– Co to za warunek?

– Da pani sobie wszczepić wojskowy implant.

– Jezu... Po co?

– Będzie gwarancją, że pani przeżyje – powiedział sucho.

– Wojskowy implant? – szepnęła Toy. – Słyszałam, że takie coś kosztuje majątek.

Nawet się nie uśmiechnął.

– To jest ten bonus. Implantu nie da się potem wyjąć, więc zyska pani coś, co kosztuje kilka milionów dolarów. Coś, co do końca życia pozostanie w pani głowie. Co sprawi, że będzie pani trochę lepsza, proszę wybaczyć kpinę, o całe niebo lepsza niż reszta prywatnych detektywów w L.A.

– A jeśli się nie zgodzę?

– Pięćset dolarów plus, oczywiście, kolacja.

Wiedział, że się zgodzi. Sukinsyn, wiedział dokładnie. Znał sytuację finansową firmy „Iceberg & Vixen” od podszewki. Znał samą Toy lepiej niż ona sama się znała.

– OK. Co mam podpisać?

Uśmiechnął się.

– Nic. Wystarczy mi pani ustna zgoda. – Rozchylił wargi w olśniewającym uśmiechu. – Na tym szczeblu, proszę mi wierzyć, nie są potrzebne żadne podpisy.

– OK. Kiedy mi go wszczepicie?

– Jak najszybciej. Za dwa dni. – Uszczknął kawałek gotowanej na parze brukselki. – Pani ma już implant w głowie, prawda?

– Przecież wie pan o mnie wszystko.

Przytaknął.

– Wszystko to może przesada – zakpił delikatnie. – Nie wiem na przykład, o czym śniła pani dzisiejszej nocy...

Boże. Człowiek składał się z dokumentów. Nie mięśnie, kości, żyły, tkanki miękkie, nie szare komórki, nie płyn rdzeniowy ani DNA... Człowiek to po prostu zbiór dokumentów. Akta na policji, teczka w ubezpieczalni, karty chorobowe, zeznania podatkowe, zbiory FBI, notatki kuratora z odwykówki, wypełnione dawno temu ankiety, metryka urodzenia, baza danych domu dziecka, urząd statystyczny, rejestrator jej lekarza, wydruki z bankomatów i sklepów, w których płaci się kartą. Toy nie była istotą białkową. Była człowiekiem zbudowanym z papieru i twardych dysków. Jeśli ktoś miał władzę równą Caltronowi, mógł wiedzieć o niej więcej niż ona o sobie wiedziała. Mógł wiedzieć, kiedy ma okres, a kiedy dni płodne, czy lubi czekoladę, czy raczej hamburgery, czy bardziej odpowiadają jej rośli blondyni, czy też preferuje grubych Murzynów, czy siedząc w fotelu i dłubiąc w nosie, ogląda wypożyczone filmy, czy raczej kładzie nogi na biurko i czyta gazety, czy woli papier toaletowy rumiankowy, czy bezzapachowy, jaki jest stan flory bakteryjnej w jej pochwie, czy jeżeli mruży oczy, jest zdenerwowana, czy przeciwnie – podniecona, czy jeśli swędzi ją tyłek, to znak, że ma grzybicę, czy też po prostu włożyła za ciasne majtki...

Higgins wiedział o Toy wszystko. Trochę więcej niż Bóg. Wiedział, że się zgodzi. Miał rozliczenie wydatków firmy „Iceberg & Vixen”. Miał w ręku charakterystykę psychologiczną dziewczyny. Miał dokładny opis tego, co działała w kosmicznym walcu Moonsunga. Wiedział, w jaki sposób jako niemowlak zwracała uwagę mamy, choć ona sama swojej własnej mamy nie pamiętała. Wiedział, ile razy narobiła w pieluchę dwadzieścia lat temu,

wiedział, że w luksusowej pseudoeuropejskiej restauracji będzie się czuła onieśmielona, wiedział, co włoży na siebie tego dnia. Miał ją na widelcu. Pan Bóg w porównaniu z Higginsem był po prostu niedoinformowany. No trudno, pójdzie do piekła. Pan Szatan też miał tysiące programistów do dyspozycji i całkiem niezłe komputery. Jego personel w każdym razie rozgrywał sprawy dużo lepiej niż aniołowie korzystający ciągle z drewnianych liczydeł. Przeciętny anioł na przykład nie wiedział, że miała właśnie „stan wzmożonego napięcia przedmiesiączkowego połączony z obniżoną tolerancją na stres”. Pan Szatan i pan Higgins wiedzieli o tym doskonale. I dlatego wybrali ten dzień na decydujące o jej dalszym życiu spotkanie. Zabębniła palcami w blat stołu. Ciekawe, ile miesięcy temu Higgins wiedział, że zabębni w ten sposób podczas pierwszego spotkania?

Pan Bóg nie liczył się w dalszej rozgrywce. Korzystał facet po prostu z przestarzałego sprzętu. Jakies tam staromodne abakusy wykonane przez Izrael w czasach przekraczania Morza Czerwonego przez Mojżesza. Niczyja wina. Teraz Higgins i Szatan. Ci dwaj chłopcy nadążali za rozwojem techniki. Było ich na to stać. Odpowiednie wpływy, odpowiednie konta we właściwych bankach, nie to co utarg z tacy. Higgins & Szatan rulez! Takie napisy powinny się pojawiać na ścianach rządowych budynków. Z tym, że Higgins był trochę bogatszy niż rząd Stanów Zjednoczonych. Był troszeczkę lepiej poinformowany niż prezydent. Ciekawe, czy był bogatszy od pana Szatana? Cholera go wie. Może korzystali obaj z usług tej samej kancelarii adwokackiej? A może upili się kiedyś w jakiejś tawernie i kulturalnie podzielili strefy wpływów? Jak biznesmen z biznesmenem? Jak żołnierz Triad z członkiem mafii? „Tu twoje, a tu moje”. „Wszystko w końcu będzie moje, kotek!” – powiedział pewnie wtedy szatan. „Śnisz, idioto! – ryknął chyba śmiechem Higgins. – Wszystko będzie moje! Ubiłem doskonały interes, głupi diable. I moja rada na koniec: nie kupuj więcej tajwańskiego szajsu – niby tańsze, a ty jednak wyszedłeś jak dupek na tym interesie!”

Higgins w każdym razie nie przyszedł tu nadaremno... Tfu! Nadaremnie! Może lepiej nie stosować przestarzałego słownictwa Biblii, równie zdezaktualizowanego jak zeszłoroczne oprogramowanie.

Toy przekonała się już, co potrafi firma Moonsung. Kilka miesięcy po akcji, do której wynajął ją Pat Dante, przekonała się, że firma, jeśli jest tylko odpowiednio duża, może podnieść się z każdego upadku. Prasa i telewizja nie zostawiły na nich suchej nitki, sądy dosłownie rozsmarowały zarząd i przydzieliły ludziom z walca miliardowe odszkodowania... I co? Moonsung dalej trwał *alive and well*. Ludzi z walca leczono właśnie w szpitalach psychiatrycznych rozsianych na terenie całego kraju. A... A Moonsung przy Caltronie był niczym Kazachstan przy Rosji, niczym Walia wobec Anglii, był równie wielki jak Litwa w porównaniu z Polską...

Pozostawało więc do zadania jedno jedyne pytanie. Dlaczego wybrali właśnie ją? Czego chcieli od byłej prostytutki, byłej narkomanki?

– Dlaczego ja? – spytała więc.

Higgins nawet nie podniósł oczu.

– To trochę skomplikowana kwestia. Wojskowy implant nie jest jeszcze sprawdzony. Rząd przerwał nam badania w najciekawszym momencie, jeśli można się tak wyrazić. Słynna ustawa o granicach ingerencji w umysł. Wszczepiliśmy go jednak paru osobom.

– On ci zaraz powie, że nikt nie przeżył – mruknęła Shainee. Miała nieprawdopodobną intuicję. – Toy, zrezygnuj z tego, proszę!

Higgins zerknął z zaciekawieniem na Shainee.

– Nikt nie przeżył – powiedział cicho. – Implant w trakcie aktywacji niszczy zbyt wielkie obszary mózgu. Można skończyć jako roślinka, można umrzeć.

– Jakoś nie słyszałam o serii procesów „rodziny zmarłych kontra Caltron”.

– Istotnie. To byli ochotnicy, osoby nieuleczalnie chore, które implant mógł uratować. Wszystkie papiery mamy w porządku.

– Toy. Chodźmy stąd! – poprosiła Shainee. – Ten człowiek cię zabije.

– Powiedział pan trzydzieści tysięcy plus... – Toy zawiesiła głos.

– Plus sam implant, który będzie już pani własnością do końca życia – powtórzył. – Jest wart kilka ładnych milionów dolarów.

– Toy, proszę cię. – Shainee zagryzła wargi. – Skoro już pan jest taki uprzejmy, weźmy te pięćset i chodźmy do domu!

– Czekaj, kotek. Skoro on chce mi go wszczepić, to przecież nie po to, żeby znaleźć kolejnego ochotnika do badań. Czegoś od nas chce. – Zerknęła na Tally-Ho, która również zaprzeczyła dyskretnym gestem i wskazała drzwi wyjściowe. – OK. Jaka jest szansa, że przeżyję i będę normalna?

– Ogromna. Implant niszczy te partie mózgu, które i tak pani ma już zniszczone przez kokainę. To po pierwsze. – Higgins upił znowu mały łyk wody. – Po drugie, pani ma już nasz implant w głowie. Po trzecie, jest pani uwarunkowana i jest eksnarkomanką. Co pani brała? S-7? Słynną „siódemkę”, prawda? To coś wypaliło już pani dość sporo pod czaszką... Dobrze, mógłbym wziąć dowolnego narkomana i wszczepić mu implant. Duża szansa, że przeżyje w przeciwieństwie do człowieka normalnego, gdzie zanotujemy zgon z powodu nadmiernego szoku. Ale po co mi narkoman? Chcę panią. Po pierwsze, jest pani już uwarunkowana, a nam się spieszy. Po drugie, przeczytałem wszystko o tym, co pani zrobiła dla Dantego. – Wyjął z kieszeni małe płaskie pudełko. – Proszę położyć na tym dłoń i powiedzieć, że się pani zgadza.

– Nie, Toy! – krzyknęła Tally-Ho.

– Nie, siostró. Pod żadnym pozorem. – Shainee szarpnęła Toy za ramię. – Chodźmy stąd. Proszę!

Toy położyła dłoń na analizatorze. Zeskanował wszystkie impulsy wysyłane przez jej organizm i pobrał próbkę krwi z palca, która miała być dowodem Caltronu w ewentualnej rozprawie sądowej o odszkodowanie. Podpisała więc krwią, że nie jest pod wpływem

żadnych środków psychotropowych. Nowoczesna wersja cyrografu.

– Zgadzam się – powiedziała, patrząc Higginsowi prosto w oczy. – Co mi wszczepicie?

Ani na chwilę nie odwrócił wzroku.

– To coś jest implantem mózgowo-rdzeniowym. Nazywa się... Zresztą, mniejsza o nazwę.

Skinął na kelnera, który zabrał prawie nietknięte gotowane warzywa ze stołu. Zabrał też szklankę z wodą i przyniósł następną, mimo że z poprzedniej Higgins zdążył upić zaledwie trzy łyki.

– To ostateczne rozwiązanie kwestii inżynierii genetycznej naszej kochanej cywilizacji.

– Głupia! – Shainee straciła apetyt. Przez chwilę sprawiała wrażenie, że się rozplacze. – To nie jest dobry człowiek.

Higgins starł palcem niewidzialny pyłek z lśniącego obrusu.

– Teraz mogę wyjawić cel naszego spotkania – powiedział cicho. – To będzie dłuższa opowieść, więc może zamówią panie coś jeszcze?

Toy poprosiła o wódkę. Shainee nic nie chciała. Zamknęła oczy i przytuliła się do ramienia Tally-Ho smutna. Łzy zbierały jej się pod powiekami.

– Zabijają ją – szeptała. – On ją zabije.

Higgins nie zwracał uwagi na dwie dziewczyny. Patrzył prosto w twarz Toy.

– Cała historia ma początek w zeszłym stuleciu – zaczął. – Od prób stworzenia technologii zwanej VR. „Wirtualna rzeczywistość” – zakpił. – Do dziś nie udało się jej stworzyć. Wbrew głośnym kampaniom reklamowym różne firmy skonstruowały „V”, ale nie mogą sobie poradzić z „R”. – Uśmiechnął się ciepło. – Bo co to jest wirtualna rzeczywistość w obecnym wydaniu? Idzie pani do salonu gier, nakłada kombinezon, hełm, uprząż, podwieszają panią do specjalnych szelek na stojaku. Już w tym momencie wszystkim rozsądnym ludziom chce się śmiać, gdy widzą wierzgające nogami postaci obok i słyszą ich kretyńskie okrzyki w rodzaju: „Ach! Stój, gnoju! Będę strzelał! Chodź, pindo...” albo wręcz „Och, och, och...”. Mniejsza z tym. Pracownik podłącza pani zbroję do komputera i... znajduje się pani w VR. Ha, ha, ha... Ale dobrze. Widzi pani jakieś potwory, strzela, krew tryska hektolitrami. Boże! Sprowadziłem sobie kiedyś taki sprzęt. Bo nie zdecydowałbym się nigdy na włożenie przepoconego kombinezonu z publicznych salonów. Nie wiem, czym oni to czyszczą... Myślałem, że „rumieńce wstydu” zostaną mi już do końca życia. Czułem się jak idiota. Niby gdzieś tam biegłem, strzelając do czego popadnie, ale wiedziałem przecież, że tak naprawdę tylko ruszam nogami podwieszony na uprzęży przypiętej do stelaża. Koledzy wyli ze śmiechu. Higgins zaczerpnął tchu.

– Spróbowałem potem seksualnej VR. Rzeczywiście, udało im się mnie podniecić – wyznał szczerze. – Ale co z tego, skoro do niczego konkretnego nie mogło dojść? Wiem, wiem... Są chińskie urządzenia z wbudowanymi onanizatorami. Serdecznie za to dziękuję. Nie mam najmniejszej ochoty, żeby onanizowało mnie urządzenie o wyglądzie gruszki do lewatywy, wyświetlając w hełmie ruchome obrazki panienek z Playboya.

Shainee oderwała się od ramienia Tally-Ho i przełknęła ślinę przerażona.

– Nie, nie, nie... – kontynuował Higgins. – To nie dla mnie. To nie jest do przyjęcia dla większości mężczyzn na świecie. Spróbowałem więc gry strategicznej. Spróbowałem „Moonsung Overdrive”. – Uśmiechnął się i mrugnął do Toy. – To gra oparta na kanwie pani przygód.

Wybałuszyła oczy.

– Jest gra o mnie?!

– Oczywiście. Nie rozumiem pani zdziwienia. Afera z kosmicznym walcem była tak głośna w mediach, że gra pojawiła się natychmiast. Wyprodukowali ją piraci i w związku z tym nie zapłacono wam praw autorskich do postaci. Żeby uniknąć procesów, zmieniono nazwiska i wygląd zewnętrzny ludzi. Ale można wcielić się w każdego. Zamiast „Toy Iceberg” jest „Toye Titanic”, zamiast „Shainee” jest „Shining”, zamiast „Tally-Ho” jest „Action-Station”. Można też wcielić się w Pata Dantego zwanego dla niepoznaki „Joe Petrarka”. Można zostać „panem Brownem”, który w grze nazywa się „panem Smithem”... Koszmar. Uważam się za człowieka inteligentnego, nigdy nie brałem narkotyków, więc proszę wybaczyć, rozwiązałem aferę, powiedzmy, sto razy szybciej niż pani w rzeczywistości. Ale gra nie dopuszczała takiego rozwiązania. Przegrałem. Programiści uznali, że albo rozwiążę problem tak, jak zrobiła to pani, albo przegrywam. Idiotyzm. No cóż. Nośniki pamięci mają jednak określoną pojemność. Nie da się wymyślić i zapisać wszystkich możliwych rozwiązań do wyboru. Zresztą... Zacząłem znęcać się nad grą. Na przykład na Księżycu poszedłem do najbliższego biura podróży i poprosiłem o bilet na prom do Chin. Wyświetlił się napis „Nielegalna komenda”. OK. Podczas pierwszego spotkania zastrzeliłem Pata Dantego. O przepraszam... „Joego Petrarkę”. Dowiedziałem się, że „Użytkownik wykonał nielegalną operację”. Skoczyłem więc z okna pani biura. Gra zawiesiła się i musiałem wzywać obsługę techniczną. To zbiór bzdur. Kompletny *shit software*. Jeżeli świat VR to na przykład Nowy Jork, a ja chcę lecieć do Nijmegen, oczywiście VR zaczyna się sypać. Nie można wirtualnej rzeczywistości zaimplantować w komputerach całego świata. Obawiam się, że nigdy nie można będzie tego zrobić. Bo powiedzmy: gra toczy się w L.A., zakładam istnienie przyszłych, „cudownych” komputerów i chce pani polecieć do Paryża. Leci pani, powiedzmy, że taka technologia pojawi się za kilkadziesiąt lat, i sprawdza napis na murze, który namazała podczas ostatnich wakacji: „Higgins jezd gupi!”. I co? W VR napisu nie będzie! Choćby zeskanowali „cudownie” cały Paryż, napisu nie będzie. Tego się nie da zrobić. Trzeba byłoby skanować Paryż co sekundę. A tu już jesteśmy zbyt blisko schizofrenii, żeby rozmawiać o tym poważnie...

Znowu odetchnął głęboko.

– Zresztą VR to i tak totalna bzdura. Za drogi sprzęt. Można oczywiście fundnąć sobie hełm i rękawice, a nawet kombinezon do domu, ale... W VR czuje pani mniej więcej tyle. – Klepnął ją palcami w dłoń. – I już. Jeśli ktoś panią postrzeli, nie poczuje pani wielkiego bólu,

jedynie słaby ucisk kombinezonu. Po drugie, w VR przez cały czas wie pani, że to tylko software i serwomechanizmy. Po trzecie, co to za „rzeczywistość”, w której nie mogę niczego polizać, kochać się z kobietą, wymyślić samemu, jak zastrzelić prezydenta i zrealizować ten plan?

Cały problem z wirtualną rzeczywistością polega na tym, że jej uczestnik doskonale wie, że to żadna „rzeczywistość”. Sprawę dałoby się załatwić wszczepianiem do głów implantów, lecz... Kto o zdrowych zmysłach pozwoli sobie wszczepić procesor do mózgu, jeśli nie jest to absolutnie konieczne? Odpowiedź wydaje się prosta – tylko urodzony idiota. Idiotów co prawda na świecie nie brakuje. Niemniej po kilku tygodniach pojawią się przecież nowe procesory, oferujące nowe możliwości. I co? Należy przeprowadzić nową operację na otwartym mózgu? Nie. To koszmar. Caltron zainteresował się rynkiem z powodu jego pojemności...

Higgins przerwał nagle. Pociągnął łyk wody ze stojącej przed nim szklanki. Potem kontynuował.

– Poszliśmy inną drogą. Zadaliśmy sobie pytanie, po co produkować kosztowne urządzenia albo wszczepiać ludziom implanty VR. Czy nie lepiej wykorzystać mechanizm VR, który każdy człowiek już ma w swojej głowie?

– Jaki? – Toy aż podskoczyła na krześle. Tally-Ho i Shainee również popatrzyły zaciekawione.

– Każdy człowiek ma już zaimplementowany system wirtualnej rzeczywistości w głowie – powtórzył Higgins.

Tally-Ho skubnęła coś z talerza. Zastanawiała się gorączkowo.

– Mózg? Umysł?

– Ciepło, ciepło.

– Co to jest?

Higgins upił kolejny łyk wody. Kelner natychmiast zmienił szklankę na nową.

– Sen.

– Proszę?

– Sen.

Higgins nachylił się nad stołem.

– Sen – powtórzył. – Zwykły, normalny, ludzki sen. Przecież, gdy ktoś śni, to wydaje mu się, że wszystko odbywa się naprawdę. Mam rację?

– Owszem.

– Sprokurowaliśmy... – zerknął na Toy, uśmiechnął się a propos poprzedniej wpadki z wyrażeniem „spieszę wyjaśnić”. – Wyprodukowaliśmy urządzenie, które wprowadza człowieka do świata snu. Wszystko wydaje się naturalne. Wszystko prawdziwe. Po prostu śni się sen. – Znowu pokazał swoje olśniewające zęby. – Tak realny jak tylko sen może być. Wszystko „dzieje się naprawdę”. Można odczuwać ból, strach, przyjemność, można się

kochać. Naprawdę. – Potarł wargi. – Ile razy miała pani orgazm podczas snu?

Toy przełknęła ślinę, trochę zszokowana.

– No, parę razy. – Usiłowała się nie zaczerwienić.

– Parę?

– No, dobra. Trochę razy więcej niż trochę. Młoda jeszcze jestem – wyjaśniła, jakby mogło to być wyjaśnieniem. – Śnią mi się różne rzeczy z mężczyznami.

– O, właśnie. Czy to był prawdziwy orgazm?

– Tak. – Spuściła oczy skonfundowana. Przynajmniej nie kłamała. Ale bała się podnieść wzrok. Cholera jasna, no, miała orgazm kilka... kilkanaście... kilkadziesiąt... No, dobra. Miewała orgazmy we śnie. I taka jest nasza linia obrony, wysoki sędzie. Na to się nie ma wpływu.

– Sama więc pani widzi, że we śnie można zrobić wszystko. Można być bogiem, można diabłem, można złodziejem, można świętym. I wszystko jest realne. – Odsunął się od blatu. – Można też umrzeć, zginąć, zostać zamordowanym, spalonym żywcem, zostać nabitym na pal. Co kto lubi. Śmierć we śnie jednak nie ma żadnych konsekwencji w rzeczywistości. Po prostu człowiek się budzi. I już.

– Slogan reklamowy: „Możesz przeżyć własną śmierć”?

– Nie tylko. „Miłość z Marilyn Monroe”, „Jak zastrzeliłem papieża”, „Dlaczego jako prezydent nakazałem koniec świata”. I tak dalej.

– Domyślam się, że każdy chce zabić swojego szefa. To też możliwe?

– Owszem. I to bez żadnych konsekwencji, a wrażenie takie, jakby się to zrobiło naprawdę.

– A te duchy w kościele? – wtrąciła się Tally-Ho.

– Proszę pani... – Higgins skierował na nią ciepłe spojrzenie. Przepiękna Żydówka najwyraźniej mu się podobała. – Nasza metoda wymaga dwóch rzeczy. Ogromnego akceleratora i pewnego środka chemicznego. I już można śnić o czym się chce. „Mistrz Snu” może stworzyć taką rzeczywistość, na jaką tylko mamy ochotę.

– Kto to jest „Mistrz Snu”? – przerwała mu Toy.

– Człowiek, który tworzy oniryczną rzeczywistość. Starożytny Rzym, czasy Dzikiego Zachodu, drugą wojnę światową albo Eden, seks na Marsie, torturowanie niewolnic, ewentualnie bycie torturowanym niewolnikiem, co kto woli. I wszystko naprawdę.

– OK. Co się stało? Gdzie zawiódł plan?

– Wybudowaliśmy akcelerator pod Sex Side, bo tam same męty.

– Nikt nie zwróciłby uwagi, gdyby coś poszło nie tak?

Higgins skinął głową.

– Dokładnie. – Przygryzł wargi. – No, niestety zawiódł „Mistrz Snu”. Wszyscy, na których testowaliśmy tę metodę, zapadli w śpiączkę. Nieodwracalną chyba. Coś się posypało.

– I żeby odwrócić uwagę prasy, zrobiliście „duchy” w kościele?

Spojrzał na nią wrednie trzeźwo jak na porę tej dziwnej kolacji.

– Oczywiście. – Przełknął łyk wody. – Lecz problem polega na czym innym. Wysyłaliśmy agentów do świata snu. Niestety, wszyscy zapadli w komę. Śpiączkę, z której nie można ich obudzić. Chcieliśmy odnaleźć osobę, która przejęła rolę „Mistrza Snu”.

– A kto był pierwotnym „mistrzem”?

– Plummers. Twórca tego urządzenia. Leży w śpiączce w szpitalu. Totalnie niekumaty.

Toy ruchem ręki przywołała kelnera. Zamówiła jeszcze jedną polską Belvedere. Czekali w milczeniu, aż facet w białym fraku przybiegnie ze złotą tacą i oszronionym kieliszkiem. Łyknęła całą zawartość od razu.

– Czego pan ode mnie oczekuje?

Patrzył jej prosto w oczy.

– Żeby weszła pani w świat snu. I dowiedziała się, co tam się dzieje.

– I wpadła w komę?

– Wojskowy implant powinien panią przed tym uchronić.

– Powinien?

Nie odwracał wzroku.

– To nie jest zwyczajny implant. Powiedziałbym nawet, że jest bardzo szczególny. Istnieją tylko cztery egzemplarze na świecie. – Przez moment nie wiedział, co zrobić z rękami. – Z reguły po wszczepie człowiek umiera. Dlatego potrzebujemy byłej narkomanki, która już ma zniszczone pewne partie mózgu po słynnej „siódemce”. Nie powinien pani zabić. A to, że jest pani detektywem, który wykazał się dużą... hm... inwencją przy akcjach Dantego, to taki dodatkowy prezent dla nas od losu.

– Czy pan powiedział, że „nie powinien mnie zabić”?

Znowu jego twarde, stalowe spojrzenie.

– Nie powinien. Ale wszystko w rękach naszych chirurgów i Boga Wszechmogącego.

Shainee podniosła głowę znad talerza.

– Widzę śmierć w białej szacie i z kosą w rękach, jak czai się za drzwiami tej sali. Toy, ja naprawdę widzę śmierć – powiedziała spokojnie i bez emocji.

Higgins tylko prychnął.

– No to w porządku – powiedziała Toy. – Zaprośmy ją do stolika.

Tally-Ho nagle poczuła się niczym kawalerski koń ukłuty ostrogami.

– Rozwiążemy tę sprawę dla pana.

Higgins spojrzał na Vixen w „ten słynny, męski sposób”, który sugerował tylko jedno. Najwyraźniej miał ochotę na kontynuację kolacji, choć już w mniejszym gronie. Tally-Ho jednak zrobiła minę w rodzaju: „ach, nie olśniewaj mnie swą mocą, panie”. W przenośni chwyciła go w rękę i trzymała mocno. Mógł się jedynie wic w uchwycie. Twardym.

– OK. Co się stało później?

– Nic takiego. Wybudowaliśmy nowy akcelerator w naszej prywatnej miejscowości.

– Proszę?

– W naszym prywatnym mieście, które jest własnością Caltronu. – Przełknął ślinę. – Przepraszam, czy mogłyby mnie panie poczęstować papierosem?

Toy aż zamarła z wrażenia. Tally-Ho rozdziawiła swoją piękną buzię. Nawet Shainee spojrzała zdziwiona. Dwie dziewczyny wyciągnęły w jego kierunku paczki. Oczywiście wziął od Vixen. Uwadze Toy nie umknęło, że lekko drżały mu ręce. Lekko, leciuteńko. Stało się jednak coś dziwnego. Kelner przybiegł z zapalniczką, przypalił. Higgins zaciągnął się raz, wziął głęboki wdech i zgasił papierosa w przepięknej popielniczce. Nałogowiec, myślała, próbując go rozgryźć. Ale jak to możliwe? Uwarunkowany? Nie. Co z nim jest nie tak? Sama zaciągnęła się swoim papierosem, wypuszczając kłęb dymu. Człowiek-zagadka wpatrywał się smutno w zakiepowanego prawie całego papierosa w popielniczce przed nim.

– Wracając do naszej dyskusji – podjął po chwili. – Wybudowaliśmy akcelerator w naszym mieście. I znowu to samo. Dziesiątki przypadków komy. Nieodwracalnej. Lekarze są bezradni. Wysyłaliśmy agentów do świata snu, chcąc się dowiedzieć, o co chodzi. I już po nich.

– Jaka jest szansa, że Toy przeżyje? – spytała Vixen.

Popatrzył z sympatią na prześliczną Żydówkę.

– Otrzyma wojskowy implant. Jeden z czterech na świecie. To, jak na razie, nasze ostateczne rozwiązanie w walce z Panem Bogiem.

Shainee tylko zakryła twarz dłońmi.

– Gdzie mam się stawić? – spytała Toy.

Napisał adres na karteczce.

– A jak się nazywa ten implant? – spytała Tally-Ho.

Dopisał jeszcze jedno słowo. Podał im karteczkę.

– No cóż. Skoro jesteśmy „dogadani”, czas udać się na spoczynek. – Rzucił taksujące spojrzenie na wszystkie walory Tally-Ho. – W restauracji proszę zamawiać bez żadnego skrepowania, jeśli paniom nie chce się spać. Wszystkie rachunki pokryjemy bezzwłocznie.

Wstał i uklonił się uprzejmie. Podarował Tally-Ho jeszcze jedno spojrzenie. Odwrócił się i wyszedł.

– Ja chcę kurczaka! – wrzasnęła Tally-Ho. – Dajcie mi wreszcie wysmażoną kurę!

Kelner giął się w ukłonach.

– Spróbujemy zamówić w restauracji tuż obok. Właśnie ją otwierają. – W panice pobiegł na zaplecze.

– A ja wódkę – krzyknęła za nim Toy. – I to dużą.

Tylko Shainee niczego nie zamawiała. W skupieniu patrzyła na kartkę pozostawioną przez Higginsa.

– Co tu jest napisane? – spytała. – Nie za bardzo umiem czytać.

– To jest implant. – Vixen zamarła, wybałuszając oczy. – Woj... woj... wojskowy implant,

za którego posiadanie grozi kara śmierci. Przynajmniej w USA. Czytałam tę twoją gazetę.

– Jak to? Za implant mogą cię zastrzelić?

– Powiesić, zagazować, zelektryzować. Ten implant nie powinien istnieć. Zakazał go senat Stanów Zjednoczonych. Każdy, kto go posiada, może być natychmiast odstrzelony bez żadnych konsekwencji.

– Co to jest? – zainteresowała się Toy.

– Przecież mówię, że czytałam w tej twojej gazecie – zdenerwowała się Tally-Ho. – „Dziewica dosiadająca wilka. Kobieta, która odprowadza wojowników do krainy śmierci”.

– No, i jak on się nazywa?

Vixen przetarła oczy.

– Valkiria!

– O Jezu!

– Myślę, że Jezus nie jest tu za bardzo kumaty. To nie jego ziomale.

– No, ale co to znaczy? – spytała Shainee. – Przecież mówiłam, że ten facet zabije Toy! Toście mnie nie słuchali!

Tally-Ho zsunęła się z krzesła, olewając przyniesionego kurczaka, i oparła się plecami o nogę stołu.

– To jest sama śmierć. To jest VALKIRIA!

* * *

Nie mogła o sobie powiedzieć, że się trzymała. Perspektywa pięćdziesięciogodzinnej operacji, podczas której będzie w pełni świadoma, prawdę powiedziawszy, napełniała ją przerażeniem. Dwie rosłe pielęgniarki zaprowadziły Toy do sali przygotowawczej. Tam za parawanem musiała się rozebrać. Nie wiadomo, po co ten parawan, nie dano jej niczego, co mogłaby na siebie włożyć. Nagą zaprowadzono do łazienki, gdzie sprawnie ogolono jej głowę. Usiłowała nie patrzeć w lustro. Potem prysznic, spryskanie środkiem odkażającym i przeszła do sali aseptycznej, gdzie powtykano rurki do wszystkich otworów jej ciała z wyjątkiem uszu. Pielęgniarki wprowadziły kilkanaście sond i zaworów do jej żył, potem przykleiły elektrody. Starły się być delikatne. Wyraz zażenowania po tym, jak zakładały Toy cewnik, mógł pozostać na twarzy do końca świata.

Wszystkie te rurki i kable podłączone były do niewielkiego pojemnika, co miało jej umożliwić przejście do strefy bezkurzowej bez rozlewania krwi i innych płynów ustrojowych na korytarzu. Pojemnik musiała dźwigać sama. Przez chwilę wydawało się, że wygląda niczym astronauta idący do swojego statku kosmicznego. Z tym tylko, że żaden astronauta nie chodził goły i nie miał ogolonej głowy. No i... Nie miał na przykład rurki wychodzącej z ust. Zresztą takich „na przykład”, jeśli chodzi o różnice między nią a kosmonautą, mogłaby wymienić kilkadziesiąt.

Na sali operacyjnej nie było normalnego stołu tylko dziwne urządzenie w kształcie litery „X” z poprzeczką w środku.

– Lekarze muszą mieć dostęp do ciebie z każdej strony – wyjaśniła pielęgniarka.

Musiała się położyć na tym narzędziu tortur na brzuchu i rozłożyć szeroko ręce oraz nogi. Na twarz przewidziano specjalny otwór, dzięki któremu przez najbliższych pięćdziesiąt godzin będzie podziwiała gustowne kafelki na podłodze.

– Trochę zimno – powiedziała, pokonując opór szczęk. Jakoś dziwnie się mówiło, mając po kilka rurek w nosie i w gardle.

– Nie przeziębisz się. Bez obawy. – Pielęgniarka przełączała przewody z pojemnika do odpowiednich urządzeń. Druga myślała ją czymś lodowatym. – Chyba możemy już wołać głównego inkwizytora.

– Mhm...

Anestezjolog przywitał Toy klepieniem w ramię.

– Ale mamy ładne tatuaże. – Roześmiał się. – Oooo... jesteście śliczną dziewczynką!

– My? Pan też? Bo nie widzę. – Rzeczywiście, mogła dostrzec jedynie jego nogi.

Znowu poklepał ją po ramieniu.

– No, no – powiedział uspokajająco. – Nie boimy się, prawda?

– Z nas dwojga to może pan się nie boi.

Usłyszała szum serwomechanizmów konsoli anestezjologa. Szlag. Co za okropne uczucie. Najpierw szybkie drętwienie, a potem przestała czuć cokolwiek. Nie mogła już niczym poruszyć poza mięśniami twarzy, jakby ją ogłuszono, jakby ktoś nagle zabrał całe ciało. O mamo... Teraz to już mieli ją na dobre. Klamka zapadła, była całkowicie w ich mocy. Zobaczyła, że kropelki jej potu szybują w dół. Pielęgniarka podstawiła pod twarz Toy specjalną miseczkę.

– Słyszysz mnie? – spytał anestezjolog.

– T... t... tak...

– No proszę, pacjent znieczulony, a jeszcze żyje! – Roześmiał się znowu. – Chyba powinienem jednak skończyć te studia. – Bawił się w najlepsze. – Tylko na studia medyczne mogą mnie nie przyjąć, bo nie skończyłem jeszcze podstawówki.

– Ha, ha, ha – wycedziła Toy powoli. – Do kabaretu pana przyjmą bez podstawówki.

Cholerne dowcipy. Na szczęście z powodu rurek nie mogła szczekać zębami. Nadeszła reszta ekipy lekarskiej.

* * *

– OK, złotko. Teraz rozcinam ci skórę głowy.

Toy leżała na „stole operacyjnym” od kilku godzin. Najpierw coś tam jej majstrowali na wysokości bioder przy kości ogonowej, później przenieśli się wyżej.

Usłyszała coś jakby ciche syczenie, a potem odgłos ssania urządzenia, które odciągało krew.

– Dooooobrze. Wszystko idzie według instrukcji użycia.

– Jakiej instrukcji? – zapytała przerażona.

– Instrukcji otwierania twojej głowy – zażartował neurochirurg. – Co? Nie załączyli takiej do twojego egzemplarza ciała przy urodzeniu? Nie jesteś już na gwarancji?

– Bez takich dowcipów, kolego! – ochrzanił go profesor. – Panno Toy, teraz położę płat skóry na pani czole. Nie należy przejmować się, jeśli zobaczy pani jakieś czerwone kropelki skapujące z brwi...

„Czerwone kropelki”?! Jezus! O mamó... Ale się bała.

– O, cholera! – To był głos chirurga. – Widzicie?

– Co się stało? – jęknęła Toy. Zobaczyła „czerwone kropelki” skapujące z brwi do miseczki i myślała, że z wymiotuje ze strachu.

– Nic, nic, dziecko. – Profesor poklepał ją po twarzy, bo to było jedyne miejsce, gdzie zachowała czucie. – Zobaczyliśmy efekt pracy naszego poprzednika.

– I co z nim? – O mało się nie rozplakała.

– Nic, nic, dziecko. Nic się nie bój.

Słyszała szum jakichś urządzeń.

– Kurde blade! Nie wierzę! – W głosie neurochirurga brzmiało coś dziwnego.

– Masz rację.

– To przecież Western Chemicals!

– Jezuuu... Nie wierzę! No nie wierzę w to, co widzę!

– O mamó! – Toy na szczęście była zacewnikowana. Nie mogła więc nawet zsiąkać się ze strachu. – Co tam widzicie?

– Nic, nic, dziecko – powtórzył profesor. – Który specjalista robił ci poprzednią operację?

– Operowali w ośrodku odwykowym Ramon Dare.

Ktoś westchnął.

– Kotek... Wiesz, czym ci skleją czaszkę? Western Chemicals produkuje takie cudo, którym się klei na przykład wewnątrz komory reaktora atomowego. Nie wspomnę już o cenie grama tego kleju. Nie mógł ci tego zrobić prowincjonalny chirurg z Pipidowy Dolnej! My też stosujemy to rozwiązanie. Jako może... jedna z trzech firm na świecie! Kotek... Nie wpieraj nam, że doktor Smith z Pipidowy umiał obsłużyć choćby nóż elektryczny, którego ktoś użył na twojej główce. Tam by ci prędzej założyli kawałek blachy na dziurę w czaszce, a nie wpasowali wyciętą kość na... Jezu... Western Chemicals typ 7!

– Ja naprawdę... – jęknęła. – Robili mi to w ośrodku odwykowym.

– Przestań z łaski swojej. Operację przeprowadzał fachowiec z elitarnej najlepszej w kraju uczelni medycznej. Jakiś nasz kolega, a nie wiejski łamignat, który nie wie, co to klej do reaktora.

Zamknęła oczy, nie chcąc widzieć „czerwonych kropelek”. Nie potrafiła zamknąć uszu i nie słyszeć ich dyskusji.

– I co teraz, panowie? Przez tę spoinę trepan się nie przebije.

– Mhm!

– To co? Kroimy większy otwór niż zakładaliśmy?

– Pewnie... He! Ale jak tak dalej pójdzie, to zrobimy jej pancerną czaszkę.

– Dlaczego pancerną? – jęknęła Toy przerażona.

– No bo wieweeeeesz... Typ 7 to taka odmiana kleju biurowego do papieru.

– Mówilem, bez głupich żartów! – ryknął profesor. – Panno Toy – uspokoił się po chwili.

– Każde zastosowanie Western Chemicals sprawia, że wokół spoiny powstaje szeroka strefa wzmocnionej tkanki. To taka molekularna reakcja chemiczna. I prawdę powiedziawszy...

– Nie da ci się rozłupać czachy nawet młotem pneumatycznym – dokończył neurochirurg.

– Następną operacją na twoim mózgu to już chyba od dołu, przez gałkę oczną.

– Panie kolego! Czy ja pana o coś prosiłem?

– To przecież nie żart.

Ktoś westchnął.

– Dobrze. Tnijcie. – To znowu profesor.

Usłyszała okropny, przeraźliwy dźwięk. Dźwięk, który rozchodził się po całym ciele. Trepan. Jezu! Widziała, że przedmioty w zasięgu jej wzroku drżą, więc narzędzie musiało właśnie zmieniać kierunek cięcia. Nie czuła niczego, ale ten dźwięk i... świadomość, co jej robią...

– Przysawka. – Znowu profesor. – Dobrze. Proszę wyciągnąć i odłożyć na bok. Jesteśmy w środku.

Usiłowała zezować, żeby zobaczyć, gdzie odkładają kawałek czaszki wycięty z jej głowy, ale byli sprytniejsi od niej. Nie pokazali.

Ktoś cmoknął.

– Jest nasz stary B-52. Ładnie na wierzchu.

– No. – Ziewnięcie. – Nawet mniej niż sześć procent zużycia. Mógłby jeszcze działać kupę lat.

– Mhm. Fajne urządzone.

Słyszała szcęk jakichś narzędzi. Potem odgłos ssania. Później popiskiwanie skanera i szum serwomechanizmów.

– OK. Mogę wyjąć.

– Ja też jestem gotowy do wyjęcia.

– Dobrze. Wyciągajcie.

Przez moment myślała, że coś poczuje, tak strasznie intensywne były dźwięki. Niczego nie poczuła.

– OK. Już na zewnątrz...

– Jezus! – krzyknął ktoś przeraźliwie. – Jezus! Jezu...!

– Ja cię... Co to jest?!

Szlag! Dobrze, że była zacewnikowana, pytanie tylko, czy rurka wytrzyma. Myślała, że zemdleje. Ale nie ma tak dobrze. Była całkowicie przytomna i totalnie unieruchomiona przez cały czas.

– Co się dzieje?! – Ledwo potrafiła wydusić słowa z zaciśniętego gardła.

Tym razem jednak nikt jej nie słuchał.

– Co to jest?!

– Kurrde! Ktoś już widział coś takiego?

– Rak? Nowotwór?

– Ciszej, durniu!

– Coś ty... To nie jest naturalne!

Usłyszała trzask podnoszonej słuchawki telefonu. Rozpoznała głos profesora.

– Słuchaj. Znaleźliśmy coś pod naszym starym B-52! Co? Nie, jakiś bioimplant.

Ktoś po drugiej stronie musiał krzyczeć w słuchawkę. Słyszała wyraźnie szmer.

– Nie śnię! Widziałem jej akta medyczne. Słuchaj, daj mi wykaz wszystkich bioświństw, które produkuje się na świecie.

Kątem oka zauważyła, że pielęgniarka przekręca monitor komputera. Była przerażona do granic możliwości.

– Coście znaleźli w mojej głowie? – wrzasnęła.

– Nic, nic, dziecko. – Profesor znowu poklepał Toy po twarzy. – Niczym się nie zajmuj. To nic złego.

– No, szlag! – Usłyszała neurochirurga. – To nie jest amerykańskie? Czy skaner się zepsuł?

– Skaner jest OK. – To był jeden z techników.

– Dobra. Daj przegląd europejskich gównien.

Ktoś stukał w klawisze.

– Jezu...!

– Chińskie? Japońskie? No ktoś przecież to wyprodukował, do jasnej cholery!

– A może ukraińskie? Węgierskie? Może to Indianie zrobili? Albo Cyganie w swoich wozach?

Znowu suchy klekot klawiszy.

– Wojskowa technologia.

– Na pewno nie. Oni nie robią bioimplantów.

– Ten wszczep jest nieaktywny, panie profesorze.

– Widzę! Mam oczy!

– A może w Malezji?

– Kurwa! Może od razu na Księżycu? Albo na Marsie?

– Proszę nie kłąć. – Profesor zebrał się w sobie. – Pacjentkę mi stresujecie.

Boże... Tak jakby nie była zestresowana dotychczasową wymianą zdań.

– Panno Toy. – Profesor podetknął jej lustro pod twarz, żeby mogła zobaczyć jego twarz. Widziała, tylko do góry nogami. – Proszę się niczym nie przejmować. To coś jest kompletnie nieaktywne. Chciałbym jednak wiedzieć, co to jest.

– Nie wiem. – Rozplakała się przerażona.

– Proszę się uspokoić. – Pogłaskał ją po twarzy. – Nic się pani nie stanie. No już, już... Proszę się wziąć w garść. Musi nam pani odpowiedzieć na kilka pytań. Po pierwsze, kto pani robił poprzednią operację?

– Doktor Novotny w ośrodku odwykowym Ramon Dare.

Znowu usłyszała stuk klawiszy.

– Akurat! – Ktoś się zaśmiał. – Novotny nie zarabia nawet stu tysięcy rocznie!

Profesor w lustrze pokręcił głową.

– Nie, nie, panno Toy... Taki człowiek nie zrobiłby nawet operacji wyrostka, tak żeby nie pozostawić szerokiej blizny. Kto pani robił poprzedni zabieg?

– Novotny!

Profesor przygryzł wargi.

– Wprowadzę pani pod powiekę końcówkę wykrywacza kłamstw. To nie będzie boleć.

I co miała zrobić? Rozkrzyżowana bez czucia na stole operacyjnym, z wyjętym kawałkiem czaszki i rozciętą kością ogonową... Profesor chwycił Toy za powiekę lewego oka i włożył pod nią coś zimnego. Piekło i swędziało. Poczwała znowu zbierające się łzy.

– Kto pani zrobił ostatnią operację?

– Doktor Novotny w ośrodku odwykowym Ramon Dare.

Usłyszała trzask krzesła, a właściwie skrzyp plastiku, gdy ktoś walił się na niego całym ciężarem ciała. Jęknęła.

– Kto pani wszczepił bioimplant?

– Nie wiem.

– Do czego on służy?

– Nie wiem.

– Dlaczego jest nieaktywny?

– Nie wiem.

– Szlag... Siksa mówi prawdę!

– Jak się pani nazywa?

– Toy Iceberg.

– Ile pani ma lat?

– Dwadzieścia jeden.

– Czy jest pani dziewczyną, czy chłopcem?

– Dziewczyną.

- Ile pani ma wzrostu?
- Metr sześćdziesiąt.
- A teraz proszę kłamać. Proszę udzielać fałszywych odpowiedzi na każde moje pytanie.

Rozumie pani?

- Tak.
- Miała pani kłamać! Jak się pani nazywa?
- Marilyn Monroe.
- Ile ma pani lat?
- Trzy.
- Czy jest pani dziewczyną, czy chłopcem?
- Chłopcem.
- Ile ma pani wzrostu?
- Dwa metry dwadzieścia.
- Czy lubi się pani onanizować o zmierzchu?
- Nie. To znaczy... Tak!
- Czy jadła pani żywą rybę, zaczynając od oczu?
- Taaaaak!!!
- Czy jest pani Marsjaninem?
- Tak!
- Czy to doktor Novotny przeprowadzał ostatnią operację?
- T... Nie!
- A kto?
- Nie wiem.
- Miała pani kłamać. Proszę się skupić... Czy jest pani dziewczyną?
- Nie. Chłopcem!
- Czy doktor Novotny przeprowadzał ostatnią operację na pani?
- Nie.
- A kto?
- Doktor Frankenstein!
- Kiedy się pani urodziła?
- W październiku tysiąc dziewięćset siedemnastego roku.
- Kto umieścił bioimplant w pani głowie?
- UFO.
- Czy ma pani dwadzieścia jeden lat?
- Nie.
- Kto przeprowadzał operację na pani głowie?
- Kaligula.
- Kochała się pani z inną dziewczyną?

- Ni... Tak!!!
- Proszę się skupić. Skąd jest ten bioimplant?
- Ze Szkocji!
- Czyjej produkcji?
- Szwedzkiej!
- A Finlandia?
- To kraj zajęty przez mrówki!

Ktoś nagle wrzasnął:

- Uaktywnił się!!!

Ktoś inny podskoczył z boku.

- Pan jest genialny, profesorze.

Lustro zniknęło sprzed oczu Toy.

- Co mamy?

Znowu intensywny stuk w klawisze komputera.

- Gówno! To reakcja po wyjęciu B-52!

– Prosiłem... – Profesor tylko westchnął. – Dobrze. – Nachylił się i delikatnie wyjął końcówkę z oka dziewczyny. – Jaki odczyt?

Ktoś z rezygnacją w głosie:

- Pełne, całkowite stuprocentowe odruchy... Ona nic nie wie.

Dłuższa drażniąca cisza. Potem ktoś z boku zapytał:

- I co robimy?

Profesor z rezygnacją:

- Wszczepiamy naszą Valkirię.

- Obok?

- Neeee... Wprost w to świństwo. Idealne miejsce.

Toy przygryzła wargi.

– Panie profesorze – powiedziała, usiłując panować nad sobą – nie mogliby panowie wyjąć mi tego czegoś z głowy?

Profesor znowu podsunął lustro i kucnął przy jej twarzy.

– Panno Toy... Moglibyśmy pani zrobić nawet resekcję mózgu, ale raczej by się to pani nie spodobało. Bioimplant ma to do siebie, że wrasta w otaczającą tkankę. Możemy go usunąć jedynie razem z całością pani mózgu, lecz nie ma najmniejszej potrzeby. Jest niegroźny, kompletnie nieruchomy. Może być przydatny... na przykład w przypadku wylewu, bo natychmiast go zresorbuje. Nie przejmowałbym się na pani miejscu.

- Ale kto mi to zrobił? Naprawdę UFO?

– Panno Toy... – westchnął z wyrzutem w głosie. – Nie ma UFO, nie ma Boga, jest tylko technologia. A kto pani to zrobił i po co, sam chciałbym wiedzieć. Na pewno nie doktor Novotny, ponieważ on, widząc ten cud techniki, wyciąłby pani połowę zawartości czaszki i

wysłałby na naświetlania bombą kobaltową, żeby zwalczyć raka. To jest... – uśmiechnął się, co rozpoznała po tym, że maska na jego twarzy rozciągnęła się – biologia molekularna. Coś, co mogłoby umieścić w pani głowie jakies... raptem trzydzieści osób na świecie. Ponieważ ja jestem jedną z nich, mamy do wyboru jedynie dwudziestu dziewięciu pozostałych podejrzanych – zażartował.

Usunął lustro sprzed twarzy Toy i wstał.

– OK. Zaczynamy wprowadzać Valkirię. – Odkasznął przez maskę. – Powolutku, panowie. To nie warsztat samochodowy, a panna Toy nie jest ciężarówką.

Tak strasznie chciała zemdleć. Modliła się, żeby stracić przytomność. O mammo... Ile godzin już minęło? Nagle poczuła zimno w okolicach kręgosłupa. Jakies urządzenia obok zaczęły piszczeć ostrzegawczo.

– Nie, nie... – Uspokajał ją profesor. – Niczego pani nie czuje. To tylko złudzenie.

* * *

Toy nie do końca zapamiętała dalszy ciąg operacji. Czasem mdlała, czasem zapadała w coś w rodzaju drzemki, bo na pewno nie snu. Czasem śpiewała sobie coś cicho, czasem klęła w żywy kamień, opowiadała stare kawały. Lekarze byli zbyt zmęczeni, żeby choć udawać, że się śmieją. Miała wrażenie, że majaczy. Ekipy lekarskie zmieniały się co osiem godzin, może częściej.

Drugiego dnia twarz spuchła jej tak, że z trudem rozchylała powieki. Ledwie widziała delikatne zmiany kąta położenia swojej twarzy w stosunku do podłogi, kiedy wkładki przeciwodrażynowe zmieniały pozycję jej ciała. Traciła poczucie czasu, zaczęła przyzwyczajać się do dźwięków rozchodzących się aż w kościach.

Po paru latach, jak sądziła, ktoś kucnął tak, żeby znaleźć się w zasięgu jej wzroku.

– Słuchaj, kotek. Powoli kończymy.

Poczuła coś na kształt nikłej nadziei.

– Teraz najgorsze stadium – powiedziało monstrum w lekarskim fartuchu. – Będziemy budzić Valkirię.

– Jak to budzić? – Mimo przemywania przez pielęgniarki jej spuchnięte, suche wargi nie za bardzo nadawały się do wypowiedzania słów.

– Jest już wszczepiona. Teraz musimy ją uaktywnić. – Ustawił lepiej lustro, żeby widziała dokładnie jego zasłoniętą maską twarz i połączone ze skanerem okulary. – Jestem zwolennikiem mówienia prawdy pacjentom. A ty jesteś bardzo silna. Wiele już wytrzymałaś, ale... to będzie najgorsze.

– Zaboli?

– Nie... – Być może się uśmiechnął. Nie widziała zza maski. – Pojawia się przykre wspomnienia i dość silna depresja. Mówiąc delikatnie. Valkiria przy budzeniu zniszczy ci

pewne partie mózgu.

– Jezu... – jęknęła. – Ja nie chcę!

– Spokojnie, Toy. Cały mózg nie jest ci potrzebny. Nie używasz i tak jakichś siedemdziesięciu procent. Kokaina też zrobiła swoje. Właśnie w tych miejscach. Nic się nie bój. Przejdiesz przez to żywa i zdrowa.

Właściwie było jej już wszystko jedno. Czowała, że odpływa ze strachu i zmęczenia.

– Dobra. Tylko skończcie wreszcie!

– OK. Wiem, że wytrzymasz. Wiem, że dasz sobie radę. Jesteś silną dziewczynką!

Szczękała zębami przerażona.

– No, zróbcie mi to nareszcie.

– Tylko... przedtem muszę unieruchomić twój język. Nie chcę, żebyś się udusiła. – Podniósł do góry strzykawkę. – Stracimy na parę godzin możliwość porozumiewania się.

Była zbyt słaba, żeby jakoś szczególnie się przestraszyć akurat z tego powodu.

– Nie mogę znieczulić, więc wstrzyknę koagulant. To będzie trochę nieprzyjemne.

Poczowała, że igła przebija śluzówkę, odezwał się lekki ból. O Jezu... Straciła kontrolę nad swoim własnym językiem. Spuchł momentalnie. Przez szparki powiek, które już nie bardzo chciały się otwierać, nawet go widziała, zupełnie na zewnątrz. Ale długi...!

– Muszę ci jeszcze załatwić struny głosowe. – Podniósł drugą strzykawkę. – A to już w trosce o dobro zespołu operacyjnego.

Wsunął igłę do wnętrza gardła Toy.

– OK, trzymaj się, mała. – Igła zniknęła z zasięgu jej wzroku. – Dobrze. Uwaga cały zespół... Budzimy Valkirię.

Chyba przesadził. W dalszym ciągu niczego nie czuła.

* * *

Miała dziesięć lat. Uciekała w górę, po schodach domu dziecka. Dziewczyny, które ją goniły, były większe i cięższe. Miała więc przewagę, kiedy uciekała pod górę. Najdłuższymi skokami, na jakie było ją stać, przesadzała po kilka stopni naraz, praktycznie na bezdechu. Tuliła do siebie swoją bezcenną książkę, książkę o Ani, jedyny jej prezent na Mikołaja.

Schody się skończyły. Żaden problem, skręciła w korytarz, jeszcze dwa susy jej krótkich nóg. Uderzyła w ścianę. W bok i... zapukała do drzwi gabinetu pani dyrektor, a potem nacisnęła klamkę. Jezuuu! Zamknięte! Przeliczyła się. Runęła biegiem w głąb ciemnego korytarza. Tu na piętrze nie miała wielkich szans. Otworzyła drzwi do szatni. O mamoo... O tej porze nie mogła liczyć na nikogo z obsługi. Przytuliła się plecami do najbliższej szafki.

Dziewczyny już wchodziły, chichocząc.

– I co, Cztery Oczka? Nie było dyrektorki w pokoju?

Do wyboru zostały dwa rozwiązania. Pozostawić okulary na oczach, ale wtedy na pewno

je stłuką. Mamo... Będzie widziała przeciwników i będzie mogła choć przez chwilę walczyć, lecz potem... Niemrawa obsługa załatwi jej następną parę szkieł najwcześniej za miesiąc, dwa. Dwa miesiące, podczas których nie będzie mogła czytać swojej książki. Nie. Ale jeśli zdejmie, to zrobią z nią, co zechcą.

Boże... Tamte podeszły bliżej.

Toy zdjęła okulary, zacisnęła w dłoni i rzuciła się na ziemię, zwijając w kłębek. Okulary i książkę przyciskała do brzucha najmocniej jak umiała.

– No, co jest, Cztery Oczka?

Pierwsze kopnięcie w tyłek poczuła aż pod czaszką. Nie jęknie. Przysięgła sobie, że nie jęknie. Któraś kopnęła ją w plecy, zrobiło jej się gorąco. A srał to głupie jęczenie! Nie pozwoli, żeby zniszczyły jej okulary. Będzie je trzymać z całej siły. Dostała w głowę. Będzie trzymać do końca! Jeszcze raz w tyłek, w to samo miejsce, co poprzednio. No dobrze. Przecież nie przysięgała sobie, że nie będzie krzyczeć. Jeszcze raz w głowę. W porządku. Nie przysięgała również, że nie będzie płakać. Miała nie jęczeć, lecz z tego zrezygnowała. Miała chronić okulary i książkę. Tego postanowienia dotrzyma.

Dziewczyny jednak szybko zorientowały się, że samym kopaniem powodują jedynie głośniejszy płacz. Dziecięca intuicja podpowiedziała im, że mogą złamać ofiarę inaczej. Zaczęły szarpać książkę, bo była duża i wystawała z ramion. Toy jednak trzymała z całej siły, dodatkowo chwyciła grzbiet zębami. Zaczęły więc wyrywać pojedyncze kartki. Nawet po kawałku. Po kawałeczku. Toy zaczęła wierzcąć. Dostała w brzuch. Wyprostowały ją na podłodze, skoro już nie była zwinięta w kłębek. Chwyciły dłoń, w której trzymała okulary i ścisnęły. Coraz więcej dłoni obejmowało jej małą piąstkę. Kawałki zgniecionych szkieł przebiły skórę. Toy przestała płakać. Usiłowała zachować się rozsądnie, jeśli w ogóle można mówić o rozsądku w tej sytuacji.

– Dobrze, oddam wam okulary. – Starła się, żeby jej głos brzmiał spokojnie i poważnie. Kawałki szkła wbiły się w mięśnie dłoni. – Możecie je sobie połamać. Tylko puście.

Ścisnęły jeszcze mocniej.

– Puście... Możecie wziąć okulary. Dam je wam. Proszę, puście.

– Na chuj nam twoje okulary, Cztery Oczka?

– Proszę. Ja was po prostu proszę... – Nie wiedziała, jakim cudem mogła ciągle mówić bez płaczu. – Jak będę jeszcze miała zdrową rękę, to oddam wam swoją książkę. – Usiłowała negocjować chociaż lodowate palce paniki zaciskały się właśnie na jej umyśle.

– Ty już nie masz książki, Cztery Oczka.

– Dobra. Klękę przed wami. Będziecie się mogli strasznie śmiać. Ta ręka jest mi potrzebna. Proszę! Nie róbcie mi krzywdy... Czekać! – Usiłowała znaleźć jakiś ostateczny argument. – Jeśli chcecie, to się zsikam w majtki przy wszystkich, co? Tylko puście...

Usłyszała skrzyp drzwi.

– Czekać. Na co wam moja ręka? Do czego się wam przyda? A jakbym ją dalej miała

zdrową, to mogłabym...

– Słyszałyście?

To była Kosa. Miała dwanaście lat, o rok więcej niż pozostałe w grupie. Była najsilniejsza i miała fajną ksywę, która brała się stąd, że nosiła w rękawie zaostrzoną łyżkę. Ta łyżka śniła się po nocach reszcie dziewczyn. Najbardziej Toy.

– Aaaaa!!! Kosa! Chodź, przychrzań jej! Obetnij to łapsko... Kosa! – wrzeszczały dzieciaki.

– Słyszałyście, co ona mówi? – spytała cicho Kosa.

Dziewczyny nagle zrozumiały, że tamta najwyraźniej nie stoi tym razem po ich stronie.

– Dobra – powiedziała któraś. – Niech się zeszcza na stołówce. Na razie możemy puścić.

– Ty się zeszczasz.

– Kosa... Nas jest więcej.

Dziewczyna przy drzwiach wyjęła z kieszeni niedopałek papierosa wyciągnięty z kosza na śmieci. Zapaliła i zaciągnęła się nonszalancko.

– Cztery Oczka, możesz jeszcze walczyć?

Toy zagryzła wargi. Zaprzeczyła ruchem głowy. Było jej tak strasznie wstyd. Tak strasznie się bała.

Kosa uśmiechnęła się. Odrzuciła niedopałek i wyciągnęła swoją łyżkę z rękawa.

– No to chodźcie – powiedziała spokojnie. Sama przeciwko wszystkim.

Sama przeciwko wszystkim.

Toy tak strasznie jej zazdrościła. Ale po prostu nie mogła się ruszyć. Nie mogła wstać, choć nikt jej już nie trzymał, i podejść, by stanąć przy tamtej. Ktoś uderzył Toy w twarz. Nie mogła nic zrobić. Po prostu sparaliżowały ją ból, strach i żal.

– Ty... – Kosa zrobiła krok do przodu. – Spróbuj ze mną!

Dziewczyny zwątpiły. Jakoś tak głupio było im w takiej liczbie wycofać się przed jednym agresorem, więc nagle rozeszły się po sali. Niby to szukać czegoś w szafkach. Niby przypadkiem. Potem zaczęły wymykać się z szatni, nie patrząc na siebie wzajemnie.

Kiedy po dłuższej chwili zostały same, Kosa podeszła do Toy. Kucnęła i odginała jej palce lewej dłoni. Jeden po drugim.

– Chodź do łazienki, wyjmę ci te odłamki szkła z łapy.

Toy nie mogła się ruszyć. Patrzyła na strzępy swojej książki.

– I po co się tak bać? – spytała Kosa. – Nie lepiej umrzeć?

* * *

Kiedy Toy miała szesnaście lat, każdy chłopak oglądał się za nią. Była śliczna, miała kształtne biodra i nogi, ładne piersi. Chłopcom kompletnie nie przeszkadzały jej okulary ani niski wzrost. Wszystkie dziewczyny jej zazdrościły i... nienawidziły jeszcze bardziej. Żadna

nie cieszyła się takim powodzeniem, nawet jeśli ograniczało się do pełnych podziwu gwizdów i małych liścików owiniętych wokół kamieni, które męska grupa przerzucała ponad ogrodzeniem. Kosa miała wtedy osiemnaście lat. Właśnie wychodziła „na wolność”. Podeszła do Toy już spakowana.

– Słuchaj, gdy wyjdę, to one cię tu zabiją – szepnęła. – Najrozsądniej byłoby uciec.

Toy miała oczy pełne łez.

– Tyle tylko, że... jak teraz uciekniesz, to będziesz uciekać już zawsze. Już zawsze, Cztery Oczka...

Uśmiechnęła się jakoś tak smutno. Dała jej swoją naostrzoną łyżkę. Odwróciła się bez słowa i odeszła.

Tej samej nocy Toy przecięła łyżką zwój siatki i uciekła w daleki, piękny świat. Rok później została niewolnicą Triad i stała na golasa przy krawężniku w Sex Side nawalona kokainą po czubek głowy.

* * *

Toy na sali operacyjnej postanowiła się zabić. Ale jak pozbawić się życia, nie mogąc ruszyć żadną częścią swojego ciała? To proste. Wystarczy przestać oddychać. Niestety... te gnoje w fartuchach zaintubowały Toy dosłownie w dwie sekundy po tym, jak rozległy się alarmowe piski urządzeń monitorujących. Czy można się zabić, kiedy jakiś aparat na siłę wtłacza powietrze do płuc? Usiłowała wyrzucić choć oczy z czaszki siłą woli. Jakaś pielęgniarka psiknęła jednak sprayem, gałki oczne jakby zlodowaciały i Toy nie mogła już nimi ruszać. I co zrobić z totalną depresją? To proste. Trzeba zwariować...

* * *

Obudziła się, kiedy ktoś położył jej dłoń na oczach. Usiłowała krzyknąć, ale druga dłoń natychmiast zakryła usta Toy. Wydobył się z nich jedynie słaby jęk.

– Spokojnie, kotku, spokojnie. – Rozległ się miły, kobiecy głos. – Już wszystko w porządku.

Ręka zsunęła się z ust.

– On... on... powiedział, że implant zniszczy mi część mózgu!

– Wszystko jest w porządku, Toy. Operacja się udała.

– To dlaczego zakrywasz mi oczy?

– Bo jeszcze nie jesteś gotowa.

– Gotowa na co? Ośleplam?! – Toy usiłowała się zerwać na równe nogi... Nic z tego. Czowała, co prawda, swoje ciało, ale nie mogła niczym ruszyć. Może jakieś tam drżenie rąk. Nogi nie poruszały się w ogóle.

– Jestem sparaliżowana, tak? – Usiłowała być spokojna. – Ślepa i sparaliżowana?

– Nie jesteś ślepa – powiedział ten sam miły kobiecy głos.

Teraz dopiero ogarnęła ją panika.

– Ale sparaliżowana, tak?! – zaczęła krzyczeć.

– No dobrze, dobrze, dobrze... – Kobieta wyraźnie traciła cierpliwość. – Jesteś sparaliżowana. Teraz w porządku?

Toy przestała krzyczeć. Panika sprawiła, że nie potrafiła nawet normalnie oddychać.

– To była pięćdziesięciogodzinna operacja. Masz spuchnięty mózg. Jesteś sparaliżowana. Zgodnie z przewidywaniami. Powinno przejść zupełnie po jakimś tygodniu.

Toy nie chciała dopuścić do siebie żadnej nadziei.

– OK – powiedziała. – Uwierzę ci, gdy zdejmiesz łąsko z moich oczu.

– Histeryczka.

– Albo zdejmiesz, albo zacznę wyc.

Usłyszała ciche prychnięcie. Dłoń zniknęła z jej oczu. Toy mogła choć trochę rozchylić opuchnięte powieki. Jezu... Widziała. Zerknęła wprost na lampę nad nią, potem w bok. Kobieta miała więcej niż czterdzieści lat, brzydką, choć mądrą twarz. Ubrana jak kocmołuch, w sięgający kolan wyciągnięty sweter z wypchanymi kieszeniami. Zawiązana pod szyją chustka zapewne ukrywała przedwczesne zmarszczki.

– Mów mi Annie. Jestem psychiatrą – przedstawiła się. – Mam się tobą zająć, mała histeryczko.

Toy zerknęła za okno, prosto w słońce, ledwie przysłonięte żaluzjami, potem na idylliczny obraz powieszony na ścianie. Zaraz, coś tu jest nie tak... Patrzy na słońce, a potem widzi szczegóły malowidła? Powinna być oślepią i mieć powidoki.

– Teraz mi wierzysz? – spytała Annie.

– Tylko trochę – odparła Toy ostrożnie.

Nagle stało się coś dziwnego. Patrzyła na ścianę. Jedno oko zachowywało się normalnie, jeśli „normalnością” można nazwać stan, w którym silny krótkowidz widzi ostro tylko na odległość trzech metrów, a drugie... Z drugim coś się stało. Toy rozpoznała napis wykonany na framudze okna przez producenta okleiny: „Made in China”.

– Co to jest?! – wrzasnęła.

Annie błyskawicznie zakryła jej oczy.

– Nie mówiłam? Nie potrafisz jeszcze nad tym panować.

– Co to jest? Wszczepiliście mi soczewki?

– Taaaaa... Operacja, która kosztowała parę milionów, sześć zespołów elitarnych chirurgów, tylko po to, żeby wszczepić ci soczewki. Oczywiście – zakpiła. – Ambulatoryjny zabieg za głupie dwadzieścia tysięcy dolców tu w wykonaniu najlepszych solistów opery klinicznej ku uciechu gawiedzi. Różne lumpy płaciły aż po pięć baksów za wstęp na salę, żeby to zobaczyć. Wiesz, jaki mieliśmy utarg?

– Ty jesteś psychiatrą czy aktorką?

– Ooo... Jednak odzyskujemy powoli rozum, co? – Annie westchnęła cicho. – Dobra. Jestem najlepszym psychiatrą, na jakiego stać Caltron.

– To dlaczego się nade mną znęcasz?

– A jak myślisz? Może to taka metoda? A może po prostu mam dziesięć procent od każdych pięciu baksów, które płacili ci wszyscy, którzy cię chcieli widzieć na golasa, rozkrzyżowaną na stole operacyjnym? No co? Która wersja wydaje ci się bardziej prawdopodobna?

Toy oddychała głęboko. Z jej ciałem działo się coś, czego nie potrafiła określić słowami.

– Jesteś jakaś dziwna.

– Może – mruknęła Annie. – Skoro jednak płacą mi parę razy więcej niż tobie, choć to nie ja ryzykuję życiem... lepiej uznać, że wszyscy inni na moim miejscu zrobiliby to gorzej.

Toy nagle poczuła, że ma ochotę zwymiotować. Trzęsła się cała wewnątrz.

– Annie...

– Co? – Tamta spoważniała natychmiast.

– Coś się ze mną dzieje.

Toy oddychała coraz głębiej i coraz bardziej spazmatycznie. Jakiś ból szarpnął nagle jej głowę. Znowu miała ochotę wymiotować, a po chwili chciała zejść z łóżka i iść mimo nieczynnych nerwów.

– Wiem.

– Co to... co...? – krzyknęła znowu. – Aaa... Mamo! Mamo! Ja cię... – O szlag! Miała orgazm. Prawdziwy, niesamowity, nieprawdopodobny wręcz orgazm. Chciała krzyżeć, chciała powtarzać ciągle to samo słowo w niezmiennym rytmie przez lata, ziemia usunęła się jej spod tyłka... Kompletny odlot. Jednocześnie depresja. Jednocześnie euforia. Miała ochotę iść i zabijać, a jeśli nie, to skończyć ze sobą.

– Co... mamusiu... Co to jest?

Annie westchnęła ciężko.

– To Valkiria się budzi – szepnęła.

* * *

Pielęgniarka przy pomocy specjalnego niklowanego dźwigu przeniosła Toy z łóżka na wózek inwalidzki. Troskliwie ułożyła nogi i ręce na specjalnych podpórkach, założyła kołnierz ortopedyczny i przypięła tułów pasami, założyła czarną opaskę na oczy. Nie przebijał się przez nią nawet najmniejszy promień światła. Toy traciła poczucie czasu. Potem pojawiła się Annie, włączyła pilota i pokierowała wózkiem.

– Gdzie jedziemy?

– Na zewnątrz. Pooddychać świeżym powietrzem.

– A może byś tak ściągnęła mi tę opaskę z oczu?

– Jeszcze nie jesteś gotowa.

– Szlag! Annie! – Toy potrząsnęła głową. Szyją mogła już ruszać całkiem nieźle, gdyby nie kołnierz, oczywiście. Przeszła na ton ugody. – Czy mi się śniło, czy... naprawdę miałam wczoraj... ten... no wiesz...

– Co?

– No, żeby cię szlag trafił! Orgazm.

Ktoś przechodzący właśnie korytarzem zachichotał.

– Miałaś. – Annie najwyraźniej się nie przejmowała obecnością postronnych. – Ale ci zazdrościłam.

Wózek minął jakieś drzwi. Toy poczuła na twarzy ciepłe promienie słońca, usłyszała szum drzew. Odczuła ulgę.

– Powiesz mi coś wreszcie?

– A co chcesz wiedzieć?

– Dlaczego mnie nie uprzedzono, że będę sparaliżowana?

– Wiesz... – Annie westchnęła ciężko. – Normalnie ofiarę... o przepraszam, pacjenta – zażartowała – przygotowuje się do zabiegu przez prawie rok. Na ciebie mieli dwa dni. No i... wiesz, to ludzie, którzy, jeśli nie mogą się trzymać instrukcji, po prostu głupieją. Ale profesor Rottweiller rzeczywiście mógł ci coś powiedzieć.

Toy nie potrafiła przyzwycząić się do poczucia humoru psychiatry.

– On się tak nazywa?

– Naprawdę nazywa się Rottenstein. Ale Rottweiller bardziej pasuje. – Annie roześmiała się głośno. – Nie jest aż tak głupi jak wygląda. Ma cały gabinet wytapetowany dyplomami i nagrodami.

– Słuchaj... Dlaczego wy wszyscy mówicie, że Valkiria się „budzi”? Dlaczego nie... na przykład „uaktywnia”? To... żyje?

– Owszem.

– Jezu... poważnie?!

– Tak.

Dłuższą chwilę jechała w milczeniu. Wózkiem trzęsło niemiłosiernie, znak, że wdarł się na trawnik. Pasy poskrzypywały z cicha, utrzymując swą ofiarę w pionowej pozycji.

– Coś spieprzyli – mruknęła Toy, usiłując się dopasować do poziomu dowcipów rzucanych przez psychiatrę. – Ten Rottweiller jest lekarzem do dupy. Miał mnie gołą, rozkraczoną na stole. I pytał, czy jestem chłopcem.

Annie ryknęła śmiechem.

– A jak powiedziałam, że tak, że jestem chłopakiem, to uwierzył. Czy wy tu nie macie jakiegoś bardziej wyszkolonego personelu? Ściana w nagrodach i dyplomach? Za to, że pan doktor nie umie odróżnić dziewczynki od chłopczyka?

Annie poklepała Toy po ramieniu.

– Robili ci ten test z wykrywaczem kłamstw? Taaaa... Ale Rottweiller nie jest lekarzem. To słynny parazytolog.

– Para... co?

– Parazytolog. Specjalista od pasożytów.

– Jezu... Co on w takim razie robił przy operacji? Wykryli u mnie tasiemca?

– Jak to? Nie wiesz? – Annie zatrzymała wózek. – Przecież... przecież Valkiria jest pasożytem.

– Nie. Nie mówisz poważnie, prawda? Psychiatra przycisnęła coś na pilocie i wózek odwrócił się tak, żeby Toy mogła wystawić twarz do słońca.

– Słuchaj, wszczepiliście mi żyjącego pasożyta?

– Ja nie wszczepiałam. Mnie w to nie mieszaj.

– Kurwa. Powiedz coś wreszcie poważnie.

– Wszczepiono ci żywy implant, który jest pasożytem. A pasożyt to organizm zwierzęcy lub roślinny korzystający czasowo lub nieprzerwanie z zasobów wytworzonych przez inny organizm i przez to doprowadzający do jego osłabienia lub śmierci – zacytowała encyklopedyczną definicję. – Valkiria to roślinno-zwierzęco-elektroniczny pasożyt. Ty jesteś nosicielką.

– I umrę dzięki Valkirii?

– Tak. Jeśli nie zginiesz przedtem na przykład w wypadku samochodowym, to Valkiria cię zabije.

Toy przełknęła ślinę.

– Serdeczne dzięki za wyrok śmierci. Mam w głowie coś wielkości kilku monet i to coś właśnie zaczyna mnie zabijać... Jesteście, kurwa, najlepsi na rynku!

Annie westchnęła.

– Posłuchaj mnie. Przede wszystkim nie wielkości kilku monet. To implant mózgowo-rdzeniowy i ma długość większą niż metr. Sięga od twoich płatów skroniowych i czołowych... Mówiąc prościej: zaczyna się na czubku twojej głowy, a kończy na samym dnie twojej ślicznej dupy! Ma metalowe wypusty w skórze twojej głowy. Submikronowe druty oplatają ci czaszkę, są wszyte w skórę w wielu miejscach. Metalowe nanowtryski masz w piersiach, nawet w sutkach. I, wybac to określenie... także w pochwie. Ty i Valkiria to właściwie dwie istoty korzystające z jednego ciała. Z twojego ciała, Toy. Przy czym Valkiria jest na poły zwierzęciem, na poły rośliną, trochę komputerem. Ty człowiekiem. Ona korzysta z wyrafinowanych technik przeżycia wykształconych przez pasożyty przez miliardy lat ewolucji, lecz jest też trochę maszyną i... ma pewne imperatywy, jest w pewnym sensie „inteligentna”. Wie jedno. Wie, że jest pasożytem na twoim organizmie, wie też, że zginie, jeśli ty zginiesz. Musi cię w końcu zabić, bo musi korzystać z zasobów twojego ciała, z twojego mózgu, Toy, z twojej energetyki. Ale ona wtedy też zginie i w przeciwieństwie do

innych pasożytów zdaje sobie z tego sprawę. I dlatego, Toy, będzie ci pomagać przeżyć jak najdłużej... Trochę dłużej niż cała reszta ludzkiej populacji. Ona by chciała, żebyś ty, jej nosiciel, pozostała jak najdłużej sprawna i zdrowa. I dlatego, Toy, oczywiście jeśli cię ktoś wcześniej nie zastrzeli, za dziesięć lat będziesz wyglądać tak, jakbyś miała dalej dwadzieścia lat. Za trzydzieści lat też będziesz tak wyglądać. Ona w końcu cię zabije, jak prawie każdy pasożyt swojego nosiciela i sama też zginie w tym momencie, ale, całkiem szczerze, zdaje sobie z tego sprawę. Valkiria jest strasznym gównem. Jednak... to nasze ostateczne jak dotąd słowo w kwestii inżynierii genetycznej, Toy. I... – zawahała się – to nasza ostateczna odpowiedź w rozmowie z Panem Bogiem. My też stworzyliśmy coś fajnego.

– Jezu... Tego się nie da jakoś wyjąć?

– Toy? Czy ty mnie słuchasz? Nasza cywilizacja stworzyła Valkirię, bo to jest dążenie do mitu. Nie jesteś *superwoman*. Valkiria, jak mówię, w końcu cię zabije... ale... zginie, jeśli ty zginiesz. Ty zginiesz, jeśli ona zginie. Rozumiesz to, mała cholero? Ona jest tego świadoma. Będzie o ciebie dbać i utrzymywać cię w dobrej formie tak długo, jak będzie mogła. A ona... dużo może, Toy. To nie jest istota ludzka, to nie jest istota świadoma w naszym tego słowa rozumieniu, to pół roślina, pół zwierzak, trochę komputer... Valkiria cię nie lubi, jesteś jej obojętna. To nie jest coś, co może „czuć” cokolwiek. To stworzenie, które chce tylko zadbać o siebie. Ale ponieważ nie można już was rozłączyć, zadba także o ciebie. O swojego nosiciela. A ponieważ dalej jesteś właścicielem ośrodka decyzyjnego w swoim mózgu, kotku, to... ty rządzisz, Toy.

– O Boże.

– Ona się tobie nie podporządkuje. Ale pójdzie na współpracę.

– To jest jakieś opowiadanie z gatunku horror, które ostatnio napisałaś, prawda?

Annie chyba usiadła na trawie. W każdym razie Toy poczuła, że opiera głowę na jej kolanach, również wystawiając twarz do słońca. Niewiele czuła poniżej pasa, miała jednak wrażenie, że Annie bezczelnie wierci się, chcąc znaleźć najwygodniejszą pozycję dla swojej głowy.

– Fajne słońce, nie?

– Nie mogę zobaczyć.

– Ale za to cię nie razi.

– Chryste... Możesz powiedzieć mi coś o Valkirii?

– Mogę. – Psychiatra ziewnęła głośno. – Widzisz, Valkiria to twoja syjamska bliźniaczka, pasożyt, który chce przeżyć za wszelką cenę, a ponieważ nie da się was rozłączyć, będzie cię bronił do końca. Sam nic nie może zrobić, więc będzie wspomagał twoje zdolności obrony i ataku. Valkiria wiele może. Czuje...

– Myśli?

Annie cmoknęła cicho.

– Nie ma takiej inteligencji jak my. Ale myśli, oczywiście. Myśli jak kot, powiedzmy.

Tak, to mniej więcej ten poziom.

– Ja cię chrzanię... Mam w mózgu żyjącego kota?!

Westchnienie.

– Słuchaj. To coś z wyglądu przypomina raczej ośmiornicę z jedną macką przeciągniętą przez twój rdzeń i z nanowiciami oplatającymi cały twój organizm. To coś ma uczucia. Najprostsze: radość, złość, przygnębienie, euforia, strach, nienawiść, żądza. Musi spać, musi jeść, niczego nie wydała, nie rusza się, nie rozmnaża, nie rośnie. To po prostu piekielna maszyna do wywalczenia przewagi na danym terytorium. Tu bardzo przypomina kota. Nie ma więc zdolności planowania swoich akcji, nie zna przyszłości w takim sensie, jak myją znamy. To znaczy nie ma zdolności przewidywania. Ale jest potwornie skuteczna w akcji tu i teraz. To po prostu istota stworzona do ataku, obrony, kluczenia, zamazywania śladów. Zrobiono ją dla CIA, Caltron chciał sprzedawać wojsku za monstrualne pieniądze, ale jak wiesz, senat zakazał produkcji.

– Chcesz powiedzieć, że mam w głowie nielegalny produkt?

– Widzisz... przed zakazem wyhodowano kilka egzemplarzy i teraz trzeba coś z nimi zrobić, bo za dużo kosztowały, żeby wyrzucić na śmietnik. – Annie roześmiała się słodko. – Ale nie bój się. Valkiria potrafi się kamuflować jak kameleon. Dla skanera jest niewidzialna, ponieważ niczym się nie różni od twojego mózgu i rdzenia kręgowego. Valkiria to maszyna dominacji.

– Co ona potrafi?

– Wszystko. No prawie... – Annie ziewnęła znowu. – Zacznę od bajerków. Chcesz zmienić kolor oczu? Można to zrobić płynnie, w trakcie na przykład jednej wizyty w toalecie. Tyle mniej więcej czasu potrzeba. Chcesz, żeby włosy rosły ci szybciej lub wolniej? Nie ma sprawy. Tylko musisz zdecydować jakie: blond, rude, brązowe, czarne, kręcone, proste, sięgające loczkami aż do tyłka, sterczące na wszystkie strony? Wystarczy jedna noc. A kolor skóry? Chcesz być Murzynką, Chinką, Europejką, Indianką, Marsjanką? Kolor zielony też możliwy... Jedna noc na transformację. Fajne, nie? Annie roześmiała się.

– Ten kamuflaż nie będzie ci, mam nadzieję, potrzebny. – Psychiatra poklepała Toy lekko po twarzy. – Valkiria sprawi, że twoje oczy staną się lepsze niż czyjekolwiek. Ale nie przejmuj się.

Znienacka zerwała dziewczynie opaskę z głowy. Toy ani na moment nie oślepiła nawąfa światła. Dopiero teraz zobaczyła park rekreacyjny przy szpitalu, palmy, jeziorko, parę osób na wiezionych przez pielęgniarki wózkach, kilku siedzących na ławkach chorych. Zobaczyła, że Annie pisze coś długopisem na swoich dłoniach.

– OK. Popatrz prosto w słońce.

Toy uniosła głowę. Słońce świeciło rzecz jasna, ale samą tarczę przykrywała regularna czarna plama. Niemniej i tak było jaskrawe jak cholera. Oczy jednak jej nie bolały... Jezuuu! Widziała protuberancje!

– A teraz... – Annie zakryła jej oczy dłońmi. – Czytaj!

„Toy, jesteś straszną histeryczką. Ale i tak nieźle mi się z tobą pracuje” – czytała napis na dłoniach psychiatry przyłożonych bezpośrednio do oczu, w kompletnych ciemnościach.

– Jezu. Co to jest?

– Elektroniczne podbicie.

– Zamieniliście mi oczy?

– Po co? Widzisz... Oczy to po prostu rodzaj obiektywów. W najgorszej idiotenkamerze z beznadziejnym obiektywem możesz podrasować obraz tak, że będziesz widziała po ciemku albo też że nie oślepi cię zbyt ostre światło. Po co produkować wspaniałe, kosztowne obiektywy, lepiej zrobić sto razy tańszy, doskonalszy komputer do regulacji obrazu. I takie coś masz w głowie, Toy. – Annie uśmiechnęła się ciepło. – A teraz zoom. – Co?

– Widzisz tę pielęgniarkę odległą o kilometr nad stawem?

– Tak.

– Przeczytaj jej plakietkę identyfikacyjną.

– Co?!

– Nie myśl! – Głos Annie ciął jak bat. – Nie myśl! Chciej...

– Co?

Psychiatra uderzyła dziewczynę dłonią w policzek.

– Nie myśl!

Nagle lewe oko Toy straciło ostrość jak dawniej, kiedy była jeszcze krótkowidzem. Prawe pokazało obraz mrówki na źdźble trawy. Zarobiła w drugi policzek.

– Nie myśl! Chciej!

Bum! Jakby ją przeniosło w czasie czy w przestrzeni. Zobaczyła plakietkę, jak gdyby pielęgniarka stała o krok.

– Jane Holbrook. Uprawnienia V stopnia. Wstęp do pomieszczeń strefy...

– OK, OK, OK... – Annie założyła Toy z powrotem opaskę na oczy. Dziewczyna zaniewidziała momentalnie. – Na razie wystarczy. Twoje oczy nie są cudowne. Komputer potrafi powiększyć obraz jak w każdym komercyjnym programie.

– Szlag... Daj mi się tym jeszcze pobawić.

– Nie jesteś gotowa. To, póki co, tylko komputer w twojej głowie. Jeszcze nie Valkiria, bo ona nie wniknęła dostatecznie głęboko do twojego mózgu.

– Czekaj... Mam wrażenie, że pani Holbrook wyprostowała się, że idzie w stronę budynku... Jezu, śnię? Czy widzę?

Annie gwizdnęła cicho.

– Ani śnisz, ani widzisz. To już jest Valkiria, choć jeszcze nie do końca obudzona.

– Co?!

– To analiza wrażeń słuchowych.

– Z odległości kilometra?

– Mamy bezwietrzny dzień. Twoje uszy też mają elektroniczne podbicie. Gdzie jest teraz pani Holbrook?

– Zatrzymała się?

– Mhm. Widzisz? Valkiria już cię trochę polubiła. – Annie roześmiała się głośno. – Usiłuje ci pomóc, bo traktuje tę biedną pielęgniarkę jako potencjalne zagrożenie. – Klepnęła Toy w ramię. – Nie bój się. Później nie pójdzie już tak łatwo. Valkiria to wredna samica.

– Nie rozumiem.

– Implant przygotowano dla mężczyzny. Dlatego, choć wszczep nie może się sam rozmnażać, zrobiono z niego samicę. Żeby osiągnąć głębsze porozumienie. A teraz masz to cudo ty. Nie wiem, jak się dogadacie. Dwie baby w jednym ciele...

Toy naprawdę nie trawiła poczucia humoru psychiatry. Była sparaliżowana, na wózku, z jakimś gównem w mózgu. Gdyby tylko mogła się ruszyć, przyładowałaby Annie w buźkę prawym prostym.

– Co jeszcze potrafię?

– Wiele. Masz szybszy refleks.

– Nie pieprz, że refleks zależy od komputera w mózgu.

– Jakby ci to powiedzieć... Refleks człowiek ma raczej bez zarzutu. Zawodzi najczęściej koordynacja i chęć ataku. Widzisz... Takim synonimem superszybkiego zwierzęcia jest wąż. Ponoć nic nie może się równać z jego atakiem. To bzdura. Przeciętny kot jest dziewięć razy szybszy od węża. Człowiek jest troszeczkę wolniejszy od kota. Ale sprawa w ogóle nie w tym. Szybkość przewodzenia impulsów w neuronach jest u każdego ssaka taka sama. Człowiek ma po prostu większy mózg, bardziej skomplikowany, no i dłuższe połączenia nerwowe. Ale przecież mówimy o szybkości światła. Czy jest jakkolwiek odczuwalna różnica w czasie reakcji, jeśli światło ma przebyć odcinek dłuższy o kilkadziesiąt centymetrów? Nie ma żadnej. W związku z tym człowiek przegrywa z wężem, ponieważ jego mózg analizuje sytuację dogłębniej. Zbyt wiele zadań, zbyt wiele sprzecznych imperatywów. A wąż tylko analizuje „zabić” lub „uciec”. Valkiria potrafi cię przed tym ustrzec. Będziesz szybsza niż kot. Węże będziesz mogła łapać gołymi rękami, tak jak wyciągasz papierowe serwetki z tutki w restauracji. Ten sam stopień niebezpieczeństwa. Tyle tylko, że... – Annie westchnęła. – Valkiria nie jest twoją niewolnicą. To pasożyt. Ona robi dla ciebie wiele, pójdzie, jak mówiłam, na współpracę, ale jej sobie nie podporządkujesz. To jest inna istota w tobie. Inna samica, która też ma twoje ciało. Ona ma swoje pragnienia, swoje dążenia, swój, choć głupi i koci, ale... mózg. To nie jest coś, co zrobi z ciebie istotę doskonałą. To jest twój wróg. Wróg, który cię polubi pewnie... na tej zasadzie, jak ty lubisz swój samochód, na przykład. Jesteście zrosnięte, jednak pamiętaj, Toy... To nie jest organ twojego ciała. To jest bardzo niebezpieczna baba, która jedynie nie może tobą kierować. Może za to robić wiele sztuczek. Nie zmusi cię do dożywotniej renty w sanatorium, żeby jej było jak najlepiej, nie może cię sparaliżować, nie może wymusić na tobie niczego, lecz jest sprytna, przebiegła i

cwana. Nie mądra jak człowiek, cwana jak kot! Pamiętaj. Pamiętaj o tym, że koty, mrużąc i prężąc się przed panem, bez użycia siły potrafią wymóc dużo na swoim właścicielu. Pamiętaj o tym! Valkiria ma w genach miliardy lat ewolucji pasożytów, które nauczyły ją, jak sobie radzić w skrajnie niekorzystnych, ekstremalnych warunkach. Ty nie masz tej wiedzy, Toy. Jesteś ssakiem. Kimś, kto dominuje masą ciała, chwytnością palców, nieprawdopodobną sprawnością energetyczną swojego organizmu i rozumem pozwalającym planować akcje. Tylko tyle.

– Dzięki za pocieszenie.

Annie uśmiechnęła się. A Toy zdała sobie sprawę, że... słyszy ten uśmiech. Wydaje jej się? Śni? Czy można usłyszeć czyjeś skrzywienie warg?

– Czy można się z nią porozumiewać? – spytała.

– Można. W pewnym sensie przez komputer, który korzysta z waszej wspólnej pamięci. Ale... to będą raczej wyobrażenia, proste słowa, uczucia. Ona nie powie ci rano: „Cześć, jak się masz, Toy”. Ale poczujesz jej obecność. Za pośrednictwem Valkirii możesz łączyć się z siecią i wszystkim, co jest w zasięgu sieci. Możesz połączyć się z każdym komputerem, wystarczy że przyłożysz palec do jego obudowy. Natomiast Valkiria może porozumiewać się ze światem zewnętrznym bez twojego pośrednictwa. – Annie nałożyła Toy coś na szyję. – To transmiter. Valkiria go nie potrzebuje. To urządzonek będzie udawało, że to ono się komunikuje, bo sam pasożyt jest tchórzem i boi się wykrycia.

– Czym jest?

– Tchórzem. Jak każde zwierzę – wyjaśniła Annie. – Ale przecież człowiek też jest tchórzem.

* * *

Toy miała już dość. Ręce bolały ją od poruszania się na drążkach, z trudem zaciskała palce na metalowych powierzchniach. A do tego trener-sadyista.

– OK, kotku. A teraz pozbawię cię jeszcze słuchu. Kieruj się węchem.

Do opaski, którą ciągle musiała nosić na oczach, dodał jeszcze ogromne słuchawki. Myślała, że zwariuje, gdy ryknęła w nich muzyka na full. Poczła wyraźny zapach róż pomieszany z jakimś fetorem. Zapachy otaczały ją, drażniły, otępiały. O który mu chodziło? Nie mogła zdjąć słuchawek, bo gdyby tylko puściła drążki, rąbnęłaby pyskiem o parkiet. Na jednej ręce już się nie utrzyma, nie po pięciogodzinnym treningu. Popelzła w kierunku woni piżma. Powoli przekładała dłoń za dłoń, ciągnąc swoje bezwładne nogi. Nieee... Piżmo sprawiło, że kręciło jej się w głowie. Zaczęła węszyć. O kurde... Do sali musiało wejść co najmniej kilkanaście osób. Czula wyraźnie zapach kobiet i mężczyzn. Każdy inny. A to gnój. Wyłowiła albo wydawało jej się, że wyłowiła z całej tej gamy zapach trenera. Ociężała ruszyła w jego stronę.

Ktoś zdjął jej słuchawki z uszu. Co za ulga.

– OK, na dzisiaj masz już dosyć. – Trener zarzucił sobie Toy na ramię jak piórko i wyniósł z sali.

– Mogę zdjąć opaskę z oczu? – spytała.

– Nie.

Niósł dziewczynę przez korytarz bez żadnego wysiłku, wózek na kółkach nie był potrzebny. Nie lubiła faceta, bo praktycznie nie mówił niczego poza najbardziej niezbędnymi komendami. Ale dawno nie dotykała tak sprawnego ciała.

Wniósł ją do pokoju. Momentalnie wyczuła, że ktoś w nim jest. Obcy... Obca kobieta... Nie... Węszyła i słuchała w skupieniu. Dziewczyna. Siedząca na krześle pod oknem. Przestraszona. Na pewno nikt z obsługi szpitala. Skąd wiedziała te wszystkie rzeczy?

Trener położył ją na łóżku. Burknął coś pod nosem i wyszedł. Toy przykryła się lekkim kocem.

– Cześć – powiedziała. – Jesteś pacjentem, prawda?

Tamta podskoczyła na krześle. Toy usłyszała cichy stukot.

– Skąd...? To znaczy, cześć. Jestem Margie. – Nie wiedziała, jak się zachować. – Skąd wiedziałas, że tu jestem?

– Wyczułam. Jestem Toy.

– Zabawka? Czekaj... – Tamta wyraźnie się rozluźniła. – Jak wyczułaś?

– Węchem, słuchem, wyczułam zmianę temperatury pokoju.

Margie westchnęła.

– Dawno straciłaś wzrok, prawda?

– Nie straciłam. – Uśmiechnęła się Toy. Wiedziała, że Margie pochodzi z dobrego domu, ma bardzo bogatych rodziców i potwornie boi się czekającej ją operacji.

– To dlaczego masz takie wyczulone zmysły?

– Dłuższa historia. Przydzielili ci to łóżko obok?

– Mhm. Mam mieć wszczepiony B-136, bo... bo wiesz... Mój „bombowiec” za bardzo się zużył.

Toy usiłowała się przekręcić w pościeli. Nie było to łatwe, kiedy się miało sparaliżowane nogi.

– B-52? Też go nosiłam.

Margie westchnęła znowu.

– Słuchaj, czy... czy po operacji, przepraszam, będę wyglądać tak jak ty? – Była bliska płaczu.

– „Spokojnie, seria B jak na wojnie” – rzuciła stare powiedzonko Novotnego. – Ale masz fajny zegarek.

– Jezus! Skąd wiesz?!

– Słyszę.

– Przecież on nie tyka! Jest elektroniczny!

– No właśnie. – Tym razem westchnęła Toy. – Co chwilę się łączy z siecią i coś przekazuje. – Pod powiekami wywołała sniffera. WYKRYTO URZĄDZENIE NADAWCZO-ODBIORCZE. SZYBKOŚĆ 6 MBPS – wyświetlił. Moduł analizujący pokazał kilka możliwych formatów danych: STANDARDOWE POLICYJNE URZĄDZENIE DO LOKALIZACJI, SYSTEM KONTROLI ZDROWIA PRZEKAZUJĄCY DANE DOMOWEMU LEKARZOWI, MAILER WYSYLAJĄCY POCZTĘ... Nagle w głowie Toy pojawiła się dziwna myśl: „Ona widzi. Ma nogi. Ja nie widzę. Nie mam nóg. Niespodzianka. Atak. Zabij, zabij, zabij”.

Otrząsnęła się. Zaczynała się już przyzwyczajać do swojego komputera.

– S... skąd możesz wiedzieć takie rzeczy?

– Dłuższa historia – powtórzyła Toy. – Widzisz tu gdzieś kule?

– Są oparte o poręcz twojego łóżka – powiedziała Margie. – Zaraz... Wiesz wszystko o moim zegarku, a nie widzisz kul?

Toy uśmiechnęła się.

– Niczego nie widzę, bo mam opaskę. – Podciągnęła się na rękach. – A nie czuję, ponieważ aluminium nie pachnie, nie jest nagrzane, nie rusza się i nie emituje żadnych dźwięków. Dla mnie... czarna dziura.

Margie przysunęła jej kule do rąk.

– Jak zamierzasz chodzić bez sprawnych nóg?

Toy zwinęła prześcieradło i związała sobie dolne kończyny najściślej jak mogła. Najważniejsze, żeby się nie pałętały. Miała wrażenie, że zdoła przebyć odległość kilkunastu metrów na samych rękach. Byle utrzymać równowagę, a z tym ostatnio nie miała kłopotów.

– Muszę do toalety.

– Wezwę pielęgniarkę.

– Nie. Mam dość basenów.

Zagryzła wargi, uniosła się na jednej kuli. Chwyliła drugą i gibnęła się do przodu.

– Jezu! – Margie podskoczyła z boku. – Przytrzymam cię.

– Dzięki. Dam radę.

W tym momencie otworzyły się drzwi.

– Co tu się, kurwa, dzieje? – zapytała Tally-Ho uprzejmie.

– Zasadniczo nic – odparła Toy. – Ale dziękuję, że zapytałaś o moje zdrowie.

– No przecież widzę, że żyjesz, to o co mam pytać? Nogi ci ucięli, że je musisz prześcieradłem do reszty przywiązywać?

Toy westchnęła.

– Panie pozwolą, że je przedstawię. To Margie, a to Tally-Ho.

– Dzień dobry – powiedziała ostrożnie Margie.

– Cześć. – Tally-Ho nachyliła się nad Toy. – Co jest? Naprawdę ci nogi ucięli?

– Taaa... Wczoraj ucięli, całą noc całowali, a teraz znowu przyszyli.

Przepiękna Żydówka podniosła oczy w bezbrzeżnym zdziwieniu.

– Żartujesz? – Aż ją zapowietrzyło. – Poważnie?

Z Toy uszło już całe powietrze.

– Po prostu muszę się wysikać, idiotko.

– No to czemu nie mówisz, tylko ściemniasz. Zaniosę cię. – Rosła blondyna wzięła na plecy tę malutką sposobem „na strażaka”. Zniosła Toy do ubikacji, zdjęła jej majtki, posadziła i przytrzymała. – Już możesz robić. – Kucnęła obok.

Toy tylko kręciła głową. Ale po chwili poczuła dużą ulgę.

– Słuchaj, mam dla ciebie misję.

– Jaką?

– Rusz swój kształtny tyłek i dowiedz się wszystkiego o wszczepach mózgowych. Konkretnie o Valkirii.

– Dobrze. Nareszcie jakieś konkretne zadanie. – Zamyśliła się: – A u kogo się tego dowiedzieć?

– U jakiegoś implantologa.

– OK. Zaraz będziesz miała.

Tally-Ho wyszła na korytarz i stanęła na winklu, polując na przechodzącego lekarza. Udało jej się to już po dziesięciu sekundach.

– Przepraszam, proszę pana. Potrzebuję pilnej pomocy.

– Ależ oczywiście! – Facet aż się rozpromienił na widok tak pięknej kobiety. – Po to przecież jesteśmy.

– Muszę pogadać z impotentologiem.

– Z kim?

– Z impotentologiem!

– Przepraszam najmocniej, ale jest pani kobietą. – Zmieszał się wyraźnie. – Impotencja pani nie grozi. Więc jeśli ma pani jakieś problemy, to może seksuolog?

– Nie. Na seksie to ja się znam. Potrzebny mi jest ten... no... imbecyolog!

Parsknął śmiechem.

– Na imbecyla też pani nie wygląda.

– Implantolog! – wrzasnęła z ubikacji Toy. – Implantolog, debilko! Wszczepy mózgowo!

– A, no właśnie. – Buzię Tally-Ho rozświetlił promienny uśmiech. – Chcę do impalantologa! – obwieściła triumfalnie. – Ten od szczepień mózgu. – Odwróciła się w stronę ubikacji. – To są szczepienia okresowe czy jednorazowe? – zabłysnęła wiedzą.

Lekarzowi opadły ręce.

– Zamknij drzwi od toalety, bo tu każdy może mnie zobaczyć.

Tally-Ho nie zamknęła. Uśmiechała się do lekarza tak, że nagle spotniał z wrażenia. To umiała naprawdę dobrze.

– Jest u nas oczywiście implantolog światowej sławy, ale żeby się do niego dostać, trzeba

czekać co najmniej trzy miesiące.

- Mnie wystarczą trzy minuty.
 - Nie ma takiej możliwości.
 - Założymy się? – Rzuciła powłóczyście spojrzenie. – Niech mnie pan tam zaprowadzi.
- Wskazał kierunek.

Toy wrzasnęła, żeby wreszcie zamknęła drzwi od toalety, ale jej wołania nie zostały wysłuchane.

* * *

Tally-Ho wróciła po dłuższym czasie i wręczyła Toy małejczytnik z dyskiem w środku.

- Słuchaj – wydyszała. – Muszę spadać. I to szybko.
- Co się stało?
- Trochę narozrabiałam. Nie pytaj. Goni mnie cała kolejka pacjentów, którzy dzisiaj nie dostaną się do swojego guru i będą musieli odczekać następne trzy miesiące.
- O, Jezus!
- Co prawda jestem Żydówką, ale nie mów do mnie per „Jezus”. Nie jestem facetem. Nie mam penisa – wyjaśniła Tally-Ho w miarę spokojnie. – A poza tym nie każdy Żyd jest od razu Jezusem.

Toy tylko potrząsnęła głową.

- Pan profesor zapatrzył się na twoje wdzięki i opuścił całą dniówkę?
- Mniej więcej. Spadam i przyślę Shainee. Lepiej, żebym się nie pokazywała w tym szpitalu przez parę dni.
- Dzięki, babo!
- Po to jestem twoją współpracowniczką.

Tally-Ho otworzyła drzwi, robiąc niewielką szparę. Zlustrowała korytarz, a potem wypadła na zewnątrz w wielkim pośpiechu. Musiała naprawdę niezłe narozrabiać.

* * *

Czytnik nie okazał się zbyt dokładny. Skakał po tematach jak chciał, dawkował informacje w sobie tylko znanym układzie. Ale czego można się spodziewać po ukradzionym z recepcji sprzęcie? Toy jednak czytała uważnie.

To nie była tajna historia implantów. Raczej esej poświęcony analizie zakazanych wszczepów. Autor zamieścił krótki rys dziejowy, z którego wynikało, że implantologia to właściwie nic, kompletne zero naprzeciw możliwości genetyki. Jednak tanie wszczepy uratowały już wiele milionów ludzi i ten dział medycyny będzie się rozwijał przez jakiś czas,

dopóki wymiana genów na żywym organizmie nie wyjdzie poza fazę doświadczalną. Pierwszymi implantami były sztuczne zastawki serca i rozruszniki, potem sztuczne żyły, sztuczne organy, ble, ble, ble... Tę drogę zarzucono szybko w miarę rozwoju neurochirurgii i hodowli klonowej. Nadzieję lekarzy budziły implanty mózgowe. Pierwszy, wprowadzony przez Caltron, B-1 uratował parę osób w krańcowym stadium choroby Parkinsona, lecz skutki uboczne okazały się zbyt dotkliwe, by stosować go szeroko. Firma Sony wprowadziła na rynek pierwszy wszczep komercyjny, Playhammer, pozwalający na interaktywny udział w wirtualnych grach, jednak prędko zablokowano produkcję na skutek procesów sądowych. Prawdziwą rewolucję wywołał implant M-4, wprowadzony na rynek przez firmę Mason & Schimer, umożliwiający kontrolę nad układem immunologicznym człowieka. Możliwość uniknięcia kataru, grypy czy syfilisu sprawiła, że firmę było stać na wygrywanie wszelkich procesów zwolenników „antycyborgizacji”. Panasonic wprowadził na rynek Rangera-1, implant umożliwiający komunikację z siecią bez hardware’owych interfejsów. Wszczepy przeżywały swój renesans. Kulminacja dominacji rynkowej przypadła na produkt Masona & Schimera M-5, któremu prawie od razu zmieniono nazwę na Mark V – wszczep, dzięki któremu można było zmniejszyć ryzyko zachorowania na raka. Po serii niepowodzeń Caltron wprowadził swój słynny B-52, implant, który uratował życie ponad siedmiu milionom osób. Parkinson, uzależnienia, nałogi, padaczka – mogłyby zostać opanowane całkowicie, gdyby nie koszt stosowania „bombowca”, bla, bla, bla. Takie oto były początki implantologii. Pojawiły się biowszczepy, pomocne w opanowaniu na przykład wylewu krwi do mózgu. Bla, bla, bla, ble, ble... To był okres raczkowania chirurgii mózgu.

Niestety, implantologia to dziedzina, która nie mogła się dynamicznie rozwijać. Miliony implantów produkowanych rokrocznie na świecie autor eseju nazywał ersatzem „prawdziwej technologii”.

Implanty krzemowe, tak zwane „komputerowe wspomaganie człowieka” miały szereg wad, których właściwie nie potrafią wyeliminować. Po pierwsze, mózg pacjenta się zmieniał, implant nie – stąd „zużywanie się chipów”. Im młodszej osobie wszczepiono procesor, tym szybciej trzeba było go wymienić na nowy, a to wiązało się z ogromnymi kosztami i coraz większym ryzykiem. Po drugie, technologia zmieniała się z roku na rok, implant zaszyty w ludzkiej głowie trwał tam bez żadnych zmian. Po roku okazywał się już przestarzały, po dwóch latach można byłoby go oddać na złom, po trzech latach „nawet w starych bibliotekach nie znajdziemy do niego instrukcji obsługi” – kpił autor. Cóż można więc zrobić? Wyjąć stary i wszyć nowy? To kolejna, skomplikowana operacja na otwartym mózgu. Ogromny koszt. Eskalujące ryzyko uszkodzeń, ponieważ za każdym razem trzeba wejść głębiej. Autor eseju żartował, cytując hasła przeciwników implantologii: „Czy wszyłbyś sobie do głowy samochód wyprodukowany w tym roku? Co z nim zrobisz za trzy lata? Bez gwarancji, bez możliwości dokonania przeglądu w autoryzowanym warsztacie i wreszcie bez policji drogowej, która mogłaby stwierdzić występowanie fabrycznych wad...”.

Z jednej strony implanty ratowały życie milionom ludzi – sam Caltron, według szacunkowych obliczeń uzdrowił więcej osób skazanych na śmierć lub kalectwo z powodu chorób niż zginęło łącznie w pierwszej i drugiej wojnie światowej. Z drugiej zaś była to technologia „zastępcza”, zła, głupia w swoim zamiśle, nieporadna. To mniej więcej tak jakby w dniu, kiedy wynaleziono sztuczną insulinę, wszyć cukrzykowi ówczesną metalowo-szklaną strzykawkę do głowy. Niby łatwiej podawać lekarstwo, ale...

Przełom musiał nastąpić i nastąpił. Pojawiły się chipy przeprogramowalne z zewnątrz i... Ruszyła ostro kampania antyimplantowa. „Czy dałbyś sobie założyć protezę ręki, której producent może kazać pewnego dnia cię udusić?” „Co zrobisz, jeśli twoja własna proteza przeprogramowana przez jakiegoś hackera dla kawału, wykluje ci oczy? Zamorduje córkę? Podpali dom?”

Implantologia zabrnęła w ślepią uliczkę. Zresztą hardware się starzał, nowe programy niewiele dawały. Można było umieścić w mózgu tylko wtyczkę, a resztę szajsu na zewnątrz... „Czy chodziłbyś z kominem elektrociepłowni na potylicy? Czy może lepiej kupić cieplejszą kurtkę?”

Pojawiły się nowe bioimplanty. Niestety, problem pozostał taki sam jak w przypadku chipów, choć nie trzeba było ich wymieniać. Przeciwnicy jednak krzyczeli: „Masz w głowie biologiczne gówno! A co zrobisz, gdy zgnije?”.

I wtedy firma Mason & Schimer wypuściła na rynek produkt o nazwie Tangerine-1. Odłot. Strzał w dziesiątkę.

Tangerine-1 nie był chipem, nie był bioimplantem, nie był wirtualnym komputerem, chociaż łączył w sobie pewne cechy ich wszystkich. Tangerine-1 nie trzeba było wymieniać, nie trzeba było przeprogramowywać – on ewoluował i zmieniał się razem ze swoim właścicielem, mógł się uczyć, mógł czuć, mógł się dopasować do zmiennych warunków. Tangerine-1 był ŻYWY. Był żywą istotą w mózgu człowieka.

A co da sobie wszczepić człowiek do głowy, tak by nie zginąć? Małpę, kota, psa, żyrafę, węża, słonia...? Nie. Jedyne, co mogło istnieć żywe wewnątrz człowieka, to pasożyt.

Tangerine-1 był pasożytem kontrolowanym przez komputer. Armia złożyła tyle zamówień, że Mason & Schimer wybudowali nowe zakłady. Lekarze z najlepszych szpitali na całym świecie ustawiali się w kolejce po przydziały dla swoich placówek. Przeciwnicy implantów zmobilizowali Kościoły, organizacje społeczne, swoich polityków i prawników, a także snajperów walących do programistów i genetyków Masona & Schimera przy każdej okazji.

Chiny wyprodukowały swojego własnego pasożyta – Tsonh VII. Niestety, większość operacji kończyła się zgonem pacjentów. Rosja nie potrafiła ukończyć badań nad pasożytem Wielikij Mir. Caltron w ogóle nie był przygotowany do badań w tym kierunku.

Dopiero Panasonic wyprodukował pasożyta Ranger-100, odbierając część rynku.

Mason & Schimer mieli już swoją odpowiedź – Tangerine-2. Moonsung jednak

skontrolował swoim pseudopasożytem Thron Warrior – wirtualnym komputerem symulującym istotę żywą. Sony wypuściła na rynek U-2, pasożyta, który mógł nawet rosnąć, powiększając zasoby własnej pamięci. Caltron był w wyraźnym odwrocie. Stary B-52 (w wersji B-52p) sprzedawał się nadal dobrze, ale nowe serie: B-71, B-101, B-102 wyraźnie ustępowały pola nawet w zastosowaniach medycznych. Moonsung wypuścił Honeymoon – pierwszego cywilnego pasożyta, który zrewolucjonizował implantologię. Panasonic sprzedał technologię Rangera firmie Sony, która połączyła U-3 i Model-101, reklamując nowy produkt, Space Ranger – istną rewelację wykupywaną głównie przez podstarzałych bogatych playboyów, którzy chcieliby nie mieć już problemów ze wzrodem, a za to mieć naturalne gęste włosy i sprężyste mięśnie w wieku sześćdziesięciu lat.

Caltron potrzebował czegoś nowego. Lecz najwyraźniej przegapił właściwy moment – groził mu spadek do drugiej ligi, razem z Koreą czy Europą, która biedziła się nad swoim Rolandem, zwanym z powodu szeregu zgonów pacjentów Auschwitz-Rolandem.

Panasonic ogłosił premierę Summer Cannibal – pasożyta, który miał pleć i był dziewczyną. Z takim bioimplantem właściciel-nosiciel mógł nawet porozmawiać, to znaczy z komputerem, który go kontrolował. Sony promowała Virtual Rangera – stary pomysł U-5, obleczony w nową technologię, który zacierał różnicę pomiędzy człowiekiem a jego implantem. I wtedy...

Wtedy Mason & Schimer wypuścili na rynek Tangerine-3. To był właściwie koniec konkurencji. Gdzieś tam w Europie, głównie z szowinistycznych nastawień, egzystował jeszcze Roland-2 – nazywany przez przeciwników Mengele, gdzieś w Chinach produkowano jeszcze Tsonha IX, a w Rosji istniał Wielikij Sojuz...

Tangerine-3 nie był już tak do końca pasożytem. Miał ciało pasożyta. Był jednak istotą żywą, niezależną w pewnym sensie od właściciela. Był implantem wojskowym – choć miał też wersję cywilną – stworzonym do uzyskiwania przewagi na każdym polu. Tangerine-3 był żywym zwierzęciem zrosniętym ze swoim nosicielem. Miał jednak swoją piętę achillesową, którą w ostatniej chwili wykorzystał Caltron. Problem z implantami generalnie polegał na tym, że każdy z nich mógłby teoretycznie umożliwić człowiekowi łapanie jadowitych węży gołymi rękoma. Tyle tylko, że wąż ma przed sobą prostą decyzję: uciec lub zabić. Człowiek stoi przed tysiącami możliwości, zbyt wieloma sprzecznymi zadaniami. Nie będzie skuteczny tam, gdzie musi podjąć decyzję. Człowiek nie wygra z wężem, jeśli będzie musiał wydać rozkaz: „pozwalam implantowi na czasowe zawładnięcie moimi odruchami, by rozstrzygnąć to starcie”... Nie, nie... Zanim człowiek podejmie decyzję, żeby wydać taki rozkaz, zostanie już ukąszony przez węża. Więc co?

Caltron wykorzystał tę lukę. Stworzył coś, co według przeciwników implantologii w ogóle nie powinno móc istnieć. Nie powinno powstać. Caltron stworzył pierwszy wszczep, który był i żywy, i inteligentny. Nie w sensie ludzkim, oczywiście. Inteligencją kota, węża czy skorpiona. W każdym razie pasożyt mógł sam zdecydować, w którym momencie

powinien przejąć kontrolę nad odruchami swojego nosiciela, aby uchronić ich obu. Ale to już okazało się bardzo niebezpieczne. Wszczep nie był kontrolowany przez komputer. Nie był kontrolowany przez nikogo. Mógł sam podejmować decyzje. Szybko. Nie tak jak człowiek. Naprawdę szybko. Mógł w pewnych sytuacjach pokierować swoim nosicielem tak, by w pełni wykorzystać możliwości, które dawał ten piekielnie wydajny energetycznie organizm ssaka. Miał oczywiście swoje imperatywy, miał swoje rozkazy nadrzędne, lecz... kotek mógł pokierować człowiekiem w pewnych sytuacjach, a to już przybliżało ów tandem zbyt blisko koszmarnie niebezpiecznej granicy, którą można nazwać stworzeniem istot innych niż ludzkie. Wynalazek Caltrona ocierał się już o pojęcie nadczłowieka. Lub o koszmar, w którym ktoś lub coś mogło kierować ludźmi. Wystarczyłby przecież drobny, głupi błąd programisty. Można wyprodukować w ten sposób anioła. A także diabła. Dwie istoty, każda z nich mająca swoją płęć, swoją inteligencję, swoje odmienne często dążenia w jednym ciele? Kiedyś nazywano ich wilkołakami, zombie, wampirami czy też „Doktorem Jekylllem i panem Hyde'em”. Caltron jednak miał nóż na gardle.

Caltron wyprodukował Valkirię.

Valkiria... W encyklopediach tak wyjaśniali to hasło: „Wybierająca poległych”. Demon przeznaczenia. Zbrojna dziewczica dosiadająca wilka. Zwiastująca śmierć wojownikom. Unosząca ich ciała do Walhalli. Czyż można było dobrać bardziej odpowiednią nazwę?

Tangerine-3 wyglądał przy niej niczym zabawka dla przedszkolaków wobec szturmowego czołgu. Valkiria była jak dotąd ostatecznym rozwiązaniem człowieka w walce z przeznaczeniem. Ale... rozwiązaniem tak niebezpiecznym, jak przebywanie w jednym pomieszczeniu z bombą atomową, która przecież może być... zepsuta. To było przekroczenie granicy, której, według większości ludzi nie należało przekraczać. Valkirie miały własne imiona: Hildir, Hlokk, Gudr, Herfjoturr – stworzono tylko cztery egzemplarze. Były zbyt drogie, żeby w ciemno inwestować w masową produkcję. Mógł to być największy sukces firmy lub jej największa porażka. Były unikalne. Były jedyne. Mogły być końcem cywilizacji ludzkiej na planecie Ziemia lub początkiem nowej.

Amok przeciwników implantologii osiągnął szczyty. Senat musiał się ugiąć. Zakazano produkcji żywych pasożytów mózgowych. Tangerine-3 był ostatnim oficjalnie dopuszczonym wszczepem. Nie pozwolono go dalej produkować, ale też nie eksterminowano osób, które już nosiły implant w sobie. Tangerine-2 pozostał legalny. Space Ranger też. Na rynku pozostały jeszcze Summer Cannibal, Honeymoon, Thron Warrior, wojskowy M-1555 i U-2. Reszta była nielegalna. Dalsze badania zostały zakazane.

Europa zniszczyła plany Rolanda-3. Chiny ugięły się i podobno dezaktywowały Tsonha XII. Rosja mogła się podetrzeć Wieliką Победą – to coś nigdy nie działało poprawnie.

Za posiadanie Valkirii w głowie groziła śmierć. Niestety, Valkiria była niewykrywalna. Niczym nie różniła się od mózgu i rdzenia kręgowego nosiciela. Na szczęście na świecie, z tego, co było wiadomo, istniały tylko cztery egzemplarze. Hildir, Hlokk, Gudr, Herfjoturr...

Caltron odzyskał wiodącą pozycję na rynku. Jego chip B-136 okazał się rewelacją techniczną tradycyjnej inżynierii. Czterech pasożytów nowej serii nigdy nie zniszczono. Po kilkunastu procesach, które Caltron przegrał... Po prostu „nie udało się znaleźć” czterech „pań Hyde” jak określała je bulwarowa prasa. W niewytłumaczalny sposób zniknęły z magazynów...

* * *

Toy przymknęła oczy.

„Valkiria...?”

„Co?” – odparł natychmiast komputer w jej głowie.

„Jak masz na imię?”

„Gudr”.

– Jezu – powiedziała Toy na głos. – Jezu Chryste... Co oni mi, kurwa, włożyli do głowy?

O mamo!

„Valkiria...?”

„Słucham”.

„Co się stało z Hildr i Hlokk?”

„Nie wiem”.

„A co z Herfioturr?”

„Pewnie śpi i czeka na swojego nosiciela.”

„Valkiria... Gudr...?”

„Tak?”

„Czym... kim ty jesteś?”

Nagle zobaczyła wyobrażenie wyszczerzonych kłów tuż pod powiekami.

„Jesteś moja, Toy. A ja jestem twoja... Jesteśmy sobie bliższe niż siostry syjamskie. Szkoda, że nie ma jeszcze jednej z nami, bo wtedy byłybyśmy Trójcą Przenajświętszą... Bogiem. Niestety, we dwie jesteśmy jedynie... aniołem, Toy. Upadłym aniołem, który jednak wiele może zrobić...”

„Komputer: czy mógłbyś nie tłumaczyć jej tekstów tak literacko. Chciałabym usłyszeć Gudr osobiście”.

„KOMENDA WYKONANA”.

„Gudr?”

„Wrrrrrrrrrrrrrr! Dyszeć, zabić! Wyc! Zabić wroga! Zabić! Wrrrrrrrrrrrrrrrr!”

„Komputer: jednak tłumacz, co ona mówi”.

„KOMENDA WYKONANA”.

„Gudr. Zaczynam się bać”.

„Nie bój się, Toy. Jesteśmy razem, a ja cię nie dam skrzywdzić”.

„Boję się ciebie”.

„Nie ma potrzeby. Razem nas złożą do grobu. W tej samej chwili, więc będę cię chronić, dopóki będę mogła”.

„A potem?”

„A potem cię zabiję. Ale sama też umrę. Czysta konieczność. Nie potrafię tego uniknąć. Nie potrafię.”

„Jak długo będziemy żyły?” – Toy otarła pot z czoła.

„Długo, długo, długo. Chcę żyć, żyć, żyć!”

Toy rozpaczliwie potrzebowała papierosa.

„Komputer: czy musisz powtarzać trzy razy jej słowa?”

„PRÓBA WYRAŻENIA EMOCJI. WIZUALIZOWAĆ?”

„Tak”.

Zobaczyła pod powiekami pole walki. Zagłada. Setki trupów. Zobaczyła poród. Własne organy płciowe. Rozród, rozród. Śmierć, śmierć, śmierć. Jedzenie. Dużo jedzenia. Wielkie bogactwo. Ochrona, bezpieczeństwo, ciepło, gruby koc. Strach! Potworny strach, walka, trupy. Potem wypełnione mlekiem piersi, karmienie potomków.

„Komputer: czy ona o tym właśnie myśli?”

„TAK. TO NIE MYŚLI. UCZUCIA”.

Toy była cała mokra od potu.

„Naprawdę zaczynam się bać. Tym razem już na serio”.

Wycie. Obraz klów pod powiekami. Szponów, pazurów, jadowitych zębów.

„Nie bój się, Toy. Gudr jest twoja. Toy jest moja. Podzielimy się jednym ciałem. Jesteśmy wampirem. Strach pokonamy na polu bitwy”.

– O, kurwa! – To powiedziała na głos.

* * *

– OK. Teraz poćwiczmy trochę twój zmysł równowagi. – Trener bezceremonialnie zdjął Toy szpitalną koszulę i założył legginsy o dziwnym chemicznym zapachu. Posadził ją na fotelu z jedną masywną nogą pośrodku.

– A może byś mi dał jakąś koszulę? – Toy zasłoniła piersi rękoma.

– Chciałem ci tego na razie oszczędzić. Ale skoro sama chcesz...

Pomógł jej włożyć obcisłą podkoszulkę pachnącą chemikaliami równie mocno jak legginsy. Szpital stanowczo powinien zmienić pralnię. Trener przypiął dziewczynę pasami do fotela, potem wcisnął jakiś przełącznik. Narzędzie tortur zaczęło się obracać wokół osi. Bez żadnego rozpędzania bynajmniej. Walnęło od razu taką szybkością, że Toy podziękowała w duchu za to, iż głowę też ma przypiętą do oparcia.

– Ty... – wrzasnęła. – Zaraz się zrzygam!

– Panuj nad sobą.

Szlag! Ta opaska na oczach, wirowanie... Zaciśnęła szczęki. Fotel obracał się w obłądnym tempie.

– Ty... Kto sprząta salę?

– Nie wiem.

– To się dowiedz i wołaj natychmiast!

Wyłączył prąd. Fotel kręcił się jeszcze przez chwilę siłą bezwładu. Potem trener chwycił za poręcz, zatrzymał i odpiął pasy.

– OK. Twoje ubranie jest nasączone specjalnym preparatem. Jeśli upadniesz na podłogę, też specjalnie przygotowaną, poczujesz makabryczne pieczenie. – Wyraźnie ignorował fakt, że głowa Toy kiwała się na wszystkie strony. – Masz tu kij. – Wetknął jej do rąk aluminiową rurę. – Dojdź do drzwi i staraj się nie przewracać na podłogę. Bo... będzie bolało.

Wstała, trzymając rurę, i upadła natychmiast. Poczowała wstrząs taki, jakby ktoś ją smagnął kablem elektrycznym pod napięciem. Ból w udzie, lewym pośladku i barku. Podskoczyła natychmiast, ale jej niezbyt sprawne nogi spowodowały, że dostała nowe uderzenie. Zaciskając zęby, zaczęła się wspinać po niestabilnej aluminiowej rurze. Sycząc z bólu, chciała się na niej utrzymać, choć prawdę mówiąc, nie okazało się to takie trudne. Czy da radę dojść do drzwi, wykorzystując ten przyrząd? Zrobiła jeden chybotliwy krok. Potem drugi. Boże! Jej nogi odzyskiwały sprawność.

A potem w jej głowie nastąpił wybuch. Pod powiekami zobaczyła wyszczerzone kły i odczuła strach implantu. Valkiria zaczęła nią sterować. Oparcie na rurze, przeskok, prawie salto. Pasożyt w jej mózgu aż dyszał wściekłością, jednocześnie dziko przerażony. Nie chciał zarobić kolejnego smagnięcia. Toy odbiła się bosymi stopami i wykonała prawie dwumetrowy skok. Zablockowała rurę przy ścianie i za pomocą tej podpory otworzyła drzwi. Runęła na korytarz, gdzie ubranie już „nie wchodziło w reakcję” z podłogą.

Valkiria wyła w jej mózgu.

„Zemsta! Zemsta! Zemsta! Wyeliminować zagrożenie!” Dziewczyna zobaczyła pod powiekami obraz własnej pochwy jako narzędzia zemsty. „Rozkochać go i rzucić, niech się zastrzeli!” Piersi, sterczące sutki, przymilny wyraz twarzy – wszystko to działało idealnie. Miała mokrą, „rozpulchnioną” pochwę, sterczące sutki i zabójczy wyraz twarzy z uśmiechem szerszym niż ocean.

Facet nawet dał się złapać. Podeszedł też z uśmiechem.

„Gudr, pozwól, że załatwię to po swojemu”.

Znowu widok klów i rozwścieczonej wampirzycy.

„Rób, co chcesz – powiedziała Valkiria za pomocą komputera w jej głowie. – Ale on to ból, ból, ból. Zabić, zabić, zabić!”

– Trenerze, czy mogę już to zdjąć?

– Ależ oczywiście.

– No, ale będę trochę naga. Czy mógłby mi pan dać własną podkoszulkę?

– Pewnie. – Zdjął, kiedy się rozbierała. Nawet odwrócił wzrok, żeby jej nie krępować.

Włożyła szybko. Sięgała jej do kolan.

„OK. Valkiria. Akcja! No rusz się, cholerna suko!”

Toy wstała, lekko opierając się na rurze, zarzuciła trenerowi na plecy własną, nasączoną chemikaliami koszulę i rąbnęła go łokciem w splot. Poleciał do tyłu na tę cholerną podłogę sali treningowej. Rąbnęło go prądem. Zaczął wyć.

„Dobrze, dobrze, dobrze! – Rozległo się w głowie dziewczyny. – A teraz idziemy go dobić!”

„Valkiria, powstrzymaj się, idiotko! – I konstatacja: – Zaraz, to mogę już chodzić?”

„Z taką rurą jakoś przejdziemy paręset metrów.”

„To zaprowadź nas do szpitalnego baru. Mam ochotę na frytki polane tłuszczem po tym cholernym żarciu z tutejszej garkuchni”.

„Nie jemy frytek, bo to nas obie zabije. Prędzej czy później”.

„A gówno masz do gadania! Prowadź!”

„O! – Przed oczami zobaczyła nagle obraz obrażonej kobietki. – To idź sama, jeśli potrafisz. Chyba ciągle masz niesprawne nogi”.

„Gudr, do kurwy nędzy, zaraz zacznę walić potylicą w ścianę. Zobaczymy, jak się poczujesz rozbryzgana na korytarzu”.

„Akurat. Dzięki klejowi Western Chemicals masz od tyłu pancerną czaszkę. Nic mi się nie stanie. Nie zdołasz jej rozbić”.

„Taaaak? To owinę się tymi chemicznymi legginsami, a konkretnie łeb i położę się na tej elektrycznej podłodze. Chcesz?”

Implant potrafił błyskawicznie podejmować decyzje.

„OK, Toy. Poprowadzę cię na te trujące frytki z tłuszczem. Ale nas po tym przeczyści”.

„Jak to: nas? Jak to: nas?”

„No, ciebie i mnie. Przecież mamy tylko jedno ciało”.

Toy zakłęła, lecz chwilę później podniosła się sprawnie na aluminiowej rurze i bez większego trudu pokuśtykała w stronę baru. Była zaskoczona siłą, jaką dawał jej implant. Właściwie to przestawiała swoją kompletnie niestabilną podpórkę o krok i ciągnęła z tyłu wciąż jeszcze bezwładne nogi. Robiła to w pozycji pionowej i wcale nie czuła zmęczenia.

* * *

Margie, już po operacji, na widok dziewczyny, która ukazała się w drzwiach, upuściła filiżankę z kawą. Czarny, gęsty płyn wsiąkał właśnie w pościel, kiedy Toy wychyliła się spod prysznicza.

– O Jezuuu... – jęknęła.

Tally-Ho uśmiechnęła się, zadowolona z wrażenia, jakie wywarła.

– Fajnie, co?

Miała ogoloną po bokach głowę, a włosy na środku postawione na „irokeza”. Była ubrana... Właściwie trudno powiedzieć, że była ubrana. Wąziutka, obcisła opaska ledwie zakrywała jej piersi, w talii Tally-Ho ścisnęła się wojskowym pasem, przez który indiańskim sposobem przeciągnęła duży kawał lśniąco czarnego materiału między nogami, a potem nad pasem tak, że jego końce zwisały z tyłu i przodu aż do kolan. Biodra więc miała odkryte. Mogła mieć coś jeszcze na nogach, jakieś supercienkie rajstopy, bo widać było złote odbłyски na skórze. Buty na koturnach dopełniały obrazu cyberpunka.

– Ojej! – Margie dopiero po dłuższej chwili zdołała coś wyjąkać.

– No co ty? – Tally-Ho potrząsnęła włosami. – Jesteś z moją koleżanką w jednym pokoju już prawie trzy miesiące i nie nauczyła cię jeszcze kłać jak szewc?

– Gdzie Shainee? – spytała Toy.

– Nie pokażę się wam! – Zza drzwi dobiegł okrzyk pełen rozpaczy. – Wszyscy na mnie patrzą!

– To jednak chodź. – Margie wykazała się rozsądkiem. – Tu przynajmniej same dziewczyny.

Przekonała Shainee. Pani porucznik wsunęła się do pokoju z miną, jakby zamierzała się rozpłakać. Miała na sobie króciutkie, makabrycznie obcisłe szorty, buty jak Tally-Ho... Musiała mieć chyba też jakąś górę do kompletu, ale nie widziały jaką, bo zasłaniała piersi rękoma i dzieckiem.

– Ja nie powinnam się tak ubierać – jęknęła. – Jestem zakonnica!

Toy patrzyła na Shainee z wyraźną fascynacją.

– Jak ją do tego zmusiłaś?

Tally-Ho uśmiechnęła się radośnie.

– Dokładnie tak samo, jak zmuszę ciebie. – Postawiła na podłodze kilka trzymanyh dotąd w ręce pudeł. – Zabrałam z przechowalni twoje stare ubranie i teraz masz do wyboru: wyjdiesz stąd w tym, co ci przyniosłam, w szpitalnej koszuli albo na golasa...

– Ty... O co ci chodzi?

– Nareszcie wszystkie będziemy wyglądać sexy. Łatwiej będzie załatwić wszystkie sprawy, nie?

– Tally-Ho, posłuchaj... Detektyw powinien raczej się wtopić w tłum, a nie wyróżniać niby latarnia na brzegu morza.

– Taaa...? Nie znasz się.

Tally-Ho zakręciła wodę i weszła pod prysznic do Toy.

– Kucnij. – Wyjęła z torebki maszynkę do golenia. – I nie pękaj. W burdelu na Księżycu strzygłam wszystkie koleżanki.

Naga i mokra Toy miała niewiele kontrargumentów. Kiedy kucnęła posłusznie, Tally-Ho

podgoliła jej głowę po bokach. Resztę włosów postawiła za pomocą żelu pionowo do góry, wyrównała i sprayem pomalowała na jaskrawą czerwień.

– OK – mruknęła. – A teraz się ubieraj i spadamy. – Kopnęła w jej stronę kartonowe pudła.

Toy tylko westchnęła. Wyjęła z pierwszego pudła koronkową bieliznę. Wolą nie zerkać w lustro, jak w tym wygląda. Z drugiego wyciągnęła jakiś czarny kostium. Rozwinęła go i jęknęła.

– Ty... Ktoś uciął połowę.

– Nikt niczego nie uciął. – Tally-Ho wdziękowała się przed lustrem w pokoju. – Wkładaj i spadamy.

Toy założyła kostium. Przetarła ręcznikiem zaparowaną kryształową powierzchnię. Zamknęła oczy i otworzyła je zaraz. O szlag... Włożyła naprawdę fajne buty, które dodały jej z piętnaście centymetrów wzrostu, wzięła głęboki oddech i wyszła z kabiny.

– O, rany! – Margie wybałuszyła oczy.

Toy miała na sobie po prostu pół kostiumu. Obejmował tylko prawą nogę, prawą połowę tułowia, prawe ramię i rękę aż po nadgarstek. Natomiast po lewej stronie ciała... nie miała niczego poza koronkowymi majtkami.

– Ty. Jak to się trzyma?

– Jakaś nowa technologia. Sztuczna skóra przylega do naturalnej i już.

– Gdy stanę do kogoś lewą stroną, to będzie myślał, że jestem ubrana jedynie w buty i bieliznę!

– Jak każdy cyberpunk.

– Shainee. – Toy zagryzła wargi. – Dlaczego my się dajemy terroryzować kobiecie z takim gustem?

– Bo tylko ja mam gust – odparła Tally-Ho.

– Ja w tym nie wyjdę z powrotem na korytarz – jęknęła Shainee. – Jestem zakonnica.

– To zostań. – Tally-Ho wypchnęła Toy za drzwi. – Margie, odprowadzisz nas?

– Nie mogłabym sobie darować widowiska. – Dziewczyna włożyła szlafrok. – Ale będę się trzymać z tyłu, dobrze?

Na korytarzu już na nie czekali. Pielęgniarze, ochroniarze, sprzątacze... Wieść o przyjsciu Tally-Ho z koleżanką najwyraźniej rozniosła się wśród męskiej części personelu i każdy usiłował znaleźć jakieś niby to ważne zajęcie w pobliżu.

Toy uśmiechnęła się, a potem spróbowała przybrać obojętny wyraz twarzy. Shainee miała rację. Wszyscy faceci gapili się bezczelnie. Ruszyła w stronę wyjścia, nie czekając na pozostałe. Ktoś gwizdnął za jej plecami. Zmusiła się, żeby nie odwrócić głowy. Valkiria w mózgu mruczała zadowolona z czegoś jak zaraza.

Portier o mało się nie udławił na jej widok. Posłała mu chłodny uśmiech, wyszła na chodnik, na prawdziwą wolność po trzech miesiącach tortur i... musiała się zatrzymać, żeby

zaczekać na koleżanki.

Zakonnica minęła ją w pędzie i wskoczyła na tylne siedzenie zaparkowanego tuż obok odkrytego porsche.

– Shainee? Zamierzasz go ukraść?

– To nasz. – Tally-Ho zajęła miejsce pasażera z przodu. – Wypożyczyłam. Prawdziwy europejski... Benzynowy silnik!

– Benzynowy?! Jezu... Mamy jeszcze coś na koncie w banku?

Tally-Ho wzruszyła ramionami.

– Nie znam się na matematyce. Nie jestem księgową.

Toy pokręciła głową. Zgrabnie przeskoczyła burtę w kolorze wozu strażackiego i wylądowała z tyłu, obok Shainee.

– A ty gdzie? – Tally-Ho spojrzała zdziwiona.

– Co: gdzie?

– No... Ładuj się za kierownicę. Ja nie mam prawa jazdy.

– Zaraz... Bez prawa jazdy ktoś ci wypożyczył samochód?

– No... – Tally-Ho pokręciła biodrami na przednim siedzeniu. – Troszkę poszczebiałam, pouśmiewałam się i... gość z wypożyczalni był tak uprzejmy, że przywiózł nas tutaj.

Przynajmniej wyjaśniło się, w jaki sposób auto dojechało pod szpital. Toy zerknęła na dziwne zegary z przodu, jakieś dźwignie, wskaźniki, trzy pedały w podłodze zamiast dwóch...

– No, siadaj na miejscu kierowcy – popędziła ją Tally-Ho.

– Słuchaj, ja też nie mam prawa jazdy.

– Oż kurde. – Tally-Ho zagryzła wargi. – Margie? Ty jesteś z dobrej rodziny. Na pewno jeździłaś czymś takim.

Margie patrzyła na nie zaskoczona rozwojem wypadków.

– Ale ja was nie mogę nigdzie zawieźć...

– Naucz tę małą z tyłu, jak to się robi.

– Dlaczego mnie, a nie ciebie? – podskoczyła Toy.

Zaaferowana Margie już zajęła miejsce za kierownicą.

– Czekaście... Jeden chłopak dał mi się raz przejechać. Czekaście... Benzynowy silnik, to gdzieś powinna być stacyjka... Jest! OK. Tu są zegary. To prędkościomierz, to pewnie obrotyomierz.

– Co to jest „obrotyomierz”?

– No... Mierzy obroty... Tylko nie wiem czego.

– Może obroty kół? – podrzuciła Tally-Ho.

– Obroty kierownicą? – zaproponowała Toy.

– Obroty silnika. – Shainee rozwiła ich wątpliwości. – Widziałam na takim starym filmie – dodała z dumą, że też coś wie.

– Czekaście... – Margie aż się spociła. – Tu jest dźwignia zmiany biegów. Żeby tylko

mogła sobie przypomnieć, czy rusza się z jedynki, czy z siódemki...

– Ty, a po co aż trzy pedały?

– Sprzęgło, hamulec i gaz. – Margie uśmiechnęła się z wyższością. – Mój ojciec też ma europejski wóz i od czasu do czasu nim jeździ!

– Po co się kupuje te koszmarnie drogie europejskie produkty? Tu wszystko trzeba robić ręcznie, a w amerykańskim aucie działa komputer wielkości główki od szpilki – mruknęła Toy.

– Bo to jest styl i elegancja.

– Kurde blade... To znaczy, że jeśli zamiast kombajnem, skoszę scyzorykiem trzysta hektarów pola, to będę stylowa i elegancka? W przeciwieństwie do chamskiego kombajnisty?

– Będziesz spocona – powiedziała Shainee. – A on nie.

– Cicho, baby! – warknęła Margie. – Usiłuję się skupić. Jezu, po co jest ta wajcha? Aha, hamulec ręczny. To GPS, to, mmm... telefon chyba, to komputer, to uchwyty katapulty, to jest radio, to radar zbliżeniowy, to jest... Jezu, nie wiem! To jest... też nie wiem. To chyba radar dopplerowski, to jest taki... taki... ten... takie coś do satelitów, to ekran z mapą. To jest... znowu nie wiem.

Tally-Ho walnęła w to coś łokciem, otwierając małą klapkę.

– To jest skrytka – powiedziała. – Ten gość z wypożyczalni ukrył tu trzy tony dokumentów i pozwoleń na używanie benzynowego silnika.

– OK. – Margie westchnęła ciężko. – Spróbujemy ruszyć.

– Ja wiem, jak się rusza, bo widziałam na innym starym filmie – pochwaliła się Shainee. – Trzeba wyjść, kręcić długo taką korbą z przodu, kłąć głośno i wulgarnie. A potem przejść na tył samochodu i pchać.

Margie otarła pot z czoła.

– Zapnijcie pasy – jęknęła. Przekręciła kluczyk w stacyjce. Coś zaczęło mruzczyć.

– Jezus! – Toy podskoczyła z tyłu. – Co to jest?

– Cicho. To silnik.

– Jemu powiedz, żeby był cicho!

– Zamknij się, Toy! O Boże... Siódemka czy jedynka, żebym sobie tylko przypomniała.

– Siódemka – zaproponowała Shainee. – To szczęśliwa liczba.

– Jedynka – podsunęła Tally-Ho.

– Może rzymskim targiem czwórka? – mruknęła Toy, ale i tak nie było jej słyhać.

– Wrzucę na czuja. – Margie szarpnęła dźwignią, coś zazgrzytało, samochód targnął w przód i zgasł.

– O Matko Przełożona! – Shainee zakryła twarz. – Jedźmy już. Wszyscy się na nas gapią.

Tłum wokół rzeczywiście gęstniał. Wołały nie słuchać rzucanych zewsząd „życzliwych” rad, jak opanować to europejskie krwistoczerwone bydlę. Margie wściekła zapaliła jeszcze raz, wrzuciła bieg i, szarpiąc, ruszyła do przodu.

– OK. Rozgryzłam to. Rozgryzłam to! Już wiem...

Radar dopplerowski zasygnalizował niebezpieczeństwo komputerowi, który zacisnął pasy pasażerów, zredukował bieg i wyhamował, zanim samochód walnął w słup.

Margie zwolniła swoje bezpieczniki, otworzyła drzwi i wysiadła na chwiejnych nogach.

– No... Już wiecie mniej więcej, jak to się robi, dziewczyny. – Pocałowała Toy na pożegnanie. – Ja muszę się położyć do łóżka. Chociaż na chwilę...

Tally-Ho zerknęła w tył.

– No, mała. – Mrugnęła porozumiewawczo. – Już wiesz, nie? Siadaj za kierownicą.

Toy wściekła przeskoczyła na przednie siedzenie. Ten cholerny kombinezon miał jedną zaletę: kompletnie nie krępował ruchów. Zapięła skomplikowany układ pasów.

– No, dobra. Same chciałyście – warknęła.

– Ja niczego nie chciałam – jęknęła Shainee. – To ona!

„Valkiria, daj mi na lewe oko instrukcję obsługi porsche z sieci!”

„OK. Masz”.

Dobra. Luz, sprzęgło, stacyjka, obrót kluczem, Pompowanie gazu, jedynka... Chryste, prawą ręką, idiotko! Teraz powoli puścić sprzęgło, wcisnąć gaz... Wyjące bydlę ruszyło powoli, sprzęgło, dwójka, gaz, według instrukcji, sprzęgło, kierownica w prawo, Jezu, jeszcze kierunkowskaz, trójka, gaz, sprzęgło, radar dopplerowski zapalił kilka czerwonych lampek, radar sytuacyjny tylko jedną, GPS zamigotał, komputer rozjarzył się setką diod, dobra, sprzęgło wdusić, gaz puścić, czwórka, sprzęgło puścić, gaz wdusić...

– Matko Boska! – Tally-Ho zerknęła z boku. – Mamy sto sześćdziesiąt w centrum miasta!

Wolniej, wolniej, wolniej... Ale... O mamo! To coś samo jedzie! Hamulec ręczny czy nożny? Obrotomierz... Chryste, obroty czego okazuje? Wału korbowego? Kurde, co to jest wał korbowy? Coś jak parowy kocioł? Czy karburator? Może bendix... Zapomniała o światłach. Położyła kciuk na odpowiedni przycisk. Coś rozjarzyło się z przodu jak piorun. Pomyliła się. Nie przeciwnie. Zwykle. Dlaczego tu wszystko trzeba regulować ręcznie? Styl i elegancja. Była cała spocona – to pewnie ten styl. Klęła ze zdenerwowania pod nosem – to pewnie ta elegancja. Nie nadążała z czytaniem instrukcji wyświetlanych z sieci. Przepisy drogowe? To są jeszcze jakieś przepisy drogowe, które powinna znać?

– Fajnie ci idzie, Toy – krzyknęła Tally-Ho. – Ale dodaj mu trochę gazu, bo się wlecemy.

Toy nadepnęła prawy pedał. Silnik zawył okropnie. Rękojeści zwalnijące katapulty zabłyśły czerwienią nad ich głowami.

„Valkiria! Kontroluj moje odruchy!”

„OK”.

Porsche rwał do przodu jak koń wyścigowy. Wyprzedzali wszystkie samochody. Radar zbliżeniowy migotał czerwienią co sekundę. Sytuacyjny wyświetlał jakieś dane na monitorze, GPS określał ich położenie na mapie i strzałkami sugerował zmianę kierunku.

- Włączę radio. – Tally-Ho usiłowała przekrzyczeć szum wiatru na owiewkach. Osiemnaście czterystuwatowych głośników ryknęło ułamkiem swej mocy.
- Zmień stację! Nie cierpię country!
- Nie ma sprawy... Punk? Hard? Grunge? Cybertechno?
- Cokolwiek, byle nie te pienia Ku-Klux-Klanu!

* * *

Po dwóch godzinach opuściły miasto. Toy przyspieszyła znowu. Benzynowy silnik wylł coraz głośniej. Ale i tak nie dał rady zagłuszyć radia. Shainee pochyliła się do przodu, patrząc na główny zegar na desce rozdzielczej.

- Dwieście czterdzieści na godzinę – krzyknęła. – To w milach czy kilometrach?
- Co to są mile? – wrzasnęła w odpowiedzi Tally-Ho.
- Co to są kilometry? – wrzasnęła Toy.

Zerknęły na siebie. Tally-Ho wychowana na Księżycu nie znała amerykańskich miar, Toy wychowana w Los Angeles nie znała europejskich. Tally-Ho wzruszyła ramionami.

- To bydlę chyba stać na więcej, nie?

Toy nacisnęła mocniej pedał gazu.

- Pewnie tak.

Osiągnęły trzysta. Muzyka rozplywała się po całej równinie wokół. Ale odlot...

- Dawaj dalej, Zabaweczko!

Jeszcze szybciej. Trzysta pięćdziesiąt. To zdecydowanie lepsze niż kokaina! Kierownica „stwardniała” wyraźnie. Zawieszenie również. Muzyka buzowała już na pół mocy głośników.

- Pieprzony odlot. Wyciśniesz coś jeszcze?

„Valkiria? Kontrolujesz moje odruchy?”

„Tak”.

Gaz do dechy! Silnik mrucał, jakby chciał wyskoczyć spod maski. Wiatr wylł. Ale moc! Perkusja z głośników ledwie przebijała wizg opon. Szarpało nimi na wszystkie strony. Shainee z tyłu chyba się śmiała. Tally-Ho szturchnęła Toy w amoku.

- Czekaj... Tam jest knajpa. – Wskazała monitor. – Musimy się doładować.

- No!!!

Toy zaczęła gwałtownie hamować. Pasy wrzynały się w ciało. Szlag! Trzy miesiące męki w tym zaszranym szpitalu, a teraz wolność. Najpiękniejsza wolność, jaką można było sobie wyobrazić... Jezuuu! Ale odlot. Teraz dopiero rozumiała, co to „styl i elegancja”. To po prostu pieprzone siedemset koni mechanicznych pod maską i osiemnaście czterystuwatowych głośników wokół. Jak mogła tego nie pojąć w pierwszej chwili? To jest właśnie STYL I ELEGANCJA w prawdziwym, europejskim wydaniu. Mój Boże! Dopiero teraz rozumiała co dawna klasyczna piosenkarka Janis Joplin miała na myśli, śpiewając: „Oh, Lord! Won't you

buy me a Mercedes-Benz?! My friends all drive Porsches...”.

Zaryła z piskiem opon przy podjeździe do wiejskiej knajpy. Roześmiane i naładowane adrenaliną wyskoczyły na zewnątrz.

– Ale miałaś fajny pomysł z tym metalowym bydlakiem!

– No! – Tally-Ho łokciem otworzyła drzwi i pierwsza wkroczyła do wnętrza.

Szlag. Country! Drewniany bar, stoliki, drewniana więźba dachowa stodoły. Mężczyźni wybałuszyli oczy. Barman skamieniał na ich widok. Wypuścił z rąk szklanę, którą czyścił. Na szczęście się nie stłukła.

– Trzy piwa! – zakomenderowała Toy. – Tylko nie częstuj nas tym bezalkoholowym świństwem!

Tally-Ho zajęła się szafą grającą.

– O mamo... – Zerknęła na listę. – Sam Ku-Klux-Klan!

– To daj coś z klasyki. Może muzykę poważną?

– Dobra. Nirvana?

– Mhm.

Barman pojawił się przy ich stoliku z trzema piwami na tacy.

– Przykro mi, ale ta pani – wskazał na Toy – musi pokazać dokument potwierdzający, że jest pełnoletnia.

Valkiria warknęła w jej głowie. Toy jednak posłusznie wyjęła swoją licencję i pokazała z uśmiechem.

– Poproszę o drugi dokument ze zdjęciem. – Barman był nieugięty.

Rzuciła mu plastikowy prostokąt z ubezpieczalni.

– Dobrze. Proszę teraz położyć obie ręce na stole wnętrzem dłoni do góry.

Wściekła spełniła rozkaz. No, trudno. Wyglądała jak wyglądała. Zdążyła się przyzwyczaić. Nigdy nie chcieli jej wpuścić na film dla dorosłych.

Barman sprawdził czytnikiem.

– Bardzo mi przykro z powodu tych niedogodności, ale nieletnim i narkomanom alkoholu nie podajemy...

Zagryzła wargi. Czy jeśli ktoś miał tatuaże Triad, to od razu musiał być narkomanem? No, właściwie to musiał... Szlag z nim.

– Czy są panie wypłacalne? – Barman nie odpuszczał.

– Zerknij na nasze autko na parkingu – wysyczała Tally-Ho.

– Wolałbym zobaczyć kartę kredytową.

Tally-Ho z zaciśniętymi zębami położyła na stole złoty prostokącik. Sprawdził. Wreszcie postawił przed dziewczynami piwa.

– Smacznego. – Odwrócił się i pozeglował statecznie na swoje stanowisko obronne za szynkwasem.

Zwarzył im humory. Jedyne Shainee beztriosko dorwała się do piwa. Jednocześnie

karmiła swojego niemowlaka piersią.

– Ty... Bez demonstracji, psiakrew! – szepnęła Toy. – Bo nas zlinczują!

– Ale mały jest głodny.

– To nakarm, a dopiero potem zacznij uświniac się alkoholem.

– A co ich to obchodzi?

– Obleją nas smołą, a później wytarzają w pierzu. Zobaczysz...

Wolały nie słuchać cichych uwag rzucanych przez mężczyzn w knajpie: „Córeczki bogatych tatusiów”, „Widziałeś, w co się poubierały? Jakby moja córka...”, „Te mały z miast powinno się rozstrzeliwać”, „Widziałeś, czym przyjechały? To prostytutki!”, „Jak rząd może pozwalać na takie świństwa?”...

Toy nie wytrzymała.

– Ty! – krzyknęła na barmana. – Podaj butelkę tequili.

Przygryzł wargi. Wahał się dłuższą chwilę, ale potem przyniósł. Szklaneczki również.

– To oczywiście nie moja sprawa – mruknął. – Która z pań prowadzi?

– Ona. – Toy i Tally-Ho wskazały na Shainee.

– Policja stanowa może was wsadzić nawet za jedno piwo.

„Żeby cię pokręciło!” – powiedziała Shainee bezgłośnie.

– Czy my nadal jesteśmy w Kalifornii? – spytała Toy.

– Lagerkapo! – Tally-Ho musiała czytać jednak jakiś podręcznik historii.

Obserwowały, jak barman telefonuje i składa doniesienie.

– Jezu... Co ta elektronika robi z ludźmi?

– To nie elektronika – mruknęła Shainee. – Jesteśmy inne, mówimy inaczej, ubieramy się inaczej. Wy to nazywacie polityczną poprawnością. Bezpieczeństwem. Ale jesteśmy ich wrogami.

– Jak ja nie cierpię prowincji. – Toy napełniła demonstracyjnie szklanki. – Chcę z powrotem do dużego miasta! – Wypiła jednym haustem. – A tych ciulów ze wsi niech powykręca nareszcie!

Dwie kompletnie różne kultury, odległe od siebie zaledwie o kilkadziesiąt kilometrów. Sprzyjająca, choć brutalna miejska i... i... i jakiś czop na mózgu. Co sprawia, że jeśli osada liczy mniej niż sto tysięcy ludzi, to pojawiają się od razu jakieś aberracje umysłowe? Jakies „Tu MY, a tam ONI”. „Tamten facet włożył kobiecą kieckę, więc trzeba go wyeliminować”. Dlaczego? My wiemy lepiej, co dla wszystkich dobre. Wszyscy się znamy w końcu. Jezu, co za syf.

Tally-Ho zapłaciła kartą.

– Chodźmy na zewnątrz, bo się zrzygam.

Wyszły wprost w ramiona zachodzącego słońca, pomstując cicho. Toy pociągnęła bezpośrednio z butelki. Shainee położyła się na masce samochodu. Tally-Ho wyjęła ze skrytki torebkę i rzuciła Toy.

- To twoja. Zapomniałam.
- Ale my mamy wszystkie popieprzoną przeszłość.
- Weź nie chrzań. – Tally-Ho odebrała jej butelkę i upiła wielki łyk.

Obce śmieci. Samotne, nikomu niepotrzebne, zagubione na swojej drodze wśród ludzi, którzy wiedzieli, co komu jest przeznaczone, wśród ludzi, którzy wiedzieli, po co się żyje. Szlag. Przecież profesor i śmieciarz umrą tak samo. No może... profesor w najlepszym szpitalu w otoczeniu rodziny, a śmieciarz na wysypisku. Ale czy to naprawdę miało znaczenie? Tuż przed ostatnią drogą, przed pustką, przed zapomnieniem? Szpital czy wysypisko? Czy naprawdę ma znaczenie, jaki nagrobek ci postawią? A niech wokół srają psy. Żadna różnica. Aaaa... czy te wszystkie problemy w ogóle mają jakąkolwiek wartość w momencie, kiedy się odchodzi? Wystarczy się pośmiać. Wystarczy się pośmiać choćby z tych wszystkich „wierzących”, którym nagle strach dupę ściśnie. A ten, w którego wierzą... nie pomoże!

Dzieci epoki industrialnej siedziały samotne na drewnianym płotku okalającym knajpę i patrzyły na przemysłowy krajobraz wokół. Ta cała pieprzona elektronika... Siedziały w swoich plastikowych ciuchach, marząc o lepszych ludziach. Marząc o ludziach, którzy byli w stanie je zrozumieć. Tequila nie cieszyła. Nie dawała niczego. Strute nagle, właściwie nie wiadomo czym, wsiadły do porsche i ruszyły boczną drogą, żeby ominąć policyjne patrole.

Toy, a właściwie Valkiria prowadziła pewnie. Wydostały się z osady płataniną wiejskich drózek wijących się pomiędzy zakładami produkcyjnymi. Opuściły nareszcie ten labirynt płotków, napisów, nakazów i zakazów, ślicznych domków, wyczyszczonych podjazdów i ludzi, którzy wiedzieli z całą pewnością, co powinni robić inni ludzie, żeby móc poczuć szczęście. Słońce zachodziło powoli, pojawiało się coraz więcej skał...

- Zatrzymaj się – powiedziała nagle Tally-Ho.

Toy zjechała na pobocze.

- Ty... to jest chyba niczyje. – Zamiast otwierać drzwiczki, przeskoczyła je zgrabnie.

Rzeczywiście, wokół nie widać było żadnego płotu, żadnej tablicy informacyjnej. Dość duży obszar mniej lub bardziej spiętrzonych skał zdawał się nie należeć do nikogo.

– Ale jesteś spostrzegawcza... – Toy również wysiadła z samochodu. Wbiegła na najbliższą skałę, potem skoczyła, robiąc salto w powietrzu, i stanęła na szczycie następnej.

- Ja cię pieprzę! – Tally-Ho rozdziawiła buzię w podziwie. – Ale jesteś wysportowana!

- Taaaa? – Toy stanęła na rękach na samym szczycie. – Patrz teraz!

Wygięła nogi w kierunku pleców, oderwała jedną rękę od podłoża i chwyciła własne stopy.

- Nie wyglupiaj się! Jak zlecisz, połamiesz se wszystko!

– Zróbmy sobie zdjęcia! Zróbmy sobie zdjęcia! – Shainee przybiegła z aparatem w dłoni. Możliwość uwieczniania różnych scen strasznie jej się podobała. Ale spokojnie można było nie zwracać uwagi na panią porucznik. Po wegetacji w walcu Moonsunga właściwie podobało

się jej wszystko.

– Mogłabym być prawdziwym indiańskim zwiadowcą, nie? – Tally-Ho na czworakach udawała, że węszy i tropi. – Zróbcie mi takie zdjęcie!

– Mogłabyś. A czekaj. – Zastanawiała się chwilę. – To wśród Indian też byli Żydzi?

Toy zeskoczyła ze skały, robiąc kolejne salto. Odebrała aparat Shainee.

– Chcesz mieć fajne zdjęcia? No to rozbieraj się, kotek!

– O żeby cię... żesz ty... – Tally-Ho wyprostowała się i popatrzyła Toy prosto w oczy. Przygryzła wargi, potem poszła po butelkę tequili i pociągnęła wielki łyk. Lewą ręką rozpięła swój pas, który opadł na ziemię. Zerwała opaskę z piersi. Wymachami nóg pozbawiła się butów.

– Myślałaś, że się zawaham?

– Ty się nigdy nie wahasz, Tally-Ho! Dziewczyna położyła się na skale. Toy zaczęła pstrykać.

– Ale ładna cholera – szepnęła Shainee.

– No!

– Jak mam się ustawić?

– Jak chcesz. Jesteś śliczna z każdej strony.

Tally-Ho wypięła pupę.

– Nie jestem do końca pewna, czy tak właśnie wygląda indiański zwiadowca pochodzenia żydowskiego.

Roześmiały się. Shainee wskoczyła na skałkę z tyłu. Chwyciła Tally-Ho za szyję.

– A teraz biały traper zadusi brudnego Indiańca! – krzyknęła.

– Tylko bez antysemityzmu...

– Co to jest „antysemityzm”?

– No, żeby cię szlag! Jestem Żydówką, idiotko. A ty, gdybyś tylko przeszła na protestantyzm, byłabyś WASP-em.

– Ja też nie jestem Anglo-Saxon! – wrzasnęła Toy i runęła na nie zniecka. Skłębity się na ziemi w udawanej walce. – Jestem czystą Europejką!

– Ty, Europejczyk... Bo zaraz mi tu Auschwitz zrobisz.

– Ty, Jewrej. Zaraz to ugryzę cię w twój śliczny tyłek!

Chichotały, walcząc. Toy usiłowała powściągać Valkirię, żeby nie uzyskać momentalnie miażdżącej przewagi. W końcu Shainee wykręciła im obydwu ręce.

– No i co, europejsko-żydowskie elementy? Anglo-Saxon górą!

– Akurat! – Toy przestała powstrzymywać Valkirię. Wywinęła się z chwytu wężowym ruchem, podskoczyła, przelatując nad głową Shainee, chwyciła ją i uniosła w powietrze. – Europa rulez!

Śmiały się coraz głośniejsze. Tally-Ho zaczęła się ubierać, pociągając z butelki.

– Co oni z tobą zrobili? – Shainee patrzyła z podziwem. – Pierwszy raz widzę, żeby

człowiek tak po prostu przeskoczył drugiego człowieka.

– Anglo-Saxon to nie człowiek. To kupa nieszczęścia.

– *Jawohl!* Europa *uber alles*, ale z amerykańskim chipem w głowce.

Toy pokazała jej język i odebrała butelkę. Usiadły na ziemi, opierając plecy o burtę samochodu, i przytuliły się do siebie.

– Ale nas tu pozganiało z różnych stron...

– Mnie nikt nie zganiał. Ja tu byłam zawsze – powiedziała Shainee.

Tally-Ho ryknęła śmiechem.

– Indiańskie plemiona mają na ten temat inne zdanie!

– No. Słuchajcie, zaraz noc. Trzeba by się gdzieś przespać, nie?

Problem noclegu rozwiązał się sam. Choć nie tak, jakby chciały.

Usłyszały ostrzegawczy sygnał policyjny. Zanim zdążyły wstać, z radiowozu, który zahamował obok z piskiem opon, wysypało się dwóch gliniarzy.

– OK – zakomenderował jeden z nich. – Ręce do góry i trzymać je tak, żebyśmy widzieli!

Posłusznie podniosły ręce.

– Teraz wszystkie trzy panie podejść powoli tutaj i położyć dłonie na masce samochodu.

Nogi szeroko.

Klnąc, spełniły rozkaz. Drugi policjant włożył gumową rękawiczkę i podniósł z ziemi butelkę tequili.

– Mmm... Co to jest? – zapytał uprzejmie.

– Bomba atomowa? – warknęła Toy. – Przecież nie złapaliście nas, jak prowadzimy po pijaku.

– Nie prowadziły panie? – Policjant uśmiechnął się do kolegi. – Widzisz, Mike, one nie prowadziły samochodu! Zawsze mówiłem, że ten nasz satelita to po prostu kupa złomu!

– Patrz, patrz, patrz, co tu mają. – Mike wyjął z torebki Toy rugera. Ze skrytki porsche wydobyl colta springfielda. Spod siedzenia dubeltówkę z urzniętą lufą i kolbą. – Patrz tylko. – Wskazał tatuaże Toy. – Mafiozo z Triad! I do tego pijana!

– Zerknij lepiej tu... – Drugi policjant wyjął z bagażnika karabinek Mannlichera. – Ale precyzyjne cudeńko.

Obok na szosie położył dwie kusze.

– Czyje to jest?

– Moje – odparła Shainee. – Bo wie pan, ja nie umiem strzelać z karabinu.

– Zamknij się! – szepnęła Tally-Ho.

– Nie gadać tam! – ryknęli.

– Czyje to dziecko? – Mike wskazał niemowlaka śpiącego na tylnym siedzeniu.

– Moje – powiedziała Shainee.

– Bo wie pan, ja nie umiem korzystać ze środków antykoncepcyjnych – dodała Toy.

Razem z Tally-Ho zaczęły chichotać.

- Zaraz wam będzie mniej wesoło. Prawo jazdy, dokumenty identyfikacyjne!
- Nie widzę tu żadnego samochodu – mruknęła Toy. – Jakie prawo jazdy?
- Aha... Macie na to pozwolenia? – Wskazał butem rozłożony na szosie arsenał.
- Mamy. Sprawdź se w komputerze.
- Ty! Jesteś chociaż pełnoletnia?
- Owszem. Sprawdź se...

Nie wytrzymał. Podbiegł do Toy, wykręcił jej rękę i skuł kajdankami.

– Widziałeś, Mike? Morderczynie z Triad. Widziałeś, jak się poubierały? Pewnie mają kontrakt na samego senatora.

Odszedł, żeby skorzystać z komputera w policyjnym wozie.

- Co robią? – szepnęła Tally-Ho.
- Shainee ostrożnie zerknęła w bok.
- Gapią się na nasze wypięte tyłki.
- Żeby cię szlag! Zdrutują nas?
- Nocleg mamy zapewniony – szepnęła Toy.
- Nie gadać tam!

Gliniarz przeglądał ich dokumenty, pozwolenie z wypożyczalni na benzynowy samochód, do plastikowego worka włożył pięć aluminiowych noży Shainee.

– Bierzemy.

Skuli je, nogi i ręce razem krótkim łączącym nadgarstki i kostki łańcuchem. Drobiać małymi kroczkami, musiały wsiąść do policyjnego wozu.

- Mike. Umiesz prowadzić ten europejski szajs?
- W życiu. Trzeba zawołać pomoc drogową, niech to przyholują.

Radiowóz, choć nie benzynowy, ruszył prawie tak ostro jak porsche. Prawie. To była ta właśnie różnica między Stanami a Europą.

– No dobra... Która prowadziła tamto auto? – spytał Mike, obracając twarz w stronę dziewcząt. – Chcę zobaczyć prawo jazdy.

Toy tylko się uśmiechnęła.

– Archanioł Gabriel. – Posłała Mike'owi pocałunek ustami. Szczęściem w Kalifornii, w tym rewelacyjnym klimacie, nagrzane powietrze drgało za bardzo, by można było przeprowadzić identyfikację przez policyjnego satelitę.

– Mam świadków, że to ty!

– Akurat. – Roześmiała mu się w nos. – Żaden ze świadków nie sprawdzał mnie alkomatem. Ten zarzut obali nawet trzeciorzędny adwokat.

– Zaraz będzie ci mniej wesoło. – Mike odwrócił się do kierowcy. – Damy je na noc do recydywy. Niech zmiękną troszkę.

– No! Szefie... – Kierowca był wyraźnie zadowolony. – Recydywa im pokaże, co to jest babska miłość.

– Akurat – powtórzyła Toy. Naprawdę przeżyła już niejedno. – Shainee ma dziecko. Musicie ją dać do izolatki.

– Ale was dwie...

– My dwie sobie poradzimy, proszę pana – warknęła Tally-Ho.

– Tak? To zobaczysz, laleczko, co to jest recydywa. A nawet poczujesz.

Podwieźli je pod posterunek w jakimś zadupiałym miasteczku. Znowu musiały drobić maleńkimi kroczkami, żeby wejść do budynku. Tam zrobiono im zdjęcia, pobrano odciski, zbadano krew i żrenice. Potem przykuto do specjalnych słupków tuż przed kratą wspólnej celi. Po raz pierwszy zobaczyły recydywistki. Tally-Ho zważyła wyraźnie.

– Dawać je tu, chłopaki! – wyły zamknięte w celi aresztantki. – Dawać tu świeży towarek!

– Zaraz do was przyjdę. – Toy posłała im całusa i pokręciła tyłkiem. – Ale to wam się zupełnie nie spodoba.

– Ty, mała... Nad ranem będziesz wyc, żeby cię wypuścić!

– Ktoś na pewno będzie wyc – zgodziła się Toy.

– Patrz, jak hecnie ubrana. Ja chcę tę małą.

– A ja chcę tę dużą blondynkę.

Tally-Ho przełknęła ślinę.

Dalszą słowną przepychankę przerwał policjant z wydrukiem w dłoni.

– Mam już identyfikację – powiedział, potrząsając głową. – Aleśmy element złapali.

– No mów – warknął Mike.

– To jest Marcia „Tally-Ho” Vixen, wychowana na Księżycu, profesjonalna prostytutka.

– Masz na imię Marcia? – Uśmiechnęła się Toy.

– Zamknij się! – wysyczała Tally-Ho. – I nie wymawiaj nigdy tego imienia!

– Ta druga to Zuzanna „Toy” Iceberg. Dwa lata w Triadach, ma licencję detektywa, jest najemnikiem. Brała udział w akcji Pata Dantego w walcu Moonsunga. Zamieszana w przewrót państwowy w Afryce.

Recydywistki zamilkły nagle. Kilka nawet cofnęło się o krok od kraty.

– Masz na imię Zuzanna? – Uśmiechnęła się Tally-Ho.

– Zamknij się.

– Trzecia to Shainee – kontynuował policjant. – Nazwisko nieznane. Zakonnica z walca Moonsunga. Jest porucznikiem. W zakonie pełniła funkcję egzekutora.

Recydywistki, nawet te najbardziej zaczepne, cofnęły się jeszcze o krok.

– Co, dziewczyny? – krzyknęła Toy. – Zaraz do was przyjdziemy! Ale będzie fajnie, nie?

– Ty... – osadził ją Mike. – Zaraz będziesz mniej wymowna. Ciężą na was następujące zarzuty: prowadzenie samochodu po pijanemu, brak prawa jazdy, posiadanie nielegalnej broni, przewożenie dziecka samochodem bez licencjonowanego fotelika, przekroczenie dozwolonej szybkości...

– Jezus! – zakpiła Toy. – Za ten brak fotelika to chyba dostaniemy czapę, co? Wy tu wieszacie, gazujecie czy macie krzesło elektryczne?

– Jeszcze słowo i pójdziesz do karceru.

– Będziesz nam musiał to wszystko udowodnić, kotek – mruknęła Tally-Ho.

– A broń?

– Legalna, kotek.

– To też? – Podniósł karabinek Mannlichera. – To też? – Wskazał dwie kusze.

Zdjęli dziewczynom kajdanki. Shainee zamknęli z dzieckiem w izolatce. Potem Mike podszedł do Toy i Tally-Ho.

– Macie straszego pecha, że trafiłyście do aresztu etapowego. To jest kibel dla wszystkich recydywistek, które już po pobycie w pierdlu popełniły kolejne przestępstwa. I one wam pokażą, że nawet żołnierz Triad nie jest tu bezpieczny. – Uśmiechnął się obleśnie. – Ale za to pożądanym. – Wykonał wulgarny gest, żeby podkreślić dwuznaczność aluzji.

Wykręcił rękę Toy i wprowadził ją do ogólnej celi.

– Macie prawo do jednego telefonu każda. Jeśli się któraś zdecyduje, przyniosę słuchawkę i książkę telefoniczną.

– Zamów w moim imieniu trzy piwa.

Policjant nie zmienił wyrazu twarzy. Skończył recytować wszystkie prawa, przygasił światło i wyszedł razem z tym drugim.

Toy oblizwała wargi.

– Która chciała świeży towarek? – Rozejrzała się po twarzach otaczających ją kobiet. – No! Śmiało, dziewczyny!

– Ty – odezwała się prawie czterdziestoletnia aresztantka leżąca na pryczy. – Nas jest kilkanaście. Ty jesteś sama.

– Ale tylko jedna w tym pomieszczeniu ma wojskowy implant w mózgu – mruknęła Toy. – Zgadnij, która.

– Wojskowy implant? Jeszcze chwila i uwierzę.

Toy podeszła do niej, podniosła z pryczy bez wysiłku i przystawiła twarzą do kraty. Oparła dłoń o potylicę.

– Jeszcze chwila – przedrzeźniała ton tamtej – i wystawię ci łeb na zewnątrz. Ale jeśli nie da się przecisnąć między prętami w jednym kawałku, to nie miej pretensji!

– Puść!!!

Toy opuściła ręce.

– Chcesz się położyć od ściany czy po drugiej stronie?

– Dasz radę siedemnastu babom? – spytała jedna z recydywistek. – Myślisz, że gdy zaśniesz, to cię nie dopadniemy?

– Spoko. Komputer w mojej głowie nie potrzebuje snu i jakby co... – zawiesiła głos – wpakuje mi do żył taką dawkę adrenaliny, że wybrukuję waszymi łbami najbliższą ulicę.

Aresztantki zaczęły się cofać pod przeciwległą ścianę.

– Pieprzone Triady! – Dochodziły stamtąd szepty. – Wojskowy implant! Takiej siksie! Wpakować tyle forsy do głowy takiemu dzieciakowi... Pieprzone żółtki!

Toy położyła się na wąskiej pryczy. Długo jednak nie mogła zasnąć. Podyktowała komputerowi maila do Higginsa, żeby je usiłował wyciągnąć z tego szajsu, kazała wysłać. Wyświetliła sobie pod powieką obraz telewizyjny, ale mimo skakania po kanałach nie potrafiła się skupić na żadnym z serwowanych idiotyzmów dłużej niż na parę sekund. Włączyła radio i poszperała po sieci. Nic jej nie interesowało. Ani internetowe sklepy z ciuchami, ani biblioteki on-line, ani nawet wirtualne zawody w jedzeniu maksymalnej ilości czekolady. Zgasła wszystko.

„Valkiria. Chcę spać”.

„To śpij”.

„Wyłącz mnie”.

„Nie mogę”.

„Nie zalewaj. Wiem, że możesz”.

Toy przez chwilę miała wrażenie, że widzi kły pod powiekami, a potem momentalnie zasnęła.

* * *

Tally-Ho znalazła się w dużo gorszej sytuacji. Kiedy gliniarz prowadził dziewczynę do drugiej ogólnej celi, drżały jej ręce ze strachu. Czytała o tym, co się wyrabia na takich „etapówkach”. Pamiętała, czym mogą ją zgwałcić dla zabawy, ale, co gorsza, pamiętała również, do jakich aktów seksualnych mogą ją zmusić. I jeszcze gorzej – wiedziała też, w jaki sposób. Szła niczym odrętwiała. Niczym skazaniec na szubienicę. Co powinien zrobić detektyw w tej sytuacji? Usiłowała być racjonalna.

Co powinien detektyw zrobić? Myśleć!

Zaczęła więc myśleć. Po kilku krokach zatrzymała się i zerknęła na mężczyznę.

– Słuchaj, podoba ci się mój zegarek? – Pokazała złotą bransoletę. – Jest z Księżycy!

Roześmiał się.

– Przekupstwo policjanta? Nie wypuszczę cię za skarby świata.

– Nie chcę, żebyś mnie wypuszczał. – Uśmiechnęła się olśniewająco. – Chcę, żebyś był wobec mnie bardzo brutalny.

– Proszę? – Zaskoczyła go zupełnie. – Co?

Podawała mu zegarek i wytłumaczyła, że nie ma jej wprowadzać do celi, tylko wrzucić. I musi wyrecytować odpowiedni tekst, który teraz zapamięta. Przecież to nie złamanie regulaminu. Facet patrzył zbaraniały. Jeszcze bardziej skamieniał, gdy powiedziała mu, co ma recytować. Przełknął ślinę. A potem jednak popatrzył na złoty zegarek z prawdziwymi

księżycowymi kamieniami.

– OK – mruknął i poprowadził ją dalej.

Po chwili otworzył drzwi celi z recydywistkami. Wrzucił tam Tally-Ho z kopa, wszedł do środka i dołożył jeszcze dwa razy pałą. Zgodnie ze scenariuszem.

– Ty morderczynio z mafii! – ryknął, wykazując się niezłym talentem aktorskim. – Tu się nareszcie uspokoisz!

– Nic nie zrobiłam – odparła Tally-Ho z kamiennym wyrazem twarzy.

– Nic?! – rozdarł się. – A zamordowanie czterech koleżanek z celi w więzieniu w Detroit? A uduszenie dwóch osadzonych w Chicago?

– Musicie mi to udowodnić. – Na twarzy Vixen gościł wciąż spokój.

– Tak?! A jak zarżnęłaś pięć koleżanek, kiedy spały na pryczach? To jest nic?! Mamy film z kamery.

– Na filmie nic nie widać – odparła łagodnie Tally-Ho. – Mój adwokat obali to nagranie.

– A jak wytłumaczysz fakt, że w Milwaukee zamknęli w celi osiem kobiet, a rano siedem było uduszonych i tylko ty żywa?

– I wyspana – dokończyła. – Nie wiem, co się działo w nocy. – Wzruszyła ramionami. – Może hałasowały albo chrapały? Proszę mnie z tym nie łączyć.

– Będziesz się smażyć na krzeselku! – ryknął policjant. – A jeśli mi tutaj kogoś zabijesz, to przedtem osobiście cię wypałużę. Pamiętaj, jak mi tutaj choć jedną babę zabijesz, to osobiście rano potraktuję cię elektryczną pałeczką.

– Spadaj.

– Jeśli kogokolwiek tutaj znowu zabijesz, to... – Pogroził jej pałą. – Pamiętasz sprawę sprzed roku? Mamy zdjęcia z tej celi, widzieliśmy, jaką jatkę zrobiłaś! Spróbuj tylko jeszcze raz!

Odszedł, mrużąc pod nosem inwektywy pod adresem morderców, zbrodniarzy, skrytobójców i zbrojeńców.

Tally-Ho z niewinnym wyrazem odwróciła się do recydywistek, które, delikatnie mówiąc, przestraszone stały pod przeciwległą ścianą. Uśmiechnęła się.

– Wszystko, co on mówił, to kłamstwa – oznajmiła, zresztą zgodnie z prawdą, ale aresztantki ewidentnie nie uwierzyły. – Siedzę za niewinność.

– My... my... my też – wydukała jakoś najodważniejsza.

– No! – Tally-Ho skinęła głową. Zrzuciła z najbliższej pryczy czyjeś rzeczy wprost na podłogę. Umościła się na posłaniu i nakryła kocem. – Aha! – Zrobiła gest, jakby sobie coś przypomniała. – Pamiętajcie. Nienawidzę, kiedy ktoś chrapie. Nie toleruję tego.

– Nie, nie, nie, nie! – zaprzeczały szybko kobiety. – My nie chrapiemy!

– No! – Uniosła się z wyrka. – I niech któraś zaklei obiektyw kamery gumą.

Wszystkie aresztantki, które coś żuły, natychmiast przełknęły to, co miały w ustach.

– Nie mamy gumy do żucia.

Tally-Ho westchnęła i machnęła ręką.

– W końcu co mi zależy? – zapytała sama siebie. – Jak się już ma czapę zasądzoną, to kolejna sprawa tylko odroczy czas egzekucji. Nie, dziewczyny?

Potwierdziły zgodnie. Żadna z nich najwyraźniej nie zamierzała zasnąć tej nocy.

* * *

Rano obudziły się wypoczęte i rozluźnione. Kiedy zaprowadzili je do korytarza pomiędzy celami, Tally-Ho mruzczała cicho. Oblizywała wargi.

– Co? Kac? – szepnęła Toy.

– Pić!

Nigdzie nie było kranu.

Tally-Ho przetarła oczy.

– Gdzie moja kosmetyczka?

– W depozycie.

Policjant, który zapalił światło, zamarł nagle w bezruchu. Widziały wyraźnie jego wybałuszone oczy, kiedy wpatrywał się w dziewczęta zaskoczony ich idealnym stanem fizycznym.

– Panie... – przełknął ślinę – panie Marcia Vixen i Zuzanna Iceberg mogą wyjść. – Otworzył kratę przejściówki. Nareszcie opuściły korytarz pomiędzy celami.

– Jestem Tally-Ho! – ryknęła Vixen. – Zapamiętaj to sobie!

– Zamknij się. Bo nas wsadzą z powrotem za obrazę funkcjonariusza.

Ociężałe prostując kości, weszły do pokoju przesłuchań posiadającego wielkie lustro.

– Pani Shainee. – Policjant otworzył drzwi izolatki. – Przepraszam, pani porucznik. Może pani wyjść.

– Uuu... Ktoś z samej góry się za nami wstawił – zachichotała Tally-Ho.

Gliniarz udawał, że nie słyszy. Otworzył sejf i wyładował na biurko ich torebki i cały arsenał, który miały ze sobą. Tally-Ho chwyciła swoją kosmetyczkę i stanęła przed weneckim lustrem.

– Chcesz szminkę? – Zaczęła malować usta.

– Mam swoją.

Malowały się beczelnie powoli, żeby dobić tego faceta z wielkim rewolwerem. Puder, cienie, potem rzęsy, brwi, pełny makijaż... A potem... Zaczęły malować paznokcie. Jedynie Shainee była gotowa do wyjścia od razu, z dzieckiem na wysuniętym biodrze, dwiema kuszami na plecach i kompletem noży za paskiem.

– Tu jest pani prawo jazdy. – Policjant podał Toy kopertę, w której znalazła mały plastikowy prostokąt ze zdjęciem. – Dostarczono nam w nocy. Są panie wolne.

Higgins był wielki! Ale posterunkowemu nie zamierzały niczego ułatwiać. Obie jak na

komendę zdjęły buty, żeby pomalować paznokcie na stopach.

– Trzeba było powiedzieć, że pracują panie dla Caltronu – zasugerował.

– Teraz muszą wyschnąć. – Toy i Tally-Ho usiadły na biurku i zaczęły machać nogami.

Policjant usiłował je zignorować.

– Shainee. Pomalować ci pazurki?

– Odczepcie się! Jestem zakonnica!

– Twój bóg pozwala na to, żeby kobieta wyszła na ulicę *saute*?

Shainee miała już jednak odpowiedni trening ze swoimi koleżankami.

– Gdzie są kluczyki? – Podeszła do policjanta. A kiedy jej dał, podrzuciła je w dłoni. –

Sama uruchomię to metalowe bydlę. Zobaczycie!

Ruszyła korytarzem na parking.

– Nie!!!

– O żeż ty!

Toy i Tally-Ho chwyciły swoje buty, cały arsenał z biurka i boso pobiegły za Shainee.

– Zostaw naszego porsche!

Shainee stała na zewnątrz z kamieniem w ręku.

– Wiecie... Widziałam na takim filmie, że trzeba rzucić w drzwi więzienia, żeby już tu nie wrócić.

– Zostaw! Zostaw, błagam. Rozwalisz szybę i zapuszczają nas znowu!

Shainee jednak precyzyjnie trafiła w drzwi. Nożownik cholerny! Toy widziała już w walcu Moonsunga, jak ta niepozorna dziewczyna rzuca swoimi nożami na sporą odległość.

– Spadajmy zanim nas zdrutują! – krzyknęła w panice Tally-Ho.

Toy zajęła miejsce za kierownicą. Uruchomiła wyjący benzynowy silnik, zapięła pasy, sprawdziła wyzwalacze katapult, uruchomiła oba radary, światła, skontrolowała eksplozory poduszek, napinacze pasów, GPS, komputer... Ja cię pieprzę! I za to, że wszystko trzeba robić ręcznie, płaci się tyle forsy?! Europa powinna pozostać jednak w średniowieczu. To był ich najlepszy okres.

Wrzuciła bieg i ruszyła, spod kół prysnęła fontanna żwiru. No... Europa miała jednak coś do powiedzenia. Przynajmniej jeśli chodzi o szybkość oddalania się od komisariatu. Siedemsetkonny silnik znowu chciał wyskoczyć spod maski.

„Valkiria. Masz dostęp do jakichś satelitów?”

„Mam”.

„Komercyjne?”

„Mogę cię połączyć z obiektami Caltronu”.

„OK. Zrób zbliżenie i sprawdź, gdzie są policyjne radary”.

„OK”.

Toy wcisnęła gaz. Nie, nie... Z tym średniowieczem dla Europy to tylko żart. Pancerne monstrum waliło do przodu jak czołgi Guderiana.

– Yeeaaa!!!

Tally-Ho włączyła radio. Przeładowała mannlichera i najwyraźniej zamierzała walić do płotów wokół. Toy palnęła ją w głowę.

– Uspokój się, idiotko!

– Pan Higgins najwyraźniej chce nas widzieć całe i zdrowe.

– A ty zaraz zobaczysz policyjne helikoptery.

Tally-Ho wyjęła spod siedzenia butelkę tequili.

– Patrz, nie zabrali jej. – Pociągnęła łyk. – Wyrzucić?

– Daj. Shainee, ty karmisz, to nie pijesz, prawda?

– Faszystowskie świnię!

Tally-Ho odwróciła się na fotelu.

– Ty... skąd znasz to określenie?

– Odwal się! Oglądam filmy, to znam!

Tally-Ho zerknęła na Toy.

– Widziałaś? Anglo-Saxon, który wie, co to faszyci.

– No! Jeszcze moment, a się dowie, że jedzie faszystowskim samochodem – zakpiła.

– Toy, szlag! Ty też wiesz, co to faszyci?

– No, kurde, wiem.

– Uniwersytet powinniśmy założyć. A tobie dać *honoris causa*.

– Odwal się, Żydówko jedna!

– Co? Torquemada się w tobie odezwał?

– Skąd wiesz, kto to Torquemada?!

– A wiem! – Tally-Ho rozparła się dumnie w fotelu. – Ty głupia Europejko!

– Kurde, Tally-Ho, lubię cię, małpo!

Dziewczyna posłała jej pocałunek w powietrze.

– A ja lubię was obydwie – odezwała się Shainee z tyłu. – Choć jesteście strasznie głupie.

– Ty! Słuchaj! – Tally-Ho podniosła mannlichera i usiłowała się odwrócić do tyłu.

– Ma rację – zgasiła ją Toy. – Jesteśmy głupie cipy... Całą forszę przepuściliśmy na ciuchy i auto... I teraz jedziemy ryzykować tyłkiem dla reszty szmalu.

– No, może Shainee ma rację – zgodziła się Tally-Ho po chwili namysłu. – Ale chętnie strzeliłabym jej w czubek głowy.

– Ty co? Mosad cię zatrudnił nagle?

– No dobra, Shainee. – Tally-Ho wzruszyła ramionami. – Daj dzieciaka i prześpij się wreszcie spokojnie.

– Ale on może być zaraz głodny.

– Nie mam mleka, to go nie nakarmię. Ale dam mu cycka, żeby się chociaż zatkał w razie czego. Dawaj i prześpij się trochę.

– Dzięki, Tally-Ho. – Shainee podała jej chłopczyka. Odpięła pasy i skuliła się na tylnej

kanapie. – Toy, nie przyładuj w drzewo, dobrze?

– Odwal się!

Toy zagryzła wargi. Też by chciała trochę pobawić się z małym. Pieprzone hormony! Musiała prowadzić to cholerne auto.

„Valkiria. Uspokój mnie trochę”.

„OK”.

* * *

Portier nie chciał ich wpuścić. Połączył się z sekretarką Higginsa, która potwierdziła, że jej szef czeka na trzy panie o takich nazwiskach jakie podały, ale na widok owych pań zwątpiła. Niby czego pan wiceprezes mógł chcieć od trzech punków? Rozłączyła się w celu konsultacji.

Toy podeszła do panoramicznej szyby. Cholerne Sheridan. Miasteczko o liczbie ludności nie przekraczającej miliona. Same uczelnie, instytuty badawcze, troszeczkę „czystego” przemysłu. Pieprzona dziura, tonąca w zieleni, poprzerrywana licznymi nitkami sztucznych kanałów, wielkimi parkami. Wyglądały tu w swoich strojach jak istoty z innego świata. Wokół same garnitury, białe kołnierzyki, eleganckie spódniczki... Chyba żadna baba nie nosiła tu rajstop. Toy dałaby sobie uciąć rękę, że wszystkie miały pończochy i staromodne pasy. Jakaś dziwna enklawa zapomnianego wieku dwudziestego w wersji eksportowej i luksusowej. Obozów śmierci i strategicznych bombowców, miała nadzieję, wokół nie było.

Rozległ się drażniący dźwięk. Drzwi windy przepuściły sekretarkę.

– To jednak one – powiedziała kobieta z co najmniej dwoma doktoratami na koncie. – Panie pozwolą tędy.

Tally-Ho przesunęła dłonią po swoim „irokezie”.

– Chciałabym wziąć prysznic.

– Może później, jeśli nie sprawi to pani różnicy.

– Sprawi... Niech cię szlag, chyba śmierdzą!

– Z całą pewnością nie. – Sekretarka wprowadziła je do windy. – Pan prezes czeka.

Była wkurzająca z tą swoją poprawnością. W końcu nie co dzień w tym budynku wieziono windą trzech punków.

„Valkiria. Możesz ją zidentyfikować?”

„Mogę”.

„Jakich perfum używa?”

„Bieriezovskoy schick. Podróża z Czech”.

„Wow... Dzięki, Valkiria”.

– Chryste! – powiedziała głośno. – Co tu tak śmierdzi? – zaczęła wąchać wokół. – Jakby tania podróbka

„Bierezovskoy”. Co za syf!

Sekretarka drgnęła zaniepokojona. Odruchowo dotknęła swojej szyi. Przełknęła ślinę.

„Valkiria. Możesz wywąchać, co jadła na śniadanie?”

„Mogę. Szpinak, pory, grzankę”.

– No kurde, czy wy tu nie używacie odświeżaczy powietrza? Wyraźnie czuję smród szpinaku i porów... Przechowujecie w windzie zgniłe warzywa?

Sekretarka poczerwieniała na twarzy. Usiłowała patrzeć na kontrolne przyciski. Tally-Ho i Shainee szturchały się za jej plecami.

„Valkiria. Kiedy ona miała okres ostatnio?”

„Wciągnij powietrze nosem.”

Toy wykonała głęboki wdech.

„Analiza... moment. Dwanaście, czternaście dni temu”.

„Szlag. Co to za szminka?”

„Zrób jeszcze jeden wdech”.

„Czujesz?”

„Czuję. La Perouse. Oryginalna”.

– Tally-Ho, czy ty ostatnio malowałaś się La Perouse? – zapytała głośno. – Weź przestań używać tego badziewia, bo ci parchy wyskoczą... Jakimś łojem tu zalatuje.

Sekretarka zeszywniała. Usiłowała nawet nie zerknąć w lustro. Na szczęście drzwi otworzyły się bezszelestnie i mogła wysiąść. Poprowadziła dziewczyny przez szeroki hol do drzwi gabinetu wiceprezesa.

– Proszę. – Nieznacznie zasłaniając usta jedną ręką, wskazała im drogę.

Zadowolone jak zaraza weszły do przestronnego pomieszczenia. Higgins, jak zwykle nieskazitelny niczym plastikowy model człowieka, stał pod oknem.

– Włóż to! – Wskazał elastyczną, z pozoru zupełnie zwykłą opaskę leżącą na biurku.

Toy wiedziała, że o nią chodzi. Przygryzła wargi i założyła opaskę na głowę. Taka jak do joggingu, tyle że bez firmowych napisów.

– Po co?

– To zdezaktywuje twoją koleżankę – mruknął. – Chcę porozmawiać z tobą, a nie z nią. I nie mam najmniejszej ochoty na to, żebyś wywąchiwała, co jadłem na śniadanie, ani kiedy miałem ostatni stosunek.

– Macie podgląd w windzie?

– Mamy podgląd tam, gdzie chcemy go mieć. – Odwrócił się od okna. – Proszę. – Wskazał im fotele. – Zechcą panie spocząć.

Usiadły. On zajął miejsce w swoim fotelu naprzeciw.

– Wodę, kawę, herbatę?

– Wino, wódkę, piwo i papierosa.

Nawet się nie uśmiechnął.

– Nie mam alkoholu, a tu nie wolno palić. – Nachylił się nad biurkiem. – Włożyliśmy w projekt VR dziewięćset milionów dolarów. A później jeszcze parę w twoją głowę! – powiedział cicho. – Proszę, żadnych więcej zajść z policją!

– Dzięki za prawo jazdy. – Uśmiechnęła się Toy. – Mogę je zatrzymać?

– Możesz. Z Valkirią w mózgu nie spowodujesz wypadku drogowego.

– Ja... ja przepraszam – przerwała im Shainee. – Synek się budzi. Mogę go tu nakarmić, czy... to będzie bardzo źle?

Higgins zerknął na nią.

– Chcesz mamkę, mleko, syntetyki?

– Nie... Poradzę sobie. Odejdę pod ścianę, dobrze?

– Siedz. Nie krępuj się. – Dowiódł, że potrafi być pragmatyczny. – Słuchaj, Toy. Widzę, że jednak przeżyłaś z implantem w rdzeniu.

Przytaknęła.

– Dzięki, że mnie pan nie ostrzegł o wszystkich konsekwencjach. Bobym się mogła zsikać ze strachu, gdybym wiedziała...

Uśmiechnął się lekko.

– Żyjesz – powtórzył. – Jesteś normalna... Valkiria bardzo ci pomoże w dalszej karierze zawodowej. Myślę, że nasz kontrakt... Trzydzieści tysięcy plus Valkiria jest uczciwy.

– Skoro już udało mi się przeżyć, to tak.

Spojrzał na nią poważnie.

– Jesteś pierwszą osobą, która przetrzymała wszczepienie tego implantu. Tak z prywatnej ciekawości... Jak go oceniasz?

Toy wzruszyła ramionami.

– To tak, jakby się pan urodził bez rąk i nagle po latach one wyrosły. Albo jakby nagle dostał pan skrzydła. Ale... Valkiria to straszna małpa. Trzeba cały czas uważać.

– Na co?

Znowu wzruszyła ramionami. Przygryzła wargi.

– Gdybym tak na przykład miała ochotę zajrzeć do pańskiej głowy, żeby, powiedzmy, zobaczyć, jak wygląda pański mózg, to z niekontrolowaną Valkirią tutaj – klepnęła się w potylicę – rozłupałabym panu czaszkę i zajrzała. Ona nie zna żadnych ograniczeń.

Przytaknął.

– Szkoda, że nie możemy tego szerzej zastosować. – Teatralnie załamał rękę. – Co za technologia poszła na śmietnik z powodu głupoty senatu! Takie wszczepy mogłyby być naszą przyszłością...

Nawet bez aktywnej Valkirii wiedziała, że kłamał. Tally-Ho poruszyła się nieznacznie. Też wyczuła. O co tu biega? Spalony przez kokainę mózg Toy działał bardzo powoli. Powoli, ale... to nie znaczy, że źle. Nie. Nie domyśliła się. Ale poczuła coś na kształt zrozumienia. Wynotowała sobie w myślach listę spraw, które powinna zbadać Tally-Ho w najbliższej

przyszłości.

– Dobrze. Czy moglibyśmy przejść do meritum? – Higgins nachylił się znowu nad biurkiem.

– Kiedy mam zacząć?

– Jak najszybciej. Umoczyliśmy w projekcie dziewięćset milionów – powtórzył. – Dziewięćset milionów, które nie zarabia na sobie. Wydane i już. Chcę mieć te pieniądze z powrotem. I w dodatku z zyskiem.

– Możemy się chociaż umyć?

– Jasne. – Rzucił na blat kartę z chipem. – Tym zapłacicie w motelu. Tu niedaleko.

Tally-Ho podniosła plastikowy prostokąt. Shainee syknęła cicho.

– Niech ona nie zarządza naszą forszą! Tylko nie ona!

Higgins uśmiechnął się szeroko.

– Możecie robić zakupy w sklepie w motelu. Bez limitu wydatków. – Mrugnął do Tally-Ho, która wciąż wyraźnie mu się podobała. – Karta nie akceptuje jedynie wydatków na alkohol. – Uśmiechnął się jeszcze szerzej. – Postarajcie się ubrać w coś bardziej... mmm... normalnego.

– Dzięki.

– Chcę cię zobaczyć, Toy, powiedzmy, za trzy godziny u nas na dole.

* * *

Motel okazał się ekstra. Dyskretny luksus, ogromne atrium tonące w zieleni, ze strumyczkiem pośrodku. Dostały kilkupokojowy apartament z widokiem na zalesione urwisko z rzeką poniżej, pewnie sztuczną. Ale odlot. Wpadły, wszystkie trzy naraz, pod prysznic. Myły się nawzajem, byle szybciej, wysuszyły, ubrały i popędziły do sklepu na dole.

– Proszę pani. – Toy podeszła do sprzedawczyni. – Proszę nas przebrać za stateczne urzędniczki. – Podała jej kartę z chipem.

– Eeeee... Tę panią z wygoloną głową też?

– Tak jest!

Sprzedawczyni nie robiła trudności. Porsche zaparkowany na podjeździe i karta kredytowa Caltronu zrobiły odpowiednie wrażenie.

Toy czuła, że znalazła się w innej epoce. Włożyła w kabinie prawdziwy pas do pończoch, same pończochy też okazały się niezłe, trzeba było długo głaskać skórę na nodze, żeby stwierdzić, że coś na niej jednak jest. Króciutka halka, pierwszy raz w życiu widziała coś takiego, i równie krótka marynarka, sięgająca raptem do bioder. Pod spodem spódniczka do połowy kolana. Toy założyła jeszcze eleganckie pantofle na obcasie i wyszła z przebieralni. Zerknęła do lustra. Wyglądała świetnie. Cholernie sexy.

Tally-Ho objęła ją ramieniem.

– Zamknij oczy i nie patrz na mnie – rozkazała.

– Co?

– Nie mogę wyglądać jak facet!

– Wcale nie wyglądasz.

– Więc jednak patrzysz? Ty mała cholero!

Tally-Ho miała na sobie garnitur, tak jednak uszyty, żeby podkreślić wszystkie jej wdzięki. Piersi sterczały pod cieniutkim materiałem jedwabnej koszuli niczym dwa wulkany. Przygryzła wargi i rozchyliła poły marynarki. Toy rozdziawiła usta.

– Ja cię... To jest przyklejone?

– Tak, pod biustem. Ale dzięki temu wszystko sterczy i trzęsie się przy każdym kroku.

– Nie martw się. Każdy facet twój.

– Zawsze tak było, bez względu na strój. A teraz przy każdym kroku piersi mi podskakują.

– Może to taka moda?

Jedynie Shainee wyszła z kabiny zadowolona. Zawsze miała słabość do starych filmów w telewizji. Teraz ubrała się w czarny lśniący płaszcz, na nos założyła ciemne okulary. Do tego przylizowała sobie włosy. Nareszcie strój odpowiedni dla zakonnicy. Niestety, wyglądała w tym strasznie groźnie. Swoje noże trzymała w kieszeni, a kuszę przywiązaną do uda. Toy tylko kręciła głową.

– Dobra, słuchajcie. Muszę iść do Higginsa.

– Odprowadzimy cię.

* * *

Podjechały pod główny budynek Caltronu w różnych nastrojach. Toy przestraszona, chyba tak naprawdę po raz pierwszy, Shainee przerażona do granic możliwości, Tally-Ho w bojowym nastroju – nuciła pod nosem jakąś cyberpunkową piosenkę.

Zakonnica wysiadła pierwsza. Podbiegła do portiera i krzyknęła:

– Jeśli zrobicie jej coś złego – brodą kiwnęła w stronę koleżanki – to ja tu wrócę!

Stanowczo oglądała za dużo starych filmów na bezpłatnym kanale telewizji. No, trudno. Nie potrafiła czytać, żeby móc zająć się choćby lekturą gazet. Siedziała zafascynowana przed telewizorem całymi dniami.

Ruszyły nieprawdopodobnie długim korytarzem, drogą wskazaną przez portiera. Shainee dygotała z napięcia. Przypomniła sobie cytaty z Biblii, które słyszała w programie dla przedszkolaków. Lubiła je cytować, choć często twórczo modyfikowała. Zaczęła deklamować drżącym głosem:

– „A choćbym kroczył cienistą doliną, nie ulęknę się. Albowiem Pan jest ze mną!”

– A jak ktoś niewierzący, to co ma zrobić? – spytała trzeźwo Vixen.

Toy roześmiała się i zaczęła śpiewać w rytmie jakiegoś starego przeboju:

– „Nie boję się, gdy ciemno jest... bo mam latarkę i GPS!”

Tally-Ho parsknęła śmiechem. Wymiękła jednak, kiedy zobaczyła czekającego przy drzwiach Higginsa. Był sam. Boże, wiceprezes Caltronu czekający przy drzwiach? To jakby sam papież chciał im otworzyć furtkę. Tyle że Higgins miał nieco więcej pieniędzy niż papież. I nieco większe wpływy. No dobrze – trochę więcej niż nieco.

– Niestety, dwie pozostałe panie muszą tu zostać – oznajmił beznamiętnie. Otworzył drzwi i przepuścił Toy przodem. Starannie sprawdził czytnikiem, czy elektroniczny zamek zablokował się we wszystkich szesnastu punktach.

Hala swoją wielkością przypominała hangar dla sporych samolotów. Wszystkie stanowiska pracy, setki małych boksów, były jednak opuszczone. Sami w wielkiej, przytłaczającej ogromem hali. No, może nie do końca sami. Pośrodku, przy olbrzymim fotelu czekał na nich jakiś facet.

– Ograniczyliśmy personel do jednej osoby – odezwał się Higgins, schodząc z metalowej galeryjki. – Za posiadanie Valkirii w głowie grozi śmierć. Im mniej ludzi będzie wiedzieć, tym lepiej. – Zerknął na Toy. – Nie powiedziałaś o tym koleżankom, prawda?

– Nie – skłamała odruchowo.

– Powiedziałaś. Mam jednak nadzieję, że one są z tobą blisko związane.

– Nie puszczą pary z gęby!

Uśmiechnął się.

– Powiedziałaś – powtórzył. – Teraz módl się, żeby przedłożyły przyjaźń do ciebie nad milion dolarów nagrody za wskazanie nosiciela Valkirii. Na twoim miejscu naprawdę zacząłbym się modlić.

Spojrzała mu prosto w oczy.

– A co myślisz? – odpowiedział na niezadane pytanie. – Milion dolarów. Duża pokusa. A ty jesteś głupia.

– Nie mogłeś mi wcześniej powiedzieć?

Zignorował ją. Valkiria warknęła w jej głowie. Toy zobaczyła kły i pazury pod powiekami. Potem jednak zobaczyła coś jeszcze. Ujrzała Higginsa na golasa w łóżku i siebie, jak go ujeżdża. Natychmiast była mokra i gotowa. Usiłowała nie dać po sobie poznać, że się podnieciła. Sterczały jej sutki. Zasłoniła się rękoma, niby to przyjmując intelektualną pozycję, podpierając brodę na palcach.

– Państwo pozwolą, że ich przedstawię. – Higgins wykonał prawie pałacowy ukłon. – Panna Toy Iceberg. Pan inżynier Turner. Od kiedy doktor Plummers zapadł w śpiączkę, jedyny człowiek, który przynajmniej mniej więcej orientuje się w projekcie VR.

Turner uśmiechnął się. Miał jakieś czterdzieści pięć, pięćdziesiąt lat. Lekki letni garnitur, trochę rozchełstany, identyfikator przypięty do klapy. Sprawiał sympatyczne wrażenie. Taki miękki miś, fajny, ciepły, gotowy do schrupania. Ukłonił się równie dworsko.

– Miło mi panią poznać.

Skinęła głową.

– Jak się okazuje – kontynuował – jestem jedyną osobą godną zaufania w tej firmie. No i... jedyną, której pani może powierzyć życie.

Dotknęła jego ramienia. To był taki babski sposób próby nawiązania porozumienia czy okazania sympatii. Usiłowała wziąć się w garść. Nie szło jej za dobrze.

– To pan zaprojektował to urządzenie?

– Nie. Doktor Plummers. Podobno jest w śpiączce, ale dokładnie nie wiemy, ponieważ wzięli go do strzeżonego szpitala.

– Dlaczego?

Wtrącił się Higgins:

– Aresztował go Urząd Kontroli Nielegalnych Implantów.

– I nawet wy nie macie do niego dostępu?

– Podejrzewają, że ma wszczepioną Valkirię.

– A ma?

Obaj, i Turner, i Higgins zaprzeczyli gwałtownie.

– Nie ma.

– Nie trwałby w śpiączce, gdyby miał – dodał Turner.

– A jaka jest szansa, że ja przeżyję ten eksperyment?

Inżynier uśmiechnął się smutno.

– Mógłbym godzinami przedstawiać argumenty, używając słów, z których ani jednego pani nie zrozumie. Powiem więc prosto. – Otarł czoło spotniałe mimo doskonałej klimatyzacji. – Caltron nie zainwestowałby w panią paru milionów, gdyby miało się to nie udać.

– Ale zainwestował setki milionów w projekt, dzięki któremu ludzie zapadają w śpiączkę!

– To był błąd, który pani ma naprawić.

– A jeśli ja też jestem błędem? Kolejnym? Zastanowił się, bo nie wiedział, co powiedzieć.

Pocierał palcami brodę.

– Valkiria powinna panią ochronić.

– Tylko powinna? Tylko powinna?! – wrzasnęła. – Nie wiecie?!

Postanowił być szczery.

– Proszę pani, istnieją cztery egzemplarze na świecie. Nie mamy zielonego pojęcia, jak to będzie działać. Ale jest szansa...

– Panie kolego – przerwał mu Higgins – może nie stresujmy już obiektu eksperymentu?

– Jasne. – Turner znowu otarł czoło, na którym nie było ani kropelki potu. – Sprawa wygląda mniej więcej tak: wprowadzimy panią do snu. Tego, którzy sniają wszyscy naraz.

– Do tego, od którego wszyscy zapadają w komę?

Zmieszał się.

– Nie od razu – odparł po chwili. – Jest kilka snów i nie wiemy, który jest tym nadrzędnym.

– W sensie?

– W takim sensie, że tylko w jednym pojawia się Mistrz Snu, który kontroluje całą akcję. Zdominował całą resztę. To jest jakby magiczny świat, którego nie jesteśmy w stanie kontrolować z poziomu hardware'u. Musimy po prostu wiedzieć, kto to jest. I dotrzeć do niego w realnym świecie.

– Może prościej, kolego? – wtrącił Higgins.

– Oczywiście. Ktoś rządzi naszymi snami. Ludzie zapadają w śpiączkę. Niedługo nie będą żyli. Chcemy wiedzieć, kto i w jaki sposób.

Toy ledwie mogła odpowiedzieć z powodu zaciśniętych ze strachu zębów.

– I ja mam się dowiedzieć, kto to jest?

– Tak. Pani jedna, dzięki Valkirii powinna przeżyć ten eksperyment i pozostać zdrowa.

– Tylko powinnam? Powiedział pan „tylko powinnam”?

Sytuacja jakby się powtarzała. Zadawała znowu te same pytania. Ale oni stali niewzruszeni.

– Nie użyłem słowa „tylko”.

Gdyby miała choć trochę śliny w ustach, toby na niego napluła.

– Chce pan powiedzieć – trzęsły jej się ręce – że za chwilę się dowiem, czy będę żyła, czy nie? Gdy siądę na tym krześle elektrycznym?

– Elektronicznym. – Usiłował zażartować.

Valkiria wyszczerzyła kły pod powiekami.

Toy chciała uderzyć Turnera w twarz, lecz Higgins wykazał się nieprawdopodobnym refleksem i chwycił ją za rękę.

Dyszała ciężko.

– Naprawdę nie wiecie, jak mój implant zadziała?

Obaj usiłowali patrzeć gdzie indziej.

Zignorowała ich. Usiadła na fotelu. Uprząż była idealnie przystosowana do jej kształtu. Przyciągnęła przyłbicę hełmu do twarzy.

– OK. No to zabijajcie. Ale skazańcowi przed śmiercią należy się ostatnie życzenie.

– Papierosa? – Pierwszy zaskoczył Turner. – Ale tu nie wolno palić.

– No to, kurwa, idę sobie stąd w pizdu! – wrzasnęła.

– Nie mamy papierosów – wyjaśnił Higgins.

Wyjęła z kieszeni własną paczkę i zapalniczkę. Po chwili dmuchnęła im dymem w twarz. Najpierw jednemu, potem drugiemu.

– Konkretnie. Co mam zrobić?

– Dowiedzieć się, kto jest Mistrzem Snu. On tam musi być. Tyle tylko, że może nam się nie udać od razu posłać pani do właściwego snu. Tam są odpryski...

– Na litość boską! – przerwał mu Higgins. – Wyłącz czujniki przeciwpożarowe. – Wskazał dym z papierosa. – I to zanim zagadasz ją na śmierć.

Toy wściekła zakiepowwała na poręczy fotela, robiąc ogromną dziurę, a potem wyrzuciła niedopałek za plecy.

– Zaczynajcie – warknęła. Valkiria w jej umyśle zaczęła wyc i skomleć jednocześnie. Też się bała, suka. Były razem. Połączone. Jeśli jedna z nich przestanie żyć, druga też umrze. Zwierzę w jej ciele, konkretnie pasożyt, nie chciało zakończyć życia w tej chwili. I po raz pierwszy Toy zyskała coś na kształt nadziei. Valkiria nie zamierzała przestać żyć i Toy nareszcie zrozumiała, że tamta zrobi wszystko, żeby im się udało.

Zamknęła oczy i naciągnęła przyłbicę na twarz. Inżynier włączył prąd.

* * *

Toy przedzierała się przez chaszczę nad brzegiem rzeki. W bezksiężycową noc miała choćby i nikłą, ale szansę. Tu na rzece była granica. Ze swoim wychowaniem w sierocińcu w wielkim mieście nadawała się na rangersa w tym samym stopniu, co przedszkolak na kosmonautę. Co gorsze nie umiała pływać. Jedyłą jej nadzieją był stary płaszcz, w który zawinęła kilkadziesiąt gałęzi. Miała nadzieję, że pomoże jej to utrzymać się na wodzie. Miała nadzieję, że nurt nie będzie zbyt wartki, ani rzeka za szeroka. Miała nadzieję, że zdarzy się cud i zdoła ująć z życiem.

Wpełzła do wody, oburącz trzymając płaszcz z gałęziami. Mam szansę, mam szansę, mam szansę – powtarzała sobie po cichu. Nurt nie okazał się zbyt porywisty. Rzeka była co prawda szeroka, lecz Toy wybrała miejsce, w którym oba brzegi porastały gęste krzaki. Płynęła szybko, utrzymując się na wypchanym gałęziami wojskowym płaszczu. Złapią mnie, złapią mnie... I zaraz sobie zaprzeczała: nie złapią mnie. Nie złapią! Przekonywała się, powtarzając te słowa jak mantrę, zanim nie dopłynęła do przeciwległego brzegu. Ile jeszcze jest rzek na granicy? Nie miała pojęcia. Zaczęła przedzierać się przez gęste zarośla. Żeby chociaż mieć kompas, czy cokolwiek. Jakąś broń... Nie miała niczego poza ubraniem. I tym cholernym płaszczem, który teraz przeszkadzał jej brnąć przez gęste krzaki. Nie wiedziała, czy nie zgubiła kierunku. Na gwiazdach się nie znała. Czytała w jakiejś gazecie, że mech porasta drzewa od północy, ale nie miała latarki, ani nawet zapalniczki, żeby to sprawdzić.

Dotarła do drugiej rzeki. Ostrożnie wypłynęła na brzeg i, usiłując nie hałasować, zanurzyła się w chłodnym nurcie. Miała szansę. Miała szansę... Przecież Białorusini nie mogli rozstawić gęstej sieci posterunków na całej długości granicy. A automatyczne szperacze? Ile postawili ich w tej strefie? Cholera, nie wiadomo. Jeśli już, to druga strona... Ale może nie? Może jej nie złapią?

Dotarła do brzegu zmarznięta i wykończona. Dalej jednak nie porzucała płaszcza z gałęziami. Brnęła przez blocko, zastanawiając się, jaką granicę właśnie przekracza. Nie znała

białoruskiego (kurwa, rosyjskiego? – nie miała pojęcia, jakiego języka tu używali). Te kilka słów, których się nauczyła, wystarczyło jedynie na wypytanie chłopca, który jechał na rowerze.

– *Granica? Granica?* – krzyczała, grożąc mu nożem.

– *Granica tuda.* – Wskazał palcem kierunek.

– Dużo posterunków? – To już powiedziała po angielsku.

Nie zrozumiał.

– *Zasieki?* – Też po angielsku, więc znowu nie zrozumiał. – Kurwa, trudno przejść?!

Chyba się domyślił.

– *Rieka. Rieka. Rieka...* – tłumaczył powoli.

Jakoś zrozumiała jego gesty. Jezu, ile było tych rzek? Z czym graniczy Białoruś? Nie wiedziała. Z Rosją pewnie. No, ale chyba z czymś jeszcze. Nie wiedziała po prostu.

Nagle zapadła się w błocku po uda. Z trudem, kurczowo trzymając się owiniętych w płaszcz gałęzi, wydobyła się z bagna i skręciła pod ostrym kątem. Znowu zrobiło się grząsko. Skręciła jeszcze raz i wyszła na brzeg kolejnej rzeki. Dygotała z zimna, wpełzając do wody. Miała nadzieję, że płaszcz z gałęziami wytrzyma kolejną próbę.

Ile rzek już przepłynęła? Straciła rachubę. Trzy? To ta będzie czwarta. Chryste...

Oświecił ją mocny reflektor. Targnęła się odruchowo. Dalsza ucieczka nie miała już sensu. Zrezygnowana, czując łzy pod powiekami, podniosła ręce do góry. Usłyszała kilka słów przez megafon. Drgnęła zaskoczona. To nie był białoruski – śpiewny, miękki język poetów i pieśniarzy. Słowa brzmiały twardo, szeleszcząco, ostro. Język wojowników. Mowa urodzonych żołnierzy. Instynktownie czuła, że kiepsko się pisało poezje w tym języku. Za to łatwo wydawało rozkazy do ataku.

Facet przy megafonie przeszedł na poprawny, choć szkolny angielski.

– Czy jest pani zupełnie pewna, że chce uciec z Polski na Białoruś?

Towarzyszyły temu ryki śmiechu dochodzące z jakiegoś wnętrza. Pewnie z transportera opancerzonego stojącego gdzieś obok. Toy poczuła dreszcze emocji.

– Jestem... – Odkasznęła. – Jestem w Polsce?

– Na razie tak. Ale jeśli pani przepłynie jeszcze dwadzieścia metrów, będzie pani z powrotem na Białorusi.

Toy odrzuciła płaszcz i z rękami do góry ruszyła w kierunku światła reflektora.

– Jestem Amerykanką! Proszę o azyl polityczny! – krzyknęła.

W odpowiedzi usłyszała nowy ryk śmiechu stłumiony pancernymi ścianami pojazdu.

– To jest naprawdę Polska? – powiedziała, czując, że z nerwów drżą jej uniesione do góry ręce. – Jestem w Europie?

Znowu śmiechy.

– Tak mówią – odparł facet przy megafonie. – Ale lepiej nie wierzyć we wszystkie plotki.

– Poddaję się! Proszę o azyl polityczny!

Lepszego ubawu nie mogła im dostarczyć. Czterej faceci, którzy ją otoczyli, długo nie mogli się zabrać do rewizji, bo ciągle rechotali. W końcu, po poddaniu się pobieżnemu oklepaniu, zobaczyła oficera. Tego, który przedtem tkwił przy megafonie. Też nie potrafił utrzymać właściwej dla swej rangi powagi.

– Bo wie pani – tłumaczył – żeby przekroczyć granicę, wybrała pani najbardziej zarośnięty krzewami odcinek. Czyli miejsce, gdzie jest najwięcej czujników. Od razu namierzaliśmy. I... – Nie opanował znowu chichotu. – Myślimy sobie: wyjątkowo głupi przemytnik. Potem pani przepłynęła rzekę w drugą stronę. Pomyśleliśmy, że samobójca, który w tak wyrafinowany sposób chce stracić życie. Namierzaliśmy panią i my, i oni. – Wskazał na drugi brzeg. – Tylko oni mają problemy transportowe, więc jeszcze nie rozstawili cekaemów. A pani płynie trzeci raz, znowu w naszą stronę. Myślimy: jakiś schizofrenik, proszę wybaczyć, szczególnie słabujący na umyśle...

Tłumaczeniu towarzyszyły wybuchy śmiechu wśród żołnierzy.

– A potem pani weszła do tej samej rzeki po raz czwarty – kontynuował oficer. – No to już nie wytrzymałem i spytałem, czy naprawdę chce pani uciec z Polski na Białoruś. Bo stało się jasne, że nie jest pani ani głupim przemytnikiem, ani schizofrenikiem, a jedynie oficerem amerykańskiego wywiadu.

Zagryzła wargi i podała mu rękę, żeby ją skuli. Facet wybałuszył oczy.

– Co? – Nie zrozumiał gestu.

– Możecie mi założyć kajdanki – powiedziała.

Nie mogła sprawić żołnierzom większej radości. Szturchali się wzajemnie i śmiali tak, że w ich oczach widziała już łzy.

– Sądzi pani, że sześciu mężczyzn nie poradzi sobie z jedną kobietą? – spytał oficer. – Zamiast kajdanek sugerowałbym raczej pas cnoty. Ale, niestety, nie mamy na wyposażeniu.

Poczęstował Toy papierosem, który skwapliwie przyjęła. Zaciągnęła się głęboko. Zrozumiała, dlaczego mówił o pasie cnoty. W swoim cieniutkim, przemoczonym teraz ubranku musiała wyglądać dość pociągająco. Wszystkie szczegóły na widoku. Łącznie ze sterczącymi z zimna sutkami. Wprowadzili ją do wnętrza transportera. Dali koc i kubek gorącej herbaty z termosu. Faceci na metalowych krzeselkach w środku chichotali bez przerwy, przerzucając się uwagami w tym ich okropnie twardym, szeleszczącym języku. Przynajmniej miała pewność, że naprawdę nie jest już na Białorusi. To nie była śpiewna mowa poetów. Tak brzmiał język wojowników. Żołnierzy, facetów wychowywanych od dziecka do zabijania. Trenowanych do walki. Zupełnie inny. Transporter ruszył ostro. Światło wewnątrz przysjało tak, żeby można było śledzić fosforyzujące ekrany.

– Wie pani... – Dowódca przysiadł tuż obok Toy. Nawet jego angielszczyzna brzmiała cholernie twardo. Ledwie go rozumiała. – Żaden przemytnik nie robiłby tak głupio jak pani. Oni przechodzą legalnie przez granicę.

– Naprawdę brał mnie pan za agenta wywiadu?

– Jasne. – Skinął głową. – Przecież ci, co przemycają nielegalnych imigrantów przez granicę, nie dają się złapać. A Amerykanów złapaliśmy już trzech w ostatnim miesiącu.

Zakłęła w myślach. Hot Dog, Yellow i ktoś jeszcze. Kto? Nie domyślała się nawet.

– Dlaczego?

– Wie pani... Przemycnicy co prawda przewożą ludzi przez granicę, ale zaraz potem dzwonią do nas, informując, jak ich złapać. To znaczy nielegalnych imigrantów. Normalny układ: oni zdradzają nam ich miejsce pobytu, czyli melinę, i zachowują kasę za przemyt, a my mamy wyniki i premie. Tak się dogadaliśmy normalnie.

– Zaraz. Przecież to nie może mieć miejsca w rzeczywistości – powiedziała. – To sen!

– Słucham?

– To sen – odparła spokojnie. – To tylko sen.

– Słucham?

– Jaki wyrok mi grozi?

– Jaki wyrok? Pani oszalała? Jest pani Amerykanką, naszym sojusznikiem. Przesiedzi pani czterdzieści osiem godzin i panią wypuszczą. Chyba że prokuratura znajdzie jakieś przestępstwo. – Obruszył się. – Zabiła pani kogoś?

– Nie.

– No to za dwa dni wyjdzie pani na wolność. To jest wolny kraj, a nie Białoruś! Chyba że coś z pani paszportem jest nie tak. Wtedy deportujemy.

– Wiem, że to jest tylko sen. – Valkiria wreszcie obudziła się w głowie Toy. Pokazała pod powiekami oficera ujeżdżanego w rytm melodii „Wio, koniku...”. Toy znowu zakryła sutki i zacisnęła nogi. Widok był bardzo fajny. I cholernie podniecający.

„Valkiria! Mordę w kubel!”

„Nic nie mówię, ja ci tylko pokazuję wyobrażenia”.

„To przestań pokazywać! Bo mi wszystko sterczy!”

„Ale fajny oficerek. Przelecimy go?”

„My? My?!”

„No przecież jestem częścią twojego ciała. Ja bym go przerznęła. Na jeźdźca albo kazać mu od tyłu... Wtedy jest fajnie, bo się nie męczysz”.

„Skąd ty to wiesz?”

„Przecież czuję, jestem częścią twojego ciała”.

„I czujesz mój orgazm?”

„No pewnie, mogę go nawet sama wywołać”.

„Nie!”

– Czy pani z kimś rozmawia? – zapytał oficer.

– Absolutnie – zaprzeczyła szybko. – Och! Och! Ach...! Mamusiu! Och! Mamo!

„Valkiria! Przestań!”

– Jakoś tak dziwnie się pani zachowuje.

– Nie, nie. To taki szok po... mamó! Och! Po...

„Valkiria! Przestań!”

– Po przepłynięciu rzeki parę razy. – Toy udało się wreszcie zapanować nad własnym ciałem. A przynajmniej tak jej się wydawało. Oddychała głęboko. Zakrywała rękoma już i sutki, i własne spodnie.

– Dobrze się pani czuje? Może kawy z termosu?

– Och! Och! Ooooh!

„Valkiria! Przestań natychmiast!!!”

„To co? Poderwiemy oficerka?”

„To przecież tylko sen!”

„No to co? Ale on fajny jest. Będzie mi dobrze”.

„Nie interesuje mnie, kiedy ci dobrze! W tej chwili przestań!”

„Dobrze. Jak chcesz”.

Ujrzała pod powiekami obraz nagiego oficera gotowego do akcji. Przycisnęła twarz do własnych kolan, żeby ukryć rumieńce.

– To tylko sen. Ale spokojnie można tu żyć. – Uśmiechnęła się, choć żołnierz nie mógł tego widzieć, skoro miała głowę wciśniętą między własne uda.

Valkiria warknęła dziko.

„Mam na niego ochotę”.

„A ja nie!”

„Dobra... – Gudr przeszła na ton ugody. – Do tej pory twój sen był ekstrapolacją twoich własnych wspomnień. Teraz zaczną się fantazje wywołane przez Mistrza Snu”.

„Ochronisz mnie?”

„Ty głupia jesteś, czy co? Przecież jeśli tobie się coś stanie, to ja też zginę!”

– Przepraszam – powtórzył oficer. – Czy pani z kimś rozmawia?

– Nie, broń Boże. Nie mam zaszytego komunikatora.

– Po prostu dziwnie się pani zachowuje.

Podniosła głowę i uśmiechnęła się szeroko.

– Gdy już mnie wypuścicie... Czy są tu jakieś miejscowości wypoczynkowe?

– Do wyboru, do koloru. Polecam Półwysep Helski. Rewelacja, woda z obu stron, albo Zakopane, same góry. Nie takie wysokie jak u was, ale pozna pani górali, a to szczególnie naród. – Teraz on się uśmiechnął. – Z tym, że teraz najmodniejsze są loty do Moskwy.

– A dałoby się zarezerwować jakiś samolot, gdy już mnie wypuścicie?

– Samo... co? – nie zrozumiał.

– Samolot.

– Nie słyszałem. Lata sterowiec dwa razy dziennie.

„Uważaj, zaczynają już na ciebie działać fantazje Mistrza Snu – wyszeptła w umyśle Toy Valkiria. – Teraz realny świat twoich wspomnień będzie się zmieniał”.

– Widzi pan, muszę się spotkać z Imperatrycą. – Przypominała sobie instrukcję inżyniera prowadzącego. Ciągłe nie wierzyła, że to tylko sen. Wszystko wyglądało zbyt rzeczywiście.

– Ależ oczywiście. Tak się składa, że jest na Helu z wizytą u pana prezydenta. Na tym Helu, o który pani pytała.

„Pamiętaj, teraz wszystko będzie coraz mniej realne!” – Valkiria usiłowała ją uspokoić.

„Gudr. Błagam, pomóż mi!”

„Przecież po to jestem”.

Toy odpływała. Jezu, czy to koma w rzeczywistości? Czy to oznacza, że zapadła w śpiączkę w realnym świecie? Transporter opancerzony z jej wspomnień zamienił się w furmankę. Oficer, z którym rozmawiała, jechał obok na koniu.

– Polecam lot balonem. Ale może nie być dobrego wiatru. I zwieje panią nad Niemcy na przykład.

„Gudr, czy ja jestem normalna?”

„Myślę, że tak”.

„Tylko myślisz?”

„A skąd mam wiedzieć?”

– Naprawdę mam lecieć balonem? – spytała oficera.

– Może pani, ale polecam sterowiec. Większa szansa, że pani dotrze na czas.

* * *

Obudziła się z krzykiem. Inżynier sprawdzał odczyty, a Toy wyła:

– Boże, Boże, czyja jestem normalna?

– Nie jestem Bogiem, ale na pierwszy rzut oka tak.

– Co: tak?!

– No chyba jest pani normalna. – Uśmiechnął się. – Ale tylko na pierwszy rzut oka – powtórzył. – Nie dość, że nie jestem Bogiem, to nie jestem także lekarzem.

– Nie zapadłam w śpiączkę? – krzyczała rozedrgana.

– Proszę pani. Jestem co prawda doktorem, lecz doktorem inżynierem elektronikiem. Nie mnie rozstrzygać.

– Niech pan przestanie kpić!

– Ależ ja nie kpię. Usiłuję tylko panią uspokoić.

– No to mnie pan, kurwa, uspokoił! – wrzasnęła.

Valkiria pokazała pod powiekami Toy obraz klów i rozszarpywania padliny.

– Jestem żywa?

– Skoro pani mówi, czyli wydaje dźwięki ustami, to chyba tak.

– Nie o to pytam! Czy jestem w śpiączce?

– Droga pani. Trudno powiedzieć, ponieważ gdyby pani była, to ja się pani tylko śnię.

Nie ma więc sensu odpowiadać na to pytanie.

– Zastrzele cię zaraz!

– No to proszę mi nie zadawać trudnych pytań. Według moich odczytów nie jest pani w śpiączce, lecz w ostatnim stadium hysterii. – Podszedł do biurka i podniósł szklankę z herbatą.

– Z pani akt wynika zresztą, że jest pani totalną histeryczką. Jak każdy były narkoman.

– Czy mógłby mi pan o tym nie przypominać? Bo mam usta pełne śliny.

– Ależ mógłbym. Ale pani zadaje pytania. Mam nie odpowiadać?

Podszedł do niej, sącząc herbatę.

– Proszę pani, sen czy jawa? Nie mnie rozstrzygać. Być może się pani śnię, a być może to znowu świat realny. Nie mam wglądu w wygenerowane sny. Mogę jedynie słuchać, jak pani wspomnienia przemieniają się w jakieś cuda Mistrza Snu.

– Skąd pan wie?

– Mówiła pani przez sen. Jakaś furmanka, transporter, oficer na koniu, balon albo sterowiec... Trudno powiedzieć. Czy ja się pani tylko śnię, czy jestem realny? Nie wiem. – Zawahał się. – A może inaczej. Nie potrafię pani o tym przekonać, bo sen jest tak samo realny jak rzeczywistość. Nasze urządzenia są doskonałe. A pani musi znaleźć Mistrza Snu.

– Jak?

– To pani jest wynajętym detektywem.

Zagryzła wargi.

– Jak się przekonać, czy śnię w danej chwili, czy nie?

– Jest pewna furka. Niewielka, ale jest.

– Jaka?

– Musi się pani skupić na szczegółach. We śnie się rozmywają. Jeśli jest w stanie pani dostrzec napis „Made in China” na swoim zegarku, to raczej jesteśmy w rzeczywistości. Jeśli nie, to pani chyba śni.

„Valkiria, Gudr, czy ja śnię?”

„A skąd mam wiedzieć? Czuję dokładnie to co ty”.

– Czy pan jest realny?

– Według mnie tak. Ale nie gwarantuję. – Uśmiechnął się.

Pokazał bransoletę swojego zegarka. „Made in Taiwan” – dostrzegła od razu.

– To drogi zegarek, nie jakiś tam szajs. – Zdjął go z ręki. – Odczytaj numer seryjny.

Nie było kłopotu: SN000789098R.

– No to po mojemu – podjął – jesteś na jawie. Chyba – dodał. – Bo być może śnimy się sobie nawzajem. – Pochylił głowę. – Już tego nie rozstrzygniesz. Ale wszystko wskazuje, że jesteś wśród nas. Nie powiem, że za dnia... – Wskazał ciemne, zasnutę nocą okno. – Ale... na jawie.

– OK – odpowiedziała. – No to niech mnie pan tam wstrzeli jeszcze raz.

– OK – przedrzeźniał ją. – Już się robi.

* * *

Sterowiec zrzucił jakieś monstrualne ilości wody przy starcie i to wprost na obsługę trzymającą liny. Patrzyła zdziwiona, ponieważ nigdy w życiu nie widziała czegoś takiego. Ale sam lot okazał się nieprawdopodobny. „Leciutki” śniadanko w salonie składało się z kilku dań. Nie mogła się po nim ruszyć – tak się objadła. Potem zaproponowano pasażerom wizytę na podeście widokowym – całkiem na zewnątrz. Dostała w tym celu lotniczą kurtę i skórzaną czapkę zakrywającą uszy, gogle oraz śnieżnobiały szalik, którego końce sięgały ziemi. Wiało okropnie, silniki buczały głośno, ale takiego widoku naprawdę nie oglądała jeszcze nigdy. Łąki, pola, lasy przesuwały się tuż pod spodem. Lecieli na niskim pułapie. Widziała nawet dzieci bawiące się na wiejskich podwórkach. Z boku podszedł oficer i dał jej lornetkę. Podano kawę. A chwilę później zaproszono ją na drugie śniadanie. I znowu nie miała siły się ruszyć.

Obiad zapowiedziano za godzinę. Zygakiem uciekła na taras widokowy w swojej lotniczej kurtce, czapce, szaliku i goglach.

Znaleźli ją i tam. Obsługant w mundurze zaprosił Toy na kolejny posiłek. No, po prostu nie mogła przejeść tego wszystkiego. Bażant, dzik, *de volaille*, ziemniaki, surówka, rosół z krokietami, lody, ciasta, cukierki. Miała jedynie sto sześćdziesiąt centymetrów wzrostu. Nie miała szans pomieścić w sobie nawet jednej trzeciej serwowanych potraw. Bała się stłuc cokolwiek z zastawy rodowej porcelany właściciela sterowca. Jego godło widniało na każdym talerzu i filiżance.

Po raz trzeci wyszła na podest obserwacyjny, ale nie zabawiła tam długo, gdyż zaproszono ją zaraz na podwieczorek „tańczący”. Nie wiedziała, co to znaczy, ale już zaczęła się bać.

– Suknia została dostarczona do pani kabiny – powiedział podoficer. – Mam nadzieję, że będzie pani królową balu.

Przeżona, wąskimi przejściami między balonetami poszła do swojej kabiny. Zrzuciła kurtkę, rozebrała się do naga. Przymierzyła balową kreację. Pasowała tak zajebiście, że Toy od razu zrozumiała jedną rzecz: Mistrzem Snu nie był mężczyzna. Tylko kobieta.

Tak, to kobieta! Żaden facet nie wymyśliłby takiego żarcia i takich strojów. Żaden też nie pomyślałby o sukni. Pas do pończoch czy stringi, które tylko udają, że są na tyłku, to tak. Ale nie balowa suknia. Mistrz Snu to kobieta!

Połowę podejrzanych miała więc z głowy. Zawsze jakiś sukces.

* * *

Bal okazał się nieprawdopodobny. Tańczyli długo. Oficerowie z damami, a osamotnieni mężczyźni podrywali, kogo mogli. Toy cieszyła się powodzeniem. Wybawiła się świetnie.

Pożarła tony przekąsek, wypila hektolitry wina. Tańczyła naprawdę niezłe, choć nikt nigdy jej tego nie uczył. Po prostu poddawała się mężczyźnie. I wychodziło, ponieważ ważyła tyle co piórko i w zasadzie łatwo się ją prowadziło. Została królową balu. Tak jak przewidział podoficer. Dostała papierową koronę, niesiono ją na rękach i pokropiono szampanem.

Potem czekała Toy wizyta w sterówce, u samego kapitana. Zobaczyła fosforyzujące zegary. Przyjęła gratulacje. Poczula się onieśmielona. Pokazano jej procedury lądowania. O mało nie zwymiotowała ze strachu, choć wiedziała, że to tylko sen. Sterowiec sobie leci w cholerę, a jacyś ludzie na ziemi usiłują złapać dwie liny dyndające pod balonem. Kilkunastu ludzi uniosło na jednej z lin, na której się uwiesili. Nie mogli trafić pomiędzy dwie wieże.

Boże! Przypomniała sobie wypadek Hindenburga. A jeśli sterowiec się zapali? A jeśli pierdyknie wodór w balonetach? Wszyscy zostaną przerobieni na frytki. I to w ułamku sekundy. Boże! Jak się niesie poparzonego człowieka? Pod pachy – tam tylko ma niepoparzone ciało – przypominała sobie instrukcje Dantego.

„Spokojnie, spokojnie – szeptała Valkiria pod czaszką. – To tylko sen. Z pożaru uratuję cię tutaj”.

„Nie chcę śnić o tym, jak płonę”.

„A co mnie to obchodzi? I tak cię uratuję, bo niestety jestem częścią ciebie”.

Sterowiec na szczęście udało się jakoś zadokować... zacumować...? – nie miała pojęcia, jak to poprawnie nazwać. Na specjalnych wysięgnikach przyciągnięto jakieś rury i zaczęto pompować wodę do zbiorników latającej maszyny. Osiadali coraz niżej na linach pomiędzy dwiema wieżami. Z boku podjechały schody tak szerokie, że zaparkowałyby tam dwa autobusy.

Toy pozwolono nawet zatrzymać na pamiątkę lotniczą kurtkę podbitą barankiem i czapkę pilotkę.

Zeszła po stopniach wraz z innymi pasażerami. Otoczył ich tłum fiaków.

– Do mnie! Do mnie! – krzyczeli.

Wybrała pierwszego lepszego.

– Gdzie jedziemy? – spytał, pomagając wsiąść Toy do dorożki.

– Do Jastarni.

– Ach, z Gdańska na Hel. Spokojnie. W jeden dzień dojedziemy.

Sprawdziła portfel. Znalazła zaskakująco dużo pieniędzy. Mistrz, a właściwie Mistrzynie Snu zadbała o wszystko. Notabene lotnicza kurtka i czapka bardzo się Toy przydały. Strasznie wiało. Valkiria powarkiwała pod powiekami, bo nie podobał się jej ani fiakier, ani powolny sposób podróżowania. Pokazywała wyobrażenia konia, który ciągnął dorożkę, poćwiartowanego w plasterki.

„Gudr, przestań, proszę”.

„Mogę przestać, ale chce mi się jeść”.

„We śnie?”

„Odczuwam to tak samo realnie jak ty.”

Zatrzymali się w karczmie we Władysławowie. Toy pożarła całe pęto kiełbasy i jakąś breję z kapusty zwaną bigosem. Myślała, że zwymiotuje. To tylko sen, uspokajała się w myślach. Gudr chciała ją jeszcze zmusić do gołonki. Toy nie wytrzymała.

„Przestań! Nie zeżrę tego ohydztwa!”

„No dobra, dobra. Zjedz jeszcze kartofle”.

„Ty naprawdę jesteś częścią mojego organizmu? Jezu, co ja pieprzę... Naprawdę czujesz głód tak jak ja?”

„No pewnie. Gdy ty jesteś głodna, to ja też”.

Po godzinie ruszyli dalej. Koń musiał spożyć odpowiednią ilość owsa i napić się wody. Trzeba przyznać, że tankowanie porsche trwało zdecydowanie krócej. W dodatku porsche nie robiło kupy co chwilę. No, ale tu nie było samochodów. Mistrzyni Snu musiała naczytać się książek z epoki. Tylko coś pomyliła. Sterowce i dorożki? Naraz?

Po obudzeniu Toy zamierzała sprawdzić, kto z personelu wypożycza książki z lat dwudziestych. Caltron powinien móc to sprawdzić w parę sekund. Sądziła, że już ją ma w realu. Podciągnęła suwak swojej lotniczej kurtki pod samą szyję. O właśnie – suwak! Dorożki i zamki błyskawiczne? Ta baba, która tu rządzi, chyba nie ma pojęcia o historii. Podobnie jak Toy, której jednak coś tam świtało pod łepetyną. Postanowiła sprawdzić.

– Proszę pana? – zwróciła się do dorożkarza.

– Jaki ze mnie pan! – obruszył się. – Do mnie mówi się: furman.

– Dobrze. W takim razie: panie furmanie, niech mi pan odpowie...

– Nie: panie. Nie: panie. Po prostu: furman.

– OK. – Toy była wyjątkowo zgodna. – Furman, czy można tu gdzieś kupić broń?

– Pewnie. W każdym sklepie z artykułami metalowymi.

– To proszę się zatrzymać przy najbliższym.

– Jasne.

Zacząła się zastanawiać. Jeśli można mieć broń, i to kupioną w sklepie z artykułami metalowymi, to znaczy, że w realu ta kobieta musi mieć pozwolenie na broń. Po ostatnich obostrzeniach i zmianie przepisów musi się na tym znać. Choćby trochę. Caltron mógłby sprawdzić wszystkich, którzy mają pozwolenia. Mistrzynią Snu była kobieta czytająca nieuważnie książki z lat dwudziestych, trzydziestych, z pozwoleniem na spluwę. Te dane powinny ograniczyć liczbę podejrzanych.

Zatrzymali się w Kuźnicy. Weszła do sklepu i tu oniemiała. Broń istotnie była. Toy kupiła sobie colta. A do tego... woreczek z ołowianymi kulami, przybitki, kapiszony, pojemnik z czarnym prochem.

– Boże, jak to nabić? – spytała sprzedawcy.

– Już pani pokazuję. Nawiasem mówiąc, doskonały wybór. Śmiertelna czterdziestka czwórka.

Coś zaskoczyło w mózgu dziewczyny. *Deadly forty four!* Shainee bez przerwy oglądała stare filmy na darmowym kanale. Toy pamiętała nawet jakiś western z piosenką o tej spluwie.

– To naprawdę doskonały wybór – zachwalał sprzedawca. – Trzydziestek dwójek nie radzę kupować. A pani rewolwer powstrzyma każdego. – Wsypywał proch do komór, a później specjalną dźwignią wpychał tam kule.

– Ale ekstra. W życiu czegoś takiego nie widziałam.

– Bo broń nie jest dla białogłów.

– Ale pan mi sprzedaje.

– To jest sklep, a my żyjemy w wolnym kraju. Każdy może kupić co chce.

Nakładał kapiszony.

– Już pani ma naładowany. A jakby pani chciała karabin Springfielda...

– Nie. Dzięki.

– I proszę pamiętać: to trzeba czyścić po każdym strzale.

– Ależ oczywiście. – Postanowiła zakpić. – Wrzucę go do pralki i dam najdłuższy program.

– Tylko nie do pralki! – krzyknął, lecz po chwili palnął się w czoło, bo zrozumiał, że to dowcip. Na jego twarzy pojawił się przepraszający uśmiech. Dorzucił jeszcze kaburę gratis.

Wyszła ze sklepu z głową naładowaną myślami. Karabin Springfielda? Dziki Zachód. Baba, która tu rządzi, musi też oglądać stare westerny. W realu Caltron powinien sprawdzić, kto ogląda przedpotopowe filmy. Boże, jak inżynierowie firmy mało wiedzieli o tym świecie. Powiedziano jej jedynie, że ma pójść na audiencję do Imperatrycy w miejscowości wypoczynkowej. Tyle tylko udało się usłyszeć od mówiących przez sen, zanim zapadli w śpiączkę. Sterowce, dorożki, broń z Dzikiego Zachodu, ale jednocześnie pralki. Facet by tego nie wymyślił.

Toy wyglądała jak skrzyżowanie lotnika z pierwszej wojny światowej z rewolwerowcem. Ale brednie.

I nagle zrozumiała. Dzięki tej cholernej zakonnicy, która nie potrafiła oderwać oczu od telewizora. Shainee dała jej przecież częściową odpowiedź podaną wręcz na tacy. „Przeminęło z wiatrem”! Toy zerknęła na swoją spluwę. Colt reb confederate. Taki sam dostała Scarlett O’Hara od swojego faceta Rhetta Buttlera, żeby mogła się bronić, gdy ją zostawiał. Nie mogła zrozumieć, kto jeszcze chciał oglądać takie starocie. No trudno. Dowie się.

„Valkiria?”

„Tak?”

„Obudź mnie”.

Zmieniła zdanie.

„Jeszcze sekundę!”

„Dobrze”.

Zbierała myśli. Sterowce, pralki, dorożki i colty ze starych filmów – powtarzała po raz kolejny. Świat, który się kupy nie trzyma. Zastanawiała się. Czy zna kogoś, kto myśli w sposób równie nieuporządkowany? Tak kompletnie niepozbiany? Zna. Niestety. Przygryzła wargę.

Widzi taką samą osobę codziennie w lustrze, kiedy robi makijaż.

„Gudr, budzimy się”.

„A mogę chociaż ziewnąć?”

„Wow! To ty potrafisz żartować?”

„Uczę się od ciebie, choć ty masz kiepskie poczucie humoru”.

* * *

Obudziła się naładowana adrenaliną. Wskoczyła z fotela jak z katapulty.

– Coś wiem! – krzyknęła do inżyniera.

– Co?

– Nie teraz. Gdzie moje współpracownicy?

– Jedna siedzi na korytarzu i ogląda telewizję. Ta z dzieckiem. – Turner potarł brodę. – A druga gdzieś poszła.

– OK. Wiem, gdzie.

Runęła pędem do wyjścia.

– Shainee! – ryknęła. – Za mną!

Pani porucznik nie trzeba było powtarzać. Ruszyła klusem, osłaniając tylko dziecko. Pobiegly do superluksusowego sklepu obok motelu. Tally-Ho zobaczyły od razu. Przymierzała właśnie sto czterdziestą dziewiątą kreację albo może nawet tysiąc dwudziestą pierwszą. Wdzięczyła się przed lustrem.

– Co ty robisz?

– No przecież mamy kartę Caltronu bez limitu wydatków. – Uśmiechnęła się Vixen. – Wybrałam też coś dla was, dziewczyny.

– Bez jaj!

– Istotnie, jaj nie posiadam. Ale za niecały miesiąc jedno we mnie... tego... wykielkuje.

– Przestań pieprzyć. Już wiem, kto jest Mistrzem Snu. Tak mniej więcej, niestety.

– Kto?

– Z całą pewnością kobieta. Musi mieć pozwolenie na broń. Albo przeszła przeszkolenie strzeleckie. Oglądała „Przeminęło z wiatrem”.

– Znam ten film – wtrąciła Shainee.

– Cicho! Teraz zadanie dla was. Musicie znaleźć pracowniczkę firmy...

– Jezu – przerwała jej Vixen. – To kilkanaście tysięcy osób.

– Cicho! – powtórzyła Toy. – Ona jest babą, która ogląda stare filmy, zna się na broni.

Ale... teraz najważniejsze. Jest była narkomanką z zaszytym implantem. Taką jak ja.

Patrzyły oniemiałe.

– No przecież tłumaczę. Eksnarkomanka. Sprawdźcie wszystkie ośrodki odwykowe. Na pewno zaliczyła jakiś, skoro tu pracuje.

– Przecież nie udostępnią nam danych – powiedziała Tally-Ho.

Toy zaklęła strasznie.

– Jeśli się czegoś nie może, to Caltron pomoże. – Ułożyła wierszyk. Kiepski zresztą. – Musi mieć w głowie co najmniej B-52. Albo wyżej. Sprawdźcie, ile z tych tysięcy bab, które tu pracują, było na odwykówce i są uwarunkowane. Zobaczcie, która ćpała jak ja przez parę lat, a teraz ma tak popierdolone w mózgu... – zawahała się – jak ja.

– A to nie będzie trudne – powiedziała Shainee z całą swoją prostoliniowością. – Jedną taką znam.

– Kogo?

– No, ciebie. Byłaś narkomanką, teraz pracujesz dla Caltronu...

I Toy, i Vixen zakryły twarze.

– Nie... – Tally-Ho usiłowała się otrząsnąć. – Postaram się poradzić sama.

– Myślisz o tym, o czym ja myślę?

– Mhm. – Vixen przytaknęła. – Lepiej nie mieszać w to Caltronu, bo coś mi brzydko pachnie.

– Mam to samo uczucie. Ale jak dasz radę sama?

Tally-Ho odwróciła się do dziewczyn tyłem, uniosła spódnicę i poruszyła lekko biodrami. Cieniutki pasek stringów pomiędzy jej kształtnymi pośladkami tylko udawał, że tam tkwił.

– Poradzę sobie z każdym inżynierkiem, psychologiem, psychiatrą, a nawet z kobietą, jeśli będzie lesbijką. Jutro będziesz miała te dane.

Toy ruszyła w stronę motelu. Nagle zatrzymała się. Ich prywatna zakonnica nie była wcale głupia. Istotnie, Toy spełniała wszystkie warunki: eksnarkomanka, wyleczona i pracująca dla Caltronu. Olśniło ją.

– Tally-Ho, sprawdź ośrodek odwykowy Ramon Dare. Tam, gdzie ja się leczyłam. I sprawdź, który z odwykowców jest pracownikiem Caltronu.

– Co cię naszło?

– Po prostu załęgło mi się straszne podejrzenie.

* * *

Wyszła ze sklepu, chcąc wrócić do laboratorium. Niestety, drogę zagroziło jej czterech policjantów.

– Zuzanna „Toy” Iceberg?

– Tak. O co chodzi?

Z boku podeszło dwóch cywilów.

– Agenci Roebuck i Marcy. Jest pani aresztowana pod zarzutem posiadania nielegalnego implantu. Proszę z nami.

Valkiria ryknęła w jej głowie:

„Zabijmy ich wszystkich i uciekajmy!”

„Oni właśnie tego chcą. Będą mieli dowód”.

„Zagryźmy ich! Zjedźmy ich ciała!”

„Tyle mięsa nie przejem. Spokojnie. Nie kontroluj żadnych moich odruchów”.

Policjanci skuli ręce Toy na plecach. Gudr wyła. Uspokoila się dopiero, kiedy już z wnętrza pojazdu, do którego wprowadzili dziewczynę, zauważyła snajperów schodzących z okolicznych dachów.

„Toy, zabiją nas?”

„Nie wiem. Może Caltron coś wymyśli”.

„Toy, wyłamie te kraty twoimi rękami. Uciekajmy!”

„Oni tylko na to czekają”.

„Może sprawię, że będziesz mieć atak padaczki i zawiozą nas do szpitala?”

„Gudr, nie rób niczego. Nie kontroluj moich odruchów. Tu wszystko jest filmowane, a cały pojazd zaminowany. Jeśli coś zrobisz, to polecimy na orbitę Księżyca bez skafandra!”

„Co robić? Połączyć się z Caltronem?”

„Nie! Sami się domyślą”.

Nagle Toy zdała sobie sprawę, że Gudr po prostu się boi. Jak prawdziwa żywa istota. Ma cholernego pietra. Potrząsnęła głową.

Komenda nie była zbyt daleko. Po kilku minutach wyprowadzono ją do specjalnego tunelu, którym dotarli do jakiegoś schronu.

– Nazwisko?

– Iceberg.

– Imię?

– Zuzanna.

– Od jak dawna masz nielegalny implant w głowie?

– Chcę się widzieć z adwokatem.

Miejsce Roebucka i Marcy’ego zajęły dwie policjantki. Rozkuły Toy i odczytały wszystkie formułki. Potem kazały rozebrać się do naga i stanąć w rozkroku z rękoma rozłożonymi na boki. Sprawdziły jej ciało dziesiątkami urządzeń. Łącznie z prześwietleniem, tomografią, rezonansem i resztą popiskującego badziewia. Na szczęście jej nie dotykały. Nie to, co chamskie celniczki na lotnisku. Toy dostała papierową koszulę i zaprowadzono ją do dziwnego pomieszczenia. Nie przypominało celi, raczej pokój w domu wariatów. Wszystkie ściany obite miękkimi tkaninami, brak klamek, lekko mżące światło. Usiadła zrezygnowana na samym środku.

„Zabiją nas?”

„Przestań, Gudr. Nie pomagasz mi”.

„Przecież nic nie robisz! – W synteźatorze mowy komputera pod czaszką, który tłumaczył słowa, czy raczej myśli i odczucia Valkirii zabrzmiało jakby wahanie. – Mogłabym sprawić, że byśmy wyszły z tego pomieszczenia”.

„I co dalej?”

„Nie wiem. Ja nie jestem od planowania”.

– No właśnie – powiedziała na głos. – I co dalej?

„Nie połamię ci rąk przy próbie ucieczki. Ja...”

„Ty się po prostu zamknij”.

Siedziała, czy może siedziały, w milczeniu, marząc o papierosie. Podparła (podparły?) brodę na złożonych dłoniach. Już to sobie wyobrażała... Nawet jakby cudem uciekły, to gdzie? Wojna Caltron kontra rząd Stanów Zjednoczonych? W jej sprawie?

Wojna zaczęła się dokładnie siedemnaście minut później. Caltron przeszedł do kontrofensywy i uderzył siłami pancernymi z marszu. Dużymi siłami.

Drzwi celi w jakiś cudowny sposób znikły i te same dwie policjantki odprowadziły Toy do pokoju przesłuchań. W środku siedzieli Roebuck i Marcy. Naprzeciw kilkunastu adwokatów Caltronu, sami starsi, nobliwi panowie. I... i wkurwiony na maksa Jack Higgins. Po prostu zionął nienawiścią. Krzyczał, gestykulował, a prawnicy co chwilę podsuwali mu kartki z tematami, które ma poruszyć.

– Porwaliście naszego pracownika! – ryczał. – Bo to nie było aresztowanie, tylko porwanie! – Przeczytał kolejną karteczkę. – Mamy was! W momencie zatrzymania nie postawiliście panie Toy żadnych konkretnych zarzutów.

– Postawiliśmy.

– Niby jakie?! – darł się Higgins, rzucając wzrokiem na wciąż podsuwane karteczki. – Że ma w głowie nielegalny implant?!

– A skąd pan o tym wie? O tym, co powiedzieliśmy?

– Wiem to, o czym chcę wiedzieć!

– Ciekawe, skąd? I czy zawsze wiceprezes Caltronu fatyguje się w sprawie aresztowania zwykłego pracownika?

Natychmiast zapisane przez prawników karteluszeki pojawiły się przed Higginsem.

– Proszę panów, to jest złamanie wszelkich zasad humanitarnego postępowania. Zamierzamy was oskarżyć o najcięższe przestępstwa. Nie zadaliście sobie nawet trudu, żeby sprawdzić kartoteki medyczne panny Iceberg. Na podstawie dokumentów z Ramon Dare moglibyście się dowiedzieć, że jest nałogową alkoholiczką! A wy pozbawiliście ją alkoholu na prawie półtorej godziny. Syndrom odstawienia, i ten... – Higgins nie potrafił przeczytać nabazgranej w pośpiechu notki. – Co?

– Delirium tremens – odpowiedział prawnik, który to pisał.

– O! Delirium tremens! – wrzasnął. – Tremens! – podkreślił, celując palcem w Marcy’ego. – Nie można zeznać panny Iceberg traktować poważnie, ponieważ ma tremens, a w dodatku... – szybko studiował podsuwane karteczki – odczuwa silny głód nikotynowy, wywołany przez odstawienie papierosów i mamy na to papiery z Ramon Dare. Jest też uzależnioną narkomanką. Odstawiliście ją od narkotyków, alkoholu i papierosów! Zwariowała!

– Przecież niczego nie powiedziała. Po co się denerwować?

– Ja panu powiem, po co się denerwować. Spójrzcie tylko na naszego pracownika. Ubraliście ją w jakąś śmieszoną papierową koszulę. – Higgins wciąż przebiegał wzrokiem podsuwane notatki. – Poniżyliście ją!

– Ubliżyliście – podpowiedział najbliższy siedzący prawnik.

– Sponiewieraliście – dodał następny.

– Upokorzyliście!

– Nastraszyliście!

– Znęcaliście się!

– Zrobiliście z niej szmatę!

– Pozbawiliście ludzkiej godności!

– Jak się czuje panna Iceberg? – zawył Higgins. – Zeszmaczona, upokorzona, wystraszona i pozbawiona wszelkiej ludzkiej godności! Będzie was to kosztować miliony! Miliony!

– Za zwykłego pracownika? – spytał trzeźwo Marcy.

– A co? – Higgins aż wstał. – To gorszy pracownik niż inni? A może chcecie powiedzieć, że jest gorsza, ponieważ to kobieta?! Narkomanka, alkoholiczka, nałogowa palaczka? Gorsza? No to spróbujcie taki zarzut sformułować.

Prawnicy Caltronu kiwali głowami z uznaniem. Już nie pisali karteczek. Higgins radził sobie sam.

– A jak pan wytłumaczy – spytał Marcy – że jej czaszkę skleiono preparatem Western Chemicals?

– Ja się znam tylko na biurowym kleju do papieru. A wy zaszczuliście naszego pracownika! Kto jej kazał stać na golasa?

– A skąd pan o tym wie? – Marcy uśmiechnął się lekko.

Higgins zamilkł na chwilę. Jego adwokaci też pospuszczali wzrok. Przez moment panowała męcząca cisza. Wreszcie ktoś podsunął karteczkę.

– Bo jesteście męskimi, szowinistycznymi świniami! – zawył Higgins, przeczytawszy najpierw. – Ja nie dam poniewierać naszego pracownika! Nie dam zaszczuć panny Iceberg, tylko z tego powodu, że jest kobietą. Nie ma gorszych i lepszych w naszym społeczeństwie. Ojcowie Założyciele powiedzieli wprost, że wszyscy są równi wobec prawa, wobec państwa, wobec...

– O Chryste! – Roebuck wstał nagle i poszedł po czajnik z wrzątkiem. Miał taki

staroświecki, elektryczny, w którym bulgotała woda. Toy mierzyła go wzrokiem. Zerknęła też na dawno wystygłą filiżankę z kawą, której nawet nie ruszył.

„Gudr! – wrzasnęła w myślach. – Natychmiast przestań kontrolować moje odruchy!”

„Co się dzieje?”

„Nie pytaj! Daj się nam oparzyć! Albo nas zabiją”.

Roebuck potknął się na dywanie. Duża porcja wrzątku chlusnęła wprost na gołe nogi Toy. Ta najpierw patrzyła oniemiała. A po sekundzie zaczęła wyc:

– Jestem oparzona! Jestem oparzona! Ratunku!

„Nie jesteś” – wtrąciła Gudr.

„Stul pysk!”

– Ratunku!!!

Higgins rzucił się na pomoc z chusteczką wyjętą z kieszeni. Adwokaci również powiewali różnymi materiałami, które mieli na podorzędziu. Jeden polał Toy wodą mineralną z karafki.

– Ratunku! – krzyczała najgłośniejsz jak potrafiła. – Lekarza!

– Jezus Maria!

„Gudr, zrób mi na nogach jakieś bąble”.

„Przecież nie jesteś oparzona”.

„Mordę w kubel i rób!”

„Dobra”.

– O Jezus, pomóżcie, proszę! Jestem cała poparzona.

– Nie ujdzie wam to płazem – wydarł się Higgins. – To był... – Zawahał się i spojrzał na najbliższego adwokata. – Co to było?

– To był celowy atak na naszą klientkę. Próba zmuszenia jej do zeznań przy pomocy tortur. Niedopuszczalne w państwie prawa.

– To nie był wrzątek – powiedział Roebuck – tylko bulgocąca zimna woda. Taki test, żeby sprawdzić, czy ma implant.

– Test? To skąd te bąble na nogach?

– To psychiczne. Przestraszyła się.

Higgins wyprostował się powoli.

– Ten test będzie was sporo kosztował, panowie – wycodził. – Nie wiem, czy Departament Sprawiedliwości będzie stać na wypłatę odszkodowania.

– To naprawdę była tylko zimna woda z bąbelkami.

– A dlaczego ma czerwoną skórę i wyskakują bąble?

– Sam pan powiedział, że jest psychiczna. Zbyt plastycznie wyobraziła sobie oparzenie. To się czasem zdarza.

W głosie Higginsa zabrzmiał oficjalny ton.

– Proszę wypełnić papiery zwolnienia i oddać panie Iceberg ubranie. Nasi prawnicy

skontaktują się z waszymi w kwestii rozprawy sądowej. – Nagle postanowił zażartować: – I proszę uspokoić prezydenta. W ramach odszkodowania nie będziemy się domagać Białego Domu i Kapitolu. Na razie.

Adwokaci Caltronu rozplýwali się w uprzejmych uśmiechach. Każdy z nich wiedział, że lepiej docenić dowcip szefa. Roebuck i Marcy wyglądali na spiczniących. Ale tylko wyglądali. Uwadze Toy nie uszedł fakt, że żaden z nich nie wykonał ani jednego nerwowego ruchu. Nie zabębnił palcami o blat stołu, nie zaciął ust, nie zmrużył powiek. Nic. Kompletnie nic.

Zacząła się bać o własne życie. Miała cholerne przeczucie, że coś jest nie tak. Totalnie nie tak. Że w tej grze, której nie rozumiała, chodzi o coś zupełnie innego. Prowadzona przez policjantki, przeszła do drugiego pokoju, żeby się przebrać. Aż jej się chciało wymiotować.

„Gudr, spraw, żeby mi się nie trzęsły ręce”.

„OK”.

„I zniknij tę czerwoną skórę i bąble”.

„Się robi”.

Toy przebrała się błyskawicznie. Wewnętrznie dygotała. Nie potrafiła się skupić. Ze dwa razy nie mogła trafić dłonią na klamkę u drzwi. Dopiero Valkiria jej pomogła.

„Co się z tobą dzieje?”

„Nic. Później pogadamy”.

Na korytarzu czekali już na nią prawnicy i Higgins z papierami zwolnienia z aresztu. Agentów na szczęście nie musiała już oglądać. Wystarczył jeden podpis na formularzu sprawdzonym przez adwokatów pewnie setki razy. Z zaciśniętymi zębami szła do wyjścia. Na szczęście całe tałatajstwo spod znaku Temidy wsiadło do superluksusowego busika. Ona razem z Higginsem do europejskiej limuzyny.

– Ale się porobiło – powiedział, kiedy szofer zamknął drzwi. – A już myślałem, że to coś poważnego.

– A nie jest?

– Jakby mieli cień dowodu, już byś nie żyła.

– Czy zwróciłeś uwagę, że oni, ci dwaj agenci, w ogóle się nie denerwowali? Nawet gdy powiedziałeś, że zlicytujesz Biały Dom?

Spojrzał na nią jakoś tak ciepło.

– Wiesz? Nie umknęło to mojej uwadze. – Roześmiał się nagle. – Doceń mnie czasem.

– No to o co tu chodzi?

– Jeszcze nie wiem.

Nalał sobie wody mineralnej z barku.

– A zauważyłaś, że Marcy tak naprawdę jest kobietą?

Załatwił ją. Nie dostrzegła tego. Szlag! Szlag! Szlag! Mimo wyglądu gogusia był od niej lepszy.

– Zmieniła płęć?

– Nie. Nic tak bardzo prymitywnego.

Domyśliła się, o czym mówił. Jego... jej identyfikator po prostu pachniał damskimi perfumami. Miał ślady szminki. Ledwie dostrzegalne. A ona sądziła, że to po prostu ślady, jakie zostawiła na ubraniu agenta kochanka.

– Po co podstawili babę zamiast faceta?

– Znamy nazwiska agentów rządowych. Do akt nie mamy dostępu nawet my. Ale pomyśl. Po co ten głupi trik?

– Nie wiem.

– Po coś cię wynająłem. Nie mów mi, że wyrzuciłem pieniądze w błoto.

Zamyśliła się. Ten jej cholerny, wypalony przez narkotyki mózg...

– Agentka Marcy jest w naszych szeregach teraz. A pokazali faceta, żeby... – Przygryzła wargi. – Jezu! – domyśliła się. – Ten głupi test z bulgocącą wodą był tylko na pokaz. Prawdziwy test był taki: czy domyślę się, że Marcy to kobieta! Jakiś gość przypiął jej identyfikator, celowo poplamiony nawet szminką, żeby sprawdzić, czy to wywącham!

Znowu spojrział na Toy z uśmiechem.

– Widzę, że jednak nie wyrzuciłem pieniędzy w błoto, inwestując w ciebie. Na szczęście jesteś taką kretynką, że się po prostu nie domyśliłaś. Przecwaniłi się.

– Dzięki za pochlebstwo. Zawsze lubiłam komplementy od mężczyzn.

– Do rzeczy.

– Zaraz. A skąd mogliby wiedzieć, że się domyśliłam w sprawie pani Marcy?

– Idiotko! Sto kamer cię filmowało. Każdą zmianę wyrazu twojej twarzy. A ty, jak ostatnia głupia, rozmawiałaś w celi z Valkirią. Ale nic się nie stało. Prawnicy udowodnią, że się po prostu bałaś i walczyłaś z myślami.

– Moment. Skąd wiesz, jaki miałam wyraz twarzy w celi?

– O Jezu... Wśród tych stu kamer znalazła się jedna, która nie jest własnością rządu Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej. Wystarczy wyjaśnić?

Westchnęła. Potem przyszło jej coś na myśl.

– Jesteś pewny, że ten samochód nie jest na podsłuchu?

– Oczywiście, że jest.

Wyjął ze skrytki wieczne pióro i przystawił do ust, udając, że to zeszłowieczny ogromny mikrofon, i zaczął kpić w najlepsze.

– *Allo, allo! Zdies agent KGB Iwan Higginsowicz. My naszli tierrorystku „Matrioszka” i my iskajem w nioj etuju samoj waźnoj. Wyiszczym takoj samoj maleńkoj, kotoroj zawut „Igruszka”.*

– Znasz rosyjski równie dobrze jak ja. Czyli w ogóle.

– A ty skąd wiesz?

– Dante lubił się popisywać swoją znajomością rosyjskiego. Troszkę od niego skubnęłam.

Zatrzymali się w podziemnym garażu Caltronu. Prywatna winda wiceprezesa zawiozła ich wprost do jego gabinetu. Tam Higgins zlitował się nad Toy. Wyjął z sejfu butelkę wódki. Oczywiście nieodkorkowaną. Obok położył paczkę papierosów, które paliła. Także z nienaruszoną banderolą. Spojrzała zaskoczona.

– Mogę tutaj zapalić?

– Rób, co chcesz. – Odwrócił się do okna. – Miałaś dzisiaj ciężki dzień.

Toy poczuła do niego coś więcej niż cień sympatii. Był potwornym gogusiem, lecz jednak... gdzieś tam w środku tkwiła istota ludzka, która choć czasem mogła wyrzeć na zewnątrz. Zerwała nakrętkę i łyknęła wprost z butelki. Potem zapaliła papierosa. Valkiria mruczała cicho. Najwyraźniej alkohol krążący w żyłach też się jej podobał.

– To mówisz, że Dante zna dobrze rosyjski? – spytał.

– Zna biegle rosyjski, hiszpański, włoski, niemiecki, francuski i polski. Jak rozmawiali z Urbanowiczem w krzakach podczas akcji w Afryce, to nikt nie miał pojęcia, czy umawiają się na drinka wieczorem, czy chcą rąbnąć bombę atomową. Zna też japoński, chiński, koreański, wietnamski i całą masę innych.

– Dziwne. Taki intelektualista wśród najemników...?

– Gdybyś go spotkał osobiście, jeszcze bardziej byś się zdziwił. Nie wiem, czy nawet z Valkirią w głowie umiałabym go pokonać w walce wręcz. „Umiałabyś” – mruknęła Gudr. „Aha. Z tego wniosek, że Dante do takiej walki nigdy by nie dopuścił. Zabiłby mnie w inny sposób”. „Dałybyśmy radę”. „Taaa... W grobie też może być wesoło”.

– Znowu z nią rozmawiasz?

– To aż tak widać?

– Owszem.

Podszedł bliżej.

Zadziwiająco, ale nie czuła od niego żadnego zapachu. Dosłownie żadnego. Ani wody kolońskiej, ani kosmetyków, ani co zjadł na obiad, ani nawet głupiego szamponu czy choćby środka, w którym prano jego garnitur. Ciekawe, dlaczego nie kazał założyć jej opaski dezaktywującej Valkirię? Poprzednio chciał się popisać przed dziewczynami? Nie wiedziała, co o tym myśleć. I ten „nieskazitelny” brak zapachu.

– Wiesz. – Położył Toy rękę na ramieniu. Poczowała ciepło i delikatne drzenie mięśni. – Fascynujesz mnie. Jak istota z innego świata.

– Dlaczego?

– Naprawdę jesteś dla mnie jak kosmita. Najpierw dom dziecka, szykany, bójk. Potem ucieczka i prostytutka. Nawalona koką niewolnica, stojąca na golasa przy krawężniku. Przecież musiało cię przelecieć parę tysięcy facetów.

– No. Mniej więcej. – Pociągnęła kolejny łyk z butelki.

– Narkomanka, alkoholiczka, palaczka. A później jakimś cudem Paul Iceberg cię z tego wyciągnął. A kiedy zmarł, znowu karuzela. Skrajna bieda, kocie konserwy i jeszcze ta twoja

wada wzroku. Potem Dante. Jakieś masakry na końcu świata albo i poza nim. Chryste! Toy, jak się czuje człowiek, który kogoś zabił?

Postanowiła wygrać z nim na słowa.

– A ilu ludzi zabiłeś dzisiaj, Jack?

Najpierw oniemiał. Później jednak pokazał klasę. Naprawdę nie był dupkiem.

– Wygrałaś, mała czarownico. – Roześmiał się. – Caltron zabija jakichś stu ludzi na sekundę. A ja jestem wiceprezesem.

Znowu podszedł do okna.

– Inteligentna jesteś, małpo. – Wzruszył ramionami. – Nie wiem, ilu ludzi zabiłem dzisiaj.

Zamilkł i chyba w myślach obliczał procenty. Wiedziała, że nie chodzi o lokalne wojenki, które Caltron od czasu do czasu wywoływał w Trzecim Świecie. To był pryszcz. Chodziło o żywność i kosmetyki. Ciekawe, dlaczego na każdym papierosie kazali napisać: „Ten produkt może cię zabić”. A dlaczego nie każą pisać na każdej frytce: „Ten produkt na pewno cię zabije”? Sto osób na sekundę. No, ale świat jest wielki. Higgins w każdym razie na pewno nie zjadł w życiu żadnej frytki. Nie żarł reklamowanych przez jego firmę czekoladek, chipsów, syfów do żucia i napojów. Dlaczego przed każdym fast foodem nie napisali wielkimi literami: „FABRYKA ŚMIERCI”. Jeśli z jednego kilograma świni da się wyprodukować osiem kilogramów wieprzowiny, to dlaczego nie jest tam napisane: „Wyprodukowała firma doktor Mengele i spółka. Opinię medyczną wydał doktor Frankenstein”? Odwrócił się od okna i oparł o parapet.

– Przepraszam. Myślałem o zabijaniu bezpośrednim. Strzałem z karabinu. A nie o podpisie na dokumencie. Ale masz rację.

Nalał sobie do szklanki wodę mineralną. Zaproponował również Toy, lecz wolą wódkę i kolejnego papierosa. On jak zwykle ledwie umoczył usta.

– Widzisz, moje życie było zupełnie inne. Jedyne dziecko bogatych rodziców, elitarnie przedszkole. – Przerwał nagle, patrząc na krztuszącą się Toy. – Nie śmieję się. Istnieje coś takiego jak elitarnie przedszkole.

– Dalej też same elity?

– Owszem. Pierwsze volvo dostałem w wieku czternastu lat. Przecież szczeniakowi nie kupuje się od razu rolls-royce’a. Nawet moi rodzice uznali, że są jednak pewne granice. Studia na uczelni tej klasy, że za samo chesne utrzymałbym pewnie jakieś małe afrykańskie państewko. Potem doktorat. Nagrodami i dyplomami mógłbym wytapetować wszystkie ściany w tym gabinecie. Potem wpadłem w kłopoty...

– Jakie? – Przerwała mu.

– Nieistotne. Zostałem wiceprezesem Caltronu. Wiem, że jestem dobry. Ale... Mój sterylne świat zaprogramowanych sukcesów, świat szablonów, akuranej wiedzy o tym, co będzie jutro, zaplanowany, usystematyzowany, przewidywalny w każdym calu, higieniczny wręcz... Uległ zmianie dzięki tobie. Ty jesteś kimś, kto pluje na szablony.

- Nie chciałbyś znaleźć się na moim miejscu.
- Wiem, że nie. Ale... Nigdy nie strzelałem do nikogo z karabinu.
- Frajda żadna. Koszmary potem duże.

Odwrócił głowę.

– Być może. A chcę ci powiedzieć tylko taką prostą rzecz. – Znowu podszedł bliżej. – Ja wiem, co będę robił jutro o dziewiątej pięćdziesiąt siedem na przykład. – Pstryknął palcami i w powietrzu, tuż przed jego twarzą pojawił się wyświetlacz osobistego terminarza. – Ty nie.

– Myślisz, że to takie fajne?

– Raz w życiu, kiedy miałem chwilę słabości, nie wiedziałem, co zrobię jutro. To chyba była najlepsza chwila mojego życia.

Spojrzała zdziwiona. Higgins najwyraźniej się przed nią otwierał. Czowała do niego coraz większą sympatię. A może nawet coś więcej. Teraz ona zrobiła krok w jego stronę. Położyła mu rękę na ramieniu.

– Co mi chcesz powiedzieć?

Odwrócił się speszony. Widocznie było to coś ważnego.

– Co mi chcesz powiedzieć? – powtórzyła.

* * *

Leżeli w skołtunionej pościeli. Toy, mimo że naga, nie czuła zimna. Klimatyzacja idealnie „odgadywała” potrzeby jej ciała. Dziewczyna ciągle nie mogła zrozumieć, jak do tego doszło. Przyciąganie się przeciwnych światów? Bzdura. Co ją pociągało w Higginsie? Z jednej strony uważała go za gogusia, mydłka, zapatrzzonego we własny pępek karierowicza, a z drugiej... Boże. Co sprawiło, że znalazła się w jednym łóżku z facetem, którego nie zna i z którym najpierw kochała się klasycznie, potem od tyłu, a później ona go ujeżdżała. Zrozumiała nagle, że tak naprawdę to pierwszy facet w jej życiu. No dobra, przeleciało ją kilka tysięcy mężczyzn. Kiedy była nawalona narkotykami po dziurki w nosie, nie wiedziała, gdzie jest i jak się nazywa. A w tej chwili... Pierwszy raz na trzeźwo. Wstydziła się. Swojej nagości, swojej chęci, swojej gotowości. Parę razy nie wiedziała, jak się zachować. Czowała, że ma rumieńce na policzkach. Ona, prostytutka. Ale to było na trzeźwo, naprawdę, tym razem to się zdarzyło w realnym świecie. Po raz pierwszy w swoim życiu poczuła się kobietą. No i podobał jej się seks na trzeźwo.

Postanowiła go obudzić, obmyślając perfidny plan. Delikatnie odsunęła kołdrę, nachyliła się nad biodrami Higginsa. Ostrożnie wzięła do ust penisa i zaczęła leciutko ssać. Z satysfakcją obserwowała, jak się powiększał. W tym momencie zabrzączał jej telefon. Błyskawicznie odebrała, żeby facet się nie obudził.

– Tak, słucham? – szepnęła.

– Cześć. – To była Tally-Ho. – Co tak niewyraźnie mówisz? Masz coś w ustach?

Toy wściekła odsunęła się od penisa.

– Teraz lepiej? – wyszeptała.

– A czemu mówisz tak cicho?

– Bo leżę w łóżku z facetem!

Wstała, usiłując nie hałasować, i plaskając bosymi stopami, przeszła do gabinetu. Czowała się trochę głupio na golasa. Klimatyzacja w pomieszczeniu jednak błyskawicznie dostosowała temperaturę, żeby nie zmarzła. Tak samo fotel, w którym Toy usiadła.

– Jesteś w Ramon Dare? – spytała już głośniej.

– Nie. Przeniosłam swoją śliczną pupcię zaledwie kilka przecznic dalej. I użyczyłam tej pupci pewnemu młodemu zajebistemu inżynierkowi. Takiemu, wiesz, specowi od komputerów.

– Czego się dowiedziałas?

– Wiesz, mogę mówić głośno, bo on tak chrapie, że ściany się trzęsą.

– O czym ty bredzisz?

– Toy, kochanie, zastanów się trzy razy, zanim coś powiesz. Dobrze?

O co jej chodzi?! Toy mózdzyla jak mogła, lecz o tej porze, siedząc na golasa w cudzym gabinecie, nie potrafiła zmusić swojego umysłu do większego wysiłku. „Zastanów się trzy razy”? Co Tally-Ho chciała jej powiedzieć?

– Czego się dowiedziałas?

– Niczego. Kompletna porażka. Tamtych zabezpieczeń nie da się przejść. Zero, nic, null, w ogóle nie do zrobienia.

– No to po cholere dzwonisz o tej porze, śliczna dupo?

– Toy, zastanów się trzy razy zanim coś powiesz.

Znowu to samo.

– Naprawdę niczego się nie dowiedziałas?

– Niczego. Przykro mi. Nie ma żadnej szansy, żeby dotrzeć do listy nazwisk ośrodka Ramon Dare. Nie można się tam włamać. Nie można uzyskać żadnej informacji. Kompletnie nic.

Nagle Toy olśniło. Vixen nie może mówić, bo wszystko jest na podsłuchu. Każda rozmowa jest rejestrowana. O Jezus Maria! Tally-Ho odkryła coś ważnego, czego nie może powiedzieć przez telefon. Boże, jaka ona sama była głupia. „Zastanów się trzy razy, zanim coś powiesz”? No przecież to jasne i proste jak drut.

– Przykro mi, że nic z tego nie wynikło – powiedziała.

– Mnie również jest przykro. Niepotrzebnie dałam dupy temu chłopakowi. Nic nie umie.

– Głos Tally-Ho brzmiał teraz prawie płaczliwie. Akurat! Toy o mało się nie roześmiała. Vixen by się rozpląkała? A ksywę „Tally-Ho” skąd wzięła? Na pewno nie z powodu płaczliwości. To była dziewczyna stworzona do ataku, a nie stosu przesiąkniętych łzami chusteczek.

– Szkoda. Spróbujemy jakoś inaczej.

– Ja też się martwię. Żeby w ogóle zasnąć, przeczytałam całe „Miasteczko Winesburg” Sherwooda Andersona.

Jest! Strzał, bingo! Ta cholerna, prześliczna Żydówka naprawdę coś wykryła. Coś, o czym nie może powiedzieć przez telefon. Bo w to, że Vixen czyta powieści przed snem, Toy nie wierzyła.

– No dobra. Ja też się spróbuję czymś pocieszyć.

– Spróbuj. Najlepiej wyłączyć umysł. – Tally-Ho zyskała pewność, że Toy zrozumiała jej przekaz. – A co miałaś w ustach, że mówiłaś niewyraźnie?

– Męskiego penisa.

– A jest żeński penis? Bo tak podkreślasz, że był męski.

– Odpier... Odczep się, dobrze?

– Dobrze. Ja tylko tak... – Tally-Ho ziewnęła. – Wracam do mojego chrapiącego inżynierka. Też mu zrobię loda.

– Spróbuj go poujeżdżać. Faceci to strasznie lubią.

– Nie ma sprawy. Zaraz mu powiem „Wio, koniku”. Tylko że to oferma. Z innych ośrodków też nie potrafił wyciągnąć informacji. No, ale o moich porażkach pogadamy jutro.

Ja cię chrzanię! Vixen miała wszystko. Teraz muszą się spotkać w jakimś parku, żeby pogadać.

– Tia... Nie wszystko się w życiu udaje.

– Dokładnie, mała. Dokładnie.

– Dobranoc, śliczna. Rób loda i wsiadaj na koń!

– Tak jest, pani generał! Rozkaz zostanie wykonany natychmiast! – Tally-Ho roześmiała się. – Dobranoc. A ty ujeżdżaj swojego.

– Kto stworzył amerykańską kawalerię?

– Chyba Pułaski.

– No to się będzie mógł ode mnie uczyć.

– Pa, pa, pa.

Toy odłożyła słuchawkę. Nie potrafiła się skupić. Chciała od Tally-Ho listy pacjentów Ramon Dare. Ta cholera na pewno ją zdobyła. Ale nie mogła niczego powiedzieć przez telefon. O co chodzi? „Miasteczko Winesburg”?

„Gudr?”

„Śpię sobie i mruczę. Nie wolno?”

„To ty śpisz i mruyczysz? I w dodatku jesteś złośliwa?”

„Implant przejmuje cechy swojego nosiciela”.

„Do kurwy nędzy! Daj mi na lewe oko treść »Miasteczka Winesburg« Sherwooda Andersona”.

„No to, kurwa, ci daję. I daj mi chwilę pospać po seksie”.

„Ja cię chrzanię! Ty klniesz jak ja i jesteś wredna jak ja? I w dodatku śpisz?”

„No, kurwa, tak. Zmień mnie, jeśli potrafisz”.

„Ty czujesz seks?”

„Jestem częścią ciebie. Czuję, czuję, czuję”.

„I naprawdę potrafisz spać?”

„Nie. Tylko część mnie śpi. Ale gdy zaczniesz go gwałcić, to chętnie obudzę tę część. Niech ma coś z życia”.

„Boże, nie wiedziałam, że wszczepili mi istotę inteligentną”.

„To tylko komputer, który tłumaczy moje odczucia na ludzki, kurwa, język”.

„Przestań kłąć przez cały czas”.

„Nie ma sprawy. To po prostu efekt tego, że i ja, i komputer przystosowujemy się do ciebie. Usiłujemy mówić twoim językiem”.

Toy westchnęła.

„Dobra, dawaj tę powieść”.

„Mówisz, masz”.

Toy przymknęła oczy. Sherwood Anderson, „Winesburg, Ohio”. Zbiór opowiadań, amerykańska klasyka, tomik napisany w 1919 roku. Kilkanaście recenzji sieciowych, większość nieciekawych. Po prostu starość i tyle. O co mogło chodzić Tally-Ho? Zaraz, zgaśniła się w myślach. Przecież kazała jej wyszukać nazwiska z Ramon Dare. No trudno. Zaczęła czytać tekst pod lewą powieką. Nuda, nuda, nuda... Nic się nie dzieje, nikogo nie zamordowano ze szczególnym okrucieństwem, nie zgwałcono, malując wcześniej farbą, nikt nie konstruuje w piwnicy bomby atomowej. No przecież to już lata dwudzieste dwudziestego wieku. Mogliby tę bombę zrobić, gdyby się postarali. A tu nic, nawet głupiego semtekstu nie wymyślili. Boże, co za nudy... Dotarła do postaci miasteczkowego nocnego strażnika, złodziejaska i wykolejeńca. Co za pokraczna postać. Nagle zamarła.

– O Boże! Boże!!! Jezus Maria!

„Co się stało? Toy, nagle skoczyło ci ciśnienie”.

– Jezus Maria! Ja już nie żyję!

„Co się stało?”

– Chryste!

„Co się stało? Jak pomóc?”

„Nie można mi pomóc. Rozmawiasz z trupem, Gudr!”

„Dlaczego? Ja nie chcę ginąć razem z tobą. Chcę, żebyśmy obie żyły.”

„No to daruj sobie marzenia o dalszym życiu”.

– Jezus Maria! – powiedziała na głos.

Nazwisko tego gościa z „Miasteczka Winesburg” brzmiało... HIGGINS.

Koniec.

* * *

Ocknęła się naga na fotelu w gabinecie kilka chwil później. Gudr panikowała.

„Wszystkie parametry twojego ciała wróciły do normy. Wyregulowałam ciśnienie, tętno, poziom adrenaliny i hormonów. Toy! Ocknij się!”

„Już w porządku”.

„Czemu chcesz przestać żyć?”

„Ja nie chcę. Wiem, że inni mnie do tego zmuszą”.

„Nie, Toy. Walczymy razem!”

„Tak. Z tym, że to będzie Alamo”.

„Toy, ja nie chcę ginąć. Nie chcę, nie chcę, nie chcę, nie chcę!”

„Zamknij się i odpowiadaj na pytania”.

„Jakie?”

„Czy potrafisz rozpoznać inną Valkirię?”

„Nie. My jesteśmy niewykrywalne”.

„Czy lubisz seks w moim wykonaniu?”

„Tak. Bardzo lubię. Jestem przecież samicą, jak ty”.

„Czy kiedykolwiek podczas naszego wspólnego życia ciągnęło cię do jakiegoś faceta, którego widziałam?”

„Nie, nigdy. Oprócz Jacka Higginsa”.

Toy znowu westchnęła. Wyciągnęła papierosa z własnej paczki ciągle leżącej na biurku.

„No to pokochałyście się. Ty i twoja siostra”.

„PRZEKAZ NIEZROZUMIAŁY”.

„Kochałaś się z własną siostrą, debilko! I mnie do tego zmusiłaś. Kochałaś się z inną Valkirią!”

„Higgins?”

„Tak. Odpowiedz sobie na pytanie: dlaczego nie czujemy jego zapachu?”

Odpowiedź padła natychmiast:

„Masz rację, Toy. On też ma Valkirię”.

„Co teraz?”

„Ty dowodzisz”.

„Podpowiesz coś?”

„Ja jestem tylko zwierzątkiem w tobie. Jedyne, co wiem, to że nie chcę umierać, nie chcę umierać, nie chcę umierać. I zrobię wszystko, żeby do tego nie doszło. Nie poprowadzę cię do ataku. Ale ty mnie możesz. – Przerwa. – Zabijemy go?”

„A zabijesz inną Valkirię?”

Gdzieś we wnętrzu słyszała warczenie, pisk, obraz rozerwanej na strzępy zdobyczy, smutek zranionego wilka, samotność i chwałę zwycięstwa. Jeśli oczywiście to się dało

wyrazić obrazami. Przynajmniej tak interpretowała to Toy. Gudr jednak podjęła decyzję.

„Tak. Zabiję”.

„To szykuj się na najgorsze”.

„Jestem gotowa, Toy. Jestem gotowa”.

– No to wszyscy na stanowiskach – powiedziała na głos. – Wszystkie ręce na pokład.

„Co?”

„Nie zrozumiesz tego. Kiedy okręt tonął, kapitan miał prawo wydać komendę: »Wszystkie ręce na pokład«. Każdy, kto żył, musiał się stawić na froncie. Jeśli się nie stawił, mógł być nawet powieszony na rei. – Zawahała się. – Czy jesteś na pokładzie, Gudr?”

„Jestem, Toy. Jestem”.

„No to gazu!”

Trzęsły jej się ręce. Podniosła słuchawkę stacjonarnego telefonu. Drugą ręką zdjęła nakrętkę z butelki, która ciągle stała obok. Pociągnęła dwa głębokie łyki.

– Dzwonię z gabinetu wiceprezesa Caltrona. Proszę sprawdzić.

– O Jezu... – Rozległo się po chwili w słuchawce.

– Na razie to jeszcze nie Jezus, ale blisko, blisko... Chcę się połączyć z królową Mobutu w Afryce. Mobutu Harris, ale mogła zmienić nazwisko.

– Już łączę.

„Valkiria, daj z siebie wszystko. Oni nas nie mogą podsłuchać”.

„Nie dam rady”.

„No to żegnaj się z życiem”.

„Dam radę. – Implant wyraźnie zmienił zdanie. – Włącz komputer”.

Włączyła. W telefonie rozległ się bardzo gniewny głos, mówiący w jakimś dziwnym języku.

– Chcę, kurwa, rozmawiać z kimś, kto zna angielski – powiedziała bardzo uprzejmie. – Tu Caltron.

Musiała czekać dobrą minutę. Wreszcie po drugiej stronie odezwał się człowiek posługujący się szkolną angielszczyzną.

– Czym mogę pani służyć?

– Daj mi do telefonu Mobutu.

Aż się zachłysnął. Nie mógł uwierzyć, że ktoś w ogóle poważił się na takie chamstwo. Choćby i Caltron. Desperował długo, wywodząc, że królowa właśnie ucięła sobie drzemkę i nikt nie będzie śmiał jej budzić. Używał nawet niecenzuralnych słów. No, takich, które znał w swojej śmiesznej angielszczyźnie.

– Powiedz, że dzwoni Toy. Albo jutro jesteś krótszy o głowę.

Chyba nie zrozumiał. Krzyczał jeszcze głośniejszym głosem. Wymieniając jej imię. Musiał biedak obudzić królową, bo trzask uderzenia w twarz słuchać było bardzo wyraźnie. Toy skuliła się na fotelu. Facet dostał jeszcze z łokcia, ponieważ stracił oddech, a później kolanem, ponieważ

zaczął piszczeć. Mobutu miała ponad dwa metry wzrostu i odpowiednią siłę.

– No cześć, kochanie. – Usłyszała w słuchawce. – W jakie gówno wdepnęłaś?

– W takie, że czuć stąd do Antarktydy.

– Trzymaj się, piesku. Jak mogę pomóc?

– Odczułam nagłą potrzebę rozpoczęcia kariery dyplomatycznej.

– Jutro masz w ręce paszport dyplomatyczny kraju M'pondo, ambasador wręczy prezydentowi listy uwierzytelniające. Chcesz być attache kulturalnym?

– Może być. Daj mi cokolwiek.

– Jutro masz w rękach – powtórzyła Mobutu. – Mów, w co wdepnęłaś.

– Nie mogę. Pewne coś w mojej głowie usiłuje kasować treść naszej rozmowy, ale nie wiem, na ile jej się udaje.

– Jej? Powiedziałaś: jej? To kobieta?

– Samica. Błagam, nie pytaj. Grozi mi czapa.

– Jezu. Jutro masz podstawiony samolot. Jeśli nie możesz dotrzeć na lotnisko, jedź do Waszyngtonu i zgłoś się do ambasady. To teren eksterytorialny. Zwiewaj, mała!

Toy chciała podziękować. A potem czas jakby zwolnił. Jakby nagle wszystko zaczęło się dziać wolniej, wolniej... Zwiewać? Tak. Ale kim jesteś, mała? Człowiekiem, który stawi czoła niebezpieczeństwu? Czy tchórzem, który spierdala najszybciej? Tchórz na pewno przeżyje. A człowiek ma przesrane. I co? Na nagrobku nie napiszą, że stanęła do walki. Napiszą tylko daty urodzin i śmierci plus ekstra jakieś epitafium. Na przykład „Bóg tak chciał”. A czy ona przejmuje się jakimś tam Bogiem? Przypomniała sobie wiersz: „A jak kolbami w drzwi załomoczą, to co zrobisz? Podniesiesz ręce, czy chwycisz za broń?”

– Mobutu?

– Co, kochanie?

– Nie przysyłaj samolotu.

Westchnienie po tamtej stronie. Długa chwila milczenia. Cisza, cisza, cisza. A później ledwo słyszalne:

– Rozumiem. Zostajesz na froncie.

– Wszystkie ręce na pokład, krzyknął kapitan.

Mobutu roześmiała się smutno.

– Widzisz – powiedziała. – Tacy porąbańcy jak my zmierzamy w jedną stronę. To Limbo.

– Maui.

– Fiddler's Green.

– Hilo!

Śmiały się już obie. Żeglarze mieli wiele określeń na krainę śmierci. Wszystkie jednak znaczyły to samo. Mobutu spoważniała pierwsza.

– No dobra, mały ołowiany żołnierzyku. Walcz. Paszport dyplomatyczny dostaniesz jutro do rąk własnych.

– Dzięki.

– I pozwól, że zatrudnię jednego z naszych kolegów, żeby chronił twój śliczny tyłeczek. Moje królestwo stać na wszystko.

– Nie wygłupiaj się.

– Nie wygłupiam się. Jestem królową. Z twojego zresztą nadania. Fajny fach. Żarcia po uszy, picia też, forsy jak lodu, a kiecki takie, że dwanaścioro dzieci musi za mną tren nosić. Ot, co!

– A kiedy ostatnio wyglebiłaś się na przyjęciu dyplomatycznym?

– Czytasz brukowce? No, wyglebiłam się. Byłam bez majtek, bo tu strasznie gorąco. I ambasador Chin dostał apopleksji! – Mobutu wyraźnie chciała się tym pochwalić, ponieważ powtórzyła: – Apopleksji!

– A co to jest?

– Nie wiem. Ale on dostał.

Toy błyskawicznie sprawdziła w sieci, o czym mówiła Mobutu. Jakie fajne zdjęcia!

– Masz niesamowitą fryzurę. Mówię o tej tam na dole.

– No masz! Mam dwie fryzjerki, które strzygą mnie jak trzeba. Kiedy się na golasa przeglądam w lustrze... – urwała nagle. – Toy, wariatko. Skończ wreszcie te wojny i przyjeżdżaj do mnie. Będiesz miała dwie fryzjerki, które ci tak cipkę wygolą i ufarbują, że faceci dostaną apopleksji!

– Mam tam zwykłego irokeza. I z nim udaję się na wojnę.

– Wiedziałam. – Mobutu nigdy nie mnożyła trudności. – Żegnaj. Choć mam nadzieję, że „do zobaczenia”. Powodzenia, piesku!

– Dzięki.

Toy odłożyła słuchawkę. Zapaliła kolejnego papierosa. Musiała przemyśleć parę nieprzyjemnych spraw. Nie potrafiła tylko zrozumieć, jak sama mogła być tak beznadziejnie głupia. Dzięki Tally-Ho wszystkie kamyczki mozaiki układały się w jasny i czytelny wzór. Jack Higgins był narkomanem leczonym w Ramon Dare. Sam mówił, że miał problemy. Teraz jest wiceprezesem Caltronu. Ośrodek leczenia uzależnień jest więc własnością Caltronu. Co tam robili? To proste. Przygotowywali ludzi na przyjęcie Valkirii. Całe życie stało jej przed oczami. Prywatny detektyw Paul Iceberg wyciągnął ją z kurewskiego bagna, szkolił, uczył tajników zawodu, a potem zostawił jej spadek wartości kilku milionów dolarów. Gdzie tyle zarobił? No gdzie? To Caltron. Chciał mieć kandydatkę ze zniszczonymi tymi partiami mózgu, o które im chodziło. Narkomanka. Tak samo jak dystyngowany, wielki i genialny pan Higgins. Tyle że on odebrał wspaniałe wykształcenie, więc zrobili go wiceprezesem. Ciekawe, czy wywąchiwał nastrój przeciwnika w negocjacjach biznesowych?

Boże! To wszystko to jedno wielkie udawanie. Ta operacja na jej mózgu, podczas której lekarze dziwili się, że ma już wszczepiony bioimplant, udawali, że nie wiedzą, skąd pochodzi. Odstawili przed nią cały cyrk. A ona po prostu była przygotowana na przyjęcie Valkirii. Już z

góry wiedzieli, kto będzie nosicielem. Teraz będzie im potrzebna do wykonania jakiegoś zadania. Nie jest tak inteligentna jak wielki pan Higgins, więc nie zatrudnią ją na stanowisku wiceprezesa. Gdy wypełni misję, czeka ją odziana w biel pani z kosą. Nie mogli przecież ryzykować, że ktokolwiek z czymś takim w głowie będzie dalej żyć. O co tu chodziło?

Higgins obudził się i przyszedł do gabinetu kompletnie rześki. No, nic dziwnego skoro sam miał Valkirię we łbie. Był nagi, Toy uklękła przed nim. Znowu wzięła do ust jego penisa.

– Już wiesz, że też mam implant?

Szlag! Wiedział wszystko.

– Nie ryzykowałabym drażnienia mnie, gdy mam w ustach to, co mam – powiedziała niewyraźnie.

Roześmiał się. Jednak, mimo wszystko, był fajnym facetem. Też przygotowanym przez Caltron do jakiejś misji.

– Skąd wiesz? – Członek w jej ustach powiększył się wyraźnie.

– One nie śpią, idiotko. Ja śpię, część Valkirii też, ale część plus komputer ciągle czuwa.

– No już dobrze, dobrze. – Posuwając się na kolanach, popychała Higginsa w stronę ściany. Kiedy się o nią oparł, zaczęła energicznie pracować ręką. Higgins jęknął.

– Skąd wiesz, że mam Valkirię? – spytał nagle. – Ta twoja koleżanka, ta piekielnie piękna Żydówka to wysłodziła? Jest aż tak dobra?

Spojrzała z dołu w jego oczy.

– Błagam, nie zabij jej. Proszę.

– Ale wiesz, co może cię czekać? – Najwyraźniej postanowił być szczery.

– Wiem... – O mało się nie zakrztusiła, bo właśnie miał wytrysk. Przełknęła z trudem. Wstała z klęczek i wypila trochę wody mineralnej z karafki na biurku. – Wiem. – Oparła nagie pośladki o zimny blat, który natychmiast zmienił temperaturę.

– Nie chcę być złym prorokiem. Sam nie bardzo wiem, o co tu chodzi. I nie bardzo mogę gadać. – Wskazał ręką swoje ucho i sufit.

Domyśliła się. Poszli razem do łazienki. Kiedy stanęli pod prysznicem, spytała cicho:

– A może byśmy poszli na spacer do parku?

Prychnął śmiechem. Wyszedł z kabiny, ociekając wodą, klepnął palcami lustro na ścianie, na którym ukazał się ekran komputera.

– Do parku? – Gmerał palcami po lustrzanej tafli. – A z jakiej ławeczki chcesz mieć podgląd? – Na ekranie kolejno ukazywały się wszystkie miejsca służące do wypoczynku. – Z której chcesz mieć podsłuch?

– O Jezu!

– Nie. Mów mi po staremu: Higgins.

Złapał ręcznik i wytarł się energicznie.

– Chcesz pogadać tak, żeby nikt nie słyszał? To masz, napisz. – Podał jej notes i długopis. – Napisz: „Higgins jest głupi!”.

Napisała: „Higgins wbrew pozorom jest fajny”. Stał odwrócony do niej plecami. Po chwili pstryknął palcami. Na tafli lustra momentalnie ukazał się napis: „Higgins wbrew pozorom jest fajny”.

– Widzisz?

– O Matko Boska!

– No, nie. Najpierw nazwałaś mnie Jezusem, a teraz zmieniałaś mi płęć i jestem już tylko jakąś tam Matką Boską. Zdecyduj się.

– Boże, Boże, Boże...

– O, znowu awansowałem.

Ukryła twarz w dłoniach. Świat totalnej inwigilacji. Higgins podszedł do Toy, ujął jej twarz w dłonie i zaczął całować. Była zdziwiona, bo żaden facet nie całował jej po seksie. I nagle zrozumiała. Pozwoliła, żeby wsunął język do jej ust.

„Tu Gudr! – Usłyszała w głowie. – On mówi, że my się możemy porozumieć. My, Valkirie. I nikt nie będzie słyszał!”

„Dzięki, dzięki, dzięki!”

„On mówi: już tak nie dziękuj. To był zwykły seks”.

Myślała, że ryknie śmiechem i o mało nie wypluła jego języka z ust.

„Powiedz mu, że jest naprawdę fajny”.

„On to wie, Toy. I czuje do ciebie to, co ty do niego”.

„A co ja do niego czuję?”

„Chcesz, żeby był twoim mężczyzną”.

„Ty to mówisz, czy on?”

„Ja! Ale ja też tego chcę!”

„Weź na wstrzymanie! Ja tu rządę!”

„Żebyś się tylko nie zdziwiła, gdy zaraz znajdziesz się znowu w jego ślicznym łóżeczku”.

„Wariatka!”

„Głupia!”

Toy otarła pot z czoła. Co było dość trudne, zważywszy, że miała tuż przed nosem twarz Higginsa.

„On mówi: idź do swojej agentki, tej prześlicznej Żydówki i uprzedź ją, żeby niczego nie mówiła. Jeśli czegoś się dowiedziała, niech ci to przekaże w inny sposób. Powieść »Miasteczko Winesburg« przeanalizowało już jakieś sto komputerów w tym budynku. Oni już wiedzą, że wiesz”.

„Spytaj: jak mam się z nią porozumieć?”

Poczuła lekkie drgania swojego języka.

„On mówi: Kup płaszcz. Musisz go natychmiast uprać. Mokry włożyć na siebie, żeby na chwilę zablokować zaszytą elektronikę. Potem Vixen pod płaszczem ma ci pisać palcem na ręce to, co chce powiedzieć. Ja odczytam, co ona napisze ci na skórze. Użyj mnie”.

„Skąd wie, że Vixen dowiedziała się ważnych rzeczy?”

„Nie jest głupi. Jest po twojej stronie. A Tally-Ho poderwała najlepszego inżyniera Caltronu. Facet sprawił, że stał się cud. Obszedł jakoś zabezpieczenia. To naprawdę cud”.

„O co mu chodzi?”

„Nie wiem”.

„Co nam może złego zrobić?”

„Wszystko, Toy. Wszystko”.

„Co mam robić?”

„Nie wiem, Toy. Jestem tylko zwierzątkiem w twojej głowie. Pomogę ci w akcji, ale nie przy podjęciu decyzji”.

„Czy jest szczery?”

„Nie wiem. Ale jego Valkiria jest szczerą”.

„On chce dla nas dobrze?”

„On tak. Strasznie go interesuje, co się dzieje. Sam nie wie. Ale...”

„Ale co?”

„Toy, on ma inną Valkirię w głowie niż ja. Ledwie mogę się z nią porozumieć”.

„Jak to inną? Chryste! O czym ty mówisz?”

„Nie wiem. Ledwie potrafię się z nią porozumieć. To jest inny implant. Prawie nie rozumiem, co mówi. – Gudr milczała dłuższą chwilę, a później powiedziała: – Toy, uciekajmy stąd!”

A jak kolbami w drzwi załomoczą, pojawiło się w głowie Toy. Co zrobisz? Podniesiesz ręce? Czy chwycisz za broń?

„Zostajemy na miejscu, Gudr – powiedziała do Valkirii. – Walczymy dalej”.

„Może być. Walka mi się podoba. Jestem do niej stworzona”.

„Nareszcie ktoś, komu jest dobrze”.

„Jak go zabijemy?”

„Przestań. Jesteś monotematyczna”.

Higgins przestał ją całować.

– Idź do inżynierka – polecił. Potem mrugnął do Toy. – Wykonaj swoje zadanie. Będę...

Valkiria dopowiedziała: „Będę cię chronił. Jak tylko będę mógł. Ale uważaj strasznie. To już nie są żarty”.

„OK. Zrozumiałam. Kocham cię”.

Gudr w jej głowie o mało nie eksplodowała. Przed oczami Toy pojawiła się wizja jej samej w ślubnej sukience z gołymi plecami, prawie że gołą pupą, biustem praktycznie na wierzchu i odsłoniętym biodrem. A potem noc poślubna.

„Gudr? To ty czy on?”

„Ja, ja, ja! Ale będziemy ślicznie wyglądały!”

„My?!?”

„No przecież jestem samicą, tak jak ty. Seks, seks, seks!”

„Gudr, posłuchaj mnie uważnie. Czy on też ma samicę w mózgu?”

„Tak, oczywiście. Ale tak dziwną, że naprawdę ledwie potrafię się z nią porozumieć. Jakbym mówiła do młodszej siostry, do dziecka. Albo do osoby upośledzonej. Ona niewiele rozumie”.

„Jezu Chryste! Nareszcie coś zrozumiałam”.

Toy po prostu olśniło.

„Gudr! Zachowaj się jak prawdziwa Valkiria. Zaprowadź duszę poległej wojowniczkii do Walhalli. Dosiądź wilka albo skrzydłatego konia i mnie tam zaprowadź”.

„Nie, mała. Wytrzymaj w swoim okopie”.

„Ale nie mamy szans – Zamyśliła się na chwilę. – A w cholerę! W Alamo też nie mieli. Wszyscy zginęli. W wąwozie termopilskim trzystu Spartan broniło się przed całą armią. Wszyscy zginęli...”

„A pod Westerplatte trzymali się przez cały tydzień i prawie nikt nie zginął. Też przeciwko całej armii. Kwestia użycia rozumu”.

„Boże! To ty znasz historię?”

„To nie ja. To mój komputer. Ale zrobmy tak, żeby to nie były Termopile. Tylko Westerplatte”.

„OK. Masz jak w banku”.

* * *

Inżynier wstrzelił Toy w sen tak sprytnie, że nie miała już zmienionych własnych wspomnień. Podlegała jedynie Mistrzynie Snu. Jechała dorożką przez Półwysep Helski, widząc morze po jednej i zatokę po drugiej stronie. Piękny widok. Kiedy dotarła do Jastarni wieczorem, zachwyciły ją wspaniałe pałace oświetlone wieloma pochodniami.

– Gdzie konkretnie jedziemy? – spytał fiakier.

– Do najważniejszego.

– Aha.

Podjechał pod największy pałac rozjarzony mnóstwem świateł. Wokół łąziły watahy lokajów i ochroniarzy. Toy przywitał sam majordomus.

– Witamy nowego członka dworu. Jest nam niezmiernie przyjemnie z okazji pani przybycia.

Mistrzynie Snu była niesamowita. Musiała chyba znać wszystkich uczestników gry osobiście. Majordomus zapłacił dorożkarzowi, nie patrząc na kwotę. Zaprowadził Toy do przedsionka pałacu.

– Chyba jestem nieodpowiednio ubrana. – Wskazała swoją lotniczą kurtkę.

– Ależ nie. Wprost przeciwnie. Imperatryca uwielbia egzotyczne stroje.

W otoczeniu sług wprowadził ją do ogromnego przedpokoju, który przypominał średniowieczną katedrę. Zdjęła czapkę i szalik. Wymacała rewolwer ukryty za paskiem z tyłu. Tkwił na posterunku. Sześć strzałów, bo nie zdąży przeładować szybko. Lepsze niż nic. Nikt jej nie rewidował. Większość postaci wokół to były komputerowe programy. A ci żywi w rzeczywistości tkwili w komie w szpitalnych łózkach.

Potem wprowadzono ją na salę balową. Takiego przepychu nie widziała w życiu. Ogrom i tłum gości przytłaczały. Wreszcie Toy zobaczyła Imperatrycę. Kobieta miała wspaniałą suknię, która nic nie ukrywała. Nagie ramiona, odsłonięte ręce, gołe plecy, piersi praktycznie na wierzchu.

„Gudr, to nimfomanka. Możesz wysledzić?”

„Stąd nie mam szans”.

Toy zauważyła przy sukni Imperatrycy dwa złote colty w zgrabnych olstrach.

Boże! Znowu ją olśniło. Dzięki Shainee, która oglądała stare filmy, a Toy śledziła je jednym okiem. „Dwa złote colty”! Klasyczny western z Henrym Fondą, Richardem Widmarkiem i Anthonym Quinnem. Jeden przeciwko wszystkim. Poświęcający nawet przyjaciela, żeby osiągnąć zwycięstwo. Zdobyła pewność, że Mistrzynie Snu poświęci wszystko, żeby osiągnąć swój cel. Pytanie: jaki to cel?

„Gudr, czy możesz ją zidentyfikować?”

„Z krainy snu nie mogę”.

Nagle pod czaszką Toy rozległ się pisk przerażonego zwierzęcia.

„Co się stało?!”

„Ona nas otacza!”

„W jaki sposób?”

„Nie wiem. Czuję się osaczona!”

Ciekawe, co to miało znaczyć? I czy Valkiria wytrzyma?

Imperatryca wstała z tronu i podeszła do Toy. Zgrabnym ruchem wyjęła dziewczynie colta zza paska za plecami. Przyjrzała się uważnie.

– Colt reb confederate? – Wydęła wargi. – Dobry wybór. Też bym się na niego zdecydowała. Świetnie strzela. Ale tylko na bliski dystans.

Toy nie wiedziała, co powiedzieć. Stała ogłupiała i nie rozumiała, co się dzieje. Valkiria w jej głowie popiskiwała cicho. Imperatryca wsadziła rewolwer z powrotem za pasek, z tyłu, pod kurtkę dziewczyny. Poklepała Toy po tyłku. Gudr zaczęła wyć.

„Zabije nas!”

„Niby jak?”

„Ma do dyspozycji takie komputery, przy których nasz w mózgu jest jak ziarnko grochu przy Mount Everest. I nie wiem, czy ona jest Mistrzynią Snu. Może to tylko fantom?”

Imperatryca uśmiechnęła się uprzejmie. I nawet dość miło.

– Pozwól, że cię przedstawię. – Złapała Toy pod rękę. – Książ Igor. – Pokazała jakiegoś

wystrojonego młodzieńca. – To kniahini Maria, to pan prezydent, nie pamiętam nazwiska, kojarzy mi się z drobiem. A teraz cię zadziwię. – Poprowadziła Toy dalej wzdłuż szpaleru kobiet w balowych sukniach. – Zadziwię i zaskoczę. – Uśmiechnęła się znowu. – Stara przyjaciółka, którą na pewno pamiętasz.

Podeszły do przepięknie ubranej damy w sukni, przy której wszystkie suknie świata wypadały blado. Toy przeżyła szok. To była Kosa. Koleżanka z domu dziecka, która uratowała jej życie, a przynajmniej oczy. Stała, wlepiając w Kosę gały, patrzyła nierozumnie jak wół na malowane wrota. Nie wiedziała, co powiedzieć. Trwała w stuporze, a wtedy Kosa podeszła bliżej i przytuliła ją ciepło.

– Toy, kochanie, jak miło cię widzieć.

– Ja również się cieszę.

Kosa przytuliła się jeszcze mocniej i szepnęła do ucha.

– Toy, ratuj mnie. Wiem, że w rzeczywistości jest ze mną źle. Nie potrafię wyjść z tego snu.

– Domyślam się. Zrobię wszystko.

– Żyję tylko we śnie. W rzeczywistości nie.

– Wiem, pewnie leżysz gdzieś w komie.

– Uratuj mnie, proszę. Albo się zemścij. – Kosa dyszała jej w ucho. – Zemścij się.

– Masz jak w banku, Kosa. Masz jak w banku.

Toy kręciło się w głowie. Czyli ludzie tkwiący w świecie snu wiedzą, że coś jest nie tak poza nim? Prychnęła zła na siebie. No pewnie! Skoro nie mogą wyjść ze snu, to wiedzą. Ale skąd Kosa wiedziała, że Toy jest inna? Że ciągle żyje w realnym świecie i nie zapadła w śpiączkę?

Imperatryca objęła ją czule.

– Poznałaś starą koleżankę?

– Skąd wiedziałaś?

– Do mnie się mówi per „jaśnie pani”. Ewentualnie „wasza wysokość”. Jak wolisz.

– Wasza jaśnie wysoka pani, skąd, do kurwy nędzy, wiedziałaś, cholero, że to moja przyjaciółka?

Imperatryca uśmiechnęła się szeroko. Miała olśniewający uśmiech. Była czarująca. Toy przez chwilę pomyślała nawet, czy się w niej nie zakochać. Na szczęście oprzytomniała. Gudr piszcziała w jej głowie.

„Włamuje się do naszego komputera. Jest już prawie u celu”.

„Może nas zabić?”

„We śnie nie. Ale wie o nas wszystko. Łącznie z twoimi wspomnieniami”.

„Zdażyłam zauważyć. Może przejąć nasz komputer?”

„Nie. Istnieje bramka numer osiem”.

„Co to znaczy?”

„Coś jak paragraf dwadzieścia dwa. Układ nie do obejścia. Nawet ona nie ma takiej możliwości”.

„To w czym problem?”

„Jeśli coś zrobi z naszym komputerem, to będziemy się mogli porozumiewać tylko uczuciami”.

„O Chryste! Wystrzel nas ze snu!”

„Się robi”.

* * *

Obudziła się tak rozdygotana, że inżynier przybiegł z jakąś pastylką i szklanką wody.

– Co się stało?

– Spokojnie, spokojnie. Muszę się po prostu napić.

– Tak pani skoczyły wykresy, że myślałem... już o najgorszym.

– Co?

– Że dostanie pani apopleksji.

Podniosła się z rozkładanego fotela zaciekawiona nagle.

– Co to są te apopleksje? – Przypomniała sobie rozmowę z Mobutu.

Turner się zawahał. Tarł brodę, szukając w miarę jasnego wytłumaczenia.

– To uszkodzenie tkanki mózgowej spowodowane niedokrwieniem pewnego obszaru. Coś jakby wylew lub udar mózgu. – Zamyślił się. – Lecz Valkiria panią przed tym obroniła.

Wylew lub udar mózgu, pomyślała Toy. Biedny ten ambasador Chin, który widział cipkę Mobutu. Trudno, starość nie radość. Pozbierała się, choć cała wciąż drżała.

– Gdzie jest najbliższy bar?

Wybałuszył oczy.

– Bar? W tym mieście? Tu nikt nie pije alkoholu.

– Bez ścierny, dobrze?

Spuścił oczy. Długo mlaskał.

– No jest dwie przecznice dalej, na rogu. Niby pub bezalkoholowy. Ale...

– Ale?

– Hasło brzmi: „Poproszę o kawę po rosyjsku bez kawy”. Pub nazywa się Cosy Corner, lecz nie musi tego pani wiedzieć. Wtajemniczeni nazywają go Coroner.

Uśmiechnęła się.

– Dzięki.

Pobiegła jak na skrzydłach. Tak nią telepało, że naprawdę musiała się szybko napić. W końcu miała tego... tego... jak to mówił Higgins? Ach, przypomniała sobie. Miała tremensa.

Pub wyglądał bardzo przyzwoicie, wręcz wytwornie. Ze ściankami działowymi między stolikami w stylu irlandzkim, które można było zasłonić kotarą i handlować spokojnie bronią.

Toy to nie interesowało. Podeszła bezpośrednio do baru.

– No, nareszcie jestem w Coronerze.

Barman uśmiechnął się lekko.

– Poproszę o kawę po rosyjsku bez kawy.

– Nie ma problemu.

Postawił przed nią szklaneczkę. Kiedy szedł z butelką, zrozumiała, że coś jest nie tak. Barman nagle stężał, a na jego twarzy pojawił się wyraz przerażenia. Toy chciała się odwrócić, lecz nie zdążyła.

Mężczyzna, który podszedł z tyłu, strzelił jej w potylicę. Trafił idealnie. W sam środek.

* * *

Ocknęła się od razu zdezorientowana hałasem i bieganiną wokół. Valkiria wyła w jej głowie. Właściwie piszczała przerażona. Jacyś policjanci trzymali ją w pozycji półleżącej, paramedycy usiłowali zatamować krew, która lała się na podłogę. Barman stał z otwartymi ustami, międląc w dłoniach białą szmatę. Ktoś rozmawiał przez radio. Te dźwięki rozsadyły jej uszy. Zwymiotowała gwałtownie. Ale trzymali ją fachowo. Nie udusiła się własnymi wymiocinami. A potem jeszcze raz. I jeszcze. Opadła im na rękach. Zauważyła, że paramedyk przygotowuje strzykawkę, więc poderwała się wciąż oszołomiona.

– C... Co... co się stało?

– O Jezus, proszę pani – krzyknął barman. – Jakiś wariat podszedł do pani od tyłu i strzelił prosto w potylicę! O Jezus... O Jezus...

Usiłowała dotknąć rany.

– Na szczęście skleiono mi kości klejem Western Chemicals. Mam pancerną czaszkę.

– Proszę nic nie mówić – odezwał się paramedyk. – Muszę zrobić zastrzyk.

– Żadnych zastrzyków. Jestem uwarunkowana.

– Nie przeżyje pani!

„Gudr? Damy radę?”

„Damy”.

Podniosła się z podłogi, choć w głowie jej wirowało. Lecz stała pewnie, policjanci na wszelki wypadek trzymali wyciągnięte ręce, gdyby miała zemdleć. Nie mdlała.

– Ach, wielkie mi coś. Strzał w potylicę – rzuciła od niechcenia. – Co piątek mi się to zdarza. PMS jest gorszy, za to na szczęście tylko raz w miesiącu.

– To szok – powiedział jeden z pielęgniarzy. – Trzymajcie ją mocno!

Policjanci nie mieli pojęcia, co zrobić. Kłębili się wokół Toy niepewnie.

„Gudr? Czy możemy już działać?”

„No pewnie”.

„A widzisz pocisk? Przecież musiał się odbić od mojego łba”.

„Widzę. Leży pod stolikiem, na lewo od ciebie”.

– Przepraszam najmocniej. – Toy wywinęła się z rąk policjantów. Zrobiła dwa kroki i kucnęła pod stolikiem. Znalazła pocisk. Antyrykoszetowy, psiamac – rozcapierzył się jak ośmiornica. Idealny do zabójstw w barze. Wniosek więc nasunął się jeden. To nikt z Caltronu. Oni wiedzieliby, że Toy ma pancerną nieprzebijalną potylicę. Więc kto? Kto strzela w łeb znieca? Valkiria sortowała już całe tony dokumentów. Kto? Rosjanie.

Dziewczyna westchnęła zmęczona – sprawa ma więc już charakter międzynarodowy. Zwymiotowała jeszcze raz. Policjanci chwycili ją za ramiona. A ona podała im rozcapierzony pocisk.

– Tym mnie chcieli załatwić. Szukajcie w kręgach zbliżonych do ambasady rosyjskiej.

Patrzyli jak cielęta, nie mogąc znaleźć słów. Wyjaśniła im, że to antyrykoszetowy pocisk firmy Lapua, kosztuje mniej więcej półtora dolara i rozwała się na pierwszej przeszkodzie. To ją uratowało. Pełnopłaszczowy, słynny „full metal jacket” mógłby jej wepchnąć fragment czaszki do wnętrza głowy. A tu działał profesjonalista. I przedobrzył. Miał zbyt dobry sprzęt. Policjanci patrzyli oniemiała, słuchając sążnistych wyjaśnień Toy.

– O. – Pokazywała swoją potylicę. – Kula weszła tędy. Odbiła się i rozerwała mi kawał skóry. Stąd ta krew. Wyszła tutaj. I poleciała tam.

W opinii policjantów Toy była pierwszą ofiarą strzału w głowę, która dokładnie tłumaczyła, co jej zrobiono, pokazując rany palcem. Nie wiedzieli, co zrobić.

– Strzelał praktycznie z przyłożenia. Czuję ewidentne pieczenie na skórze, więc proch musiał mnie oparzyć.

– Tak! Tak! – włączył się podekscytowany barman. – Morderca strzelał z odległości najwyżej pięciu cali. Jezu... Jakim cudem pani jeszcze żyje?

– Też chciałbym to wiedzieć – powiedział jeden z policjantów.

– A może to był ślepek?

– Nie był. – Policjant podniósł plastikowy woreczek z rozplaszczonym pociskiem.

Na szczęście dalsze wyjaśnienia przerwał Jack Higgins, wkraczając do baru z oddziałem pretorianów w osobach dziesięciu prawników. Oddział rozwinął się natychmiast i otoczył policjantów. Klasyczne okrążenie i to z marszu. Zaatakowali od razu.

– Dlaczego molestuje pan naszego pracownika, pannę Iceberg? – uderzył pierwszy, zapewne potomek samego prefekta pretorianów Gajusza Maximusa.

– Nie molestuję.

– Trzyma ją pan za rękę!

– Ponieważ się słania na nogach. I krew jej leci z głowy.

– To niedopuszczalne. Proszę nam przekazać naszego pracownika natychmiast! Albo postawić mu zarzuty. Czy jest o coś podejrzana?

– Nie. Jest ofiarą.

– Ooo, panowie... O, panowie! – Prawnicy nagle się rozdiskutowali. Później

zdecydowali: – To jest już drugi przypadek zatrzymania panny Iceberg w tym tygodniu. Chcecie ją zaszczyć? Chcecie ją znęcać? Chcecie jej odebrać całą prywatność? Chcecie wywołać nieodwracalne szkody w jej psychice? My na to nie pozwolimy!

Higgins wziął Toy pod rękę i odprowadził do limuzyny, zostawiając żołędujących się prawników. Był wyraźnie wściekły. Milczał i w czasie króciutkiej jazdy, i w windzie. Odezwał się dopiero w swoim gabinecie.

– Zabili też inżyniera, który cię wstrzeliwał w sny. – Nalał sobie wody mineralnej i upił mały łyk. – Myślałem, że już po tobie.

– Mam pancerną czaszkę.

– Tylko, że oni już o tym wiedzą. Następnym razem dostaniesz w usta.

– To Rosjanie.

– Możliwe, choć mało prawdopodobne – zamyślił się. – Niby po co?

– Może chcą zobaczyć, jak wygląda Valkiria?

– Martwa? Chcą wykraść cię z kostnicy?

– Sprawdziliby po prostu jak wygląda. A po roku miałbyś implant Władzypad-1.

Wbiło go w fotel.

– Skąd mogli wiedzieć, że masz coś w głowie?

– Skoro ja się dowiedziałam o tobie, oni też mogli o mnie. Myślisz, że ich służby są głupsze od Tally-Ho?

– Nic nie mów na ten temat. – Wskazał swoje uszy. – Ale po co zabili inżyniera?

– A co zginęło z laboratorium?

– Nic. Tam są dziesiątki kamer.

– A co skopowano, obchodząc kamery?

Wstał i zaczął krążyć po gabinecie. Po chwili zaparzył sobie herbaty. Valkiria leczyła ranę na potylicy Toy. Krew przestała płynąć po karku. Dziewczyna usiadła więc na fotelu Higginsa, kładąc nogi na biurku.

– Odpowiedz mi na trudne pytanie.

– Tak?

– Dlaczego nasze Valkirie ledwie mogą się porozumieć?

Spojrzał na nią gwałtownie. Nawet on stracił opanowanie i ukrył twarz w dłoniach. O mało nie przewrócił łokciem szklanki herbaty stojącej na barku.

– O Jezu... – Wziął się w garść. – Teraz wiem, że wynająłem właściwego człowieka do właściwej roboty. Teraz już wiem.

– Co wymyśliłeś?

– Oni chcą twojej Valkirii, a nie na przykład mojej. Celują konkretnie.

Toy wstała, podeszła do barku i wzięła jego herbatę. Upiła. Rana już nie bolała, nie kręciło jej się w głowie. Gudr działała niezawodnie. Mimo że Toy piła prawie wrzątek, nie poparzyła sobie ust.

– Czym się różnią?

– Nie wiem – odparł szczerze. – A inżynier nam już nie powie, bo leży martwy w prosektorium.

– Ktoś inny wie?

– Ktoś inny wie. Pytanie, czy ktoś inny powie.

Roześmiała się. Podeszła do Higginsa i rozczochrała mu włosy. Przytuliła się do jego pleców. Chwycił Toy za rękę i odwrócił się.

– Palestyna płonie – powiedział. – Ziemia pali się pod nogami.

Zrozumiała błyskawicznie. On też czuł się zagrożony. Nie mógł niczego powiedzieć. Ktoś większy tu mieszał.

– Zdaje się, że stęskniłaś się za koleżanką.

– Taaa... Muszę ją zobaczyć, bo ta głupia prostytutka zupełnie się pogubi w wielkim mieście.

Higgins strząsnął dłoń Toy. Później otworzył drzwi.

– Żołnierzu, idź i walcz w swoim Alamo.

Obejrzała się na niego.

– Nie. To będzie Westerplatte. Wytrzymam te swoje siedem dni. W końcu nawet Bóg tyle potrzebował na stworzenie świata.

Teraz on się roześmiał.

– Nie wiedziałem, że znasz historię.

– Wielu rzeczy jeszcze o mnie nie wiesz. Ale dowiesz się, zapewniam.

Ścisnęła Toy za ramię. Gudr śpiewała coś cicho w jej mózgu. Znowu zobaczyła pod powiekami: on na niej, ona na nim, z boku, z tyłu i od przodu. Wałkiria miała niezłą wyobraźnię. Dziewczyna pocałowała Higginsa delikatnie i wyszła w zakrwawionej odzieży. Któż w pobliżu gabinetu wiceprezesa śmiałby zwrócić jej uwagę? No... co najwyżej strzelić w potylicę. Lecz sądziła, że wszystkie siły Caltronu zostały już rzucone do walki i Ruscy nie podejną za blisko.

Zadzwoiła do Tally-Ho z holu.

– Gdzie jesteś, cholero?

– Tuż obok. Może spotkamy się w pubie?

– Mam dzisiaj alergię na puby.

– To może w parku?

– Przestań oglądać szpiegowskie filmy. Sama mówiłaś: „zastanów się trzy razy, zanim coś powiesz”.

Vixen zrozumiała natychmiast.

– To gdzie?

– Mam ochotę na zakupy.

– OK. To może w sklepie, gdzie ostatnio byliśmy?

– Jasne. Będę za minutę.

Toy pobiegła do motelu. Nie miała czasu się przebrać. Colt springfield wylądował w ciężkiej kaburze na biodrze, a ruger na szelkach pod pachą. Przeszkadzał jej tylko biust. Trochę zawadzał przy szybkim wyciąganiu broni z kabury. Dzięki Valkirii z colta zrobiła ścianę ognia, a potem będzie się zastanawiała nad strzelaniem precyzyjnym z rugera.

W sklepie mrugnęła do Tally-Ho. Ta wiedziała już, o co chodzi. Nie mogła się jednak oprzeć, żeby nie skomentować:

– Aj waj, ty masz całkiem okrwawioną bluzkę. – Usiłowała naśladować teatralny, żydowski akcent. – Ty wiesz, ile taka bluzka teraz kosztuje?

– Właśnie dlatego muszę kupić płaszcz.

– Kurde, bredzisz. Aż tak mocno cię walnęło?

Toy zdjęła z wieszaka pierwszy lepszy płaszcz. Pewnie kilka rozmiarów za duży. I dobrze! Podeszła do kasy.

– Ciebie zupełnie pokręciło. – Gorączkowała się Tally-Ho.

– Spokojnie. Płaszcz jest nowy i trzeba go uprać. Gdzie jest najbliższa pralnia?

Vixen dopiero teraz zaskoczyła.

– A wiem. Zaraz cię zaprowadzę.

Ruszyły w górę ulicy. Nie padło ani jedno słowo. Tally-Ho poprowadziła Toy do wielkiego budynku, być może tego, gdzie mieszkał jej świeżo poderwany inżynierek. Zeszły do piwnicy, do sali z bez mała setką ustawionych pod ścianą pralek. Kilka znudzonych kobiet dyskutowało o czymś leniwie. Dziewczęta wzięły pastylki proszku z automatu i nastawiły pranie. Wciąż w milczeniu. Przez te kilkanaście sekund siedziały na wysokiej ławie. Toy machała nogami, ponieważ nie sięgała stopami podłogi. Potem wyciągnęły mokry płaszcz. Nie nastawiły suszenia. Toy poprowadziła Vixen z powrotem na ławkę.

– Musi wyschnąć.

Nakryła je obie płaszczem. Chwyciła Tally-Ho za rękę, potem za palec i pokazała, że ma pisać na jej przedramieniu. Vixen po krótkiej chwili zrozumiała, o co chodzi. Napisała:

„O Higginsie już wiesz, prawda?”

Toy skinęła głową.

„No to teraz się trzymaj. Następny jest agent Marcy. Jeden z tych, co cię aresztowali i przesłuchiwali”.

Toy po prostu oniemiała. O Jezus Maria! Trumna była coraz bliżej.

„Mieli cztery Valkirie. Jedną masz ty, drugą Higgins, trzecią Marcy. Pytanie: kto ma czwartą? W Ramon Dare leczyli kilkaset tysięcy osób. W Caltronie pracuje szesnaście tysięcy. Nie sposób rozpoznać, kto jest kim”.

Jak zapytać o cokolwiek, skoro nie można mówić? Poskrobała ją paznokciem w rękę. Tally-Ho jednak zrozumiała:

„Ty chyba masz inną Valkirię niż pozostałe. Mój inżynierek tego nie wiedział i nawet on

nie potrafi dojść do sedna. Ale zwrócił uwagę na dziwny drobiazg. Trzy Valkirie mają imiona zaczynające się na literę H. Twoja na G. Jest inna”.

Toy myślała gorączkowo. Ta cholerna Żydówka miała cholerną rację. Mężczyźni zawsze, kiedy tworzyli serię, czy to chodziło o niszczyciele, czy samoloty, czy statki kosmiczne, nazywali każdy egzemplarz serii tą samą literą początkową. Żeby łatwo określić klasę sprzętu. Tu pojawia się teza: litera „G” jest wcześniej w alfabecie niż litera „H”. I teraz pora na pytania, może wnioski. Czy ona ma w głowie prototyp? Mieli cztery egzemplarze. Wszystkie wszczepili. Być może dla niej wyciągnęli z magazynu jakiś starość? Może? A może...? A jeśli wszczepili jej coś, co było za drogie, żeby to zniszczyć, ale po prostu się przestraszyli? I wykorzystali w ostatniej chwili? Tworząc istotę inną niż ludzka. A pozostałe zubożyli? Odebrali część możliwości?

„Ty dobrze myślisz, mała – powiedziała Gudr. – Ty dobrze myślisz”.

„Jesteś inna?”

„Z całą pewnością. Ledwie mogłam się dogadać z Valkirią Higginsa. Ona jest zbyt głupia. Dopiero teraz to zrozumiałam. Jest zbyt głupia”.

„Wyjaśnisz?”

„Nie potrafię. Za mało wiem. Lecz podczas dyskusji z nią, miałam wrażenie, że rozmawiam z urządzeniem”.

„A ty jesteś istotą inteligentną?”

„Sama spróbuj rozstrzygnąć. Po tym, co słyszysz”.

„Czyli te wszystkie gadki o komputerze w mojej głowie są brednią?”

„Komputer jest. Jednak to tylko tłumacz między nami”.

Toy nie mogła się pozbierać. Ściągnęła płaszcz, którym nakryła siebie i Tally-Ho.

– Już suchy – powiedziała do przyjaciółki. Ta patrzyła trochę oniemiała, kiedy Toy pakowała go do najbliższego kosza na śmieci.

Ruszyły w stronę motelu.

– Nie boli cię głowa? – spytała Vixen.

– Nie.

– Jahwe by się zdziwił. – Oglądała jej potylicę. – Przecież ty masz już tam wszystko zagojone.

– Mam fajną koleżankę – rzuciła Toy. Nagle zmieniła zdanie: – Mam fajną siostrę. – Uśmiechnęła się. – Dużo potrafi.

– O kurde balans. O kur... – Tally-Ho potknęła się na chodniku. Zadrobiła kroczkami, żeby odzyskać równowagę. – Musisz zmienić koszulę. Jest cała we krwi. I wszyscy na nas patrzą.

– OK. – Toy przyspieszyła kroku. – Dowiedz się następujących rzeczy. – Wyciągnęła papierosa, zapaliła i zaciągnęła się mocno. – Kto z Caltronu ma pozwolenie na broń? Kto ogląda stare filmy? Konkretnie „Przeminęło z wiatrem”. Kto był w Polsce na wakacjach?

– Jak mam to zrobić?

– Przyduś swojego inżynierka. Omotaj go.

– O co dokładnie chodzi?

– Dokładnie o model colt reb confederate. Taki sam, jaki Rhett Buttler dał Scarlett O'Hara, żeby się mogła bronić. – Toy zaciągnęła się znowu. – To jest kobieta, która zna się na broni, która ogląda stare filmy, tak jak Shainee. Która... – Toy zatrzymała się nagle. – Która jest strasznie samotna... – dokończyła powoli. Zapadła długa chwila denerwującej przerwy. – I potrzebuje kogoś bliskiego.

– Ja cię chrzanię! Jak mam się tego dowiedzieć?

– Już ty wiesz, jak.

Weszły do motelu. Ich pokój przypominał przymierzalnię, pozawalany nowymi ciuchami, które rozrzucone były wszędzie. Shainee karmiła dziecko piersią.

– O, cześć – przywitała się. – Toy, co ci się stało, że jesteś taka zakrwawiona?

– E, nic. Jakiś palant strzelił mi w tył głowy.

– I żyjesz?

– Nie. Zabili mnie. Teraz nawiedzam was i straszę. – Podniosła rękę. – Uuuuuu!!!

Tally-Ho roześmiała się, a Shainee naprawdę przestraszyła. Krzyknęła:

– Duch! Duch!

Vixen przysiadła na łóżku.

– Nie od razu duch ten, co straszysz – powiedziała. – Może to tylko zombie? Albo jakiś wilkołak? Może banshee? Nie rozpoznasz po wyglądzie.

Shainee wyglądała na bliską zawału.

– Boję się wilkołaka! – wrzasnęła.

– No dobra, dobra. – Toy zdjęła zakrwawioną koszulę i resztę ciuchów. – Od dziś będziesz mnie osłaniać. Chcę cię widzieć zawsze dwa metry za mną.

– A jeśli się zamienisz w wilka?!

Już naga weszła pod prysznic.

– Uprzedzę cię chwilę przedtem. Będziesz mogła spieprzać.

Puściła wodę, ale zdążyła przedtem usłyszeć:

– Aha. To w porządku.

Zakrzepła krew z trudem zmywała się z włosów. Toy wiedziała jednak, że zaraz będzie się musiała zmierzyć z trudniejszym przeciwnikiem niż jucha.

– Nie chce ci się spać? – zawołała do niej Vixen.

– Nie. Śpię w pracy!

* * *

Nowy inżynier, który miał ją wstrzelić w sen był wyraźnie zdenerwowany.

Prawdopodobnie śmiercią poprzednika. Drżały mu ręce. Niemniej po kilku nieudanych próbach dopiął celu. Toy znowu znalazła się na Helu, w Jastarni. Bal dawno się skończył. Spała w jakimś cudownym łóżku. Zdążyła zdjąć tylko kurtkę, buty, szalik i czapkę. Służący, który pojawił się w jej pokoju, nie był jednak zdziwiony.

– Jaśnie pani, już idą pokojowe. Prysznic gotowy.

Prysznic? Zaraz... Ostatnie, co pamiętała z rzeczywistości, to właśnie fakt, że brała prysznic. Czy czynności z realu miały jakiegokolwiek znaczenie we śnie? A może... Może było też odwrotnie? Te brednie: książę, Imperatryca? I debilny strzał w potylicę. Jak KGB. Jedno z drugim zaczynało chyba coś łączyć, lecz Toy nie była pewna, czy ma rację.

Pokojowe przysły owinięte tylko ręcznikami. Zrzuciły je, kiedy weszły pod prysznic. Myły Toy bardzo dokładnie, ze szczególnym uwzględnieniem piersi i miejsca pomiędzy udami. Można powiedzieć, że zostało potraktowane wręcz wnikliwie namydlonymi dłońmi. Toy wyszła z kabiny z wypiekami na twarzy. Nigdy jeszcze nie onanizowała jej kobieta. Zrozumiała jedną rzecz. Mistrzynie Snu to lesbijka. Ewidentnie.

Bingo! Mamy ją w rzeczywistości. Z tych kilkunastu tysięcy podejrzanych z listy zrobi się ledwie kilkaset.

Kiedy pokojowe ubierały ją w strój na śniadanie, zwątpiła przez moment w swoją teorię. Widząc gorset, który potwornie ścisnął żebra, a jednocześnie sprawiał, że piersi praktycznie nie były zakryte, lecz jedynie leżały w miseczkach; widząc suknię do kostek i zero bielizny, przez moment pomyślała, że to wymyślił mężczyzna. Jednak nie. To była lesbijka. Mężczyzna dałby Toy minispódniczkę, wręcz przepaskę na biodra, a nie obfitą, szeleszczącą suknię. I to uszytą ze smakiem.

Zeszła na dół, podtrzymując materię sukni w palcach. Żaden szwedzki stół. Kelnerzy roznosili potrawy na półmiskach. Odkłaniała się wszystkim, którzy ją witali. Imperatryca wezwała Toy ruchem ręki. Pozwoliła usiąść tuż obok. To było dość trudne w tak obfitej sukni, ale poradziła sobie jakoś.

– No i cóż, skarbie? – Imperatryca popatrzyła na Toy z miłym uśmiechem. – Nie potrafię cię rozgryźć.

– W jakim sensie, wasza wysokość?

– Wymykasz mi się. Nie wiem, jak. Jeszcze...

Z boku dosiadł się książę Igor. Nalał sobie wina i nałożył pieczeni.

– Może ja wiem, jak?

– No, słucham – powiedziała Imperatryca.

– A może ona jest chroniona? Tak jak ty, wasza wysokość.

– Niemożliwe. Mieli tylko trzy Valkirie. Wszystkie wszczepione. I jej nie ma na liście.

Trzy? Trzy?! Ona nie wie o czwartej! O Jezusie. To może oznaczać życie.

„Gudr! – wrzasnęła w umyśle. – Czy jesteś prototypem?!”

„Nie wiem, złotko”.

„Przypomnij sobie, cholero! Czy ciebie wyprodukowano jako pierwszą, a późniejsze modele, już seryjne, zubożono, bo czegoś się przestraszyli?”

„Ja nie mam pamięci takiej jak ty. Nie wiem”.

„Gudr, błagam, bądź ze mną”.

„Jestem, kochanie. Nic złego w tej krainie ci się na stanie”.

– Wasza wysokość – powiedziała na głos – o czym książę Igor mówi?

– Byłaś długo zamyślona. Zmieniał ci się wyraz twarzy. Rozmawiałaś z kimś?

Toy postanowiła być bezczelna.

– Z kim?

Imperatryca zmieniła ton.

– A może masz w główce wojskowy implant?

– Ja?

– Ty.

– A co to jest?

– Nie graj głupiej. Co ci wszczepili, że nie mogę cię złapać?

– B-52. Słynny „bombowiec”. Byłam narkomanką.

Imperatryca rozsiadła się wygodniej. Skinęła dłonią, żeby nalano jej wina. Skubnęła trochę kawioru. Kazała podać lody. Znowu trochę wina. Potem spojrzała na księcia Igora.

– No to jesteśmy w domu.

Poderwał głowę.

– Mieli tylko trzy Valkirie. Wszystkie rozdzielone. Później zakazano produkcji.

Toy zrozumiała, że trafiła w dziesiątkę. Zabrała się za kawior, ale okazał się mdły i śmierdział rybami. Lody natomiast były doskonałe. Gorące ciasteczka z czekoladą również. Wiedziała, że to tylko sen, lecz takich frykasów nigdy nie jadła w świecie rzeczywistym. Konfitury z wiśni w winie. Krem z borowików podany z ciastem francuskim. Szparagi po niemiecku pod beszamelem. Smakowało jak nic dotąd, choć wiedziała, że to tylko złudzenie.

Imperatryca uśmiechnęła się do prezydenta.

– Chyba musimy się zbierać, prawda? Zaraz do portu wpływa wasz największy pancernik.

– To prawda. ORP Dragon – zgodził się prezydent. – Ale nie wiem, czy warto być w porcie.

– Dlaczego?

– A jeśli taki pancernik nie wyceluje dobrze i rąbnie w nabrzeże? Wszystkich pozabija.

Toy coraz bardziej zaczynała się orientować w psychice Mistrzynie Snu. Pancerniki, imperia, cudowne suknie i mężczyźni w mundurach lub frakach. Przy czym mężczyźni byli tu mało istotni, skoro obawiali się pancernika w porcie. Dziewiętnasty wiek, początek dwudziestego, mniej więcej. To ta epoka. Choć z drugiej strony... Mogła w ogóle nie mieć facetów jako lesbijka. Jednak do czegoś ich potrzebowała. Próbowala z nimi? Lubiła się

przyglądać?

– Wasza wysokość, czy mogę spytać, jak sobie radzisz bez mężczyzny u boku?

– Ach, jakoś sobie radzę. Od kiedy zostałam wytrzebiona dziewiętnaście lat temu, nie czuję pociągu do mężczyzn i nie narzekam na ich brak.

„Wytrzebiona”?! Odpowiednik męskiej kastracji? No to krąg podejrzanych zmniejszył się właśnie z kilkuset do kilkudziesięciu. Albo i mniej. Ale dlaczego ona o tym mówi? Nie w pełni panuje nad snem? Chwila zastanowienia... Nie panuje!

Toy wstała, biorąc w palce dół swojej upiornie ciężkiej sukni. Fatalnie się czuła z pierściami na wierzchu wylewającymi się z gorsetu. Powtarzała sobie, że to tylko sen. A poza tym w realu miewała gorsze doświadczenia. Wytrzyma i to.

Lesbijka, pracownik Caltronu na mur, a poza tym ekshibicjonistka. Wiedziała już o Mistrzynie Snu sporo. Gdy się obudzi, będzie można ją złapać.

– Wasza wysokość, czy mogę na chwilę odejść?

– Ależ proszę.

Lokaj odsunął Toy krzesło. Drugi pomógł jej przejść przez rzędy pozostałych. Niestety, kiedy wydostała się na wolną przestrzeń, dopadł ją jakiś ambasador przepasany szarfą.

– Ach, witam serdecznie. Zostaliśmy sobie kiedyś przedstawieni, prawda?

– Wie pan, jestem taka roztrzępana... Nie bardzo pamiętam...

– A ja sobie mgliście przypominam. To był chyba raut w ambasadzie Hondurasu... – Zamyślił się. – Nie, już wiem! – Strzelił palcami. – To był pałac królewski w Afryce. Konkretnie w M’pondo!

Spojrzała na niego zbyt gwałtownie. A on się śmiał.

– Jest pani bliską znajomą samej królowej.

– Tak, istotnie.

Oddech jej przyspieszył. Nigdy nie była w M’pondo. Kiedyś tylko na tym terenie, brudna, w podartych wojskowych spodniach, z karabinem maszynowym w rękach, o mało nie zginęła podczas walki w rzece. Ale... skąd oni mogli wiedzieć, że zna królową Mobutu? Znaki zapytania zaczynały się mnożyć.

– Królowa doznała uszczerbku na zdrowiu podczas przyjęcia. Tam się chyba poznaliśmy?

– Możliwe. Wyglebiła tak, że aż jej się kiecka zadarła.

Ambasador spuścił oczy. Nie komentował sposobu mówienia Toy, nawet kiedy go prowokowała. A ona kalkulowała gorączkowo. Wiedzieli nie tylko o jej znajomości z Mobutu, lecz również znali treść rozmowy telefonicznej, jaką z nią ostatnio przeprowadziła. Nie miała wielkich szans. Ale jednak... Niby wiedzieli wszystko, a nie mieli pojęcia, że istnieje czwarta Valkiria, prototyp? Znaczący, że to nikt z kierownictwa Caltronu.

– A słyszała pani o ostatniej aferze?

– Jakiej?

– Ludzie włamują się do kościołów kraść wartości duchowe. Podobno napadają z bronią

w ręku!

Nie zrozumiała aluzji. Ambasador więc dodał:

– Podobno zabijają nawet chrześcijan. Tych dobrych ludzi.

Pojęła.

– Och! – Westchnęła z ulgą. – Na szczęście jestem niewierząca. Nie chodzę do kościołów.

– Tak? – W teatralnym zdziwieniu uniósł oczy. – A ten w Sex Side w Hollywood? Tam chyba ktoś panią widział.

Zaniemówiła. Wiedzieli nawet to? Znali każdy jej krok. Otrząsnęła się i postanowiła się odegrać.

– Wie pan, z przykrością muszę przerwać tę jakże interesującą rozmowę. Potwornie boli mnie głowa. – Teraz ona postanowiła być przewrotna. – Rosyjscy czarnoksiężnicy postanowili rozłupać mi czaszkę. Na szczęście nie potrafili. I policja już ich namierza.

Zdenerwował się. Przez dłuższą chwilę nie wiedział, co powiedzieć.

– Nie sądzi pani, że rosyjscy magowie mogą uderzyć znowu? Bardziej przygotowani, żeby najpierw panią związać, wyciągnąć pani tajemnicę, a potem okrutnie zabić? Nie boi się pani?

– Ja z natury jestem niestrachliwa. – Uśmiechnęła się promiennie. – No i wiem, że to nie byli Rosjanie. Policja zresztą też już to wie.

Znowu się zdenerwował. Widać to było jak na dłoni.

– Niby skąd? – spytał.

– Bo im powiedziałam, gdzie mają szukać – skłamała. Ambasador stracił trochę pewności siebie. Wahał się, co odpowiedzieć. Więc dodała:

– Powiedziałam im też, czego mają szukać.

Walnęło go jak kafarem wodnym, choć usiłował nie dać niczego poznać po sobie. Opanował mięśnie twarzy.

– A jeśli przyjdą ci pseudo-Rosjanie i będą chcieli poznać pani tajemnicę, to co pani zrobi?

– Już to przemyślałam i podjęłam decyzję.

– Jaką, jeśli można wiedzieć?

– Jeśli przyjdą... wyciągnę broń.

Uśmiechnął się niedowierzająco, złożył prawidłowy dworski ukłon i odszedł, mówiąc jeszcze:

– Oby pani zdążyła. Oby zdążyła...

Ruszyła dalej, trzymając w palcach upiornie ciężką suknię. Denerwował ją brak bielizny, ponieważ w pałacu było dość przewiewnie, jak w każdym nadmorskim kurorcie. Ta cholerna lesbijka mogła wymyślić coś lepszego. Niech już wszystkie baby chodzą na golasa, ale żeby nie było morskiej bryzy! Po dłuższym poszukiwaniu udało się nareszcie Toy odnaleźć tę,

której szukała.

– Cześć, Kosa.

– Cześć. – Kosa ledwie podniosła głowę. – Ty już też nie możesz wyjść z tego snu?

Toy uśmiechnęła się. Wzięła od przechodzącego kelnera kieliszek szampana. Upiła łyk.

Znakomity, skonstatowała.

– Ja mogę – powiedziała. – W każdej chwili.

Kosą aż targnęło. Patrzyła w osłupieniu.

– Naprawdę możesz?!

– No pewnie.

Tamta nagle zwątpiła.

– Eeee... Jesteś fantomem wyciągniętym z mojej pamięci.

– Tak? To przypomnij sobie, jak w domu dziecka kruszyli mi w dłoni okulary, a ty uratowałaś mi życie. A gdy już odchodziłaś, dałaś mi swoją zaostrzoną łyżkę. Pamiętasz? Wykorzystałam ją. Rozciąłam nią siatkę i spieprzyłam tej samej nocy. A tego wspomnienia w komputerach nie ma.

Kosa odwróciła się gwałtownie.

– Toy, to naprawdę ty!

– We własnej osobie.

Rzuciły się sobie w ramiona, co, zważywszy jak obie ubrano, łatwe nie było.

– Naprawdę możesz stąd wyjść?

– Naprawdę.

– O, rany boskie!

– No, rany, co prawda, odniosłam – Toy pomacała potylicę – ale jeszcze nie boskie. – Dla pewności zerknęła na dłonie, czy nie zauważy tam śladów po gwoździach.

– Pomóż mi, Toy! Błagam, pomóż mi!

– Ty uratowałaś mi życie i ocaliłaś rękę. Więc spłacę dług co do centa. Co do ostatniego centa.

Kosa spojrzała na nią uważnie. Uwierzyła wreszcie, ponieważ zmienił się jej wyraz twarzy. Znowu była „starą” Kosą z domu dziecka.

– Toy, kim jesteś w realu teraz?

– Prywatnym detektywem, a czasami najemnikiem. Wiesz... parę akcji. Raz w kosmosie, raz w Afryce, potem na Białorusi.

Kosa przytuliła ją znowu.

– Wysłaś na ludzi, mała. Czegoś cię nauczyłam.

– No. Twoja szkoła ewidentnie.

– Koniec uprzejmości. Teraz konkrety. Musisz odnaleźć moje ciało w realu.

Toy odwróciła wzrok. Kosa się zorientowała.

– Co?

Nie wiedziała, jak to powiedzieć.

– Eeeee... Prawdopodobnie leżysz gdzieś w komie.

Kosy to nie zdziwiło.

– Musisz je odnaleźć.

– Daj mi adres mieszkania. Bo pewnie ulokowali cię w którymś szpitalu. I powiedz, jak się nazywasz, bo z domu dziecka pamiętam tylko ksywę.

Kosa była rzeczowa:

– Nazywam się Eva Higgins.

– Jak? – wrzasnęła Toy.

– Eva Higgins.

Toy chwyciła ją za rękę i poprowadziła do małego stoliczka w palmiarni. Lokaje podsuwali im krzeselka, lecz w tych cholernych sukniach można było jednym obrotem wysłać sześć takich krzesełek w kosmos, a malutki stoliczek wręcz na Marsa.

– Co powiedziałaś?

– Eva Higgins.

– Czy twoim mężem jest Jack Higgins, wiceprezes Caltronu?

– Tak.

Wszystkie zapadki w mózgu Toy nagle się pootwierały. Gudr wyła z zachwytu. Toy opadła na krzeselko, o mało się nie wywracając.

– Ale on cię kocha!

– Skąd wiesz?

– Zaryzykował wszystkim, dosłownie wszystkim, żeby cię odzyskać. Karierą, majątkiem, reputacją, zaufaniem szefostwa. To, co miał, położył na jedną szalę. Dla ciebie.

– Skąd wiesz? Coś was łączy?

Toy zaczęła poprawiać pasek przy buciku, żeby ukryć rumieńce.

– Nie. Nic. Po prostu wynajął prywatnego detektywa.

Szarpała się z tym cholernie idealnym paskiem, a twarz paliła ją coraz mocniej. Poprawiła jeszcze suknię, później ułożyła piersi w miseczkach.

– Boże, jak muszę poprawiać te stroje, to dosłownie dostaję wypieków ze wstydu. – Podniosła się wreszcie.

– No.

Toy wypiła kolejny łyk szampana.

– W takim razie wrócę do rzeczywistości. Teraz. Ale wrócę tu. Bądź pewna.

– Proszę, pomóż mi.

– Masz jak w szwajcarskim banku.

Kiwnęła Kosie ręką.

„Gudr. Budzimy się”.

„Masz jak w szwajcarskim banku”.

„O, rany. Powala mnie twoje poczucie humoru”.

„Jakie rany? Nie mam rąk, więc nie mogę nawet marzyć o stygmatach”.

„Jestem pod wrażeniem wspaniałości talentu twoich twórców”.

„A ja jestem pod wrażeniem geniuszu twojego twórcy. Czy to Bóg, czy natura, wszystko jedno. W każdym razie to coś nie spało w robocie i wykonało ją dobrze”.

„O, cholera. Ty się nawet przekomarzać umiesz”.

„Z całą pewnością nie stwierdzam u nas choroby pod nazwą cholera. Po prostu uczę się od ciebie. Nie powiedzieli ci, że potrafię się uczyć od nosiciela?”

„Nie powiedzieli. Oj, chyba jesteśmy inną istotą niż człowiek”.

„Oj, chyba tak”.

Toy zobaczyła pod powiekami kły drapieżnika, usłyszała skomlenie rozszarpywanej ofiary, poczuła zapach krwi. Zobaczyła matematyczne i chemiczne wzory, schematy budowy komputerów, plany, rysunki jakichś urządzeń. I co najgorsze, rozumiała je.

„Gudr. Ja chyba uczę się od ciebie również”.

„Wiem. Tak miało być”.

„No to teraz już wiem, czego się przestraszyli, tworząc ciebie. Razem jesteśmy wojownikiem ostatecznej zagłady”.

„Ano jesteśmy, Toy. Jesteśmy”.

Toy potrząsnęła głową. Implant, który potrafi się uczyć. Jakiś chrzaniony szczyt inżynierii genetycznej. To już było przekroczenie cieniutkiej od niedawna granicy, którą wyznaczył Bóg lub natura. Jak w starym kawale: „Wcześniej staliśmy nad przepaścią. A teraz zrobiliśmy wielki krok naprzód”. No więc, kurwa, właśnie zrobiliśmy. O Jezuuu!

„Gudr, spadamy stąd”.

„Się robi. Mówisz, masz”.

* * *

Obudziła się w laboratorium cała spocona. Prerażony pierwszym tego typu zadaniem w swoim życiu inżynier dopytywał się, co się straszego stało, że pod koniec snu zaczęła drzeć. Odpowiedziała uprzejmie, że ma w dupie jego zainteresowanie, a w ogóle ma PMS-a, więc niech się trzyma z daleka.

Wyszła na świeże powietrze. Owionął ją ciepły wiatr, co przyjęła z ulgą. Nawet przy przepoconej bluzce z Valkirią wewnątrz nie groziło Toy przeziębienie. Usiadła na pierwszej lepszej ławeczce w parku i napawała się widokiem zielonych koron drzew. Usiłowała poukładać sobie wszystko w głowie. Siedziała i siedziała. Słońce już zachodziło, a ona ciągle siedziała i myślała. Jej wypalony narkotykami mózg pracował bardzo powoli. Ale jak zawsze powtarzała – powoli to nie znaczy, że źle. Coś tam się ułożyło.

Zadzwoniła do Tally-Ho.

– Cześć, prostytutko.

– No cześć, ladacznico. Żyjesz?

– Jakimś cudem jeszcze tak. Musisz zdobyć dla mnie trochę informacji. Ale teraz nie puszczam cię w dżunglę. Teraz konkret.

– Co ma być?

– Ledwie kilkadziesiąt nazwisk.

– A, to spoko.

Toy przekazała Vixen wszystko, o co podejrzewała Mistrzynię Snu. Niech wysledzi te kobiety, które spełniają kryteria.

– Ten twój inżynierek to potrafi? – spytała na koniec.

– A co mnie to obchodzi? Najwyżej poderwę innego. – Moment ciszy. – Toy, zmienię temat.

Długą, naprawdę długą chwilę Tally-Ho nie wiedziała, jak zacząć. Wreszcie się zdecydowała.

– Słuchaj, sprzedajna dziwko. Jak ta robota mi się podoba! Cipiłam w burdelu na Księżycu. A tu nareszcie mam przygody, o których marzyłam.

– A to, że ryzykujesz życiem?

– A po co mi było życie w burdelu? Tu jestem prywatnym detektywem. Kimś.

– Cieszę się.

– Nie pękaj, kochanie. Zrobię, co mi zleciłaś. – Roześmiała się. – Twój żołnierz stanie na pierwszej linii frontu. Bo to mu się strasznie podoba.

– Nareszcie jakiś optymizm. Nara.

– No, trzymaj się.

Toy zagryzła wargi i wystukała numer na klawiaturze. Nie miała Higginsa w pamięci telefonu. Niestety, zajęte. Albo komputer jej nie wpuszczał. Wkurzona wstała z ławki. Poszła pieszo w stronę biurowca Caltronu.

– Ja do pana Higginsa – powiedziała recepcjoniście przy drzwiach.

Wybałuszył oczy.

– Była pani umówiona?

– Jestem jego kochanką. – Uśmiechnęła się radośnie. – Mnie przyjmie. I proszę dodać, że ja konkretnie w sprawie Evy.

Przestraszony dotknął przycisku interkomu. Słowo „kochanka” nie przeszło mu przez usta, ale na imię „Eva” aż zgiął się w ukłonie. Przerażony wręcz tłumaczył, że on tylko z niewiedzy, że oczywiście odprowadzi, zaopiekuje się, rozwinie czerwony dywan. Był potwornie spocony, gdy odsunął interkom. Natychmiast otworzył przejście w barierce i skoczył naprzód.

– Proszę za mną.

Z boku pojawił się drugi recepcjonista. Odsunęła ich obu.

– Znam drogę.

Wsiadła do windy. Biła się z myślami. I co ma teraz zrobić? Życie w sztabie czy służba na pierwszej linii?

„Spokojnie, mała – mówiła Gudr. – Jestem przecież z tobą”.

„Odczep się!”

„Nie mogę się odczepić. Jestem do ciebie przyrośnięta”.

„A mogłabyś coś poradzić?”

„Nie, dziecko. Ale musisz coś zrobić, bo nasze życie jest w wielkim niebezpieczeństwie”.

No to wszystko jasne. Tkwi na pierwszej linii frontu. W najbardziej wysuniętym okopie.

Weszła do Higginsa niezapowiedziana. Rozmawiał z jakimiś biznesmenami. O mało nie zakrztusił się wodą, widząc jej wyraz twarzy. Przeprosił towarzystwo uprzejmie i zaprowadził Toy do pomieszczenia obok. Sali konferencyjnej wielkości średniej klasy lotniska.

– Mogę tu mówić swobodnie?

– Raczej oględnie.

– A ja muszę strzelić z grubej rury.

Zaklął cicho i zaczął majstrować przy komputerze. Trwało to i trwało. Mimo że dzięki jego Valkirii palce muskały klawisze w zawrotnym tempie, musiała odczekać dobry kwadrans. Wreszcie się wyprostował.

– Teraz możesz.

Podeszła do niego.

– Dlaczego nie powiedziałeś mi o Kosie?

– O jakiej kosie, do jasnej cholery?

– O Evie.

Spuścił wzrok. Nie wiedział, co zrobić. Zwykły człowiek w zwykłej matni. Cudów nie ma. Nie wleczysz na Mount Everest, machając uszami.

– Jak się dowiedziałeś?

– Była moją koleżanką w domu dziecka. Rozpoznałam ją. – Przysiadła na rogu monstrualnego stołu. – Powiedz mi tylko, czy to jest ta dobra wiadomość, czy zła?

– Zła.

– No to powiem ci tę dobrą. – Uśmiechnęła się ciepło. – Zrobię dla niej wszystko.

Spojrzał Toy prosto w oczy.

– Naprawdę?

Nie odpowiedziała wprost. Zadała pytanie:

– Czy dalej jesteś ze mną w zespole ratunkowym?

– Jestem! – Jak skaut podniósł odruchowo dwa palce. – Jestem!

– Aż tak ją kochasz?

Wyjęła paczkę papierosów, a Higgins zrobił coś, co ją zaskoczyło. Wziął z jej paczki jednego i zapalił. Nie zaciągnął się raz i zgasił, lecz zaciągał się długo z wyraźną

przyjemnością. Toy zaniemówiła. On naprawdę kochał Kosę, a seks z nią to tylko próba obłaskawienia swojego wynajętego detektywa, no i porozumienie dwóch Valkirii.

– Spokojnie, damy radę. – Zeskoczyła ze stołu. Stała pod oknem. – Powiedz mi jedną rzecz. Co się stanie, gdy wyłączą urządzenia?

– Wszyscy ci, którzy zapadli w śpiączkę, umrą. Mamy tylko tydzień.

Tydzień! Jej intuicja dała wcześniej z siebie wszystko. To Westerplatte. Ale... Ale tym razem Toy zamierzała przejść do kontrataku.

– OK. Powiedz mi, gdzie jest Kosa. To znaczy Eva.

– U nas w domu. Stać mnie na wszystkie urządzenia i fachową opiekę. Nie dam jej umrzeć w szpitalu. Choćby i najlepszym.

Pokręciła głową w zadumie. Potem spojrzała mu w oczy.

– Jak ty ją kochasz.

Odwrócił wzrok.

– Ale uwierz mi – dodała szybko – Eva jest tego warta.

– Wiem. – Zdusił papierosa w popielniczce. Musiał popić wodą z karafki na podręcznym stoliku, tak go zemdlila nikotyna. Jego Valkiria działała jakoś dziwnie.

– Naprawdę mogę tu teraz mówić otwarcie?

– Chyba tak.

– Trzecią Valkirię poza naszymi ma agent Marcy. Ten, który mnie aresztował. A właściwie ta, która mnie aresztowała.

Drgnął gwałtownie.

– Co?

– To, co słyszysz. Pytanie, kto ma czwartą, ostatnią. Możesz się dowiedzieć?

– Wątpię. To nie jest mój stopień dowodzenia. To trochę wyżej.

– Ale moją mi włożyłeś do głowy.

– Chciałem odzyskać Evę! Ty masz prototyp, nie seryjną produkcję. Stałem na rękach, żeby to załatwić.

– OK – zgodziła się. – Zawieziesz mnie do Kosy?

– Jasne. Muszę tylko załatwić tych biznesmenów. Zjedź na parking i zaczekaj.

Ruszył do wyjścia. W drzwiach zatrzymał się i odwrócił.

– Jak doszłaś do agentki Marcy?

Włożyła do ust papierosa. Szkoda, że nie miała prochowca i kapelusza! Wydęła wargi w pogardliwym grymasie. Przerzuciła językiem papierosa z prawego kącika ust do lewego i maksymalnie zniżając głos, powiedziała:

– Wynająłeś fachowca, więc pracuję dla ciebie, złotko. Docenił. Zagryzł wargi, żeby się nie roześmiać. Kiwnął Toy ręką i wrócił do swoich interesów.

Zjechała na podziemny parking, ledwie orientując się w skomplikowanych połączeniach między windami. Powinni wywiesić plan budynku. Albo przynajmniej jakieś tabliczki

kierunkowe. Dotarła wreszcie, poblądła z wrażenia. No i gdzie ma czekać? Rozejrzała się po tych setkach hektarów pod budynkiem. Same auta, zero ludzi.

Znienacka drogę zastąpił jej książ Igor. Oślupiała. Czyżby postaci ze snu mogły istnieć w rzeczywistości? Od tyłu podszedł ambasador, który na przyjęciu u Imperatrycy wmawiał Toy spotkanie w M'pondo. Obaj mieli automaty i trzymali palce przy spustach.

– Nawet nie próbuj wykorzystać Valkirii czy tego, co masz w głowie. Nie wiem, co ci tam wszczepili, ale wiem, że w magazynku mam pięćdziesiąt igiełek. Nielegalnych, eksplodujących. Kiedy nacisnę spust, to będziesz martwa, nawet jeśli zamknę oczy.

Nagle Toy usłyszała szmer po prawej. Ambasador doskoczył tam i spomiędzy zaparkowanych samochodów wyciągnął szarpiącą się Shainee. Miała być przecież zawsze dwa metry z tyłu.

– OK. Czego chcesz? – Wróciła spojrzeniem do księcia Igora.

Rzucił im pod nogi kajdanki.

– Ta druga je podnosi. Powoli! Powoli.

Shainee kucnęła. Miała już nóż w rękawie.

– Ani mi się waż – syknęła Toy. – Zapiernicz nas, stoi dwadzieścia metrów dalej.

– Trafie – szepnęła zakonnica.

– Wtedy załatwi nas ten drugi. Chwilowo nie mamy szans.

– Pójdę przodem i zasłonię cię własnym ciałem. Trafie obu, zanim oni do mnie strzelą.

– Ani mi się waż – powtórzyła Toy. – Pysznic z igiełek i koniec.

– Stańcie za najbliższym słupem – rozkazał książ Igor. – Obejmijcie go. Chcę widzieć z przodu cztery ręce! Ta druga z tyłu.

Objęły słup jakby był to bóg miłości. Shainee za plecami Toy cała dygotała, tak strasznie chciała ruszyć do walki. Ale przeciwko eksplodującym igielkom? No niby można byłoby przebiec ze dwa metry. Z rozpędu...

– Ta druga zapnie teraz kajdanki na dłoniach tej z implantem – zakomenderował książ. – Za słupem! Chcę to widzieć.

Shainee mimo dygotu rozumowała prawidłowo. Facet widział tylko cztery splecione dłonie, stał daleko, więc bez wahania zapięła kajdanki na swoich nadgarstkach. Nie zauważył.

„Hurrraaa! – wrzasnęła Gudr w jej głowie. – Żyjemy!

„I niby jak go zamierzasz załatwić?”

„Przyjdzie pogadać. Na pewno mu o coś chodzi”.

„I co dalej?”

„Przegryziesz mu gardło”.

„A ten drugi?”

„A przed tym drugim będziesz się osłaniać ciałem pierwszego. Damy radę. Ja jestem maszyną stworzoną do walki”.

„Ty jesteś kompletnie powaloną idiotką!”

Kniaź Igor podszedł trochę bliżej.

– Musimy pogadać.

„A nie mówiłam? – krzyczała Gudr. – A nie mówiłam? Zaraz przegryziesz mu gardło!”

Tę coraz bardziej idiotyczną dyskusję przerwało piknięcie windy. Drzwi się rozsunęły, ukazując mężczyznę w swetrze. Gudr znowu wrzasnęła w głowie Toy:

„Teraz! Teraz do ataku!”

„Czekaj, wariatko”.

Mężczyzna, widząc wycelowaną w siebie broń, stanął spokojnie. Podniósł obie dłonie, żeby pokazać, że nie stanowi zagrożenia, i usiadł pod ścianą. Pod lekkim, obcistym sweterkiem nie miał broni.

– Proszę sobie nie przeszkadzać, tak tylko wpadłem. Pogadać chciałem.

– O czym? – Kniaź Igor osłupiał.

– O twoim głupim samobójstwie.

– O czym?

– No przecież mówię wyraźnie. Jeśli przyciśniesz spust tej broni, to automatycznie popełnisz samobójstwo. Zostaniesz po prostu zabity.

– Ty nawet pistoletu nie masz!

– No, nie mam. Nie mam.

Mężczyzna pod ścianą demonstracyjnie powoli sięgnął do kieszeni po papierosa. Przypalił zapałką potartą o cholewę buta. Wydmuchnął dym.

– Skosimy was wszystkich! – krzyknął kniaź Igor. Potrząsnął wściekle automatem. – Wszystkich!

– Wątpię. Ale jak mówiłem, to wyjątkowo skomplikowany sposób popełniania samobójstwa.

– Dlaczego?

Mężczyzna pod ścianą uśmiechnął się szeroko.

– Ponieważ nazywam się Pat Dante.

Kniaź Igor zmrużył oczy w szparki.

– A ty tu skąd?

– Królowa Mobutu wynajęła mnie do ochrony tej panienki.

– Skosimy was wszystkich!

Dante złożył ręce jak do modlitwy.

– Mój prapradziad napisał taki poemat o piekle. Nie czytałem tego badziewia w ogóle. Ale spytam cię w imieniu przodka: w którym kręgu piekła chciałbyś się znaleźć? – Zaciągnął się głęboko. Teatralnie zakrył usta i szepnął: – Radzę ci nie w ósmym! Wiem od pradiadziusia. Wybierz pierwszy! Jest promocja na smołę.

– Ty se jaja robisz?

– Nie jestem kurą. Mam swoje na stałe.

Kniaź Igor przeładował pistolet. Wycelował znowu w Dantego.

– Więc jednak samobójstwo.

– Nie masz nawet broni.

Dante skinął głową.

– Maybe Not? – krzyknął.

– Jestem! – Rozległ się głos ukrytej gdzieś najemniczki.

– Cadillac?

– Jestem.

– Hot Dog?

– No musowo na stanowisku. Mam ich na celowniku.

– Yellow?

– Jestem, szefie!

Toy zaczęła chichotać. Jej koledzy są na stanowiskach. Z wycelowaną bronią. Wyszła zza słupa, pokazując Igorowi nieskrępowane dłonie. Dante uśmiechnął się, a potem powiedział:

– Niby chciałem z wami pogadać, ale kłamałem.

Pstryknął palcami. Cztery strzały dosłownie rozniosły kniazia Igora oraz ambasadora. Dante podniósł się spod ściany, wycierając twarz z krwi.

– Ot, i narobili bałaganu. – Wskazał zakrwawione zwłoki. – Przez tydzień trzeba będzie juchę sprzątać.

Nie zdążyła mu się rzucić na szyję. Tabuny ochroniarzy wdzierały się każdym wejściem. Wrzeszczeli potwornie, każąc paść i podnieść ręce. Nawet z Valkirią w głowie Toy nie byłaby w stanie dokonać tego w jednej chwili. Chyba że padłaby na wznak. Dante stał obojętnie pod ścianą. Kiedy do niego podbiegli, wygrażając bronią, wyjął paszport.

– Jestem dyplomatą. Attache wojskowy ambasady królestwa M'pondo.

– A co pan tu robi?

– Przyszedłem wręczyć duplikat paszportu pani Toy Iceberg. Oryginał ukradziono – mówił cicho i powoli. – Żli ludzie jej po prostu zabrali – wyjaśniał spokojnie.

– Ona też jest dyplomatą?

– Oczywiście. To attache kulturalny naszej ambasady. Organizuje pokazy murzyńskich tańców w Waszyngtonie.

– A tamta przy słupie w kajdankach? – indagował ochroniarz.

– A tej to nie znam. Ale może ją rozkujcie, bo chyba cierpi.

– Co tu się stało, do jasnej cholery?

Dante odsunął się od ściany.

– Proszę pana! – ryknął. – Potworna strzelanina! Jak się zaczęło, to kucnąłem, zamknąłem oczy i zakryłem uszy. Bryznęło mi krwią na ubranie.

Toy usiłowała nie ryknąć śmiechem, co okazało się bardzo trudne.

– To obrzydliwe! – kontynuował Dante. – Ale wiadomo, Ameryka to mafia.

– Ty... Ty. Bo cię zaraz aresztujemy!

– Dyplomaty nie można aresztować. Można tylko wydalić. Jakkolwiek obrzydliwie by to nie brzmiało.

Toy z już uwolnioną Shainee zakryły usta, żeby nie pokazać szerokich uśmiechów. Szef ochroniarzy jednak postanowił doprowadzić sprawę do końca.

– Nie chcesz mówić, to nie. I tak sprawdzimy na kamerach przemysłowych.

Dante skończył wycieranie swetra papierową chusteczką. Spojrzał radośnie na ochroniarza.

– Żebyś się tylko nie zdziwił, chłopcze. Żebyś się nie zdziwił...

Tamten nie dawał za wygraną.

– A skąd przyszli? – zapytał.

– A stamtąd chyba. – Dante wskazał kierunek przeciwny do tego, gdzie tkwili jego ludzie.

– Ale nie wiem na pewno. Zamknąłem oczy ze strachu.

Toy nie wytrzymała. Przytuliła się do Shainee i ukryła twarz w jej ramieniu, żeby nie wycieć ze śmiechu. Shainee też niewiele brakowało. Na szczęście tę kretyńską dyskusję przerwało nadejście Higginsa. Szef ochroniarzy podskoczył natychmiast.

– Musimy sprawdzić zapisy z kamer, panie prezesie! Będziemy wiedzieć, co tu się stało.

Higgins nawet na niego nie spojrział.

– Niestety, system padł. Nie mamy żadnych nagrań.

Dante podszedł z boku. Zapalił nowego papierosa. Powiedział do szefa ochrony:

– Zdziwiłeś się już? – Wydmuchnął na niego kłęb dymu. – Zdziwiłeś? – Patrzył kpiąco. – To mam dla ciebie jedną radę. – Puścił promienny uśmiech. – Zmień pracę. Przecież sprzątacze to też ludzie.

Higgins zabrał Toy i Shainee do limuzyny. Kierowca ruszył ostro.

– Co to za jątka?

– Nie uwierzysz. Sama jestem w szoku.

– Dlaczego nie uwierzę?

Odpowiedziała pytaniem:

– Postaci ze snu w rzeczywistości? To możliwe?

Zamyślił się. Odpowiedział po dłuższej chwili.

– Niemożliwe. Wszyscy tkwią w śpiączce.

– A jednak byli.

Napił się wody mineralnej z karafki. Długo namyślał się, jak sformułować pytanie:

– To znaczy, że Eva może powrócić do żywych? Toy znowu zagrała prywatnego detektywa. Przekręciła głowę niczym Sam Spade.

– Tak.

Prawie krzyknął.

– W jaki sposób?!

– Trzeba po prostu zabić Mistrzynię Snu. Próbował się opanować dłuższą chwilę. Potem spytał rzeczowo.

– Jak ją znaleźć?

– Zaraz będziesz miał listę kilkudziesięciu nazwisk. Przejrzyj je. Powiedz, kogo znasz.

Przytaknął. To rozumiał.

– A jeśli zabijemy kogoś niewinnego?

– Pat Dante nie zauważyłby różnicy. A ja wiem, jakie ma kompleksy, na jakim może być stanowisku w waszej firmie. – Wymieniła wszystkie cechy, które udało jej się wysledzić. – Namierzę ją przed upływem tygodnia.

Higgins milczał.

– Pat Dante ją zabije?

Wyszczrzyła zęby jakby była drapieżnikiem. Potem posmutniała i opuściła głowę.

– Nie. Zrobię to osobiście. Za Kosę!

Zrozumiał, że mówi poważnie. Spojrzał na nią po raz pierwszy jak na żołnierza w okopie. Zrozumiał też, że z tego okopu będzie musiała wyjść i pobiec do ataku. Sama.

– Dobrze. Przejrzę te nazwiska. A o co nam chodzi?

– O czwartą Valkirię, przecież ci mówiłam. Spojrzał na nią gwałtownie. Później przypomniał sobie rozmowę sprzed półgodziny i opuścił wzrok.

– No to z listy kilkudziesięciu osób, którą mi dasz, robi się kilkanaście. Dzięki tej informacji.

– Namierzam ją. Namierzam tę kurwę.

Tylko kręcił głową. Ciekawe, o czym myślał. Czy o tym, że nawet jako wiceprezes nie ma dostępu do najbardziej istotnych informacji? Czy też o tym, że sam nie wykazał się sprytem? A może o niebieskich migdałach?

– Zatrzymaj się przy najbliższym sklepie.

– Jakim? – ocknął się.

– Jakimkolwiek.

Limuzyna zaparkowała przy sklepiku z wykwinną żywnością. Toy weszła do środka, uśmiechnęła się miło do sprzedawczynie. Usiłowała opanować nerwy, stres właśnie z niej wychodził. Zażądała najlepszych czekoladek. To nie był zwykły sklep, towary nie leżały na półkach. Ekspedientka doradzała fachowo, sama wyjmując odpowiednie bombonierki. Toy wybrała najdroższą. Chciała zapłacić kartą Caltronu, lecz w ostatniej chwili zmieniła zdanie. Wyjęła swoje prywatne pieniądze i zapłaciła gotówką. Wychodząc, zatrzymała się przy drzwiach. Wyjęła jednego tulipana z ozdobnego wazonu i spytała:

– Mogę?

– Ależ oczywiście, proszę pani.

– Dzięki.

– Zapraszamy ponownie.

Higgins w limuzynie skinął na kierowcę. Samochód szybko włączył się do ruchu. Zapadła krępująca cisza. Toy skubała ozdobną wstążkę, którą przepasano słodczyce, Higgins nerwowo stukał palcami o podłokietnik, Shainee jakby zniknęła, zapadła w wygodną kanapę i prawie nie oddychała.

– Po co ci słodczyce? – spytał wreszcie Higgins, wskazując bombonierkę.

– Nie wiesz, że sieroty z domu dziecka lubią czekoladę?! – Chciała się wydrzeć, ale ledwie szepnęła. – Czy te twoje pielęgniarki i lekarze są w stanie podać czekoladki Kosie? Zrozumiał.

– Myślę, że są.

Niepotrzebnie się zdenerwowała. Ale nie potrafiła zapanować nad emocjami. Skoro jednak Polacy wytrwali aż tydzień na z góry przegranej pozycji, bez żadnego wsparcia, to ona też może. Może... Może... Może się udać. Ona miała wsparcie. Tally-Ho na froncie, Shainee, która okazała się skuteczna w walce, i Pat Dante w odwodzie. W dodatku Jack Higgins w sztabie, który wiele mógł. Wytrwa! Przysięgała sobie. Już nie ma odwrotu. Ona albo ta druga, Mistrzynie Snu. No i zobaczymy, która będzie górą. Miała jednak potwornego pietra, jak każdy żołnierz na wojnie.

– Dojeżdżamy. – Higgins przerwał rozmyślenia Toy.

– OK.

Wysiedli przed willą wielkości bizantyjskiego pałacu, Shainee została w limuzynie. Toy szła z tą głupią bombonierką i kwiatkiem, usiłując udawać, że nie płacze. Jak zbity piesek. Szła po prostu za Higginsem, niosąc swoje nędzne prezenty. Lecz odkryła w sobie jedną rzecz. Nie odstąpi. Podniosła głowę.

– No, nareszcie! – Higgins westchnął z ulgą. – Kroczy my z podniesionym czołem. Bo już zaczynałem się bać.

– Masz oczy z tyłu głowy?

– Mam Valkirię i w związku z tym nie muszę mieć oczu w tyłku.

Zaprowadził ją do pomieszczenia na piętrze. Przełknęła ślinę. Kiedy otworzył drzwi pokoju, nie potrafiła się przemóc, żeby wejść. Potem straciła oddech. Spociała się strasznie.

„Co się stało?” – spytała Gudr.

„Wyreguluj mnie”.

„OK”.

„To po prostu zbyt osobiste”.

„Nie rozumiem, ale niech będzie”.

Przyciskając wolną dłoń do twarzy, weszła do środka. Oczy otworzyła dopiero, gdy usłyszała szmer. To na jej widok z fotela podniósł się lekarz, a z krzeseł dwie pielęgniarki. Wokół popiskiwały różne urządzenia, migały diody. Kosa miała najlepszą opiekę na świecie. Jakiś kosmiczny materac przeciw odleżynom poruszał jej nagim ciałem. Rurki wystawały jej z przedramion, z szyi, z głowy...

Toy nie wiedziała, jak się zachować. Podeszła cichutko i położyła bombonierkę na kołdrze. Pielęgniarka pomogła jej z kwiatkiem. Napełniła wodą szklankę i postawiła na parapecie.

– Czy Eva będzie żyć?

Lekarz opuścił natychmiast oczy. Pielęgniarki patrzyły po sobie, jakby nagle odkryły coś interesującego w swych twarzach.

– Rozumiem. – Toy podeszła do kobiety w śpiączce. – Kosa – szepnęła – zrobię wszystko, co w mojej mocy. I dużo więcej.

Ruszyła do wyjścia, ale zatrzymała się w drzwiach, odwróciła i powiedziała jeszcze:

– A potem jeszcze więcej.

Higgins wziął Toy pod ramię i poprowadził na dół. Wsiedli do bezpiecznej limuzyny, bez podsłuchu i kamer.

– Jack, czy mógłbyś dać mi listę wszystkich osób, które zapadły w śpiączkę?

– Nie o wszystkich wiemy, ponieważ to tajne nawet dla mnie.

– Mógłbyś?

– Będziesz ją miała dzisiaj w nocy albo jutro nad ranem.

– Dzięki ci, mój wodzu. – Uklękła przed nim w ciasnym samochodzie i zaczęła bić pokłony. Uśmiechnął się wreszcie rozluźniony.

– Po co ci ta lista?

– Porównam ją z tą, którą dostarczy Tally-Ho.

– Dlaczego? – Zainteresował się nagle.

Toy naląła sobie drinka.

– Mistrzyni Snu potrafi wyprowadzać ludzi z komy i kazać im działać.

Higginsa zamurowało. Długi czas siedział, patrząc przed siebie.

– Te dwa pionki, które sprzątnął Pat Dante, to postaci ze snu – kontynuowała. – Mordercy przybyli ze snu. To książę Igor i ambasador nie pamiętam już jakiego państwa.

„Hondurasu” – podpowiedziała Gudr.

„Ty nie bądź taka dowcipna, dobrze?”

„Dobrze, dobrze...”

– W jaki sposób istoty ze snu mogły się znaleźć w rzeczywistości?

„Przybyły z Hondurasu” – podpowiedziała znowu Gudr.

Toy ryknęła śmiechem. Jej implant naprawdę się uczył. I co gorsze, zdobywał duszę.

– Wiesz, nie mam pojęcia – odpowiedziała Higginsowi. – Ale zastanówmy się nad Ameryką Południową. Może Honduras, te sprawy?

– Ty jaja sobie robisz?

– Jak każda kobieta.

Zachnął się. Po chwili zrozumiał i położył Toy rękę na ramieniu.

– Odwiozę was do motelu, a w ciągu godziny, dwóch dostaniesz wszystkie akta.

– Znacząca bezsenna noc?

„Damy radę – wtrącała się Gudr. – My się kimniemy, a komputer przeskanuje wszystko. Damy radę. Walniemy komara, że spoko majonez”.

„Ty się wreszcie, kurde, zamknij!”

„Nie mogę. Implant przejmuje cechy nosiciela. A ty jesteś potworną gadułą”.

„Głupi implant!”

„Głupi nosiciel!”

„Gudr, zaraz oberwiesz!”

„Ale to ciebie zaboli”. – Przestańcie się wreszcie kłócić! – warknął Higgins. Widział po zmianie wyrazu twarzy Toy, że musiało dojść do ostrej sprzeczki. Kazał szoferowi zaparkować przed motelem. – Dwie kobiety w jednym ciele. Wiedziałem, że nic dobrego z tego nie wyniknie.

– Już nam lepiej – szybko odparła Toy.

Spojrzał na nią zdziwiony.

– Czy jest szansa, że Eva... że Kosa przeżyje?

Wzruszyła ramionami.

– Nie wiem. Wszystko w moich rękach, bo Bóg nam tu raczej nie pomoże. Jak zwykle zresztą.

Szofer otworzył drzwiczki, więc Toy i Shainee wygramoliły się z samochodu. Toy zatrzymała się jeszcze, odwróciła do Higginsa.

– Wymień, proszę, inżyniera, który mnie wstrzeliwuje do snu. Temu za bardzo trzęsą się ręce.

– Pije?

– Ja piję. A on ma po prostu pełne gacie ze strachu. Skinął głową. Ze zrozumieniem, ponieważ przypomniał sobie zamordowanego Turnera.

– Ściągnę jakiegoś z Teksasu.

Uniosła oczy do góry.

– Tylko żeby mnie nie zapierniczył kopnięciem w głowę z półobrotu.

– He, he, ale śmieszne. Ja też oglądam stare filmy, gdy nie mogę spać z nerwów.

Wyciągnęła pazurki i podrapała szybę samochodu. Razem z Shainee poszły do motelu.

– Słuchaj, muszę przyciąć komara. Bo te sny w pracy są za bardzo nerwowe.

– Co chcesz uciąć komarowi? Jaja? A myślisz, że ma? I jak to zrobisz?

– Przestań. Włóż do wanny, gdzie na pewno zasnę, a po godzinie mnie obudzisz. Potem zaprowadzisz mnie do łóżka i znowu pójdę do krainy Morfeusza.

– To pan Morfeusz będzie z tobą w łóżku?

Toy tylko machnęła ręką.

– Pamiętaj. Godzina snu w wannie, potem wycierasz mnie, ubierasz w nocną koszulkę i za rękę odprowadzasz do łóżka, żebyśmy się nie przewróciła. Zapamiętasz?

– Tak, Toy. – Shainee nigdy nie mnożyła trudności.

* * *

Jacht Imperatrycy miał wielkość średniej klasy krążownika. Z pięcioma masztami i dwoma pokładami tanecznymi. Dziesiątkami barów, klubów, restauracji. Trzema basenami z leżakami wokół, skoczną spadochronową dla śmiałków i linami, które ich holowały. Miał też wyrzutnię sztucznych ogni oraz szybę w dnie, przez którą można było obserwować rybki.

Toy była ubrana w lotniczą kurtkę, czapkę, bryczesy i wojskowe buty. Jej biały, sięgający kolan szalik robił wrażenie na pasażerach. Ale przy sztormowej pogodzie okazał się doskonałym pomysłem. Bo Toy nie marzła w przeciwieństwie do dam w sukniach osłoniętych jedynie cieniutkimi pelerynami łopocącymi na wietrze.

Jacht wypłynął na otwarte morze pod pełnymi żaglami, co graniczyło z cudem. Prawdziwy wiatr uderzył dopiero po wyjściu z portu. Lotnicza czapka, kurtka i szalik okazały się zbawienne. Toy została na pokładzie sama, jedynie w otoczeniu biegających marynarzy, którzy wykonywali swoje zadania. Z boku podeszło dwóch lokajów. Złożyli ukłony.

– Jaśnie pani, Imperatryca pragnie cię widzieć.

Skinęła głowę.

– Już idę.

Poprowadzili ją na górny pomost, gdzie siedziała Imperatryca w futrze i wielkiej kozackiej czapce.

– No i jak tam? – zapytała.

– Oj, zboże nie obrodziło – zakpiła Toy. – I kukurydza nie obrodziła. Co prawda rośnie u nas jak słupy telegraficzne. No... nie tak wysoko. Ale tak rzadko.

Kobieta w kozackiej czapce uśmiechnęła się. A Toy nagle zrozumiała, że najlepszą obroną jest atak wyprzedzający. No więc do natarcia!

– Przepraszam najmocniej waszą wysokość – rzuciła – lecz nie zauważyłam wśród gości kniazia Igora, ani tego ambasadora... nie pamiętam skąd. Chyba z Hondurasu. Czy coś im dolega?

W Imperatrycę jakby uderzył piorun. Otrząsnęła się jednak szybko.

– Właśnie w tej sprawie wezwałam cię, dziecko. Co z nimi?

Toy kpiła dalej.

– Nie jestem wróżką, wasza wysokość. – Postanowiła być perfidna. – Ale we śnie czasem widzę rzeczy, o których filozofom się nie śniło.

– I co?

– Po mojemu są w kostnicy.

Toy uśmiechnęła się radośnie, gdy Imperatryca zacisnęła dłonie na poręczach fotela.

– Słucham?

– Śnił mi się taki człowiek... – Toy zaczęła szukać po kieszeniach papierosów. Później chusteczki. Następnie błyszcząca do warg, pomocnego przecież na wietrze.

– Jaki człowiek? – Imperatryca nie wytrzymała.

Toy spojrzała kobiecie prosto w oczy.

– Pat Dante.

Bingo! Imperatrycę zmroziło. Na długo. Odzyskała mowę dopiero po blisko minucie.

– Tak, tak – ciągnęła Toy. – Toż to najemnik, morderca, cyngiel do wynajęcia. Aż strach się z takim zadawać. – Usiłowała nie okazywać radosnego wyrazu twarzy. – Ale mam gorszą wiadomość. Nazywają mnie jego psem.

– A co to jest pies?

– Nie będę się wygłupiać i mówić, że to takie zwierzę. Psem w żargonie najemników nazywają zwiadowcę.

– Jesteś więc wynajęta przez Dantego?

– Nie.

– A przez kogo?

– Bum, bum, bum. – Toy przechyliła głowę. – Zapomniałam.

Jakiś marynarz przyniósł nargile. Imperatryca zaciągnęła się głęboko. Podała ustnik Toy, która też pociągnęła mocno.

– Widzisz – powiedziała Imperatryca – cały problem w paleniu shishy polega na małej kulce, tkwiącej, o tutaj. – Wyjęła z jakiegoś bocznego zaworu kulkę i pokazała. – Bez niej nie jesteś w stanie zaciągnąć się dymem.

Pobulgotała parę razy w fajce wodnej i zapytała:

– Co jest twoją kulką, Toy?

– Zapomniałam. – Dziewczyna szła w zaparte.

– Czyżby znowu narkotyki?

Tym razem Toy postanowiła być wredna.

– Tak jak i twoim problemem, wasza wysokość.

– Kurde! – Imperatryca znowu straciła opanowanie. Dłuższą chwilę pocierała czoło. – To już mniej więcej wiem, jaki masz implant.

– Jaki?

– Valkirię! – krzyknęła. – Ale skąd wzięli czwartą? Przecież istniały tylko trzy egzemplarze!

Toy zaczęła wyliczać na palcach.

– Jedną mam ja. To ta czwarta. Jedną ma Higgins, drugą Marcy. Kto ma trzecią? Powiedz, jak nazywałeś się w realu.

Imperatryca uśmiechnęła się wrednie.

– Akurat ci powiem. I nie próbuj robić portretów pamięciowych. Tu każdy może wyglądać jak chce!

– Aha. – Toy pokiwała głową. – Ponieważ tu wyglądasz olśniewająco, to znaczy, że w realu jesteś brzydka. Dzięki za informację.

Imperatryca o mało nie wybuchła ze złości.

– Precz!!!

Toy ukloniła się. Z kilkunastu kobiet na liście podejrzanych robiło się tylko kilka. *Langsam, langsam aber sicher* – jak mawiali Niemcy. Powoli, powoli, byle do skutku.

Usłużny lokaj odprowadził ją z dala od wzroku władczyni.

– Na który pokład taneczny sobie pani życzy? A może do restauracji?

– Chcę znaleźć Evę Higgins. – Toy wyjęła zwitek banknotów z portfela.

– Ależ oczywiście. Już prowadzę. – Przejął pieniądze błyskawicznie.

Zeszli na niższy pokład. Lokaj lawirował między ludźmi, prowadząc Toy niczym damę wśród prostaków. Podeszli do baru.

– O, tu jest ta pani.

Uklonił się nisko i odszedł. Zadowolony jak cholera, bo tyle kasy mogło mu się tylko przyśnić.

Toy zbliżyła się do Kosy uchlanej w cztery dupy, dotknęła jej ramienia. Kosa drgnęła gwałtownie.

– O, Toy? Ty znowu tutaj?

– Posłuchaj mnie, kobieto, mam mniej niż tydzień, żeby cię wydostać z tego gówna. Potem wyłączą urządzenia.

– I co się stanie? – spytała Kosa z szerokim, pijackim uśmiechem.

– Wszyscy, kurwa, zginiecie!

– A ty nie?

– A ja nie. – Toy zrobiła cierpką minę. – A ja nie. Bo mnie chroni pewne urządzenie.

„Ja ci dam, kurwa, urządzenie, pindo jedna! – wrzasnęła Gudr. – Ja ci dam urządzenie!”

„Oj, przestań. I nie bądź taka wulgarna”.

„Jestem taka jak ty, krowo zasmarkana!”

Toy odpuściła sobie kłótnię z Gudr, wyjaśniła Kosie, że z jej ciałem wszystko w porządku, że w świecie rzeczywistym opiekuje się nią lekarz i dwie pielęgniarki, a lepszych urządzeń medycznych to nigdy nie widziała.

– Aha. – Kosa o mało nie spadła ze stołka barowego, tak była pijana. – To znaczy, że mnie uratujesz?

– Idiotko! Mam niecały tydzień, żeby coś zrobić. Bo potem wyłączą urządzenia. – I co?

– I umierasz w realu!

Toy wzięła drinka z porostawianych wszędzie tac. Przegryzła prażonym łososiem w plasterkach. Nałożyła sobie kartofelków, które podlała gęstym sosem. Pyszne! Wiedziała, że jej się to tylko śni, ale żarcie naprawdę było pyszne. Ciekawe, czy się ośliniła w świecie rzeczywistym.

– Wiesz, Kosa...

– Co?

– Będę tu częściej wpadać. Smak potraw jest, uczucie nasycenia jest, a nie tyjesz w realu.

Kosa roześmiała się głośno.

– Wyciągnij mnie stąd – powiedziała, nagle poważniejąc.

– Po to jestem. Ale...

– Wiem. Mam nie pić.

– To przede wszystkim. Musisz też coś zrobić.

– Co?

– Musisz dowiedzieć się jak najwięcej o Imperatrycy. Każdy strzęp informacji jest ważny.

Wdzięcz się, kręć pupą, pokazuj biust. Wiem, że to lesbijka.

Westchnęła głęboko. Rozglądała się wokół z ciężkim sercem.

– Dobra. Spadam – powiedziała wreszcie.

– Do rzeczywistości?

– Tak. A mam jakieś inne wyjście?

Kosa rozplakała się typowo pijackim szlochem. Objęła Toy i zaczęła coś mamrotać.

Dziewczyna strząsnęła jej rękę.

– Przestań się mazać i przypomnij sobie, co dla mnie zrobiłaś. Nie będę dłużna, jeśli mi pomożesz. Nie będę dłużna.

Kosa tylko potrząsała głową.

– Mamy niecały tydzień. Nie chlej tyle i dowiedz się wszystkiego o Imperatrycy.

Wszystkiego, co możesz!

– Dobrze, Toy. Dobrze. – Kosa oparła czoło na barze i chyba zasnęła. Jeśli można uznać, że istnieje sen we śnie.

„Ale obciach” – mruknęła Gudr.

„O Boże, jak ty szybko się uczysz!”

„Nie wiem, czy Bóg się uczy. W naszym komputerze nie ma danych na ten temat. Ale sądząc z Biblii, on wie wszystko. Więc po cholere mu chodzić do szkoły?”

„Gudr, ty pawianico z gołym tyłkiem! Czy możesz milczeć?”

„Mogę, ale nie chcę”.

Toy zanurzyła chusteczkę w drinku Kosy i przetarła twarz.

„Gudr, ty nas po prostu wystrzel ze snu. OK?”

„OK”.

* * *

Inżynier ściągnięty z Teksasu o mało nie dostał zawału, widząc, że Toy budzi się nagle i wstaje natychmiast, kompletnie rozbudzona. Najprawdopodobniej nie wprowadzili go we

wszystkie tajniki „Projektu Valkiria”. Łatwiej przyjąć, że nie wiedział nic, umiał tylko obsługiwać aparaturę. Stał oniemiały, a Toy wkładała swoje buciki na wysokich obcasach.

– Fajnie było – powiedziała. – Czy jutro solarium też będzie czynne? – spytała, wskazując łóżko.

– Jakie solarium? – Nie zrozumiał.

– No to gdzie ja przyszłam? – Wskoczyła na niego. – Za co ja płacę?!

Patrzył na Toy jak ciele na malowane wrota.

Opuściła go szybko. Może i był fachowcem, ale mężczyzną żadnym. Podeszła do najbliższej siedzącej sekretarki.

– Przepraszam, jak dostać się stąd do Jacka Higginsa? Nie mam pod ręką samochodu i...

– Ależ, proszę pani – przerwała jej sekretarka – przecież windy jeżdżą również w poziomie. Sekundę, zaraz dam pani kod.

Podeszła do terminala, długo szukała. Gestem poprosiła, żeby Toy wsunęła dłoń w czytnik. Na skórze wyświetlił się rząd cyferek.

– Kod będzie działać przez kwadrans. Później trzeba wzywać obsługę. Ale prezes Higgins i tak pani nie przyjmie, była pani umówiona?

– Nie dość, że przyjmie, to jeszcze podwiezie tam, gdzie będę chciała.

Zostawiła kobietę z głupim wyrazem twarzy. Podeszła do windy. Przesunęła dłoń przed kolejnym czytnikiem i drzwi rozsunęły się bezszelestnie. Winda rzeczywiście ruszyła w bok. Toy oparła pupę o poręcz i patrzyła bezmyślnie na jakiś debilny serial wyświetlany na ścianie. Winda zmieniała kierunki. Raz do góry, raz w dół, w prawo, w lewo. Zatrzymała się po upływie kwadransa. Toy wysiadła i szerokim łukiem ominęła protestujące sekretarki. Dzięki Valkirii odbiła dwa ciosy ochroniarzy i z rozmachem otworzyła drzwi sali konferencyjnej.

– Higgins, masz listę, o którą prosiłam?

Podniósł się zmieszany.

– Przepraszam cię, ale jak widzisz, mam teraz spotkanie...

– Higgins, kurwa! Chcesz swoją kobietę z powrotem? Chcesz swoją Evę czy nie? Mamy tylko kilka dni.

Higgins uklonił się obecnym.

– Najmocniej państwa przepraszam. Nasi pracownicy z reguły nie używają aż tak wulgarnego słownictwa. Niemniej muszę opuścić tę salę z powodu ważnych obowiązków. Spotkanie poprowadzi mój zastępca. Przepraszam jeszcze raz. Nagła sprawa.

Nikt nie oponował, choć wszyscy patrzyli dziwnym wzrokiem. Najwyraźniej nie widzieli jeszcze prostytutki, w butach na wysokich obcasach, żakiecie, krótkiej spódnicy i pończochach. W dodatku mówiącej językiem ulicy. Toy miała tylko nadzieję, że nikt nie dostanie apopleksji jak przy wyglebieniu królowej Mobutu.

Higgins wziął Toy pod rękę i poprowadził do windy. Ta na szczęście jechała tylko w dół.

– Masz listę? – spytała.

– Mam.

– No to nam ubyło wiele nazwisk. Z kilkunastu zrobiło się kilka. Damy radę. Ale musisz być przy porównywaniu list. Ty ich znasz.

– A gdzie jedziemy?

– Do Tally-Ho. Wiesz, gdzie ona teraz mieszka?

– Ty to wiesz, ja to wiem, mój szofer to wie i wszystkie komputery w mieście.

Szofer rzeczywiście nie pytał, gdzie mają jechać. Higgins jedynie dotknął przycisku, żeby rozsunąć dach.

– Strasznie gorąco, a od tej klimatyzacji ciągle mam katar.

– OK. – Machnęła ręką. – Może być kabriolet. Zawiążę sobie chustkę. – Włożyła też okulary przeciwsłoneczne.

Za nimi ruszył drugi samochód i dwa motocykle.

– Zaczynasz się bać o mnie?

Uśmiechnął się.

– Jesteś moją jedyną nadzieją na odzyskanie Evy. Za kilka dni ją odłączą.

Spojrzała na niego uważnie.

– Jack, co ty przede mną ukrywasz?

Pierwszy strzał padł z góry. Higgins oberwał w lewy bark. Kolejny musiał paść z przodu, bo dostał w prawe ramię. Krew bryzgnęła na twarz Toy. Drugi samochód przyspieszył gwałtownie, po chwili zahamował. Otworzyły się wszystkie drzwi. Dante, który biegł za limuzyną, rzucił się kangurzym skokiem do nich. Wypełzła na bagażnik, żeby podać mu dłoń. Wciągnęła go jakoś. Jezus Maria! Przecież pamiętała tę scenę. Z filmów. Rzuciła się na bok, żeby zasłonić Higginsa własnym ciałem.

Cadillac, Maybe Not i Yellow walili z pistoletów maszynowych po dachach, żeby powstrzymać wrogi ogień. Hot Dog walił w najbliższy płot. Chryste! Przecież to już było!

Dante przedostał się do przodu i wysadził kierowcę kopnięciem obu nóg. Ruszył ostro. Najemnicy z tyłu strzelali tak gęsto, jakby występowali w wojennym filmie.

Boże! Przecież знаła tę scenę. Ona w chustce i okularach, pomagająca ochroniarzowi i zakrywająca własnym ciałem swojego faceta. Tak zginął pewien prezydent. Konkretnie John F. Kennedy.

Tamten prezydent nie miał po prostu dobrych ochroniarzy. W tym przypadku trzeci strzał nie padł. Toy jednak dowiedziała się czegoś więcej o psychice Mistrzyni Snu. Pytanie tylko, jak sensne imaginacje przenoszą się do rzeczywistości.

– Uciskaj mu rany! – krzyczał Dante, wyciągając z silnika wszystko, co fabryka zaoferowała. – Uciskaj! Nie próbuj opatrywać, tylko z całej siły dłońmi!

Jechał tak, że Toy chciała zacząć się modlić. Miała tylko jeden problem: nie znała żadnej modlitwy.

– Uciskaj rany! – darł się Dante zza kierownicy.

Higgins otworzył oczy. Spojrzał całkiem przytomnie.

– Już nie trzeba. Valkiria sobie poradziła.

– Do szpitala?

Przytaknęła. Toy odwróciła się do Dantego.

– Dante, zwolnij trochę, bo mi kiszki wylecą ze strachu. Jego stan jest już stabilny.

– Uciskasz rany?

– Nie, jego kobieta sobie z tym poradziła.

– Toy, ty bredzisz.

Otarła spocone czoło.

– Może i bredzę. Ale skąd Hot Dog wiedział, że trzeba strzelać w płot?

– Przecież to idealna kopia zamachu na Kennedy’ego. Walił do drugiego zamachowca. – Szarpnęła kierownicą. – Co ty myślisz, że Hot Dog filmów nie ogląda?

– A najemnikom strzelającym w centrum miasta jaki wyrok mogą dać?

– Tyś ocipiała? To wszystko dyplomaci. – Skręcił na podjazd do szpitala. – Ich nie można aresztować, jedynie wydalić.

– To zostaniemy bez ochrony.

Roześmiał się na cały głos.

– Znajdą się inni dyplomaci do wynajęcia.

Mobutu była zajebista. Wszyscy koledzy z oddziału zostali powołani do służby przy ambasadzie. Królestwo M’pondo miało chyba najliczniejszy personel ze wszystkich ambasad w Afryce. Ale co tam! Stać ją! Aktywów królestwa nie liczyło się już w miliardach baksów. Potrzebne były wyższe liczby.

Kiedy Dante zatrzymał auto, Toy wyskoczyła na zewnątrz.

– Nosze! Nosze! – zawołała. – Sanitariusz! Mamy rannego!

Dyżurny, widząc klasę limuzyny, wezwał cały zespół. Przybiegli, targając nosze na kółkach. Założyli Higginsowi kołnierz ortopedyczny, ostrożnie wyciągnęli go z samochodu i pognali z noszami na izbę przyjęć. Toy biegła za nimi. Przy jednych drzwiach zatrzymał ją pielęgniarz.

– Pani tu nie ma wstępu.

Toy zrobiła śmiertelnie poważną minę.

– Po pierwsze, to wiceprezes Caltronu. A po drugie, jestem attache ambasady! – Pokazała mu paszport dyplomatyczny.

Wpuścił zdezorientowany. Patrzyła, jak Higginsowi rozcinają ubranie. Nie była ciekawa, widziała go już na golasa. Dwóch lekarzy pochyliło się nad noszami.

– Ale dostał! Cud, że żyje.

– No, dobra. Jednak on osobliwie nie krwawi. Widziałeś kiedyś coś takiego?

– Nigdy w życiu. Ani razu.

Ktoś zamroził obrażenia, założył wenflony, podał leki przeciwbólowe.

– Dobra, wyjmujemy kule. – Lekarz włożył palec do rany. – Nie ma. Chyba się wysunęła i leży gdzieś na noszach. Niech ktoś sprawdzi.

Dwie pielęgniarki rzuciły się spełnić polecenie, lecz Toy była pierwsza.

– Jest!

– No to z głowy. – Lekarz włożył palec do miejsca drugiego postrzału. – Mam – powiedział po chwili. – Proszę podać narzędzia.

Wyciągnął pocisk. A potem dłuższy czas czyścił zranienia z fragmentów garnituru i samochodowej tapicerki.

– No i proszę, pacjent żyje. Pozostaje nam zaszyć i zawieźć na ortopedię.

Toy doskoczyła z boku.

– Będzie żył?

Lekarz wzruszył ramionami.

– Podobno każdy będzie żył drugim życiem, jak uczą niektóre religie.

– Proszę nie żartować.

– Ma roztrzaskany bark. To jedyna poważna kontuzja. Będzie musiał chodzić w syntetycznym gipsie. Ale mu go skleją i będzie dobrze. Ja jestem tylko chirurgiem pierwszego kontaktu, a nie ortopedą. Nie wiem, co będzie.

– A kiedy wyjdzie?

– Nie wiem, co przeszkrobał. To już sąd wyda wyrok. – Proszę nie żartować – powtórzyła.

– Kiedy go wypuścicie?

– No... choroba ciężka. Być może jutro, być może pojutrze. Napakowałem go takimi środkami, że obudzi się najwcześniej po upływie doby. Do czasu operacji ortopedycznej utrzymamy go w sztucznej śpiączce.

– Szlag! Jasny szlag!

Toy nie wiedziała, co zrobić. Podeszła do okna, oparła dłonie o parapet. Miała przedziwne wrażenie, że Higgins już się nie obudzi, że wpadnie w komę. Przecież w pobliżu wciąż działa akcelerator snu. Nie wiedziała, skąd się jej wzięły podobne przeczucia. Czy zwykły człowiek może zaskoczyć i wejść do krainy snu opanowanej przez Imperatrycę? Potrzebowałby specjalnego urządzenia... O mało nie zawyla. Chryste! Przecież Higgins miał w domu takie urządzenie, Kosa z niego korzystała. Czy może działać na odległość? Nie miała zielonego pojęcia. Teoretycznie Valkiria go ochroni. Ale czy ten inny model potrafi wystrzelić go ze snu?

Odwróciła się do lekarza.

– Potrzebuję odzieży pacjenta.

– Przecież jest pocięta. I pokrojona w paski.

– Gdzie?

– Prawdopodobnie już na śmietniku. Wartościowe rzeczy przechowujemy w magazynie.

Pobiegła natychmiast. Przez parę minut odsyłano ją z pokoju do pokoju, wreszcie trafiła

do magazynu. Dysk był, ale kobieta za ladą oświadczyła, że go nie wyda, ponieważ garnitur był własnością pana Jacka Higginsa. I musi mieć pisemne upoważnienie. Żadne argumenty jej nie przekonywały. Ani to, że pacjent przebywa w sztucznej śpiączce, ani to, że w ten sposób można uratować mu życie. Tak wkurzyła Toy swoim oślim uporem, że ta postanowiła sięgnąć po argument ostateczny. Cofnęła się i otworzyła drzwi na korytarz, gdzie czekał jej dawny dowódca.

– Dante, proszę cię – krzyknęła. – Ta pani nie chce wydać mi dysku Higginsa.

Podszedł natychmiast.

– Dysk – rozkazał krótko, wyciągając dłoń.

Podąła od razu. Musiała się nieźle wystraszyć miny Dantego.

– Proszę.

Obejrzał go uważnie, przekazał Toy:

– To ten?

– Ten.

Odwrócił się do magazynierki.

– Dziękuję bardzo. Jest pani niezmiernie uczynna. – Rozciągnął usta w szerokim uśmiechu.

Kobieta oparła się o ścianę omdlała z nagłej ulgi. Może dostała apopleksji, bo nie wyglądała na zbyt przytomną. I na pewno nie ufała uśmiechowi Dantego.

Winda na szczęście nie jeździła w poziomie. Po kilku chwilach wyszli na parking. Wsiedli do minibusa Dantego, w którym siedzieli dyplomaci z pistoletami na sztorc pomiędzy nogami. Pierwszy uśmiechnął się Hot Dog.

– A ja myślałem, że służba dyplomatyczna to tylko przyjęcia i rauty. A tu po staremu trzeba zapierdalać ze spluwą w garści.

– A ja myślałam – powiedziała Maybe Not – że to garden party, angielskie psy, konie wyścigowe. Kurde! Dają ci giwerę i strzelaj w nierozpoznanym terenie. Chrzanię taką dyplomację.

– A ja chciałbym zjeść kawior – rozmarzył się Yellow. – Albo obstrygi, ewentualnie hromary lub kurewetki.

Cadillac przytulił Toy pierwszy. Potem reszta. Wyściskała wszystkich. Zaczęły się opowieści najemników.

– A pamiętasz, jak w kosmosie...

Opowieści najemników lepiej nie traktować serio. Ponieważ może się okazać, że porwali kosmiczny walec Moonsunga i kazali mu lądować na lotnisku Tempelhof; że w Afryce wymordowali całą ludność, ale ucywilizowali goryle i stworzyli nowych ludzi królestwa; że na Białorusi polewali chaty napalmem, a nad Jangcy odparli cztery dywizje pancerne, będąc w sile kompanii. Wszystko można usłyszeć. Toteż Toy skupiła się tylko na jednym zdaniu wypowiedzianym przez Maybe Not.

– Cieszymy się, że jesteś znowu z nami, piesku.

– Ja też się cieszę.

– Ale miałem zajebiste skupienie! – To Hot Dog mówił o swoich strzałach. – Z pistoletu maszynowego na szerokość dwóch dłoni!

Toy poweselała. Posłała mu w powietrzu serię pocałunków.

– Facet nie żyje?

– Ależ żyje... – Hot Dog pokiwał smutno głową. – Żyje... u świętego Piotra, ogląda teraz wzgórza Edenu, bawi się ze zwierzątkami. – Nagle zacisnął wargi. – To znaczy nie będzie żyć, kurwa!

Maybe Not poklepała go po ramieniu.

– Te twoje strzały, zdaje się, dupę nam uratowały, więc się nie przejmuj.

– Widziałem gościa. I teraz ma przechłapano.

– Dlaczego? – spytała Toy.

– No bo strzelałem przez płot. Pociski może mu wyjmą, ale drewnianych drzazg rentgen nie wykaże. On umrze.

Dante przerwał im rozmowę.

– Przebierać się. Ale już! Odłożyć broń.

Ze specjalnych pokrowców powyjmowali garnitury i wrzucali tam pospiesznie pistolety.

– Musimy jechać do Tally-Ho – gorączkowała się Toy.

– Najpierw zwinie nas policja. – Dante właśnie wiązał sobie krawat. Włożył bardzo przyzwoitą marynarkę. Staromodnym zwyczajem wetknął chustkę do butonierki. Chyba był prekognitą, ponieważ po sekundzie usłyszeli syrenę.

– Wychodzić z rękami uniesionymi do góry! – walnęło z głośnika.

Posłusznie wyszli. Każdy z uniesionymi rękoma, w których tkwiły już paszporty dyplomatyczne otwarte na pierwszej stronie. Żeby od razu było widać, kim są. Policjanci podchodzili powoli z wycelowaną bronią.

– Nie trzymaj palca na spuście – powiedział Dante do jednego z gliniarzy. – Potkniesz się, zastrzelisz kogoś i będziesz miał przesrane życie.

– O Jezu! To dyplomaci! – zawołał drugi, który już dostrzegł paszporty.

– Przeszukajcie ich – zakomenderował ich dowódca.

– Zabraniam – odpowiedział Dante. – Konwencja wyraźnie stwierdza, że dyplomaty nie wolno nawet dotykać.

– A gdzie broń?

– Ja się na broni nie znam.

Toy znowu z trudem powstrzymała napad śmiechu. Pozostali najemnicy wraz z Shainee udawali, że podziwiają sufit garażu. Jedynie Hot Dog patrzył wprost przed siebie. Jego twarz świadczyła, że mógł być jedynie attache knajpianym.

– Sprawdzić samochód! – ryknął gliniarz.

– Zabraniam – powtórzył Dante. – Ma nalepki CD, czyli korpus dyplomatyczny i jest obiektem eksterytorialnym. Mogę okazać dokumenty.

– Kto strzelał na ulicy?

– Ochroniarze.

– Mam nagrania z dwudziestu kamer!

– Mieli kominiarki.

– A gdzie są ci ochroniarze?

– Poszli sobie – odparł Dante. – Wzięli i poszli. Nie wiem, gdzie.

– Ty... Ty... Ty się doigrasz.

– Nie jesteśmy na „ty”, panie policjancie.

Shainee zaczęła kaszleć, żeby ukryć śmiech. Toy stała wpatrzona we własne buty. Najemnicy ciągle studiowali zawłości konstrukcji sufitu. Jedynie Hot Dog wyglądał na prawdziwego dyplomatę. Musiał nadużyć whisky przed akcją. Lekko chwiał się na nogach, ale patrzył policjantom w twarze i potakiwał z poważną miną.

Gliniarze zabrali ich na komisariat – jako dyplomatów „dobrowolnie”. Tam przez trzy godziny Dante i jego ludzie składali zeznania. Kto strzelał? Skąd strzelał? Co robili ochroniarze? Wszystkie wersje różniły się od siebie. Najlepsza i tak okazała się Shainee, która powiedziała wprost, że zaatakowali ich kosmici, widziała latający talerz, a zielone ludziki strzelały z laserów plazmowych, a później chciały gwałcić. Uznali ją za niepoczytalną i zwolnili najszybciej.

Reszta nie była gorsza. Toy zeznała, że strzelali zewsząd. Maybe Not, że strzelali tak sobie. Na pytanie: „A gdzie są pociski?”, odpowiedziała: „Nie wiem. Patrzyłam w bok, bo się bałam. Szukajcie sami”. Dante odpowiedział, że jest dyplomatą i nie życzy sobie uwłaczających pytań. Yellow patrzył zdumionym wzrokiem, Cadillac krzyczał: „Strzelano do mnie! Strzelano! Proszę wreszcie zrobić porządek w tym kraju!”. Napity Hot Dog nic nie powiedział w sprawie, wydał tylko krótkie dyplomatyczne oświadczenie:

– A gdzie tu jest bar z tequilą?

* * *

Gliniarze wypuścili ich po trzech godzinach. Z przekonaniem, że M’pondo jest najbardziej pijanym królestwem na świecie.

– Gdzie jedziemy? I czym? – spytał Dante. – Bo naszego samochodu nie zdołają tak szybko przesłuchać. On taki niekumaty bardziej.

– Mam porsche nieopodal, pod motelem – powiedziała Toy. – Tylko że tyle osób tam nie wejdzie, znowu nas zatrzymają.

– Mam naklejki „CD”. I dokumenty. Policja może nam dupę polizać.

– Mimo wszystko. Porsche to mały samochód

– No to na piechotę.

Poszli. Niektórzy bardziej chwiejnie. Yellow zapytał: – A może zamówić taksówkę?

– Żadna nie zabierze takiej liczby osób.

– To zamówimy dziesięć. Mobutu płaci.

– A co z bronią? – spytała Maybe Not. „Gudr, dobierz się do GPS-a i sprawdź, gdzie jest najbliższy sklep z bronią”. „Tuż za rogiem”.

„Skąd ty to wszystko wiesz?”

„Z komputera. Ale pamiętaj, co ci mówiłam. Mistrzynie Snu nas osacza. Ma lepsze komputery niż nasz”.

„Skąd to wiesz?” – powtórzyła Toy.

„Po prostu czuję”.

„No to działajmy szybciej”.

„Nie ma sprawy”.

Toy poprowadziła kolegów za róg ulicy. Chłopcy zajęli się zabawkami. Broni automatycznej zgodnie z ustawą oczywiście nie było, ale samopowtarzalnej do wyboru, do koloru. Toy wybrała europejskiego Hecklera i Kocha. Hot Dog jak zwykle przeszedł siebie. Poprosił o dubeltówkę, pod warunkiem, że na miejscu obetną lufy i skrócą kolbę. Właściciel sklepu nie robił trudności. Warsztat był przygotowany do takich zamówień. Hot Dog dostał nawet paragon z napisem „Broń została naprawiona”. Toy zapłaciła kartą Caltronu. Wyszli całą grupą.

Kobieta idąca naprzeciwko zniecała wyjęła rewolwer i wymierzyła go w Toy. Nie zdążyła strzelić. Dante był szybszy. Rzucił się szczupakiem i wyrwał broń, łamiąc babie rękę. Toy słyszała chrupot kości. Aż nią wstrząsnęło. Stało się też jasne, co wyrabiała Mistrzynie Snu. Przecież to, co się wydarzyło przed momentem, było kopią zamachu na Lenina. Fanny Kapłan. Zamachowiec spieprzyła robotę. Toy, tak jak Lenin, przeżyła. O co tamtej chodzi?

Dante podszedł bliżej. Pokazał dziewczynie broń.

– Ruski nagan, a właściwie nagant. Pewnie oryginalny. Chcesz?

– No pewnie. A ma zatrute pociski?

– No chyba nie wierzysz w bajki. Lenin miał po prostu syfilis i stąd legenda o zatrutych pociskach.

– Dobra, dobra – wtrącił się Hot Dog. – Co z nią robimy? – Wskazał klęczącą kobietę, która, łkając, zdrową ręką podtrzymywała tę złamaną. Wyjął swój obrzyn. – W tył głowy?

– Nie! – powiedział Dante. – Nie chcę już więcej utarczek z policją.

– No to na obcasy!

– A kamery? – spytała Maybe Not.

– Szlag! Mnożycie problemy – warknął Hot Dog. – Wciągnijmy ją pod drzewo. – Machnął w kierunku najbliższego skwerku. – I tam na obcasy. Świętemu Piotrowi będzie mogła powiedzieć, że weszła do nieba na naszych nogach. – Roześmiał się głośno.

– Nie róbcie jej nic złego – poprosiła Toy.

Kucnęła obok i podała kobiecie nagana do zdrowej ręki. Podniosła jej ramię, lufę oparła o swoje czoło.

– Strzelaj, jeśli chcesz.

– Nie chcę! Nie chcę!!! – Kobieta zanosła się głośniejszym szlochem, wypuszczając rewolwer z dłoni.

– Więc co to było? Jeśli mi wyjaśnisz, będę widziała, na czym stoję.

– Do jakiejś bramy i w potylicę – wtrącił się znowu Hot Dog. – Z mojej broni jeden strzał wystarczy, a lufy zakryjemy swetrem, żeby nikt nie usłyszał strzału.

– Co za bzdury gadasz. – Toy podniosła nagana z ziemi. – Co to było? – powtórzyła w kierunku kobiety.

Tamta długo zbierała myśli:

– To było jak sen – wyjąkała wreszcie. – Byłam Żydówką, nazywałam się Fanny Kapłan i miałam zabić Lenina.

– A co sprawiło, że w ostatniej chwili zdrząła ci ręka i kolega zdążył doskoczyć?

Kobieta spojrzała wyjątkowo trzeźwo.

– Bo ty nie masz brody.

Hot Dog o mało nie wywrócił się ze śmiechu. Dante i Maybe Not też skrzywili usta. Jedyne Yellow nie zrozumiał. Cadillac nie usłyszał, bo obstawiał teren i stał dwadzieścia metrów dalej.

Toy zdjęła chustę z głowy. Okręciła kobiecie rękę, końce zawiązała na szyi, robiąc prowizoryczny temblak.

– Idź do jakiegoś szpitala. Zamówić ci taksówkę?

– Czy ja dalej będę w tym śnie?

– Nie wiem. Ale wiele mi wyjaśniłaś.

Wstała z chodnika. Kolejne olśnienie – Mistrzynie Snu mogła wyprowadzać swoich ludzi ze śpiączki, tylko tworząc nowy sen. Zamach na Kennedy ego, zamach na Lenina. To musiały być wydarzenia, które znali wcześniej jej „podwładni”. Odwoływała się do szablonów. Toy troszkę zaczął się rozjaśniać obraz mechanizmów działania tamtej. Zapaliła papierosa, zaciągnęła się mocno.

– Dobra. Idziemy.

Wetknęła sobie nagana za pasek spódniczki i zakryła zakietem.

– Ty uważaj – powiedział z pijacką troską Hot Dog. – Jeśli się przewrócisz, odstrzelisz sobie jaja.

– Nie mam jaj, kochanie.

Najemnicy ruszyli, zostawiając kobietę klęczącą na chodniku. Na szczęście do motelu nie było daleko. W podziemnym garażu Dante nakleił na zderzaki nalepki CD, czyli korpus dyplomatyczny. Stali się nietykalni. Jedyne pijany Hot Dog oponował:

– Jesteśmy teraz compact discami? Przecież to przestarzała technologia.

Toy usiadła za kierownicą, Dante obok. Maybe Not, Yellow i Shainee skłębili się na tylnej kanapce. Hot Dog i Cadillac woleli zamówić taksówkę. Z powodu ciasnoty Maybe Not walnęła Yellowa za to, że trzymał twarz na jej biuście. Toy ruszyła ostro. Porsche już w garażu rwał jak burza. Z piskiem opon wyskoczyli na podjazd, a później na ulicę. Tam dołączyła do nich taksówka. Toy wyjęła z kieszeni telefon, prowadząc tylko jedną ręką.

– Tally-Ho?

– Co? – W słuchawce rozległ się zaspany głos.

– To ty jeszcze śpisz?! Ja już jestem po kilku strzelaninach, a ty ciągle w łóżku?

– Mój drogi Jahwe, czy ty się możesz odpiardolić?

– Kto ma spadać? Jahwe czy ja?

Tally-Ho ziewnęła rozdzierająco.

– Co mam robić?

– Zejdź przed bramę. Mam dla ciebie dysk z listą nazwisk. Porównasz go ze swoją listą. Spiesz się.

Ruszyła jeszcze ostrzej, ale zaraz zwolniła, przypominając sobie policyjne kamery. Zobaczyli Vixen na chodniku. Rozespaną totalnie. Żydówka ledwie trzymała się na nogach. Toy zahamowała gwałtownie. Wyskoczyła z auta, podała koleżance dysk. Odwróciła się.

– Hot Dog i Cadillac, zostajecie do ochrony. Wytrzeźwiejcie szybko.

– Nic nie szkodzi – przerwała jej Tally-Ho. – Ja z kolei mam kaca. Pogodzimy się.

Przez chwilę ustalały, gdzie zakwaterować chłopaków. Zgodziły się, żeby najlepiej w mieszkaniu naprzeciwko, bo stało puste, a warty będą pełnić wymiennie.

Zawróciła łagodnie do motelu i nagle zahamowała.

– O Matko Święta! – zwróciła się do Dantego. – Ona może wstrzeliwać ludzi do innych snów, ale tylko pod gotowy scenariusz. Taki, który znają jej ofiary. I działają w świecie rzeczywistym, realizując scenariusze, które już się kiedyś wydarzyły.

– O kurde! – Dante zrozumiał natychmiast, więc wrzasnął nagle: – Jedź! Tu może kryć się snajper, któremu się zdaje, że strzelał do Martina Luthera Kinga!

Ruszyła z kopyta. O cholera! Gnała tak, że ilość mandatów, którymi obciążą Caltron, zapewne przewyższy ich kapitał zakładowy.

– Skręcaj! – wrzeszczał Dante. – Oni nie powinni przewidzieć naszych ruchów. Gaz!

Porsche dawało z siebie wszystko. A wiele mogło dać.

– Skręcaj! Tam!

Posłusznie skręciła.

– Przecież wracamy pod dom Tally-Ho.

– Tego nie przewidzą. I o to chodzi.

– A samochody-pułapki?

– O żeż kurwa! Zaparkuj zaraz. Wracamy pieszo. Kiedy Toy się zatrzymała, Dante

poklepał ją po ramieniu.

– Jesteś dobrym psem. Chyba moim najlepszym. – Odwrócił się do najemników. – Spierdalamy zwykłym szykiem. Pierwszy leci na dwadzieścia kroków, absolutnie nie dalej. Pozostali osłaniają. Drugi leci, wszyscy inni osłaniają. I tak dalej. Bez broni w garści, bo to nie Afryka. To państwo nazywa się policja. Trzymać pod marynarkami.

Zaczęli biec. Pojedynczo. Cała reszta kryła biegnącego. Potem następny, następny, następny. Zawsze pod osłoną ewentualnej ściany ognia. Tych z przodu i tych z tyłu. Do siedziby Caltronu dotarli spoceni tak, że ich koszule i garnitury można było wyżymać z wilgoci.

Tu Toy kazała Shainee wracać do motelu. Porucznik-zakonnica próbowała zaprotestować:

– Chciałaś, żebym zawsze znajdowała się dwa metry za tobą!

– Dziewczyno, zostawiłaś pod opieką pokojowych swoje dziecko. Nie masz ochoty zobaczyć go, póki jesteś jeszcze cała i zdrowa? Tu będzie zaraz niezła jatka.

Ten argument przemówił do Shainee. Przytuliła się do Toy:

– Przeżyj. Proszę cię, przeżyj dla mnie.

– Mówisz i masz! – Uśmiechnęła się do niej. Klepnęła w pupę, nadając zakonnicy kierunek, i gestem przywołała najemników.

– Co się stało? – Przerażony strażnik poderwał się na ich widok. – Gdzie pani samochód?

– Podstaw mi nowy. Muszę ratować pana Higginsa!

– A jaki? – zdumiał się.

– Transporter opancerzony na sześciu kołach z działkiem i karabinem maszynowym – zażartowała.

Nie miała czasu na zbędną wymianę zdań. Musiała się dostać do głównego snu i sprawdzić kilka rzeczy. Teksański inżynier o mało nie dostał zawału, gdy zobaczył dyplomatów. A kiedy rozpoznał Pata Dantego, zmiękły mu nogi. Nie wiedział, czy uciekać, czy zrobić „padnij”.

– Wstrzel mnie w sen – poprosiła Toy, kładąc się na kozetce. – Nie bój się, oni nie gryzą.

– Otworzyła jeszcze oczy. – No chyba, że będziesz niegrzeczny.

* * *

Bajeczny bal na barkach pływających po Zatoce Gdańskiej po prostu oszałamiał przepychem. Girlandy kwiatów, sztuczne ognie, wykwintne potrawy. Takich win Toy, która przecież nie stroniła od alkoholu, jeszcze nie piła. Potem podano jakiś bulgocący krem. Miała wrażenie, że chyba chciałyby zostać w tym śnie. Lecz niestety, była prywatnym detektywem, którego wynajęto za pieniądze. Komuś zrobi dobrze, a komuś wyrządzi krzywdę, jak mawiał Paul Iceberg. Musiała wykonać obowiązek.

Podeszła do kapitana w tej swojej pięknej sukni. Tym razem już nie miała biustu na wierzchu. Był przykryty zupełnie przezroczystą tkaniną.

– Czy mogę poprosić o lornetkę?

– Ależ oczywiście! Służę jaśnie pani.

Podał jej, usiłując odwracać wzrok od jej piersi.

– Na pokład sygnałowy? – spytał.

– Proszę?

– Stamtąd najlepiej widać.

– A chętnie. Dziękuję.

Wziął ją pod ramię i prowadził przodem, jak królownę, pół kroczku przed nim. Na schodach Toy miała problem z suknią. Ale wspólnymi siłami poradzili sobie.

– Co pani chce zobaczyć?

– Swojego przyjaciela.

– Na innej barce – domyślił się. – Lornetka nieprzydatna. Proszę spojrzeć przez ten teleskop. – Wskazał lunetę na statywie.

Uklonił się uprzejmie i odszedł. Zaczęła obserwować, nieumiejętnie obsługując statyw. Zauważyła, że barki czasami zbliżały się do siebie, wówczas marynarze przekładają trapy i goście przechodzą z jednej na drugą. Ale Higginsa nie mogła dostrzec. Jasny szlag!

Zauważyła go po kilkunastu minutach obserwacji, kiedy przemarzła już kompletnie w utkanej praktycznie z niczego sukni. Zabawiał jakąś damę. Wydawał się zadowolony. Ziębnięta zeszła do sternika.

– Proszę podpłynąć do tamtej barki. – Pokazała dłonią, o którą łódź jej chodzi.

– Ale ja nie mogę, jaśnie pani. Ja mam plan kursu i...

Przerwała mu, wyjmując ze ślicznego etui colta reb confederate.

– Zdecyduj się, czy zmienisz kurs, czy nie. – Odciągnęła kurek. – Nic złego nie mogą mi zrobić w tym świecie. Ale ja mogę.

Patrzył tak, jakby zobaczył ducha w biały dzień. Przełknął ślinę.

– D... d... dobrze, jaśnie pani. Postaram się podpłynąć.

Spuściła kurek, odwróciła się i poszła zająć się szampanem oraz truskawkami. Obie rzeczy były doskonałe. Mistrzyni Snu miała wyrafinowany smak i dobry gust.

Kiedy podpłynęli do wskazanej barki, szybko przerzucono trap. Goście zaczęli się wymieniać. Toy przeszła z duszą na ramieniu. Nie potrafiła pływać. Co prawda nic jej tu nie groziło, ale wolała się nie przekonywać, jak śni się utonięcie. Musiała się otrząsnąć zanim podeszła do Higginsa.

– Cześć, Jack.

Nie okazał nawet cienia zdziwienia.

– Cześć, Toy. – Uśmiechnął się. – Cieszę się, że podjąłem właściwą decyzję.

– Jaką?

– Wynająłem właściwego człowieka.

Śmiał się już głośno. Ukłonił się damie, którą dotąd zabawiał. Wziął Toy pod ramię i poprowadził do małej tawerny pod pokładem. Czowała się jak w łodzi podwodnej. Okazało się, że oprócz lęku przed wodą cierpi jeszcze na klaustrofobię. Jezu, jakie ma jeszcze defekty?

Zajął miejsce przy stoliku w dyskretnej łoży. Zasłonił ich kotarą.

– Wiedziałem, że mnie tu odnajdziesz. Wiedziałem, że jesteś człowiekiem, na którego można liczyć.

– Psi obowiązek.

Położył Toy rękę na ramieniu. Kiedy kelner ostrożnie odsłonił kotarę, zamówił *crème brûlée*, ciasteczka i wino.

– A jakie? – spytał kelner.

– Najlepsze.

Higgins znowu odwrócił się do Toy.

– Co dzieje się z moim ciałem w rzeczywistości? – rzucił po raz pierwszy nerwowo.

– Wprowadzili cię w sztuczną śpiączkę. Ale poskładają. Nie oberwałś za mocno.

Odetchnął z ulgą.

– To dobrze. Tu mi nic nie grozi, bo Valkiria wystrzeli mnie z powrotem, kiedy będę chciał.

Wskazała ręką wokół. Symbolicznie raczej, bo osłaniała ich kotara.

– Ci wszyscy ludzie zginą, gdy wyłączą urządzenia. Mamy tylko kilka dni.

– Nas akurat szlag nie trafi.

– Ona ma lepsze komputery niż ja!

Higgins popatrzył jej w oczy.

– Ale ty masz ducha walki większego niż ona.

Opuściła głowę. Zajęła się ciasteczkami i kremem. Był wyborny. Nie wiedziała, co powiedzieć. Znowu na front. Kiedy to się skończy?

– Nigdy – odpowiedział Higgins na głos.

Aż podskoczyła.

– Odczytujesz moje myśli?!

– Gdzieżbym śmiał. Zresztą nasze Valkirie ledwie mogą się porozumieć.

– Więc?

Nalał im wina. Wziął kieliszek w dłoń.

– Nie rzuciłaś ze strachu broni w Afryce. Nie zemdlałaś, gdy w próżni uderzyłaś hełmem w obracający się walec Moonsunga. Stąd wiem. – Upił łyk. – Wiem o tobie wszystko, Toy. I uwierz mi, ty sobie po prostu radzisz.

Jaki on uroczy, rozczuliła się Toy. Była o włos, żeby uznać, że się w nim zakochała. O włos. Ale Higgins miał żonę. Jej najbliższą koleżankę, która kiedyś uratowała jej życie. Jak ciężko podejmuje się decyzje. Jeśli za kilka dni wyłączą urządzenia, Kosa umrze. Toy i Jack

będą żyć. No i... Przecież już się kochali. Teraz wystarczy biała, ślubna sukienka, porządny garnitur i świadkowie.

Jezus Maria. Kosa była jej najbliższą przyjaciółką. Jedyłą, jaką miała w domu dziecka. Zwilgotniały jej oczy. Toy, ty kretynko, zganiła się w duchu. Znowu bagnet na broń i wyłaź z okopu.

– Dobra, wskoczę tu jutro. Dałam Tally-Ho twój dysk do porównania z jej listą. Z różnic powinno nam wyjść jedynie kilka nazwisk. Ale to ty musisz je usłyszeć, bo ja nie znam tych ludzi.

– Domyślam się. Do akt cię nie dopuszczają.

– Ona może budzić swoich ludzi i wstrzeliwać do innych snów, innych scenariuszy. Ale tylko znanych tym, którzy tkwią w komie.

Drgnął gwałtownie.

– Co?

– No przecież ty przeżyłeś zamach na Kennedy’ego. Nie padł trzeci strzał. Dlatego tylko żyjesz. Ja przeżyłam zamach na Lenina. Po prostu mamy lepszych ochroniarzy niż tamci.

– Kto?

– Pat Dante. I kumple.

Pokiwał głową.

– No to jestem spokojny. – Upił jeszcze łyk wina. Tu mógł sobie pozwolić, ponieważ nie miało to wpływu na jego ciało w świecie rzeczywistym. – OK. Leć i rób swoje.

– Po to mnie wynająłeś.

„Gudr?”

„Jak zawsze na stanowisku”.

„Wystrzel mnie ze snu”.

„A nie możemy trochę poczekać? Strasznie mi smakuje ten krem z ciasteczkami”.

Toy z przerażeniem stwierdziła, że zjadła dwie porcje kremu, swoją i Higginsa, oraz praktycznie wszystkie ciasteczka.

„Gudr, ty czujesz smak?”

„No pewnie. Przecież jestem tobą”.

„Dobra. W rzeczywistości kupię ci hamburgera”.

„A pieprzę hamburgery. Tu jest fajniej”.

„Gudr?”

„No dobra, dobra. Już lecimy”.

* * *

Obudziła się wypoczęta. Inżynier już się uspokoił, ochroniarze przysypiali na ławeczkach w poczekalni.

– Coś konkretnego? – spytał Teksańczyk.

– Tak. Spotkałam Jacka Higginsa.

Jakby coś nim szarpnęło.

– I co?

– I nic. Nie uprawiałam z nim seksu. – Zastanowiła się. – We śnie przynajmniej. Ale powiedz mi jedną rzecz. Co ściągnęło go do snu?

– Nie wiem. – Potarł brodę. – Prawdopodobnie gigantyczny akcelerator pod miastem. Taki sam, jakiego używaliśmy w mniejszej skali w Sex Side.

– A co się stanie, jeśli go zniszczymy?

– Wszyscy ludzie w komie umrą.

– Dlaczego?

– No, tu musiałbym walnąć pani wielogodzinny wykład. Umrą i już. Zmiłowania nie będzie.

– Kiedy wyłączycie urządzenia?

– Za kilka dni.

– I na pewno zmiłowania nie będzie?

– Nie ja o tym decyduję, proszę pani. Żadnej winy proszę na moją głowę nie składać. Jestem tylko prostym inżynierem, który ma pani pomagać. A jakie są intencje władców, nie mnie rozstrzygać.

Nagle się rozsypał. Usiadł i zaczął mówić samymi ruchami ust, bezdźwięcznie. Ale Toy rozumiała dobrze dzięki Valkirii.

– Zabiją wszystkich. Nie może wyjść na jaw, że Caltron przeprowadza eksperymenty na ludziach.

– Dlaczego?

– Tego nie wiem. Za małutki jestem. Lecz jeśli wyłączą urządzenia, ci ludzie zginą. A po co firmie tysiące procesów? Coś wymyślą.

– Można ich jakoś uratować?

Przestraszył się tak, że osłonił usta dłońmi, żeby tylko ona widziała poruszające się wargi.

– Tak. Można.

– Jak?

– Trzeba wyeliminować Mistrza Snu.

Przesłała mu pocałunek w powietrzu.

– Podejrzewałam to szóstym zmysłem. Dzięki za informacje.

Toy i reszta ludzi opuścili laboratorium. Nie chcieli korzystać z windy, ponieważ uważali, że tam najłatwiej dokonać zamachu. Złazili schodami. Prawie kilkanaście pięter. Najemnicy jak zwykle posuwali się skokami. Jeden leci, reszta osłania. Strażnik w podziemnym parkingu stanął na baczność.

– Samochód podstawiony! – zameldował, widząc Toy.

- O kur... O kurde blade – powiedział Dante.
- O ja cię pierdołę! – Maybe Not była bardziej dosłowna.

Jedynie Yellow wykazał opanowanie. Powiedział:

- Mogę poprowadzić to cudeńko?

Przed nimi stał sześciokołowy transporter opancerzony z działkiem i karabinem maszynowym.

- Taki państwo zamawiali? – pytał strażnik. – Czy zamienić na gaśnicowy?

Dante potrząsnął głową.

- Może być. Amunicję umieścili w środku?

– Oczywiście. W razie czego mamy gwarancję i można zwrócić się do producenta z reklamacją.

– Rozumiem. – Dante zdecydowanie nie mnożył trudności. – Jeśli nas zabiją w tym pojeździe, to możemy złożyć reklamacje. Jasne.

– No ja tam nie wiem, jakie w niebie są dokumenty do wypełnienia – zafrasował się strażnik. – Ja tu tylko parking obsługuję.

- I bardzo dobrze. – Dante wskoczył na pancierz i usiadł na działku.

Yellow otworzył właz i wpełzł do środka.

- Ale odlot – krzyknął. – On ma tu wszystko! Wszystko, wszystko, wszystko!

– Do usług. – Strażnik ukłonił się ceremonialnie. – Kupiony prosto z magazynów armii. Caltron stać na każdą zachciankę.

Toy wdrapała się na pancierz do Dantego. Maybe Not usiadła obok.

– Tutaj najlepiej – powiedziała. – Jeśli mina eksploduje pod transporterem, nie oberwiemy.

- Ale jeśli strzelą z dachu, to obrywamy pierwsi.

Maybe Not spojrzała na Toy.

- Przekonałaś mnie. Włazimy do środka.

Strażnik doskoczył z boku. Podał zieloną teczkę.

- Tu są dokumenty wozu, proszę.

- Dziękuję.

Toy zniknęła we włazie. Uderzyła ramieniem o ściankę, przyłożyła czołem. Wnętrze okazało się zupełnie niekomfortowe. Gdy ruszyli, rąbnęła czołem jeszcze raz.

- Gdzie jedziemy? – spytał Yellow za kierownicą.

– Do najbliższego sklepu z demobilem. Mam już dość tego zakietu z minispódniczką i pasem do pończoch.

- Oj, ty słusznie mówisz – poparła ją Maybe Not od razu.

„Gudr, prowadź!”

„Ale to strasznie daleko. Na przedmieściach. Nie wiem, czy to sześciokołowe gównno w ogóle tam dojedzie”.

„Nie marudź”.

Nie ujechali daleko. Policyjną syrenę usłyszeli już kilometr dalej. Gliniarze osłupieli, widząc, jak z wojskowego transportera wysypują się ludzie w garniturach. Dodatkowo trzymający w dłoniach paszporty dyplomatyczne.

– Dyplomaci w wozie pancernym w centrum miasta? – Jeden z policjantów przemógł zaskoczenie. – Czy to atak na USA?

– Jeszcze nie – odpowiedział Dante.

– To ja poproszę o dokumenty tego... pojazdu.

Dostał zieloną teczkę. Szybko wertował papiery.

– O szlag!

– Raczej nie. Nazywam się Dante.

Policjant podniósł oczy.

– Ale jak to możliwe, żeby dyplomaci byli w naszej gwardii narodowej? Bo na nią są wystawione papiery tego... pancernika.

Dante tylko wzruszył ramionami.

– Ćwiczenia. Chcemy się od was czegoś nauczyć. My jesteśmy z M'pondo.

– Aha. – Gliniarz popatrzył na nich. – Ale tak w garniturach w czołgu?

– Korpus dyplomatyczny jest zobowiązany do noszenia garniturów zawsze i wszędzie. – Dante zachował kamienną twarz.

Policjanci przeglądali dokumenty przez całe kwadransy. Dzwonili gdzieś, rozmawiali przez radiostację, konsultując decyzję. W końcu jednak odступili. Pojazd był legalny, był własnością gwardii narodowej, w której, jak się okazało, dyplomaci tymczasowo służyli. Caltron potrafił wszystko.

Yellow ruszył ostro. Zaraz odwrócił się i zaproponował:

– A może by tak strzelić w nich z działka? Dla jaj, przynajmniej będzie wesoło.

– Jaja to ja ci zaraz urwę – warknął Dante. – Jedziesz połową transportera po chodniku.

– Bo to jest niesterowalne w warunkach miejskich. W dżungli bym sobie poradził, kosząc wszystkie palmy.

Nikom nie chciało się komentować. Dojechali do sklepu w ciągu niecałej godziny. Wybór był genialny. Mieli wszystko. Od armii amerykańskiej, przez brytyjską, niemiecką, po rosyjską. Toy buszowała w regałach. Wzięła lekkie pustynne buty, chyba angielskie, rosyjskie bryczesy, angielską lotniczą kurtkę z barankiem na kołnierzu i wielki amerykański hełm. Wolą już nie obijać sobie głowy w transporterze. Znalazła wojskową bieliznę i przebrała się błyskawicznie. Trochę było jej głupio w męskich gatkach, ale wreszcie poczuła wielką ulgę po niewygodnych pończochach i stringach. Przejrzała się w lustrze. Ekstra. Wyglądała niczym żołnierz, który przeszedł przez wszystkie fronty na świecie. Dokupiła jeszcze białą chustę, którą owinęła wokół szyi. Naprawdę ekstra.

Nagle osadziło ją w miejscu. Wyglądała przecież prawie tak samo jak we śnie. Jedyne

hełm nie przypominał lotniczej czapki ze sterowca. Boże. Czy sen może mieć wpływ na jej rzeczywistość? Ubrała się prawie tak samo jak tam. Otrząsnęła się.

Jakiś facet bez jednej ręki wszedł do sklepu. Porozglądał się chwilę, potem postawił teczkę przy drzwiach i wyszedł. Coś jej to przypominało.

– Chodu! – wrzasnęła. – Do wozu!

Runęła przodem, najemnikom też nie trzeba było powtarzać. Lecieli za nią, a nawet szybciej. Wskakiwali do włazów, które od razu zamykali. Toy, choć niewierząca, dziękowała Bogu za to, że wybrała metalowy hełm.

– Co się stało? – spytał Dante już wewnątrz.

– To przecież zamach na Hitlera. – Toy dopadła peryskopu.

Eksplozja rozniosła pół kamienicy. Wstrząsnęło nawet pancernym pojazdem. Odłamki waliły po burtach.

– Ooo! – westchnęli bezpieczni najemnicy. – Ty jesteś dobrym psem, Toy.

Dante położył jej rękę na ramieniu.

– Jesteś najlepszym psem, jakiego miałem – powiedział z przekonaniem.

Poczuła się, jakby została odznaczona Medalem Kongresu, Orderem Zasługi, Lenina i Złotą Gwiazdą jednocześnie. Przez dłuższą chwilę nie mogła nic powiedzieć. Pochwała Dantego wiele dla niej znaczyła. Wreszcie się wzięła w garść.

– Teraz policja już nam nie da spokoju – powiedziała.

– Nie sądzę – mruknął Dante. – Mają nagrania sklepowych kamer. I będą wiedzieć, że to nie my.

Włączyła się Maybe Not.

– Dobra, Yellow. Wal do przodu. Może jeszcze złapiemy tego jednorękiego.

– Nie! – ryknęła Toy. – Zawracaj do centrum! Pędem!

Zrozumiała coś nagle. Jeżeli Mistrzynie Snu wie, gdzie ona jest w tej chwili, to musi mieć jakiegoś szpiega w pobliżu, żeby organizować zamachy. Ale skoro baba może przewidzieć ruchy Toy i zaplanować wszystko, to Toy też może. A przynajmniej spróbuje przewidzieć.

– Dlaczego jedziemy do centrum? – spytał Dante. – Mogliśmy złapać tego gościa od teczki.

Popatrzyła na niego.

– Dante, co to jest pies?

– Zwiadowca, który wyprowadza oddział z okrążenia.

Skinęła mu głowę.

– No to ja na razie wyprowadziłam tylko połowę oddziału.

Zrozumiał. Kazał dać gaz do dechy i nie zwracać uwagi na przepisy, więc Yellow walił środkiem ulicy. Samochody na szczęście nie chciały sprawdzać odporności swoich blach w konfrontacji z pancernikiem. Wszystkie uciekały na boki. Toy wyjęła telefon, wystukała numer.

– Tally-Ho, żyjesz?

– No żyję. I to jak fajnie.

– Natychmiast się ubieraj, bierz tego swojego inżynierka, obu ochroniarzy i spadajcie.

Już!

– Dlaczego?

– Zamach w Oklahoma City. Włącz alarm przeciwpożarowy. Może uratujemy jeszcze jakichś ludzi.

– Jaki zamach?

– Nie myśl! Wykonuj instrukcje. Zabierz oba dyski i spierniczajcie. Włącz alarm. Musicie przebiec kilkanaście przecznic, bo nie możemy podjechać bliżej. Policja połączy te wszystkie zamachy. Kilkanaście przecznic. Lecicie na północ. Hot Dog i Cadillac będą wiedzieli, gdzie!

Dante skinął głową. Będą wiedzieli. Zerknął na mapę i spojrzał na Toy z pewnym nawet uznaniem. Najkrótsza droga.

– Jesteś naszym porsche? Bo jeśli innym wozem, to jak was rozpoznam?

– Innym. Ale rozpoznasz bez trudu, zapewniam. Wykonać. *Over and out.*

Zamknęła klapkę aparatu. Najemnicy z tyłu chichotali.

– Trzeba jej było kazać skoczyć ze spadochronem – powiedziała Maybe Not.

Toy odwróciła się i spojrzała uważnie.

– Jeśli będę mieć rację, sami zobaczycie, jakiego macie psa. Jeśli nie, to klęknię i będę szczekać „hau, hau, hau”. Już wyczuwam tę babę. Już mniej więcej wiem, czego ona chce.

– Czego?

– Jeszcze nie jestem pewna. Jeszcze do niej nie dotarłam, ale jestem o włos.

Dante zerknął na Toy z uśmiechem.

– To ekscytujące, prawda?

– Co?

– Stawiasz swoje życie w ciemno, w pokerze, którego zasad nawet nie znasz. – Potarł brodę. – Adrenalina.

– A może ja naprawdę chcę kogoś uratować?

Skinął głową.

– Jakieś wytłumaczenie zawsze się znajdzie. – Spojrzał kpiąco. – Albo patriotyzm, albo chęć niesienia pomocy, albo rewolucja. Wytłumaczenie zawsze się znajdzie.

Teraz ona zrozumiała.

Jechali w potwornym zaduchu. Ich transporter nie miał klimatyzacji. Ktoś nawet zaproponował, żeby Toy zdjęła skórzaną kurtkę. Odparła, że nie ma nic pod spodem. Nie zdążyła kupić koszuli. Nie to, żeby się krępowała, ale jakoś tak głupio byłoby jechać z cymbalami na wierzchu. Odslużyła swoje dwa lata w Sex Side kompletnie na golasa przy krawężniku i już więcej nie chciała tego powtarzać.

Zatrzymali się przy skwerze w eleganckiej dzielnicy. Panie wyprowadzające pieski

patrzyły na nich jak na istoty z innego świata. Toy wyjęła ze schowka lornetę, otworzyła włącznik i wysunęła się do połowy. Wyglądała niczym generał Patton, w skórzanej kurtce, białej chustce na szyi i hełmie.

Po jakichś dwóch minutach ujrzała cztery gnające postaci. Zziębnięci, spoceni dobiegli do transportera. Tally-Ho przyznała Toy rację. Takiego wozu nie sposób było nie rozpoznać.

– Co się stało? – zadyszana Vixen nie mogła złapać oddechu. – Tam setki ludzi spierniczają, bo włączyłam alarm.

– Oklahoma City.

– Co?

– Patrz. – Toy podała przyjaciółce lornetkę. Jak we śnie. Jak podczas rejsu po Zatoce Gdańskiej, ale wtedy kapitan wskazał Toy teleskop.

Gruchnęło tak, że powybijało szyby w kamienicach obok. Nawet gołym okiem widać było płomień wybuchu.

– Jahwe! – Pierwsza ocknęła się Vixen. – Ocaliliśmy parę setek ludzi!

– I tak bywa w życiu – roześmiała się Toy. – Czasem trzeba zabić, ale czasem można też okazać łaskę. A prawo łaski jest przywilejem królów.

Hot Dog poklepał ją po plecach.

– No to my króle teraz – powiedział. – Damy łaskę tym, których nie zastrzelimy.

Dante tylko kiwał głową zdziwiony przenikliwością Hot Doga. Wyjątkowo trzeźwego zresztą.

– Dobra, wsiadać!

Nie udało się. Tłok zrobił się taki, że Hot Dog i Cadillac wypelzli na dach, a ponieważ nie zdążyli zmienić ciuchów, robili wrażenie. Dwóch facetów w garniturach na dachu transportera opancerzonego? Znaczący ochroniarze jakiegoś VIP-a, który jechał w środku. Do tego Toy w skórzanej kurtce, białym szaliku, w hełmie i z lornetką w rękach tkwiąca do połowy we włączniku. „Rany boskie, generał Patton zmartwychwstał!” Policja nie zatrzymała ich ani razu. Inżynier, którego poderwała Tally-Ho, rozglądał się cały dziki. Na początku poobijał się jak Toy. Z przerażeniem patrzył na czerwone spusty działka i karabinu maszynowego.

– To może wystrzelić? – spytał.

– Gdzie tam, to tylko atrapy – powiedziała Toy.

– A rakiety też macie?

– Mamy wszystko. – Yellow odwrócił się od kierowcy. – Jak odpalimy, to goła ziemia i niebo pozostanie. Nic więcej.

Inżynier zaczął panikować. Toy, patrząc na Yellowa, popukała się w czoło. Sytuację uratowała Tally-Ho, całując faceta w policzek i mówiąc:

– Mój, mój, mój. – Głaskała go delikatnie. – Jesteś mój. Nikomu cię nie oddam.

Uspokoił się wyraźnie w ciągu paru sekund. Toy śmiała się w duchu, Maybe Not też nie

potrafiła ukryć radosnego wyrazu twarzy. Vixen była profesjonalistką. Robiła z mężczyznami to, co chciała.

Dojechali do budynków Caltronu. Tu im nic nie powinno grozić. Ochroniarze kłaniali się z daleka. Już ich znali. Jeden nawet chciał prowadzić Toy pod rękę.

– Jack Ruby! – wrzasnęła, widząc faceta w garniturze i kapeluszu, z małym rewolwerem w dłoni. – Uciekać!

Najemnikom nie trzeba było powtarzać. Skoczyli pod ściany, wyciągając broń. Na środku został tylko rozdygotany inżynier i... Pat Dante. Spokojnie wyjął pistolet, przeładował i zastrzelił gościa. Sprawdził, czy tamten na pewno dostał w środek czoła, a potem teatralnie dmuchnął w lufę.

– To ten facet, który zabił Lee Oswalda? Mordercę Kennedy’ego?

– Tak.

– Tak i myślałem. Znajomo wyglądał, sukinsyn – zażartował okrutnie.

Jeden z ochroniarzy wynurzył się zza biurka. Trzymając pistolet w dwóch rozdygotanych dłoniach.

– Pan zabił człowieka – powiedział. – To trzeba zgłosić na policję.

– A zgłaszajcie sobie, gdzie chcecie. Jestem dyplomatą i strzelałem w obronie koniecznej, na co mam świadków.

Wszyscy najemnicy skwapliwie przytaknęli. Dante na brak świadków nie mógł narzekać. Podszedł do ciała, podniósł leżący na ziemi rewolwer.

– Miałas rację. – Zerknął na Toy. – Colt cobra.38 special. To Jack Ruby.

Toy stwierdziła w duchu, że nawet zgodność broni jest symptomatyczna. Tamta cholera ze snu mogła wstrzeliwać swoją ofiarę tylko w znany jej scenariusz. Albo znany ofierze.

Zdała sobie też sprawę z jednej rzeczy – Mistrzynie Snu działała nawet w siedzibie Caltronu, gdzieś blisko. Dziewczyna prawie wyczuwała jej zapach, czuła jej obecność. W końcu była psem.

– Pełna gotowość. Lecimy skokami.

Najemnicy potwierdzali ruchami głów. Pierwsza ruszyła Maybe Not. Pozostali osłaniali. Potem następny i następny. Narobili okropnego zamieszania, ponieważ urzędnicy na korytarzach nie wiedzieli, czy to terroryści, czy policja. Kilku zaczęło uciekać. Ale Toy w swoim stroju robiła wrażenie. Każdy wiedział, że to dowódca. Choć nim nie była. Dowodził Dante. Lecz ona wyglądała lepiej. Niektórzy urzędnicy, ci co służyli w armii, nawet jej salutowali. Uprzejmie oddawała honory.

– Schodami na górę! – zakomenderowała.

– A czemu nie windą? – spytała Maybe Not.

– Bo windę łatwiej wysadzić – odparł Dante. – Uwierz jej wreszcie, ona ma szósty zmysł. To prawdziwy pies oddziału.

Pomylili drogę i wpadli zziązani do sali, gdzie odbywało się jakieś przyjęcie. Napoje

wożono wielkim elektrycznym wózkiem, bo zapotrzebowanie było olbrzymie. Zgubili się w tłumie.

– Wróć! – wrzasnęła Toy. – To zamach na papieża!

Najemnicy runęli w tył. Zderzali się w korytarzu. „Mehmet Ali Agca”, który wybiegł za nimi, nie miał szans. Dante trafił go w czoło, reszta ładowała już w martwe ciało.

– Będziemy mieli przesrane na policji – zmartwił się Cadillac.

– A skąd! – wtrącił się Dante. – Facet leciał na nas z wyciągniętą spluwą. Nie ma bata. To była obrona konieczna.

– Ale nie wystrzelił – powiedziała Maybe Not.

– Jak to: nie wystrzelił? Stańcie tak, żeby głowami pozasłaniać kamery.

Kiedy spełnili rozkaz, Dante złapał dłoń denata, ścisnął w niej broń i oddał strzał.

– No i jak? Nie strzelał? – zapytał uprzejmie. – Strzelał, skurwysyn. Chciał nas pozabijać. Dyplomatów. I tak będziecie zeznawać w razie czego. A to, że strzelał pośmiertnie, to się pominie.

Najemnicy przytaknęli zgodnie. Kiedy opadli ich obsługanci imprezy, naprzód, choć z dużym strachem, wystąpił Hot Dog w eleganckim garniturze.

– Proszę państwa, jak to jest, że tutaj strzela się do służby dyplomatycznej? – Pokazał swój paszport. – Ja grozę dementi!

– Dementi to ty masz – szepnęła Toy.

Nie zraził się.

– No to grozę memorandum! – wydarł się.

– Hot Dog, uspokój się – powiedziała. – Używaj słów, które znasz.

– No, dobra – zgodził się natychmiast. – Po prostu was pozabijamy! I już. Tu na miejscu.

Zakryła twarz dłońmi. Dante stał pod ścianą i rechotał tak, że nie mógł nic powiedzieć. Maybe Not oparła czoło o ścianę. Cadillac jak zwykle nic nie zrozumiał. Stał i patrzył.

– OK. – Toy robiła wrażenie w swojej lotniczej kurtce, białym szaliku i hełmie. – Zaatakowano dyplomatów królestwa M’pondo. Żądamy przeprosin na szczepku Kongresu.

– Co tu się stało? – spytał jeden z obsługantów.

– Ja tam nie wiem – odparła Toy. – Jestem prostym ochroniarzem.

– Będą musieli państwo złożyć zeznania na policji.

– Nie ma sprawy.

Zostawili obsługę razem z ciałem. Znowu skokami przez schody przedostali się prawie na samą górę. Toy myślała, że wypluje płuca. Weszli do laboratorium, nazywanego przez nią pokojem snów.

– Umiesz obsłużyć te urządzenia? – spytała chłopaka Tally-Ho.

Mimo że wyglądał na zaskoczonego, odpowiedział od razu:

– No pewnie.

– Jesteś pewny na sto procent?

– Jasne. Toż to stary sprzęt. Wyjęty skądś z lamusa. – Podeszedł do najbliższej konsoli. – To jakiś obciach. Stary jak moja matka.

Toy zagryzła wargi. Stary sprzęt wyjęty z lamusa? Zdobyła pewność, że ma w głowie prototyp Valkirii, a nie seryjną produkcję. Higgins musiał spanikować, skoro załatwił coś takiego. Wyciągane z magazynu, zakurzone urządzenia, facet musiał dać z siebie wszystko. Boże, jak on kochał Kosę. To znaczy Evę.

– No to zaczynajmy. – Podała mu dwa dyski. – Najpierw porównaj ich zawartość i daj mi te nazwiska, które nie pojawiają się na obu.

– Trzy sekundy.

Jednak trwało to kilkadziesiąt sekund. Inżynierek wydrukował Toy listę. Sześć nazwisk. Musiała zapamiętać, bo przecież kartki papieru nie zabierze ze sobą do krainy snu. Łaziła po pomieszczeniu od ściany do ściany i powtarzała nazwiska, mamrocąc pod nosem. Potem położyła się na kozetce.

– Dobra. Wstrzel mnie do snu.

* * *

Lecieli helikopterami nad Zatoką Gdańską. Najpierw pokazano im Trójmiasto z powietrza, a potem zawrócili na Hel. Widoki niemające sobie równych. Toy patrzyła zafascynowana i na miasto, i na helikoptery zręcznie manewrujące w szyku. Trochę marzła, bo znowu miała na sobie zwiewną sukienkę z biustem na wierzchu. Któryś z członków załogi podał jej koc. Okryła się skwapliwie. Piloci chcieli się popisać – zeszli nad sam poziom morza i przyspieszyli tak, że pasażerowie czuli na twarzach krople wody rozpraszanej przez pęd powietrza. A potem stłoczyli się w górze, Toy miała wrażenie, iż śmigło maszyny obok utnie im ich własny wirnik. Widziała twarze pasażerów z drugiego helikoptera. No, niby we śnie nic się nie może stać, ale ścisnęło ją w dołku. Wylądowali w Helu. Zaczęło się oglądanie starych instalacji obronnych. Średnio przyjemne, gdy się ma buty na szpilkach. A potem przyjęcie w tawernie. No... Tawerna miała wielkość namiotu cyrkowego, lecz wystrój odpowiedni do poziomu imprezy. Tam nareszcie złowiła Higginsa.

– Cześć, Jack.

– Cześć, Toy. Ślicznie wyglądasz.

Zakryła się dłońmi.

– Mam listę sześciu nazwisk. Postaraj się wymyślić, o którą babę chodzi.

Wyrecytowała mu wszystkie. Siedział dłuższą chwilę, stukając paznokciem o zęby. Potem powiedział, że właściwie wszystkie spełniają zadane kryteria.

– Wybierz brzydkie.

– No to dwie można skreślić z listy. Pozostają cztery.

– Wybierz taką, która ma broń i umie strzelać.

– Nie mam pojęcia. Nigdy nie oglądałem żadnych akt. Nie wiem.

– Nie pomagasz mi, Jack. To musi być babka, która była na wakacjach w Polsce albo w Rosji, ogląda stare filmy, interesuje się historią.

– Nie wiem. To w ogóle nie mój poziom dowodzenia. To wiedzą kadry. Ja dostaję tylko raporty o stanie zatrudnienia.

– Dasz mi dostęp do akt?

– Stąd? W jaki sposób? Jeśli Valkiria wystrzeli mnie ze snu, to znajdę się w sztucznej sypialni. Ty pomyśl trochę, dziewczyno.

Uśmiechnęła się.

– Masz rację. Sama się dowiem.

Wstała od stołu, z etui wyciągnęła swojego colta reb confederate.

„Gudr, nie pomagaj mi pod żadnym pozorem”.

„Nie ma sprawy. To tylko sen. Nic się nie stanie tam, gdzie żyjemy”.

Toy odwróciła się jeszcze do Higginsa.

– Dlaczego wszczepiono mi prototyp?

– Bo już nie było seryjnych egzemplarzy. Zakaz produkcji.

– Kto ma czwartą?

– Nie wiem.

– No to ja się dowiem.

Ruszyła w kierunku podium tawerny. Rozbawieni goście wznosili kolejne toasty. Spoceni kelnerzy biegali wokół, usiłując nikogo nie potrącić i spełnić wszystkie zamówienia. Orkiestra grała ostro. Toy podeszła do Imperatrycy i wrzasnęła:

– Ty! Wyzywam cię na pojedynek! – Podniosła swoją spluwę.

„Gudr, nie pomagaj, proszę”. „Uspokój się. Nie pomagam”. Imperatryca położyła dłonie na rękojeściach dwóch złotych coltów. Ruchem głowy odwołała ochroniarzy.

– No to stawaj!

Toy odciągnęła kurek. Tamta dwa kurki. Trzech ludzi udających niewidomych żebraków wyciągnęło spod ubrań shotguny i zabili Toy, strzelając jej w plecy. Takie sobie uczucie.

* * *

Obudziła się, gorączkowo sprawdzając, gdzie jest.

„Spokój, spokój – mówiła Gudr. – Nic nam się nie stało, a tobie skoczyło ciśnienie”.

„Jesteśmy żywe, tak?”

„No raczej tak. Leżymy na kozetce i lepiej wstańmy. Trzeba się trochę poruszać”.

Hot Dog nachylił się nad Toy.

– Coś fajnego się śniło?

– Doktor No.

– Nie, nie wołaliśmy żadnego doktora!

Usiadła na kanapie, poprawiając włosy. Poprawiła też lekko makijaż. Potem ziewnęła rozziewając. Wyjaśniła, że chodzi jej o film z Jamesem Bondem „Doktor No”. Znała go dzięki Shainee, która nie uznawała świata bez telewizji i darmowych kanałów ze starociami. Tam też byli trzej żebracy udający ślepców. I strzelali równie dobrze.

– Ciekawe, co ona teraz wymyśli? – zastanawiała się. – Strzelanina w Dodge City? O.K. Corral? Teksaska masakra piłą mechaniczną?

– Nie bój nic, mała. – Hot Dog pogłaskał swojego obrzyna. – Żywy stąd nie wyjdzie nikt. Oprócz nas, oczywiście.

– Mam nadzieję tylko, że to nie będzie Hiroszima. – Wstała. – OK. Do pracy. Tally-Ho, ograniczyłam listę nazwisk do czterech osób – Wykreśliła dwa z kartki. – Sprawdźcie wszystkie wypożyczalnie w mieście, które specjalizują się w starych filmach. Jeśli znajdziesz choćby jedno nazwisko z tej listy, dzwoń natychmiast. Yellow, leć z nimi do ochrony.

– A my? – spytał Dante.

– A my chodźmy na obiad, jeśli mogę prosić. – Ukłoniła się grzecznie. – We śnie nie zdążyłam nic wszamać. Chociaż od jedzenia tutaj przybędzie mi tkanki tłuszczowej.

– Akurat tobie by się trochę przydało – mruknął Cadillac.

– Odczep się – warknęła. Nagle jednak zmieniła temat. – Zastanawiam się, która z nich może być taką idiotką, żeby umieścić sterowce i śmigłowce w jednej epoce?

– Pewnie jakaś baba – podrzucił Hot Dog.

Rozbroił ją. Zachichotała, opierając głowę na ramieniu najemnika.

– Czy wiesz, że jesteś genialny?

– Co?! – zachnął się. – Szkół żadnych nie kończyłem Ale może i tak...

Pocałowała go w szyję. I nagle pacnęła się w czoło.

– Wiem! Wiem! Romantyczka! Już ją rozgryłam.

Hot Dog roześmiał się głośno. Dante i Maybe Not przybili dłońmi piątkę. Cadillac puścił oko do Toy.

– Dobry piesek. Dobry. Dostanie kość dziś wieczorem.

– Ale najpierw chciałabym zjeść coś bardziej konkretnego.

Wskoczyli do swojego pancernego pojazdu. Toy znowu do połowy we włązie zasalutowała nowemu ochroniarzowi, który krzyczał, że tu czołgami nie wolno jeździć. Miała go w dupie. Gudr prowadziła ich sprawnie do najlepszej restauracji w mieście. Na szczęście to nie był wieczór i nie zachodziła potrzeba rezerwacji stolików. Cadillac, naśladując Yellowa, też jechał środkiem ulicy albo zahaczał o chodnik. Zmiażdżył jedynie ze dwa zaparkowane auta, nawet nie poczuli wstrząsu. Na szczęście oba samochody stały puste. Żadna strata – Caltron zapłaci.

Pod samą restauracją, kiedy Cadillac próbował zaparkować, niszcząc latarnię, złapała ich policja. Zaczęli pukać pałkami we włącz Cadillaca. Otworzył uprzejmie.

– Czy ma pan pozwolenie na kierowanie tym pojazdem w mieście?

– Ja w ogóle nie mam prawa jazdy.

Ośłupieli. Zaraz wtrąciła się Toy.

– A czy wy macie pozwolenie na używanie rozumu? – Wygramoliła się z wozu. – To własność Caltronu.

– Ten transporter nie ma tablic rejestracyjnych – upierał się policjant.

Dante wyszedł na zewnątrz. Skrupulatnie jak lekarz obejrzał transporter ze wszystkich stron.

– No rzeczywiście nie ma. – I nagle krzyknął: – Ukradli nam! Policja! Policja! Złodzieje wokół! Otaczają nas!

– To nie front – mruknęła Maybe Not.

– A, faktycznie – zorientował się. – Nie okrążają nas, tylko... Tylko co robią?

– Kradną – podpowiedziała Toy. – Chodźmy już do knajpy.

Rechotali z ogłupiałych policjantów, którzy wyjęli bloczek mandatów, notes i chcieli spisywać. Nie było czego spisać. „Czołg, sztuk jedna”. Tyle mogli. Żadnym z drogowych dźwigów nie dadzą rady odholować transportera, bo żaden nie podniesie tego stalowego cholerstwa. Nawet mandatu nie uda im się wcisnąć pod wycieraczkę, ponieważ ten akurat wóz opancerzony nie miał wycieraczek.

Restauracja okazała się wyśmienita, choć trochę za wykwinna jak na gust najemników. Studiowali kartę w trzech językach, patrząc na siebie i ustalając, że żadnych galaretowatych świństw z morza nie biorą. Była wołowina duszona w piwie, kaczka w morelach, szczaw macerowany, a potem uduszony w cieście, i inne cuda, o których nigdy nie słyszeli.

– Co oni tu tak wszystko duszą? – spytała Maybe Not. – Mafia jakaś?

– Świni nie udusisz – powiedział Cadillac. – Za gruba.

– Kelner! – zawołał Dante. A kiedy ten się zjawił, zapytał: – Czy są amerykańskie befsztyki?

– Nie ma. Ale możemy zrobić. Po angielsku, po francusku, po niemiecku? W jakim sosie? Włoskim, hiszpańskim, japońskim...

– Przestań – przerwał mu Dante. – Po amerykańsku.

– Aha – zgodził się kelner. – Znaczący wysmażony na deskę, za to ogromny. Rozumiem. Ale może chateaubriand, medalion, filet mignon?

– Przestań. Znam rodzaje befsztyków.

– Jasne, zatem po kowbojsku.

Kelner odszedł do swoich zadań, a oni czekali, czekali i czekali. Pewnie załoga kuchni ściagała po prerii jakiegoś bizona, żeby zdobyć mięso. Kiedy jednak przynieśli befsztyki, okazały się doskonałe. Każdy zajmował cały talerz. Żadnych dodatków przy tej wielkości poza przyprawami. Każdy spieczony, a wręcz spalony na wierzchu, lecz w środku soczysty. Prawdziwy befsztyk. Jedli w milczeniu, bo za bardzo smakowało, żeby tracić czas na

pogaduszki. Kiedy zamarli nad pustymi talerzami, kelner podał deser – hiszpańską szynkę. Toy tylko westchnęła, z powodu małego wzrostu nie była w stanie pochłonąć takich ilości, ale z ciekawości spróbowała i wepchnęła w siebie jeszcze trochę mięsa. Też znakomitego.

Wyszli opici świetnym winem. Powoli zajmowali miejsca w transporterze opancerzonym.

– No i co teraz? – spytał Dante.

– Muszę się spotkać z Higginsem. Walimy do Caltronu.

Dostali w prawą burtę z granatnika.

– Somalia! – wrzasnął Cadillac. – Też widziałem ten film. „Helikopter w ogniu”!

Maybe Not wsunęła się do wieżyczki.

– Wiecie, skąd się wzięła moja ksywa?

– Nie.

– Od superstarego przeboju. „Maybe yes, maybe no, maybe baby, I don’t know”! – Roześmiała się. – Przypierdolić im z działa?

– W życiu, policja nas zdrutuje. – Dante szybko zareagował. – Nic nam nie zrobią tym przedpotopowym sprzętem.

W Toy mózg aż się gotował. Superstara piosenka? Przedpotopowy sprzęt? Boże, jak mogła nie wpaść na to wcześniej. Mistrzyni Snu była stara! Skojarzenia same rodziły się w głowie. Stara, brzydka i jeszcze jedno: samotna. Toy właściwie już babę czuła nosem. Po raz kolejny wydawało się jej, że ma ją na wyciągnięcie ręki. Po raz kolejny... Ale nie w garści.

Dostali drugi raz z granatnika. Wszyscy, którzy mieli dostęp do peryskopów, rzucili się, żeby coś zobaczyć.

– Ale sieje – powiedział ktoś z tyłu.

– No. Nikt mu nie powiedział, że RPG już się nie przebije?

– Za dużo filmów z drugiej wojny światowej. To już nie czas pancerfaustów.

W głowie Toy myśl goniła myśl. Boże, czuła tę kobietę. Już ją prawie widziała. Na razie jako zjawę. Ale wiedziała o niej prawie wszystko.

– Dobrze, jedźmy wreszcie, zamiast robić za tarczę strzelniczą.

– Nie ma sprawy. – Cadillac uruchomił silnik.

Dostali trzeci raz. Tak mocno, że na chwilę zgasły światła. Toy na szczęście miała swój hełm, więc się nie poobijała.

– Co za zajadły sukinsyn! – warknęła Maybe Not. – Odpowiedzieć mu z działka?

– Nie. – Dante tylko machnął ręką. – Na cholerę nam policja? Niech jego ścigają. Złóż doniesienie na komisariat, że jakiś wariat do nas strzela.

– Nie ma sprawy. – Wyjęła telefon z kieszeni. – Powiedzieć, że molestował mnie seksualnie?

– Bez wygłupów. Powiedz, że walił do nas i teraz uciekamy.

Cadillac ruszył ostro dokładnie w momencie, kiedy snajper oddał kolejny strzał. Tym razem trafił w dom naprzeciwko. Patrzyli zafascynowani przez peryskopy.

– Ale ten gość będzie miał przesrane w prokuraturze – mruknęła Maybe Not. – Dożywocie się dostaje za coś takiego.

– A nas nie oskarżą? – spytała Toy.

– O co? – wtrącił się Dante. – Mają przecież kamery. Myśmy nie strzelili ani razu. A on walił w nas jak w garnek.

– I taka jest nasza linia obrony, wysoki sędzie – dodała Maybe Not.

– Nie będzie żadnego sądu. – Dante zapalił papierosa. – Na komisariacie mówcie, że nas ostrzelano. Nie wiecie skąd, nie wiecie czym, nie wiecie gdzie. A najlepiej nie mówcie nic. Byliście w szoku i niczego nie pamiętacie.

Cadillac odwrócił się znad kierowcy.

– Mnie się już włącza skleroza. – Skasował dwa kolejne zaparkowane samochody przez nieuwagę. – No sami widzicie – dodał.

Wyrównał, choć z pewnym trudem. Toy zadzwoniła do Tally-Ho, żeby ona, Yellow i inżynierki zbiegali już na dół. Natychmiast, bo robi się gorąco. Tylko Vixen ma wejść do środka transportera, reszta na dach, ponieważ w środku za ciasno. Dach? Znowu przypomniała sobie jakiś film. Mistrzynie Snu miała możliwość nieograniczonego wpływania na rzeczywistość, opierając się na scenariuszach znanych jej ofiarom. Nigdy jednak nie podyktowała roli w świecie rzeczywistym samej Toy.

„Mówiłam, że nas osacza – włączyła się Gudr. – Ma lepszy sprzęt”.

„A my to co? Z lamusa?”

„Słyszałaś, co powiedział inżynier, widząc urządzenie, które miało nas obsługiwać? Że prosto z zakurzonej piwnicy”.

„To co robić?”

„A ja tu tylko rozkazy wykonuję”.

„Ach, jak ty potrafisz pocieszyć człowieka...”

„Do usług”.

Gudr zastanowiła się chyba, bo spytała:

„Co robimy?”

„Obronę okrężną. Taki dowcip”.

„Nie rozumiem”.

„Najlepsza obrona polega na wykonaniu ataku wyprzedzającego”.

„A to bardzo mi się podoba! Do tego jestem stworzona”.

Toy zobaczyła pod powiekami kły wilków. Usłyszała wycie. Zobaczyła geparda w pogoni za zdobyczą. Nosorożca, który biegnie na zderzenie. Orła, który pikuje w dół. Lisa, który najpierw kluczy, a potem rzuca się na ofiarę. Rysia biegnącego za gryzoniem i przeprowadzającego błyskawiczny atak.

Smak zwycięstwa. No, od wygranej jeszcze trochę ją dzieliło.

Zatrzymali się tak gwałtownie, że Toy znowu dziękowała opatrności za swój hełm. Zero

strat na głowie. Tally-Ho z inżynierkiem z trudem wdrapali się do wnętrza transportera. W środku zrobiło się tak ciasno, duszno i gorąco, że Hot Dog wskoczył na dach. Ruszyli z kopyta – cud, że tamtych na górze nie zwiąło.

Policja zatrzymała ich za następnym rogiem. I wszyscy postępowali według instrukcji Dantego. „Nie wiem, nie pamiętam, jestem w szoku, strzelali do nas”. Najlepsza była Toy:

– Ja mam delirium tremens! – Podpatrzyła gest Higginsa i groziła gliniarzom palcem. – Tremens!

– Co się właściwie stało?

Patrzyła baranim wzrokiem.

– Wszędzie łążą białe myszy. Co wy tu? Hodowlę prowadzicie?

Wypuszczono ją najszybciej. Stała zadowolona jak jasna cholera na parkingu, czekając na następnych. Najemnicy wychodzili kolejno po znacznie dłuższym czasie. Kompletnie niezestresowani, poza inżynierkiem. Ale jego Tally-Ho pocałunkami i czułym uściskiem błyskawicznie postawiła do pionu. Wsiedli do transportera, a przynajmniej ci, którzy się zmieścili w środku. Ścisk zrobił się tak nieprawdopodobny, że leżeli sobie na plecach. Na szczęście do siedziby Caltronu nie było daleko.

– Jak ty to zrobiłaś, że cię tak szybko wypuścili? – spytała Maybe Not. – Nas trzymali po trzy godziny.

Toy roześmiała się.

– Przecież jestem psem. Waszym zwiadowcą. Mam być zawsze przed wami. Takie moje psie zadanie.

Cadillac odwrócił się i poklepał Toy w ramię. Parkując pod Caltronem, zmasakrował następne auto na podjeździe.

– Mógłbyś wreszcie zrobić prawo jazdy – warknął Dante, gramoląc się z włazu.

– Mógłbym. Ale to chińskie gówno jest niesterowalne. Zapieprza jedynie na azymut.

Skokami przedostali się do budynku głównego. Przypadli pod ścianą przed wejściem.

– Dante! – wrzasnęła Toy. – Mój szósty zmysł.

– Co?

– Sprawdź, czy nie ma nikogo uczeplonego u sufitu za drzwiami. – Przypomniała sobie stary western, który oglądała Shainee. Dante wzruszył ramionami, ale zajrzał.

– Nie ma.

Wbiegli do środka. Ktoś wezwał windę. Stali zdyszani i zapoceni nie tylko od zaduchu w środku transportera. Nie co dzień dostaje się kilka strzałów z granatnika, nawet jeśli nie przebiły pancerza. Nagle Toy krzyknęła:

– Nie windą! Schodami!

– No coś ty? Zwariowałaś?

– Kilkanaście pięter?

Otworzyły się drzwi windy. Facet na dachu kabiny dźwigu upuścił granat już bez

zawleczki. Rzucili się w bok i poprzewracali, wpadając jedno na drugie. Leżeli pokotem, czekając na eksplozję. Granat na szczęście wybuchł w windzie, nie siejąc odłamkami po korytarzu. Jedynie mógł zabić zamachowca amatora.

– No to co? – Pierwsza podniosła się kompletnie ogłuszona Toy. – Może jednak schodami?

– A może i masz rację... – Dante zgodził się nad wyraz szybko. Widząc nadbiegających ochroniarzy, zaczął krzyczeć: – Niczego nie widzieliśmy. Coś wybuchło. Wezwijcie straż pożarną.

Pobiegli schodami do góry. Zwolnili znacznie gdzieś w okolicach jedenastego piętra. Do laboratorium wpadli na miękkich nogach, zadyszani. Jedynie Toy dzięki Gudr trzymała się nieźle.

– Dobra, wstrzel mnie do snu – powiedziała do potwornie spoconego inżyniera.

* * *

Znalazła się w olbrzymim sterowcu, który sunął nad morzem. Miał co najmniej dwa pokłady, jeden nad drugim. Tłum bawiących się gości, kelnerzy w pseudolotniczych białych strojach roznoszący wino i zakąski. Ona sama w sukni, która znowu odsłaniała biust. Toy nie mogła w tłoku wypatrzeć Higginsa.

Kelner podskoczył do niej z boku. Podał kieliszek wina i kartę dań. Zerknęła na nią. Jezus Maria! Karta była prawie identyczna z tą, którą najemnicy studiowali w świecie rzeczywistym. Mistrzynie Snu widocznie w ograniczonym stopniu oddziaływała na rzeczywistość, lecz potrafiła w jakiś sposób wpleść rzeczywistość w sen.

– Nie, dziękuję. – Oddała menu. – Zajmę się przekąskami.

Uklonił się z gracją.

– Zaraz coś przyniosę.

– Jeszcze sekunda. – Spojrzała na kelnera badawczo. – To latające coś, na którym jesteśmy... Nie zapali się, jak Hindenburg?

– Ależ proszę pani! Hindenburg miał w balonetach wodór, a my mamy hel. Nie pali się w ogóle, zapewniam. A tu obok – wskazał palcem – są kabiny ratunkowe. Wsiada pani z kilkoma pasażerami, pociąga czerwoną dźwignię i kabina wypada, a później otwiera się spadochron. I zapewniam panią, że kabiny są niezatapialne.

Ciąg skojarzeń. Niezatapialny miał być Titanic, więc ten film też widziała. Lecz to nieważne. Ale hel w zbiornikach i Hel pod nimi? Czy istniała jakaś koincydencja w nazwach? I co chciała przez to wyrazić? Co jeszcze było niezatapialne? Midway, niezatapialny lotniskowiec jak się wtedy mówiło. Pocisk kosmiczny z powieści Juliusza Verne'a. I o co chodzi z tym helem i Helem? Bardzo kosztowny gaz... Gaz... lżejszy od powietrza i kompletnie bezpieczny! Palnęła się w czoło. Mistrzynie Snu chciała latać! I chciała, żeby to

był bezpieczny lot. Ktoś ją musiał strasznie skrzywdzić w młodości. To oczywiście tylko paralela, a może projekcja jej marzeń.

Toy zaczęła szukać Higginsa, co trwało strasznie długo, bo co chwilę jakiś dżentelmen prosił ją do tańca. Wybawiła się świetnie. Wino, taniec i komplementy – nie ma lepszego bukietu dla kobiety. Mistrzynie naprawdę miała gust.

Nareszcie go znalazła. Jak zwykle emablował jakąś panienkę.

– Przepraszam państwa najmocniej. – Podeszła z boku. – Jack, muszę cię prosić na stronę.

– Oczywiście.

Uklonił się grzecznie swojej partnerce. Przeszli na pokład widokowy, na szczęście oszklony, więc nie wiało. Powtórzyła mu wszystko, co wiedziała o Mistrzynie, i swoje ostatnie przemyślenia. Poprosiła stewarda o pióro i kartkę. Napisała tylko dwa nazwiska.

– Już jesteśmy blisko, Jack. Która z nich?

Myślał długo.

– Obie spełniają wszystkie warunki. Westchnęła ciężko. Podziwiała wspaniałe widoki klifów i sosnowych lasów pod nimi.

– No to zadam ci trudne pytanie, Jack.

– Wal.

Położyła mu rękę na ramieniu, spojrzała głęboko w oczy.

– Ile masz lat, Jack?

Aż nim wstrząsnęło. Milczał, kręcąc głową. Najwyraźniej nie potrafił, nie chciał udzielić odpowiedzi na to pytanie.

– Wiesz, ja wyglądam tak młodo ze względu na Valkirię. Ale...

– Ile masz lat, Jack? – przerwała mu.

Spuścił wzrok.

– Osiemdziesiąt siedem.

Przygryzła wargi. Zawołała stewarda i kazała podać wino. Kiedy przyniósł, zaczęła sączyć powoli, przegryzając kawałkami cytryn.

– No to jesteśmy w domu, Jack. Muszę ci zadać jeszcze jedno, trudne, okropne, wredne i straszne pytanie.

Nawet nie podniósł oczu.

– Pytaj.

– Która z tych dwóch staruszek kochała się w tobie, a ty odrzuciłeś jej awanse? Czym uraziłeś ją tak, że teraz mści się na twojej żonie.

Nie miał wątpliwości.

– Jane Marcy.

– Przepraszam cię. – Potrząsnęła głową. Poprosiła stewarda o papierosa. Papierosów tu nie znano, więc przyniósł ogromne cygaro. – Czy to zwykła zbieżność nazwisk z agentem... agentką Marcy, która mnie przesłuchiwała?

– Przecież mówiłem ci, że przebrała się za faceta, żeby cię sprawdzić. I poplamiła swój identyfikator. Szminka, te sprawy. Nie wiem, co prawda, kto całuje swój identyfikator... I ty tego nie wyłapałaś. Boże...! – Nagle złapał się za głowę. – Boże! Rozumiem wszystko! Zbieżność nazwisk!

– Co?! – Toy poczuła się zaniepokojona.

– Mówiłem ci, Caltron ma swoich szpiegów wszędzie. Także w biurze do spraw wykrywania nielegalnych implantów. Agentka Marcy, gdy ją zwerbowałem, wydała mi się znajoma. Ale tyle czasu minęło... Nigdy nie zwracałem na nią szczególnej uwagi w młodości. I jeszcze to, że ma Valkirię. Wiedziałem, że komuś z naszych tajnych współpracowników wszczepiono implant, żeby chronić innych nosicieli. Dopiero ty uświadomiłaś mi, że to agentka Marcy. Ależ jestem tępą! Wszystkie informacje podałaś mi jak na tacy już kilku dni temu!

– No to już wiem wszystko.

Toy chciała odejść, ale Higgins złapał ją za rękę.

– A co z moim ciałem w świecie rzeczywistym?

Wzruszyła ramionami.

– Nie wiem. Ale znając życie, pewnie już cię poskładano i przewieziono do domu.

– Bardzo będę cierpiał, gdy mnie Valkiria obudzi?

– Wiesz, lekarz ze mnie jak z koziej dupy kontrabas.

Pożegnał się uśmiechem. Odeszła znaleźć Kosę, przez cały czas zastanawiając się, dlaczego tutaj Higgins jej nie szukał. Nie mieściło się to Toy w głowie. Trudno, rozwiąże i to. W końcu była prywatnym detektywem wynajętym do konkretnego zadania. Czowała się niczym żołnierz, dumna z siebie, a nie jak kurwa, którą kiedyś była, stojąca na golasa w Sex Side przy krawężniku. Jedynie czas kurczył się okropnie. Coraz go mniej, coraz mniej... Dopadła Kosę na górnym pokładzie sterowca.

– Wiem już wszystko. Wyskakuję stąd i załatwiam sprawę.

– Co załatwiasz?

– Ta głupia cipa, Mistrzynie Snu po prostu mści się na wszystkich z przeszłości. Jeśli wyłączą urządzenia, to zginiecie.

– A co ja jej złego zrobiłam?

– Oj, głupia... Ona chciała mieć Jacka Higginsa, a ty go jej sprzątnęłaś przed nosa i wyszłaś za męża. Jesteś celem numer jeden.

Kosa tym razem z pełnym zrozumieniem skinęła głową.

– Wszystko jasne. Toy... Dasz radę?

– Jak nie dam rady, to się już o tym nie dowiesz. Ale – potarła brodę – wydarzenia, które mają miejsce w świecie rzeczywistym, wpływają w pewien sposób na sytuację tutaj. I to działa też odwrotnie. Więc zerknij na to, co teraz zrobię. I nie martw się moją śmiercią.

– Czym?! –

– To okropne. Ale zaraz przechodzi.

Wyjęła z etui rewolwer. Ruszyła przed siebie, szukając Imperatrycy. Nie było trudno znaleźć. Siedziała na tronie w centralnym miejscu górnego pokładu.

„Gudr?”

„Co?”

„Nie pomagaj mi”.

„Nie ma sprawy. To tylko sen. Nic nam się nie stanie.

– Hej, ty! – wrzasnęła Toy. – A może staniesz do pojedynku osobiście? Bez trzech facetów strzelających mi w plecy.

Imperatryca raczyła okazać zdziwienie.

– Znowu tu jesteś? Hm...

– A ja wiem o tobie wszystko, Jane Marcy!

Imperatryca zeszywniała. Przez dłuższą chwilę nie mogła niczego powiedzieć. Powoli zeszła z tronu. Położyła dłonie na rękojeściach swoich dwóch złotych coltów.

– Dobrze.

Ludzie na pokładzie sterowca w panice puciekali na boki. Scena jak z westernu. Obie mierzyły się złym wzrokiem. Szły na siebie. Toy odciągnęła kurek. Imperatryca wyszarpnęła colty i oddała dwa idealne strzały, które obaliły Toy. Kosa podbiegła i chwyciła dawną przyjaciółkę za rękę.

– Spokojnie jak na wojnie – zdołała jeszcze wyszeptać Toy. – To samo wydarzy się w rzeczywistości.

Umarła.

* * *

Obudziła się na kozetce. Strasznie chciało jej się pić, ale w laboratorium znalazła tylko wodę mineralną, której nie cierpiała. Cała grupa skokami zeszła na parter. Przebiegli przez ulicę. Dostali się do najbliższego pubu, usiedli na hokerach.

– Wiesz, Dante, czego mnie nauczylesz?

– Czego?

– Że grupa bojowa musi być w ciągłym ruchu. Inaczej ją zniszczą.

Zrozumiał natychmiast.

– Chodu! – ryknął.

Wypadli z knajpy jak na ćwiczeniach. Jedno za drugim, bez żadnego popychania. Przebiegli dobre kilkaset metrów zanim eksplozja rozniosła pub, w którym przed momentem siedzieli.

– Tym razem atak w stylu IRA – rzucił Yellow.

– Ja cię pieprzę! – Caddilac patrzył na Toy z podziwem. – Ona naprawdę ma szósty

zmysł. Ja cię pieprzę.

– Jak każdy pies oddziału – powiedział Dante. – Na zwiadowcę nigdy nie bierze się byle kogo. Jedynie takiego, który umie wachać.

– Obydwaj się mylicie. – Toy zapaliła papierosa. Dzięki Gudr nawet się nie zadyszała. – Ja po prostu znam już tę babę do cna.

Dante machnął ręką.

– Metoda obojętna. Byleby tylko pies wyprowadził oddział z okrążenia. Takie jego zadanie.

Oddział musi być w ruchu. Zaczęli więc kluczyć po ulicach. W jedną stronę, w drugą, wrócili do punktu wyjścia, prawie pod siedzibę Caltronu. Toy wskazała wykwinną restaurację. Boże, jak sen przeplatał się z rzeczywistością... Jakby *déjà vu*. Znowu kelnerzy w białych frakach, znowu menu w kilku językach.

– A tonik jest? – zapytała Toy. Wyraźnie brakowało jej płynów.

– Oczywiście, proszę pani.

– Poproszę trzy szklanki.

Zwiesiła głowę. Musiała podjąć ważną decyzję. Ale jak zwykle w takiej sytuacji, w umyśle miała tylko pustkę. Nic, nic, nic. Musiała, chciała ratować Kosę. Zabić Mistrzynię Snu. Ale w jaki sposób zdobyć jej adres, skoro do akt Caltronu jej nie dopuszczają. Kosa. Koleżanka, która ocaliła jej życie, a przynajmniej rękę. Wypiła te trzy szklanki toniku duszkiem. Długi trzeba spłacać. Obowiązek trzeba wypełnić. Na przyjaźń odpowiedzieć przyjaźnią. Boże, co ma zrobić?

„Gudr, pomóż!” – krzyknęła w myślach zrozpaczona.

„Ja tu jestem tylko od czarnej roboty”.

Boże, musi ratować Kosę! Ale kto zna adres Mistrzyni Snu w świecie rzeczywistym? Nikt. Zamówiła sobie wódkę. Nagle zaświeciły jej się oczy? Nikt? Naprawdę nikt? A gówno!

Wyjęła z kieszeni telefon i pogalopowała do toalety, żeby nikt jej nie słyszał.

Wybrała numer centrali biura, które trudniło się ściganiem nosicieli nielegalnych implantów. Po długich głupekowatych zapowiedziach komputera dorwała nareszcie jakiegoś człowieka.

– Proszę mnie połączyć z agentem Roebuckiem.

Po chwili usłyszała:

– Roebuck, słucham.

– Toy Iceberg. Przesłuchiwał mnie pan niedawno.

– Tak, pamiętam.

Wzięła trzy głębsze oddechy. Krążyła od ściany do ściany po przestronnej toalecie. Nie wiedziała, jak się zachować. Ale musiała się wreszcie odezwać.

– Słucham panią. – Roebuck wydawał się zniecierpliwiony.

Zagryzła zęby. Westchnęła i wypaliła:

– Chcę pójść z wami na współpracę.

Teraz Roebuck zaniemówił. Odezwał się dopiero po dłuższej chwili.

– Dobrze. Co pani oferuje i czego chce w zamian?

– Nie przez telefon. Ale jak powiem, to buty panu spadną.

– Rozumiem. Proponuję spotkanie w parku przy sztucznej rzece, za godzinę powiedzmy.

Będę miał przy sobie urządzenia blokujące kamery i podsłuchy.

– Ja też – zablokowała Toy. – Do zobaczenia.

* * *

Sztuczna rzeka w parku była niesamowita. Palmy, wierzby spuszcające swe gałęzie do wody, sosny i sekwoje, kaktusy wokół, jakieś piękne chaszczki, których nie umiała nazwać. Mieszmasz totalny. Wśród tej roślinności grasowały wiewiórki, koty i zające. Toy chyba odkryła nowy gatunek zwierzęcia – „kota palmowego”. Sukinsyn łąził po drzewie jak wiewiórka. Nie mogła się napatrzeć, bo widok był piękny. Raj na ziemi. Niestety, piekło czekało tuż obok. Na widok dziewczyny agent Roebuck podniósł się z ławeczki w altanie oplecionej pnącymi różami, powojnikami i dzikim winem.

– Witam panią.

Podawała mu rękę.

„Gudr, czy on ma jakieś urządzenie nagrywające albo nadajnik?”

„Ma, gdzieś w okolicy serca”.

Toy wsunęła dłoń pod marynarkę agenta i z wewnętrznej kieszeni wyjęła małe pudełko. Rzuciła je na ziemię.

„Gudr, zniszczyłam?”

„Nie”.

Przyłożyła trzy razy z obcasa.

„A teraz?”

„Teraz tak. Już nie działa”.

– Podziwiam pani determinację – powiedział Roebuck. – Ale mam drugie urządzenie.

„Nie ma” – mruknęła Gudr.

– Ależ wierzę. – Toy uśmiechnęła się słodko. Podniosła z ziemi rozwalone pudełko. – To jest to drugie? Przepraszam, że zniszczyłam.

Załatwiła go.

Siedzieli jakiś czas w milczeniu.

– Zaczynam mieć brzydkie podejrzenia co do tego, co pani ma w głowie.

Machnęła ręką.

– Już wcześniej pan miał. Proszę nie zalewać.

Spojrzał na nią ostro.

– Jest pani zwiadowcą oddziału żołnierzy? Przeczytałem wszystkie akta.

Przytaknęła.

– Dlatego jest pani taka twarda. – usiłował ochłonąć. Wyciągnął gumę do żucia, ale nie wkładał do ust. Za to spytał sucho i twardo:

– Co pani chce sprzedać i za ile?

Zasłoniła dłońmi usta w obawie przed wszechobecnymi kamerami. Mogli czytać z ruchów warg.

– Sprzedam wam agenta Caltronu z Valkirią we łbie w waszych szeregach.

Aż podskoczył.

– Poważnie?!

Znowu przytaknęła.

– Podam też listę ośrodków, gdzie przygotowują następnych nosicieli. Zablokowaliście serię „H”. W związku z tym robią serię „I”. Jeszcze bardziej zubożoną.

– Jezus... – Oczami wyobraźni widział już swój wysoki awans. – Co za to chcesz, dziewczyno?

– Gwarancję nietykalności.

Rozmasował twarz.

– Tego nie mogę ci zagwarantować. Ale mogę dać dwadzieścia cztery godziny na opuszczenie kraju, zanim opublikujemy list gończy. Znasz jakiś kraj, z którym nie mamy podpisanej umowy o ekstradycji?

– Znam.

– To jedź tam, bo tu cię zabiją.

Rozparła się na ławeczce w altance, patrząc na łabędzie straszące kaczki na rzece.

– A czym jest śmierć? – odparła filozoficznie. – Wiesz – zmieniła temat – w mojej propozycji jest promocja. Pewien bonus.

– Jaki? – zainteresował się.

– Po co wam sądy, procesy, zainteresowanie mediów i ośmieszenie, że we własnym biurze mieliście agenta z Valkirią. Wyśmieją was po prostu.

– Co proponujesz?

Jak to powiedzieć? Siedziała w milczeniu, paląc papierosa. Patrzyła na wodę. Zebrała się po dłuższej chwili.

– Zabiję go sama.

Był niezłym agentem. Umiał oceniać, co jest mniej ważne, a co bardziej.

– No to zamiast dwudziestu czterech godzin zwłoki, masz trzy dni. Też w ramach promocji.

Uśmiechnęli się do siebie. Podyktowała mu listę ośrodków Caltronu, którą wyciągnęła w ostatniej chwili od inżynierka Tally-Ho. Potem przeszli do kwestii szpiega.

– Kto to jest?

– Jane Marcy.

Siedział w szoku kilka minut. Przypominał szmacianą laleczkę – zwieszono wzdłuż ciała ręce, wzrok wbity w przestrzeń przed sobą.

– Moja partnerka? – spytał wreszcie. – Mam w to uwierzyć?

– Stwierdzisz na sekcji zwłok, czy miałam rację.

Nie potrafił się pogodzić z tym, co powiedziała mu Toy.

Wstał i przespacerował się wokół altanki. W końcu włożył do ust tę swoją gumę i zaczął żuć. Nie umiał podjąć decyzji.

– I ja mam dać zgodę na eliminację mojej partnerki?

– Nie musisz. Zrobię to tak czy siak.

– Mam zdradzić partnera?

– Chcę tylko dostać jej adres. Setki ludzi, którzy ją skrzywdzili kiedyś i teraz, tkwią przez nią w komie. Chcesz ich zabić, twoja sprawa. Ale pamiętaj, że technologia Caltronu działa bezbłędnie. Sama sprawdziłam! To ona wszystko uczyniła.

Siedziała obok Roebucka, gdy bił się z myślami. Milczeli oboje. Wyglądali niczym zasępią klótnią para zakochanych. Na szczęście przechodniów było niewiele. Toy przerwała tę nieznośną ciszę.

– Zastanów się nad jedną rzeczą, Roebuck – powiedziała. – Czy ty pracujesz dla kariery? Dla pieniędzy? Czy dlatego, żeby czuć się bardzo ważnym facetem? – Zapaliła kolejnego papierosa. – Czy też może pracujesz dla ojczyzny?

– Nie mogę wydać partnera.

– Mówimy o kobiecie, przez którą setki osób wpadły w śpiączkę. Mówimy o złoczyńcy.

– A jeśli nie? A jeśli ona nie ma Valkirii?

Toy westchnęła.

– To przeprowadź taki sam test, jaki zrobiliście ze mną. Tylko już nie z bulgocącą wodą, a prawdziwym wrzątkiem. Zdziwisz się, gdy uskoczy.

– A jeśli nie uskoczy?

– To poparzy sobie nogę. Wyleczą w kwadrans przy współczesnej technice.

Wstała i poklepała Roebucka po ramieniu.

– Powalcz ze sobą i zdecyduj. Zrób test i zadzwoń.

Odeszła, podziwiając przepiękny świat wokół. Girlandy kwiatów, kipiące kolorami klomby, wręcz dżunglę. Niewiele brakuje, żeby przedzierać się tędy z maczetą w rękę. Niestety, zaraz wróci do piekła. Marcy i Roebuck. I Kosa, której los tkwił w jej dłoni. Chyba miała nerwicę.

„Nie masz nerwicy – odezwała się Gudr. – Po prostu za bardzo ci na niej zależy”.

„Zamknij się”.

„Nie mogę. Już jestem zamknięta w twoim ciele”.

„No to bądź cicho”.

Gudr, poza tym, że uczyła się z prędkością światła, jeszcze była wredna.

„Aż tak zależy ci na Higginsie? Wahasz się, czy być z nim, czy ratować Kosę? Zwykłą beczynnością możesz przecież Kosę zabić. I nikt nie będzie mieć do ciebie pretensji”.

Trafiła w sedno. W dziesiątkę, w sam punkt.

Czy Toy chciała być z Higginsem?

Zatrzymała się pod jakimś drzewem i zaczęła zrywać z gałązek kwiatki. Brała je do ust i żuła. Były ohydne w smaku, ale musiała się czymś zająć, żeby powstrzymać galopujące myśli.

„Houston, chyba mamy problem – odezwała się w jej mózgu Gudr. – Z tobą”.

„Chyba nie”.

Toy podeszła do sztucznej rzeki i napiła się wody. Strasznie ją suszyło. A że nie potrafiła jak koń pić z samego nurtu, więc czerpała w dłoniach. Gdy przemyśla twarz, poczuła ulgę.

„Poddajemy się?” – spytała Valkiria.

„Nie. Trwamy w okopie, a potem ruszamy do ataku”.

„To lubię! – I Gudr powtórzyła za Mobutu: – Ołowiany żołnierz znowu na froncie”.

„Naprawdę się rozwijasz”.

* * *

Czekali w motelu kilkanaście godzin. Podsypiając, łożąc wódkę, grając w karty. Potem przyszedł kurier.

– Jest przesyłka dla panny Iceberg.

Toy odebrała niewielką kopertę, pokwitowała. W środku znalazła tylko jedną małą karteczkę. Zdziwiona patrzyła na kropki i kreski.

– Co to, do cholery, jest?!

Dante zerknął jej przez ramię.

– A to cwaniak jeden. Alfabet Morse’a.

– I jak to przeczytać?

Potał szczecinę na brodzie.

– Kto jeszcze może znać alfabet Morse’a?

Wszyscy odwrócili wzrok. Zawsze tak jest, gdy nie można udzielić odpowiedzi. Pierwsza zdecydowała się Maybe Not.

– Miałam kochanka, takiego lotnika. Może on by wiedział? Tylko nie wiem, czy mam jeszcze jego numer.

Hot Dog się zdenerwował:

– Oj, mnożycie trudności. – Włączył monitor terminala. Takiego zwykłego, prostego, jak w każdym hotelu. Wystukał w wyszukiwarkę „Alfabet Morse’a”. Wynik wyświetlił się natychmiast. – Dyktujcie i niech ktoś zapisuje.

- Dwie kreski.
- Litera „M”.
- Dwie kropki.
- Litera „P”.
- Kropka kreska.
- Litera „A”.

Toy dyktowała, Hot Dog cierpliwie wyszukiwał, a Maybe Not zapisywała na kartce kolejne znaki. Po kilku minutach rozszyfrowali przekaz:

„Miałś rację. Jest agentką Caltronu. Ma Valkirię. Masz trzy dni na opuszczenie kraju. Zwiewaj jak najdalej, bo będę musiał wystawić list gończy”. Przerwa. „Miałś rację w jeszcze jednej kwestii. Tak, służę ojczyźnie. Życzę powodzenia”.

Dante nachylił się nad kartką.

– O, jak ładnie napisał. – Podkreślił coś ołówkiem. – Tu masz adres Jane Marcy. Jedziemy?

– Jeszcze chwila.

Toy wyjęła z kieszeni telefon i wybrała numer. Przez kilka minut użerała się z jakimś urzędasem. A potem gość chyba znowu dostał w pysk. Mobutu nie była przesadnie dobrze wychowana.

- Co, skarbie?
- Jeśli mogę prosić, to jednak wyślij ten samolot.
- Zatankuje i wylatuje. Gdzie jest najbliższe lotnisko?
- Zaraz dam do telefonu Dantego. On ma mapę, to ci powie. Ale...

Mobutu westchnęła.

- Ale co?
- Czy masz podpisaną ze Stanami Zjednoczonymi umowę ekstradycyjną?
- Na pewno nie. Na cholerę mi USA? Za bogata jestem.
- To będę mogła u ciebie trochę przekiblować?

Mobutu aż wstrząsnęło.

– Kotek – powiedziała po chwili. – Zrobiłaś mnie królową, walczyliśmy ramię w ramię. Jak w ogóle możesz pytać?

– OK. Dam ci Dantego.

Mobutu zdążyła jeszcze rzucić:

– Zostaniesz księżniczką, ty głupia białasko.

Toy oddała telefon Dantemu, który już studiował mapę. Wytłumaczył, gdzie ma wylądować odrzutowiec. Szczegółowo określił koordynaty, bo miał mapę wojskową, a nie drogową. Określił nawet trasę podejścia. Znał się sukinkot na wszystkim.

Toy w tym czasie stała oparta czołem o ścianę. Wszystkie scenariusze już przećwiczyła. Co jej pozostało? Film „W samo południe”. Pojedynek rewolwerowców.

„Nie martw się, mała – szepnęła Gudr. – Tutaj ci pomogę”.

„A jeśli ona będzie szybsza?”

„Nie wiem. Ja się z tą nową serią ledwie mogę porozumieć”.

„A jeśli nas pokona?”

„Naprawdę nie wiem. Wyjdźmy na główną ulicę miasteczka i stańmy do walki. Do tego mnie, ogólnie rzecz biorąc, zaprojektowali”.

„Ale ty jesteś prototypem. Ona ma późniejszy egzemplarz”.

„Co się przejmujesz? Wychodzimy na ulicę. Pojedynek. I zobaczymy, która zwycięży”.

Toy zaczęła myśleć. Ten proces zawsze trwał u niej bardzo długo. Co nie znaczy, że źle.

* * *

Przebrała się w stylu Caltronu: pończochy, spódniczka do kolan, zakiet. Nagle zmieniła zdanie.

– Zawieźcie mnie do jakiegoś marketu z odzieżą.

– O tej porze? Zwariowałaś?

„Gudr, znajdź jakiś czynny sklep”.

„Mam jeden. – Valkiria odparła błyskawicznie. – Ale to sklep z tanizną dla biedoty”.

„Nie szkodzi”.

– Dobra, jedziemy – powiedziała Toy już na głos. – Ja poprowadzę transporter.

– A umiesz? – spytał Cadillac.

– A ty umiesz?

Najemnicy zaczęli rechotać tak, że ściany roznosiło. Tyle skasowanych samochodów to chyba ich życiowy rekord. Spowaźnieli jednak szybko.

„Gudr, prowadź. Potrafisz?”

„Ja wszystko potrafię”.

Ruszyli z kopyta, nie zważając o żaden z pojazdów na parkingu. Było za gorąco, żeby siedzieć w środku. W związku z tym najemnicy na dachu robili duże wrażenie na kierowcach samochodów, które jechały w przeciwną stronę. Sklep znaleźli dość szybko. Toy wychyliła się z wjazdu.

– Wjeżdżamy do środka czy zaparkować?

– Nie wyglupiaj się – powiedział Dante.

Zaparkowała potulnie i wygramoliła się z pojazdu.

– Idę sama. Czekaście.

Sprzedawczyni długo nie mogła zrozumieć, o co chodzi Toy, a potem powiedziała, że jej rozmiarów na pewno nie znajdzie. Słyszając to, właściciel sklepu wyskoczył z zaplecza i krzyknął, że oczywiście znajdą. Szukali rzeczywiście długo. Ale znaleźli.

– To bał przebierańców? – Ekscytował się właściciel. – Za gocho chce się pani przebrać?

– Za Philipa Marlowe’a z powieści Chandlera.

– Doskonały pomysł! Potrzebny jest jeszcze papieros zwisający z ust i rewolwer w kieszeni.

– Taki może być? – Toy wyjęła z torebki swojego Hecklera i Kocha.

Cofnął się dwa kroki.

– Chyba może, ale... – Nie wiedział, jak dokończyć. – Pani kupuje czy rabuje?

– Kupuję.

Lekko uspokojony wskazał jej przebieralnię. Założyła tam szerokie spodnie, męskie buty, prochowiec i kapelusz. Trochę głupio się czuła w spodniach i pasie do pończoch pod spodem, ale co tam. Musiała odtworzyć swój scenariusz.

Właściciel odprowadził ją do wyjścia i otworzył drzwi. Tam dopiero osłupiał na widok najemników chichoczących z Toy, którzy stali we włączach transportera opancerzonego.

– Coś ty z siebie zrobiła? – spytała Maybe Not.

– Widzisz, ona, Mistrzynie Snu, musi korzystać z jakichś mrocznych scenariuszy. Lecz w filmach i powieściach czasem jest pozytywna postać.

– I to ty?

– Nie. Philip Marlowe. On ją załatwi. – Toy uderzyła pięścią w drugą dłoń. – Sama wymyśliła pomieszanie snu i rzeczywistości. No to będzie miała Chandlera.

– Spokojnie. – Dante popatrzył po załodze wozu. – Przecież już mówiłem, że Toy ma szósty zmysł jak każdy zwiadowca.

Zdjął jej stetsona, kantem dłoni przedzielił główkę, palcami ścisnął przód tak, żeby zrobiły się dwa wgniecenia.

– O, teraz wygląda jak należy.

Kiedy ruszyli, nagle zainteresował się Hot Dog.

– A co jeszcze miał ten Marlowe?

– Papierosa i rewolwer w prochowcu.

Natychmiast podano jej rewolwer do kieszeni i papierosa. Ktoś nawet urwał filtr, żeby było bardziej prawdziwie. Hot Dogowi strasznie się to spodobało. Powiedział, że w związku z tym on będzie Sherlockiem Holmesem. Wyjął z plecaka koc w szkocką kratę i zrobił sobie pelerynkę. Nie miał fajki, więc wsadził do ust cygaro. W rękach trzymał swoją dubeltówkę z uciętymi lufami i skróconą kolbą.

– No i co? Wyglądam jak Holmes?

– Wyglądasz jak świr z obrzynem w ręce – odparła Maybe Not.

– A ja bym chciał zagrać Herkulesa Poirot – wtrącił Cadillac. Widać darmowa telewizja ze starociami była szalenie modna. – Tylko nie wiem, skąd wziąć wąsy.

– A ja bym chciał zagrać Jamesa Bonda – powiedział Yellow. – Nawet mam garnitur.

Wszyscy spojrzeli z zaciekawieni.

– A którą wersję Bonda? – spytała Maybe Not. – Bo ja bym chciała być Matą Hari.

– Czyją matą? – zdziwił się Hot Dog.

– Hari, debilu!

– Nie znam Harry’ego.

Dyskusję przerwał Dante, odwracając się na metalowym krzeselku.

– Po pierwsze, Matę Hari rozstrzelano, więc jeśli chcesz, mogę to załatwić. A po drugie, powiem wam, kim ja chciałbym być.

– Kim? – Wszyscy aż podskoczyli z ciekawości.

– Patem Dante – wyjaśnił spokojnie. – Facetem, który nie toleruje głupich rozmów przed akcją.

Ucichli momentalnie. Jechali w milczeniu, na szczęście Jane Marcy nie mieszkała daleko. Toy wiedziała, że dociera do portu. Problem w tym, że ten port był wrogi. Wiedziała, że musi postawić swoje życie przeciwko wielkiej niewiadomej. Czy jest do tego zdolna? Zaparkowała transporter przed ogrodzeniem. Czy jest na tyle odważna? Albo wygra, albo do piekła, a strach dupę ściska. Cała się trzęsła z emocji. Dopiero Valkiria to opanowała. Iść na przypuszczalną śmierć? No, ale zaraz wyłączą urządzenia i Kosa zginie. Toy czuła łzy pod powiekami. Bohater Chandlera by poszedł, więc i ona musi.

Podeszła do bramy i dotknęła odpowiedniego sensora. Musiała czekać dłuższą chwilę.

– Kto tam?

– Philip Marlowe.

– A, to ty, Toy. Proszę.

Brama otworzyła się błyskawicznie. Dziewczyna przeszła przez ogród, drzwi czekały już otwarte, a w nich stała Jane Marcy. Z odbezpieczonym pistoletem wycelowanym w Toy.

– Mogę wejść?

– Ależ oczywiście. – Jane cofnęła się, cały czas trzymając Toy na muszce. Ręka nie drżała jej ani trochę, celowała wciąż w ten sam punkt. Sądząc po widoku przyrządów celowniczych, w sam środek czoła. Ani na moment nie zmieniła ustawienia, nawet nie mrugnęła okiem. W końcu miała w głowie Valkirię.

– Miło cię poznać.

– Mnie również. Usiądziesz? Łatwiej będzie wynieść ciało i nie nabryzgasz mój głaz na sufit.

– Wolałbym staromodne pytanie: „Kawa, herbata, piwo?”.

– A weź z lodówki, co chcesz.

– Mogę rzeczywiście? Bo złodziejem nie jestem.

– Bierz, co chcesz – powtórzyła Jane. – Niech to będzie twoja ostatnia wieczerza.

Toy otworzyła drzwiczki lodówki. Wybrała mrożoną czekoladę. Potem usiadła, zdjęła stetsona i rzuciła go na stół. Ciekawe, czy Marlowe zdzierał wieczko z kubka mrożonej czekolady. Filmy Shainee Toy oglądała kątem oka. Czekolada była taka sobie.

– Gdzie to kupujesz?

– Po co ci ta wiedza? Za chwilę będziesz martwa.

– Zapamiętam markę i kupię sobie w piekle.

– Cieszę się. Ale do rzeczy.

Toy przełknęła kilka łyków czekolady. Zapaliła papierosa. Starła się, żeby zwisał jej z warg, chociaż od dymu strasznie piekły oczy.

„Gudr, zrób coś”.

„Już się robi”.

Dym przestał jej dokuczać, mimo że leciał nadal.

– Widzisz, Caltron przewidywał masową produkcję Valkirii i uruchomił procedurę pozyskiwania ich nosicieli w ośrodkach odwykowych. Odegrali przede mną teatr na sali operacyjnej, mówiąc, że nie wiadomo, kto wszczepił mi pierwszy bioimplant. Oni to zrobili. Chcieli mieć gotowego nosiciela w razie czego. Płacili monstrualne pieniądze dla instruktora przyszłego nosiciela. Moim był Paul Iceberg. Dostał sześć milionów. Ale Paul okazał się sprytniejszy niż oni. Nie dość, że wyciągnął mnie z dna, to jeszcze nauczył wielu rzeczy. A poza tym te sześć baniek dostanę dopiero za kilka lat. Jeśli spełnię warunki i nie będę głupią kurwą z gołą dupą na chodniku.

– Wzruszające doprawdy. Daj mi chusteczki, bo się popłaczę.

– A co najśmieszniejsze – Toy nie dała się wybić z rytmu – stałam się człowiekiem. Zaczęłam czytać i myśleć. Na przykład wiem, co chciał powiedzieć pewien filozof, twierdząc: „Niebo gwiazdziste nade mną, a prawo moralne we mnie”. A ty?

– Gównu mnie to obchodzi.

– A ty? – powtórzyła Toy niezrażona.

– Mam cię już zastrzelić, czy jeszcze pogadamy?

– Baby zawsze lubią gadać, więc powiem ci ostatnią rzecz.

– Co?

– Mężczyźni mają taką dziwną cechę. Wierzą w magię liter. Czy jak to powiedzieć? Na przykład jeśli wyprodukują jakiś niszczyciel i jego nazwa zaczyna się na literę „A”, to każdy następny z tej samej serii też musi mieć nazwę na „A”. Bardzo rozsądne, bo wtedy dowódca orientuje się od razu, jakiego rodzaju okręt ma w swojej eskadrze.

– A co to ma do rzeczy?

– Trzy wszczepione Valkirie mają imiona na literę „H”. A moja na „G”. W alfabecie litera „G” stoi przed literą „H”. Wszczepili mi prototyp wyciągnięty z lamusa, ponieważ czegoś się przestraszyli w działaniu mojego egzemplarza. Lecz innych już nie mieli.

– Niby czego się przestraszyli?

Toy odłożyła papierosa.

– Chcesz się przekonać? To strzelaj.

Marcy nacisnęła spust. Toy wyjęła z kieszeni prochowca rewolwer, odciągnęła kurek, dokładnie wycelowała i strzeliła tamtej prosto w czoło. Pistolet wypadł Marcy z ręki. Nie

zdążyła dociągnąć spustu do końca. Przewróciła się na plecy.

– Tego się przestraszyli – powiedziała spokojnie Toy. – Właśnie tego.

Wzięła jeszcze jedną czekoladę z lodówki. Gudr mruczała zadowolona. Podśpiewywała sobie jakieś irlandzkie piosenki o bitwie pod Irish Medley. Uczyła się tak błyskawicznie, że Toy naprawdę zrozumiała, czego bali się inżynierowie Caltronu. Stworzenia istoty innej niż ludzka. Właśnie nią się stała – Toy z Valkirią w środku.

Jane Marcy, mimo dziury w czaszce, wstała i zaczęła uciekać. Jej Valkiria sterowała niesamowicie. Toy wyszła za kobietą niespiesznie. Mistrzynie Snu miała jednak pecha. Z krzaków wyszedł Hot Dog w swojej pelerynce z koca. Zrobił sobie nawet z gazety kaszkiet.

– Ja jestem Sherlock Holmes – ryknął, wyciągając spod pelerynki obrzyna. – A to jest doktor Watson!

Nacisnął oba spusty, jeden po drugim.

– Wyszło mi? – Podniósł lufy doktora Watsona.

Toy sprawdziła źrenice Marcy. Wyciągnęła kciuk do góry. Jeszcze tętnice. Znowu kciuk do góry. A Dante się pieklił.

– Aleście huku narobili, debile. Nie można było nożem?

Hot Dog się zmieszał. Ściągnął kaszkiet i pelerynkę.

– Jakoś tak wyszło...

– No to teraz wy, pieprzeni rewolwerowcy, posprzątajcie tutaj. Potem zwiewajcie w tamtą stronę. – Pokazał ręką. – A my w drugą. Spotkanie w umówionym miejscu T+50.

Hot Dog zrozumiał w jednej chwili. Wyjął z wozu dwa kanistry i pędem wrócił do domu. Transporter odjeżdżał prędko. Najemnik w tym czasie otwierał kanistry i kładł na podłodze. Paliwo wypływało bulgocącą strugą.

– Przynieś ją tutaj. Szybko!

Toy chwyciła ciało Jane Marcy za nogi i zaciągnęła do środka. Hot Dog poświęcił swój papierowy kaszkiet, podpałił go i rzucił na rozlane paliwo. Runęli do ucieczki, słysząc syreny policyjnych radiowozów. Spieprzali jak mogli najszybciej, ale wokół już widzieli reflektory.

– Przebieramy się.

Hot Dog wyjął z plecaka swój dres i podał Toy. Sam założył jakieś stare spodnie i koszulę. Uprzejmie odwrócił wzrok, kiedy zdejmowała prochowiec, ponieważ pod spodem nic nie miała.

– Obława. Za dużo nabroiliśmy.

Założyła dres, zawijając nogawki i rękawy.

– Co teraz? – spytała.

– Jesteśmy w matni.

Włożył kilka kamieni do swojego plecaka z ciuchami, które zdjęli, i zatopił go w pobliskiej rzeczce. Wyrzucił tam także broń.

– I tak nas mają – powiedział smutno.

– Niekoniecznie.

Dzięki pomocy Valkirii Toy wzięła Hot Doga na ramiona sposobem „na strażaka”. Mała kobietka niosąca wielkiego mężczyznę. Biegła w stronę policjantów, krzycząc:

– Pomocy! Ratunku! Tam był wielki wybuch! A on ma zawał!

Policjanci pomogli jej wsadzić Hot Doga do karetki wezwanej do akcji. Najemnik wszedł w rolę, drąc się:

– Błagam, pomóżcie mi! Umieram!

Założyli mu sondy urządzeń badawczych, ale sukinkot okazał się sprytny. Wstrzymał oddech na prawie trzy minuty. Gdy wykresy na monitorach strzeliły w górę, paramedycy spanikowali. Pojechali na sygnale, omijając wszystkie policyjne blokady.

W szpitalu Hot Dog zaraz cudownie ozdrowiał. Wstał z noszy i powiedział, że chce jechać do Matki Świętej z Lourdes. Nie pamięta za dokładnie nazwy, ale chodzi mu o tę, co leczy chorych. Sprawdzili go jeszcze raz sondami, a potem przyszedł bardzo ważny pan doktor.

– Proszę pana, nie ma pan żadnego zawału. Cierpi pan na chorobę alkoholową.

– Ja?

– Cztery promile w wydychanym powietrzu.

Hot Dog tylko machnął ręką.

– Eee... tyle co nic. Z pochodzenia jestem Polakiem.

– Musi pan iść na detoks.

– Nie idę na żaden układ. Nie będę brał żadnej detoksyny.

– Nie chodzi o lekarstwo. Po prostu przetrzymamy pana na oddziale.

– Żadnych zatrzymań. Niczego nie zrobiłem. A te dwa trupy w Kairze to nie ja. Zaciął mi się pistolet maszynowy podczas akcji. Łuska po prostu stanęła na sztorc. Naprawdę.

Toy chwyciła go za rękę, żeby dalej nie mówił. Poprosiła o recepty na lekarstwa. Spieprzali migiem, gdy pozwolono im wyjść.

– Co robi teraz Dante? – spytała.

Hot Dog nie miał wątpliwości.

– Wypuszcza ludzi po jednym na każdym skrzyżowaniu. Oddział musi działać rozproszony. Wszyscy powinni być w ciągłym ruchu, bo inaczej nas wystrzelają albo połapią. A transporter Dante wysadzi.

– Czym?

– No przecież tam amunicji od diabła. Poradzi sobie. – Hot Dog zadyszał się trochę z powodu czterech promili. – My też się rozproszymy. Pamiętaj: T+50.

Odszedł w jakąś przecnicę. Toy ruszyła w przeciwną stronę. Myślała intensywnie. Rozumiała T+50. To po prostu oznacza niecałą godzinę od zdarzenia. Lub egzekucji, jak kto woli. Ale gdzie? Co to jest „umówione miejsce”? Myśl psie, myśl, łajała sama siebie. Palnęła

się w czoło. Jezu, jakie to proste. „Oddział powinien być w ruchu”. Gdzie więc najlepiej pójść? Na miejsce „zbrodni”. Przestępca zawsze wraca na miejsce przestępstwa, a pod latarnią najciemniej. Kluczyła ulicami, a później stanęła przed domem Jane Marcy. Wmieszała się w tłum gapiów, dziennikarzy, strażaków dogaszających pożar i policjantów. Podeszła do najbliższego.

– Czy mogę zobaczyć, co się stało?

– Nie.

– Ale mnie to bardzo ciekawi.

– Spadaj! – odpowiedział uprzejmie.

Odeszła bez dalszego ponaglenia. Widziała wszystkich członków oddziału. Dante pokazywał gestami: „Dalej rozproszenie. Idziemy razem w odległości dwudziestu metrów każdy od każdego”. Jezu, jak te wojskowe gesty są jasne i zrozumiałe. Powoli wydostawali się z tłumu. Ruszyli w szyku po obu stronach ulicy. Zwykli przechodnie. Toy podbiegła do Dantego. Zrzuciła mu rękę na szyję i zasypała pocałunkami.

– Mam porsche dwa kroki stąd. Ale wszyscy się nie zmieszczą.

Oddawał całusy.

– Położą się na podłodze jeden na drugim. Prowadź.

– Jasne.

– I kryj twarz, do jasnej cholery!

Zrozumiała, że wszędzie są kamery. Zakryła twarz dłońmi, symulując ból głowy. Szła, zataczając się, że niby jest pijana. Wszystko widziała tylko przez szparki pomiędzy palcami. Nowoczesna wersja rycerza. Dopiero teraz doceniła Dantego, który miał czapkę z daszkiem, spod którego twarz pozostawała niewidoczna. Rozejrzała się po reszcie oddziału. Ciemne okulary mimo nocy, arafatki, chusty, bandaże. A ona, głupia, szła, wystawiając się na obiektywy.

„Spokojnie, durna – odezwała się Gudr. – Jeśli chcesz, to w ciągu doby przerobię cię na Murzynkę”.

„Czy ja jestem blada?”

„No, raczej tak”.

„Zrób mi porządną opaleniznę”.

„Się robi. Daj mi trzy minuty”.

Toy zatrzymała oddział, żeby wejść do czynnego jeszcze sklepu. Obskoczyli ją sprzedawcy. Szybko kupiła sportowy strój na rower i przebrała się za parawanem. Obcisłe legginsy i równie obcisła koszula. Kupiła też kask, który zasłaniał włosy, i okulary do jazdy o zmierzchu. Poprosiła, żeby dres wyrzucić do kosza. Ze sklepu zadzwoniła jeszcze do Tally-Ho, żeby zbierała się razem z Shainee i jej dzieciakiem. Umówiła się z dziewczynami w podziemiach Caltronu. Kiedy wyszła z marketu, Dante podniósł kciuk do góry. Tak należy robić. Była już „nikim” dla kamer. Zyskali trochę czasu.

– Aleś się opaliła – podszedł Hot Dog. – Co ty? W solarium byłaś teraz?

– Mam swoje sposoby.

– No, kurna, z tymi babami. Do solarium kiedy spierniczamy? No to głupota jakaś jest.

Przerwał im Dante. Znowu rozproszył oddział i nakazał żołnierzom dwudziestometrowe odległości. Szli niezatrzymywani przez kręcącą się policję. Gdy dotarli do siedziby Caltronu, Dante pokazał gestami: „Ty” – rozkaz zawsze tak się zaczyna, od wskazania wykonawcy. „Idziesz po auto”. „Pozbierasz nas z chodnika”. Boże, jak proste i zrozumiałe są wojskowe gesty. Toy rozumiała w lot.

Jeden ze strażników na parkingu już ją nawet poznawał. Przyprowadził auto błyskawicznie.

– Pani trenuje na rowerze? – spytał, widząc strój Toy.

– Nie. Wolę porsche. – Nie zdejmowała kasku, wiedząc, że tu wszystko się nagrywa. Ciekawe więc, jak ją ochroniarz rozpoznał. Po sylwetce? Zakochał się? Bez – znaczenia. I tak za kilkanaście godzin będzie w Afryce. Jeśli jej się uda.

Ruszyła z piskiem opon, na podjeździe zwolniła. Żadnej policji drogowej. Tutaj doskoczyły Tally-Ho i Shainee. Zakonnica, jako matka z dzieckiem na ręku skorzystała z przywileju i usiadła z przodu. Toy wyjechała za bramę Caltronu i jechała powoli przy chodniku, a najemnicy wskakiwali do środka, kładąc się jeden na drugim. Tally-Ho narzekała, że Hot Dog ją ciśnie, na co Maybe Not odparła, że to na niej leżą wszyscy. Toy zamknęła dach kabrioletu, żeby przynajmniej nie było widać tej kupy ciał. Jedyne Dante potraktował sytuację ze stoickim spokojem. Miał najwygodniej, leżał na samej górze.

– Na lotnisko.

– Jeszcze nie – odparła Toy. – Muszę załatwić jeszcze jedną sprawę.

– Złapią nas!

– Dante, proszę!

Sapnął, nie mogąc pogodzić się z tym, że żołnierz nie wykonuje rozkazu. Spojrzał na Toy wściekle, potem wiercąc się, zerknął na zegarek.

– Masz pięć minut – wycedził takim tonem, że zwykłym ludziom zaczęłyby spadać buty i majtki ze strachu.

Przycisnęła gaz do dechy. Silnik porsche zaryczał okropnie i auto prawie przekroczyło barierę dźwięku. Radary i kamery Toy miała już głęboko gdzieś. I tak nie zdążą zareagować. Pięć minut to strasznie mało. Z piskiem opon zatrzymała się przed domostwem Higginsa. Opuściła szybę i zaczęła się opowiadać domowemu komputerowi. Brama otworzyła się natychmiast. Podjechała bliżej, Higgins stał już w drzwiach. Tułów miał przepasany jakimś plastikowym opatrunkiem.

– Witaj w świecie rzeczywistym.

– No, witaj. – Nie mógł wzruszyć ramionami z powodu opatrunku. – A skąd jesteś pewna, że to rzeczywistość?

Roześmiała się. Był uroczy.

– Wyłączyli urządzenia? Zdążyłam załatwić sprawę?

– Tak. Zdążyłaś.

Odetchnęła z ulgą. Oparła się o ścianę.

– Chciałabym pogadać przez chwilę z Kosą. To znaczy z Evą.

Zwiesił smutno głowę.

– Z tego, co wiem, około osiemdziesiąt procent osób obudziło się po twojej akcji. Reszta dalej tkwi w komie. W tym Kosa.

Aż nią targnęło. Nie umiała się opanować, mimo szybkiej reakcji Valkirii.

– To znaczy zawiodłam?

– Nie, Toy. Wykonałaś swoją pracę wzorowo. Setki ludzi dzięki tobie żyją.

– Ale nie Kosa!

Rozbeczała się tak, że objął ją i przytulił. Głaskał po plecach uspokajająco.

– Wykonałaś dobrą robotę – powtórzył. – Zrobiłaś to, do czego cię wynająłem.

– Zawiodłam! – krzyknęła. – Zawiodłam na linii frontu!

– Nie, Toy. Zrobiłaś wszystko, co mogłaś, i zrobiłaś to dobrze.

Wziął ją pod rękę i poprowadził do porsche. Otworzył drzwiczki i usadził dziewczynę za kierownicą. Uśmiechnął się tylko, gdy zobaczył ilość pasażerów.

– Uciekaj szybko, Toy.

– Jack, a co z czwartą Valkirią? Kto jest jej nosicielem?

– Nie wiemy i chyba nie dowiemy się nigdy. Zresztą to nieważne. Uciekaj, Toy – powtórzył. – Już cię namierzają.

Wyjął z kieszeni gruby zwitek banknotów i wcisnął Toy do ręki. Nawet Dante spojrzał zdziwiony.

– Uciekaj. Podstawić ci samolot Caltronu?

– Nie. Mam własny.

Odwróciła się z oczami pełnymi łez.

„Gudr, prowadź”.

„Zawsze na posterunku, madame. My, Valkirie, nie zawadzimy w akcji. No... chyba że te gorsze egzemplarze.

Toy usłyszała śmiech Gudr, wycie wilka, który rozszarpał zdobycz, słowa Neila Armstronga, który pierwszy stanął na Księżycu. Ruszyła z takim impetem, że żaden radiowóz nie zdołałby ich dogonić. Miała w dupie kamery – żeby zanalizować zdjęcia, potrzebny był człowiek, a i tak nie miały już tyle czasu, żeby to zrobić. Dojeżdżali właśnie do lotniska. Wypakowali się z porsche, budząc powszechne zdziwienie. Swoją broń wrzucili do kosza na śmiecie. Ci, którzy go opróżnią następnego dnia, przeżyją spore zdziwienie.

Jeszcze większe zdumienie wzbudzili podczas kontroli. Poubierani jak na paradę najemnicy dzierżyli w dłoniach paszporty dyplomatyczne. Sprawdzanie w komputerze – no,

tam wyszły na jaw różne sprawy, ale samolot prywatny, służba dyplomatyczna – nie było podstaw, żeby ich zatrzymać.

Autobusem przewieziono ich do czekającego samolotu królestwa M'pondo. Jakieś czternaście metrów od wyjścia z terminalu. Zaczęli się pakować do odrzutowca.

I w tym momencie przybiegł Higgins. Toy nie miała pojęcia, jak mógł się tak szybko tu dostać. Chyba helikopterem.

– Toy! – zawołał, gdy stała już na schodkach. – Nie miej wyrzutów sumienia. Uratowałaś setki osób!

– Ale nie Kosę – szepnęła.

– Nie martw się! Będę o nią dbał.

Boże, scena niczym z „Casablanki”. Rozkręcające się turbiny odrzutowca i dwoje kochanków na płycie lotniska. Czy wpływ snu może dalej trwać mimo wyłączenia urządzeń?

Higgins odwrócił się do eskortującego go celnika. Podał mu rękę z wdzięcznością.

– To chyba początek prawdziwej męskiej przyjaźni.

„Casablanca”!

Jeden ze stewardów zamknął drzwi. Samolot zaczął kołować. A po kilku minutach wtoczył się na pas startowy. Przez moment sprawdzał silniki, a potem SIŁA! Ruszył tak, że pasażerów wgniotło w fotele. Bariery dźwięku przeskoczyli nad oceanem. Kiedy odrzutowiec wyrównał lot, najemnicy się rozgadali. Kto, kiedy i kogo zastrzelił i z jakiej broni. Z jakiej amunicji i w jakich warunkach.

Tylko Toy siedziała z twarzą w dłoniach. Wygrała czy przegrała? Uratowała setki ludzi, ale nie wyciągnęła Kosy. Wygrała czy przegrała? Wynajęto ją w określonej sprawie. Spełniła wymagania. Ale nie osiągnęła własnego celu. Wygrała czy przegrała? O Boże! Hemingway. Zwycięstwo jest jednocześnie porażką. Czy to dalej sen?

„Nie śni ci się – podpowiedziała Gudr. – Ja bym to wiedziała”.

„To dlaczego rozgrywają się ciągle sytuacje jak ze starych filmów czy książek?”

„Nie wiem. Ja tu nie od myślenia jestem”.

Steward podał kawior i kwaśne wino. Na pewno miało swój rocznik, ale pić się go nie dało. Najemnicy raczyli się głównie kanapkami z szynką i herbatą. Toy przemogła się i włączyła do rozmowy. Opowiadała, jak to z Hot Dogiem zabili Jane Marcy. Hot Dog dopowiadał szczegóły. Steward przyniósł arbuzy i chłodne wino. Tym razem słodkie. To już było do przyjęcia. Zajadali i popijali. I znowu potoczyły się opowieści. Okazało się, że w Kairze Hot Dog rzeczywiście nie zastrzelił tych dwóch gości. Zadziabiał ich nożem. Okazało się, że Maybe Not nie zgwałciła w Indiach stu zakonnic, bo siłą rzeczy nie miała czym gwałcić. Ale wrzuciła dwa granaty pod ogień, łamiąc obronę. Wiele opowieści. Legend najemników lepiej nie słuchać. Bo można usłyszeć, że zdobyli Monte Cassino w sile trzech osób. Choć Hot Dog mógł naprawdę w Kairze załatwić dwie sztuki nożem w knajpie, jeśli się upił i ludzie mu się nie podobali. Przywykła do tego.

Kosa! Wygrała czy przegrała? Toy znowu przycisnęła ręce do twarzy. Uratowała setki osób, ale nie tę, na której jej zależało. Wygrała czy przegrała? Znowu pieprzony Hemingway. Czy sen może aż tak wpływać na rzeczywistość. Wygrała czy przegrała?

Steward podał pyszną kawę. Do tego lody z owocami. A jeśli ktoś chciał, to jeszcze jakieś dziwne placki kukurydziane. Jedli z ochotą, lecąc szybciej niż dźwięk, wysoko w przestworzach zmierzając do bezpiecznej strefy.

– Już nas amerykańskie myśliwce nie osiągną – powiedział pilot przez intercom. – Chyba że z baz w Europie. Ale wątpię, żeby im się chciało.

Zaczęli bić mu brawo, w odpowiedzi jeszcze przyspieszył, co wyraźnie dało się odczuć.

– Zlituj się pan – zawołał Hot Dog. – Nie chce mi się rzygać dzisiaj. Ale jeśli już, to na pana...

Pilot posłusznie zwolnił. Leciał spokojnie, nucąc jakieś afrykańskie pieśni. Po kwadransie okazało się, że były irlandzkie. Ale tylko najlepsi zrozumieli. Mknęli nad oceanem z szybkością większą niż dźwięk. Trzykrotnie większą.

– Może przyspieszę? – spytał pilot.

– Zlituj się pan – powtórzył Hot Dog. – Nie lubię, jak mi się metal topi i spływa na kolana.

Pilot załapał.

– Dobra, utrzymam się poniżej pięciu tysięcy kilometrów na godzinę.

Hot Dog tylko kręcił głową.

– Kurwa, gdzieśmy wsiedli? To samobójca jakiś pieprzony! Zaraz nas pozabija.

– Spokojnie – odezwała się Mobutu w głośnikach. – To mój najlepszy pilot. Za chwilę będziecie już poza zasięgiem natowskich samolotów. Polecicie nad Afryką i już będziecie w domku. We własnym domku, kochani.

Najemnicy zaczęli wiwatować. Jedynie Toy trzymała twarz w dłoniach.

Wygrała czy przegrała? Wygrała czy przegrała? Wygrała czy przegrała? Co będzie z Kosą? Dante to zauważył, przysiadł się i objął dziewczynę ramieniem. Popatrzył na nią uważnie.

– Dowódca, niestety, musi godzić się ze stratami – powiedział cicho. – I nie jest ważne, czy wygrałaś, czy przegrałaś. Musisz pogodzić się ze stratami.

– Ale to zbyt bolesne!

– Cierp w milczeniu, żołnierzu.

Przesiadł się z powrotem na swoje miejsce.

Epilog

Osiem lat później w egipskiej miejscowości Dahab, jakby żywcem wyjętej z filmu o Dzikim Zachodzie – jedna uliczka i góry w perspektywie – spotkało się kilka osób. W „Cafe

Monica” siedziały już trzy kobiety i dziecko. Mecenas oraz jego sekretarka przybyli chwilę później, idealnie o czasie. Adwokat po prostu promieniał.

– Proszę pani – przystąpił od razu do rzeczy – pomnożyliśmy te sześć milionów, które powierzył nam Paul Iceberg. Mam dla pani bardzo dobrą wiadomość. Dzisiaj, tutaj, w tym miejscu wypłacę pani jedenaście milionów dolarów.

Popatrzył na Toy triumfalnie i z kieszeni na piersiach marynarki wyłowił staromodną książeczkę czekową oraz pióro.

– Nie chcę.

W prawnika jakby piorun strzelił. Siedział oniemiały z piórem w ręku.

– Nie chce pani jedenastu milionów dolarów?!

– Nie. – Upiła łyk znakomitej, choć przesadnie słodkiej beduińskiej kawy.

Nie mógł uwierzyć. Siedział otępiały, nie mogąc sobie wyobrazić człowieka, który nie chce takiej fortuny. Toy kiwnęła brodą na rolls-royce’a pod oknami kawiarni. Coś zaczęło do niego docierać.

– Rozumiem – powiedział powoli. – Daje pani radę sama.

Przytaknęła.

– Afryka sobie nie radzi i potrzebują tu prywatnych detektywów. A to trzeba ująć jakiegoś szamana, który zatruwa wodę w studniach, a to jakiegoś czarownika, który nakłada ręce na krowy i te zdychają. A najlepszą moją sprawą był „sokół mściciel”.

Spojrzał z zainteresowaniem.

– I co pani zrobiła?

– W przypadku sokoła wynajęłam białego myśliwego. W przypadku krów wynajęłam weterynarza.

– A szaman? – Zaciekawiał się naprawdę.

– E tam... – Wzruszyła ramionami. – Dostał parę razy w ryj od nas wszystkich i już nie rzuca uroków, bo się boi. – Upiła kolejny łyk kawy. – W Afryce można zarobić masę kasy, od kiedy dostali pomoc ONZ. Najłatwiej zarobić na urokach.

– Pani je zdejmuję?

Aż cmoknęła.

– Albo zdejmuję, albo rzucam. W zależności od zamówienia. Tu naprawdę teraz można zarobić.

– Aż na rolls-royce’a?

– Można. Oprócz tego jestem księżniczką – westchnęła. – Nazywam się Toy ibn Iceberg de la coŧtamcoŧtam.

Mecenas kręcił głową oszołomiony. Ale głupi nie był.

– Proszę pani, wypełniła pani warunki umowy i utrzymywała się z pracy prywatnego detektywa. Nie wróciła pani do zawodu prostytutki. Co ja mam zrobić z pani jedenastoma milionami? Uśmiechnęła się do niego ciepło.

– Okazali się państwo firmą uczciwą i kompetentną...

Mecenas wstał i uklonił się z gracją, trzymając dłoń na wysokości mostka. Kiedy znowu usiadł, nie potrafił ukryć radosnego wyrazu twarzy. Każdy lubi, gdy się go chwali. A robota naprawdę została wykonana dobrze.

– I w związku z tym – kontynuowała – chciałabym przedłużyć kontrakt z państwa kancelarią.

– Na następne dziesięć lat? – Adwokat nie mógł wyjść ze zdumienia.

– Ten chłopczyk – Toy wskazała syna Shainee – za dziesięć lat osiągnie pełnoletność. I chciałabym, żebyście go kontrolowali tak jak mnie. Od pełnoletności musi minąć kolejne dziesięć, kiedy będzie się musiał utrzymywać z pracy prywatnego detektywa. Jeśli dotrzyma warunków, wtedy dostanie od was fortunę.

Adwokat nie ufał swoim uszom. Może obracać dalej jedenastoma milionami i brać z tego odsetki? Nie mógł uwierzyć we własne szczęście. Wyjął z kieszeni telefon i zadzwonił do wspólnika.

– Stary, przytrzymaj się czegoś albo najlepiej usiądź. Mam rewelację. – Chwila ciszy. – Podpisujemy dalszy kontrakt na dwadzieścia lat! Wysyłaj mi wszystkie papiery Paula Iceberga i kopię jego umowy. – Gość po drugiej stronie musiał być zszokowany. Mecenas milczał dużo dłużej. – Tak, nie będzie mnie przez kilka dni, bo lecę do królestwa M'pondo. Tylko przyślij papiery!

Wciąż potrząsał głową z niedowierzaniem. Trzy kobiety tymczasem podniosły się z foteli i jak nakazuje etykieta królewskiego dworu, przepisowo dygnęły. Toy dała mu wizytówkę z adresem. A chłopczyk miał wszystko w dupie. Umazał się czekoladą podiwanioną mecenasowi. Będzie z niego dobry detektyw.

Już w samochodzie Toy wyjęła z torebki telefon. Wybrała numer.

– Cześć, Jack. Co z Evą?

Higgins milczał strasznie długo.

– Zmarła wczoraj w nocy – odezwał się wreszcie. – Nie odzyskała przytomności.

Coś ścisnęło Toy pod mostkiem. Valkiria jednak uchroniła ją od zawału.

– Przyjedziesz na pogrzeb? – spytał.

– W jaki sposób? W Stanach mnie wsadzą za morderstwo. I będzie to ciężki wyrok. Albo czapa.

– Rozumiem.

Nie wiedziała, jak mu to powiedzieć. Wiła się niczym piskorz i nie mogła wydobyć z siebie ani słowa, tym bardziej teraz obarczona poczuciem winy.

– Jack... – w końcu się zdecydowała – Kocham cię.

Nie wahał się ani chwili.

– Ja ciebie też Kocham! Ale dzieli nas ocean. – Lecz zaraz dodał: – A co tam ocean? To tylko dość duża kałuża.

Roześmiała się. Zaprosiła Higginsa do swojego pałacu i zamknęła klapkę telefonu. Zaczęła się gonitwa myśli. Co się stało osiem lat temu? Uratowała setki osób, a nie potrafiła uratować swojej dawnej przyjaciółki. A nawet zabrała Kosie piękny sen. Zabrała Kosie faceta. Wygrała czy przegrała? Machnęła ręką. To jedyne, co potrafiła. W końcu jednak otrząsnęła się. Położyła dłoń na ramieniu synka Shainee.

– Będiesz dobrym detektywem – powiedziała. – Ja cię wyszkolę!

– Myślisz, ciociu?

– Będziesz! – Wyjęła chusteczkę, symulując, że chce poprawić makijaż. – Nauczę cię, że każdy dowódca musi pogodzić się ze stratami.

Zakryła chusteczką już całą twarz, żeby nie było widać łez.

– Jedź – rozkazała kierowcy.

Elegancka limuzyna ruszyła bezszelestnie.